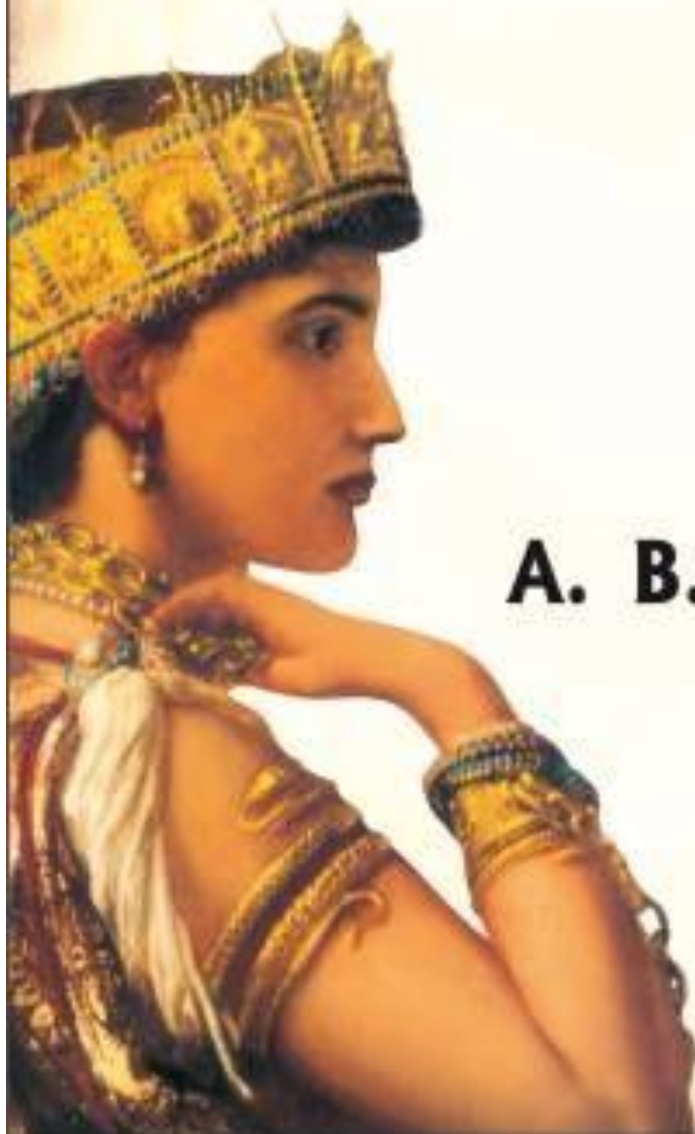


# KRÓLOWA PALMYRY

**A. B. DANIEL**



**A. B. Daniel**

# **Królowa Palmyry**

*Przełożyła Wiktoria Melech*

*W godzinie pragnienia wielkości  
można zawsze pomyśleć o Zenobii  
przechadzającej się pod kolumnadą Palmyry.  
Jej piękność nie ma sobie równej,  
podobnie jak piękno tego miasta z kamienia,  
gdzie pustynia i wieki zostawiły tyle pyłu marzeń,  
że samo życie nie oferuje więcej pewności  
niż dawno zatarte rojenia senne.*

*August Farel, Almanach upojeń*

**Tom I**

**TANIEC BOGÓW**

**Część 1**  
**PRZEZNACZENIE**  
**240–256 r. n.e.**

# 1

## PUSTYNIA TURAQ AL'LLAB

Siedząc w kucki na kamieniach przygotowanych do rodzenia, młodziutka żona kołysała się z boku na bok. Całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Z szeroko otwartymi oczami i ustami wbijała paznokcie w nadgarstki Aszemu, egipskiej niańki. Jej warg nie ożywiał żaden oddech, a rozszerzone źrenice nic nie widziały.

Kłęcząca przy niej stara akuszerka, masując brzuch rodzącej, nalegała:

– Oddychaj, dziewczyno, oddychaj!

Kilkanaście kobiet siedzących w namiocie nie spuszczało z nich wzroku. Podświadomie wyginały biodra, jakby chcąc pomóc młodej położnicy.

Była to dziewczyna zaledwie piętnastoletnia. Jej jeszcze dziecięce ciało zdawało się niezdolne do tego, by biodra mogły się wystarczająco rozsunąć i wydać nowe życie.

Na usta rodzącej wrócił oddech. Od skurczów skóra na brzuchu zmieniała barwę. Z gardła wydobył się jęk.

Kobiety zagryzały wargi, by nie krzyczeć razem z nią. Stara akuszerka zaburczała:

– Przestań jęczeć! To nic nie pomoże!

Dziewczyna robiła wrażenie, jakby nic nie słyszała. Skronie i policzki miała mokre od potu. Silny skurcz

odrzucał ją do tyłu. Jęk przeszedł w krzyk. Był tak ostry, że aż zadrżały pale z cedrowego drzewa, podtrzymujące ciężkie płachty namiotu. Aszemu podparła plecy dziewczyny, by utrzymać ją w pozycji siedzącej.

W mroku namiotu kobiety szeptały imię Baalszamina, prosząc boga o pomoc i zmiłowanie.

W chwili wytchnienia młodzianka położnica chwyciła konwulsyjnie powietrze szeroko otwartymi ustami.

Niepostrzeżenie nadeszła noc. Jedna z kobiet wstała i wydłużyła knoty lamp oliwnych zawieszonych na palikach namiotu. Inna dorzuciła kilka garści wysuszonego wielbłądziego łajna do kosza z żarem i pomachała nad nim wachlarzem z palmowych liści. Trzecia drewnianą łyżką o długiej ręczce pomieszała płótna zanurzone w gorącej wodzie. Były to czynności pożyteczne, a zarazem dające pewne odprężenie i niedopuszczające, żeby strach rozszedł się w namiocie niczym duszący dym. Każda z obecnych tu kobiet świadoma była niebezpieczeństwa, jakie grozi tak młodej rodzącej.

Aszemu pogładziła czoło dziewczyny, dotknęła szyi i warg.

– Ona umiera! – mruknęła.

Akuszerka rzuciła wściekłe spojrzenie.

– Porusz ją! Ona nie może umrzeć! Musi jeszcze trochę się wysilić, bo nie dam rady wydostać z niej dziecka.

Dziewczyna spojrzała pustym wzrokiem. Pot oblewał jej piersi i brzuch. Aszemu przytuliła swój ciemny policzek

do twarzy rodzącej i szepcząc czułe słowa, dodawała jej odwagi.

– Co ty wyczyniasz, Egipcjanko? – zaskrzeczała stara akuszerka. – To nie jest moment na czułości!

Beznamiętnie wbiła twarde palce w szyję młodziutkiej dziewczyny. Kobiety za jej plecami przycichły. Położnica odzyskała przytomność. Z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu uczepliła się mocno ramion starej kobiety.

– Nie waż się umierać – warknęła akuszerka, zmniejszając ucisk palców na szyi dziewczyny. – Nie zasypiaj, żeby zapomnieć o bólu, bo umrzesz.

\* \* \*

Ogień oświetlał turbany mężczyzn. Wszyscy siedzieli z pochylonymi głowami. Żaden nie chciał, by na jego twarzy wyczytano obawę.

Jedynie Abdonaj siedział wyprostowany ze wzrokiem utkwionym daleko w horyzont pustyni Turaq Al'llab, gdzie w czerni nocy mrugały gwiazdy. Gdyby schylił głowę, okryłby się hańbą. To jego żona jęczała tam, w namiocie.

Krzyki na chwilę osłabły, ale zaraz potem stały się jeszcze bardziej przejmujące, ochryple, podobne do jęków gazeli z rozprutym brzuchem. Były tak straszne, że przeszywały mężczyzn niczym ostrze sztyletu.

Od samego rana Abdonaj rozmyślał nad słowami starej, bezzębnej akuszerki, które usłyszał jakieś trzy,



cztery lata temu, gdy oznajmił jej, że pragnie, aby jego żona urodziła mu syna.

– Do ciebie należy decyzja, Abdonaj – rzekła skrzypiącym głosem. – Dziewczyna to nie wielbłądzica. Twoja żona jest za młoda, żeby dać ci potomka. Ma za wąskie biodra. Niewiele dziewcząt w jej wieku przeżywa poród. A więc wybieraj.

Abdonaj otworzył serce przed Baalszaminem. Z duszą pełną lęku i szacunku, jaki powinien okazywać swemu bogu, szepnął:

– O Wszechmocny! Władco ziemi i ojców moich ojców, wejrzyj na tego, który służy ci od swego pierwszego tchnienia...

Słowa zamarły na jego ustach, zanim dokończył modlitwę. Ujrzał bowiem na nocnym niebie coś, czego nigdy dotąd nie widział. Bezwiednie zacisnął rękę na zakrzywionej rękojeści sztyletu, ostrze wysunęło się nieco z pochwy.

Z tyłu za namiotami poruszyły się niespokojnie konie. Na klifie wznoszącym się nad obozowiskiem rozległ się krzyk.

Abdonaj, nie posiadając się ze zdumienia, zawołał niskim głosem:

– Patrzcie, gwiazda się przesuwa!

Mężczyźni podnieśli twarze ku niebu, nic nie pojmując. Zarżały konie, dołączając swój głos do jęków młodziutkiej położnicy. Abdonaj wskazał palcem na północ ku tysiącom błyskających gwiazd i powtórzył

głośno:

– Spójrzcie, odrywa się od nieba! Baalszamin wysłała jedną gwiazdę z nieba!

Wtedy i oni ją zobaczyli.

Nie była to już gwiazda, ale smuga światła. Na ich oczach wydłużała się, przybierała rozmiary ptaka. Potem dalej się zmieniała. Delikatna, zwiewna, płynęła niczym woal niesiony wiatrem. Robiła się coraz grubsza. I to jak szybko! Ujrzeli, że zmienia się w język ognia, a następnie w ogon oszalałego konia.

Wielbłądy zgromadzone na południe od obozowiska zaczęły ryczeć. Najpierw kilka, a potem wszystkie razem, jak zawsze, gdy ogarniało je przerażenie. Ich ochryply ryk odbijał się o skały. Z namiotów wybiegli w wielkim pośpiechu starcy, kobiety, dzieci. Płomień gwiazdy przesuwiał się coraz szybciej. Był coraz dłuższy, bardziej czerwony, złocisty. Matki przywoływały swoje dzieci. Starsze, przestraszone, uczepliły się ich tunik. Młodsze śmiały się i klaskały w rączki na widok dziwnego zjawiska na niebie.

Abdonaj nie spuszczał wzroku z płomienia przecinającego horyzont. Ktoś szepnął mu do ucha głosem pełnym przerażenia:

– Leci na nas, Abdonaj! Baalszamin zsyła tę gwiazdę prosto na nas!

\* \* \*

Kobiety w namiocie usłyszały krzyki i głośny ryk wielbłądów. Ciekawość wzięła górę i nie mogąc już dłużej wytrzymać, wybiegły na zewnątrz, pozostawiając rodzącą pod opieką akuszerki i Aszemu.

Dziewczyna przestała krzyczeć. Drgawki wstrząsały nią jeszcze, ale żaden jęk nie wychodził z wyschłych warg. Aszemu nie czuła już ciężaru jej ciała.

– Głupia! – zamruczała ze złością stara akuszerka przez pieńki zębów. – Umarła. – Otworzyła usta dziewczyny, nachyliła się nad nią po czym uderzyła płaską dłonią jej wydęty brzuch. – Niepotrzebnie się wysilasz, żeby ją utrzymać przy życiu. Ona już nam nie pomoże – mruknęła pod nosem.

Kiedy Aszemu układała dziewczynę na dywanie zasłanym płótnami, do namiotu wróciły biegiem kobiety.

– Od nieba oderwała się gwiazda!

– Leci na nas! Prosto na nas!

– To nie gwiazda, tylko wielki płomień!

Stara akuszerka podniosła głowę.

– Co wy opowiadacie? – zdziwiła się.

Jedna z kobiet odrzekła:

– To niebieski ogień dnia ostatecznego! Baalszamin odprawi nad nami sąd!

Inna, wznosząc ręce do góry, pisnęła:

– To dzień sądu! Baalszamin przybywa na ognistym wozie! Aszemu wskazała na leżącą na podłodze dziewczynę.

– A co z nią! Chcecie ją opuścić? Żonę Abdonaja?

Kobieta z twarzą zalaną łzami zawołała:

– Wszyscy zaraz umrzemy! Na cóż ma się rodzić nowe dziecko? Inne zdążyły już uciec.

Stara akuszerka krzyknęła, złorzecząc im:

– Nie uciekajcie! Oby demon was pochwycił, tchórzliwe kobiety! Płachta namiotu opadła, głuszając jej słowa. Akuszerka zawahała się.

Aszemu zastanawiała się, czy i ona także ucieknie. Na zewnątrz słyhać było krzyki ludzi, ryk zwierząt.

Stara westchnęła. Patrzyła na położnicę z grymasem, który odsłonił jej różowy język za nagimi dziąsłami. Uklękła, przyłożyła głowę do napiętego brzucha rodzącej. Aszemu wstrzymała oddech.

– Dziecko żyje – oznajmiła stara, nie racząc nawet na nią spojrzeć. Sięgnęła do kieszeni w podwójnym, skórzanym pasku. W jej dłoni ukazało się wąskie ostrze noża. W świetle lamp błysnął długo polerowany metal.

– Przynieś płótna i gorącą wodę – rozkazała.

Aszemu serce podeszło do gardła.

– Nie uciekasz?

– Pośpiesz się! Ona już nie żyje! Albo umrze za moment. Czy chcesz, żeby jej brzuch zgnił?

\* \* \*

Na dworze krzyki stopniowo ucichały.

Nawet dzieci umilkły.

Słyhać było tylko chrapliwe pojękiwania wielbłądów

i rzenie oszalałych ze strachu koni.

Ognista gwiazda spadała z coraz większą szybkością. Przybierała coraz większe rozmiary, miała kształt złocistej, krwawej głowy zwierzęcia ryczącego na niebie. Płomienisty ogon to się poszerzał, to kurczył. Światło gwiazdy było tak silne, że wyraźnie oświetlało twarze ludzi, namioty i ich cienie. A także nierówności na powierzchni skał. Wojownicy plemienia M'Tub wydobyli z pochew swoje *nimcha*, afrykańskie szable z wygiętymi ostrzami.

Ognisty pysek gwiazdy zwrócony był prosto w ich stronę. Nikt już nie wątpił w wolę Baalszamina.

Słyszeli trzask, z jakim gigantyczna paszcza pożerała powietrze, ciężki oddech śmierci przemierzającej pustynię. Wielu padło na kolana, błagając boga, by okazał im miłosierdzie. Inni leżeli już plackiem, gryząc ziemię i kamienie. Zewsząd słychać było imię Baalszamina, imię wszechpotężnego boga, władcy wszechświata.

– Baalszamin! Baalszamin! Baalszamin!

\* \* \*

Ostrze przecięło już ciało, gdy światło gwiazdy przedostało się przez gęstą tkaninę namiotu.

Aszemu, podobnie jak ludzie na zewnątrz, nieświadomie mamrotała imię Baalszamina, choć wcale nie był jej bogiem. Nie była w stanie myśleć o niczym innym nad to, co widziała. Zakrwawione palce starej

akuszerki otwierały brzuch dziewczyny niczym owoc granatu. Drżące palce rozchylały ciemne, błyszczące od krwi wnętrzności, między którymi pojawiły się nagle powieki, usta i nosek noworodka. Ruszał się. Jego ruchy były bardzo słabe. Piąstką niewiele większą od ziarna bobu machał tak, jakby chciał chwycić nią powietrze.

Krzyki na zewnątrz ucichły. Rozlegał się jedynie pomruk szeptów przyprawiających o gęsią skórkę. Akuszerka podniosła się na chwiejnych nogach. Poszła do wyjścia, mamrocząc słowa, których Aszemu nie rozumiała. Ona także uciekła.

Aszemu nie była zdolna do żadnego ruchu. Zrobiło się widno jak w dzień. A nawet jeszcze bardziej. Wnętrze namiotu zalało światło równe dwudziestu słońcom. Śmierć zniekształciła piękną twarz młodziutkiej położnicy. Na jej wargach zastygł grymas, jakiego nigdy przedtem u niej nie widziano. Ale dziecko w otwartym brzuchu poruszało się coraz energiczniej.

Aszemu pojęła, że stało się coś naprawdę niezwykłego.

Koło czasu zatrzymało się w miejscu. Zanurzyła ręce we krwi dziewczyny i wydobyła noworodka. Pępowina łączyła dziecko z martwą matką. Bez zastanowienia, nie szukając noża, który akuszerka rzuciła na ziemię, Aszemu wbiła zęby w śliską pępowinę. Przegryzła ją tak zręcznie jak lwica gardło swej ofiary. W rękach poczuła ciężar żywego dziecka. Odwróciła je główką do dołu i potrząsnęła, wybiegając jednocześnie z namiotu

w kierunku, skąd dochodziły modły i błagania wznoszone do Baalszamina.

Noworodek wydał pierwszy krzyk, oznaką życia, w momencie gdy Aszemu poczuła pod nogami zimny grunt. Przycisnęła dziecko do piersi. Po niebie przetoczył się potworny huk.

Pomyślała, że kobiety miały rację, że wszyscy zaraz zginą.

\* \* \*

Światło zgasło.

Zapadły absolutne ciemności.

Czerń gorsza od nocy.

Umilkły wrzaski ludzi.

Dokoła zapanowała cisza i absolutna ciemność.

A potem nagle ziemia zadrżała.

Zatrzeszczała, zatrzęsa się z taką siłą, że Aszemu padła na kolana. Myślała tylko o tym, żeby osłonić dopiero co narodzone dziecko. Żałowała, że nie może go ukryć w swoim brzuchu.

W ciszy wiszącej nad obozowiskiem rozległ się niespodzianie krzyk dziecka, które dawało w ten sposób znać, że żyje.

Oczy przywykające do ciemności zaczęły już dostrzegać niebo i gwiazdy. Niektórzy podnosili się z uśmiechem na ustach, z nadzieją w sercu.

A wtedy nad ziemią uniosła się chmura piasku,

kamieni, śmierdzącego pyłu. Przywiany przez wiatr popiół sypał się na plecy ludzi, wdzierał się do nosów i ust, uniemożliwiając oddychanie. Grzebał ich żywcem na pustyni.

Aszemu, zagubiona w tej chwili zapowiadającej koniec świata, skuliła się, tuląc dziecko do piersi.

\* \* \*

Wojownicy M'Tuba, koczujący na wzgórzu za obozowiskiem, po jakimś czasie podnieśli się. Ponieważ zasłonili sobie twarze jak zawsze podczas pustynnej burzy, mogli teraz oddychać nie dławiąc się popiołem. W powietrzu unosił się straszliwy, zgniły smród. W gęstej ciemności nie widzieli ognisk obozowiska. Zaczęli więc krzyczeć, dając znać, że żyją. Ale odpowiedziały im tylko wielbłądy. W uszach mieli jeszcze trzask eksplozji, a smród przyprawiał ich o mdłości.

Nagle Abdonaj usłyszał, podobnie jak inni, płacz niemowlęcia. Był pewien, że to płacze jego dziecko.

Wokół niego ludzie charczeli i pluli. Owinął więc turbanem usta i niepewnym krokiem ruszył przez chmurę popiołów. Szedł po omacku w kierunku krzyku dziecka. Rękami wyciągniętymi przed siebie odtrącał ludzi, potykał się o tych, którzy już wstawali. Nagle usłyszał płacz tuż obok siebie. Jego palce trafiły na plecy tegiej, silnej kobiety, osłaniającej swym ciałem kwilącego noworodka.

– Aszemu!



Egipcjanka drżała niczym liść. Jęczała ze strachu i nie dawała się podnieść.

– Aszemu! To ja, Abdonaj!

Niańka wyciągnęła rękę i w ciemnościach wymacała pokryte popiołem policzki Abdonaja.

– To naprawdę ty? – zapytała żalosnym głosem. – Nie jesteś demonem?

– Nie gadaj głupstw! Jestem Abdonaj!

– A co tak strasznie cuchnie? Czy to nie odór demona?

– Jestem Abdonaj. Nie poznajesz mego głosu? Wstań i oddaj mi syna.

Szarpnął Aszemu za ramię, ale ona odepchnęła go z siłą.

– Oszalałaś? – zdenerwował się Abdonaj, usiłując wyrwać dziecko wtulone do piersi Egipcjanki. – Oddaj mojego syna!

– Nie, poczekaj! – jęknęła Aszemu.

Abdonaj chwycił ją za ramiona. Szarpali się tak bez sensu, dopóki Egipcjanka, popluwając i kaszląc, nie zdołała wykrztusić:

– Abdonaj! Błagam cię! Ono nie może oddychać tym powietrzem. To je zabije!

Miała rację. Turban zsunął się z ust Abdonaja, który sam teraz z trudem oddychał. Wypluł błoto i osłaniając na powrót twarz, zapytał:

– Chłopiec czy dziewczynka?

Aszemu, nie odpowiadając mu, wsunęła dziecko pod suknię, gdzie znalazło się blisko jej ciepłego, nagiego ciała.

Doszła już do siebie. Pozbyła się strachu, ale ręce bolały ją tak, jakby stoczyła z kimś walkę. Otarła twarz rękawem i mruknęła:

– Nie miałam czasu, żeby to sprawdzić.

– To syn, jestem tego pewien. Tylko chłopiec mógłby być tak silny, żeby pojawić się na świecie w takiej chwili.

Dokoła nich wszyscy pluli i kasłali. Nawoływano się, macano. Rozpoznawano się z ulgą, której towarzyszyła radość z ocalonego życia i zarazem lęk wywołany zatykającym smrodem popiołu.

– Chodźmy stąd – rozkazał Abdonaj. – Trzeba zanieść dziecko w bezpieczne miejsce!

\* \* \*

Gdy znaleźli się w namiocie, w świetle lamp, które nie zgasły, przypominali okryte pyłem posągi. Aszemu wydostała spod sukni noworodka, aby obmyć go z krwi matki, i wówczas oboje stwierdzili, iż jest to dziewczynka nie chłopiec.

Z wyrazem zawodu na twarzy Abdonaj przyglądał się, jak Aszemu myje dziecko w resztkę ciepłej wody.

Dziewczynka!

Baalszamin strącił z nieba gwiazdę na jego karawanę i dał mu córkę!

Czy bóg pragnął, żeby wszyscy uznali, że Abdonaj wiezie demony w jukach wielbłądów?

Dostrzegł sylwetkę leżącą na dywanie. Przez sekundę

pomyślał, że jego żona śpi. Zastanawiał się, czy wiedziała, że spadła na nich gwiazda.

Złotawy blask lamp oświetlał czarne wnętrze brzucha, zniekształcone bólem usta, otwarte szeroko podobnie jak oczy, które nic już nie widziały. Wreszcie pojął, co się stało.

Aszemu, owijając dziecko w miękkie płótno, powiedziała z wyrzutem:

– Długo cierpiała. To było do przewidzenia. Stara akuszerka robiła, co mogła. Chociaż, jeśli wszyscy mamy umrzeć przez tę gwiazdę, nie miało to żadnego sensu.

Abdonaj machnął ze złością ręką.

– Nikt nie umrze. Popiół zaraz opadnie. Na pustyni będzie trochę więcej pyłu i to wszystko.

– To dlaczego wciąż tak śmierdzi? Skąd wiesz, czy demony nie wyjdą z ziemi w miejscu, gdzie spadła gwiazda?

– Nie opowiadaj bzdur, Egipcjanko! – zaśmiał się drwiąco Abdonaj. – Czy sądzisz, że Baalszamin zapala gwiazdę na niebie, żeby ucieszyć demony?

Gdy za wychodzącym Abdonajem opadła zasłona namiotu, Aszemu ucałowała ciepłą główkę dziecka i szepnęła:

– Moje maleństwo! Co twój ojciec może wiedzieć o zamiarach Baalszamina?

## PUSTYNIA TURAQ AL'LLAB

Przekonali się o tym o świcie.

Kiedy nad pustynią wstał dzień, wojownicy M'Tub odkryli krater w odległości tysiąca kroków od obozowiska. Gwiazda wbiła się między skały i zwęgliła je. Wpadła w głąb żółtawej ziemi, wydrążając szeroki lej

Wojownicy M'Tub, odważniejsi niż przewodnicy karawany, wśliznęli się do krateru. Podekscytowani możliwością odnalezienia gwiazdy, która tam zniknęła, gorączkowo grzebali w piasku na dnie leja.

Nagle jeden z nich krzyknął z przerażeniem. Jego nogi zaczęły grzęznąć w piasku. Zniknął w nim tak szybko, jakby jakaś bestia wciągała go do wnętrza krateru. Zanim ktokolwiek zdołał mu przyjść z pomocą, inny wojownik, tuż obok niego, zapadł się aż po ramiona. Wszyscy ujrzeli panikę i błaganie na jego twarzy. Piasek dochodził już do jego szyi, drobnymi falkami zasypywał usta, wchłaniał go ze straszliwą nieustępliwością.

Inny wojownik M'Tuba, nierówno oddychając otwartymi ustami, kopał wokół niego w śmiercionośnym piasku. Pozostali, złorzecząc, rozwinęli swoje turbany. Długie wstęgi niebieskiego materiału dosięgły twarzy nieszczęśnika w tym samym momencie, gdy wchłaniała go fala piasku.

Ktoś stojący obok Abdonaja odezwał się zdławionym głosem:

– Baalszamin wydrążył w piasku lej demonów!

Abdonaj zacisnął pięści. Bez słowa patrzył, jak wojownicy M'Tuba wydostają się pospiesznie z krateru, gdzie piasek nadal osypywał się drobnymi falkami.

Dlaczego bóg tak się srożył? Czy nie zadowoliło go to, że dał mu córkę zamiast syna i zasypał popiołem jego rodzinę, namioty, wielbłądy?

Wojownicy, którzy wydostali się na górę, znieruchomieli przy brzegu krateru. Ktoś wskazał w głąb leja.

Tam, gdzie zginęło dwóch z nich, zaczął rosnać jakiś cień. Popiół i piasek przestały się osypywać, zmieniając się w czarne błoto.

Patrzyli na to wszyscy. Niektórzy położyli dłonie na rękojeściach sztyletów. Na karkach i ramionach mieli gęsią skórę. Oczekiwali, że ujrzą zaraz pokrytą obrzydliwą pianą paszczę demona pożerającego ich towarzyszy.

Na powierzchni błota ukazał się błękitny, migoczący odblask nieba. Ludziom cisnęło się na usta jedno słowo, tak niewiarygodne, że nie mieli odwagi go wypowiedzieć.

Migotanie na błotnej powierzchni narastało. Przywodziło na myśl młode zwierzę otrząsające się po długim śnie. Przenikało w piasek, wybuchało w nim gwałtownymi przebłyskami. Rozchodziło się coraz szerzej, coraz silniej, wślizgiwało między kamyki, zalewało wgłębienia i wypukłości w piasku.

Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce.

Abdonaj wbił paznokcie w. ramię najbliższego stojącego człowieka i krzyknął:

– Woda! To woda! Baalszamin dał nam wodę!

\* \* \*

Woda.

Tutaj, w samym sercu ogromnej pustyni Turaq Al'llab. Tutaj, gdzie słońce wypalało ziemię do białości niczym kości trupów. Gdzie niebo zwęgląło owady. Gdzie człowiek pozbawiony wody mógł przeżyć nie więcej niż dwa dni i dwie noce na spieczonej żarem ziemi.

Woda.

I chociaż wsiąkała w piasek, tworzyła już na dnie krateru kałużę szerokości około trzydziestu kroków.

Dzieciaki tańczyły, naśladując ruchy krążących nad nią much. Kobiety zasłaniały sobie usta i gdakały niczym kury. Starcy płakali z radości. Zgromadziło się tu całe plemię Abdonaja. Twardzi ludzie plemienia Maazinów, nie zważając na słońce, usiedli nad krawędzią krateru, który na ich oczach zmieniał się w oazę. Mruczeli modlitwy i śpiewali. Serca przepelniała radość.

– Woda! Woda! Niech będzie błogosławiony Baalszamin!

\* \* \*

Gdy słońce sięgnęło zenitu, krater był już więcej niż

w połowie wypełniony wodą, której nikt jeszcze nie odważył się dotknąć.

Ściany krateru zaczęły osuwać się w różnych miejscach, dzięki czemu woda mogła wypłynąć poza jego obręb i sięgnąć aż do skalnego zbocza, wznoszącego się nad pustynią. To już nie była kałuża, ale małe jezioro, które wciąż się powiększało, przybierając wydłużony kształt kwiatu hibiskusa, z wodą ciemną, niebieską, przezroczystą.

Choć słońce prażyło z całą mocą, poczuli pierwsze, świeże tchnienie wody, które rozchodziło się w powietrzu, muskało pieszczotliwie twarze. Podniecone dzieci nie mogły ustać w miejscu. Trzeba było je powstrzymywać przed wejściem do tego cudownego jeziora.

W tej właśnie chwili Abdonaj pomyślał o córeczce. Jednym skokiem znalazł się przy Aszemu. Jak oszalały wyrwał dziecko z jej objęć, podniósł ponad swoją głowę i zawołał:

– Dar Boga! Dar Boga!

Wszyscy patrzyli na niego w osłupieniu.

– To Baalszamin mi ją zesłał. Zesłał mi wodę i zesłał mi córkę. Urodziła się w tej samej chwili, kiedy spadła gwiazda. Otworzyła brzuch matki, podobnie jak gwiazda otworzyła brzuch ziemi!

Starcy zmarszczyli brwi, bez przekonania mamrocząc coś pod nosem. Kobiety potrząsały głowami i uśmiechały się drwiąco. Każdy z nich myślał, że woda była najpiękniejszym dobrem i najlepszym z darów boga. Czyż

nie jest osłodą przyszłego życia?

Ale Abdonaj, trzymając nad głową nowo narodzoną córkę, tańczył dalej nad krawędzią krateru. Śmiał się głośno, zdzierając gardło, a jego śmiech odbijał się od tafli jeziora. Skały zbocza odpowiadały mu dźwiękiem, jakiego nikt wcześniej nie słyszał. Później niektórzy twierdzili, że w tym momencie usłyszeli śmiech samego Baalszamina. A potem wszyscy ujrzeli, jak sandały Abdonaja zapadają się w piasek, a on sam, chwając się, zagłębia w krater.

Wszyscy widzieli, jak rozchyliło się płótno, w które owinięte było dziecko. Krzyknęli, gdy maleńkie, różowe ciało uleciało ponad wodą, okręcało się niczym kamyk, jakby nic nie ważyło. Jakby było ptakiem. Wpadło jednak do wody, zanurzyło się w niej z szybkością strzały. Woda chwyciła je w swoje objęcia. Zniknęło.

Abdonaj przewrócił się, jego także zalała woda. Ubrany w szeroką tunikę i bufiaste spodnie próbował bezskutecznie wydostać się na powierzchnię. Przerażony pluł, kaszłał, czując, że piasek usuwa mu się spod nóg. Wymachiwał rękami w próżni, uderzał nimi powierzchnię jeziora, co tylko pogarszało sytuację.

Mężczyźni ruszyli mu na ratunek, rzucali paski i turbany. W tym całym zamieszaniu nikt nie zauważył małego chłopca, który pojawił się pod zboczem i szybkim ruchem ściągnął z siebie białą tunikę. Nikt nie zauważył, kiedy zanurzył się w wodzie i popłynął zwinnie niczym ryba.

Zobaczono go dopiero na środku jeziora, kiedy już



wyciągano Abdonaja na brzeg. Chłopiec płynął swobodnie, jego włosy błyszczały zanurzone w wodzie. Jedną ręką przytknął do twarzy córeczkę Abdonaja. Dziecko było nadzwyczaj spokojne. Rączkami uchwyciło się loków swego wybawcy. Panowała przedziwna cisza. Kobiety zagryzały wargi.

Chłopiec bez najmniejszego wysiłku podpłynął do Abdonaja. Wszedł na brzeg z dzieckiem przytulonym do piersi. Miał nie więcej niż pięć lub sześć lat, był duży i silny jak na swój wiek. Powoli, jakby z pewnym żalem, złożył maleństwo w drżące ramiona Abdonaja, który podniósł je ostrożnie.

– Widzieliście, wpadła do wody i nie utonęła. Mówiłem prawdę: dał ją nam Baalszamin!

Tym razem nikt już nie protestował. Starcy uśmiechali się, kiwając głowami, kobiety ze łzami w oczach potakiwały.

– To będzie jej imię – orzekł Abdonaj. – Zenobia: Dar Boga!

\* \* \*

Teraz, gdy Abdonaj odzyskał nowo narodzoną córeczkę, którą przytuliła do piersi Aszemu, zainteresował się jej wybawcą. Był on tak młodziutki, że Abdonaj poczuł się trochę dziwnie. Czy Baalszamin znowu chciał z niego zadrwić? Pochylił się nad chłopcem i zapytał, jak się nazywa.

– Mam na imię Schawaad, jestem synem Iskellajla, syna Duram-Elaja.

– Nie widziałem cię nigdy przedtem. Nie należysz do mojego obozowiska.

Chłopiec odwrócił się w stronę skał po drugiej stronie jeziora. Abdonaj zobaczył tam grupę około trzydziestu mężczyzn, kobiet i dzieci, na których wcześniej nie zwrócił uwagi, zafascynowany wodą występującą z głębi krateru.

Wszyscy ubrani byli w identyczne długie, białe tuniki. Mężczyźni mieli brody, a kobiety nie nosiły chust na rozpuszczonych włosach. Stali wyprostowani, bez ruchu, podobni do posągów.

– Tam jest mój ojciec i moi wujowie – rzekł Schawaad.

Wskazał ręką na wzgórza w kierunku zachodnim. Po kamienistym usypisku można było w ciągu dwóch godzin marszu dotrzeć stamtąd na wyżynę Turaq Al'llab.

– Ułożyliśmy się już do snu, ale coś nas obudziło i zobaczyliśmy spadającą ognistą gwiazdę. Gdy nastał dzień, mój ojciec powiedział: „Wrócił Wielki Archanioł. Chodźmy na jego spotkanie”. Zobaczyliśmy wodę wypływającą z piasku. Ojciec powiedział: „Wielki Archanioł nie przyszedł we własnej osobie, ale zesłał nam oczyszczającą wodę”. Wtedy ty zacząłeś coś wykrzykiwać, a dziewczynka wpadła w wodę. Wielki Archanioł postanowił, że ona pierwsza dozna oczyszczenia. Ale twoja córka nie należy do naszego plemienia. Nie umie pływać. Jeśli ktoś nie umie pływać, Wielki Archanioł zabiera go

w trakcie kąpieli oczyszczającej i człowiek ten nie może wypełnić jego woli na ziemi. Dlatego skoczyłem do wody. Woda Wielkiego Archanioła oczyściła mnie jako drugiego.

Chłopiec mówił pewnym głosem, w którym wyczuwało się dumę. Widać było, że od dawna już umie posługiwać się słowami.

– Jesteście więc tymi, którzy naśladują proroka Elkezaja?

– Elkezaj jest naszym Wielkim Nauczycielem, tym, który nas prowadzi do Wielkiego Archanioła – potwierdził chłopiec z powagą.

Elkczai! W ich obecności, w samym sercu pustyni tryska z piasku woda. I o czym oni wówczas myślą? Czy o tym, żeby zaspokoić pragnienie? Czy o tym, jakie to szczęście dla karawan? A może o kwiatach, o rześkich nocach, które teraz nastaną, jeśli pod wpływem słońca woda nie zniknie? Nie! Elkezaitom nic takiego nawet nie przychodzi do głowy. Myślą tylko o tym, że się oczyszczą! Oczyszczą się z czego? Wszak na ich twarzach nigdy nie pojawia się żadna emocja, nie zabijają nikogo, ani gołębia, ani nawet pustynnego szczura. Jak to się dzieje, że w ogóle mają dzieci? Oto jedna z największych tajemnic Stworzenia.

Chłopiec przyglądał się przez chwilę Abdonajowi czarnymi oczyma. A potem, jakby odgadując jego myśli, rzekł:

– W wodzie Prorok obmywa nas z grzechów. Ludzie popełniają wiele grzechów, często nie zdając sobie z tego

sprawy. Wszędzie można zgrzeszyć. Nawet na pustyni.

Abdonaj skrzywił się. Taki smarkacz i już usta ma pełne bzdur głoszonych przez zwariowanych proroków na pustynnych obszarach Turaq Al'llab.

Obudziła się w nim nieufność.

Rzucił spojrzenie na mężczyzn w białych tunikach po drugiej stronie nowego zbiornika wody. Zastanawiał się, czy dać im jakiś znak. Mógł ich zaprosić i w podzięce podzielić się z nimi chlebem i radością, jaką przyniósł ten cudowny dzień. Ale elkezaici nie dzielą się niczym z plemionami pustyni. Zwłaszcza pożywieniem. Może przyszło im na myśl, żeby przywłaszczyć sobie źródło. Uznać, że Wielki Archanioł chciał je im podarować.

Zawahał się. Czy ma wszcząć targowanie się z pozycji silniejszego? Czy może powinien kazać wojownikom M'Tuba, aby ich przepędzili?

Nie. Chłopiec ocalił dopiero co urodzoną Zenobię. Nie wolno mu tak myśleć. W tym dniu nie można wzgardzić tymi, których Baalszamin użył do wypełnienia jego woli.

– Gdzie nauczyłeś się tak dobrze pływać? – zapytał chłopca.

– W wielkiej rzece Wschodu. Ojciec mówi, że trzeba trzymać głowę pod wodą, aż się doliczy do dziesięciu, bo inaczej Wielki Archanioł nie będzie mógł udzielić nam swego błogosławieństwa.

– Umiesz liczyć do dziesięciu?

– Więcej, dużo więcej. Będąc pod wodą z twoją córką doliczyłem do szesnastu.

Abdonaj nie mógł powstrzymać uśmiechu. Choć chłopiec był elkezaitą, na pewno nie był zwykłym dzieckiem. Chętnie się go słuchało. Taki malec, a potrafi rozsądnie mówić.

– Dzięki tobie, Schawaad, moja córeczka dostała błogosławieństwo od Wielkiego Archanioła! Wracaj i powiedz to ojcu. Przekaż mu również, że mój bóg, Baalszamin, zesłał tę gwiazdą mnie. Spadła ona na moje obozowisko, w to miejsce na pustyni, gdzie koczujemy od połowy miesiąca, w oczekiwaniu aż moja żona zacznie rodzić. Czy zrozumiałeś? Gwiazda spadła tutaj w momencie, gdy moja córka wychodziła z łona matki. To właśnie masz przekazać ojcu. Spadła gwiazda, narodziła się moja córka i trysnęła woda. Woda przywołała do siebie moją córkę. Moja córka przywołała ciebie, żeby nie zabrał jej Wielki Archanioł. Powiedz to swojemu ojcu. Mój bóg Baalszamin i wasz Wielki Archanioł zawarli przymierze. Powiedz mu, że jeśli zechce, może przyjść oczyścić się w źródle mojej córki. I ty także. Powiedz, że zezwalam na to ja, Abdonaj, syn Maliku, syna Naszuma z plemienia Maazinów.

Chłopiec przytaknął z poważną miną.

– Jesteś moim przyjacielem, Schawaad. Powiedz też ojcu, że ofiarowuję mu trzyletnią wielbłądzicę i dziesięć baranów. Przyjdiesz po wielbłądzicę, jeśli on będzie tego chciał. Zasłużyłeś na to, mój chłopcze.

Schawaad spoważniał jeszcze bardziej. Jego twarz stężała. Spojrzał w kierunku swoich, zagryzając wargi.

– Myślisz, że twoja córka przywołała mnie, gdy znalazła się w wodzie?

– Z pewnością! – Abdonaj śmiał się, zadowolony z naiwnej reakcji chłopca na jego słowa. Z tajemniczą miną dodał: – Czy skoczyłbyś do wody, czy odnalazłbyś ją, gdyby cię nie przywoływała?

Schawaad patrzył uważnie na Abdonaja, zastanawiając się, czy sobie z niego nie drwi. W końcu uśmiechnął się.

– Skoro twoja córka mnie przywołała, choć nie umie jeszcze ani pływać, ani mówić, to znaczy, że Wielki Archanioł postanowił połączyć nasze dusze.

Abdonaj na moment osłupiał, a potem wybuchnął takim śmiechem, że inni odwrócili ku nim głowy.

### 3

## SINGIDUNUM,<sup>[1]</sup> DUNAJ

Aurelian, podniósłszy ręką, nakazał ciszą. Stary dekurion<sup>[2]</sup> zwolnił ostrożnie nacisk na korbę. Lina rozwinęła się bezgłośnie, uwalniając ramię katapulty.

Aurelian z gołą głową, bez hełmu, widoczny niemal do pasa ponad fosą, wyteńczył słuch.

Rodził się świt. Gęsta jak mleko mgła okrywała wszystko dokoła, nie widać było, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna niebo. W odległości mniejszej niż dziesięć łokci Dunaj toczył swe wody w absolutnej ciszy, której nie zakłócał żaden szmer. Niewidoczna we mgle ziemia nagle stała się bezmiarem bez brzegów, bez plaży, bez przybrzeżnych kamieni. Była tylko ta nieskończona masa lodowatej wody.

Aurelian jednak ich usłyszał.

Gdzieś dalej, w górnym biegu rzeki, na północ, siekiera uderzała w pień drzewa. Odgłosy uderzeń były regularne, uparte.

Centurion<sup>[3]</sup> Maksymus uśmiechnął się z ulgą.

– Zaczynają od nowa. Tratwy nie są jeszcze gotowe. Zajmie im to cały dzień.

Aurelian nic nie odpowiedział. Stary dekurion wydał pomruk zadowolenia. Jego legionieści byli zmęczeni. Marzyli o odpoczynku. Całą noc w ciemnościach i zimnie

uwijali się, kopiąc fosy, ustawiając pod ich osłoną katapulty, które budowali z przetransportowanych tu poszczególnych części, w miejscu, gdzie nie mogli ich dostrzec barbarzyńcy.

Odgłosy z oddali stały się nagle częstsze, silniejsze.

Nad rzeką przepływały tak gęste kłęby mgły, że światło przebijało się przez nie z trudem. Wydawało się, że przestały istnieć pola i zagajniki zajmujące południowy brzeg rzeki. Stała tam w ukryciu niewidoczna dla innych kohorta.<sup>[4]</sup> Tak samo niewidoczna jak barbarzyńcy i rozległy podmokły las, który porastał drugi brzeg Dunaju na setki kilometrów.

Ale pomimo skrywającej wszystko mgły Aurelian wiedział, że oni tam są. Tysiąc mężczyzn o krótkich brodach i okrutnych oczach. Tysiąc mężczyzn, którzy w tym momencie zapewne dopinali na sobie pancerze, narzucali derki na konie, poprawiali pochwy ze swoimi *spatae*,<sup>[5]</sup> których długie, giętkie ostrza nie łamały się od uderzenia mieczem. Tysiąc wojowników zbyt dumnych, żeby nosić tarcze. Gotowych stawić czoło szalonemu prądowi rzeki.

Barbarzyńcy wielbiący demony i śmierć, żądni tego, by mordować ludy zamieszkujące rzymskie ziemie, grabić je, bezcześcić ich bogów.

Tysiąc ludzi! A on miał do zatrzymania ich tylko trzystu legionistów ze swojej kohorty. Większa część pomocniczego legionu *Adiutrix* znajdowała się jeszcze o noc i dzień marszu.



Trzystu ludzi, którzy dziś zginą, jeśli się pomylił.

A z nimi zginie i on także. W wieku dwudziestu ośmiu lat!

Nasłuchiwał czujnie uderzenia siekier.

Były regularne i nic nie świadczyło o tym, żeby ci ludzie pracowali w zamieszaniu czy pośpiechu.

– Może zaatakują dziś wieczorem, tuż przed zapadnięciem nocy – szepnął Maksymus. – Ciągłe uważają, że boimy się walczyć w ciemnościach.

– Oby nie skończyli tych przeklętych tratw do jutra – rzekł niechętnie stary dekurion. – Zdążyłyby wtedy nadejść posiłki z Singidunum.

Aurelian spojrział na nich swymi niebieskimi oczami. Były zimne jak woda w strumieniu. Niewielu ludzi miało odwagę wytrzymać wzrok trybuna, który czynił trudną do zapomnienia twarz o prostych, jakby wykutych w pośpiechu rysach.

– Nic z tego – rzekł. – Ci Sarmaci kpią sobie z nas. Zrzucają tratwy jak tylko podniesie się mgła.

Mężczyźni stojący w fosie popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Te odgłosy uderzeń siekierą to podstęp. Jak tylko mgła się podniesie, zobaczymy, że są już na rzece, a wówczas będzie już za późno.

Centurion Maksymus z charakterystycznym dla siebie gestem odgarnął z czoła blond włosy. Miał ręce delikatne jak u kobiety, ale jego skroń i prawe ucho przecinała podwójna szrama ze zgrubiałymi brzegami.

– Jesteś tego pewien?

W głosie Maksymusa słychać było zdziwienie i szacunek, ale ani cienia zwątpienia. Aurelian uśmiechnął się. Jednak uśmiech nie złagodził wyrazu jego twarzy.

Dekurion wstał, odrzucił przemokniętą pelerynę.

– Jesteśmy gotowi, trybunie. Trzeba przed świtem podgrzać dzbany...

– W takim razie, zaczynajcie – rozkazał Aurelian.

Stary żołnierz zawahał się. Wskazał na skóry, którymi przykryte były trzy okrągłe dzbany.

– Nie powinniśmy dać się zwieść barbarzyńcom. Jeśli dzbany będą za gorące, pękną.

Aurelian zaśmiał się, nakładając swój hełm z czerwoną głową dzika.

– Nie martw się, dekurionie. Sarmaci niecierpliwia się, żeby jak najszybciej porąbać nas na kawałki.

\* \* \*

Aurelian spiał konia do galopu, zanurzając się we mgłę. Był to koń półkrwi iberyjskiej, wytrzymały, który nie lękał się bitewnej wrzawy. Parskając, szedł drobnym krokiem po świeżo ściętych gałęziach między szeregami żołnierzy. Choć mgła była tu gęsta jak nad powierzchnią wody, manipuły ukazywały się jeden po drugim, ustawione dziesiątkami w tak równych liniach, jak na placu w obozie wojskowym.

Maksymus jak zawsze wykonał doskonale swoje

zadanie. Łby wilków z czerwonymi grudkami marmuru zamiast oczu maskowały hełmy. Błyszczały w wilgotnym powietrzu czubki pik – *pila*. Skórzane tarcze wysmarowane były tłuszczem zwierzęcym, aby ześlizgiwały się z nich ostrza *spatae*. Ani jedna tunika nie była zabłocona, nie brakowało ani jednego ogniwa w drucianych kolczugach. Grube baranie skóry okrywały stopy i łydki, chroniąc je przed strzałami, który zaścielą ziemię, gdy dojdzie do walki wręcz.

Aurelian trzymał lekko napięte wodze, pozwalając koniowi tańczyć przed żołnierzami. Lodowaty powiew zakołysał czerwonawym rzemieniem opasującym pancerz, przeniknął przez krótkie, skórzane spodnie.

– Legioniści! Ich jest tysiąc, a was tylko garstka. – Przemówił twardym jak kamień głosem. – Mają tylko jedno pragnienie: zboczyć waszą krwią swoje miecze. Zieją nienawiścią i są bardzo przebiegli. Zrodzili się po to, żeby przecinać gardła i piersi wrogom. Nie mają żadnych zasad, nie znają litości.

Zamilkł, a jego koń nadal tańczył między szeregami. Przez otwory w hełmie ze złota i srebra, ozdobionym połyskującymi rzeźbami orła i słońca, spoglądał na swych ludzi. Najmłodszy legionista opuścił oczy.

– Jest ich tysiąc, a was tylko garstka. Jednakże ja, Aurelian, wasz trybun, przyrzekam, że Sarmaci zostaną pokonani, zanim zapadnie noc. Są podstępni, ale sami zginą wskutek podstępu. Są zajadli, ale unicestwimy ich naszym zapalem!

Koń pod nim potknął się, zastrzygł uszami, rozejrzał z lękiem, jakby przestraszony głosem swego pana. Aurelian uspokoił go. Usta trybuna wykrzywił okrutny uśmiech.

– Synowie Rzymu, zapewniam was, że lary, bóstwa naszych ojców, są z nami, a bogowie pozwolą nam dziś przeżyć najpiękniejszy dzień w życiu. Wypełnimy wolę Jowisza. Za chwilę Słońce Niezwyciężone rozedrze mgłę i będzie was wspierać. Zapewniam was, że kruki Mitry rozszarpia trupy barbarzyńców, a my dla uczczenia zwycięstwa będziemy pić wino z Sirmium.<sup>[6]</sup>

\* \* \*

Wydawało się, że mgła nie chce w ogóle się podnieść. Od czekania drętwiały mięśnie w nogach i rękach. Dunaj tłumił wszystkie dźwięki, dochodził jedynie odgłos uderzeń siekierą. Ta nienaturalna cisza mroziła ich bardziej niż przenikliwe zimno.

Aurelian w otoczeniu tylko jednego manipułu lekkobrojnych żołnierzy – *velites*, młodych i wyćwiczonych w rzucaniu pikami, stanął w odkrytym miejscu, na niewielkim pagórku między lasem a rzeką. Katapulty w rowach były osłonięte płachtami. Reszta kohorty, którą dowodzili Maksymus i dwaj inni centurioni, stała niewidoczna, w ukryciu, na skraju lasu.

Poprzez gęstą mgłę nie można było dostrzec białej tarczy słońca. Czy dziś w ogóle się nie pokaże? Czy

Aurelian oszukał swoich żołnierzy? Czy będzie to dzień nieszczęścia, w którym bogowie Rzymu pozwolą zginać wielbiącym ich ludziom?

Aurelian długo spoglądał na wschód. Modlił się z całej duszy do wszechpotężnego Mitry, do promienistego Słońca Niezwycięzonego, do bogów, którzy zadecydowali o losie jego ojca, a dziś mieli mu przynieść zwycięstwo lub śmierć.

I bogowie wysłuchali jego modlitwy. Nagle rozlała się fala białego światła, które przedarło się przez mgłę, poszarpało ją na drobne strzępy. W jaskrawym blasku rzeczy i ludzie rzucali głębokie cienie.

Koń Aureliana zadrżał. Wiatr poruszył złotymi frędzlami derki okrywającej siodło. Legioniści podnieśli się z oczyma piekącymi po nieprzespanej nocy.

I wtedy rozległ się hałas, który wszyscy rozpoznali.

Groźny, śmiertelny pomruk, którego źródło nadal było niewidoczne.

Posypały się strzały.

Nie czekając na rozkaz, *velites* osłonili się drewnianymi, obitymi skórą tarczami, tworząc z nich dach ponad głowami.

Powietrze przeszło kilkaset strzał. Ich żelazne groty migotały, przywodząc na myśl krople wody. Strumień strzał sięgnął niemal szczytu zbocza. A potem ze straszliwym szczękiem groty uderzyły w ziemię, pocięły krzaki. Było to tak daleko, że w coraz silniejszym świetle dnia dało się dostrzec kilka zaledwie bełtów.

Aurelian stwierdził z ulgą, że strzały padły w odległości ponad stu kroków od *velites*. Za daleko, za nisko, za bardzo na lewo. A więc miał rację.

Jakby na potwierdzenie jego przypuszczeń, bogowie rozdarli opary zalegające nad rzeką. Poprzez rozrzedzone kłęby mgły przebiło się słońce i wtedy ich ujrzeli.

\* \* \*

Wąż. Niezwykły, groźny, drewniany gad, najeżony włóczniami, ciężki od żelaza, wijący się po szarej powierzchni rzeki. Sto, dwieście tratw! Może i więcej. Połączone sznurami, wiozące tłumy łuczników, wspartych jednym kolaniem o drewniane bale, ze strzałami na cięciwach. Za nimi setki jeźdźców w długich kolczugach, z żelaznymi, spiczastymi hełmami na głowach, siedzących na małych azjatyckich koniach, osłoniętych z przodu skórzanymi fartuchami.

Każdą tratwą sterowało dziesięciu mężczyzn za pomocą grubych dragów. Związane mocno podwójnymi sznurami drewniane bale pokonywały kapryśny prąd, walczyły z wirami z głośnym pluskiem, zostawiały za sobą bruzdy gęstej piany. Od czasu do czasu cała ta drewniana konstrukcja skręcała w bok, zbaczała z trasy, tratwy ciężko uderzały o siebie, co groziło, że się oderwą, zanim napną się łączące je sznury i znów popłyną z prądem rzeki.

Łucznicy, jeźdźcy, konie znosili te konwulsje drewnianego węża, najmniejszym gestem nie okazując

strachu. Kiedy jednak na południowym brzegu rzeki wyłoniła się przed nimi garstka Rzymian, ciszę przerwał okrzyk zaskoczenia. Wrzask z tysiąca gardeł otworzył bramy piekła. Nieustający, dziki, pełen nienawiści wrzask, który rozdarł powietrze skuteczniej niż chwilę przedtem strumień strzał.

Policzki młodych *velites* płonęły. Ogarnął ich strach. Aurelian także poczuł na plecach jego lekkie ukąszenie, chociaż trasa, którą płynęły tratwy, potwierdzała jego przewidywania. Barbarzyńcy potrafili wykorzystać prąd rzeki, ale nie zdołali płynąć tam, gdzie chcieli. Niezwykle silny prąd znosił ich w kierunku szerokiego zakola rzeki, gdzie zamierzali wyjść suchą nogą na brzeg Dunaju.

A tam właśnie Aurelian kazał wykopać rowy i ukryć w nich katapulty!

Tratwy płynęły z coraz większą szybkością. Aurelian wraz z niewielką grupą ludzi znaleźli się teraz na wprost łuczników. Dzieliło ich jakieś sto łokci. Byli w zasięgu wielkich sarmackich łuków. Widzieli skórzane rękawice i okrywające twarze barbarzyńców hełmy wzmocnione brązowymi prętami. Żelazne groty ich strzał połyskiwały w słońcu i gdy zadźwięczały cięciwy z wołowych ścięgien, Aurelian nakazał swoim *velites* wycofanie się.

Strzały przeszyły powietrze. Koń Aureliana pędził szybkim galopem w dół rzeki, podczas gdy lekkozbrojni oddalali się pospiesznie od brzegu.

Niebo zamigotało tysiącem błysków. W porannym powietrzu znowu dał się słyszeć śmiercionośny świst

żelaznych grotów.

Trawa, na której przed chwilą stał Aurelian i jego legioniści, pokryła się jeżynami z połamanymi krzewów i przypominającymi trujące kwiaty migocącymi, różnokolorowymi bełtami. Wrzaski na rzece przemieniły się w kpiny z uciekających wrogów.

Aurelian zmusił konia, by szerokim łukiem skręcił tam, gdzie już dotarli rozproszeni *velites*, czekający na jego rozkazy. Ich strach i niepewność były aż nadto dobrze widoczne. Przywodziło to na myśl rój muszek uciekających w popłochu przed kopytami byka.

Aurelian uśmiechnął się w duchu. Niech sobie barbarzyńcy drwią z nich. Niespodzianka, jaka ich czeka, będzie tym boleśnieszka. Jednym rzutem oka dostrzegł, że stary dekurion odsłonił już rowy z katapultami. Oceniał jeszcze raz szybkość płynących tratw i wy dobył miecz z pochwy. Podniósł ostrze do góry, stojąc samotnie naprzeciw wściekłej zgrai na rzece. Przez moment wyglądało tak, jakby zamierzał wystąpić przeciw nim w pojedynkę, wiedziony dumą i bezsilnością. Tratwy zapanowały już nad prądem i kierowały się ku spokojniejszemu miejscu na rzece. Łucznicy wstali, potrząsając łukami, jeźdźcy kręcili się na koniach.

Aurelian opuścił miecz.

Ponad jego głową zabrzmiał spiżowy zew niczym skarga wyrywająca się z głębi lasu. Z dźwiękiem chrapliwym jak ryk tygrysa zafurczały liny trzech katapult.

Trzy okrągłe dzbany poszybowały nad rzeką. Jeden



z nich rozbił się w wodzie przed pierwszą tratwą. Drugi roztrzaskał się na grubym drągu. Trzeci otarł się o jeźdźców i konie. Wszystkie trzy wybuchły ze straszliwym łoskotem.

Trzy ogniste kule złocistego ognia rozprysły się na powierzchni Dunaju.

Trzy złote snopy, trzy kwieciste płomienie tańczyły na wodzie, na balach, na kołczugach.

Zadźwięczały ponownie liny katapult. Trzy kolejne dzbany zawirowały w powietrzu. A kiedy i one się rozbiły, języki płomieni ogarnęły tratwy, konie, ludzi.

Rozległy się okrzyki bólu i jednocześnie buchnął czarny dym.

Rozpętało się prawdziwe piekło – efekt rozżarzonego do białości oleju skalnego.

\* \* \*

Jeszcze dwa razy katapulty wyrzuciły dzbany. Jeszcze dwukrotnie eksplodował olej skalny z domieszką siarki, soli i *petra fulmine*, siejąc ogólny chaos.

W mgnieniu oka ogień ogarnął wody Dunaju. Płomienie tańczyły wokół tratw, atakowały łączące je sznury, obejmowały nogi zwierząt, drzewce łuków i włóczni. Czepiały się ciał ludzkich, pożerały peleryny, skórzane hełmy, strzały, kołczany, rękojeści *spatae*. Niczego nie pominęły. Ogień niczym szalejący wiatr przeskakiwał z grzywy na grzywę, z twarzy na twarz,

z tratwy na tratwę. Ludzie dusili się. Konie wierzgały, rzucały się, jakby chciały ulecieć w czarny jak sadza dym, od którego zrobiło się ciemno.

Ostry smród dotarł do brzegów. Stary dekurion i jego legioniści wyszli z rowów, zakrywając nosy i usta, oszołomieni tym, czego dokonały katapulty. Znajdujący się niedaleko od nich Aurelian usiłował uspokoić swojego wierzchowca. Przewracając oczyma, z bokami zapadłymi ze strachu, koń rżał i rył kopytami, drżąc jak w gorączce.

Cały Dunaj stanął w ogniu. Tratwy z trzaskiem zapadały się do wody. Wojownicy sarmaccy, nie mogąc uciec, patrzyli bezsilni na ogień. Oszalałe ze strachu konie wskakiwały wraz z ludźmi do palącej się wody. Po rzece płynęły płonące niczym pochodnie ludzkie głowy, części ciała. Konie tonęły z otwartymi pyskami, z których buchały płomienie.

Pękały liny wiążące tratwy, rozsypywały się belki, miażdżąc ludzi, niszcząc wszystko, co jeszcze żyło. Rzekę wzięła w posiadanie śmierć. Bezkształtne szczątki, objęte językami ognia, płynęły dalej, niesione prądem w dół rzeki. Tratwy w górze rzeki, jeszcze nietknięte pożarem, znalazły się teraz w pułapce.

Chociaż ludzie przecinali sznury tratw, chociaż mocno napierali na dragi, Dunaj był silniejszy od nich. Pchał je ku piekłu wywołanemu przez olej skalny, co miało być karą zesłaną na nich przez rzymskich bogów, a wymierzaną ręką trybuna Aureliana.

Jednakże byli Sarmatami, barbarzyńcami zrodzonymi

do tego, aby drwić z bogów i wyzywać samą śmierć. Aurelian widział, jak zeskakują z oszalałych koni i rzucają się do rzeki. Widział, jak łucznicy, przyciskając do piersi cenne łuki, zanurzają się bez wahania w wodzie.

W odległości zaledwie kilku łokci od niego tonęli, porwani wirem, obciążeni hełmami i kolczugami. A prąd porywał ich dalej, ku palącym się z trzaskiem belkom.

Byli jednak i tacy, którym udawało się utrzymać usta i nosy nad powierzchnią wody. Chwyтали się belek i z wielkim wysiłkiem odciągali je od ognia, opierając się prądowi. Czepiali się przepływających obok nich koni. W ten sposób zbliżyli się w końcu do brzegu, gdzie byli Rzymianie.

Stary dekurion dostrzegł ich poprzez cuchnący, niesiony wiatrem dym. Odwrócił się, by wskazać ich Aurelianowi, ale napotkał lodowaty wzrok młodego trybuna.

– Wspaniała robota, dekurionie. Odejdź z ludźmi w bezpieczne miejsce. Teraz moja kolej – zawołał Aurelian.

Spiął konia i pogalopował w górę rzeki. Jednym krótkim rozkazem wyrwał z otępienia wciąż odrętwiałych ze strachu *velites*. Młodzi żołnierze pospiesznie formowali czworobok.

Aurelian znowu machnął mieczem. Zabrzmiał krótki, powtórzony pięć razy, sygnał trąbki. Na skraju lasu ukazała się cała kohorta. Tarcze, równo ustawione, tworzyły długie czerwone szeregi, przed którymi szli centurioni.

Teraz z kolei wy dobył swój miecz Maksymus. Aurelian z krzykiem pognał konia w kierunku barbarzyńców. Trzydzieści manipułów ruszyło jego śladem w idealnym porządku, wołając co sił w płucach: „Rzym! Rzym! Rzym!”.

\* \* \*

Ostateczne pokonanie Sarmatów było już niemal zabawą.

Jeźdźcy sarmaccy i ich konie, ciężcy od wody, która ściekała po kolczugach i wypełniała pochwy mieczy, stali się łatwym celem. Aurelian zdecydowanym galopem dopadł grupy jeźdźców usiłujących ustawić w szyku bojowym opierające się wierzchowce.

Pochyliwszy się na bok, uniknął wymierzonych w niego włóczni. Pewnie trzymając miecz, zadawał silne ciosy. Stal zagłębiała się w gardła, rozcinała ciała. Strumienie krwi trysnęły na trawę, zanim jeszcze padły pierwsze trupy Sarmatów.

Z tyłu za nim żołnierze kohorty znowu zawołali:

– Rzym! Rzym!

Żołnierze i oficerowie przekonali się, że ich trybun mówił prawdę – tego wieczoru będą pić wino z Sirmium. Bogowie zadecydowali o klęsce barbarzyńców.

Podnieceni, zaczadzeni smrodem palących się ciał i smoły, runęli na osłabionych wrogów, którym udało się dotrzeć do brzegu. W tym samym czasie, kiedy

lekkobrojni legioniści powalali w błoto łuczników, zanim zdążyli oni sięgnąć do łuków, *pila* spadły na konie, które wydostawały się z Dunaju. Trafiały ich w boki i lędźwia. Drzewce pękały przy każdym uderzeniu. Wrogowie, zasypani gradem oszczepów, nie byli w stanie walczyć w płataninie ciał.

A jednak wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Jednemu z wojowników sarmackich, którzy spadli ze swoich wierzchowców, udało się wstać. Bez namysłu wyrwał grot, który utkwiał w jego udzie. Krzyknął przy tym z bólu tak głośno, że zwrócił na siebie uwagę Aureliana. Sarmata, chwiejąc się na zranionej nodze, stanął naprzeciw niego ze szpadą w jednej ręce, drugą zdejmując hełm z głowy.

Aurelian ujrzał coś nieprawdopodobnego.

Twarz kobiety.

Oczy, usta, cera kobiety!

Ten Sarmata jest kobietą!

Znajdujący się za nim kilka kroków Maksymus zawołał:

– Trybunie! Z lewej strony!

Korzystając z jego nieuwagi, inny Sarmata na koniu rzucił w niego ciężką włócznią z brązowym grotem. Aurelian ponownie ujrzał twarz kobiety. Była piękna mimo grymasu wściekłości, wykrzywającego jej wargi.

Instynktownie machnął mieczem, odrzucając włócznię, która miała ugodzić go w ramię. Kolanem zmusił konia, żeby się okręcił. Znajdująca się za nim ranna

wojowniczką z ochryplym okrzykiem z całych sił cisnęła w niego szpadą, chcąc ugodzić go w nogę. Włócznia nie trafiła jednak do celu, lecz ze świstem wbiła się w zad konia. Aurelian poczuł, że wierzchowiec zachwiał się pod jego nogami. Chwyając rozpaczliwie powietrze, zwierzę runęło na ziemię, roztrzaskując kopytami pierś konia Sarmatki.

Aurelian przetoczył się przez swego wierzchowca, zanim oba charczące konie zdążyły przydusić go swym ciężarem. W tej samej chwili, kiedy podniósł się na nogi, ujrzał miecz Maksymusa odcinający rękę Sarmatki, która zamierzała rzucić w niego włócznią.

Z wściekłością, nie zważając na niebezpieczeństwo, wyrwał szpadę z zadu konającego konia. Ściskając w ręce włócznię, wykrzykując nazwę Rzymu, wmieszał się w tłum, rozdzielając ciosy między mężczyzn i kobiety. Walczył tak zaciekle, jakby był dzikim barbarzyńcą.

\* \* \*

O zmierzchu, gdy czerwone słońce zachodziło nad śmierdzącymi dymami, popijali wielkimi łykami wino z Sirmium. Z twarzami czarnymi od sadzy, na pół przytomni, jakby wyszli z piekielnych czeluści, pili zachłannie nektar zwycięstwa rozlewający się na zeszywniałe od krwi tuniki i napełniający rozkoszą ich zmęczone ciała.

Na brzegu rzeki pełno było krwi, której Dunaj nie

zdołał wchłonać. Co jakiś czas stopy trupów ześlizgiwały się po lepkim błocie i wpadały do wody. A potem wolno odpływały z prądem.

Aurelian klepnął Maksymusa po ramieniu. Błękit źrenic był jedynym jasnym punktem na jego twarzy.

– Przyjacielu – powiedział ochrypłym głosem. – Dziś ocaliłeś mnie przed kobietami.

Obaj zaśmiali się wesoło. Byli zaskoczeni faktem, że wśród zabitych przez nich Sarmatów były kobiety.

Kobiety, których nie dosięgły płomienie i nie utonęły w Dunaju. Kobiety, które wymierzały w ich piersi ważące po kilka funtów włócznie.

Jak to możliwe? Kobiety wojowniczkki? Kobiety walczące na równi z mężczyznami? Czy bogowie opuścili barbarzyńców i pozbawili ich zdrowego rozsądku do tego stopnia, żeby mogło mieć miejsce coś tak niedorzecznego?

Prawdę mówiąc, psuło to nieco smak zwycięstwa. Było w nim coś z gorzkiej groteski, wprowadzało w zmieszanie, o którym lepiej było nie myśleć.

Maksymus uściśnął serdecznie dłoń Aureliana.

– Nie, Aurelianie, to ja jestem twoim dłużnikiem. My wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami.

Powiedział to głośno, z przekonaniem, a jego słowa usłyszeli stojący dokoła żołnierze, którzy zachęceni przez starego dekuriona odpowiedzialnego za katapulty, podnieśli do góry manierki i cynowe kubki.

– Chwała Aurelianowi! Chwała naszemu trybunowi! – wykrzyknęli.

– Rzym jest ci wdzięczny! – podjął od nowa Maksymus. – Gdyby nie twój podstęp, nasza krew i nasze ciała płynęłyby teraz z prądem Dunaju. A jutro Sarmaci zdobyliby i splądrowali Singidunum! Nie minąłby miesiąc, a stanęliby u bram Rzymu.

Aurelian podniósł kubek.

– Piję za zwycięstwo, Maksymusie. Ale twoje pochwały są przesadzone. Zapominasz, że gdybyśmy ich nie zatrzymali, zrobiłby to Laberius i trzeci legion Gemina.

Legioniści uśmiechnęli się z niedowierzaniem. Młodziutki centurion z podrapanymi policzkami podniósł się gwałtownie i z ogniem w oczach, rozlewając wino na ramię Maksymusa, powiedział:

– Nie, trybunie! Maksymus ma rację. Kogóż to bez ciebie mógłby zatrzymać Laberius? Smarkaczy? Kobiety? Po tym, co dziś widzieliśmy, możesz być pewny, że nie działałby nic!

Rozległy się śmiechy. Aurelian zastanawiał się, czy ma zganić centuriona. Wprawdzie młody oficer chciał mu się przypocholebić, ale jednocześnie miał po tysiackroć rację. Popełnił jednak wykroczenie, krytykując publicznie prefekta legionu.

Uniesiony zapalem centurion wołał dalej:

– Własną ręką, trybunie, zabiłeś dziś czterdziestu ośmiu wojowników sarmackich, mężczyzn i kobiety! Możesz mi wierzyć, policzyliśmy ich razem z dekurionem Rufusem! Czterdziestu ośmiu, trybunie! Jednego dnia, w jednej bitwie!



Rozległy się wiwaty. Maksymus wskoczył na skrzynkę, podniósł ręce nad jasnoblond głową i zwrócił się do całej kohorty:

– Synowie Rzymu! Dziś Aurelian okazał się najlepszym pośród nas. Rzym dowie się o tym wkrótce. Mimo iż niekiedy bywa głuchy, nas jednak usłyszy. Powstań, kohorto!

Aurelian nigdy nie zdołał pojąć, skąd się wzięły słowa pochwały, które obieły w krąg stojących ludzi. Trzysta gardeł jednym głosem zawołało:

„Tysiąc, tysiąc ludzi pozbawiliśmy głów.

Ale zwyciężył jeden człowiek!

Tysiąc, tysiąc ludzi pozbawiliśmy głów,

Tysiąc, tysiąc kubków wina wypiliśmy nasze gardła,

Ale nikt nie zdoła wypić tyle wina, ile Aurelian przelał krwi!”.

## OAZA DINGIR-DUSAG

Nowina obiegnęła wszystkie ścieżki na pustyni. Przenoszona od jednej karawany do drugiej dotarła do błękitnych wód Eufratu, dowiedziano się o niej w karawanserajach Charaks i Vologezias w Parcie oraz w rzymskiej Emesie w Syrii. Trzynasta rocznica pamiętnego dnia, kiedy to Baalszamin zrobił Abdonajowi – synowi Maliku, będącego z kolei synem Nashuma z plemienia Maazinów – podwójny, niezwykły dar, dając mu jednocześnie oazę i córkę Zenobię, obie zrodzone z tej samej gwiazdy, miała być świętowana, jak jeszcze nigdy dotąd.

Od tamtej pamiętnej nocy nic nie było już takie same na pustyni Turaq Al'llab. Kiedy po długim marszu po spalonej słońcem równinie odkryto cudowne jezioro w leju powstałym na skalnym zboczu, nikt nie wątpił, że ma przed sobą ucieleśnienie całego piękna mocy bogów.

A ponieważ powierzchnia jeziora nie zmniejszyła się ani trochę od tamtej pory, wokół oazy w ciągu kilku sezonów powstał cały las palm. Jej brzegi pokryła miękka, niczym runo owieczki, trawa. Między palmami zieleniły się wyrosłe na popękany od soli piasku trzciny, figowce i drzewa granatu. Zwierzęta instynktownie odnajdywały drogę do tego miejsca. Przylatywały ptaki, aby składać

jaja, drapieżniki przychodziły zaspokoić pragnienie, wiosną zakwitały przez nikogo nie siane kwiaty. Nie było karawany, która nie zachwyciłaby się tym cudem.

Dingir-Dusag!

Pocałunek Nieba! Tak właśnie, choć nikt nie wiedział, czyje usta wyszeptały po raz pierwszy te słowa, nazwano w starym aramejskim języku ów przedsiomek raj.

Żadna inna nazwa nie mogłaby bardziej odpowiadać Abdonajowi.

Przez minione trzynaście lat woda, w cudowny sposób dana przez Baalszamina, nie tylko cieszyła oczy i gasiła pragnienie. Przysporzyła także ojcu Zenobii bogactw i szacunku.

Bardzo szybko karawany obładowane towarami z Persji i Dalekiego Wschodu nabrały zwyczaju zatrzymywania się na postój w oazie. Abdonaj pozwalał napoić wielbłądy za opłatą wynoszącą czterdziestą część wartości ich towaru.

Za dodatkową opłatę zapewniał karawanom eskortę wojowników M'Tub jako ochronę przed rozbójnikami saraceńskimi. Potem proponował, że M'Tub będą towarzyszyć karawanom w drodze do Palmyry i Mesy lub do portów nad Morzem Erytrejskim. Wreszcie mógł sam zakupić ładunek cennych towarów i setkę wielbłądów, a kiedy przybył z nimi do Palmyry, odsprzedał wszystko z poczwórnym zyskiem. Tak zdobyte pierwsze pieniądze zrodziły następne.

Od tej pory przejeżdżające tędy karawany mogły nadal

poić wielbłądy w oazie Dingir-Dusag, ale wojownicy M'Tub ochraniali tylko towary należące do Abdonaja. Kupcy w jego karawanach stawali się coraz bogatsi, gdyż przybywały one na miejsce przeznaczenia bezpieczniej i szybciej niż karawany konkurentów.

Z roku na rok rosła potęga Abdonaja. Od partyjskich brzegów Eufratu po fenickie porty Rzymu jego imię budziło zazdrość i zarazem lęk. Kupcy przywykli do jego twarzy i sposobu targowania się. Przed upływem dziesięciu lat dzięki swemu bogactwu został przywódcą wielkiego plemienia Maazinów, wyznawców Baalszamina, którzy w Palmyrze budowali świątynie z cegły i kamienia.

Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek Abdonaj wierzył, że dobroczynna dłoń Baalszamina kierowała przeznaczeniem jego samego i jego córki Zenobii. W swych marzeniach sięgał daleko. Tak daleko, że nie mówił o nich nikomu.

Z tego powodu hojnie, choć nie bez ukrytej myśli, sypał złotem, by choć w części podzielić się z bogiem dobrobytem, które przecież jemu właśnie zawdzięczał.

\* \* \*

Cały miesiąc, ale krótkimi etapami, aby nie straciły na wadze, pędzono do oazy dwieście młodych jagniąt. Dwanaście wielbłądów, obładowanych owocami i jarzynami zakupionymi w ogrodach Palmyry,

towarzyszyło dwudziestce innych, które wiozły zboże z Egiptu. Wory z kadzidłem przywieziono z Charaksu. Namioty, dzbany z winem i miodem, przyprawy korzenne, dywany, kosze węgla drzewnego, góry tac, dzbanków, kubków, naczyń miedzianych i srebrnych gromadzono przez dwa dni pod skalistym zboczem z dala od Dingir-Dusag, aby nie psuły widoku.

Na grzbietach mułów i w lekkich wozach przybył tłum sług i niewolników, kobiet i mężczyzn. Z miast Północy, z Soukheneh i Tayibeh, przyjechały również kobiety znające się na makijażu, tancerki, wróżki i szwaczki.

Obozowisko rozciągało się na przestrzeni ponad pół mili rzymskiej. Między namiotami wiły się kręte uliczki. Wkrótce zaroily się od mężczyzn przynoszących i ustawiających ławy, zarzynających bydło i przygotowujących mięso, od kobiet, które miały zboże, zagniatały z mąki ciasto, rozpały paleniska, żeby piec na nich ciasteczka z miodem i korzeniami. Młode dziewczyny szczupłymi palcami układały piramidy daktyli i fig, jęczmiennych placków z owocami granatu, kostek słodkiego miodu z pistacją i migdałami, naleśników nadziewanych kozim serem, nasączanych olejkiem z kwiatu pomarańczy.

Piątego dnia pojawiły się nowe karawany. Byli to zaproszeni goście.

Kiedy wjechali do obozowiska, rzucili się ku nim niewolnicy i słudzy z miedzianymi misami wypełnionymi po brzegi wodą z jeziora. Była czysta jak woda z górskiego

potoku. Mogli w niej obmyć twarze.

Potem usadowili się w cieniu baldachimów, gdzie przyniesiono im chińską herbatę z miętą. Zaproszono do przygotowanych dla nich namiotów, tak iż nie musieli rozstawiać własnego obozowiska. Nawet ci, którzy spodziewali się tu wielkiego luksusu, nie potrafili ukryć zdumienia.

Abdonaj i jego rozległa rodzina, w eskorcie trzystu wojowników M'Tub, ukazali się dopiero następnego dnia. Ubrani według mody palmyrskiej, w bufiastych spodniach i tunikach przepasanych szerokimi, skórzanymi pasami, z zakrzywionymi szablami – *nimcha* – w pochwach z jedwabiu, dosiadali pięknych koni z Fenicji.

Kobiety podróżowały w koszach z wierzbowej wikliny, przymocowanych do garbów dromaderów. Suknie z partyjskiego jedwabiu, z jedwabiu surowego lub adamaszku, z pięknym haftem na obrębie, podkreślały ich piękne figury. Na rozpuszczonych włosach nosiły turbany ze spiralnie skręconych frędzli. Misterna sztuka ich wykonania była utrzymywana w tajemnicy. Na ich czołach połyskiwały srebrne i koralowe płytki – *hal'razh*, współgrające doskonale z błyszczącymi od kholu oczami. Na piersiach, w talii i na ramionach podzwaniały bransoletki, naszyjniki, pierścienie, szpile.

Tylko Zenobii nikt nie widział, ale każdy domyślał się, że zielone i czerwone zasłony jednego z koszy, łagodnie kołyszącego się na białej wielbłądzicy, ukrywają ukochaną córkę Abdonaja.

\* \* \*

– Czy tego chce mój ojciec, żebym siedziała w namiocie dzień i noc? Bez prawa wyjścia?

W głosie Zenobii brzmiało rozgoryczenie, oczy płonęły. Zaledwie rozlokowały się w obozowisku, gdy rozeszła się wieść, że złożenie ofiary Baalszaminowi, które miało zainaugurować rocznicowe obchody, odbędzie się dopiero następnego dnia.

Dwaj astrologi, Grek i Żyd, mieli za zadanie określić dokładnie porę odpowiadającą godzinie, w której trzynaście lat temu spadła gwiazda. Ci dwaj mędrcy, obaj bardzo uczeni, nie mogli jednak dojść do porozumienia. Grek, opierając się na swojej wiedzy, twierdził, że ofiara powinna się zacząć w drugiej godzinie następnej nocy. Żyd zaś uważał, że gwiazda uderzyła w ziemię w Turaq Al'llab w siódmej godzinie dnia, który przypadał dzień później.

Po długim wahaniu Abdonaj przyjął koncepcję astrologa żydowskiego. Wprawdzie święto odwlekało się przez to o jeden dzień, ale nie zepsują go ciemności i zimno.

– To, czego chce twój ojciec – odrzekła z westchnieniem zmęczona Aszemu – wiesz tak samo dobrze jak ja. Niczyje oczy nie mogą na tobie spocząć przed godziną wyznaczoną przez astrologów.

– Ale dlaczego? Tego nawet ojciec nie wie. Kiedy go o to pytam, tylko patrzy na mnie, wzdychając. Poza tym ci

głupi astrolodzy nie mogą o wszystkim decydować. Ja także potrafię patrzeć w gwiazdy całą noc i potem opowiadać różne bzdury. To nic trudnego. Ale ostateczna decyzja i tak zależy od ojca.

Zenobia kręciła się wokół Aszemu, ciskając przekleństwa przez zęby. Egipska niańka, nie zwracając na nią uwagi, układała rzeczy w kufrze.

Zenobia zerwała z głowy woalkę i z jej włosów powypadały srebrne i kościane grzebienie. Gęste, ciemne loki o niezwykłym, złotym połysku rozsypały się na zaczerwienionych od gniewu policzkach. Nawet grymas złości nie mógł zatrzeć pięknego rysunku ust. Były to usta dojrzałej kobiety, nie nastolatki, które nadawały twarzy niepokojącego, czasami wręcz onieśmielającego wyrazu.

– Niech on sobie nie wyobraża, że będę tu tkwiła w zamknięciu. Też coś! Można by sądzić, że to on urodził się z gwiazdą Baalszamina!

Od poprzedniej zimy coraz częściej zdarzały się przykre sprzeczki między ojcem a córką. Coraz częściej Aszemu, opiekująca się córką Abdonaja od samego jej urodzenia, miewała uczucie, że trzyma cugle dzikiego konia.

– Uspokój się! Święto odbędzie się tak, jak powinno się odbyć. A ty będziesz posłuszna ojcu, żeby znowu nie miał do mnie pretensji.

Pogroziła Zenobii palcem, co miało dodać powagi słowom. Nie potrafiła jednak ukryć czułości. I tak było zawsze. Kochała córkę Abdonaja, jakby wyszła z jej łona,



ale umiejętność okazywania surowości wobec Zenobii, nie znalazła się wśród cudów zesłanych przez Baalszamina przy narodzinach dziewczyny.

Zenobia uśmiechnęła się do niej.

– No dobrze – mruknęła, kładąc się na łożu. – Zrobię tak jak zawsze. Udam, że jestem posłuszna, i wszyscy będą zadowoleni.

Aszemu nic na to nie powiedziała, tylko zrobiła domyślną minę.

Prawdę mówiąc, Abdonaj nie radził sobie z córką. Już dawno temu Zenobia znalazła sposób, by wszystko układało się po jej myśli. Krzyki i groźby niczego nie mogły tu zmienić. Tym bardziej teraz, gdy Zenobia osiągnęła wiek, w którym z dnia na dzień traciła wygląd dziecka, zmieniając się w kobietę.

Miała tylko trzynaście lat, ale robiła wrażenie dwa razy starszej. Z kształtną i smukłą figurą przywodziła na myśl silne, zwinne zwierzę. Miała wystające kości policzkowe jak cudzoziemki z Azji. A przede wszystkim uwagę zwracały jej usta dorosłej kobiety, którą wkrótce miała się stać.

O tak, Aszemu dobrze wiedziała, skąd brała się niecierpliwość Zenobii. Ta nadpobudliwość, to uporczywe milczenie, drżenie ust! Rocznicą urodzin nie odgrywała żadnej roli.

Jeden był tylko tego powód, jeden człowiek – Schawaad.

Schawaad – jej wybawiciel. Schawaad – elkezaita,

który wyciągnął ją z wody trzynaście lat temu. Młodzieniec o gładkiej cerze, oczach pod gęstymi brwiami, delikatnych ustach i dłoniach, ale sposobie bycia mędrca pustyni, choć miał tylko osiemnaście lat.

Dlatego też, kiedy następnej nocy Aszemu poczuła na ramieniu muśnięcie tuniki, natychmiast się obudziła. Wstrzymując oddech, spod półprzymkniętych powiek dostrzegła sylwetkę Zenobii, która z ogromną ostrożnością odsuwała zasłonę namiotu. Aszemu mogła ją skarcić, mogła jej zabronić wyjść, ale się nie ruszyła.

Przeciwnie, z całego serca modliła się do swoich egipskich bogów jak również do Baalszamina, żeby Zenobii udało się przemknąć tak, aby żaden z wojowników M'Tub nie zauważył jej w ciemnościach i nie podniósł alarmu, wywołując skandal.

Modliła się, zagryzając wargi, powstrzymując łzy. Wiedziała, domyślała się, kto był przyczyną nocnej eskapady, która mogła kosztować Zenobię bardzo drogo.

\* \* \*

Przemykając się między namiotami, Zenobia zdobyła się na tyle rozwagi, żeby nie biec. Świecił księżyc, a wojownicy M'Tub mieli doskonały wzrok.

Obozowisko, do którego zmierzała, rozbite było na uboczu, na południe od oazy. Surowe zasady religii elkezaitów zabraniały im nie tylko znajdować się w pobliżu rozradowanych, świętujących ludzi, ale nawet

nie wolno im było wdychać zapachów ich kuchni! Chociaż nie widzieli się już dwie zimy, Zenobia była pewna, że Schawaad czeka na nią.

O, gdyby elkezaici pomimo swych surowych zasad przyjęli zaproszenie jej ojca!

I gdyby Schawaad był wśród nich.

Może tak jak ona był u kresu cierpliwości.

Może również jemu te dwa minione lata wydawały się nie mieć końca.

Może umierał z pragnienia, by ją zobaczyć, usłyszeć jej głos, poczuć woń pachnideł, być po prostu z nią, trzymać jej drżące dłonie w swoich rękach.

Może śniąc o niej po nocach, żył jakby w innym świecie, wśród marzeń, pragnień i wizji.

Może znalazł sposób, żeby wymknąć się z namiotu mimo czujności bezwzględного ojca.

Gdyby tylko nie był elkezaitą!

Wszystkie te pytania i wątpliwości kładły się kamieniem na sercu dziewczyny.

Bezgłośnie, nie otwierając ust, Zenobia modliła się do Baalszamina, by przyszedł jej z pomocą: „O najpotężniejszy z potężnych, ty, który chciałeś, bym się narodziła, spraw, choć nie jesteś jego bogiem, żeby Schawaad czekał tam na mnie!”.

Za moment sama się przekona. Doszła do ostatnich namiotów obozowiska i żaden z wojowników M'Tub nie wszczął alarmu. Pozostał jej do przebycia pas piaszczystego terenu i zaraz znajdzie się pod palmami

oazy. Przytrzymując rękami poły sukni, przefrunęła nad pasmem piasku i skryła się wśród gęstych gałęzi drzew granatu.

Nie rozległ się żaden krzyk. Nikt jej nie zauważył.

Chwilę potem przycupnęła u stóp grubej palmy. Murek z dużych kamieni dochodził do jeziora. Było to spokojne, ustronne miejsce, gdzie przy północnym wietrze słychać było chlupotanie wody.

Ona i Schaawad spędzali tu całe dni razem, kiedy byli jeszcze dziećmi i niepostrzeżenie wymykali się spod opieki dorosłych. Schaawad żartował sobie z elkezaitów, a Zenobia udawała, że śpi z głową na jego kolanach.

To miejsce należało do nich.

Ale tej nocy było puste.

Księżyc odbijał się w tafli jeziora, a smugi jego zimnego światła przenikały przez liście palm. Było jasno jak w dzień.

Schawaad nie przyszedł.

Wszystko, co myślała o Schawaadzie, okazało się jedynie mirażem.

Jęknęła boleśnie i w tym samym momencie zza kamiennego murku wyłoniła się biała sylwetka. Przybrała postać mężczyzny, a białe poły jego tuniki powiewały niczym skrzydła anioła.

Zenobia pomyślała, że nie mogło być inaczej, że chyba postradała zmysły, wątpiąc w jego przybycie.

– Schawaad! – szepnęła.

\* \* \*

Padli sobie w ramiona odurzeni wzruszeniem. Oszołomieni zapachem swoich ciał, cudownym ich ciepłem. Nareszcie, nareszcie razem!

A potem Schawaad nagle wypuścił ją z objęć.

Zrobił krok do tyłu. Zenobia wciąż jeszcze zaciskała rękę na jego tunice.

– Byłam pewna, że przyjdiesz – szepnęła radośnie.

Okazał się jeszcze piękniejszy niż w jej wspomnieniach. Miał delikatniejszy kształt nosa, a usta pełniejsze, bardziej namiętne. No i oczywiście spoważniał. Jego oczy były tak czarne, że niemal nie dostrzegało się źrenic. Skóra na policzkach, opalizująca w świetle księżyca, wydawała się stworzona do pocałunków i pieszczot. Teraz była to już twarz mężczyzny.

Zenobia zagryzła wargi, by zapanować nad przepełniającym ją uczuciem szczęścia. Odeszła kilka kroków aż do brzegu jeziora, aby i on mógł dostrzec, że nie jest już taką dziewczynką, jak wtedy gdy widział ją ostatni raz.

Czuła ciężar jego spojrzenia na swoich ramionach, na twarzy i smukłym ciele.

Nagle usłyszeli dochodzące z obozowiska głosy, nawoływania. Zenobia odwróciła się, nasłuchując. Czyżby Aszemu zauważyła puste łóżko?

Nie. Pod rozgwieżdżonym niebem zapadła cisza. Zenobia poczuła chłód. Zapragnęła znowu znaleźć się

w ramionach Schawaada. Ale on usiadł pod kamiennym murkiem.

Podeszła i usiadła obok bez słowa. Ostrożnie dotknęła jego ręki. Nie cofnął jej, ale nie wydawał się poruszony pieścizotą, nie okazał też chęci, by spleść swoje palce z jej palcami.

Z trudem panując nad głosem, zapytała:

– Czy uważasz, że się zmieniłam?

Pomyślała, że nie usłyszał. Po długiej ciszy, od której zrobiła się jej gęsia skórka na szyi, odpowiedział, ledwo otwierając usta:

– Trochę.

Niespodziewanie fala chłodu zmroziła serce dziewczyny. Mimo woli szepnęła:

– Trochę? I to wszystko?

Ogarnęło ją straszliwe, bolesne rozczarowanie. Do oczu napłynęły gwałtownie łzy zatykające oddech. Duma i gniew kazały jej zapanować nad nimi.

Niskim, ostrym głosem, wibrującym jak struna, powiedziała:

– Przeciwnie, wiele się we mnie zmieniło! Teraz wszyscy traktują mnie jak prawdziwą księżniczkę. Kiedy mieszkamy w naszym domu z kamienia w Palmyrze, ludzie mi się kłaniają, nawet starcy. Nazywają mnie „Boska z Dingir-Dusag”.

Na Schawaadzie jej gniew i słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. Na wargach młodzieńca pojawił się uśmiech. Ten uśmiech był gorszy niż milczenie. Wyniosły,

z dystansem.

Za kogo on ją ma? Za smarkatą?

Oczywiście, nadal widzi w niej dziewczynkę z tamtych lat!

Palące upokorzenie przeszło pierś dziewczyny.

W takim razie po co tu w ogóle przyszedł?

Czy nie ma oczu, żeby widzieć, ani rozumu, żeby to pojąć? Czy nie był już Schawaadem?

Podniosła się, kipiąc ze złości. Palcami sięgnęła do agrafy spinającej tunikę.

– Księżyc wystarczająco jasno świeci. Spójrz, a zobaczysz, co się zmieniło.

Schawaad zerwał się na równe nogi, jakby ukąszony przez żmiję.

– Oszalałaś?

Skoczył i chwycił rękę Zenobii. Białka jego oczu zabłyśły silniej niż gwiazdy. Usta rozchyliły się niczym róża pustyni. Drżał na całym ciele. Zenobia przekonała się w tym momencie, że on tylko grał, udawał.

Złość opuściła ją tak nagle, jak przyszła. Przyłgnęła do niego ze śmiechem. Ustami szukała nie okrytych szorstką materią sukni fragmentów jego ciała.

Schawaad na krótką chwilę przestał się opierać. Przygarnął ją mocno do siebie. Usłyszała jęk w jego piersi. Przytuliła się jeszcze mocniej, aby każdą najmniejszą cząstką ciała poczuć płynące od niego ciepło. Tak jak wchodzi się do wody ogrzanej słońcem. Nie myślała o niczym innym tylko o tym, aby na zawsze mogli

pozostać w takim uścisku. W końcu nadszedł ten moment. Słodka, zwyczajna czułość sprawiająca, że mogłaby wtopić się w ciało Schawaada.

Trzymając ją mocno za ramiona, odsunął lekko od siebie.

Spoglądali na siebie, jakby dwa lata oddalenia w ogóle nie istniały. Jakby od dnia narodzin Zenobii nigdy nie przestali się rozumieć, wbrew wszystkiemu, wbrew bogom i dzielącym ich bezkresnym przestrzeniom pustyni.

Stali naprzeciw siebie, bardzo blisko, chwiejąc się na nogach. Świadomi tego, że wystarczy jeden ruch, by pogрузić się w nieznanym, groźnym szczęściu.

Zenobia uznała, że trzeba położyć kres temu czarowi. Próbowwała żartować.

– Nie bój się. Przecież dobrze wiesz, że nie zrobiłabym tego, nie stanęłabym przed tobą całkiem naga!

Ujęła dłoń Schawaada spoczywającą wciąż na jej ramieniu. Musnęła ją wargami i nie wypuszczając, znowu usiadła, zmuszając go, by zajął miejsce obok niej.

Po dłuższej chwili milczenia już spokojniej powiedziała:

– Aszemu mówi, że ojciec wkrótce zechce mnie wydać za mąż.

Schawaad zacisnął powieki. Bolesne westchnienie wydarło się z jego ust.

Potem, podczas wielu nocy, kiedy nie przychodził sen, Zenobia rozpamiętywała ten właśnie moment. Moment ciszy, który zdawał się nie mieć końca. Schawaad nic nie



odpowiedział, ale trzymał jej dłoń, ściskając tak mocno, że aż zdrętwiała. W końcu, z oczami, w których odbijał się blask księżyca, powiedział bezbarwnym głosem:

– To prawda. Zmieniłaś się. Wiele rzeczy się zmieniło. Także i dla twojego ojca. Wszędzie mówi się o nim na pustyni. Ale nas, elkezaitów, nauczono, żeby nie przywiązywać zbytnej wagi do tego, co błyszczy tylko z wierzchu. Nasz prorok Elkezaj powiedział: „Nie wpatrujcie się pożądlivym wzrokiem w złote klejnoty. Nie zważajcie na piękne domy, luksusowe namioty, bogactwo, wizje dobrobytu i przyziemnych rozkoszy. Nie plamcie świata Wielkiego Archanioła przepychem, który podoba się tak bardzo bezbożnikom z Rzymu!”.

Zenobia zeszywniała. Nadzieja ponownie zastygła w niej niczym lód.

A więc Schawaad nie wyrzekł się swoich poglądów.

Stawał się coraz bardziej elkezaitą, coraz bardziej szalony, jak inni. Nic się w nim nie zmieniło, chyba że na gorsze. Powtarzał wciąż od nowa te same straszne, głupie zasady, które nie zezwalały być szczęśliwymi!

Które nakazywały gardzić pięknem i marzeniami! Schawaad gardził tym wszystkim, co ona kochała. A więc z pewnością gardził i nią samą. Nie pragnął jej świata.

Jak mógł dać się tak omamić? Dlaczego spodziewała się czegoś innego?

Jakby odgadując jej myśli, Schawaad puścił dłoń dziewczyny. Tonem, który już poznała, bezosobowym głosem tępego fanatyka, dodał:

– Elkezaj zawsze powtarzał, że Chrystus zapowiedział największą radość. Wkrótce nie będzie już ani biednych, ani bogatych, ani panów, ani niewolników. Będą jedynie wybrani i cała reszta. Ci, którzy będą żyć w czystości, dostąpią największego szczęścia w raju.

Zgrzytając zębami ze złości i pogardy, Zenobia wyrzuciła z siebie słowa, zanim zdążyła nad nimi zapanować.

– Co ty opowiadasz? Największe szczęście? Co wy wiecie o szczęściu? Przecież elkezaici nawet nie umieją się śmiać. A mnie podoba się właśnie to wszystko, czym gardzicie. To pewne, że nie zostanę jedną z waszych wybranych! Chętnie wkładam piękną biżuterię. Podoba mi się, że jestem księżniczką, a nie nędzarką z pustyni. Lubię jeść baraninę, tańczyć, śpiewać i być w twoich ramionach, jeśli chcesz wiedzieć. Wasz prorok zabrania wam wszystkiego, co dobre i przyjemne. Jest szalony, ale jeszcze bardziej wy jesteście szaleni, że go słuchacie. Jak możecie wierzyć w to, co on opowiada? Przecież nie jest bogiem. Tylko zwyczajnym głupcem, który rozsiewa słowa na pustyni jak wielbłądzie łajno. Oto czym on jest! Szaleńcem. Wcale nie zabawnym. Bezdusznym. A ty czym się staniesz...

Urwała, wyrzuciwszy z siebie to, co jej leżało na sercu.

Nieraz dyskutowali na ten temat. Ale nigdy nie było to dla nich takie ważne. Ot, dziecięce przekomarzanki. Schawaad, kiedy był z nią, z dala od swoich, krytykował

zasady obowiązujące elkezaitów. Ale dziś... Dziś nie są już dziećmi. Ani ona, ani on. Nadeszła decydująca godzina.

– Schawaad, to niemożliwe, żebyś tego nie rozumiał!

Jednak nic już nie mogła poradzić. Była silna, ale nie na tyle, żeby walczyć ze słowami jego proroka.

Za chwilę Schawaad wstanie i wróci do obozowiska ojca.

Odejdzie i już go więcej nie zobaczy. Opuści oazę, nie czekając na pierwszą ofiarę składaną Baalszaminowi.

\* \* \*

A Ale on się nie ruszył. Ze wzrokiem utkwionym w migoczące światło księżyca rozmyślał nad czymś w skupieniu.

– Tak – przyznał. – Taka jest twoja opinia o mnie. Kiedy się nic wierzy w słowa proroka, jakże głupie i szalone wydaje się to, co on głosi. Ja zaś, kiedy widzę twojego ojca składającego jagnię w podzięcie waszemu Baalszaminowi, uważam, że on jest szalony.

Mówił głosem spokojnym, bez cienia żalu.

Zenobia przyglądała mu się ze zdziwieniem. Zbita trochę z tropu, pokiwała głową.

– To prawda. Wybacz mi...

Chciała coś jeszcze dorzucić, ale Schawaad nie dał jej dojść do słowa. Machnął ręką.

– I dla mnie nic już nie jest takie samo – mówił dalej. – Powiadają, że mam dar uzdrawiania. Kiedy kładę dłonie na

bolące miejsce, ból ustępuje. Mogę usunąć chorobę z ciała tych, którzy cierpią. – Popatrzył na nią kpiącym wzrokiem. – Ojciec i wujowie twierdzą, że zaczęło się to wtedy, kiedy wyciągnąłem cię z wody. Ale nie mówili mi o tym, bo uważali, że jestem za młody. Teraz, kiedy rozbijamy namioty, rozgłaszają w karawanach i obozowiskach, że potrafię przynieść ulgę w cierpieniu. Chorzy ludzie przychodzą do mnie i odchodzą uzdrowieni. Teraz nikt już nie drwi z elkezaitów i nie uważa ich za szalonych!

Zenobia, szczęśliwa, że Schawaad mówi tak łagodnym tonem, roześmiała się, nie zwracając uwagi na sarkazm zawarty w jego słowach. A poza tym to, co usłyszała, zaskoczyło ją.

– Naprawdę uzdrawiasz ludzi?

Schawaad skinął potakująco głową.

– Wczoraj uleczyłem jednego z wojowników M'Tub służących twojemu ojcu. Kulał z powodu starej rany. Ból przeszedł mu całkowicie.

– Jak to robisz?

– Przykładam dłonie w chore miejsce i zamykam oczy.

– I to wszystko? Ból przechodzi na ciebie?

– Nie – roześmiał się Schawaad. – Miejsce, którego dotykam, staje się gorące. Czasami mam wrażenie, że gdybym dłużej trzymał ręce, przeniknęłyby one pod skórę chorego.

Zdumienie Zenobii nie miało granic. Domyślała się, jak bardzo musiał czuć się dumny, opowiadając o swojej

zdolności. Ujęła dłonie ukochanego, uniosła je i ukryła w nich twarz.

Schawaad nie protestował.

Zenobia odzyskała nadzieję. Wróciły szalone myśli.

– A gdybym to ja zachorowała, wyleczyłbyś mnie?

Wysunął dłonie z jej rąk, ale jego twarz wyrażała czułość.

– Tak, gdybyś była bardzo chora.

Roześmiała się radośnie. Odwrócił głowę, by nie dać się porwać temu śmiechowi. Chciała jeszcze trochę z nim pożartować, ale gdzieś wśród palm rozległ się śmiertelny krzyk, od którego aż podskoczyli. Trochę dalej na brzegu jeziora jakiś drapieżnik dopadł swojej ofiary. Zenobia dojrzała jego cień na lewo od nich.

– Ryś stepowy! – szepnęła.

Drapieżny kot zniknął w kilku susach. Nad oazą ponownie zapadła cisza i poczuli nocny chłód pustyni.

– Ojciec przyrzekł, że pewnego dnia nauczy mnie polować – rzekła.

Schawaad nie odpowiedział. W mlecznych promieniach księżycy jego twarz stała się tak piękna, że przyglądanie się mu przyprawiało o ból. Żaden mężczyzna na świecie nie mógł się z nim równać.

Czy zdoła żyć z dala od niego?

– Wiem, że wyglądam jeszcze jak dziewczynka – szepnęła ze ściśniętym gardłem. – Ale już nią nie jestem. Ojciec chce mnie wkrótce wydać za mąż. Obiecał, że zapyta mnie o zdanie. A ja wtedy mu powiem: „Pragnę

Schawaada. Nikt inny nie może zostać moim mężem. Sam Baalszamin mi go przeznaczył”.

Schawaad milczał. Nie patrzył na nią. Postanowiła więc wyrzucić z siebie wszystko, co od dawna leżało jej na sercu.

– Nie ma ranka, żebym budząc się, nie myślała o tobie. Aszemu nie wie, że każdej nocy wymykam się do ciebie. Kiedy jestem z tobą, czuję cię w moich rękach, w moim sercu, w moim brzuchu. Kiedy zostaję sama, rozmawiam z tobą. Widzę twoją twarz. Słyszę, jak mi odpowiadasz. Zawsze jesteś poważny i stanowczy, ale ja czuję się szczęśliwa. Oto jaka jest prawda. Pragnę zostać twoją żoną, być z tobą przez wszystkie dni. Przez wszystkie dni, o wschodzie słońca, zawsze będę wstawać jako żona Schawaada. Nie chcę innego mężczyzny. Nie jestem już dzieckiem. Wiem, czego pragnę.

Schawaad wciąż milczał. Pochylił się, jakby przygnieciony nagle jakimś ciężarem. Spodziewała się, że nie odezwie się, ale przemówił cichym głosem.

– Bywa, że kiedy modlą się albo powtarzam słowa Elkezaja, zaczynam myśleć o tobie. Nie jesteś bogiem, a jednak zajmujesz moje myśli i moje serce bardziej niż Elkezaj i anioły Chrystusa. Gdyby dowiedzieli się o tym mój ojciec i wujowie, wypędziliby mnie na pustynię, bym umarł z pragnienia! I mieliby rację. Niech mi wybaczą, jeśli to możliwe!

Zamilkł. Zenobia czuła, że nie powinna przerywać ciszy.

Zamknęła oczy, aby mógł dalej mówić, nie lękając się jej wzroku. Usłyszała, że wstał. Usłyszała szelest nagich stóp na ziemi i miękkiej trawie. Do jej uszu doszedł plusk wody. Domyśliła się, że obmywał czoło i oczy.

Wypowiedział kilka słów modlitwy.

Były to gesty oczyszczania, które wykonywali elkezaici, gdy zrobili coś wbrew swoim prawom.

Po raz kolejny przelekła się, że Schawaad odejdzie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że przysiadł nieco dalej. Patrząc na nią, powiedział:

– Nie mogę zostać twoim mężem. Jesteś bogata, a ja biedny.

– To żaden problem! – zaprotestowała Zenobia. – Jestem bogata za nas dwoje!

Potrząsnął głową, przesypując w dłoni piasek.

– Twój ojciec nie myśli o mnie, a mój o tobie. Elkezaita nie może związać się z dziewczyną z plemienia Maazinów. Dobrze o tym wiesz.

– Ale mój ojciec wiele ci zawdzięcza.

– Nie aż tyle, żebym mógł poślubić jego córkę.

– Schawaad! – roześmiała się Zenobia. – Ojciec zgodzi się na wszystko, co ja zechcę!

Pokiwał ponownie głową.

– Ale mój nie. On nie postąpi wbrew naszym prawom. Wyrzeknie się mnie.

Ciężar tych słów był dla nich obojga trudny do zniesienia. Ton głosu Schawaada zmienił się w ironiczny.

– Zresztą trzeba być całkiem szaloną, żeby zostać żoną

elkezaity. Człowieka, który nie śmieje się, nie zależy mu na bogactwie i przepychu, które ty tak lubisz. Nie byłabyś szczęśliwa!

Zenobia wstała zanim zdążył zareagować, objęła go i przytuliła policzek do jego piersi.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytała z pełnym przekonaniem. – Jestem Zenobia. Urodziłam się w wyjątkowej chwili i będę tym, czym zechcę być.

Schawaad w milczeniu głaskał ją po ramieniu. Pod policzkiem wyczuwała mocne bicie jego serca. Drżała z podniecenia.

– Pojutrze odbędzie się święto z okazji moich urodzin. Wszyscy przekonają się, że nie jestem taką dziewczyną jak inne. A ty będziesz ze mnie dumny.



## 5

### SIRMIUM

Słońce zbliżało się do zenitu, gdy Aurelian ujrzał podwójną kolumnadą z białego marmuru, obejmującą bramą Karakalli. Jakieś cztery, najwyżej pięć mil dzieliło go jeszcze od Sirmium. Zmęczenie, kumulujące się w jego ciele od świtu, znikło nagle jak zaczarowane.

Nic się nie zmieniło w jego rodzinnym kraju. Wzdłuż cesarskiej drogi jak zawsze rozsiewały swoje wonie głogi i akacje. Wysoko na niebie krążyły stadka jaskółek. Młode pądy żyta i pszenicy barwiły na zielono pola i okoliczne pagórki. W całej dolinie, między wielkimi gospodarstwami rolnymi, widoczna była sieć dróg prowadzących do bram miasta.

Aurelian poczuł nagły przypływ szczęścia. Bogowie ofiarowali mu na jego powrót przepiękny wiosenny dzień! Zobaczy wreszcie po siedmiu latach twarz matki! I Klodię. Czy rozpozna swoją ukochaną siostrę? Zaciął konie, które ruszyły miarowym kłusem. *Optio* – pomocnik centuriona, dowodzący jego eskortą, natychmiast wydał rozkaz. Jeźdźcy ustawili się po obu stronach zaprzęgu Aureliana. Po chwili zajmowali już całą szerokość drogi do Sirmium, prezentując się wspaniale jak przystało na żołnierzy Rzymu, z błyszczącymi hełmami i pancerzami, z powiewającymi pióropuszcami i płaszczami podróżnymi.

\* \* \*

Wartownicy dostrzegli purpurę jego peleryny i złoty odbłask hełmu, gdy jeźdźcy wjechali między świątynie, ciągnące się aż do bramy Karakalli. Rozległ się głos trąbki. Żołnierze utworzyli podwójny idealnie równy szereg, z włóczniami u nóg. Na spotkanie nowo przybyłych spieszonym krokiem wyszedł centurion o dziecięcej twarzy.

Zgodnie z regulaminem oddał pozdrowienie, kładąc zaciśniętą pięść na okrytej pancerzem piersi.

– Na twoje rozkazy, legacie, stawia się centurion Illelirius! Witaj w Sirmium.

– Dziękuję za powitanie, centurionie. Nazywam się Aurelian, jestem legatem XX legionu Valeria Victrix. Moja wizyta nie jest oficjalna. Wystarcza mi własna eskorta i nie ma potrzeby, żebyś trudził swoich ludzi.

Centurion, biegnąc obok wozu, uderzył się ponownie prawą pięścią w opancerzoną pierś.

– Będzie, jak rozkażesz, legacie.<sup>[7]</sup>

W bramie pojawili się przechodnie. Niektórzy przyglądali się zaprzęgowi, ale większość z niechętnymi minami oddalała się, nawet nie spojrzawszy w tę stronę.

Aurelian powstrzymał konie, by z godnością przejechać między legionistami. Poprzez stukot kopyt i turkot kół na bruku usłyszał dźwięk, od którego zadrżał. Zza wysokiego muru obronnego dochodziły krzyki mężczyzn i może kobiet. Z daleka trudno było je odróżnić,

ale brzmiały nieprzyjemnie w łagodnym powietrzu wiosennego dnia.

– Co się tam dzieje? – zapytał Aurelian.

Centurion zawahał się. Konie eskorty spychały go na koła wozu.

– To chrześcijanie, legacie. Mieli czas do dziś rana, żeby zgodnie z nowym prawem złożyć ofiary bogom, podobnie jak wszyscy wolni obywatele oraz wyzwolenicy. Ci szaleńcy twierdzą jednak, że ich bóg zabrania składania ofiar. – Młody centurion potrząsnął głową, szukając aprobaty we wzroku Aureliana. – Ich zdaniem jest tylko jeden bóg, Chrystus. W południe zebrali się edyłowie<sup>[8]</sup> i postanowili ich ukarać. Zasłużyli na to.

Spektakl, w jakim Aurelian miał uczestniczyć, przejeżdżając ulicami miasta, był dla niego niemiłą niespodzianką. Zepsuł mu radość powrotu do znajomych miejsc.

Szarpnął lejcami. Kiedy wjeżdżał pod portyk wielkiej bramy, koła wozu zahuczały głośno.

\* \* \*

Mijali sklepiki i warsztaty kowali. Wystawy były zasłonięte drewnianymi żaluzjami, umocowanymi żelaznymi sztabami, a bruk tak powybijany przez przejeżdżające tędy liczne wozy, że Aurelian musiał zwolnić, żeby koła zaprzęgu trafiły w koleiny.

Mijali *insulae* – kilkupiętrowe kamienice ze

skromnymi mieszkaniami, kłitkami dla biednych. Na ich kruszejącym, pobielonym wapnem tynku widniały malowane na czarno i zielono hasła, pozostałe od ostatnich wyborów edylów.

Wszędzie ulice były opustoszałe. Na tłum natknęli się dopiero wtedy, gdy znaleźli się w pobliżu forum za świątynią Septymusa Sewera. Togi bogatych obywateli mieszały się z połatаныmi tunikami rzemieślników. Matrony z włosami upiętymi w kok, Otoczone dostatnio ubranymi służącymi, szły obok kobiet w płaszczach z konopnego płótna i niewolnic w krótkich spódnickach. Z zaczerwienionymi od emocji twarzami, często bezzębnymi dżiasłami, mężczyźni i kobiety wyrzaskiwali zniewagi. Inni zaciskali usta, nie wiadomo czy z niesmakiem, czy może czekając, że coś się zaraz wydarzy.

Bruk forum pokrywała ziemia i słoma. Aurelian skierował tam swoje konie. Jeźdźcy eskorty, z powiewającymi czerwonymi pióropuszcami na hełmach, krzycząc, pojechali przodem, by utorować przejazd. Tłum rozstał się niczym porwana tkanina. Ucichła wrzawa, spojrzenia ludzi wyrażały zaskoczenie i lęk.

Aurelian kątem oka dostrzegł edylów stojących na stopniach świątyni Jowisza. Stamtąd także zwracano w stronę tej niespodziewanej kawalkady zdziwione i zarazem nieco zaniepokojone twarze.

Aurelian nie chciał widzieć, co jeszcze się tam działo. Do wotywnych kolumn Hadriana i Trajana przywiązane

były stare i młode kobiety z obnażonymi piersiami, zakrwawione. Z drugiej strony forum para koni pędziła galopem, ciągnąc za sobą poranione ciała jakichś ludzi. A przed frontem świątyni, gdzie paliły się kadzidła, oświetlając na czerwono białe stopnie z marmuru, u stóp edyli, legionieści wymierzali chłostę, kalecząc plecy, biodra, twarze.

Nie zwalniając, Aurelian skierował zaprzęg w ulicę, która biegła wzdłuż świątyni i prowadziła do term. Tutaj tłum był znacznie mniej liczny. Jezdnia znowu się zwężyła między chodnikami odgrodzonymi wysokimi krawężnikami, a nawierzchnia zniszczona była przez jeżdżące nią wozy. Aurelian hamował konie, a eskorta posuwała się raz przed nim, raz za nim. Tutaj przechodnie zatrzymywali się, by na niego popatrzeć. Przyglądano się jego twarzy, hełmowi, złotym insygniom wyrytym na pancerzu, świadczącym o wysokiej randze. Szeptano i kiwano głowami.

Wkrótce potem Aurelian wjechał w ulicę pnącą się w górę. Również tutaj sklepiki były zamknięte, żaluzje opuszczone. Pojawiło się jednak wiele ludzi i nikt nie szedł z pustymi rękami. Jedni nieśli kosze owoców lub ziarna, inni dźwigali na ramionach króliki lub drób. Silniejsi ciągnęli beczące jagnięta. Twarze mieli ogorzałe od słońca. Były też wśród nich młode dziewczęta z różowymi policzkami, ubrane w skromne tuniki, oraz kobiety bardziej pomarszczone niż zwiędłe jabłka. Niosły ogromne bukiety polnych kwiatów.

Aurelian uśmiechnął się. Chłopcy w przepaskach na biodrach spoglądali na niego z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, jakby zobaczyli boga w ludzkiej postaci. Ustepowano mu z drogi. Ponad głowami ludzi ukazały się wysmukłe kolumny świątyni i jej fronton ze złotym posagiem Słońca Niezwyciężonego. Ruchem ręki Aurelian nakazał, by pomocnik centuriona zatrzymał eskortę. Gdy zdjął hełm i z gołą głową, z płaszczem odrzuconym na ramię, zszedł z wozu, otoczył go tłum wiernych, którzy chcieli pokłonić się przed tą samą kapłanką.

\* \* \*

Nic się nie zmieniła. Może tylko to, że szkarłatna suknia wielkiej arcykapłanki okrywała trochę szczuplejszą sylwetkę. Stojąc pod złotym dyskiem wyobrażającym Sol Invictus i zdobiącym ołtarz wzniesiony w centrum świątyni, owiana dymem kadzidła, była uosobieniem pokoju oraz potęgi. Taki właśnie jej obraz Aurelian nosił w pamięci przez tyle lat. Pozostała tak samo piękna, tak samo pociągająca. Teraz powagi dodawały jej siwe włosy. Ułożone w ciężkie pukle pod grubą woalką, tworzyły aureolę wokół skroni. Kragłe policzki i szyja zachowały wdzięk młodej kobiety. Pełne, pięknie zarysowane usta otaczało zaledwie kilka nowych zmarszczek.

– Aurelianie, synu!

Julia Kordelia odsunęła młode służące, które

pomagały jej przyjmować dary. Tłum, przepychający się hałaśliwie na zewnątrz świątyni, w środku przekształcił się w cierpliwie czekających swojej kolejki ludzi. Wszyscy oni pragnęli z szacunkiem złożyć w darze kwiaty, worki zboża lub wypełnione po brzegi kosze z mięsem. Zdziwione spojrzenia towarzyszyły kapłance, która niespodziewanie zeszła ze stopni ołtarza na spotkanie z oficerem w paradnym stroju. Zawahała się na moment, czy go objąć, jakby jeszcze wątpiła w realną obecność Aureliana. Z radością ujęła twarz syna białymi dłońmi z pierścieniami na każdym palcu.

– Ile to już czasu minęło, jak widzieliśmy się po raz ostatni! – Głaskała jego policzki z krótkim zarostem, a on przyjmował pieśczotę ciepłych dłoni. – Pozwól, że ci się przyjrę.

Serce Aureliana ogarnęło dawno zapomniane wzruszenie.

– Zmieniłeś się – szepnęła znowu Julia Kordelia, gdy chwycił jej palce, by je ucałować.

W oczach matki pojawił się wyraz zaskoczenie i zarazem rozbawienia.

– Masz siwe włosy w brodzie, mój chłopcze. Ale błękit twych oczu nadal pozostał niezmienny.

Wszyscy obecni przyglądali się tej scenie. Ci, którzy usłyszeli ich słowa, powtarzali je. Oczekujący w kolejce szeptali między sobą, że arcykapłanka Słońca Niezwycięzonego spotkała się znowu z synem. Cichym głosem wymawiano jego imię.

Niektórzy mówili, że kapłanka dbała o ołtarz w absydzie świątyni tylko ze względu na niego. Bez przerwy paliły się tu lampy i kadzidła pod złotym wizerunkiem, wyrzeźbionym wysoko w czarnym jak noc kamieniu. Nigdy nie brakowało tu bogatych, cennych darów.

Julia Kordelia nie zwracała uwagi ani na szepty, ani na spojrzenia. Dwiema rękami pogładziła pancerz Aureliana, musnęła palcami okrągłe, srebrne medaliony z wizerunkami wilczycy z małymi oraz orłami, symbolami Rzymu.

– Jaki wspaniały strój! Czy to znaczy, że zostałeś konsulem?<sup>[9]</sup>

– Nie, matko. Jeszcze nie. Jestem tylko legatem. Mam pod swoimi rozkazami zaledwie jeden legion.

Julia Kordelia potrząsnęła głową, przymykając powieki. Jej wargi drżały dumą, gdy cicho powiedziała:

– Przyjdzie dzień, kiedy będziesz dowodził wszystkimi legionami. Twój bóg tego chce i z jego woli takie jest twoje przeznaczenie.

Aurelian zaśmiał się z zażenowaniem, rozbawiony i zarazem zadowolony. Julia Kordelia i w tym także się nie zmieniła. Żadna matka nie była bardziej dumna ze swego syna. – Czy widziałeś, co się dzieje na forum? – zmieniając temat, zapytała surowym tonem.

– Przejeżdżałem tamtędy.

Julia Kordelia wskazała ręką na tłum cisnący się przed świątynią.



– Oni także ugięli się przed wolą cesarza. Złożyli ofiary, których złożenia odmówili chrześcijanie. Zanieśli swoje dary boskiemu Decjuszowi<sup>[10]</sup> i wypowiedzieli słowa, których on wymaga. A mimo to, spójrz! Dziś wieczór, zaraz po wyjściu ze świątyni Jowisza, przybiegli tutaj z naręczami nowych darów. Jest tego tak dużo, że nie wiemy, gdzie to wszystko umieścić. Nic jednak nie jest w stanie ich powstrzymać. Za bardzo boją się konsekwencji słów wypowiedzianych przed bogami, w których nie wierzą! – Ponieważ Aurelian milczał, matka mówiła dalej: – Decjusz jest ślepy, jeśli chce polegać na wierności wynikającej ze strachu. Nie chodzi się do świątyni, czując na plecach ostrze włóczni.

– Matko, żaden człowiek żyjący na tej ziemi nie powie, że miał kiedykolwiek lepszego cesarza niż Decjusz. Nikt nie jest bardziej szczery ani bardziej odważny. Już od dwudziestu lat przed walką wznoszę okrzyk: „Rzym! Rzym!”. Ale przedtem walczyłem dla augustów i cesarów,<sup>[11]</sup> którzy niewiele więcej znaczyli niż strachy na wróble. Dziś dumny jestem, że służę mieczem temu cesarzowi. Oczywiście nie podoba mi się to, co się dzieje na forum. Szkoda, że chrześcijanie są tak nieprzejednani. Czy nie mogliby uznać swego władcy? Dlaczego z takim uporem przeciwstawiają się prawom Rzymu? Czy nie jest zniewagą to, że rozgłaszają wszędzie, iż istnieje tylko jeden bóg, ich bóg? My wiemy dobrze, że to nieprawda. Ty, matko, najlepiej o tym wiesz. Decjusz ma rację, żądając od nich posłuszeństwa. Jeśli nie ulegną, będzie to

oznaczać, że występują przeciw państwu. Przeciw nam. Przeciw wszystkiemu, co stanowi o wielkości Rzymu.

W niskim, nabrzmiałym gniewem głósie Aureliana słychać było surowość dowódcy udzielającego nagany żołnierzom. Julia Kordelia słuchała go z wilgotnymi oczyma, z drżącymi ustami. Dopiero po kilku sekundach Aurelian zorientował się, że matka się śmieje.

– Rzym! Rzym! Rzym! Nic się nie zmieniłeś, mój synu. Powinnam być zazdrosna o ten Rzym, który zabrał mi ciebie na tyle lat i jest dla ciebie ważniejszy niż jakakolwiek kobieta!

– Wybacz, matko...

Przerwała mu, zamykając usta palcami.

– Nie przepraszaaj. Nie powinieneś przepraszać. Twoje słowa odpowiadają twojemu przeznaczeniu. – Wskazała na ołtarz, wokół którego gromadził się tłum. – Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę tu jeszcze zostać. Jedź do Klodii. Dołączę do was przed zmrokiem. – Poprawiła woalkę i dodała z uśmiechem: – Twoja siostra cię zaskoczy. Przede wszystkim wyglądem. Podobnie jak przedtem uważa, że żaden mężczyzna nie jest w stanie równać się z jej bratem!

## OAZA DINGIR-DUSAG

Godzinę po świcie rozległo się ochryple granie rogów baranich. Zaproszeni przez Abdonaja goście wyszli z namiotów. Wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci – byli bogato ubrani i przystrojeni w klejnoty połyskujące w porannym słońcu. Za nimi w pewnej odległości podążali pełni niecierpliwości, zaciekawieni słudzy i niewolnicy.

Przeszli między palmami i zajęli miejsca wokół jeziora. Na wąskim pasku plaży płonęły już ofiarne ognie. Dziesiątki białych gołębi bezskutecznie usiłowały wyswobodzić się z koszy, w których je zamknięto. Głośno beczały spętane jagnięta, otoczone przez wielkie miedziane misy z palącym się kadzidłem.

Obojętni na ogólną wrzawę, z głowami nakrytymi wysokimi czapkami z niebieskiego filcu, starcy plemienia Maazinów rzucali w płomienie ziarna mirtu i olibanu – kadzidła arabskiego. Przy każdej wrzuconej garści nad jeziorem unosiły się pachnące kłęby dymu. Stopniowo wonne opary pokryły jezioro mgiełką, która osiadała również na liściach palm, wdzierała się do gardeł i płuc.

Rozglądano się za Abdonajem i jego ukochaną córką, ale oni jeszcze się nie pojawili. Dopiero gdy nastąpiła siódma godzina od wschodu słońca, szmer podziwu oznajmił ich przybycie.

Abdonaj, przerzuciwszy przez ramię ramię uździenicy, dostojnym krokiem prowadził białą wielbłądzicę, na której siedziała Zenobia, wyprostowana, z rękami zaciśniętymi na kuli siodła, z wyniosłym wyrazem twarzy. Miała na sobie tunikę z azjatyckiego, purpurowo-błękitnego jedwabiu. Z szala narzuconego na głowę opadały aż do ramion sznury kulek macicy perłowej i koralu. Złota plecionka okalająca turban osłaniała dopiero rosnące piersi i owijała się wokół talii niczym pasek. Za nią podążało czterech młodych chłopców z plemienia Maazinów, niosących trzcinową tratwę z solidnie umocowanym w środku pękiem włóczni.

Tłum rozstąpił się, by zrobić przejście. Szmer zachwyty przeszedł w pełną podziwu ciszę, gdy Abdonaj dał znak wielbłądzicy, aby uklękała, po czym ujął rękę córki i podprowadził ją do tratwy.

Zenobia usadowiła się na niej, chwytając się włóczni. Młodzieńcy spuścili tratwę na wodę. Trzymając ją na konopnej linie, popchnęli na środek jeziora. Tratwa okręciła się na lekko pomarszczonej wodzie. Rozerwała się kadzidlana mgiełka, unosząc się w powietrze malutkimi kłębkami.

Z zapartym tchem wszyscy podziwiali piękno tej, którą bóg zesłał im trzynaście lat temu.

Stojąca na tratwie Zenobia, nie była już ani kobietą, ani dzieckiem. W aureoli, jaką tworzyły refleksy światła odbitego od wody wydawała się zjawiskiem niemającym już nic wspólnego z istotą ludzką.

Abdonaj wolnym krokiem podszedł do brzegu jeziora. Wszedł do wody, mocząc końce szerokich spodni. Wzniósł obie dłonie nad głową i przerywając ciszę, wypowiedział pierwsze słowa modlitwy:

– Baalszaminie! Wszechmocny boże moich ojców i ojców moich ojców, moje życie należy do ciebie! O Baalszaminie, który dajesz i odbierasz, który wyciągasz do ludzi swą życzliwą dłoń, który zsyłasz światu dzień i noc, wszyscy jesteśmy twymi sługami. Lękamy się ciebie, ojcze światła dziennego i naszych narodzin, ciebie, który jesteś uosobieniem woli nieba. Uchroń nas od nieszczęść, chorób i ubóstwa. Zachowaj twą łaskę dla nas. Zwróć twe oczy ku nam. O Wszechmocny, spójrz na tę, która błyszczy w zwierciadle pustyni, a którą sam nam zesłałeś. Zenobia jest darem od ciebie. Zachowaj ją w swej opiece aż do końca świata.

Wszystkie usta podjęły chóralnie modlitwę:

– Baalszaminie! Ojcze światła dziennego i naszych narodzin. Uchroń nas od nieszczęść, chorób i ubóstwa. O Baalszaminie, Zenobia jest darem od ciebie, zachowaj ją w swej opiece aż do końca świata!

Starzy Maazinowie rzucili garście kadzidła do palenisk. Wołanie tłumu dołączyło się do głosu Abdonaja. Przybierając na sile, dźwięk ten odbił się od powierzchni jeziora i skalistych ścian, rozszedł się niczym wiatr na nagiej pustyni Turaq Al'llab.

Zenobia stała nieporuszona na tratwie w coraz silniejszym blasku słonecznego światła odbijającego się

w wodzie. Tratwa kołysała się lekko, podczas gdy noże spadały na szyje jagniąt i gołębi. Krew zwierząt ofiarnych trysnęła do wody, czerwona plama dochodziła do skraju szaty Zenobii.

Wszystkimi obecnymi wstrząsnął dreszcz. Melodia modlitwy wibrowała im w skroniach i piersiach, nozdrza zatykała woń kadzidła zmieszana z zapachem palonego mięsa i tłuszczu. Zenobia wyglądała jak klejnot wprawiony w drogocenny pierścień oazy. Wydawało się, że utrzymuje się na wodzie za sprawą jakiegoś cudu. Tego samego cudu, od którego woda trysnęła w środku pustyni. Tego jedyne go cudu życia, który przynosi błogosławieństwo bogów.

\* \* \*

Po dłuższym czasie, gdy opadło wzruszenie i ucichła wrzawa, Abdonaj zawołał:

– Ja, Abdonaj, oświadczam wszystkim obecnym tutaj w dniu trzynastych urodzin Zenobii, że wkrótce zostanie ona królową Palmyry. Dostojny Egzarcha Odenatus, syn plemienia Mattabolów, przedstawiciel Rzymu w Palmyrze, pragnie poślubić najpiękniejszą z gwiazd pustyni. Pragnie mojej córki Zenobii, chce, żeby Maazinowie i Mattabolowie utworzyli jedno silne plemię, władające karawanami od Eufratu do bram Rzymu, od Charaksu do Antiochii. I żeby za pośrednictwem Zenobii Baalszamin stał się jego bogiem. Poprosił mnie o jej rękę zgodnie z naszymi prawami. A ja, Abdonaj, jej ojciec, wyraziłem

zgode. Dziś, w ten dzień, mówię wam, że gdy tylko popłynie kobieca krew, Zenobia, córka Baalszamina, córka Abdonaja, zostanie żoną Odenatusa!

Na twarzach mężczyzn pojawiły się uśmiechy, kobiety zasłoniły rękoma usta, z których wydobył się okrzyk radości. I wówczas wszyscy ujrzeni, jak na jeziorze zakolysała się tratwa pod stopami Zenobii. Nagle przestała ona przypominać boginię, była teraz zwykłą dziewczyną zaskoczoną słowami ojca. Woda wokół tratwy zmarszczyła się w drobne falki. Niektórzy przełękli się, że Zenobia wpadnie do wody jak w dniu swoich narodzin. Aszemu, która nie spuszczała oczu ze swej wychowanki, odruchowo wyciągnęła ku niej ramiona.

Młodzi Maazinowie pociągnęli za konopny sznur, by ściągnąć tratwę do brzegu. Namoczona, ciężka tratwa pogrążała się w wodzie. Zenobia z pobladłymi policzkami, z zaciśniętymi ustami trzymała się kurczowo włóczni, by nie stracić równowagi. Nie zwracała najmniejszej uwagi na radosne okrzyki tłumu. Wydawało się, że w ogóle ich nie słyszy, podczas gdy Abdonaj śmiał się głośno i przyjmował płynące zewsząd gratulacje.

Starzy Maazinowie ponownie dorzucili garście kadzidła do palenisk. Kobiety wydawały ostre, weselne piski, kręcąc swoimi szalami. Oazę Dingir-Dusag – tak pięknie nazwaną – Pocałunek Nieba, ogarnęła ogromna radość. Czego lepszego można byłoby pragnąć dla trzynastoletniej dziewczyny, jeśli nie męża, który zapewni jej władanie wszystkimi bogactwami pustyni?

## SIRMIUM

Posiadłość podmiejska leżała sześć kilometrów poza Sirmium. Jej mury dominowały nad żyznymi polami i sadami rozsianymi w dolinie daleko na północ aż do Dunaju. Wiodła do niej długa piaszczysta droga. Na ostatnim kilometrze obrośnięta krzewami, w których grały tysiące cykad, biegła prosto jak strzeła do willi, tak iż z daleka widać było, gdy ktoś nią jechał. Toteż przybycie Aureliana i jego eskorty wywołało ogromne zamieszanie.

Aelcan, stary rządca, kazał otworzyć skrzydła ciężkiej, żelaznej bramy. Pobiegł drogą, wołając co sił w płucach:

– Aurelian! Aurelian!

Z uśmiechem odsłaniającym kilka zębów, jakie mu jeszcze pozostały, nie czekał, aż Aurelian zeskoczy z wozu, lecz złapał go za rękę. Objęli się tak, jak żołnierze po bitwie, z której cudem uszli z życiem.

– Aurelianie, mój chłopcze!

Uścisk jego rąk był nadal twardy. Wiek naruszył tylko jego włosy i zęby. Urodził się w nadbrzeżnych okolicach Bretanii sześćdziesiąt lat temu, a jego potężna postać budziła grozę w czasach buntu Galii przeciw Rzymianom. Płaski brzuch miał ściśnięty skórzanym pasem podobnym do tych, jakie nosili zapaśnicy na arenie. Na łysej głowie nosił zawsze spiczastą czapkę wyzwoleńców – zimą



filcową, latem lnianą.

– Julia Kordelia powiadomiła mnie, że wracasz. A ja już w to zwątpiłem, nich mi Mitra wybaczy! Czasy dziś są zbyt burzliwe, żeby można było w coś wierzyć.

Aurelian roześmiał się, rzucił lejce i wziął w ramiona dawnego niewolnika swego ojca. Był naprawdę wzruszony, bardziej, niż chciałby to okazać. Aelcan uosabiał całą historię jego rodzinnego domu. Niegdyś barbarzyńca, pojmany, został niewolnikiem Applusza Aurelianusa, który w przeszłości też był niewolnikiem, a potem wyzwolencem rodu Aurelianów. Bogowie chcieli, żeby Aelcan stał się najbliższym przyjacielem swego pana, jego najpewniejszym oparciem. Wyzwolony, nie opuścił rodziny. A po śmierci Applusza przelał całą swą miłość na Julię Kordelię, ich syna i córkę.

Przez dwadzieścia lat nieprzerwanie dawał im dowody swej wierności, umiejętnie kierując służbą.

Aurelian czuł, że ludzie z eskorty patrzą na nich z pobłażaniem. Zwolnił uścisk. Aelcan nie posiadał się z radości. Podziwiał zbroję Aureliana, rozpoznał natychmiast czerwoną wstęgę na skórzanym napierśniku.

– Jesteś legatem, no, no! – Nagle spoważniał i szepnął: – Jakimże byłoby to szczęściem dla Applusza. Niech bogowie sprawią, aby twój ojciec ujrzał cię takim, jakim ja cię teraz widzę, mój chłopcze.

„Mój chłopcze”! Tak właśnie zwracał się do niego zawsze Aelcan. Nigdy „panie” lub „synu pana”. Aurelianowi podobało się to tak samo jak lekcje

szermierki, taktyki, twarda zaprawa do walki, jakie odbywał pod kierunkiem Aelcana, który nigdy mu nie pobił.

– Ty także możesz być dumny. Postępowałem zgodnie z twoimi radami, o czym barbarzyńcy niejedną raz się przekonali!

Aelcan zaśmiał się, a jego oczy błyszczały mocniej niż zwykle.

– Mógłbym cię nauczyć jeszcze więcej, bądź pewien!

Chcąc zapanować nad wzruszeniem, zawołał niewolników, którzy wybiegli pospiesznie z domu. Kazał im pozdrowić z szacunkiem Aureliana. Większość z nich kupiona została po tym, jak opuścił dom, i wcale go nie znała.

– Oto Aurelian, syn waszej pani, bando głupków. Pochylcie głowy!

Aurelian podał płaszcz egipskiemu chłopcu, który spoglądał na niego pełnymi podziwu oczyma.

– Widzę, że nie straciłeś poczucia humoru, drogi Aelcanie!

– A dlaczego miałbym tracić? Pamiętasz pierwszą z moich maksym?

– Oczywiście! – I jednocześnie ze starym wyzwoleniecem zadeklamował sentencję, z której pomocą Aelcan po śmierci ojca Aureliana łagodził jego złość i ból: „Gdy chcesz mieć dobry nastrój, pomyśl o słońcu odbijającym się w mieczu, utop zły humor we krwi wroga”.

Aelcan mrugnął okiem.

– Chodź, jest jeszcze ktoś, kto zna ten sekret. Klodia rozszarpie mnie na kawałki, gdy dowie się, że cię zatrzymywałem.

– Moja siostra będzie musiała jeszcze zdobyć się na cierpliwość. Najpierw muszę oddać cześć ojcu.

\* \* \*

Za solidną żelazną bramą znajdował się pierwszy dziedziniec posiadłości, otoczony portykami prowadzącymi do stajni, kuchni, piekarni, prasy do tłoczenia wina oraz do różnych składzików. Aurelian od pierwszego rzutu oka dostrzegł pewne zmiany. Przylegające do zewnętrznych murów mieszkania niewolników zajmowały teraz całe piętro nad jednym z portyków. Na środku dziedzińca, na murowej podstawie, stał ołowiany zbiornik. Wystające z jego boków rury wchodziły pod płyty podwórza.

– Twoja siostra lubi zmiany – zażartował Aelcan. – Julia Kordelia nie odmawia jej niczego, tak więc czeka cię jeszcze niejedna niespodzianka. Ale przynajmniej *lararium*<sup>[12]</sup> jest nadal na swoim miejscu!

Wyzwoleniec wszedł przez sklepienie drzwi sąsiadujące z pomieszczeniami kuchennymi. Aurelian, idąc za nim, mijał służbę zgromadzoną pod portykami. Za plecami usłyszał stukot kopyt koni wjeżdżających na podwórze i silny głos Aelcana, który rozkazującym tonem

wydawał ludziom polecenia, do jakiej mają się udać pracy.

Za Aurelianem jak cień podążał egipski niewolnik, który trzymał jego płaszcz w uniesionych wysoko rękach, aby nie ciągnął się po ziemi.

Aurelian zdjął także hełm i pendent przyozdobiony złotymi muszelkami z zawieszonym na nim ciężkim *parazonium*.<sup>[13]</sup> Miecz uderzał w brodą chłopca, który starał się to ignorować. Aurelian z uśmiechem pogłaskał go po policzku i wszedł do kapliczki.

Było to sklepienie pomieszczenie w ziemi przypominające piwniczkę. Ciemności słabo rozpraszały dwie lampki. W palenisku żarzyły się węgle. Aurelian zapalił pochodnię umocowaną w pierścieniu z brązu. Smoła zapłonęła złotawymi iskierkami. Nad ołtarzem ukazała się marmurowa twarz Appliusza. Z mroku wyłoniły się pokrywające ściany malowidła. Wokół niewielkiej świątyni wspartej na grubych kolumnach rozciągał się sad z ozłoconymi słońcem gałęziami. Na kamiennej nawierzchni podwórca wił się wąż, geniusz<sup>[14]</sup> ogniska domowego, dwaj młodzieńcy z podwiniętymi tunikami uosabiali lary.<sup>[15]</sup> Przedstawieni w pozach tanecznych, wyciągali rogi obfitości ku Weście z gęstwiną loków na głowie. Jej twarz zawsze przypominała Aurelianowi twarz matki.

Na ścianie naprzeciw widniały wizerunki przodków Appliusza i Julii Kordelii. Kolory malowideł już wyblakły i pożółkły od panującej tu wilgoci, jakby mury, na których je przedstawiono, chciały wchłonąć je w siebie na zawsze,

z dala od zasięgu władzy bogów.

Królujące w centrum kapliczki popiersie Appliusza z czerwonego marmuru wydawało się jednak jeszcze bardziej żywe. Twarz szersza niż u Aureliana, usta bardziej zaokrąglone i znacznie łagodniejszy kształt szczęki. Gładkie policzki i faliste uczesanie zgodne z modą epoki cesarza Sewera Aleksandra. Czoło i podbródek, identyczne jak u syna, wyrażały silną wolę i nieprzejednanie. Niektórzy mówili o podobnym uporze i okrucieństwie.

Aurelian poczuł, jak odżywa w nim dawne, nieodparte wzruszenie.

Jako dziecko kochał ojca uczuciem pełnym podziwu i zachwytu. Po jego śmierci czuł się zbity z tropu, zdradzony. Appliusz zrobił wszystko, żeby jego syn został doskonałym żołnierzem, wybitnym Rzymianinem. Grzebiąc swą przeszłość niewolnika, dążąc ze wszystkich sił, żeby być najbardziej przykładowym obywatelem wśród wyzwolenców cesarstwa, nieustannie opowiadał Aurelianowi o potędze Rzymu.

Aż pewnego słonecznego, pogodnego jak dziś, w idy kwietniowe, po święcie Kybele Wielkiej Matki, odszedł na zawsze. O jedenastej godzinie dnia. Bez krzyku, spokojnie, leżąc we własnym łóżku.

Umarł jak człowiek, który odwraca się plecami do swoich bliskich i odchodzi.

Nawet nie podnosząc ręki w geście pożegnalnym. Nawet bez spojrzenia, które łączy pod koniec bitwy tego, który umiera, i tego, który zabija.

Nie poczekał na to, żeby Aurelian mógł dowieść mu, co jest wart.

Nigdy potem Aurelian nie czuł już obecności ojca. Nigdy ojciec nie odwiedzał go w snach, nie dodawał odwagi podczas wrzawy bitewnej. Nie był obecny, gdy jego syn odnosił zwycięstwa, gdy dostępował zaszczytów, gdy wznoszono okrzyki na jego cześć. Nie dowiedział się, że syn zaszedł znacznie dalej, niż sięgały marzenia ojca.

Aurelian schylił się, wziął nasiona cedru i mirtu z brązowych mis ustawionych u stóp ołtarza. Sypnął nimi do paleniska. Rozszedł się znajomy, kojący zapach dymu. Podnosząc się, Aurelian odczytał machinalnie trzy słowa wygrawerowane pod popiersiem ojca:

## **VIRTUS, PIETAS, FIDES**

Trzy tak dobrze znane słowa, tyle razy wymawiane i słyszane, tak doskonale wygładzone w myśli, że stały się podobne do bezcielesnych cieni. Mimo to Aurelian zadrżał, jakby w tym momencie usłyszał głos ojca. *Virtus, Pietas, Fides*.. Męstwo, szacunek, wierność. Filary wielkości Rzymu.

W tych trzech słowach zawierała się świetność najpierw republiki,  t następnie cesarstwa. Słowa, które uczyniły Cezara, Augusta i Hadriana władcami świata oraz wybrańcami bogów, dopóki nie utraciły znaczenia przez nieudolność, głupotę i szaleństwo ich następców.

Jednak Appliusz wkładał je codziennie w uszy swego

syna, jakby sypał w ziemię ziarno i czekał niecierpliwie, aż wszędzie.

*Virtus, Pietas, Fides!*

Aurelian nieświadomie spojrział na usta ojca, jakby spodziewał mi, >.o usłyszy, jak on je wymawia.

I usłyszał. Zdawało mu się, że szepcze je całe *lararium*.

Czy miał to być tak długo oczekiwany znak? Czy Appliusz przestał odwracać się plecami do syna?

Co za głupota!

Aurelian zdał sobie nagle sprawę ze śmieszności swych uczuć.

On, trzydziestosiedmioletni mężczyzna, który własnoręcznie powalił kilkuset wrogów, dowódca, którego czyny zagrzewały do walki serca legionistów, teraz nasłuchuje, czy nie usłyszy głosu padającego z kamiennych warg posągu ojca!

Jego nauki miał we krwi i w sercu. Nie potrzebował czarów.

Uniósł na wysokość marmurowych oczu Appliusza rękę, która bez wahania zabijała wrogów Rzymu.

– Niczego nie zapomniałem, ojcze. Mimo twego milczenia.

Ze skórzanego woreczka przypiętego do paska wyjął złotą bransoletę i położył na marmurowej głowie.

– Zdjąłem ją dla ciebie z ramienia Sarmaty, barbarzyńskiego wodza – szepnął z dumą. Dowodził ponad tysiącem ludzi, a ja pokonałem ich z jedną kohortą. Niech

bogowie, niech Słońce Niezwyciężone i Mitra sprawią, żebyś usłyszał dumny głos twego syna Aureliana, wolnego obywatela Rzymu.

Przymknął powieki pod wpływem nagłego wzruszenia, które zaraz minęło.

Usłyszał szuranie sandałów na progu kapliczki i szept:  
– Aurelianie! – Poznał głos siostry. – Aurelianie, to ja, Klodia.

\* \* \*

Miała na sobie dwuczęściową tunikę w dwóch kolorach – szkarłatnym i pomarańczowym – ułożoną w fałdy, z głębokim dekoltem. Skóra między odsłoniętymi piersiami była bardzo blada, delikatna. Wyciągnęła do niego ręce ozdobione ciężkimi bransoletami ze złota i srebra.

– Aurelianie!

Fałdy tuniki, opływające biodra, podkreślały wdzięk sylwetki tak, iż Aurelianowi zabrakło tchu. Światło igrało na jej kruczoczarnych, krótko obciętych włosach, które przytrzymywała opaska z żółtego jedwabiu z wszytymi wien dwiema perłami. Duże, pełne usta otworzyły się w uśmiechu, o którym marzył tysiące razy. Uśmiech twardy i zarazem zniewalający jak stalowy sztylet. Może wrażenie takie potęgowały wysokie policzki, które odziedziczyła po matce. A może jaskrawoczerwona szminka na wargach, kontrastująca z pudrem na nosku.



Niezmienny pozostał czysty błękit oczu, tak podobnych do oczu Aureliana, tak samo fascynujących, zagadkowych.

Aurelian wierzył, że czas i długa rozłąka uwolniły go od ich wpływu. Mylił się! Pod skórzanym pancerzem jego ciało drżało od napięcia, którego zazwyczaj doświadczał tylko przed walką.

Niech bogowie mają go w swej opiece! Klodia, dziś już dojrzała kobieta, miała nad nim jeszcze większą władzę niż dawniej.

Klodia, jego siostra, jedyna kobieta, którą nie gardził.

– Nie poznajesz mnie? – zapytała z gardłowym śmiechem.

– Ależ tak, poznaję. Jak mógłbym cię zapomnieć, siostró?

Zabrzęczały bransoletki, gdy palcami dotknęła warg brata.

– Nie było cię dziesięć lat, Aurelianie. Opuściłeś dom pięć dni po moich osiemnastych urodzinach. Nigdy nie pojmiesz, jak bardzo się bałam, że cię już więcej nie zobaczę. Tysiące razy śniło mi się, że zginąłeś w bitwie. Budziłam się z obawą, że zabiłam cię moimi myślami. – W jej oczach zabłyśły łzy. – Aurelianie, nie zostawiaj mnie już nigdy więcej z dala od siebie!

Pachniała nieznanymi perfumami, których ostra woń przypominała wschodnie kadzidła. Aurelian zdobył się na żartobliwy ton.

– Nie zabito mnie. Jestem tutaj. To ja zabijałem.

Nie poczuła się urażona tym tonem, przeciwnie,

przymrużyła oczy, czując przyływ wielkiej radości.

– Tak, tak, o tym także śniłam! Widziałam cię, jak zwycięzasz! Z twoich listów również wynikało, że stałeś się kimś wybitnym. Odczytywałyśmy je z matką setki razy!

Chwyciła ręce Aureliana i uniosła do swoich warg.

Nie wytrzymał dłużej. Wtulił twarz w jej dłonie.

– Jakże mi ciebie brakowało, Klodio! Tak bardzo za tobą tęskniłem!

Ich spojrzenia połączyły się, przywarli do siebie, twarz przy twarzy, jej pierś wsparta na jego pancerzu, niczym dzieci lub kochankowie, bez dalszych słów, które wyrażałyby ogrom szczęścia. Aurelian przycisnął Klodię tak mocno, że aż zaboląły ją piersi od twardych emblematów Rzymu na pancerzu. Wyczuła, że on drży i uśmiechnęła się w duchu uspokojona.

\* \* \*

Aelcan powiedział prawdę. Wygodna, wiejska willa zbudowana przez ich ojca przestała istnieć. Na skrzydłach dodano nowe pomieszczenia. Umeblowano je luksusowo, ściany ozdobiono pięknymi malowidłami.

Różany ogród łączył kolumnadę *atrium*<sup>[16]</sup> z *triclinium*, dawną salą jadalną. Kiedyś ciemna i wąska, teraz zmieniła się w przestronne pomieszczenie. Nowe w niej były łoża, okryte żółtym jedwabiem z Antiochii. Obniżony sufit dawał łagodny cień. Wysokie okna

wychodziły na trzy strony, przenośne parawany i grube rolety osłaniały je zarówno od zimowych wiatrów, jak i od wielkich upałów.

Klodia powiedziała, że teraz mogą odświeżać się w basenie Kybele.

Aurelian zdziwił się. O jakim basenie ona mówi? Lekkim krokiem przebiegając po wspaniałej mozaice pełnej afrykańskich ptaków i zwierząt, pociągnęła go do okna wychodzącego na zachód.

– Spójrz!

Zniknął stary mur sadu z drzewami owocowymi. Został z niego tylko niski murek okalający zaokrąglony na kształt łuku basen, w którego wodzie odbijała się kolumnada. Postawione na posadzce z żółtego marmuru kolumny ozdobione pilastrami ze ślimacznicami prowadziły do małej świątyni Kybele, ukończonej dopiero po ostatniej zimie. Jej fronton dominował nad przepiękną amfiladą dolin. W gęstwinie drzew laurowych znajdował się stiukowy relief, pomalowany żywymi kolorami, który wyobrażał Magna Mater, stojącą na wozie ciągniętym przez byka Mitry.

Aurelian patrzył z zachwytem. Wreszcie tonem zdradzającym zaskoczenie zapytał:

– Czy staliśmy się bogaci?

Klodia roześmiała się, przytulając się piersią do jego ramienia. Czuł, jak śmiech siostry wibruje w jego ciele.

– O tak! Jesteśmy bogaci. To matka przysparza nam bogactw! Nie ma już w Sirmium ani jednej rodziny, która

potrafiłaby się obejść bez jej wróżb. I nie tylko w Sirmium! Przybywają zewsząd. Z całej Panonii, Mezji i nawet z Dalmacji. Chyba całe cesarstwo przybiega do świątyni Słońca Niezwycięzonego w Sirmium, by słuchać wielkiej kapłanki Julii Kordelii!

Zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, Klodia otworzyła drzwi wiodące do basenu i poprowadziła go między kolumnami do świątyni Kybele. Na jej szyi igrały na przemian słońce i cień, oświetlając lub przesłaniając fałdy tuniki. Sylwetka dziewczyny odbijała się w pomarszczonej przez wietrzyk wodzie basenu.

Strząsnęła kilka muszek, które usiadły na jej policzkach. Błękitne tęczęwki oczu błyszcząły niecodziennym blaskiem.

– Czy legat Aurelian nie jest zadowolony z tego, czym stała się posiadłość jego ojca?

Odbijający się od wody głos miał tę samą ostrość co jej perfumy. Aurelian nic nie odpowiedział. W tym momencie, w tej pozie, w tym przepięknym otoczeniu, będącym dopełnieniem urody i siły, Klodia wydała mu się uosobieniem bogini Kybele.

– Chodź – powiedziała. – Kąpiel jest gotowa. Będiesz mógł się odprężyć przed posiłkiem, a ja mam ci jeszcze wiele do opowiedzenia.

\* \* \*

Woda w basenie była gorąca. Wilgotne powietrze

łaźni tłumilo światło wpadające przez cztery okrągłe okienka osłonięte płytkami z matowego szkła.

Aurelian w asyście milczących służących o nieprzeniknionych twarzach, którzy przynosili olejki, perfumy i lniane ręczniki, przeszedł do głębszej części basenu. Para rozstępowała się przed nim. Pod wodą ukazała się postać brodatego, brzuchatego Neptuna z trójzębem w ręku. Grube wargi boga wydawały się wykrzywione pod zmarszczoną powierzchnią wody. Podobnie jak i reszta domu, *caldarium* i *tepidarium*,<sup>[17]</sup> zostały również odnowione. Mozaika na sklepionym suficie z drobnych płytek przedstawiała ogromne słońce, którego czerwone promienie sięgały kamiennej podłogi. Para i słabe światło tworzyły przedziwną, jakby nocną atmosferę.

Aurelian zaczerpnął dłonią wody i obmył nią twarz. Nagle poczuł ociążałość w ramionach i nogach po całodniowym zmęczeniu. Przepłynął trochę, zanurzył się i pozostał jakiś czas pod wodą, poddając nagie ciało jej pieszczocie.

Na górze przy schodkach czekał służący z rozłożonym ręcznikiem. Aurelian rozkazał zwinąć go tak, aby oparłszy na nim głowę, mógł pozostać w wodzie przy skraju basenu. Leżąc nieruchomo, napawając się odurzającym ciepłem, usiłował nie myśleć o Klodii.

Musiał zasnąć na krótką chwilę, bo nie usłyszał kroków niewolników opuszczających *caldarium*. Otworzył powieki i drgnął pod dotykiem palców, które gładziły go

po czole.

Klodia klęczała tuż przy twarzy brata. Poła jej tuniki pływała po powierzchni wody. Gorąco zaczerwieniło jej policzki. Kropelki potu ściekały po nosie.

– To niebezpieczne zasypiać podczas kąpieli – szepnęła.

Aurelian w odruchu wstydu przekręcił się na brzuch. Klodia z uśmiechem podniosła się i poszła po nowy ręcznik z podręcznego stolika. Na sekundę zniknęła w półmroku, nierealna niczym zjawą.

– Przejdźmy do *tepidarium*, namaszcę cię tam oliwą – powiedziała.

Aurelian udał zdziwienie.

– Czy nie ma niewolnika, który potrafi to zrobić?

– Daj spokój, starszy bracie! Czy zapomniałeś, że nikt nie umie masować cię lepiej niż twoja siostra?

– Nie jesteśmy już dziećmi, Klodio.

Spojrzała na niego uważniej.

– Czy mój brat wrócił obojętny wobec mnie? Czy zapomniał o miłości, której tyle dowodów dawał mi, zanim odjechał?

Aureliana zakłóła mocno ta uwaga. Klodia podeszła do brzegu basenu. Nieoczekiwanie zanurzyła palce we włosach brata.

– Czy spotkałeś kobietę, która mogłaby zostać twoją żoną?

– Nie.

– A może kobietę, która byłaby tak doskonałą

kochanką, że musiałabym się wstydzić?

Aurelian najdelikatniej, jak potrafił, wyjął jej rękę ze swoich włosów.

– Nie mów tak, Klodio. Już od dawna powinnaś mieć męża.

Jej usta wykrzywił ni to uśmiech, ni to grymas. W niewyraźnym świetle czerwone wargi wydawały się czarne.

– Nie licz na to, Aurelianie. Dotrzymuję obietnicy, którą złożyłam, będąc małą dziewczynką. Nie chcę innego męża niż mój brat.

Zmieszany Aurelian lekko się uśmiechnął. W gorącej wodzie basenu jego członek zeszywniał i uniósł się, zanim zdążył temu zapobiec.

– Już nie jesteś małą dziewczynką! – zaprotestował.

Bez słowa spojrzała mu głęboko w oczy. Zamknął powieki, nie mogąc wytrzymać wzroku siostry. Usłyszał, że rozwija ręcznik, aby go nim owinać.

Zerwał się na równe nogi. Wszedł po stopniach. Stał przed nią nagi, pełen pożądania. Woda ociekająca z rozbudzonego ciała odłoniła całą prawdę. Uświadomił sobie własną słabość. Zawsze jej ustępował.

Nigdy nie miał w sobie dość siły, by walczyć z szaloną, zakochaną w nim bez pamięci siostrą.

O bogowie, czy możecie to wybaczyć?

Klodia ze zręcznością niewolnicy owinęła ręcznik wokół jego bioder. Zbierając kropelki wody, palcami musnęła ramię Aureliana.

– Widzę nieznane mi blizny – powiedziała.

Palcami powiodła po obrzmiałej od gorąca szramie. Dotknęła jej ustami. Wyczuł, jak wodzi po niej koniuszkiem języka.

– Tej nie znam, prawda? – szepnęła. – Kiedy byłeś w wodzie, dostrzegłam jeszcze inną na twoim pośladku. Dwie nowe blizny. To niewiele jak na tyle bitew. Czy twoja reputacja to tylko legenda?

Aurelian odepchnął ją ze śmiechem. Skierował się do *tepidarium*. Wonna para wypełniająca łaźnię stawiała mu opór. Chcąc pozbyć się uczucia porażki, powiedział dumnym tonem żołnierza:

– Obie rany odniosłem tego samego dnia. W Mogontacium<sup>[18]</sup> nad Renem. Dowodziłem XXII legionem Primigenia i nie przeszkodziły mi one pokonać Alemanów.<sup>[19]</sup> A ci, których dosięgnął mój miecz, już nie żyją i nie martwią się o swoje blizny. Nie znajdziesz ich na mnie więcej. Legioniści powiadają, że żaden żołnierz Rzymu, nawet Cezar, nie zabił własnoręcznie tylu ludzi przy tak małym rozlewie własnej krwi!



## OAZA DINGIR-DUSAG

Popołudniowe słońce paliło niemiłosiernie. Głośna, świąteczna wrzawa unosiła się aż do nieba nad cudowną oazą Dingir-Dusag. Wymyślna muzyka fletów i cytr rozbrzmiewała między skalnymi ścianami, gubiła się w ogromnej przestrzeni Turaq Al'llab. Od czasu do czasu wybuchały śmiechy ludzi, a potem cichły w przygniatającym upale. Radosne święto urodzin Zenobii trwało w najlepsze. Ale bez niej.

– Obiecał! Obiecał, że mnie zapyta! – tracąc ze złości oddech i machając rękoma, krzyczała w przegrzanym namiocie.

Rozwścieczona rozdarła na sobie suknię i złotą plecionkę, poszarpała całe ubranie. Naga, nagusieńka jak w dniu narodzin, skuliła się na łóżku. A potem, wyczerpana upałem, bez jednej łzy w oczach, wybuchnęła:

– On nie jest już moim ojcem! Nigdy więcej mu nie zaufam! Nigdy więcej! Baalszamin jest po mojej stronie. Wyciąga do mnie rękę! Nie do niego! Nigdy mu nie wybaczę!

Aszemu dziesiątki razy powtarzała te same banalne zdania, te same argumenty, jakimi posługują się w takich okolicznościach kobiety i matki. Ojciec pragnie tylko jej dobra. Czyż nie zostanie królową? Będzie najpiękniejszą,

pierwszą wśród kobiet na całym wschodzie. Czy można chcieć więcej?

– Masz mnie za idiotkę? – zganiła ją Zenobia z pogardą. – Ojciec nie pragnie mego dobra. On pragnie złota i władzy. Ja się nie liczę, nie jestem więcej warta niż wystawiona na sprzedaż wielbłądzica.

Aszemu protestowała słabym głosem, usiłując mówić z przekonaniem, którego nie miała. Przecież tak właśnie się dzieje między córką i ojcem, między wszystkimi córkami i ojcami od początku świata! Czy ona chce to zmienić? Zenobia kwitowała te argumenty z ostrą ironią.

– Nie jestem córką jak inne. On sam tak mówił. Powinien był mnie zapytać. Obiecał, że zapyta. Jest kłamcą i złodziejem! Wszystko, co ma, otrzymał od Baalszamina dzięki mnie.

Aszemu tłumaczyła, że małżeństwo może dojść do skutku dopiero w dniu, gdy Zenobia zacznie krwawić. Do tej pory ma więc czas, żeby się z tym pogodzić, zobaczyć dobre strony.

Śmiech Zenobii ją poraził.

Córka Abdonaja stanęła na łóżku, rozłożyła szeroko ramiona, odsłaniając całą swą nagość, wdzięk niewinności rodzącej się kobiety.

– Ach, ty głupia! Dobre strony?! – zawołała przez łzy, których już nie zdołała powstrzymać. – Nie wiesz, co mówisz. Od tej pory moje dni i noce przesiąkną zapachem Odenatusa, zanim jeszcze do niego się zbliżę. On jest stary, stary, stary! Brakuje mu zębów, ma żółte paznokcie,

zasypia przy jedzeniu! Jest stary, stary! A ja? Spójrz na mnie. Wyobrażasz sobie jego łapska na mnie! O tak, oczywiście, przyzwyczaję się! Zobaczą dobre strony!

Tym razem Aszemu opuściła głowę, nic już nie mówiąc. Zagryzała wargi, żeby Zenobia nie zauważyła, jak drżą. I wtedy dziewczyna przytuliła się nagle do szerokiej piersi swej niani, jak bywało niegdyś, kiedy była jeszcze dzieckiem.

– Zapomina, że w ten sam sposób zabił moją matkę – wyszeptała przerażonym głosem. – On nic nie rozumie!

\* \* \*

Bajeczny bankiet obiecany przez Abdonaja trwał aż do wieczora, a odgłosy wspaniałej zabawy rozchodziły się po całej oazie, ale Zenobia na nim się nie pojawiła.

Leżąc na łóżku, odmówiła ubrania się i opuszczenia namiotu. Nic reagowała na błagalne prośby Aszemu.

– Nie możesz tu zostać. Powinnaś być u boku ojca. Wszyscy na ciebie czekają. Trzeba, żeby cię ujrzeli. Choć na chwilę. Obrażasz ich.

Nie zmieniała zdania i wtedy, gdy przyszli po nią służący przysłani przez Abdonaja. W końcu ojciec przyszedł sam do namiotu, ale nic mógł wejść, bo córka wciąż była naga. Groził, krzyczał poprzez płótno. Zapowiadał, że nazajutrz rzuci Aszemu hienom na pożarcie na pustyni. Odpowiadała mu cisza. Musiał wrócić sam i wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla swojej córki

przed starszyzną Maazinów i zaproszonymi gośćmi.

Ci zaś, słuchając go, zaśmiewali się szczerze, bo każdy z nich wiedział, w jak zły humor wpada dziewczyna, kiedy dowiaduje się, kto będzie jej mężem. Zachowanie Zenobii świadczyło tylko o tym, że Baalszamin obdarzył ją za pośrednictwem ognistej gwiazdy silnym charakterem.

Niespodzianie tuż przed zmierzchem Zenobia zatrzymała służącą, która skończyła podawać placki i ciasteczka. Zażądała od niej tuniki i szala, zmuszając oszołomioną dziewczynę do rozebrania się.

– Co ty wyrabiasz? – zawołała Aszemu.

Zenobia w mgnieniu oka owinęła się w brązową lnianą tunikę i schowała włosy pod zielono-czarnym szalem służącej. Aszemu złapała ją za ramię.

– Gdzie się wybierasz? Nie możesz pokazać się ojcu w takim ubraniu!

Zenobia odepchnęła ją gwałtownie.

– Ojciec nic mnie nie obchodzi. Wiesz dobrze, gdzie idę.

– Zenobio!

– Zostaw mnie – krzyknęła Zenobia, wyrywając się z rąk Egipcjanki. – I nie idź za mną, bo inaczej nigdy więcej już mnie nie zobaczysz!

\* \* \*

W stroju służącej przeszła przez rozbawiony obóz, nie zwracając na siebie uwagi.

Biegła prosto przez gaj palmowy. Minęła jezioro i skalny murek, przy którym dwa dni wcześniej spotkała Schawaada. Podążyła kamienistą ścieżką prowadzącą w głąb wąwozu. Dotarła aż do białych namiotów elkezaitów i zawołała głośno:

– Schawaad! Schawaad!

Słowa te odbiły się echem od skał.

– Schawaad!

Nadbiegły dzieci. Potem mężczyźni i kobiety. W milczeniu stali nieruchomo w pewnej odległości, nie przekraczając granic obozowiska.

Schawaada nie było między nimi. Podeszła kilka kroków bliżej, szukając jego twarzy, ale pomimo że była bardzo zdeterminowana, nie śmiała iść dalej.

– Jestem Zenobia – powiedziała. – Chcę się widzieć z Schawaadem. Muszę go zobaczyć. Błagam was!

Zawahali się. Kobiety odwróciły się do mężczyzn. Jeden z nich wysunął się naprzód.

– Mojego syna nie ma tu, córko plemienia Maazinów.

– Ależ tak – zaprotestowała Zenobia. – Jest tutaj. Proszę, pozwólcie mi go zobaczyć, muszę z nim pomówić.

Ojciec Schawaada odpowiedział po chwili ciszy:

– Nie ma go tutaj, odszedł jeszcze przed najgorętszą porą dnia. Wierz mi.

Mówił prawdę. Zenobia czuła, że nogi się pod nią uginają.

– Gdzie poszedł? – wyjąkała.

– Tam, gdzie będzie się uczyć i ćwiczyć w skromności

należnej jego przeznaczeniu. Nie czekaj na niego, córko  
Abdonaja, ani dziś, ani jutro. Wracaj do swoich.

## SIRMIUM

Świeże powietrze w *tepidarium* na moment przyniosło mu ulgę. Była to mała, wąska salka z dwiema kamiennymi ławeczkami okrytymi zielonymi prześcieradłami. Fresk między niszami, w których stały fiolki z pachnącymi olejkami, przedstawiał bożka Pana, nagiego, z imponującym członkiem. Jedną rękę bóg trzymał na pośladkach śpiącej bachantki.

Aurelian, ukrywając zmieszanie, położył się na brzuchu, a Klodia tak samo zręcznie jak przedtem owinęła go, teraz zdjęła ręcznik z jego bioder. Już samo to wywołało w nim jeszcze większe pożądanie. Przytłumionym głosem opowiadał:

– Zdarzyło mi się walczyć z kobietami. Z barbarzyńskimi Sarmatkami. Były ubrane w pancerze, uzbrojone jak mężczyźni, i walczyły tak samo mężnie jak oni. A może nawet z większym okrucieństwem. Bez mrugnięcia okiem wystawiały piersi na uderzenia mieczem i umierały z uśmiechem na ustach. Kto mógłby wyobrazić sobie coś podobnego?

Klodia dłońmi tłustymi od olejku migdałowego dokładnie masowała muskularne plecy Aureliana. Po chwili milczenia głosem obojętnym, dziwnie pozbawionym emocji, odezwała się:

– Matka twierdzi, że Słońce Niezwyciężone zsyła na ciebie swoje promienie. Potwierdzają to haruspikowie. <sup>[20]</sup> Nie jest ci dane umrzeć w bitwie. Ani jutro, ani pojutrze.

Z zamkniętymi powiekami, z twarzą przyciśniętą do prześcieradła, Aurelian mruknął coś z niedowierzaniem. Nie wątpił, że matka badała jego przyszłość na podstawie wnętrzości wszystkich ptaków i wszystkich czworonożnych zwierząt, które trafiły pod jej nóż. Ale to, co z nich odczytywała, świadczyło, że była nie mniej zaślepiona niż inne matki chcące poznać przeznaczenie synów. Bogowie Rzymu potrafili jeszcze bardziej niż pieśzcoty Klodii zaćmić rozum najmądrzejszym z mądrych.

– Bitwa polega na tym, że albo się zwycięża, albo umiera – wymamrotał. – Nie należy wyobrazać sobie, że jest się wybrańcem bogów. To mistrzowie w tworzeniu iluzji. Jesteśmy tylko igraszką w ich rękach.

– Już nie wierzysz w naszych bogów?

– Wierzę w Mitrę. On nie należy do tych bogów, którzy udzielają łask i opieki. Jest siłą, która karmi się ogniem Słońca Niezwyciężonego, krwią i nasieniem Byka Początków. Dlatego jest bogiem wojowników, a nie kobiet i zwyczajnych obywateli. Kto wierzy w obecność i moc Mitry, ten nie przejmuje się przepowiedniami i czuje się dumny z tego, że jest istotą śmiertelną.

Klodia milczała. Aurelian usłyszał jakieś dalekie hałasy. Z ulgą poczuł, że pożądanie spłynęło z jego bioder.

– Słońce Niezwyciężone ofiarowuje wróżby, Mitra nie



– podjęła Klodia ze stanowczością w głosie. – Matka nigdy się nie myli. Stanie się tak, jak chce tego twoje przeznaczenie.

Aurelian westchnął. Dzięki masażowi Klodii odprężył się. Oczywiście ani ona, ani ich matka nigdy nie podawały w wątpliwość zawitych tajemnic przepowiedni.

– A co mówią te wróżby? – zapytał.

– Że zostaniesz władcą Rzymu. Otrzymasz tytuły augusta i cezara!

Zaskoczony odwrócił się.

Oczy Klodii błyszczały w słabym świetle *tepidarium*. Tunika unosiła się na wzburzonej piersi, wilgotny od pary materiał przylgnął do brzucha i pośladków bardziej nieprzyzwoicie, niż gdyby była naga. Rozbawiona pożądliwym spojrzeniem Aureliana, kazała mu leżeć na plecach. Nic stawiał oporu.

– Mnie to nie dziwi. Wiedziałam o tym od dawna, jeszcze przed wróżbami matki.

August i cesarz! Marzenie Julii Kordelii. Marzenie i szaleństwo Klodii.

Dłońmi umoczonymi w olejku masowała delikatnie jego członek. Aurelian poddał się, nie opierał się już temu szaleństwu pożądania, które przenikało jego biodra pod wpływem zakazanych pieszczot. Przez jeden moment zapragnął poczuć wargi Klodii na swoim ciele, na członku. Żeby wtopiła się w niego, a on w nią. Zapragnął wziąć ją w ramiona, gotową przyjąć jego twardość, chciał ssać jej sutki, upajać się jej wzrokiem, gdy będzie umierać

z rozkoszy!

Z zamkniętymi powiekami, z suchym gardłem, dyszał niczym zwierzę ofiarne. A potem podniósł się i chwycił rękę siostry.

– Nie.

Zmarszczyła brwi. Powstrzymywane pożądanie nadało jej twarzy niecodzienny wyraz. Dziecięcy, trochę jakby zagubiony.

– Dlaczego? Przecież pożądasz mnie tak samo jak ja ciebie – zachichotała.

– Nie.

– Robiliśmy już to niejeden raz. Co się zmieniło?

– Nie będziemy tego więcej robić. Brat i siostra nie mogą być kochankami.

– Nie bądź głupi. Bogowie tak robili i nikt ich za to nie potępiał.

Głos Klodii brzmiał stanowczo, władczo. Aurelian zaśmiał się. Wstał gwałtownie z ławki, okrywając się prześcieradłem.

– Przed chwilą chciałaś być siostrą cesarza, a teraz chcesz żyć jak bogowie!

Zanim Klodia zdążyła zareagować, rozległy się nawoływania. Aelcan wydawał jakieś rozkazy. Do dusznego pomieszczenia docierał przytłumiony przez ciężką, skrzypiącą na brązowych zawiasach bramę odgłos kół na brukowanym dziedzińcu.

Klodia zdążyła się już opanować.

– Matka wróciła. Przygotowałam dla ciebie togę.

Będzie szczęśliwa, gdy zobaczy cię w niej przy posiłku. Nieczęsto się to zdarza. Może przyjmiesz z jej ust to, czego nie chciałeś przyjąć z moich?

\* \* \*

Zaledwie jednak zajęli do posiłku miejsca na łóżach, gdy Aelcana wywołał z jadalni niewolnik. Stary rządca wstał niezadowolony i usprawiedliwiając się, wyszedł. Po chwili wrócił z wiadomością, że na drodze do willi pojawiło się kilkunastu galopujących jeźdźców.

– Wyraźnie się spieszą i zaraz staną przed bramą.

Aurelian spojrział pytająco na matkę, która potrzęsnęła głową bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona.

– Nie spodziewam się nikogo. Moi klienci nigdy nie przybywają tu galopem.

– Lepiej, żeby Aurelian wyszedł im na spotkanie – zasugerował Aelcan z gestem wyrażającym szacunek.

Julia Kordelia, wzdychając z rozczarowaniem, okryła ramiona szalem, gdy wychodzili.

Przez okienko strzelnicze nad główną bramą Aurelian zobaczył tuman kurzu podniesiony kopytami koni. Gęsty, żółtawy od wieczornego światła obłok unosił się nad gajem oliwnym.

Aelcan miał nadal dobry wzrok.

– Wyglądają na legionistów. Hełmy, pancerze, godła...  
– powiedział ze zdziwieniem w głosie.

– Poznajesz godło?

– Jeszcze nie.

Aurelian czekał cierpliwie na potwierdzenie swych przypuszczeń. Potem rozpoznał jabłkowitzką klacz, hełm z opaską ze złoczonego brązu, z białym pióropuszem, brązowego niedźwiedzia w godle. Uspokojony uścisnął ramię Aelcana.

– Nie ma powodu do obaw. To trybun z mojego legionu.

Aelcan burkliwie stwierdził, że trzeba mieć dobry powód, żeby tak popędzać konie, i wydał rozkaz otworzenia bramy.

Maksymus i jego ludzie pokryci byli kurzem. Biała piana ściekała z karków koni.

Bez pozdrowienia, nie schodząc jeszcze z konia, oznajmił:

– Decjusz potrzebuje twojej pomocy.

Na progu westybulu atrium pojawiły się Julia Kordelia i Klodia. Maksymus odwiązał z pendentu skórzany woreczek i wyjął z niego papirus, który podał Aurelianowi.

Aurelian, czytając, usłyszał głos matki, która pytała, co się stało, i głos Maksymusa, który się przedstawił. Podniósł oczy znad cesarskiego pisma i ujrzał przebłysk zainteresowania we wzroku Klodii, gdy Maksymus zdjął hełm. Niewiele kobiet pozostawało obojętnymi na widok jego dłoni, zbyt delikatnych jak na żołnierza, na widok gęstych blond włosów i blizny przecinającej skroń, i tym bardziej podkreślającej urodę efeba.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie Julia Kordelia.

– Cesarz mnie wzywa.

Goci byli w Filippopolis, <sup>[21]</sup> blisko Morza Czarnego. Grabili i łupili, nie napotykając oporu. Decjusz spodziewał się, że wkrótce ruszą na północ ze zrabowanym złotem i niewolnikami.

– Trzeba ich zatrzymać. Decjusz wraz z synem Etruskim podążają już forsownym marszem do Filippopolis. Chce, bym do nich dołączył z XX legionem Valeria Victrix. Musimy ruszać natychmiast.

Klodia i Julia Kordelia zaprotestowały. Przecież nic nie jadł, a legionieści po takiej męczącej jeździe potrzebują odpoczynku.

– Zaraz będzie ciemno – nalegała Klodia. – Poczekajcie do świtu.

Aurelian wymienił spojrzenia z Maksymusem.

– Moi ludzie i ja możemy obyć się bez odpoczynku, Aurelianie. Ale konie nie zrobią już więcej niż dziesięć mil.

– Weźmiecie konie ze stajni, tyle ile wam potrzeba – powiedziała Julia Kordelia. – A cesarz i Goci mogą poczekać godzinę dłużej.

\* \* \*

Podczas krótko trwającej kolacji Aurelian był milczący i zniecierpliwiony. Za to Maksymus wiele mówił, prawił komplementy na przemian to Julii Kordelii, to Klodii, rozśmieszał je, dzięki czemu nie zdawały sobie

sprawy z upływu czasu.

Zanim zapadły całkowite ciemności, Aurelian zmienił togę na strój oficera. Gdy młody niewolnik egipski pomagał mu zapinać pancerz i pendent, nagle pojawiła się Klodia. Wskazując na chłopca, zapytała:

– Zabierzesz go ze sobą? On bardzo by tego chciał.

– Wyruszam na wojnę. Co bym tam robił z takim dzieckiem?

Klodia nie nastawała. Jej usta wykrzywił gorzki grymas.

– Tak samo nie wiedziałbyś, co robić z siostrą, prawda?

Aurelian obrócił się, żeby chłopiec mógł zawiązać rzemienie skórzanego napierśnika. Klodia podbiegła i popchnęła niewolnika do wyjścia.

– Ja się tym zajmę. Twój pan już cię nie potrzebuje.

Aurelian stał bez ruchu, gdy Klodia zaciągała skórzane rzemyki.

– Nie chcę się z tobą rozstawać, Aurelianie – szepnęła.

– Wiesz, że to niemożliwe – odpowiedział cicho.

– Mylisz się. Mogłabym do ciebie dołączyć w obozie.

Wystarczy tylko, żebyś wydał rozkaz.

– Czy tak bardzo zależy ci na tym, żeby umrzeć? Być zgwałconą lub sprzedaną w niewolę? Mezja tonie w ogniu i krwi. Miasta rzymskie są plądrowane. W takim czasie obóz legionistów jest najmniej bezpiecznym miejscem. Ci, którzy rządzą nieudolnie w tamtych regionach, są zdrajcami. Co byś tam robiła?

– Byłabym z tobą.

Aurelian zniecierpliwiony chwycił płaszcz i zarzucił go na ramiona.

– Jeśli nie w Mezji – nie ustępowała Klodia – to gdzie indziej. Wojna zawsze kiedyś się kończy. Moglibyśmy się spotkać przyszłej jesieni. Nie mów, że to niemożliwe. Wiem, że oficerom towarzyszą żony i kochanki. Nawet prostytutki mają tam swoje miejsce.

– Nie jesteś żadną z nich!

Klodia zaśmiała się. Był to śmiech ostry, głośny, prowokujący.

– Wiedz, że umiałabym być tym wszystkim naraz, mój bracie! – Wskazała na pochodnie płonące na zewnątrz. – Twój trybun, Maksymus, chętnie by się mną zaopiekował. Jestem pewna, że nie skarżyłby się na moją obecność.

– Nie mieszaj Maksymusa do twoich szaleństw! – wybuchnął Aurelian z gniewem.

– Czy jest żonaty?

Aurelian nie odpowiedział.

– Jest tak przystojny, że nawet nasza matka to zauważyła.

– Zamilcz, Klodio! Powiedziałaś już dosyć jak na jeden wieczór. Zostaw mnie samą z twoim bratem – rozległ się głos Julii Kordelii.

Stała na progu pokoju. W jej głosie brzmiała stanowczość, na którą Aurelian nie potrafił się zdobyć. Jednak przekorna Klodia, zanim opuściła pokój, ujęła twarz Aureliana i pocałowała go w usta.

Kiedy zniknęła w ciemnościach, Julia Kordelia podeszła do syna i w uspokajającym geście położyła palce na jego ustach, jakby chciała przypieczętować na nich pocałunek Klodii.

– To minie – powiedziała łagodnie. – Potrzebuje miłości, a nic ma niczego piękniejszego niż duma z brata. Nie miej jej tego za złe.

Obserwowali się w milczeniu. Aurelian zastanawiał się, co matka wiedziała naprawdę o szaleństwie Klodii. Jakby odgadując jego myśli, pokiwała głową.

– Cokolwiek ona zrobi, nie obawiaj się. To nie za jej sprawą dosięgnie cię gniew bogów.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znam twoje przeznaczenie.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Klodia już mi o tym mówiła. Wiesz, że nie wierzę we wróżby.

– Sądysz, że jestem zaślepiona, bo jestem twoją matką. Mylisz się, synu. To ty jesteś zaślepiony. Nie umiesz jeszcze czytać w sobie samym. Myślisz o ojcu, o twoich przodkach niewolnikach, o matce, Julii Kordelii, także kiedyś niewolnicy. Zapominasz, że jesteś człowiekiem wolnym, jednym z tych, od których zależy los imperium. Twój podziw dla Rzymu jest tak wielki, że widzisz siebie w roli jego wiecznego sługi. Ale zapominasz, że najwybitniejszy z nich, jeśli tylko tego chce, przyjmuje tytuł augusta. Jesteś głuchy na wolę bogów, bo jeszcze nie wiesz, co dla nich reprezentujesz.



Zadowalaś się krwią na twoim mieczu, podczas gdy oni oczekują od ciebie czegoś więcej. Ale nadejdzie taki dzień. I tego dnia zostaniesz Aurelianem Augustem.

– Matko!

– Nie protestuj, słuchaj i zapamiętaj moje słowa. Wieniec laurowy spocznie na twoim czole. Nie jutro ani nie pojutrze. Inni nadużyją purpury, zanim Rzym obwoła ciebie cesarzem, jakiego nie miał od dawna. Twój wróg będzie także wrogiem bogów. Ale ty, mój synu, jako Aurelian August staniesz się dla nich opoką.

Umilkła z błyskiem w oczach. Aurelian bez słowa wpatrywał się w źrenice matki, jakby szukał światła w rozgwieżdżonym niebie. Uśmiechnęła się do niego bardzo czule i objęła go za szyję.

– Idziesz walczyć. Nie lękaj się. Zwycięzisz. Ale nie uratujesz cesarza, którego bogowie już skazali.

– Matko!

– Decjusz umrze, Aurelianie. Nic nie jest w stanie temu zapobiec, nawet ty. Wtedy przekonasz się, że matka mówiła prawdę. Przyszłość jest taka, jak tego chcą wiecznie żywi bogowie. To oni wyznaczają twój los i prowadzą cię wielką, piękną drogą. – A potem dodała nieco żartobliwym tonem: – I nie bój się kobiet, mój synu. Bogowie dają chwałę za pośrednictwem kobiety.

**DURA-EUROPOS**

Perski oficer rozpędzał laską otaczających go robotników pokrytych kurzem. Wzrokiem szukał postaci, którą zauważył kilka kroków dalej. Był to dobrze zbudowany chłopiec o ślicznej twarzy, ukrytej częściowo w kapturze pasiastego, brudnego płaszcza. Nie zważając na panujące dokoła zamieszanie, jadł z miski niedogotowane ziarna pszenicy okraszone niewielką ilością wielbłądniego tłuszczu.

– Kuna, nażresz się potem! – zawołał. – Te osły zostawiły lampę na dole w kopalni. Idź po nią, zanim zapalą się od niej stemple.

Chłopak bez słowa skinął głową, odstawił miskę na skórzany pojemnik ze strzałami. Otarł usta ręką. Miał smukłe ręce o dłoniach i paznokciach zniszczonych jak wszyscy ci, którzy od długiego czasu kopią ziemię i dźwigają drewniane belki w kopalniach.

Pod murami obronnymi Dura-Europos zebrało się około trzech tysięcy Persów. To bogate miasto zdobył przed wiekami Nabuchodonozor, potem Aleksander Wielki. Następnie przebywał tu Trajan, gdy przesunął granice Rzymu aż do Eufratu. Dura-Europos płaciło nadal podatki Rzymowi i jego sprzymierzeńcowi Odenatusowi, który rządził Palmyrą. A teraz miasto stało się

przedmiotem pożądania Szapura I, króla Persów. Król królów pragnął pokonać Rzym. A żeby pokonać Rzym, musiał zdobyć Dura-Europos.

Okazało się to nie takie łatwe. Oblężenie przedłużało się. Miasto położone blisko Eufratu było w naturalny sposób chronione z trzech stron przez niedostępne, wysokie czerwone skały. Od strony wschodniej, zwrócony frontem do płaskowyżu ciągnącego się aż do rzeki Tygrys, stał wspaniale ufortyfikowany mur obronny. Żołnierze rzymscy i ich sojusznicy z Palmyry podwoili grubość muru w miejscach, skąd łucznicy łatwo mogli dosięgnąć strzałami oblegających. Zbudowali wieże zdolne pomieścić potężne balisty oraz katapulty, których pociski dziesiątkowały oblegających, gdy tylko próbowali wznieść pomosty.

Po wielu miesiącach oblężenia opór miasta wcale nie zmalał. Na równinie stał obóz złożony z namiotów, lepianek i trzcinowych chatek, w których zakwaterowali się oblegający. Mieszkali tu razem ludzie i zwierzęta, żołnierze i kupcy, kurtyzany i wierne żony.

Oblężenie wymagało nadzwyczajnych działań. Ponieważ nie dało się przedostać przez mury obronne, Persowie postanowili zrobić w nich wyłom.

Długie korytarze, wyłożone skórą w miejscach wzmocnionych cegłą, łączyły obóz z pagórkami ziemi, które powstawały przed fortyfikacjami. Drzewo zwożono z lasów Tal'Affar, odległych stąd o ponad dwadzieścia dni marszu. Tysiące ludzi sprowadzono z miast nad Tygrysem

– Mosulu i Hatry. To oni wydrążyli dziesięć stóp pod ziemią galerie, które prowadziły pod murami obronnymi. Zbudowano tam dwa solidnie podstemplowane pomieszczenia. Miały pełnić rolę zasadzki. Wystarczy podłożyć ogień pod stemple, a zapadną się położone powyżej mury, których inaczej nie dało się przekroczyć.

Ponieważ jednak zbierało się coraz więcej ziemi z wykopów, Rzymianie i ludzie z Palmyry wpadli na pewien pomysł: przy murach utworzono skarpe, pod którą znalazły się zasypane najbliższe domy miasta. Oblężeni z kolei też drążyli korytarze, w nadziei, że odetną Persom ich podziemne przejścia. I tak oto po roku szalonych, nadludzkich wysiłków okolice Dura-Europos z wykopanymi we wszystkich kierunkach podziemnymi korytarzami, rozszanymi wszędzie pagórkami ziemi wyglądały niczym monstrualne kretowisko szczura pustyni.

Już wkrótce miała zapaść noc. Może będzie to ostatnia noc oczekiwania. Szeptano o tym w całym perskim obozie. Galerie wreszcie przeszły pod murami. Szturm był tylko kwestią godzin. Prawdę mówiąc, oblegający i oblężeni obawiali się, że każdej chwili może nastąpić obsunięcie się ziemi, nad którym nie zdołają zapanować. Ściany w podziemnych korytarzach były tak słabe, że jeden fałszywy ruch mógł udaremnić ostatnią możliwość obrony miasta albo przeciwnie, zniweczyć pięciomiesięczne wysiłki oblegających.

Zanim chłopak wszedł do galerii, oficer przytrzymał

go za rękaw.

– Spiesz się, Kuna. Nie czas na spacer. – W okrutnym uśmiechu Persa zabłyśły zęby pod długimi wąsami. – Uważaj, nie zdradź się. Te rzymskie bydlaki są pod ziemią tuż za murem. Nie zepsuj pięknej niespodzianki, jaka ich czeka!

\* \* \*

Tutaj nadano jej przydomek „Kuna”. Nikt nie domyślał się jej prawdziwego imienia ani płci. Minęła kolumnę żołnierzy w skórzanych pancerzach i zagłębiła się pod ziemię.

Korytarz był na tyle wysoki, że można było iść w pozycji wyprostowanej. Po kilku krokach znikło światło dzienne. Równie szybko ucichły hałasy z zewnątrz. Widać było tylko drewniane bale, podtrzymujące ogromne masy ziemi. W ciężkim, stojącym powietrzu z trudem się oddychało. Chrząścił piasek osypujący się tu i ówdzie między stemplami.

Żeby oswoić się z ciemnościami, zatrzymała się na kilka sekund. Znała każdy załom tego przejścia. Od miesiąca nosiła tędy kosze z ziemią i niewiele osób umiało tak zręcznie jak ona poruszać się w tym labiryncie.

Z wyciągniętymi przed sobą rękoma szła ostrożnie, macając drewniany strop. Kiedy przeszła jakieś dwadzieścia kroków, w mroku zabłyśło pomarańczowe światło lampy zapomnianej przez robotników. Galeria

skręcała tutaj w lewo. Robotnicy wykopali kilofami korytarz, który należało umocnić.

Nie zwracając uwagi na szkielety ludzi, którzy utknęli między stemplami, szła teraz szybciej, pewniejszym krokiem.

Zawieszona na sęku słupa lampa oświetlała okrągłe pomieszczenie, szerokości pięciu lub sześciu sążni. Zwisający knot groził pożarem.

Perski oficer miał rację, oskarżając robotników o lekkomyślność. Czasami bez najmniejszego ostrzeżenia chwiały się od wstrząsów drewniane bale i spadały lampy. Olej z tej lampy mógł wylać się na przygotowany do szturm chrust.

Kiedy zdejmowała lampę, osłaniając knot ręką, doszły do niej gdzieś z bliska przytłumione ziemią głosy.

Ktoś mówił w języku palmyrskim, mieszając go ze słowami łacińskimi.

Pers miał rację. Oblężeni byli tuż obok.

Usłyszała grubiański śmiech żołnierzy. Tym śmiechem dodawali sobie odwagi.

Zamiast zawrócić, Zenobia palcami zgasila knot lampy. Przez maleńki otwór w ścianie przedostawała się wąska smużka światła.

Zenobia, wstrzymując oddech, spojrzała przez otwór. Zobaczyła pomieszczenie znacznie szersze od tego, w którym się znajdowała, dobrze podstemplowane. Kilkanaście lamp oświetlało żołnierzy ubranych w krótkie spodnie, z rzymskimi mieczami u pasa. Tarcze i krótkie

włócznie stały oparte o stemple.

Na policzku poczuła lekki powiew powietrza. Ostrożnie powiększyła paznokciem otwór w ścianie. Na prawo ujrzała wyjście z galerii.

Tą drogą z pewnością można przedostać się na ulice Dura-Europos!

\* \* \*

Nie zastanawiając się ani przez chwilę, po omacku poszukała jakiejś lekkiej belki, którą zdołałaby podnieść. Musiała się spieszyć. Jeśli pozostanie tu dłużej, perski oficer wyśle żołnierza na jej poszukiwanie. Kaptur osunął się jej z głowy, dzięki czemu łatwiej mogła oddychać duszącym powietrzem galerii.

Z oczyma utkwionymi w wąską szparę światła przecinającą ciemności, z napiętymi mięśniami, nie zważając na ciężar, który ugniatał jej ramię, rzuciła się do przodu.

Belka uderzyła w ścianę z głuchym łomotem, od którego aż się zachwiała. Ale nie zrezygnowała, lecz pchała z całych sił. Nagle ściana ustąpiła. Zenobia runęła do przodu pociągnięta przez belkę. Hałas, światło i krzyki sprawiły, że nie czuła, jak uderzają ją drewniane stemple i kamienie, raniąc w plecy.

Dostrzegła osłupiałe twarze żołnierzy. A potem od podmuchu powietrza zgasły wszystkie lampy. Zapanowały ciemności, jakby pochodzące z samego wnętrza ziemi.

Żołnierze krzyczeli. Zenobia, zrzuciwszy ciężki płaszcz obsypany gruzem, ruszyła w kierunku wyjścia z galerii. Modląc się do Baalszamina, by jej nie opuszczał, biegła na ślepo zgięta wpół, z rękami do przodu, przygotowana na to, że zaraz się z czymś zderzy.

Wrzaski za jej plecami nie cichły. Oślepieni, zdezorientowani żołnierze popychali się wzajemnie, ranili się o stemple, wpadali na siebie z głośnym krzykiem. Szczęk metalu świadczył, że wydobyli miecze. Ale Zenobia już wiedziała, że nie zablądziła. Znalazła się w wąskim korytarzu, który wyprowadzi ją na zewnątrz.

W dalszym ciągu pochylona, z mocno bijącym sercem, biegła drobnym krokiem. Z jej długich włosów wypadły drewniane grzebyki, którymi upięła kok. Pokryte kurzem loki opadły na policzki. Z czoła ściekał pot. Bezwiednie powtarzała wciąż imię Baalszamina.

– Nie opuszczaj mnie teraz! Nie opuszczaj!

Wrzaski nie ustawały, były jakby jeszcze silniejsze. Może perscy żołnierze dotarli już do Rzymian?

Nagle rozległ się głuchy huk. Strop nad nią zatrzeszczał, zazgrzytał jak nigdy przedtem. Zenobia domyśliła się, co jej grozi, i pobiegła jeszcze szybciej. Z głębi dochodziły straszliwe krzyki. Zagłuszył je gwałtowny powiew powietrza, który szarpnął tuniką Zenobii. Podkopy spełniły swoją rolę. Podziemne korytarze zniknęły pod walącym się murem.

Przyspieszyła biegu, nie zważając na zadrapania i otarcia skóry na ramionach i rękach, którymi



wymacywała drogę. Nagle zabrakło jej tchu. Przeszył ją lodowaty, śmiertelny dreszcz. Potknęła się o zwalone na ziemię podpory. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, w piersiach poczuła ból. Zdażyła tylko rękami zasłonić twarz, zanim runęła na nią chmura pyłu.

\* \* \*

Po jakimś czasie wszystko uspokoiło się. Stemple jeszcze trzeszczały, ale trzymały się mocno. Huk walących się ścian oddalał się. Zapadały się kolejne pomieszczenia. Nie słychać już było krzyków ludzi.

Zenobia podniosła się z ziemi, kaszląc i spluwając. Ruszyła chwiejnym krokiem, z obolałym ciałem. Gdy opierała się o ścianę, ziemia przepływała między jej palcami niczym woda. Pył wdzierał się pod powieki, które otwierała z wysiłkiem. Kurz w powietrzu utrudniał oddychanie. Bała się, że galeria, którą szła, została zasypana i że umrze tu, pod ziemią.

Okazało się, że bała się niepotrzebnie. Baalszamin podał jej rękę.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła słabe, białe światło, wyraźne na tle podziemnych ciemności.

Dzienne światło!

Korytarz wychodził na powierzchnię! Od wyjścia dzieliło ją zaledwie kilkanaście kroków!

Pobiegła, krzycząc z radości głosem chrypiącym od pyłu w gardle. Wydostała się na zewnątrz, na świeże

powietrze, oślepiąca światłem, w kłębach pyłu.

Znalazła się nie na ulicy, lecz na dziedzińcu jakiegoś domu do połowy zasypanego ziemią. Jakiś głos zawołał:

– Patrzcie, ktoś stamtąd wychodzi!

Przedzierając się przez zasłonę pyłu, podeszli do niej dwaj mężczyźni. Rzymski oficer w lśniącym pancerzu i żołnierz palmyrski z czarnymi pieńkami zębów. Obaj patrzyli na nią w osłupieniu.

– Kim jesteś? – Zapytał Rzymianin.

– Centurionie! To kobieta! – zawołał żołnierz.

Zenobia przyzwyczajała się do światła. W jej oczach zaśniły łzy złości. Nie odpowiadała, rozglądając się dokoła, któreśdy uciec. W przeciwległym rogu podwórza dostrzegła przejście, którego chyba nikt nie pilnował.

Centurion chwycił ją za ramię.

– Co ty tu robisz? Czy jesteś Persjanką? Gdzie są ci, co byli pod ziemią?

Żołnierz z Palmyry zarechotał:

– Oto odwaga Persów. Wysyłają kobietę do wysadzenia korytarzy! A poza tym z pewnością jest szpiegiem!

W galerii rozległ się ponownie huk. A potem kolejny, silniejszy, w pobliżu domu. Doszły stamtąd krzyki żołnierzy.

– Centurionie, zawaliła się wieża! – zawołał jeden z grupy dwudziestu żołnierzy znajdujących się obok.

Rzymianin spojrzał w tamtą stronę. Zenobia skorzystała z zamieszania i skoczyła między dwóch

mężczyzn. Ale Palmyrańczyk okazał się szybszy niż podejrzewała. Złapał ją za skraj tuniki, usiłując zatrzymać.

– Hola, ślicznotko! Gdzie ci się tak spieszy?

Zenobia, nie zastanawiając się, uderzyła go z całej siły kolanem w krocze. Napastnik głośno wrzasnął z bólu. Nie puścił jednak jej tuniki.

Zenobia mocno szarpnęła. Podniszczony już materiał nic wytrzymał, rozdarł się, odsłaniając ją aż do piersi. Żołnierz, zapominając o bólu i mrugając powiekami, wpatrywał się w nią zafascynowany.

– Na wszystkich bogów, ta furia jest naprawdę kobietą!

Jednak Rzymianin nie podziwiał jej piersi. W rękę trzymał uniesiony miecz. Zdobywając się na ostatni wysiłek, Zenobia rzuciła się w kierunku przejścia, zostawiając w rękę żołnierza kawałek swojej tuniki.

Baalszamin po raz kolejny jej pomógł. Z domu dobiegły przerażone krzyki:

– Łucznicy perscy ustawiają się na pozycjach!

– Centurionie, perscy jeźdźcy formują czworobok!

– Balista ich nie dosięgnie, bo wieża się zawaliła!

Zenobia spojrzała za siebie. Centurion i palmyrski żołnierz stali do niej tyłem. Mieli teraz co innego na głowie niż obsypywany kurzem szpieg!

**ABRITTUS,<sup>[22]</sup> RZYMSKA PROWINCJA  
MEZJA**

Młot zakreślił w powietrzu wielki łuk. Uderzył z boku w hełm Gota. Ze zranionej szczęki barbarzyńcy popłynęła krew zmieszana z zębami i kośćmi. Oszołomiony uderzeniem nie zdążył wydobyć swego miecza. Aurelian zamachnął się od nowa i uderzył go jeszcze raz. Barbarzyńca otworzył szeroko oczy z bólu i zaskoczenia. W jego wzroku pojawiło się przerażenie.

Hełm spadł z głowy Gota, ukazując zmierzwione włosy. W bitewnym zgiełku ledwie słyszalny był chrzęst kości, gdy Aurelian ciął go mieczem, trzymanym w prawej ręce.

Twarz wojownika rozcięta została na pół. Uniósł drżące ręce, po czym padł na ziemię. Aurelian zdążył uskoczyć na bok. Mózg Gota rozlał się na lepkiej od krwi trawie.

Aurelian nawet nie spojrzał. W lewej ręce już unosił młot, szukając oczyma najbliższego wroga.

Trwało tak już od ponad godziny. Czerwcowe słońce prażyło pancerze i hełmy. Spodnie wilgotne były od potu. Piekielny smród unosił się nad polami, podczas gdy świt złocił młode pądy jęczmienia i żywopłot z pachnących kwiatów akacji. W ogólnej wrzawie nie słyhać już było

jęków i krzyków.

Okolo godziny siódmej, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Aurelian stracił konia. Olbrzymi Got jednym uderzeniem młota rozwalił mu kark.

Ranne zwierzę runęło na ziemię, omal nie przygniatając Aureliana. A wówczas on, jeszcze na klęczkach, zamachnął się mieczem, który wbił się w brzuch wroga aż po rękojeść. Wydobywając krótki miecz z trupa, Aurelian chwycił młot, od którego zginął jego wierzchowiec. Chwilę potem rozwalał nim głowy barbarzyńców.

Teraz, w samym centrum bitewnego zamętu, nie musiał już iść do przodu. Goci sami przychodzili do niego. Ogarnięci szaleństwem, pozbawieni strachu i rozsądku, tratowali zwłoki zabitych towarzyszy, pragnąc zetrzeć się z tym Rzymianinem, który wciąż zadawał śmierć.

Aurelian tak samo nieprzejednany jak oni, w tym samym szaleńczym wirze śmierci odpierał krótkim mieczem ataki mieczy wroga, jego młot świstał w powietrzu, spadały kolejne hełmy, z rozbitych czaszek lała się krew i mózgi. Rzadko kiedy chybił celu. Młot miażdżył czyjeś ramię, głowę, kark. Miecz przecinał czyjś bark, zanurzał się w czyjejs twarży. Aurelian, ociekając krwią wrogów, nie widział prawie nic oprócz spadających pod jego ciosami głów. Wdychał cuchnące na słońcu powietrze. Miecz stawał się coraz cięższy po każdym śmiertelnym ciosie.

\* \* \*

Wreszcie w połowie ósmej godziny walki zabrzmiały rogi Gotów. Jeden długi sygnał, a po nim trzy krótkie. W mgnieniu oka wojsko Gotów wycofało się na mokradła Dunaju. Na polu walki pozostały tylko stosy trupów i rannych.

Aurelian rozejrzał się za koniem i rogiem, by zarządzić pościg. Kątem oka dostrzegł Maksymusa całego we krwi. Śmiał się, wymachiwał w jego stronę godłem legionu.

Teraz i Aurelian zaczął się śmiać. Z ręką podniesioną do góry potrząsnął mieczem. A potem z ochrypłym okrzykiem rzucił go na trawę usłaną trupami. Z gardeł tysiąca legionistów wydarł się okrzyk radości ze zwycięstwa i zdobytej chwały. Bitwa była skończona.

\* \* \*

Wiadomość dotarła do nich niecałą godzinę później, gdy obmywali się z krwi w wodzie strumienia.

Chłodna woda jeszcze nie zdążyła ukoić ich po gorączce walki. Nogi drżały im jak u starych kobiet. Niektórzy nie mogli ruszać ramionami bez jęku. Na lewym ramieniu Maksymus miał wielką ranę. Boki Aureliana pokryte były wybroczynami.

Wokół unosił się smród psujących już się w słońcu zwłok. Słysząc było jęki rannych. W powietrzu znowu

roilo się od owadów, chmary białych motyli tańczyły nad krzewami akacji. W promieniach słońca prześwitującego między liśćmi wlatywały znowu ptaki. Błękit nieba przecinały pierwsze myszołowy i sepy. Najbardziej śmiało dziobały ciała poległych.

Pojawił się dekurion prowadzący konia do rzeki. Na widok nagich oficerów zawahał się. Podniósł do góry kij obwiązany czerwoną wstążką, co oznaczało, że przynosi wiadomość od cesarza.

Maksymus odepchnął centuriona, który opatrywał mu ramię.

– Zbliź się, dekurionie. Kogo szukasz?

– Przywożę wiadomość od Decjusza imperatora Augusta dla legata Aureliana i mam ją mu przekazać osobiście.

Posłaniec pozdrowił Aureliana.

– Legacie Aurelianie, cesarz informuje cię, że odepchnął Gotów na dwie mile na wschód od miasta Abrittus. Barbarzyńcy, znacznie liczniejsi od naszych legionów, zamierzali otoczyć nasz obóz, ale zrezygnowali z bitwy.

Aurelian pokiwał głową. Całe jego ciało, oprócz opalonej twarzy i przedramion, było czerwone od ucisku pancerza.

– A teraz idą na północ? – zapytał, wycierając ostrożnie tors.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Dekurion patrzył na niego, nie śmiejąc odpowiedzieć.

Aurelian usłyszał pomruk Maksymusa. Obaj pomyśleli o tym samym. Kniwa, wódz Gotów, okazał się bardziej przebiegły niż nocne lisy. Jego manewr był oczywisty.

Wyprawił pospiesznie swoich wojowników przeciwko nim tu, sześć mil od Abrittus. Poświęcił najslabszych, żeby stworzyć wrażenie, że zamierza zdobyć obóz i spichlerze w mieście Novae. W ten sposób, unieruchamiając XX legion Valeria Victrix, z dala od Decjusza i jego syna Etruskusa, duże oddziały Gotów maszerowały na północ ze swymi łupami, zagłębiając się w dorzecze Dunaju. A tam nie było mowy o stoczeniu jakiegokolwiek poważniejszej bitwy bez groźby potopienia się na mokradłach.

Tyle ściętych głów na darmo!

Aurelian nachylił się do wody. Czuł zmęczenie w całym ciele. Szum wody zagłuszył słowa posłańca. Kiedy się wyprostował, zobaczył wyraz zaskoczenia na twarzy Maksymusa.

– Co powiedziałaś, dekurionie?

– Decjusz Augustus powiadamia cię, że jego syn, Cezar Herrenius Etruskus, dowodzący V legionem Macedonia, zginął.

– Etruskus? Na wszystkie ognie Słońca!

Aurelian mimo woli odczuł ogromną ulgę.

Od razu pomyślał o złowroziej wróżbie matki, która dręczyła go każdej nocy od wyjazdu z Sirmium. Julia Kordelia pomyliła się. Bogowie przenieśli swój gniew z ojca na syna. Z imperatora na młodego Cezara.



Dzięki za to Mitrze i jego opiece.

Suchym tonem zapytał, gdzie znajduje się obecnie Decjusz Augustus.

– W obozie pod Abrittus. Razem z namiestnikiem Mezji i jego oficerami. Wzywa cię do siebie.

– Przygotujcie czym prędzej konia.

Aurelian naciągał już zakrwawioną tunikę. Maksymus zdrową ręką podniósł pancerz, który suszył się na brzegu.

– Weź moją klacz. Nie brała udziału w bitwie. Jest wypoczęta. Chyba że chcesz, żebym z tobą pojechał.

– Nie. Lecz się. Uważaj na zarazę, która tutaj krąży. Potrzebny mi jesteś żywy, przyjacielu, nie zapominaj o tym. Doprowadź do porządku centurie. Niech będą gotowe przed świtem. Trzeba wszystko zaczynać od nowa, bo dzisiejsza bitwa była tylko podstępem.

\* \* \*

Wprowadzono go do sypialni cesarza, a nie do wielkiej sali *praetorium*,<sup>[23]</sup> gdzie zazwyczaj miały miejsce audiencje. Trybun wojskowy, który go przyprowadził, stanął przy drzwiach i cichym głosem oznajmił jego przybycie.

Ściany pokoju pomalowane były w ukośne czerwone i niebieskie pasy. W rogach wymalowano kolumny z kapitelami z liści laurowych, a w niszy stał posąg nagiego Jowisza, mierzącego włócznią w kłębowisko zmij. Umebłowanie stanowiło łożo i jeden kufer. Na

drewnianym ołtarzu w ofiarnej misie błyszcząły kryształki mirtu i ambry. Decjusz, z zamkniętymi oczyma, z głową pochyloną nad dymem, ubrany był w mundur wodza naczelnego, a nie w cesarską togę. Na nogach miał wysokie do kolan buty do konnej jazdy – *calceus*. Uwagę zwracała niezwykła pochwa jego miecza. Wąż z macicy perłowej miał na niej złotą głowę lwa. Rękojeść zrobiona była ze srebrnych kulek, ze szmaragdowym berylem na głównej ze złota.

Kiedy się wyprostował, jego pancerz zaskrzypiał. Był to pancerz starego typu, stanowiący jedną całość. Podobno był kopią pancerza, który nosił słynny Trajan, kiedy rozszerzał granice Imperium Rzymskiego aż do Szkocji, daleko na północ. Zdobiał go wizerunek okrutnej Meduzy i Wilczycy, matki Rzymu. Opinał ściśle pierś Decjusza. Niewielu mężczyzn w jego wieku byłoby w stanie nosić taką zbroję.

Decjusz, chociaż przekroczył już sześćdziesiątkę, a przerzedzone włosy na jego głowie były bielsze od tych na brodzie, zachował dawną siłę. Nawet w taki dzień jak ten Aurelian nie zauważył oznak zmęczenia na jego twarzy. Usta nie zdradzały ani smutku, ani goryczy. Była to nieprzenikniona twarz wodza.

Aurelian, z pięścią zaciśniętą na piersi na znak szacunku, zdawał sobie sprawę ze swego żalosego wyglądu. Zgnieciony w bitwie pancerz odstawał od ciała, był źle związany rozdartymi rzemieniami, fartuch ochronny zaś wisiał w strzępach. Smród bitewny przyniósł

ze sobą na butach oblepionych krwią i kurzem, a nawet w zmierzwionej brodzie.

– Wybacz mi mój strój, Decjuszu Auguście.

Decjusz przyjął przeprosiny krótkim gestem ręki.

– Przynosisz woń zwycięstwa, legacie! Czy może się to komuś nie podobać?

– Mój ból z powodu twojej straty jest szczery i prawdziwy. Kochałem Etruskusa. Dwa razy walczyliśmy razem nad Dunajem. Był odważny jak niewielu Cezarów.

– Masz rację – powiedział Decjusz zgnębionym głosem, ale powieka mu przy tym nawet nie drgnęła. Wpatrywał się w Aureliana, a jego wzrok przenikał duszę legata daleko głębiej i bardziej boleśnie niż ostrze gockiego miecza. – Cóż znaczy życie mojego syna, Aurelianie?

Aurelian nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Cóż znaczy życie mężczyzny – mówił dalej Decjusz – kiedy chodzi o potęgę Rzymu? Herreniusz Etruskus poniósł śmierć, kiedy przyszła jego pora. Taka była wola bogów. Tak miało być. Nie sądz, że nie mam serca ani że jestem silniejszy od ciebie, legacie. Pamiętaj zawsze o tym, że Rzymianin, choćby nawet Cezar jest tylko jednym z kamieni tworzących potężny mur cesarstwa. A ja, Decjusz Augustus, jestem tym, który obroni ten mur przed ciemnym światem barbarzyńców. Zło i chaos krążą wokoło, aby zburzyć to, co Rzym zbudował przez pięć wieków. *Virtus, Pietas, Fides!* Oto co jest najważniejsze. I nic więcej.

Aurelian zupełnie tego nieświadom drżał na całym ciele. Drżały mu palce, wargi, drżące były nawet jego myśli. I nie powodowały tego ani gorączka, ani zmęczenie po walce. Słowa Decjusza poruszyły dogłębnie jego serce i umysł.

*Virtus, Pietas, Fides.* Dewiza Rzymu. Te słowa jego ojciec kazał wyryć na ołtarzu ze swym popiersiem w kapliczce rodzinnej w Sirmium.

W ustach Decjusza stawały się niemal wyrocznią bogów. Był przecież cesarzem. Każdy Augustus miał władzę, której nie zawdzięczał świetności pancerza. Bogowie Rzymu wcielili się w jego ludzkie ciało, aby uczynić je szlachetnym i świętym.

Tym sposobem bogowie kierowali losem Rzymu i podległych mu ludów, kalendy po kalendach,<sup>[24]</sup> bitwa po bitwie. W każdy poranek Słońce Niezwyciężone wstawało nad światem, by usunąć mrok i zło.

Twarz Decjusza złagodniała. Odgadł zapewne myśli Aureliana. Ze wzruszeniem dotknął jego tuniki splamionej krwią zabitych barbarzyńców.

– Żyjesz i jesteś zwycięzcą, Aurelianie. To właśnie jest najważniejsze. Bogom nieśmiertelnym należą się za to dzięki.

Aurelian potrząsnął głową.

– Odniosłem zwycięstwo, Auguście. Ale to zbyt łatwe zwycięstwo wynikało tylko z podstępny Kniwy. Wcale go nie osłabiło.

– Polegli już mu nie pomogą. Co do tego nie ma

wątpliwości.

Decjusz odwrócił się i wziął z łoża pendent i miecz w pochwie, które Aurelian natychmiast rozpoznał. Miecz Etruskusa! Decjusz wydobył go ze skórzanej pochwy.

– Przyjmij ten miecz z moich rąk, Aurelianie.

Była to przepiękna broń. Stal pochodziła z kuźni w Damaszku, jedyne miejsce, gdzie produkowano broń lekką i zarazem bardzo skuteczną, giętką i jednocześnie mocną. Podobnie jak w perskich mieczach i ten miał gardę, którą tworzyły skrzydła dwóch kruków, odchylające się z wdziękiem na zewnątrz, wykonane z pozłacanej stali. Prosta, wygodna gałka rękojeści była taka sama jak w mieczu Decjusza. W srebrny pierścień wprawiono szmaragdowy kamień. Pochwę zdobiły przepięknie wyrysowane złotą i srebrną nicią konstelacje Mitry, Kruka, Marsa, Lwa i Heliosa. Skórę pochwy wzmacniały dwa stalowe pręty, aby mogła w razie potrzeby służyć także jako broń.

– To miecz twego syna...

Miecz zaciążył w rękach Aureliana. Decjusz nie wypuszczał go jeszcze ze swojej dłoni. Aurelian wyczuł jej drżenie, które przeszło przez miecz na jego rękę.

– Weź go, Aurelianie. Nikt nie potrafi posłużyć się nim tak dobrze jak ty. Spójrz na pochwę. Etruskus był wyznawcą Mitry, a ja wiem, że to także twój bóg. Kto mógłby być go bardziej godny od ciebie? Chcę, żeby wszyscy to wiedzieli. Przypasz ten miecz bezzwłocznie, zanim dołączymy do innych w sali audiencyjnej.

– Decjusz Auguście, nie znajduję słów, by wyrazić  
mą wierność dla ciebie.

Decjusz przyjął jego wyznanie, przymykając powieki.  
Milczeli obaj z rękami na rękojeści miecza zmarłego  
cezara. Aurelian czuł, że bogowie przypieczętowali  
między nimi pakt, który jedynie śmierć może zerwać.

Nagle Decjusz wypuścił miecz z ręki. W jednej chwili  
stał się innym człowiekiem.

– Nasz namiestnik Mezji chciałby wykorzystać śmierć  
mego syna dla prowadzenia własnej polityki – darować  
Kniwie wozy złota, byleby tylko Goci odeszli za Dunaj  
i nie atakowali naszych legionów. Ten tchórz Trebonian  
radzi mi, abym najpierw wyprawił pogrzeb cesarowi,  
a dopiero potem ruszył na Ren! On zajmie się sprawą  
zawarcia pokoju. Żadnych więcej walk. Zamierza zapłacić  
Gotom okup w imieniu Rzymu! Wyobrażasz sobie! Jak on  
śmie, Aurelianie, jak śmie! I to w sytuacji, kiedy  
barbarzyńcy uciekają przed nami obładowani łupami  
z Filippopolis! Rozgniewany Decjusz mówił tak głośno, że  
aż wzbily się do góry iskry kadzidła. Odgonił je ręką  
i kłęby dymu poleciały na ścianę. – Taki jest rezultat jego  
tchórzliwej polityki. Ale Trebonian nie potrafi inaczej.  
Odkąd zarządza tą prowincją, dzieje się tu coraz gorzej.  
A i inni są niewiele więcej warci! Legiony Gajusza  
Prokulusa i Juliusza Finitusa ustąpiły przed dziesięcioma  
tysiącami Gotów. Jeszcze dziś drżą ze strachu. Śmierć  
Etruskusa utwierdza ich w ostrożności, zamiast wzbudzić  
w nich wściekłość. Gdybym dał im wolną rękę, Rzym

zostałby zmuszony do targowania się z barbarzyńcami o pieniądze. Czy nic już nam nie zostało z naszej dumy?

Na czole wzburzonego cesarza pulsowała żyła. Aurelian odczekał moment i zapytał:

– Co rozkażesz, Auguście?

– Jeszcze tej nocy ruszamy w pościg za barbarzyńcami. Zmusimy Kniwę do walki, zanim uda mu się dotrzeć do Dunaju. Osobiście stanę na czele V legionu Macedonia...

Aurelian mimo woli zmarszczył brwi, co nie umknęło uwagi Decjusza.

– Co? Ty także wątpisz?

– Nie, Auguście, nie wątpię! Twoja decyzja jest dobra. Powinniśmy pokonać Kniwę już teraz. Plemiona gockie gromadzą się na północy wokół Dustorum. Zdobyte łupy pozwolą im wyprodukować broń oraz pancerze, żeby potem, silniejsi niż kiedykolwiek w przeszłości, mogli atakować nasze granice. Masz rację, trzeba ich zatrzymać. Nie ma innego wyjścia.

– Ale?

– Ale Kniwa jest niezwykle przebiegły. Droga, jaką obrał, by dotrzeć do rzeki, zagłębia się w mokradła. A tam nie zdołamy walczyć.

– Wręcz przeciwnie! Ich wozy załadowane złotem będą grzęznąć w błocie i opóźniać im marsz. Pouciekają ich jeńcy.

– Całkiem możliwe, Auguście.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę w to, że Kniwa nie obrałby drogi, która nie byłaby dla niego dobra.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że powtarzasz argumenty grubego Treboniana?

– Tyle tylko, że ja mam co innego myśli.

– Co więc proponujesz?

– Okrążając mokradła, będziemy szybsi od nich. Potrzeba na to jedynej nocy i dnia forsownego marszu. Zaskoczmy ich, gdy, pewni zwycięstwa, będą docierać do Dustorum. Znam ich dobrze, kiedy barbarzyńcy sądzą, że nic im nie zagraża, chętnie oddają się pijaństwu.

– Będziesz musiał przekroczyć trzy odnogi Dunaju.

– Oni także, Auguście.

– Mają dwadzieścia tysięcy ludzi przy wiosłach, a my zaledwie dwa legiony.

– Po co nam wiosła? Nie ciągniemy ze sobą wozów załadowanych złotem. Będziemy mieli mosty pontonowe.

– Kiedy znajdziesz się na drugim brzegu rzeki, zastaniesz tam barbarzyńców przybyłych z północy i czekających na Kniwę.

– Istnieje takie ryzyko. Ale niewielkie. Zaskoczmy ich. Kiedy ci z Dustorum dowiedzą się o naszej obecności, będzie już dla nich za późno.

Decjusz milczał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, z oczyma utkwionymi w mieczu Etruskusa, który Aurelian trzymał wciąż w rękach. Aurelian domyślał się, że cesarzem powodowała chęć zemsty.

On, który przed chwilą wydawał się taki silny,



maskując ból, nie oceniał sytuacji jak wódz, lecz jak ojciec i upokorzony władca. Pragnął krwią pomścić śmierć syna. Dziś lub jutro, najszybciej, jak to możliwe. Bez względu na koszty.

Dreszcz przeszył Aureliana, gdyż przypomniał sobie znowu słowa matki: „Decjusz umrze, mój synu. I nie możesz temu przeszkodzić. Przyszłość jest taka, jak tego chcą bogowie nieśmiertelni”.

Przez jedną sekundę zawahał się, czy nie ostrzec Decjusza. Czy nie powiedzieć mu prawdy, nawet ryzykując gniew cesarza. Ale wyobraził sobie, że Decjusz wybuchnie śmiechem, słysząc jego ostrzeżenie. On, cesarz, miałby przejmować się wróżbą kapłanki, wyzwolenicy z Sirmium! Czyżby pomylił się, ofiarowując mu miecz swego syna?

Palce Decjusza zacisnęły się na rękach Aureliana. Aurelian, wyrwany ze swych myśli, zadrżał pod wzrokiem starca, który tak w niego wierzył.

– Wiem, co myślisz – mruknął Decjusz. – Może masz rację. Jednak tak to już jest. Bogowie zadecydują o moim losie i o potędze Rzymu. Mój rozkaz brzmi: V legion Macedonia wyruszy w pościg za Gotami przez mokradła, podczas gdy ty odetniesz im drogę od północy. Gajusz Prokulus wesprze mnie VII legionem Claudia Pia Fidelis. – Chłodny uśmiech przemknął po jego twarzy, która nic wyrażała już żadnych emocji. – Miałeś rację, Aurelianie. Ten plan jest lepszy od pierwotnego. Z pewnością nie spodoba się Trebonianowi, a to doskonały znak!

**DURA-EUROPOS**

Miasto ogarnęła panika. Wszędzie rozlegały się wołania o bliskim ataku Persów. To zamieszanie pozwoliło Zenobii przejść bez zwracania na siebie uwagi. Była brudna i obszarpana.

Przytrzymując na piersi poły tuniki, biegła, gdzie oczy poniosą, byle tylko znaleźć się jak najdalej od żołnierzy. Nikt jednak jej nie ścigał, nikt się nią nie interesował. Wmieszała się w tłum wzburzonych ludzi, między kobiety, które, płacząc, popychały przed sobą swoje dzieci, między mężczyzn, którzy zachęcali się nawzajem do gromadzenia wody i żywności, do barykadowania okien i drzwi. Wszyscy chcieli czym prędzej opuścić ulice, gdzie lada moment spadnie deszcz pocisków, chronili się za drzwiami domów, w nadziei, że okażą się solidne.

Zadźwiewały trąby. Mężczyźni ubrani w proste tuniki, zaopatrzeni w hartowane w ogniu żerdzie i worki z kamieniami wspinali się po krętych schodkach prowadzących na tarasy domów, przeskakiwali z dachu na dach.

Teraz musi go odnaleźć. I to szybko, przed nocą, zanim miasto zdobędą Persowie.

Na jej usta cisnęły się słowa, które powtarzała sobie od wielu miesięcy: „Ten, którego szukasz, jest w Dura.

Przebywa razem z innymi, którzy studiują nauki Chrystusa”. Powiedział to jej w Palmyrze stary przewodnik karawany.

Musiała więc znaleźć dom chrześcijan. Na całym Wschodzie wychwalano świątynie i domy, jakie mieszkańcy Dura-Europos budowali i zdobili dla bogów Rzymu i Palmyry, dla żydów i dla chrześcijan, wyznawców jedyne Boga. Wszyscy w mieście powinni ich znać. Znalezienie domu chrześcijańskiego nie powinno być trudne. A tam z pewnością powiedzą jej, gdzie przebywa Schawaad.

Zagadnęła kobiety, które ustawiały dzbany z oliwą na jakimś podwórzu. Ale one jakby w ogóle nie słyszały pytania. Spróbowała trochę dalej, starając się miło uśmiechać.

– Gdzie jest dom chrześcijan? – zapytała. – Proszę pokazać mi tylko ulicę.

Również i tym razem nie uzyskała odpowiedzi. Brudna, w podartej tunice nie robiła dobrego wrażenia. Spoglądano na nią jak na szaloną. Biedna dziewczyna, której od przeżyć wojennych pomieszało się w głowie.

Krażyła po ulicach, nie wiedząc, dokąd iść. Miasto zbudowane było według ściśle określonego planu. Ulice krzyżowały się, tworząc kwartały z domami mieszkalnymi. Wszystkie wydawały się do siebie podobne, zwłaszcza w tym chaosie. Zenobia błędziła, nie mając żadnego punktu orientacyjnego.

W końcu przy karawanseraju natknęła się na samotną

staruszkę, która z niezwykłym spokojem obserwowała dziejące się wokół niej szaleństwo. Łagodnie popatrzyła na Zenobię szarymi oczami. A może nawet był w nich przebłysk uśmiechu?

– Szukasz domu chrześcijan, dziecinko?

Wychudłą dłonią chwyciła ją za rękę i pociągnęła do skrzyżowania, wskazując żołnierzy tłoczących się pod murem, tuż obok miejsca, gdzie Zenobia dopiero co zasypała perskie podkopy.

– To po drugiej stronie ulicy. Ale teraz nie znajdziesz tam niczego. – Staruszka, nie mówiąc już nic więcej, odeszła.

\* \* \*

Zenobia, zachowując ostrożność, wróciła więc na to samo miejsce, skąd przyszła. Roilo się tam od żołnierzy, którzy przepychali się, nerwowo pokrzykując.

Bardzo szybko pojęła sens słów staruszki. Tamtego domu już nie było. Jak wszystkie budynki przylegające do fortyfikacji, dom chrześcijan zniknął pod ogromnym stosem gruzu, zburzony przez obleżonych.

Można go było poznać tylko po freskach widocznych na zwalonym murze i po basenie wypełnionym do połowy ziemią. Zenobia domyśliła się, że przedstawiały ryby w girlandach, pasterza niosącego na ramionach jagnię – symbole wyznawców Chrystusa w całej wschodniej części Imperium Rzymskiego.

Chciała tam podejść, ale odpędzano ją bez żadnych ceregieli. Na nic nie zdały się jej protesty. Nikt nie potrafił nic powiedzieć o Schawaadzie, synu Iskellajla, wyznawcy Elkezaja i Chrystusa.

Rozczarowana szła coraz słabszym, chwiejnym krokiem. Nagle poczuła ogromne zmęczenie.

Od wielu miesięcy jedna myśl dodawała jej sił i odwagi. Nie podda się. Musi odnaleźć Schawaada!

W ciągu czterech minionych lat był to jej jedyny cel. Nauczyła się cierpliwości i wytrwałości. Pomagali jej potajemnie przewodnicy karawan ojca. Wszędzie, gdzie się udawali, na pustyniach i w miastach, wypytywali, czy ktoś nie zna wyznawcy Elkezaja o imieniu Schawaad, syna Iskellajla. Przez trzy lata i pięć miesięcy słyszała wciąż tę samą odpowiedź: „Nikt nie zna człowieka o imieniu Schawaad, nikt o nim nie słyszał”.

Dopiero ubiegłego lata stary przewodnik przekazał jej cudowną nowinę: „Ten, którego szukasz, mieszka w Dura. Przebywa z ludźmi, którzy studiują nauki Chrystusa”.

Wystarczyła jedna noc, żeby zorganizować ucieczkę z Palmyry, gdzie mieszkała z ojcem. Nie uściskała nawet na pożegnanie biednej Aszemu, bojąc się jej lamentów. Egipcjanka pewnie teraz myślała, że Zenobia nie żyje. Abdonaj tak samo.

Zniosła jakoś brutalność Persów. Poradziła sobie z ciężką pracą kopaczy podziemnych galerii. I wszystko to na nic! Tyle wysiłku na darmo!

Przybyła za późno. Chrześcijanie zapewne

ewakuowali się na samym początku oblężenia. Schawaada nie było w mieście od dawna.

Dlaczego o tym nie pomyślała?

Czuła dławienie w gardle, utrudniające oddychanie, ale nie miało to nic wspólnego z pyłem unoszącym się w wieczornym zmierzchu.

Dokoła rozlegały się krzyki. Wołano, że Persowie zaatakują lada moment, że podpalą miasto za pomocą ognistych pocisków, wyrzuconych z ogromnych łuków, że czekają na świt, bo perscy bogowie nie wspierają ich w czasie nocnych walk, że zrozpaczone kobiety, trzymając w objęciach dzieci, skaczą do rzeki...

Zenobia nic sobie nie robiła z ogólnej paniki. Starła się nie słyszeć wołań tych nieszczęśników. Nie obchodziło ją, co Persowie zrobią z Dura-Europos. Jeśli mają ochotę, niech sobie burzą miasto.

Ponieważ kręciło się tam wielu żołnierzy, Zenobia nie weszła na teren domu chrześcijan. Po prawej stronie ujrzała mur, który rozebrano na cegły, a dalej niezwykle spokojne podwórze z rosnącą palmą i wysokim tamaryszkiem. Dom najwyraźniej był pusty. Dziewczyna postanowiła tam wejść.

Pod portykiem znajdowała się fontanna. Wprawdzie woda nie płynęła, ale pozostało jej trochę na dnie zbiornika. Zenobia pochyliła się, by zmoczyć wyschłe, obolałe wargi. Ponieważ woda okazała się niezdatna do picia, opłukała tylko usta i natychmiast ją wypluła.

Czuła pragnienie i głód. Ale po co miałyby jeść lub

pić, skoro i tak wkrótce umrze? Przysiadła pod fontanną, drżąc od wieczornego chłodu. Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Zgiełk w ogarniętym paniką mieście jakby nieco osłabł. Pomyślała znowu o słowach, które chciała powiedzieć Schawaadowi: „Dzień i noc jesteś w moim sercu. Podążam tam, gdzie i ty. Nie wyjdę za mąż za Odenatusa. To ciebie wybrałam. Od chwili swoich narodzin, na zawsze. Ciebie, Schawaadzie, i nikogo innego. Dziś jestem już kobietą. Mogę urodzić dziecko i dać szczęście mężczyźnie. Podjęłam decyzję. Nie zależy mi na tym, żeby być królową. Odenatus został wybrany przez mego ojca, nie przeze mnie. Ja będę twoją królową, Schawaadzie, mój ukochany, twój świat będzie moim królestwem. Cierpię katusze, nie czując twoich rąk na mojej twarzy. Przez cztery lata nie myślałam o niczym innym, jak tylko o tym, by spijać oddech z twych warg i stać się twoją żoną. Kiedy ojciec dowie się o tym, zapragnie mojej śmierci. Ale my uciekniemy bardzo daleko, do kraju Greków. Nauczyłam się ich języka, a ty będziesz mógł tam studiować. Staniesz się wielkim myślicielem, filozofem, nauczycielem. Wszystko, co nosisz w sobie, przekażesz innym. Abdonaj nie odnajdzie swej córki. Zapomni o niej”.

Mimowolnie szeptała te słowa, jakby mogły przenieść ją tam, gdzie ujrzy ją zaskoczony, ale uszczęśliwiony Schawaad.

Kiedy wyczerpana umilkła, usłyszała znowu hałas na murach obronnych. Zbliżała się pora szturm. Poznała

wystarczająco niecierpliwość Persów, domyślała się więc, że zaatakują tej nocy. Blask pożaru w mieście zastąpi im słońce.

Mimo to, nie zdając sobie z tego sprawy, zasnęła, gasząc pragnienie łzami.

\* \* \*

Ile czasu spała? Godzinę, kilka sekund, pół nocy? Nie wiedziała.

Przebudzenie było jak senne marzenie. Gdzieś od strony portyku ktoś zawołał:

– Nie mamy czasu, Schawaadzie! Persowie już tu są, spójrz na niebo!

Zenobia otworzyła szeroko oczy, jakby to wołanie przeznaczone było dla niej. Ujrzała czerwone smugi przecinające niebo. Persowie rozpoczęli szturm.

– Nie denerwuj się, przyjacielu. Bóg, jeśli zechce, pomoże nam. Nie trać ducha.

Zenobia poznała ten pewny, spokojny głos. Każde wypowiedziane słowo wywoływało drżenie w jej piersi. Mówiła sobie w duchu: „Schawaad, Schawaad, to ty? Naprawdę tu jesteś?”.

Głos Schawaada rozległ się ponownie:

– Zapalmy pochodnie, żebyśmy widzieli, gdzie stawiamy nogi.

Zenobia poczuła w ciele chłód płynący od ziemi i kamiennego obramowania fontanny. Nie śniła. Powinna



wstać, pokazać się. Zawołać imię Schawaada.

Ale to towarzysz Schawaada krzyknął. Na niebie leciały dwie ogniste strzały. Spadły na sąsiedni dach. Rację mieli ci, którzy zapowiadali szturm przy użyciu machin oblężniczych. Zgiełk na murach świadczył o tym, że doszło tam do walki wręcz.

– Szybciej! – niecierpliwił się Schawaad. – Nie bądź taki tchórzliwy.

Zenobia zerwała się na równe nogi i zawołała:

– Schawaad, to ja! Zenobia! Nie poznajesz mnie?

Płomień pochodni nie dawał dobrego światła, ale ogień ogarniający belki dachu był dostatecznie jasny, żeby można było rozróżnić twarze. Mimo brody i długich włosów, Schawaad nic się nie zmienił. Rozpoznałaby go wśród tysiąca innych.

Zdziwił się tak samo jak kiedyś – zmarszczył brwi, podniósł rękę, osłaniając oczy od blasku pożaru, wpatrując się w ciemność.

Roześmiała się.

– No tak, nie poznajesz mnie w tym stanie! – Zanurzyła ręce w fontannie, by obmyć wodą twarz.

– Przez ostatni miesiąc byłam u Persów. Chciałam dotrzeć do ciebie wcześniej, ale dopiero dziś udało mi się przedostać przez mury obronne. – Kopałam dla nich lochy. Mieli mnie za chłopca. Dali mi przydomek Kuna.

Drgnęła, gdy kolejna strzała z palącą się szmatą spadła w rogu podwórza. Płomienie sięgnęły aż pod portyk.

– Musimy iść – jęknął towarzysz Schawaada. –

Spalimy się tu!

– Piekło jest przeznaczone dla ludzi podłych i niegodziwców – zganił go Schawaad z pogardą. – Uciekaj, jeśli chcesz. – Sięgnął pod kołnierz tuniki, gdzie wisiał srebrny medalion z wizerunkiem ryby, i pomachał nim. – Bóg będzie o tobie pamiętał! – zawołał.

Chłopak zawahał się. Spojrzał na pożar, potem na Zenobię, która podchodziła, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W końcu zdecydował się. Zawrócił biegiem i zniknął w budynku.

Zenobia stanęła tuż przy Schawaadzie. Jaki był piękny! Piękniejszy i silniejszy niż w jej wspomnieniach. Umierała z pragnienia, żeby dotknąć go ręką, ale nie śmiała.

– Mówisz po grecku, a ja rozumiem cię, jakby to był nasz język – odezwała się cicho. – Ojciec sprowadził mi dobrego nauczyciela. Uczyłam się tego języka, żeby móc z tobą rozmawiać.

Spojrzenie Schawaada złagodniało. Wyraz ust stał się taki jak dawniej.

– Czyś ty oszalała? Co tu robisz? Przybywasz w takiej chwili?

– Schawaad!

Jego wzrok był tak palący, jak płomienie ogarniające dach domu. Palcami ścisnął wiszący u szyi srebrny medalion z rybą.

– Nie mam czasu. Muszę... Nie mam czasu dla ciebie. Uciekaj stąd, tu jest bardzo niebezpiecznie!

– Schawaad, wysłuchaj mnie!

– Potem, jeśli Bóg pozwoli!

Nie słuchając jej, wbiegł do domu. Jeszcze raz zawołał do niej przez ramię:

– Uciekaj!

Zabrzmiało to tak, jakby krzyczał na psa.

Zenobia stała jak wryta na podwórzu oświetlonym płomieniami pożaru, zupełnie nieświadoma bitwy toczącej się zaledwie kilka kroków od niej.

A tam na murach Rzym i Palmyra ustępowały pod naporem Persów.

\* \* \*

I wtedy ją ujrzeli. Samotną dziewczyną na podwórzu, obojętną na odgłosy walki, otoczoną ogniem pożaru, którego płomienie były coraz bliżej.

Na pewno i oni także, widząc, jak stoi nieporuszona, w podartej tunice, uznali, iż jest szalona.

Ale przede wszystkim w blasku płomieni olśniła ich uroda dziewczyny. Mimo łachmanów, mimo brudnej twarzy, ujrzeli piękną kobietą, jakiej z pewnością nigdy wcześniej nie widzieli, a tym bardziej nie dotykali.

Było ich czterech. Na sąsiednich ulicach trwały walki wręcz, lecz oni postanowili się zabawić. Jeden z nich krzyknął:

– Ej, panienko, co tu porabiasz?! Czy czekasz na nas?!  
Pozostali zachichotali.

Nie spodziewali się jednak takiej siły i wściekłości, jakiej dała dowód, gdy spróbowali jej dotknąć. Broniła się tak zaciekle, że podrapała im policzki, wargi, powieki. Nie mogli sobie poradzić, mimo iż było ich czterech. Wrzeszczała, wyła, rzucała się z pazurami.

W trakcie szamotaniny szybko zdarli z niej resztki tuniki. Nagość i wściekłość dziewczyny tylko powiększyły ich pożądanie. Była tak piękna, piękna jak demon! Bawiła ich jej zaciekłość, całe to widowisko, jakie dawała w tańczących płomieniach krwawej pożogi. Prężne piersi, smukłość bioder, krągłość pośladków, wypukłość wzgórka łonowego rozpały ich do czerwoności. A ponadto nienawiść, żądza zdobycia i zbrukania takiego piękna. Doskonale wiedzieli, że bogowie stworzyli ją nie dla nich, że w innych okolicznościach nigdy by jej nie posiadli. Jej urodę odbierali jako dodatkową zniewagę. Ostatecznie była tylko dziewczyną w zdobytym już przez nich mieście, które wkrótce zamieni się popiół.

Jeden z napastników, straciwszy cierpliwość, wyciągnął miecz. Uderzył płazem w skroń Zenobii. Zachwiała się, osłabła, teraz wydała się jakby jeszcze bardziej naga. Żołnierz uderzył ją po raz drugi. Straciła przytomność, upadła na ziemię w pozycji, która wywołała uśmiech zadowolenia na twarzach gwałcicieli. Choć ten, który ją uderzył, żałował, że dziewczyna jest nieprzytomna, bo w pewnej mierze pozbawiało go to przyjemności.

\* \* \*

Schawaad nie od razu ją zobaczył.

Wypadł z domu jak szalony. Z ogromną skórzaną torbą, pękata od zwojów cennych papirusów, z nadpalonymi od żaru brodą i włosami myślał tylko o tym, by jak najszybciej uciec.

Na ulicach Rzymianie usiłowali kontratakować. Miasto stojące w ogniu huczało od zgiełku toczącej się walki. Schawaad skierował się do wyłomu w murze. I w tym momencie dojrzał ciało kobiety leżącej na ziemi.

W pierwszej sekundzie chciał odwrócić wzrok, ale nagle ją poznał. Nigdy nie widział Zenobii nagiej, a w dodatku zakrwawionej, sponiewieranej. Była, jak porzucony po masakrze odarty z odzienia trup.

– Zenobia!

Ręce zaciskała jeszcze na resztkach tuniki. W blasku buchających dokoła płomieni ujrzał ślady czarnej krwi między jej nogami i na brzuchu. I wówczas pojął, co się stało.

– O, Panie, Boże Wszechmogący!

Padł na kolana, jak przed zmarłym. Ale ona nie była martwa. Jeszcze oddychała. Pierś i brzuch poruszały się od urywanego oddechu.

Machinalnie wymacał swój srebrny medalion z rybą Chrystusa.

– Po coś tu przybyła? Po co? – wyszeptał.

Ale Zenobia nie otworzyła oczu, nie odpowiedziała na

jego pytanie.

Wtedy spojrział na swoje dłonie, które miały moc uzdrawiania. Zawahał się, nie miał odwagi jej dotknąć. I wtedy sam Bóg przyszedł mu z pomocą.

Usłyszał krzyk i stukot kopyt końskich na bruku.

– A ty co tu robisz?

Był to rzymski oficer. Właśnie przedostał się przez wyłom w murze, pochylony nisko nad karkiem konia, trzymając w jednej ręce wodze, a w drugiej miecz.

Schawaad wstał z klęczek, drżąc na całym ciele. Rzymianin był ranny. W jego udzie sterczało drzewce złamanej włóczni.

Schawaad bez namysłu rzucił się na niego. Ściągnął go, wrzeszczącego z bólu, z konia na ziemię. Zabrał mu płaszcz, aby owinać nim Zenobią. Po czym położył ją na grzbiecie przestępującego z nogi na nogą przerażonego konia, wpatzonego szeroko otwartymi oczami w ogień, który ogarniał już dach domu.

Rzymianin wrzeszczał, przeklinał, próbował dobyć miecza. Schawaad kopnął go w twarz i klepnął konia po zadzie, zawracając go do wyłomu w murze.

Rzymianin krzyczał za jego plecami, że go odnajdzie, że zgotuje mu powolną śmierć, że bogowie Rzymu nigdy tego nie zapomną i sprawią, iż spłonie w ogniu piekielnym.

## ABRITTUS, RZYMSKA PROWINCJA MEZJA

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Aurelian wyruszył na północ, aby odciąć drogę Gotom, podczas gdy Decjusz ścigał ich aż na mokradła. I wtedy zdarzyło się nieszczęście.

Kiedy XX legion Valeria Victrix szykował się do przekroczenia ostatniej odnogi Dunaju, do Aureliana dobiegł posłaniec z twarzą zmienioną ze zmęczenia i przerażenia.

– Legacie! Decjusz Augustus nie żyje!

– Co mówisz?

– Prawdę, legacie, Decjusz Augustus nie żyje. Zabili go Goci. Wpadł w zasadzkę na środku mokradeł. Z pięciu tysięcy żołnierzy V legionu Macedonia zostało tylko kilkuset. Nie lepiej jest w VII legionie Claudia, który przyszedł mu z pomocą.

Tej zasadzki nawet dziecko mogłoby uniknąć. Aurelian dowiedział się szczegółów, gdy zajeżdżwszy dwa konie, dotarł do Novae.

Goci zawczasu znaleźli dla siebie twarde, pewne przejścia przez podmokłe tereny. Podczas gdy tamtędy przedzierały się wozy, znaczna część wojowników zawróciła w szyku bojowym. By zmylić Rzymian, zamiast bronić drogi, którą jechały wozy, zajęli pozycje przed

najbardziej błotnistą strefą, a ich łucznicy ukryli się wokół bagna. Decjusz uznał, że oddziały, które widział przed sobą, są osaczone, że zabłądziły i tym samym stały się łatwym łupem. Chęć zemsty pozbawiła go jasności umysłu. Nie lepiej zachowali się jego dowódcy, czy to z obawy, żeby mu się nie narazić, czy przez głupotę.

Po krótkim starciu, goci ustąpili. Udając bezładną ucieczkę, rozbiegli się po mokradłach, wciągając w nie wojsko Decjusza. Tam, gdzie sandały legionistów zaczęły grzęznąć, a konie nie mogły wydobyć kopyt z błota, kiedy ciężkie pancerze wciągały ludzi w grzęzawisko, wkroczyli do akcji goccy łucznicy. Bez najmniejszego trudu osaczyli legiony.

Próba przyjscia z pomocą, jaką podjął Gajusz Prokulus ze swoim VII legionem Claudia, nie powiodła się. Cesarz utonął. Zginął także Gajusz. Legion zawrócił, zanim został całkowicie zdziesiątkowany.

Rzymska armia została pokonana.

Nazajutrz wieść rozeszła się po całym imperium. Po wszystkich drogach, po wszystkich świątyniach, jak daleko sięgały granice Rzymu, wieść ta szybko, niczym zaraza, dotarła do domów, na pola, wszędzie. Decjusz Augustus zginął pokonany przez Gotów! Cesarz jedyne w świecie imperium utonął w bagnie! Po raz pierwszy bogowie nie uratowali Rzymu od hańby zadanej przez barbarzyńców.

\* \* \*



– Gdzie on jest? – zdziwił się Aurelian, rozglądając się naokoło. – Gdzie znajduje się ciało cesarza?

Na dziedzińcu pretorium wrzało. Oficerowie ledwie śmieli spojrzeć sobie w oczy. Aurelian nigdzie jednak nie dostrzegł śmiertelnego łoża z ciałem cesarza.

– Gdzieś w bagnie, legacie. Chyba zdążyły go już rozszarpać kruki lub wodne szczury – odezwał się Trebonian, namiestnik Mezji, którego Decjusz uważał za tchórza.

– Na mokradłach? Nie odnaleźliście jego zwłok?

Po nalanej obojętnej twarzy Treboniana przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– W tym błocku potopiło się tylu ludzi, że rozpoznanie kogokolwiek jest niemożliwe.

– Przecież to nie chodzi o byle kogo! Mowa jest o Decjuszu Auguście Imperatorze Rzymu!

Aurelian nie wierzył własnym oczom i uszom. Miał przed sobą obraz upadku cesarstwa. Ucieleśnieniem tego był gruby Trebonian z głową wychodzącą wprost z ramion zlewających się z brzuchem, tak ogromnym, że jego rozmówca musiał się trzymać w pewnej od niego odległości. Ale spojrzenie złotawych oczu, ocienionych długimi kobiecymi rzęsami, było bardzo żywe. Te oczy nie wyrażały ani trochę żalu czy smutku, widniało w nich wyraźne podniecenie, źle skrywane zadowolenie, którego powód Aurelian odgadywał bez trudu.

– Czy mam rozumieć, że nikt nie będzie szukał zwłok Decjusza? Że nasz cesarz nie będzie miał pogrzebu? –

Zapytał ostrym tonem Aurelian.

Trebonian westchnął, wydymając grube wargi.

– Po co szukać czegoś, czego się nie da znaleźć? Z braku ciała do spalenia można zadowolić bogów ofiarami, aby przyjęli duszę biednego Decjusza. Są rzeczy znacznie pilniejsze. Rzym potrzebuje władcy, a legiony wodza. Trzeba jeszcze przed świtem ogłosić nowego cesarza.

Na dziedzińcu zapadła cisza. Ambitny Trebonian odsłonił maskę. Przez cały czas przeciwstawiał się decyzjom Decjusza zarówno tu, jak i w senacie. Goci zabijając tego, który rządził prawie całe dwa lata, dobrze mu się przysłużyli. Oto powód, dla którego był tak podniecony.

Przez moment Aurelian zastanawiał się w duchu, czy zasadzka zastawiona przez Kniwę nie była wynikiem zbrodniczego spisku namiestnika. Wcale by go to nie zaskoczyło.

Ale chytry Kniwa nie potrzebował niczyjej rady.

Prawdę mówiąc, wystarczyło, że Trebonian trzymał się na uboczu i czekał, aż nieopanowana chęć zemsty doprowadzi Decjusza do tragicznego końca.

Straszliwy gniew ścisnął gardło Aureliana. Zacisnął pięści, by nie było widać drżenia jego rąk. Dlaczego miałby zrzucać winę na Treboniana? Czy Decjusz sam nie jest winien swojej śmierci? A on powinien był pozostać przy cesarzu, chronić go, nie dopuścić, by wpadł w zasadzkę.

Gdyby nie podał w wątpliwość słuszności strategii Decjusza, może by wyczuł podstęp. Był to jego obowiązek. Ale dał się ponieść dumie. Chciał pokazać cesarzowi i legatom, że jest mądrzejszy. Chciał pokonać Kniwę sam. I przez jego pragnienie sławy Decjusz, który traktował go niemal jak własnego syna, zapłacił najwyższą ceną.

Gorzka ślina podeszła mu do gardła, poczuł mdłości. Po raz pierwszy przeżywał klęskę. Absolutną, nie do naprawienia. I upokorzenie, które widniało na bladych twarzach wszystkich obecnych.

Oprócz Treboniana.

Aurelian wyprostował się. Przyłożył do pancerza dany mu przez Decjusza miecz, którym nie miał jeszcze okazji walczyć, i powiedział głosem przepełnionym pogardą tak głośno, żeby usłyszeli go wszyscy obecni:

– Namiestniku Trebonianie, dopóki ciało naszego cesarza nie znajdzie się tu na środku tego dziedzińca, Rzym musi poczekać. Widzą, że pragniesz już teraz włożyć wieniec laurowy na czoło. Na razie jednak symbol imperium leży w błocie. Nasi bogowie spoglądają na nas. Czy sądzisz, że będą cię wspomagać, jeśli zlekceważysz ich wolę?

Usta namiestnika zniknęły w tłustych fałdach jego twarzy. Kiedy zaczął mówić, widać było tylko koniuszek różowego języka.

– A jaka była wola bogów, legacie, gdy nie uchronili naszego augusta przed zasadzką, w którą dał się wciągnąć?

\* \* \*

Aurelian wyruszył tylko z dwudziestką legionistów. Maksymus nie zgodził się zostać w obozie. Z zakrwawioną ręką jechał w milczeniu u jego boku aż do mokradeł.

W powietrzu, na odległość większą niż jedna mila od gnijących wód, unosił się smród trupów. Nie przypominało to w niczym znanych już im miejsc walki. Wszystko się ze sobą wymieszało: błoto, szlam, trupy. Czarna krew i stojąca woda, trzciny i strzały. Woda z żarłocznością potwora połykała resztki zdrowego powietrza. Zielone, grube pęcherze pękały na trawach i na gnijących ciałach. Gdziekolwiek, na tej niezmierzonej płaszczyźnie, przenikały promienie dziennego światła, padając na stosy tysięcy poległych ze sterczącymi z nich piórami strzał, złamanymi drzewcami włóczni, powalonych tak gęsto, że nawet sępy nie mogły się do nich dostać, żeby urządzić sobie ucztę. Krążyły, latały nad nimi, popiskiwały, biły się ze sobą, wyszarpując dziobami wnętrzności.

Pobojowisko to ciągnęło się daleko na północ, jak okiem sięgnąć, aż do meandrów jednej z odnóg Dunaju.

Przerażeni tym widokiem wszyscy pojęli, że nie odnajdą ciała cesarza. Mimo to Aurelian zeskoczył z konia i odważnie wszedł w błoto.

Początkowo próbował omijać trupy, ale nie udawało się postawić stopy, żeby nie nadeptać na jakieś części ciała – brzuch, pierś czy kark. Zanurzył ręce i odwrócił twarzą do góry pierwszego trupa, usunął szlam z oczu i ust. Potem

zrobił to samo z następnym i następnym.

Podjechał Maksymus.

– To na nic, Aurelianie. Tym razem namiestnik miał rację. Po co szukać czegoś, czego się nie da odnaleźć?

Aurelian, nie patrząc na niego, odrzekł:

– Ja go odnajdę. Nie ruszę się z tych bagien bez ciała Decjusza Augusta.

\* \* \*

Zbliżał się mrok, a poszukiwania nie odniosły żadnego skutku.

Legioniści odwracali trupy to tu, to tam. Niektórzy wymiotowali. Wrócili do koni i stali odwróceny plecami do tego straszliwego miejsca, usiłując nie zwracać uwagi na smród, który wgryzł się już im pod skórę.

Maksymus nie opuszczał Aureliana. Z niepokojem obserwował jego ruchy. Obaj oddalali się coraz bardziej od brzegu mokradła. Posuwali się to w jedną to w drugą stronę, oglądając twarze trupów i spychając je z powrotem do bagna. Nigdzie nie natknęli się na ciało Decjusza.

Niekiedy zanurzali się aż po pas, potykali się w dołach, chwyтали się trupów, które przepływały nad nimi. Maksymusa bolało zranione ramię. Krew z rany mieszała się z czarną ziemią. Jego piękne jasne włosy przypominały brudną sierść dzika. Ale nawet nie myślał o tym, żeby się skarżyć.

Aurelian, cały oblepiony błotem, robił wrażenie

oszałego. Tylko błękit jego oczu nie przyblakł. Mieczem Etruskusa wywijał nad głową, a drugą ręką wciąż przewracał kolejne trupy. Ścierał szlam z ich oczu i twarzy, po czym oddawał je na żer sępom.

\* \* \*

Około godziny piętnastej Maksymus powiedział:

- Zaraz będzie ciemno. Musimy wracać, bo inaczej zabłądzimy. Jutro o świcie możemy...
- Każ zapalić pochodnie. Dwie na jednego człowieka.
- Aurelianie...
- Pochodnie, trybunie Maksymusie.

\* \* \*

Żołnierze byli posłuszni, bojąc się bardziej szaleństwa wodza niż gniewu bogów. Opanowując strach i obrzydzenie, trzymając pochodnie, utworzyli krąg wokół Aureliana. Na powierzchni mokradła powstała niezwykła plama światła, maleńka wśród niezmiernych ciemności, przesuwająca się wolno niczym jakiś owad.

Aurelian, znajdując się w centrum świetlnego kręgu pochodzącego jakby z innego świata, wciąż sprawdzał, czy wśród trupów nie ma zwłok cesarza.

Wraz z zapadnięciem nocy sępy zrezygnowały z dalszej uczty.

A oni zagłębiali się jeszcze dalej między gnijące

trzciny. Ciało Decjusza Augusta nadal leżało gdzieś w błocie.

\* \* \*

Jak długo to trwało? Stracili rachubę czasu. Tak samo, jak nie wiedzieli, czy szli w prawo, czy w lewo, czy posuwali się do przodu, czy się cofali.

Może krążyli wkoło? Może Aurelian, w swoim zapamiętaniu, od wielu godzin oglądał te same twarze?

Byli bardzo wyczerpani. Mimo smrodu i mdłości czuli głód. Nogi i ręce poruszały się mechanicznie, niezależne od ich woli. Pochodnie dopalały się. Z niecierpliwością wyczekiwali, kiedy całkiem zgasną. Chociaż bardzo się lękali brodzenia nocą wśród zmarłych, mieli jakąś nadzieję, że ciemności uniemożliwią Aurelianowi dalsze poszukiwania.

Nagle jeden z legionistów pośliznął się i przewrócił. Pochodnia spadła na trupy. Dał się słyszeć cichy syk. Pojawił się niebieskawy płomień. Zaskoczeni ujrzeli, że powiększa się on, rozchodzi się na wszystkie strony żywymi wstęgami.

W jednej chwili pokryły całe mokradło. Noc rozbłysła na niebiesko, groźnym błękitem morza. Ciała, rośliny, błoto otulone były błękitem. W nocnym mroku nad bagnami unosił się błękitny całun.

Po powrocie do obozu żołnierze opowiadali, że ten surowy, jasny błękit był dokładnie taki sam, jak błękit oczu

legata Aureliana.

Któryś z żołnierzy krzyknął ze strachu, potem następny. Rzucili się do ucieczki, biegnąc, jak tylko mogli najszybciej, wpadając na płomienie, które, o dziwo, nie parzyły ich, tylko dusiły. Pokaszując, przewracając się na ciała poległych, wyszli z tego z życiem tylko dzięki towarzyszom, którzy wyciągali ich z błota.

Wreszcie gigantyczny pożar zaczął przygasać. Mokradła wsysały płomienie, pochłaniały je. Aż wreszcie zniknęły tak samo nagle, jak się pojawiły.

Maksymus dotknął zdrową ręką ramienia Aureliana.

– Dość tego. Bogowie poznali twój ból i przyjęli duszę Decjusza. Te mokradła stały się dla niego grobem, ale jego dusza nie będzie tu się błukać. Możemy wracać do obozu.

Wokół nich panowały już całkowite ciemności. Drogę oświetlał tylko chwiejny płomień pochodni w ręce Aureliana.

Po długim milczeniu Aurelian szepnął:

– Kochałem Decjusza mocniej niż ojca. Ale on tak jak i mój ojciec odwrócił się ode mnie i zostawił samego. Czy tego właśnie chcą bogowie? Czy moim przeznaczeniem jest widzieć, jak umierają i oddalają się ci, którzy mogliby mnie prowadzić? A może moja matka ma rację?

– Zapowiedziała śmierć Decjusza – odrzekł cicho Maksymus.— Nie zapomnij o tym.

Aurelian popatrzył na niego bez słowa. Światło pochodni odbijało się krwawym blaskiem w jego oczach. Maksymus nie wiedział, czy Aurelian usłyszał jego słowa.



\* \* \*

Do obozu w Novae wrócili dopiero o świcie. Wyglądali jak straszydła pokryte wyschłym, śmierdzącym błotem. Ale zanim zdążyli się udać do łaźni i zaznać odpoczynku w *caldarium*, dowiedzieli się kolejnej nowiny.

Nocą oficerowie i legioniści, którzy ocalili z legionów Macedonia oraz VII Claudia, ogłosili Treboniana cesarzem, wkładając na jego głowę wieniec laurowy. Rzym miał nowego cesarza. I nową politykę.

O świtaniu Trebonian wysłał emisariuszy do Kniwy, króla Gotów, z zapewnieniem, że nie będzie go ścigać i na dowód dobrej woli imperium pozwala mu zatrzymać łupy. Nowy cesarz będzie szczęśliwy, przyjmując go wkrótce osobiście, żeby przekazać mu w darze skrzynie ze złotem w zamian za pokój.

O szóstej rano, kiedy Aurelian wreszcie zasnął, obudził go posłaniec z tabliczką pisaną ręką Treboniana.

XX legion Valeria Victrix ma opuścić obóz przed końcem dnia i ruszyć w górą Dunaju, gdzie będzie bardziej pożyteczny dla bezpieczeństwa Rzymu. Tu, w Mezji, wojna z barbarzyńcami jest zakończona.

**OAZA DINGIR-DUSAG**

Niewielka karawana składająca się z trzydziestu wielbłądów przybyła do oazy poprzedniego dnia z Udruh, wioząc trochę naczyń miedzianych. Dzieci bawiły się na stokach nad jeziorem. To one pierwsze zauważyły cienie tańczące na horyzoncie pustyni.

Ktoś się zbliżał. Dziwne, ale był to tylko jeden wierzchowiec. Może zagubiony wielbłąd.

Nie, był to koń. Mizerną szkapę dosiadało dwóch jeźdźców.

Mężczyzna i kobieta. Sami, bez eskorty, bez jednego choćby muła czy jucznego wielbłąda.

Bystre oczy mężczyzn szybko rozpoznały okrywającą konia rzymską derkę. I płaszcz rzymskiego oficera, w który otulona była kobieta. Gdy wierzchowiec podjechał wystarczająco blisko, poznali ją.

Gwiazda pustyni. Córka Abdonaja, która zniknęła parę miesięcy temu i którą uznano za zmarłą.

Wiadomość rozeszła się błyskawicznie od namiotu do namiotu. Kobiety wybiegły, by utworzyć powitalny szpaler u wejścia do obozowiska. Zaczęły wydawać radosne okrzyki, lecz głos uwiązał im w gardle, zanim jeszcze mężczyźni nakazali im, by umilkły.

Wszystkich przeszył dreszcz, jakby zmroził ich żar

pustyni.

Mężczyzna ubrany był w poplamioną krwią tunikę. Miał zbyt długą brodę jak na swój wiek, a jego oczy błyszczały gorączką. Córka Abdonaja, owinięta płaszczem, przywiązana była do niego skórzanym rzemieniem. Z bladą twarzą i zamkniętymi oczami wyglądała na martwą.

Kobiety jęknęły, nikt nie miał odwagi podejść bliżej, odezwać się słowem, o cokolwiek zapytać.

Mężczyzna skierował wierzchowca do samego jeziora. Odwiązał rzemień i nie prosząc o pomoc, opuścił Zenobię na ziemię. Dziewczyna otworzyła oczy. Wyzierał z nich strach. Kobiety zagryzły wargi. Przyglądały się jej również dzieci, które miały nigdy nie zapomnieć tego widoku.

Zenobia odepchnęła gwałtownie mężczyznę, który ją tutaj przywiózł i teraz chciał jej pomóc. Nie zważając na spojrzenia zgromadzonych ludzi, zdjęła płaszcz i odrzuciła go daleko za siebie. Zupełnie naga weszła do jeziora i cała się w nim zanurzyła.

Pozostawała niewidoczna pod wodą tak długo, że znikły niemal całkowicie fale na powierzchni jeziora, wtedy wszystkich przejął lęk. Wreszcie pojawiła się jej głowa.

Zenobia podeszła bliżej brzegu i wtedy ujrzeli, że oblepiała błotem całe ciało. Nabierała błoto pełnymi garściami i szorowała się nim tak mocno, jakby chciała zdrzeć z siebie skórę. Wkrótce pokryta była błotnistym szlamem od głowy do stóp. I wtedy dopiero się uspokoiła.

Usiadła w wodzie tak, iż wystawała tylko jej głowa.

Mężczyzna, który ją przywiózł, nie odezwał się ani słowem. Zdjął skórzaną torbę, przytroczoną do siodła, zarzucił ją na ramię, odszedł na bok i usiadł w gaju palmowym po drugiej stronie jeziora. Kobiety odniosły wrażenie, że płakał. Nie udało im się rozpoznać jego osłoniętej długą brodą twarzy ani spojrzeć w płonące oczy.

Mężczyźni domyślili się, kim jest nowo przybyły. Znali ten niezbyt miły sposób bycia elkezaitów. Skoro Baalszamin chciał jego obecności tutaj, to niech tak będzie. Skoro Schawaad, syn Iskellajla, pragnął milczeć, niech i tak będzie.

Zajęli się koniem, rozmawiając ze sobą półgłosem.

Wszyscy myśleli to samo. Baalszamin porwał Zenobię i z powrotem ją przyprowadził tutaj, aby należała do niego. Wszechpotężny Baalszamin, który dał Abdonajowi w darze swoją córkę i źródło wody, decydował o losie tych, których sam zesłał. Niech będzie błogosławiony!

\* \* \*

Nadszedł wieczór, a Zenobia wciąż nie wychodziła z wody. Ruszała się tylko po to, żeby lepiej okleić się błotem.

Zbliżyły się kobiety i zapytały, czy nie jest głodna. Kiedy nie uzyskały odpowiedzi, rozplakały się. Mężczyźni kazali im odejść. Uważali, że należy pozwolić, by spełniła się wola Baalszamina. Głód nie jest sprawą najważniejszą.

Gdy zapadła noc, rozpalili na brzegu ogień, aby rozproszyć nieco ciemności nad jeziorem. Podtrzymywali na zmianę ogień do świtu.

Zenobia nie ruszyła się. Nie wiadomo było, czy śpi, bo wydawało się, że miała szeroko otwarte oczy.

Tak minął dzień i kolejna noc. Zenobia nie odpowiedziała, gdy kobiety ponownie zaproponowały, że przyniosą jej coś do jedzenia. Martwiły się o nią. Mężczyźni mówili, że trzeba czekać. Odpędzali dzieciaki, które nie opuszczały brzegu jeziora.

Widok ten nie był dla ich oczu.

\* \* \*

Nocą, gdy znowu paliło się ognisko pilnowane przez dwóch przewodników karawany, Schawaad wszedł do wody. Mężczyźni zawahali się, ale nie ośmielili się mu przeszkodzić. Podszedł blisko do Zenobii i padł na kolana.

Domyślali się, że coś do niej mówi, ale nie słyszeli słów. Nie usłyszeli nic z tego, jak błagalnym tonem wyjaśniał, dlaczego musiał ratować księgi Boga, zabrać je z palącego się domu. Bo były to księgi starsze niż sięga pamięć ludzi. Księgi te zawierały słowo Boga jedyne, ojca rodzaju ludzkiego, zanim jeszcze posłał na ziemię Chrystusa. Księgi te zostały napisane z woli Boga. On, Schawaad, miał obowiązek je ocalić. Zenobia musi to zrozumieć. Nie powinna mieć do niego żalu, że nie został z nią. Cóż znaczy człowiek w rękach Wszechmogącego?

Czy go słyszała? Schawaad nie wiedział. W ciemnościach rozświetlonych czerwonym płomieniem ogniska twarz dziewczyny pozostawała nieobecna, zamknięta, choć powieki były szeroko otwarte.

Schawaad mówił dalej. Tłumaczył, że nie ma serca z kamienia, że o niej nie zapomniał. Ale jak mogła spodziewać się, że pójdzie z nią, kiedy tak niespodzianie pojawiła się wśród płomieni obleżonego miasta?

– Zenobio! Zechciej mnie zrozumieć! To było absolutnie niemożliwe, żebym uciekł z tobą bez ksiąg Boga!

Zenobia, oblepiona grubą warstwą błota na policzkach, ustach, szyi, siedziała nieruchoma niczym posąg.

Schawaad tłumaczył głosem przerywanym łkaniem. Opowiedział, jak wrócił na podwórze. Jak zabrał konia Rzymianinowi, jak przeszli szczęśliwie przez perskie linie.

– Zrobiłem, co w mojej mocy, Zenobio. Wszystko, co mogłem. Oddałbym życie dla ciebie, gdyby to było konieczne. Jesteś w moim sercu od dnia, gdy się urodziłaś. Ale ja jestem sługą mojego Boga. On mnie potrzebuje. Musisz to zrozumieć.

Czy go w ogóle słyszała?

Przestał mówić. Zanurzył głowę w wodzie i szeptem zaczął się modlić do Boga, przepraszając za swoje winy i wyrażając skruchę.

A potem przewodnicy karawany zobaczyli, że wstał, wyszedł z wody i zniknął w ciemnościach.

\* \* \*

O świcie w obozowisku rozległy się okrzyki radości: spadł deszcz.

Drobny deszczyk, od którego zmarszczyła się powierzchnia jeziora, a pociemniała brunatna ziemia pustyni zaczęła błyszczeć, jakby polana oliwą. To tu, to tam połyskiwały kałuże, do których z piskiem skakały dzieci.

Deszcz padał bez przerwy aż do wieczora.

Przed zmierzchem Zenobia wstała, wyprostowała się, pokrywające ją błoto osłoniło całkowicie jej nagość. Szła przez wodę w strugach deszczu.

Mimo warstwy czarnego błota piękno jej nagiego ciała zatkało dech wszystkim mężczyznom i wszystkim kobietom.

Potem ponownie zanurzyła się w jeziorze. Wśliznęła się pod wodę niczym jakieś zwierzę.

Krótko przed zapadnięciem nocy znowu oblepiła się jeszcze grubszą warstwą błota. Kobiety zapytały ją kolejny raz, czy nie zechciałaby coś zjeść. I tym razem nie usłyszały odpowiedzi. Jednak jeden ze starców powiedział:

– Teraz to nie potrwa już długo.

Nie wiadomo, skąd miał tę pewność, ale nikt nie wątpił w jego słowa.

\* \* \*

Nazajutrz nastał dzień niepodobny do innych.

O świcie ukazała się zielona pustynia.

Przez noc wyrosły drobne, rzadkie pądy traw, przetykane gdzieniegdzie maleńkimi, białymi kwiatkami, kołyszącymi się na wietrze. Kiedy się po nich chodziło, zapadały się w ziemię i prawie całkowicie znikwały. Ale kiedy się zwracało oczy ku horyzontowi, wyraźnie było widać, że pustynia jest zielona. Wśród przewodników karawany tylko najstarsi przypominali sobie taką zieleń.

A kiedy rozdarło się szare niebo, kiedy słońce przepędziło z nieba chmury, ujrzeli stojącą w jeziorze Zenobią. Szła do brzegu. W ręce trzymała długi czarny kamień, regularnych kształtów, gładki i wypolerowany.

Kamień podobny do ogromnego czarnego diamentu.

Każdemu z obecnych przyszła do głowy ta sama myśl: Zenobia niosła gwiazdą, którą Baalszamin zesłał na ziemię w dniu jej narodzin, i od której uderzenia wytrysło z ziemi źródło.

Wówczas wszyscy zrozumieli, dlaczego Zenobia tkwiła w wodzie jeziora trzy dni i trzy noce. Przybyła, by wypełnić wolą Baalszamina!

Krzyknęli z radości, unosząc ręce ku niebu.

Zenobia, przyciskając kamień do oblepionego błotem brzucha, podeszła do kobiet. Cofnęły się, nieco przestraszone. Ledwie słyszalnym głosem, jakby z trudem poruszając szczękami, powiedziała:

– Obmyjcie mnie, przygotujcie *koba*, święty kufer



i białą wielbłądzicę. Muszę jechać do Palmyry i poślubić króla Odenatusa.

**Część 2**  
**SŁONECZNY ŻAR**  
**256–258 r. n.e.**

## PALMYRA

Najpierw zobaczyli ich mieszkający za miastem *khani*. Dzieci przerwały zabawę w gaju palmowym i pobiegły drogą prowadzącą do miasta Charaks, żeby patrzeć, jak się zbliżają.

W upalnym, drgającym nad pustynią powietrzu pojawiały się nad horyzontem łudzące wzrok miraż.

Około dziesięciu zwierząt, może piętnastu, nie więcej. Za mało, żeby mogła to być karawana kupiecka. Musiało coś się wydarzyć.

Oślaniając rękoma oczy, dzieci próbowały odgadnąć, kim są nieznajomi. Może ocaleni po jakimś rabunkowym napadzie, a może ranni wojownicy, którzy przybywali, by umrzeć w Palmyrze.

Kiedy sylwetki jeźdźców stały się wystarczająco duże, wyraźne i kolorowe, dostrzegły na czele tej grupy kobietę osłoniętą szerokim woalem z niebieskim obrębem. Wyglądało na to, że idzie pieszo przed białą wielbłądzą.

Po chwili jeden z chłopców zawołał, że kobieta nie idzie, ale jedzie na ośle. A wówczas wszystkie dzieci jednocześnie dostrzegły czerwony kufer przytroczony do grzbietu wielbłądzicy.

– To *koba*! *Koba* wraca do miasta! – rozległ się krzyk jakiegoś dziecka.

Wieść rozeszła się po zajazdach wokół olbrzymiego gaju palmowego, po namiotach rozstawionych wzdłuż ogrodów, grobli i przybrzeżnych fos wadi Qubur. Mężczyźni w jednej chwili przerwali pogawędkę, wychodząc z chłodnych sklepików, a kobiety zostawiły gotowanie i tkanie.

Dzieci miały rację. Piękny, z czerwonej skóry *koba* kołysał się na grzbiecie wielbłądzicy. Wszyscy pragnęliby poznać kobietę wiozącą święty przedmiot. Spod okrywającego ją woalu nie widać było nawet czubków butów. Za nią kroczyli wojownicy. Miecze wyjęte z pochew połyskiwały w ich rękach.

– To wojownicy M'Tub! – zapiszczały dzieci.

Mężczyźni przymrużyli oczy.

Wojownicy M'Tub będący w służbie bogatego Abdonaja!

Ktoś krzyknął:

– Jaki znak ma wielbłądzica?

Na białej sierści zwierzęcia, tuż nad barkiem, wypalono żelazem gwiazdę wpadającą do wody.

– To córka Abdonaja! – zawołała jedna z kobiet. – Ta kobieta pod woalem to Zenobia!

Zenobia, którą uznano już za martwą.

Od wielu miesięcy co wieczór szeptano o nagłym jej zniknięciu. Mówiono, że Baalszamin odwrócił się od Abdonaja i jego córki. Przewodnicy karawan znaleźli w Turaq Al'llab rozdartą suknię. Suknię Zenobii. Pewnie pochłoneła ją pustynia lub rozszarpały drapieżniki. Chyba

że złapali ją żołnierze perscy. Albo ludzie z plemion południowych, czczących obcych bogów. Cokolwiek się zdarzyło, Baalszamin najwyraźniej przestał obdarzać bogactwami ojca i jego córkę.

Mówiono także, że Dostojny Odenatus, Najjaśniejszy król Palmyry, został wdowcem, nie zdążywszy nawet wydać uczty weselnej. Powtarzano sobie, że to wszystko było złym znakiem dla Palmyry. I oto okazuje się, że nie mieli racji. Przemawiała przez nich głupota.

Kobiety, nie posiadając się z radości, wznosiły ręce ku niebu i krzyczały:

– Zenobia! Zenobia żyje! Baalszamin zwrócił Zenobię jej ojcu.

Podbiegli do osła i okrytej woalem kobiety. Wykrzykiwali radośnie imię Zenobii aż w końcu czyjaś ręka zerwała woal i ukazała się ukryta pod nim twarz.

Niewielu z nich widziało ją przedtem. Wszyscy byli pod wrażeniem jej urody. Tak pięknej twarzy bogowie nie dali jeszcze nikomu.

\* \* \*

W obszernej sali jadalnej ze ścianami malowanymi we freski, z łóżkami zdobionymi złotem i macicą perłową, z poduszkami tak miękkimi, że można się było w nie zapaść, Abdonaj szykował się do posiłku, który miał spożyć razem z kupcami z Emesy. Długie grzecznościowe formułki gości przerwane zostały przez krzyki, które, jak

im się wydało, dochodziły z podwórza. Abdonaj poirytowany zgiełkiem zmarszczył brwi. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, pojawili się słudzy z Aszemu na czele. Niańka jąkała się z podniecenia.

– Twoja córka przybyła! Zenobia! – wystękała w końcu.

Abdonaj pobladł. Jeszcze chwila i uderzyłby Egipcjanę. Od dnia, kiedy Zenobia zniknęła, nikt nie miał prawa wymawiać jej imienia w tym domu. Zabronione było nawet słowo „córka”.

Abdonaj pohamował jednak gniew. Szeroka twarz Aszemu jaśniała niczym lampa w świątyni. Policzki jej błyszczały, połykała łzy płynące z oczu, drżały jej usta.

– Co ty pleciesz? – zapytał ostro.

– Chwała Izis, chwała Baalszaminowi! Chwała wszystkim wielkim bogom świata! Panie, Zenobia żyje! Twoja córka wraca do nas! Nie zginęła na pustyni!

Oszołomiony Abdonaj milczał. Patrzył na gości i służbę, jakby nie rozumiał sensu słów, które usłyszał.

Najstarszy z niewolników nie wytrzymał i zawołał:

– Panie, niańka mówi prawdę! Panienska Zenobia wróciła na białej wielbłądzicy. Dzieci zobaczyły ją na drodze do Charaksu, przed gajem palmowym.

– Nie, nie siedzi na wielbłądzicy – wtrącił inny – ale na ośle.

– Bo wielbłądzica wiezie *koba* – sprecyzował trzeci.

– Zaraz będzie przy wielkiej kolumnadzie!

– *Koba?* – zdziwił się jeden z kupców z Emesy.

– Tak, panie, święty kufer. Ale nie wiemy, co zawiera.

– Podobno towarzyszą jej ze śpiewem i muzyką pasterze i handlarze z podmiejskiej dzielnicy.

Uradowana służąca, trzymająca w rękach ciężką misę, w której mieli myć ręce goście, odważyła się powiedzieć:

– To naprawdę Zenobia, panie. A ty uważałeś, że nie żyje!

Aszemu, z oczyma błyszczącymi mocniej niż żar w palenisku, dodała:

– Nie chciałeś mi wierzyć, a to ja miałam rację. Wiedziałam, że ona jest wśród żywych i że wróci.

– Spokój, milczcie! – wybuchnął Abdonaj, klaszcząc w ręce. – Wynoście się i do pracy!

Minęło pierwsze zaskoczenie. Opanował się i uśmiechnął do kupców z Emesy, wskazując na zastawiony stół.

– Zabierajmy się do jedzenia i picia. Jeśli moja córka naprawdę wróciła, zobaczymy ją później. Przyjmę ją tak, jak na to zasłużyła.

Aszemu otworzyła szeroko oczy. Chwyciła Abdonaja za rękaw i odciągnęła na bok.

– Czyś ty oszalał? Twoja córka wróciła, a ty chcesz robić jej wymówki?

– Moja córka uciekła z domu – odrzekł ostro Abdonaj z drżącymi z gniewu wargami. – Moja córka okryła mnie hańbą. Sama splamiła się w obliczu bogów i Dostojnego Odenatusa! Sprowadziła hańbę na mnie, jej ojca, syna Maliku, syna Naszuma, przywódcę plemienia Maazinów,

wybranego przez samego Baalszamina! Skoro nic zginęła na pustyni Turaq Al'llab, powinna była wrócić. Wierz mi, że nie takie wyrzuty usłyszysz ode mnie, a znacznie gorsze...

– Zenobia zhańbiona? Czy postradałeś zmysły?

– Kiedy ta dziewczyna tu się zjawi, wypędzę ją z domu! Oto co zrobię!

– Jeśli zostało ci choć trochę rozsądku, Abdonaju, zamilcz i biegnij jej na spotkanie.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Czy nie słyszałeś? Czy jesteś taki tępy? Zenobia wjeżdża do miasta z *koba*, a ty chcesz ją karać? Baalszamin oddaje ci ją wraz ze świętym darem, a ty chcesz ją wypędzić? Kim jesteś, że zamierzasz sprzeciwiać się woli boga?

– Wystarczy! Uszy mnie bolą od twoich głupot. Ciebie również wypędzam. Mam dość twojego gadulstwa.

– Doskonale! Rozpowiem po całym mieście, że Abdonaj odwraca się od córki wybranej przez Baalszamina! Od tej, której zawdzięcza fortunę!

Krzyczała, a jej słowa rozbrzmiewały echem po całej sali.

Kupcy z Emesy nie kryli zmieszania. Najstarszy z nich i najbogatszy położył rękę na ramieniu Abdonaja.

– Jest sens w tym, co mówi niańka. Zjedzeniem możemy poczekać. Chcemy zobaczyć, jak ojciec wita córkę, którą miał już za straconą.

\* \* \*



A Karawana wyłoniła się z gaju palmowego, przejechała wzdłuż muru, u którego stóp płynęła cenna woda wadi Qubur. Zenobia z odsłoniętą twarzą, wyprostowana, jechała, kołysząc się na osle. Za nią podążały w pośpiechu kobiety. Grały na fletach, a dzieci uderzały w bębenki. Trochę z tyłu, ale tak samo podnieceni, szli mężczyźni. Podobnie jak kobiety śpiewali na cześć Zenobii.

– Błogosławieństwo boga jest z nią! Zenobia nadal jest wybranką boga. Zenobio, blasku Dingir-Dusag, ty, która zrodziłaś się z gwiazdy Baalszamina...

W końcu dotarli do wysokiego łuku stanowiącego bramę do centrum miasta. Prawo Palmyry zabraniało zwierzętom wstępu na te ulice. Wojownicy M'Tub zmusili wielbłądy do klęknienia. Zenobia zsiadła z osła. Tłum zamilkł, obserwując każdy jej gest.

Odrzuciła woal na ramiona. Wówczas ujrzeli pełną wdzięku szyję, wystające policzki dziewczyny pustyni. W uszach połyskiwały złote kolczyki. Ale wyraz twarzy Zenobii nie zmienił się. Był wciąż tak samo surowy i nieprzenikniony, gdy chwyciła skórzany rzemień uwiązany do pyska wielbłądzicy. Cmoknięciem kazała zwierzęciu iść za sobą do bramy, której łukowate sklepienie zdobiły kamienne paciorki, geometryczne desenie oraz girlandy nieznanych na pustyni roślin.

Rzymscy żołnierze pilnujący bramy, zaniepokojeni widokiem tłumu, który zamierzał wlać się do miasta,

sięgnęli włócznie. Wojownicy M'Tub natychmiast ustawili się przed Zenobią.

Próbując coś tłumaczyć niezdatną łaciną, z rękami na mieczach, torowali drogę dla córki pana Abdonaja, przywódcy Maazinów. Pokazywali na *koba*, święty kuferek przytroczony do grzbietu wielbłądzicy. Każdy mieszkaniec Palmyry, a nawet wszyscy urodzeni w granicach imperium, powinni wiedzieć, że *koba* zawiera dar bogów. Jedynie biała wielbłądzica mogła go dowieźć do bram świątyni.

Legioniści nie zdążyli zareagować. Nie zważając na ich włócznie, Zenobia przeszła przez bramę. Tłum otoczył ją, osłaniając przed żołnierzami. Gdy znaleźli się w cieniu wielkiej kolumnady, znowu rozległa się muzyka.

Była to najbardziej niezwykła w Syrii święta aleja długości dwóch tysięcy kroków, obrzeżona podwójnym szpalerem ośmiuset dwudziestu kolumn, pięciokrotnie wyższych od człowieka. W połowie wysokości każdej kolumny, w kamiennych niszach, stało osiemset dwadzieścia posągów z brązu przedstawiających najbardziej zasłużonych kupców, wojowników i kapłanów. To one czuwały nad pomyślnością miasta.

Kolumny z kapitelami ozdobionymi kiściami winogron i liśćmi akantu połączone były konstrukcją z drzewa cedrowego pomalowanego na niebiesko, czerwono i zielono. Podtrzymywała ona dach z ceramicznych dachówek, na tyle wielki, że przez cały dzień dawał cień na całej długości przejścia.

Zenobia wkroczyła tam, prowadząc wielbłądzicę. M'Tub odpychali gapiów, którzy wybiegli z sąsiednich warsztatów. Garbarze, szewcy, złotnicy, kamasznicy, producenci skórzanych bukłaków, wszyscy porzucili swoje zajęcia na dźwięk fletów i bębenków. Z ust do ust podawano sobie oszałamiającą nowinę, że Zenobia, dar Baalszamina, córka Abdonaja i narzeczona Odenatusa, żyje.

Baalszamin nie opuścił jej. Jak zapewniali niektórzy, napotkała ona na pustyni zesłanego przez boga anioła, który doprowadził ją do miejsca jej narodzin, do Dingir-Dusag.

Urzeczeni ludzie spoglądali na tę tajemniczą piękną dziewczynę, a potem przenosili wzrok na wielbłądzicę i na *koba*, którego jaskrawoczerwona skóra połyskiwała żywo w cieniu kolumn.

\* \* \*

Abdonaj w towarzystwie swoich gości wyprzedził Aszemu. Zdecydowanym ruchem ręki robił sobie przejście w zbitej masie właścicieli warsztatów oraz przygodnych gapiów. Nie słyszeli muzyki, dopóki nie doszli do długiego szeregu kolumn, poprzecinanych pasmami światła i cienia. Nagle tłum rozstał się. Abdonaj gwałtownie stanął w miejscu.

Od Zenobii dzieliło ich kilkanaście kolumn. Jej bujne włosy wysunęły się z grzebieni, loki o miedzianym

połysku opadły na pierś. Tuż za nią kroczyła wielbłądzica z pochyloną szyją, ale z godnością, jakby zdawała sobie sprawą, jak cenny ładunek niesie na grzbiecie.

W obliczu takiego majestatu gniew Abdonaja się ulotnił. Jego usta wymówiły imię córki. Chciał do niej podbiec. Ale Aszemu złapała go za kraj tuniki i szepnęła przestraszonym głosem:

– Nie zbliżaj się! Nie wolno ci tego robić!

Abdonaj chciał zignorować jej radę, ale Aszemu przytrzymała go mocniej, mówiąc drżącymi wargami:

– Spójrz na jej oczy! Nie widzisz? Coś się z nią stało! Przyjrzyj się!

Abdonaj zmarszczył brwi. Egipcjanka miała rację. Twarz Zenobii była jeszcze piękniejsza niż w jego wspomnieniach. Wydała mu się tak piękna, jakby ją widział pierwszy raz. Szczupła, z jędrnym ciałem, wytworna. Rysunek ust był nieskazitelny, podobnie jak oczu w kształcie migdałów i brwi rozłożonych równomiernie nad trochę za dużym orlim nosem, ale z nozdrzami tak delikatnymi jak płatki jaśminu. Tak, jego córka Zenobia stanowiła uosobienie piękna. A jednak było w niej coś dziwnego.

Abdonaj widywał twarze o różnym wyrazie, od wściekłości jeńców do niepohamowanej radości zwycięzców. Ale takiego wyrazu, jaki malował się na twarzy córki, nigdy nie widział u nikogo. Miała spojrzenie pozbawione światła, jakichkolwiek uczuć. Wzrok zimny jak stal miecza. Twarz tak zamkniętą jak hełm gladiatora

w czasie walki. Wydawało się, że nie dostrzega ani swojego ojca, ani tłumu.

Egipcjanka miała rację. Coś się wydarzyło. Abdonaj rzucił niepewne spojrzenie na *koba* z czerwonej skóry. Nie ulegało wątpliwości, że to, co się przytrafiło Zenobii podczas jej nieobecności, pozostawało niezgłębioną tajemnicą Baalszamina.

Abdonaj zeszywniał. Nie odpowiadając na pytające spojrzenia gości z Emesy, ze ściśniętymi ustami, z chaosem myśli i zamętem w sercu, podniósł wzrok na malowany dach kolumnady. Z całą żarliwością, na jaką potrafił się zdobyć, błagał boga o przebaczenie. Kiedy jego ukochana, nieprzewidywalna w swych nastrojach córka uciekła, uznał to za objaw szaleństwa, kaprysu.

O, Baalszaminie, od wielu miesięcy przeżywałem upadek mego domu, karmiono mnie wciąż drwinami i złymi nowinami. O, Baalszaminie, kto mógł przypuszczać, że trzymałeś ją przy sobie, że wypełniała twoją wolę? – szeptał cicho.

Zenobia przeszła przed nim, jakby go nie poznawała. Nawet nie skłoniła przed ojcem głowy. Zresztą Aszemu też nie pozdrowiła.

Towarzyszający jej tłum wchłonał ich, nie zwracając uwagi na piękny ubiór Abdonaja, przewiązany złotym łańcuchem turban, włożony na posmarowane oliwą włosy, co było dowodem jego wysokiej rangi.

\* \* \*

Kiedy Zenobia pokonała dwie trzecie drogi przez kolumnadę, wyszła z cienia. Skierowała wielbłądnicę na lewo, w szeroką ulicę, która prowadziła do świątyni Baalszamina. Mur z pokrytych emalią cegieł otaczał dziedzińce, grobowce i sanktuarium. Siedem stopni prowadziło do głównej bramy. Sześć żłobkowanych kolumn podtrzymywało fronton w greckim stylu, pięknie ozdobiony dwunastoramiennym słońcem i takimi samymi znakami jak ten wypalony na szyi białej wielbłądnicy.

Zenobia zatrzymała się u stóp schodów, a z nią cały tłum. Umilkły flety i bębny. Pod portykiem ukazali się dwaj kapłani z gładko ogolonymi policzkami, w czapkach przetykanych listkami ze złota, w spodniach według mody perskiej i w płaszczach z różowego jedwabiu obszytych pięknym haftem z pereł.

Korzystając z tej krótkiej chwili spokoju, Abdonaj przecisnął się przez tłum blokujący mu przejście. Chciał dołączyć do kapłanów stojących na schodach. Zatrzymał się jednak jak wryty, słysząc ostry głos Zenobii nakazującej wielbłądnicę, by uklękała. Wszyscy zobaczyli, jak zwierzę poddaje się jej woli. Z cichym porykiwaniem wielbłądzica ostrożnie ugięła nogi.

Zenobia rozwiązała rzemienie, którymi przytroczony był *koba*. Ze skórzanym kuferkiem przy piersi weszła na pierwsze stopnie. Kapłani odsunęli się od bramy do świątyni. Najwyższy z nich, mężczyzna z bardzo ciemną twarzą i prawie czarnymi wargami, podniósł rękę i zapytał:

– Gdzie idziesz, dziewczyno? Świątynia Baalszamina nie jest dziś otwarta dla kobiet.

Stojący z boku Abdonaj zdołał się już opanować. Wraz z Aszemu, która mu towarzyszyła, postąpił krok naprzód, żeby interweniować. Ale nie było takiej potrzeby. Wszyscy usłyszeli wyraźnie głos Zenobii, twardy jak jej spojrzenie.

– Dostojny Malko, wiem, kim jesteś, a ty powinieneś wiedzieć, kim ja jestem. To ja, Zenobia, którą Baalszamin siedemnaście lat temu zesłał na ten świat wraz ze spadającą na pustynię gwiazdą. Wezwał mnie on do siebie na te kilka minionych miesięcy. Doprowadził mnie do gwiazdy, od której uderzenia wytrysnęło źródło Dingir-Dusag. Dziś przynoszę ten kamień z nieba do świątyni boga ludu Maazinów. Przynoszę dar Baalszamina dla Palmyry.

Zenobia odwróciła się twarzą do tłumu. Podniosła wieko kuferka, pod którym ukazał się długi czarny kamień. Jego osiem boków oślepiająco migotało w słońcu niczym wielokrotnie polerowany brąz. Z wszystkich ust wydobył się szmer zachwyty.

A więc to było tak! Baalszamin doprowadził Zenobię aż do gwiazdy jej narodzin!

Wszystkie ręce uniosły się do nieba.

– O wszechmocny Baalszaminie! Niech będzie błogosławione twoje dziecię Zenobia!

Malko spojrział w mokre ze wzruszenia oczy Abdonaja. Nie potrzebowali słów, żeby się rozumieć. Ten święty kamień dawał rodowi Maazinów,

najzamożniejszym przewodnikom karawan na pustyni, władzę równą potędze innych bogów Palmyry, takich jak Zeus Piękny, czczony przez króla Odenatusa, czy Słońce Niezwyciężone, bóstwo możnych rodów z Emesy i Antiochii, bogów bliskich Rzymowi i władcy imperium, lecz niezrodzonych na piaskach pustyni.

Jednak mimo niewątpliwej satysfakcji ich oczy odzwierciedlały ten sam niepokój. Czy Zenobia wróciła tylko w tym celu, żeby w sanktuarium złożyć kamień gwiazdy? Czy zgodzi się w końcu poślubić Odenatusa?

\* \* \*

Ludzi było tak dużo, że większość stała przed terenem należącym do świątyni i wyciągając szyje, usiłowała dojrzeć Zenobię przekraczającą jej próg. Na obszernym dziedzińcu pojawili się kapłani Baalszamina. Wszyscy, młodzi i starzy, zwykli pomocnicy przy składaniu ofiar oraz najwyżsi rangą. Z oczyma utkwionymi w czarny kamień niesiony przez Zenobię utworzyli szpaler aż do portyku sanktuarium. Zenobia kroczyła bez najmniejszego drgnienia powiek.

Z kamieniem przy piersi, tak jak było to w zwyczaju, okrążyła budynek cztery razy wokoło, zanim weszła do środka.

Było to miejsce niezwykle, z kamienia, pełne rzeźb i kolumn, wzniesione wewnątrz murów świątynnych. Frontony po obu bokach zwieńczone zostały smukłymi



kolumnami z niszami, w których mieściły się przepiękne posągi z marmuru z czerwonymi i szmaragdowymi żyłkami. Na posąg po lewej stronie, przedstawiający Aglibol, boginię księżyca, zarzucono woal, pod którym widoczne były doskonałe kształty jej piersi, bioder i pośladków. Bogini, lekko wsparta na tronie, z włócznią, symbolizującą przeszywający nocne ciemności promień, rozmyślała nad wiecznym upływem czasu.

Posąg po prawej stronie, z ciemniejszego marmuru, przedstawiał – stojącego w rydwaniu, ciągniętym przez cztery gryfy z głowami lwów, w opinającym pierś rzymskim pancerzu ze złotych listków, z promieniami słońca nad czołem – Malkabela Zwiastuna, boga symbolizującego narodziny dnia, który odbywał niemającą końca podróż.

Kolumny w centrum połączone były jedwabną i lnianą materią, odgradzającą komnatę Baalszamina. Na znak dany przez Malko dwaj młodzi kapłani rozsunęli zasłonę, wkładając jej fałdy w dwa brązowe pierścienie. Baalszamin, wyrzeźbiony w szlachetnym kamieniu sprawiał wrażenie przezroczystego i wyglądał jak żywy. Siedział na tronie z kłosem żyta w ręce, znakiem płodności, ze świetlistym diademem we włosach, w todze wojownika odsłaniającej lewe ramię, ze wzrokiem skierowanym na wchodzących.

Obłoczki dymu uniesionego przez ruch kotary zasłoniły na moment twarz boga. U stóp Baalszamina stały misy z dymiącym kadzidłem i mnóstwem ofiarnych

darów.

Wszyscy opuścili oczy, podobnie uczynili Malko i Abdonaj. Tylko Zenobia stała z wysoko podniesioną głową, obojętna na wszystko dokoła. Po chwili schyliła się i postawiła otwarty *koba* w złotej plamie słonecznego światła, które przenikało przez gipsowy otwór okienny kaplicy. Gładkie ścianki kamienia pod wpływem żaru słońca rozblęły ponownie nowym, trudnym do opisanego blaskiem.

Zenobia podniosła głowę i spojrzała w oblicze boga.

– Baalszaminie, sprawco moich narodzin, ty mnie prowadzisz. Ty kierujesz moją wolą od pierwszej godziny mojego życia. Ty jesteś krwią i tchnieniem, które daje życie. Jesteś początkiem dobra i zła, bólu i cierpienia niczym balsam kojący rany. Baalszaminie, miej mnie w swojej opiece. Stoi przed tobą Zenobia, ta, którą dałeś rodowi Maazinów z Turaq Al'llab. Potrzebuję ciebie. I dla ciebie, jeśli taka jest twoja wola, zostanę królową Palmyry.

Słowa odbiły się echem o kamienie sanktuarium. Na ustach Abdonaja pojawił się uśmiech. Głębokie westchnienie poruszyło piersią Malko. Nie czekali, aż Zenobia skończy modlitwę i wyjdzie ze świątyni na światło dzienne. Wybiegli na dziedziniec przed świątynią, by wszystkim obwieścić nowinę. Abdonaj powie o swojej córce Zenobie, wybrance Baalszamina, bogini Dingir-Dusag, do domu Najjaśniejszego Odenatusa, króla Palmyry i senatora Rzymu!

Tego wieczoru imię Zenobii było na ustach wszystkich

mieszkańców Perły Pustyni. Było w ich sercach i w ich śmiechach, a nawet w szaleństwach po nadmiernym picciu.

## LAURICUM – POGRANICZE NA RENIE

Od dziesięciu dni nad lasami i polami wschodniej Germanii północny wiatr gnał chmury czarniejsze od nocy. Nie ustawał szum deszczu. Woda zalewała świeżo wzniesione wały ziemne, drażyła doły, z których tryskało błoto, zamieniała fosy w bagno, zatapiała pola. Zanikały obrzeża dróg, wozy wpadały w wyboje. Trzeba je było wyciągać, gdyż konie ślizgały się w błocku i nie mogły same tego dokonać. Woły, z powodu ciężaru i krótkich nóg, grzęzły po brzuchy. Legioniści poganiali je ze złością. Twarze im pobladły, płaszcze przesiąknięte wodą od długotrwałej ulewy ciążyły jak ołów. Nieustannie trzeba było oliwić żelazne części sprzętu, a stwardniałą niczym stary papirus skórę nacierać tłuszczem.

Aurelian, stojąc na balkonie fortu, dwadzieścia pięć stóp nad ziemią, od wielu godzin obserwował, jak w strugach deszczu wykańczano umocnienia Aegri Decumates.

Miały długość dwustu pięćdziesięciu mil i dochodziły do górnego biegu Renu i Dunaju przez góry i lasy, wzdłuż ich dopływów. Wykonane były z okrągłych bali o średnicy większej niż klatka piersiowa i wzmocnione wałem i dwiema fosami, wystarczająco głębokimi, by zapadły się w nich zaprzęgi. Ten mur obronny oddzielał plemiona

barbarzyńców od ludów Rzymu, podobnie jak w porze żniw grabie oddzielają ziarno od chwastów.

Co milę stały wieże strażnicze, a co pięć lub dziesięć mil znajdowały się obozy legionistów i kontrola celna. Oczywiście wszędzie dochodziły brukowane drogi, niezbędne do szybkiego i skutecznego przemieszczania się legionów.

Do dyspozycji miał trzy legiony: VII legion Augusta, XXII Primigenia i XI legion Claudia. Walerian, nowy cesarz, dał mu nad nimi dowództwo. W zamian za to Aurelian obiecał, że prace zostaną zakończone przed styczniowymi mrozami. Każdy z osiemnastu tysięcy żołnierzy obawiał się teraz bardziej jego gniewu niż brnięcia w lodowatym błocie Germanii. Nie mogą im przeszkodzić ani klimat, ani ataki barbarzyńców. Za czterdzieści, najdalej pięćdziesiąt dni obietnica Aureliana musi być dotrzymana.

– Czy chcesz umrzeć na zapalenie płuc, legacie? – Maksymus kopnięciem otworzył drzwi wieży. Aurelian w odpowiedzi tylko się skrzywił. Maksymus, owijając się ciaśniej płaszczem, wahał się, czy wejść. – Co za przekłeta pogoda! Chyba bogowie chcą nas zamienić w świnie albo ryby. Spójrz tylko, oni nie mają już siły pracować...

Ruchem brody wskazał na legionistów usiłujących umieścić bale w przepelnionych błotem dołach. Wrzeszczeli, przeklinali. Bale wysuwały się im rąk, staczały się, grożąc, że ich zmiażdżą. Ziemia obsuwała się do fos, wypełniała je do połowy, zmuszała do ciągłego ich

pogłębiania. Kołowroty zapadały się w rozmiękłym podłożu. Liny sztywniały od wilgoci. Nasiąknięte wodą bloczki się zacinały. A kiedy wreszcie, nie wiadomo jakim cudem, ostro zakończone kłocę wchodziły na swoje miejsce, fontanny błota tryskały na ludzi, zamieniając ich w posagi z lepkiej gliny.

Drzewa z okolicznych lasów, ogołoczone przez jesień z liści, zwały się szereg za szeregiem niczym pokonana armia. Pozbawione gałęzi, zaostrzone na końcach, przewożone z większym lub mniejszym trudem, trafiały pod palisadę, gdzie ustawiano je zgodnie z wolą Rzymu w takim czy innym miejscu.

– Wiosną będzie to wyglądać lepiej – zauważył Aurelian. – Kiedy ziemia wyschnie, powierzchnia muru stwardnieje na kamień.

Maksymus coś odburknął, ocierając twarz gestem zmęczenia. Długie loki przyklejały mu się do brody i szyi. Zmizerniał, twarz zrobiła się bardziej kanciasta, wargi bardziej wydęte. Różowa blizna pod wpływem zimna przybrała barwę masy perłowej. Czując na sobie spojrzenie Aureliana, rzekł:

– Czy wiesz, że zdarza mi się śnić o Azji? Śni mi się, że zostawiam cię w tym przebrzydłym bloku i oddaję się do dyspozycji cesarza w słonecznej Syrii...

– Za późno na to. Zapomnij o tych snach. Nasz August opuścił już wschodnie prowincje i wraca do nas.

– Nie żartuj, Aurelianie. Naprawdę o tym marzę.

– Zrządź sobie, ile chcesz, trybunie – roześmiał się

Aurelian. – Za tydzień będziemy z powrotem w Mogontiacum,<sup>[25]</sup> a za miesiąc będę mógł ogłosić, że wykonaliśmy zadanie.

Narysował w powietrzu linię biegnącą z północy na południe.

– Od lata wybudowaliśmy osiem fortów, dwieście sześćdziesiąt wież strażniczych i dziewięć fortowych! Możesz poinformować legiony, że podwajam ich żołd. Dostaną go w idy grudniowe.<sup>[26]</sup> Gwarantuję to im jako legat Aurelian.

Maksymus kiwnął głową bez przekonania.

– Przynajmniej raz nie wydadzą wszystkiego za jednym zamachem. Będą zbyt zmęczeni.

Aurelian przyjrzał się twarzy Maksymusa, szukając na niej oznak ironii, ale dojrzał tylko zmęczenie.

Maksymus, jakby odgadując jego myśli, zapytał:

– Moglibyśmy wejść na chwilę do środka? Chciałbym porozmawiać z tobą w suchym miejscu.

We wnętrzu wieży znajdowało się puste pomieszczenie z kamiennym paleniskiem, trapem i drabiną łączącą piętro z dolnym poziomem. Narzekając na cały świat, trzech żołnierzy grzało się przy ogniu, w którym wilgotne drzewo dawało więcej dymu niż płomienia. Pozdrowili z szacunkiem swych dowódców i zeszli na dół.

– Ten ogień szybciej nas uwędzi niż osuszy nasze ubrania. Już nie pamiętam tego uczucia, kiedy się ma czystą i suchą tunikę.

– Mówiłeś o Syrii i cesarzu – przerwał mu Aurelian. –

Otrzymałem wiadomość od Waleriana. Będzie tu za dwa miesiące i życzy sobie widzieć mnie w Agrippinensium.<sup>[27]</sup>

Chce obejrzeć całe ufortyfikowanie.

– A może chce, żebyśmy teraz my powalczyli z Persami? – zapytał ironicznie Maksymus.

– Niewykluczone. Szapur splądrował Dura-Europos. Jest obawa, że zainteresuje się Emesą, a może nawet Antiochią. Jeśli dobrze odczytują to, co jest w liście między wierszami, cesarz chyba chce powierzyć mi dowództwo legionów na Wschodzie.

– Tak dobrej nowiny nie słyszałem od dawna – tym razem poważnie powiedział Maksymus.

Aurelian przytaknął ze wzrokiem utkwionym w ogniu.

– A gdzie będzie nasz Cezar, Gallien? – zapytał Maksymus.

– W Galii. On również ma przybyć do Agrippinensium, by zobaczyć się tam z ojcem. Wiele jeszcze brakuje do tego, żeby Galią i Bretończyków uznać za pokonanych. Zadanie Galliena nie jest łatwe.

Maksymus kiwnął potakująco głową.

– Wkrótce wszystko się zmieni, Maksymusie – kontynuował Aurelian. – Koniec haniebnych pertraktacji z barbarzyńcami. Najbliższej wiosny Rzym odzyska swą pozycję na świecie. Walerian, choć stary, bez wątpienia jest odważny i cechuje go rozwaga, której brakowało Decjuszowi.

Maksymus zakasłał od dymu. Po chwili milczenia rzekł:



– Nie wątpię w odwagę naszego Augusta. Ani w jego przychylność dla ciebie. Dobrze wie, że jesteś mu niezbędny. Zdaje sobie też sprawę z twojego oddania dla niego. – Maksymus zawahał się, po czym dodał: – Ale to oddanie wcale nie odpowiada Cezarowi, który marzy tylko o tym, żeby być potężniejszym niż jego stary ojciec. Chciałby cię mieć po swojej stronie. Powinieneś wziąć to pod rozwagę...

– I dokąd by mnie to doprowadziło?

– Kto wie?

Aurelian zbladł, jego spojrzenie zrobiło się zimne jak stal. Maksymus podniósł rękę na znak, że się poddaje.

– Decyzja należy do ciebie, legacie. Zresztą nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Ja także otrzymałem list. – Ze skórzanej kieszeni pod pancerzem wyjął wąski kawałek papirusu. Aurelian od razu rozpoznał charakter pisma. – Twoja siostra Klodia prosi mnie, abym się wstawił w jej sprawie. Twierdzi, że wysłała sześć listów i że nie otrzymała na nie żadnej odpowiedzi.

– Bo nie mam o czym do niej pisać.

– Pragnie dołączyć do ciebie. Píše: „Powinnam być tam, gdzie on jest. Bo takie jest nasze przeznaczenie z woli bogów. Aurelian nie może sprzeciwić się ich woli. Powie ci, że oszalałam. Nawet ty, jego przyjaciel, nie wiesz, ile w nim jest lęków”.

Aurelian odwrócił wzrok, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko na deszcz, który padał wciąż z tym samym natężeniem.

– A co ty o tym myślisz?

– O jej szaleństwie?

– O tym i reszcie.

– Jeśli chodzi o szaleństwo, to nigdy nie znałem się na tym za dobrze. Klodia jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Niestety, ona myśli o swoim bracie, a nie o mnie!

– Potrafisz coraz lepiej odpowiadać na pytania – rzekł przez zęby Aurelian.

Maksymus zarzucił płaszcz na ramiona i stanął na progu.

Bez słowa przyglądali się krzątaniu na placu budowy w ponurym świetle deszczowego dnia. Maksymus z ironiczną miną, obojętnym tonem powiedział:

– W każdym razie ten klimat nie jest wskazany dla tak ślicznej kobiety. Straciłaby tu swój urok i zdrowie.

## PALMYRA

Zgodnie z odwiecznym prawem Palmyry narzeczona zobowiązana była jeszcze przed zaślubinami opuścić dom ojca i udać się do domu narzeczonego. Przez dziewięć miesięcy musiała tu mieszkać pod czujną obserwacją kobiet, których panią miała wkrótce zostać.

Lękając się kaprysów córki, a także niestałości bogów, Abdonaj zaraz po wyjściu z sanktuarium Baalszamina oznajmił, że już następnego dnia odwiezie Zenobię do Dostojnego Odenatusa. Przez tę jedyną i zarazem ostatnią noc, którą Zenobia spędziła pod dachem ojca, nie odezwała się do niego ani słowem, nie obdarzyła go spojrzeniem. Nie zaspokoila także ciekawości Aszemu.

Na usta Egipcjanki cisnęły się pytania, których nie była w stanie powstrzymać. Jakim sposobem Zenobia wiedziała, że wezwał ją Baalszamin? Dlaczego nie uprzedziła nikogo o swoim wyjeździe? Dlaczego jej nieobecność trwała tak długo? Poza tym, kiedy już wiadomo było, gdzie znajduje się kamień, a może gwiazda, czy potrzeba było aż tylu miesięcy, żeby go przywieźć do Palmyry? Kim był ten anioł, o którym opowiadają na ulicach? Tak właśnie mówią, że to anioł przywiózł ją na koniu nie wiadomo skąd aż do źródła Dingir-Dusag.

– Czy to prawda?

Odpowiedziała jej tylko cisza. Zenobia robiła wrażenie, jakby w ogóle swej niani nie słyszała.

Trochę później, gdy już pogasły pochodnie, rozkazała, aby przygotowano jej wannę, aby mogła wziąć oczyszczającą kąpiel.

– Kąpiel o tej porze?! – zawołała Aszemu. – Grzać wodę o tak późnej godzinie? Trzeba zapytać twego ojca.

Zenobia milczała, czekając na wypełnienie jej rozkazu. Oczywiście Abdonaj zgodził się, by rozpalono ogień, przygotowano wodę, zrobiono wszystko, czego życzyła sobie córka. Jednak z niepokojem na twarzy zapytał Aszemu.

– Czy ona nie zmieni zdania? Jutro o świcie odprowadzę ją, czy tego będzie chciała, czy nie, do Odenatusa. Jeśli będzie to konieczne, zawiozę ją nawet skrepowaną.

– Nie będzie takiej potrzeby. Ona wróciła, żeby wyjść za mąż.

– Tylko pilnuj jej dobrze tym razem!

Egipcjanka wzruszyła ramionami.

– Nie masz się czego obawiać. Pojedzie. Martwię się czym innym.

– Czym mianowicie?

– Ona jest jakaś inna.

– Trochę bardziej szalona? Nie szkodzi – zaśmiał się Abdonaj.

– Nie, nie szalona. Inna. Nie ma w niej już szczęścia. Pozostał tylko mrok.

Abdonaj odetchnął z ulgą. Jutro rano charakter Zenobii przestanie być jego problemem. Niech martwi się o to Dostojny Odenatus.

– No cóż – rzekł, popijając wino z czarki – przebywanie u boga musi wywołać zmiany w człowieku. Nawet w takiej dziewczynie jak Zenobia. Baalszamin musiał jej pewnie dać do zrozumienia, kto tu rządzi.

Aszemu nie należała. Głupota Abdonaja nie miała granic. Zresztą, gdy chodzi o córki lub żony, mężczyźni zawsze są bardziej ślepi niż osły zaprzęzione w kierat przy studni. I podobnie jak one są zadowoleni z życia.

\* \* \*

Zenobia długo leżała w wodzie, a płomień lamp rzucał złotawe blaski na jej ciało i długie włosy.

Aszemu upewniła się dyskretnie, że bliski kontakt z Baalszaminem nie zostawił na Zenobii żadnych śladów. Skóra dziewczyny była świeższa i bardziej niż przedtem niepokalanie biała. Bóg plemienia Maazinów nic odcisnął na niej żadnego znaku, tylko uczynił ją doskonale piękną.

Czy ktoś widział tak gibkie nogi? Albo biodra tak miękko zaokrąglone, przywodzące na myśl wydmy Egiptu? Jej pępek lśnił, jakby był z macicy perłowej. Ileż to kobiet oddałoby się demonom pustyni Turaq Al'llab, żeby mieć tak wysokie piersi, kształtne jak krople mleka, z tak idealnymi sutkami, że nie umiałby ich odtworzyć nawet najzdolniejszy rzeźbiarz. Jakże cudowne były proporcje

tego ciała! Jaki ogień musiały budzić w lędźwiach mężczyzn, domyślających się tylko tych cudowności!

Aszemu poczuła w gardle łzy szczęścia. Nareszcie odzyskała swoje dziecko!

Miała nieprzepartą ochotę, by wejść do wody i całować Zenobię, jak to czyniła kiedyś. Jednak powstrzymała się. Te czasy już minęły. Zenobia nie pozwoliłaby na żadne pieszczoty. Aszemu była tego pewna.

– O, pani Izis, władczyni wszystkich królowych, jak bardzo się zmieniło moje dziecko! Co się jej przydarzyło?

Aszemu już tysiące razy myślała o tym podczas minionych tygodni. Teraz myślała też o nie tak odległym dniu zaślubin. O męskiej sile Dostojnego Odenatusa, mężczyzny czterdziestoletniego, z owłosionym torsem, bardzo czarną brodą i nogami wojownika. Wyobraziła sobie jego ręce na tych pięknych piersiach i chciwe usta na perłowym pępku jej dziecka. Mimo woli zaczęła mówić:

– To było straszne tak nic nie wiedzieć. Wszyscy uznali cię za zmarłą. Ale ja mówiłam sobie, że to niemożliwe. Na początku byłam pewna, że udałaś się do elkezaity. Że zrobiłaś to dla Schawaada. Pomyślałam, że trudno, lepiej, żebyś była z nim, niż żebyś nie żyła. Na pewno jest tego wart. Ale potem znaleziono twoją szatę na pustyni. Pokazano ją twojemu ojcu. Ja nie chciałam jej oglądać. Po co? Zenobio, moje dziecko, tak się o ciebie bałam. Na pustyni jest tyle zagrożeń: bandyci, Persowie, węże! Czasami śniło mi się po nocach, że zabrali mi cię

jacyś ludzie. Co za głupota! A teraz jesteś tu. Żywa. Nigdy nie byłaś taka piękna... Nigdy! Tylko twoje oczy... Są tak ponure, że aż budzą strach. Można by sądzić, że nosisz w sercu ciemność. Wyjdź na taras. Dziś wieczór wszędzie palą się ogniska. Ludzie tańczą i śpiewają z twoim imieniem na ustach... To prawda, że czeka cię dzień jutrzejszy... Gdybyś wiedziała, jak bardzo zmartwił się Dostojny Odenatus, dowiedziawszy się o twojej śmierci. Był zły na Abdonaja, nie na ciebie. Podobno nakazał wszystkim domownikom urządzić żałobną stypę po tobie. Jutro go nie będzie. Jest gdzieś na pustyni. Zdażysz przywyknąć do jego domu, zanim wróci. A potem musi minąć dziewięć miesięcy, zanim... Dlaczego patrzysz na mnie tak twardym wzrokiem?

– Zamilcz, nianiu!

– Ależ dziecko!

– Zamilcz! Nie jestem już dzieckiem. Jeśli chcesz zostać przy mnie, nie pytaj więcej, co się ze mną dzieło.

Powiedziała to głosem nieznoszącym sprzeciwu, złym. Aszemu zagryzła wargi.

Zapadła cisza. Myśli Aszemu stały się tak mroczne jak kamień gwiazdy spoczywający w świątyni Baalszamina.

Zenobia zanurzyła się w wodzie, mocząc gęste, długie włosy. Kiedy się wynurzyła, spojrzała Aszemu prosto w oczy i trochę łagodniejszym głosem dodała:

– Nie ma nic ponad to, co powiedziałam w sanktuarium Baalszamina. Bóg rodu Maazinów postąpił zgodnie ze swoją wolą. To wszystko. Co ma być, to będzie.

Wypełnię swoją powinność.

\* \* \*

Chociaż między domem Abdonaja i pałacem Dostojnego Odenatusa, syna Wallabatusa, syna Nazora, senatora Rzymu i króla Palmyry, była niecała mila, pojechali wozem podróżnym z opuszczonymi zasłonami. Towarzyszył im tłum ciekawskich, śpiewających, sławiących imię Baalszamina i Zenobii.

Pałac był najpiękniejszym, największym budynkiem w całym mieście. Pełnym luksusu, spokoju i przepychu. Dziedzińce i patia ciągnęły się wzdłuż portyków agory aż do brzegów wadi Qubur. Liczne ogrody tworzyły zielony labirynt, sięgający horyzontu. W basenach, fontannach, kanałach, słyhać było nieustanny szmer drogocennej wody. Portyki i perystyle zapewniały odświeżający chłód niezliczonej ilości pokoi. Ściany ozdobione były cudownymi freskami, scenkami miłosnymi i myśliwskimi, wizerunkami bogów oraz pejzażami greckiego Olimpu i rzymskiego Panteonu. Świeżość powietrza, obfitość zieleni, rzadkich kwiatów i cienistych komnat sprawiały, iż zapominało się o tym, że o strzał z łuku znajdowała się pustynia.

Powitał ich *shuloj* Szarha, majordomus pałacu. Był to bardzo stary, bardzo wysoki i bardzo szczupły mężczyzna. Siwa, kręcona broda zarastała jego policzki. Ubrany był cały na biało, tylko czapkę mini niebieską haftowaną



w delikatny złoty wzór. Chude ręce opierał na lasce z drzewa oliwnego z ozdobną gałką ze złota i srebra, wysadzaną drogimi kamieniami, z oplatającymi ją rogami barana.

Spojrząwszy przełomie na Zenobię, skłonił się przed Abdonajem z przesadną uprzejmością. Wydawało się, że może się złamać przy każdym ruchu.

Oznajmił to, o czym wszyscy już wiedzieli, że Najjaśniejszy Odenatus jest nieobecny. Z ledwie słyszalną uszczypliwością powiedział:

– Najjaśniejszy Pan czekał niecierpliwie na przyjęcie twojej córki, Abdonaju. Zmartwił się ogromnie, gdy dowiedział się o jej śmierci, zanim jeszcze zdołał spojrzeć na narzeczoną. Nie wiadomo, jak zareaguje na jej powrót.

Abdonaj odrzekł ugodowym tonem:

– Moja córka już dawno została obiecana Odenatusowi. Obietnica Abdonaja to obietnica Baalszamina. Nikt nie pamięta, żeby Maazinowie nie dotrzymali danego słowa.

Szarha westchnął. Postukał laską w ziemię. Lekkie drgnienie powiek mogło świadczyć, że przyjmuje te słowa do wiadomości, lecz jednocześnie martwią go kłopoty, jakie niesie codzienne życie. Abdonaj oświadczył, że bogowie, którzy jedynie rządzą czasem i wydarzeniami, kierują się motywami niezrozumiałymi dla zwykłych ludzi.

– Baalszamin wziął do siebie moją córkę, ale oddał ją tak samo doskonałą, jaką była w chwili narodzin. Bądź pewien, że Najjaśniejszy Odenatus będzie uszczęśliwiony.

Szarha pokazał nagie, różowe dziąsła. Może miał to być uśmiech?

– Któż to wie – powiedział z fatalistycznym wyrazem twarzy, po czym ponownie uderzył łaską w ziemię. – Przywódco rodu Maazinów, nadszedł czas, aby rzeczy poszły swoim biegiem.

Abdonaj przytaknął mu radośnie. Uniósł głowę i odrzekł głosem tak donośnym, że mógł być słyszany aż na ulicy.

– Ja, Abdonaj, syn Maliku, syna Naszuma, z woli Baalszamina, wszechpotężnego władcy niebios, z woli boga Bela, potężnego brata Baalszamina, powierzam moją córkę Zenobię kobietom domu Dostojnego Odenatusa, syna Wallabatusa, syna Nazora, senatora Imperium Rzymskiego i króla Palmyry, aby przyjął ją do swego łóża w siódmy dzień po idach lipcowych.

Zapadło milczenie.

Stary Szarha z lekka się zachwiał wsparty na lasce. Pokiwał głową. Koniuszkiem języka przeciągnął po dziąsłach. Wyszłymi wargami wydał rozkaz. Zawiesił łaskę na ramieniu i zaklaskał w ręce. Jak z podziemi pojawiło się mnóstwo służących.

Chwilę potem, bez dalszych ceremonii, Zenobia i Aszemu znalazły się w pomieszczeniach dla kobiet, w wewnętrznym pałacu posiadającym własne ogrody, baseny, tarasy, komnaty i patia.

Tu mieszkała rodzina, niewolnice i służące. Bez wątplenia były między nimi takie, których podstawowym

obowiązkiem było zaspakajanie zapałów Dostojnego Odenatusa. Musiały być one niemałe, wzięwszy pod uwagę, że wdowieństwo Odenatusa trwało już dłuższy czas.

Dla przyszłej żony przewidziano pięć pokoi. Jeden z nich, z czerwonymi ścianami zdobionymi girlandami kwiatów i latającymi nad nimi ptakami, był przeznaczony na pokój do odpoczynku. Stały w nim cztery taborety, żeliwny kosz żarowy, dwa łóżka oraz alkowa z półkami, na których ustawiono misy, kubki cynowe i miedziane lampy.

Niewolnice wypakowały ubrania i inne rzeczy z kufrów przywiezionych z domu Abdonaja. Przybiegły młode służące, przynosząc na powitanie jedzenie i picie. Podekscytowane, z nieśmiałym uśmiechem na ustach, szeptem omawiały między sobą minę i postawę przyszłej pani, tak młodej, tak pięknej, tak tajemniczej. Zanim zdążyły każda po kolei podać swoje imiona, jak to było w zwyczaju, rozległ się ostry, suchy, zgrzytliwy głos, który zmusił je do ucieczki na dziedziniec.

– A więc to ty jesteś dziewczyną z plemienia Maazinów, która narobiła tyle szumu wokół siebie przed przybyciem na ceremonię ślubną?

\* \* \*

Na progu pokoju stała kobieta niezbyt wysokiego wzrostu. Z małych czarnych oczu wyzierała wyniosłość dystygowanej damy. Zenobia, rzuciwszy spojrzenie w jej

kierunku, odwróciła się i usiadła na jednym z łóżek.

Grymas urażonej dumy wykrzywił grube wargi nowo przybyłej.

– Czy nie wiesz, że w tym domu dziewczęta opuszczają wzrok na moje powitanie?

Skrzypiący, oschły głos zdradzał wiek kobiety. Przypominał świst wiatru podczas burzy piaskowej na pustyni w zimowe, złe dni. Dziesięć, może piętnaście lat temu mogła mieć piękną twarz. Dziś była kobietą z niezliczonymi zmarszczkami na szyi, policzkach i skroniach. Otyła sylwetka i ciężkie piersi świadczyły o upływie lat i łakomstwie. Nie mógł zamaskować tego przepych tuniki i bufiastych pantalonów. Piękne klejnoty osłaniające dekolt i nadgarstki tylko podkreślały starość zniszczonej skóry.

Z brzękiem naszyjników zwróciła się do Aszemu:

– A oto i niańka, jak przypuszczam, Egipcjanka? Powinnam się była tego spodziewać. Czy ty też nie wiesz, kim jestem?

Ogorzała twarz Aszemu jeszcze bardziej pociemniała z zażenowania. Przebywające w atrium przerażone służące utkwily wzrok w geometryczny wzór posadzki z różowego i zielonego marmuru. Aszemu uczyniła to samo. W głębokiej ciszy dałoby się usłyszeć szelest skrzydeł motyla.

– Nazywam się Ofala, jestem córką Mattanai, córki Nurbela. Moja siostra Gardalaj była żoną Najjaśniejszego Pana. Teraz przebywa już z bogami i to ja zarządzam tym

domem. Dostojny Odenatus przekazał mi całą władzę. Musisz się nauczyć, moja córko, być mi posłuszną.

Aszemu ukradkiem spojrzała na Zenobię. Dziewczyna uśmiechnęła się na łóżku w pozycji półleżącej. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, pierwszy od powrotu. Tonem słodkim jak miód odpowiedziała:

– Szlachetna Ofalo, bo, zdaje się, takie jest twoje imię, wiedz, że nie jestem jakąś tam dziewczyną. Jestem Zenobia. I jak sama stwierdziłaś, niedługo zostanę żoną Dostojnego Odenatusa. A któż wie, kim ty wtedy będziesz?

Krew odpłynęła z twarzy Ofali. Głucho zadźwięczały złote naszyjniki, gdy ze zwinnością, jakiej nie można było się spodziewać w tak obfitym ciele, podeszła do Zenobii. Wskazującym palcem o wypielegnowanym paznokciu tknęła ją między piersi.

– Na razie jesteś tylko zmarłą, która nagle ożyła. Niczym więcej. Nie wyobrażaj sobie, że wprowadzisz tutaj własne prawa. Może Odenatus jest taki głupi, żeby dać się nabrać na twoje miny i twój kamień pustyni, ale ja na pewno nie. Wystarczyło mi, że na ciebie spojrzałam, żeby przejrzeć twoje kłamstwa. – Zły grymas wykrzywił jej policzki i odsłonił zęby zepsute od nadmiaru słodocy. – Zapamiętaj sobie, że tutaj, w pałacu kobiet, rządę ja! W nocy i w dzień. I nie licz na protekcję Baalszamina, Aglibol czy też Alath. Nie boję się bogów. Oni wiedzą, kim jestem!

Wyprostowała się, a jej biodra zakołysały się pod

fałdami tuniki. Czerwona na twarzy, rozejrzała się wokoło i z brzękiem bransolet zamachała krótkimi rękami.

– A wy nie macie nic do roboty?

Niewolnice i służące natychmiast się rozbiegły. Ich złociste sandały zastukały na kamieniach posadzki. Pilnowane przez strażników podwójne drzwi wychodzące na dziedziniec kobiet otworzyły się na moment, po czym zamknęły z hukiem, od którego zadrżały ściany. Zazgrzytał klucz w zamku.

– Zamyka nas! – jęknęła oszołomiona Aszemu. – Niech Izis ma nas w opiece. Demon pokazał swoje złe oblicze.

## ANTIOCHIA

– Nazywam się Schawaad. Jestem synem Iskellajla, syna Duram-Elaja. Mój ojciec przestrzegał przykazań proroka Elkezaja. Nauczył mnie ich, gdy jeszcze byłem dzieckiem. Dopiero w Ktesifonie, czytając pisma apostołów Chrystusa, pojąłem, że żyliśmy w herezji. Od tamtej pory nie pragnę niczego innego, jak oczyścić moje serce, uwolnić się od kłamstw, które mnie zbrukały.

– A więc byłeś w Ktesifonie? Sądziłem, że przybyłeś z Dura-Europos.

– Kiedy rozstawiliśmy nasze namioty w Turaq Al'llab, ojciec wysłał mnie do Ktesifonu, wielbny biskupie. Pragnął, żebym nauczył się pisma starożytnych Hebrajczyków i potem propagował fałszywe słowo Wielkiego Archanioła. Bóg nie dopuścił do tego. Otworzył mi oczy. Uciekłem wtedy z kraju Persów. Przyjęto mnie w domu chrześcijan w Dura-Europos i zapoznano z pismami apostołów.

Znajdowali się w pomieszczeniu o gołych ścianach. Chociaż dom był jednym z największych i najpiękniejszych w Antiochii, umeblowanie pokoju stanowiły tylko stół i kilka krzeseł. Biskup Dimitrios był niskim, tegim mężczyzną o bardzo jasnej cerze, szarych, bystrych oczach. Miał twarz o charakterystycznym

greckim nosie, szerokich policzkach i małych ustach, ledwie widocznych nad brodą. Oglądał spory plik papirusów, które Schawaad złożył przed nim, zanim uklęknął na podłodze. Niektóre stronice były tak ciasno zapisane, że prawie nieczytelne.

Przez dłuższą chwilę biskup zajęty lekturą, jakby zapomniał o Schawaadzie, podobnie jak czterej inni mężczyźni, siedzący po obu jego bokach. Dwaj z nich przedstawili się jako synowie biskupa. Mieli takie same szare oczy i jasną skórę jak ich ojciec. Dwaj pozostali byli w wieku Schawaada. Niebieski haft na tunikach, na wysokości piersi, przedstawiający rybę, świadczył, iż pełnili funkcję diakonów.

Dimitrios podniósł oczy z uśmiechem. Wydawał się zdziwiony tym, że Schawaad jeszcze klęczy.

– Wstań, chłopcze. Nie ma żadnego powodu, żebyś klęczał tu przede mną.

Schawaad niechętnie wykonał polecenie.

– W jakich językach umiesz czytać i pisać?

– Znam grecki, łacinę i hebrajski. Znam również perski oraz języki, których używają poganiacze wielbłądów na pustyni.

– Tak więc wiesz, co zawierają te pisma? – zapytał znowu Dimitrios, kładąc dłoń na papirusach.

– Znam ich treść na pamięć, wielebny biskupie. Mógłbym je odtworzyć na piśmie bez ponownego czytania. Są wśród nich trzy listy Arsinuisa, dwa Walentyna z Aleksandrii, jeden Miliadesa, napisany



w czasie, gdy podróżował z Pawłem, dwie kopie listów Pawła na temat złych praktyk Hebrajczyków oraz jeden list Mateusza na ten sam temat. Najdłuższy jest list Ireneusza, w którym ostrzega Hebrajczyków z Dura przed herezjami ze Wschodu. A zwłaszcza przed pogańskimi, perwersyjnymi praktykami wyznawców Mitry, którzy ośmielają się święcić chleb i wodę w ich jaskiniach ciemności. W bezwstydnym kulcie naśladowują poświęcenie krwi i ciała Chrystusa. Dlatego powinniśmy demaskować ich wszędzie jako fałszywych proroków. Ten papirus jest napisany po grecku i po łacinie... Co do kilku z nich, nie wiadomo, kto je napisał lub podyktował. Mam na myśli listy do mieszkańców Laodycei i Aleksandrii. Nie jestem na tyle uczony, żeby o tym sądzić, ale wydaje mi się, że jest w nich żółć, podczas gdy słowa Chrystusa koją jak miód.

Pewność siebie Schawaada, dźwięczność głosu i bystrość spojrzenia przyciągały jak magnes uwagę obecnych w pokoju. Kiedy umilkł, diakoni spoglądali na niego z większą uwagą i szacunkiem. Synowie Dimitriosa zobaczyli, że ojciec się uśmiecha. Biskup wyciągnął z pliku kilka manuskryptów. Stronice były nadpalone, szerniały.

– Podobno wydobyłeś je z ognia.

– Persowie oblegali miasto przez wiele miesięcy. Dom chrześcijan znajdował się tuż pod murami obronnymi i został zburzony przez żołnierzy Palmyry i Rzymu. Przenieśliśmy manuskrypty z biblioteki do sąsiedniego domu, ale Persowie podpalili dachy i ogień rozszedł się

w okamgnieniu.

– Wszedłeś w ogień, żeby ratować te pisma?

– Uratowałem tyle, ile zdołałem. Te, które uważałem za najważniejsze.

– I udało ci się wymknąć Persom? – zawołał zachwycony jeden z synów Dimitriososa.

Schawaad opuścił głowę.

– To nie był wielki wyczyn. Pan nasz był ze mną i wyprowadził mnie bezpiecznie.

– A więc reszta biblioteki się spaliła? – zapytał jeden z diakonów.

– Niestety, tak. Ale były to tylko kopie lub kłamliwe listy. Zwłaszcza dotyczące matki Chrystusa.

Dimitrios pokiwał głową i tak jak jego synowie i diakoni popatrzył na gościa z dziwnym wzruszeniem.

Nieczęsto widywał takich ludzi. W głosie młodzieńca była nie tylko wiara i miłość do Chrystusa. Zniszczone ubranie tego człowieka pustyni okrywało ciało mające od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Niełatwo było określić jego wiek: twarz z ostrym nosem, zarośnięta potarganą, zakurzoną brodą, była twarda niczym skała, pięknie zarysowane, pełne usta wyrażały niezmierny smutek, palący blask źrenic był trudny do wytrzymania. W pierwszej chwili biskup pomyślał, że ma do czynienia z jednym z nawiedzonych, którzy chodzą po pustyni. Mając umysł wypalony przez słońce, sądzą, że ucieleśniają ożywionego na nowo Syna Bożego, Jezusa Chrystusa. Ale ten młodzieniec nie należał do nich. Jego wiara była innego

gatunku. Żarliwość szła w parze z panowaniem nad sobą. Słowa przychodziły mu z taką łatwością, jakby miał je we krwi. Istota jednak tkwiła nie tylko w tym, co mówił. Bóg obdarzył go siłą, która zmuszała do zwracania na niego uwagi. Może Bóg uczynił z jednego ze swych wysłanników dar dla kościoła w Antiochii?

Głosem pełnym łagodności biskup zapytał:

– Czego oczekujesz ode mnie?

– Twojego błogosławieństwa, wielbny biskupie. Chrztu, który zetrze chrzest dokonany na mnie przez mego ojca, skalanego herezją Elkezaja. Pragnę służyć słowu Chrystusa. Z całej mej duszy i ze wszystkich sił, jeśli tylko taka będzie wola naszego Pana.

Dimitrios domyślał się, co czują jego synowie i diakoni. Oni również byli pod wrażeniem siły i determinacji gościa.

Z pewną ironią w głosie zapytał:

– Oprócz tego, że czytasz, piszesz i mówisz w tylu językach, co jeszcze potrafisz?

– Leczyć.

– Leczyć? Za pomocą ziół i maści?

Schawaad pokręcił przecząco głową. Był wyraźnie zmieszany i pocierał nerwowo ręce.

– Nie. Wystarczą mi moje dłonie. Kładą je na bolącym miejscu i ból znika. – Uśmiechnął się. – Mam tę zdolność od dzieciństwa. Ojciec uważał, że to dar Wielkiego Archanioła. Tak właśnie tworzą się bezbożne kulty pustyni, którymi karmią się prostaczkowie i które

prowadzą ich do zguby.

– Jeśli naprawdę potrafisz leczyć, to cud! – zawołał jeden z diakonów.

Schawaad spojrział na niego.

– Nie. Jedynie Syn Boży dokonywał cudów, bo pragnął, aby ludzie poznali dobro królestwa jego Ojca. A ja po prostu przykładam moje ręce i ból ustępuje. Nie należy wyciągać z tego żadnych wniosków ani przywiązywać większej uwagi niż do szumu wiatru w gałęziach drzew.

Diakon opuścił głowę czerwony ze zmieszania.

– Czy umiesz cierpieć? – zapytał biskup.

Schawaad zawahał się. Usta mu zadrżały i po raz pierwszy wydawał się zakłopotany pytaniem. Dimitrios łagodnie wyjaśnił:

– Ten, kto pragnie służyć Bogu, nie powinien bać się cierpienia. Ani cielesnego, ani duchowego. Wielu jest takich, którzy chcą nas zmusić do milczenia i pragną, abyśmy zniknęli. Stosują w tym celu terror i tortury. Nie znają nauk Jezusa Chrystusa. Ale ten, kto chce mu służyć, musi umieć cierpieć. Rzym znowu nas prześladowuje. Walerian, nowy cesarz, nienawidzi chrześcijan. Postanowił użyć siły i wielu naszych braci w Rzymie już zginęło. Jutro przyjdzie kolej na nas. Musisz mieć tego świadomość, Shawaadzie. Nigdy nie ukorzymy się przed wolą pogańskiego Rzymu. I dalej będziemy szerzyć nasze słowo w całym Imperium.

Schawaad przymknął powieki. Kiedy je otworzył i zaczął mówić, jego twarz i głos były pozbawione emocji.

– Nie lękam się cierpienia, wielbny biskupie. Nigdy się go nie bałem. Dziś boję się jedynie tego, żeby nie opuścił mnie Bóg.

Dimitrios kiwnął głową. Ani jemu, ani jego synom i dwóm diakonom nie przyszło na myśl, że Schawaad może się chełpić. Ale ta odpowiedź, udzielona z niezwykłym opanowaniem, wprawiła go w zakłopotanie. Zmarszczył brwi i powiedział jakby z przyganą:

– Jesteś bardzo wychudzony. Czy pościłeś? Wiesz przecież, że nasz Pan Jezus Chrystus zabrania postu?

Schawaad znowu się uśmiechnął.

– Tak, wielbny biskupie, wiem o tym. Apostoł Mateusz napisał, że post to praktyka faryzeuszy. Chrystus powiedział: „Nie bierzcie z nich przykładu, bo oni co innego mówią, a co innego robią!”. Nie pościłem. Tylko bardzo długo pokonywałem drogę z Palmyry do Antiochii.

Dimitrios westchnął i pokiwał głową. A jego synowie i diakoni roześmieli się, jakby spadł im z piersi ciężar.

– Chodź ze mną – powiedział biskup, wstając z krzesła. – Nadamy ci na chrzcie nowe imię.

\* \* \*

Woda spływała po nim, obmywała jego czoło, wargi, nagie ciało.

Woda czysta. Nieskalanie czysta, świeża, żywa.

Woda niemająca nic wspólnego z wodą, którą obmywał go ojciec.

Woda, w której była świeżość i moc Boga. Woda, która obmywa i odradza. Woda, za sprawą której nieważny staje się upływ czasu, znikają wszystkie ludzkie słabości, lęki i upokorzenia.

Nareszcie obmył się z tego, kim był dotąd. Nareszcie z jego ramion spadło brzemie, spłynęło po piersi, po plecach. Pozbywał się nieczystej powłoki, która okrywała Schawaada.

Ledwie dochodził do niego głos diakona, odmawiającego litanią: „Panie nasz, Zbawicielu, Opatrzności boska...”. Ledwie słyszał głos biskupa: „O Panie, Boże nasz, niech ten człowiek zgodnie z Twoją wolą zachowa wiarę w świętą tajemnicę...”. Nie słyszał szeptów tych wszystkich, których synowie Dimitriosa zgromadzili w wielkiej sali kościoła. Nie widział ich spojrzeń, gdy patrzyli na jego wychudzone, nagie ciało, zanurzone do połowy w basenie, na twarz zwróconą ku niebu.

Myślał jedynie o tym, że pozbywa się brudu. Czuł, jak cudowna woda chrztu spłukuje z niego resztki nieczystości. A jednocześnie z nimi uchodzą wizje kłamliwej pamięci. Gwiazda, od której rozpekła się ziemia, ciemna woda, do której zanurzył się, by uratować dziecko. Opuszczał go obraz Zenobii, jej śmiech, pocałunki, pieśczości, piękno ciała. Wszystko, co dręczyło go po nocach przez całe lata, usunięte zostało przez świętą wodę. Kłamstwo i przemoc. Krew, wstyd, błoto Dingir-Dusag i pokryte nim ciało Zenobii.

Czuł, jak opada z niego napięcie, a serce staje się tak

czyste, że może w nim zamieszkać jedynie Bóg, a jedyne, czego będzie pragnął, to Królestwa Bożego.

W końcu stawał się sobą. Nigdy więcej nie będzie już tym, kim był. W zapomnienie odeszły słowa, myśli i martwe obrazy.

Uśmiechnął się i wszyscy obecni ujrzeli jego uśmiech. Uśmiech radości, czysty uśmiech dziecka. Uśmiech życia, które się zaczyna, które nie zna zwątpienia.

Otworzył oczy i napotkał wzrok biskupa. Dimitrios przechylił głowę na bok. Jego twarz także wyrażała szczęście. Wziął z wąskiego stołu biały szal haftowany w ryby, palmy i kiście winogron. Okrył nim ramiona Schawaada, dał znak, aby wyszedł z basenu.

Jeden z diakonów podał mu wachlarz z drewnianych listewek. Dimitrios wskazał na srebrny kielich z winem oraz na miskę z mieniącego się na niebiesko i złotawo szkła, zawierającą opłatki. Tym gestem nakazał Schawaadowi, by powachlował święte ofiary.

Schawaad, oszołomiony jeszcze swymi myślami, zawahał się. Popatrzył na biskupa, na stół, na wszystkich obecnych. A potem skinął głową i lekkim ruchem wachlarza zmarszczył powierzchnię świętego wina.

– To jest ciało naszego Boga, Zbawiciela i Ducha Świętego – zawołał biskup głosem, który odbił się echem w pustej, długiej sali.

Mężczyźni i kobiety powtórzyli jego słowa, podczas gdy Dimitrios podniósł miskę z opłatkami, by włożyć jeden z nich do ust Schawaada. Potem wziął kielich.

– Oto krew Syna Bożego, wypij ją i służ mu wiernie. Od tej pory będziesz nosił na tej ziemi i w Królestwie Niebieskim imię Szymon. Nadaję ci to imię, jakie nosił syn Jonasza. Będzie twoim na zawsze z woli tego, który sprawia, że się rodzimy, umieramy i zmartwychwstaniemy.



## PALMYRA

Noc była bardzo ciemna. Lampy dawno już się wypaliły. Zenobia czuwała z otwartymi oczami. Słyszała dochodzący z bliska chrapliwy oddech Aszemu, która zmęczona emocjami dnia, zasnęła natychmiast. Słyszała brzęczenie owadów w ogrodach, nieustanny szmer wody, szelest palm i listowia, którymi poruszał pustynny wiatr. Powodem jej bezsenności nie były ani nowe łóżko, ani nieznan pokój, lecz bolesne wspomnienia, których nie starło błoto ani nie zmyła woda źródła Dingir-Dusag. Powracały do niej jak w złym śnie.

Kiedy tak leżała w ponurej ciszy nocy, nawiedzały ją niechciane wizje. Twarz Schawaada. Oczy Schawaada. Jego usta, kiedy odepchnął ją na ogarniętym pożarem dziedzińcu domu chrześcijan w Dura-Europos. Jego wargi, gdy błagał ją o wybaczenie, klęcząc w wodzie Dingir-Dusag. Wydawało się wówczas, że Zenobia niczego nie widzi i nie słyszy. Jednakże jej oczy widziały, a uszy słyszały. Dziś przypominała sobie to wszystko i czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Schawaad odszedł. Nie potrafił zrozumieć jej milczenia.

Schawaad, Schawaad!

Tak dumny, że wziął całą winą na siebie. Winien był

on albo jego bóg! Gdzie teraz przebywa? Co robi? Jaką wyznaczył sobie karą? Zenobia nie wątpiła, że żyje w udręce, w cierpieniu. Ponieważ jego bóg był największy, najstraszniejszy.

Nie! Nie powinna tak myśleć.

Nie powinna w ogóle o nim myśleć. Musi zapomnieć o Schawaadzie. Usunąć ze swego serca, jak jedno tchnienie wiatru na pustyni usuwa ślady tych, którzy nią idą.

Musi pozbyć się łez, gniewu. Musi być tak pusta wewnątrz, aby nie było w niej miejsca na najmniejszą choćby chęć kochania.

– Proszą pani...

Zenobia drgnęła. Usłyszała szuranie sandałów, szelest ubrania. Uniosła się, opierając się na łokciu.

– Czy pani śpi?

W mroku jakaś sylwetka zatrzymała się z wahaniem na progu.

– Kim jesteś? – zapytała Zenobia.

– Jestem Dinah.

– Nie znam żadnej Dinah. Jesteś służącą?

– Nie...

Zenobia widziała już lepiej jej sylwetką na tle gwiazd.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– W środku nocy?

– Będzie lepiej, jeśli nikt nas nie usłyszy.

Mówiła tak cicho, że Zenobia ledwo ją słyszała.

– Podejdź bliżej.

Zenobia poczuła delikatny, zadziwiająco świeży zapach perfum. Jaśmin zmieszany z melisą i ambrem.

– Wybacz mi, pani. Nie chciałam cię przestraszyć.

– Co masz tak pilnego do powiedzenia?

– Powinnaś wiedzieć o pewnych rzeczach.

Zenobia uśmiechnęła się w duchu. A więc o to chodzi. Tak oto wygląda życie dworu kobiet, z jego sekretami, zazdrością, spiskami.

Dlaczego nie? Bardziej to zabawne niż pograżanie się w czarnych myślach.

– Usiądź obok mnie. Zapal lampę.

– Nie, nie! Obudziłoby to nianią.

Zenobia nie nalegała, bo w szepcie dziewczyny wyczuła prawdziwy lęk.

– Usiądź – powtórzyła polecenie.

Dinah usłuchała. W słodkawym zapachu perfum wyczuwało się także pewną cierpkość. Łóżko zaledwie lekko drgnęło, kiedy na nim usiadła. Zenobia pomyślała, iż musi to być młodziutka, szczuplutka dziewczyna, która niedawno stała się kobietą.

Poszukała ręki nieznajomej, wymacała delikatną, ciepłą materię sukni, dotknęła długich, smukłych palców. Były zimne i drżały.

– Jeśli nie jesteś służącą, to kim jesteś?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Próbowwała cofnąć dłoń, jakby ten kontakt wprawiał ją w zakłopotanie. Zenobia ścisnęła mocniej jej palce.

– Pochodzę z Emesy. Mój ojciec jest kupcem. Ma dwa

statki, które dopływają aż do Rzymu i do Egiptu. Jest przyjacielem Najjaśniejszego Pana, który pewnego dnia zobaczył mnie i spodobałam mu się. Wtedy ojciec powiedział: „Weź ją. To najmłodsza i najładniejsza z moich córek. Ofiaruję ci ją”.

– Och!

Zapadła cisza, a potem Zenobia zapytała:

– Czy ty także masz go poślubić?

– Ależ nie! – Dinah parsknęła cichutkim śmiechem. – On nie może mnie poślubić.

– Dlaczego?

– Ponieważ Najjaśniejszy Pan przestrzega praw Rzymu. Może mieć tylko jedną żonę.

– Jest królem Palmyry i królem plemienia Komreh. Komrehowie i Maazinowie mają te same prawa. Jeśli mężczyzna pragnie mieć wiele żon, nikt nie może mu tego zabronić, a już na pewno nie Rzymianie – zauważyła Zenobia.

Dinah potrząsnęła głową. Jej długie, opadające do pasa włosy musnęły ich splecione dłonie.

– Mój ojciec jest żydem. Nie jest tak ważną osobą jak twój. Odenatus nie musi się ze mną żenić. Wystarczy mu, że jestem w jego domu. – Po chwili dziewczyna dodała: – Zresztą między nami istnieje pewna różnica. Ciebie wybrał bóg. Nie jesteś dziewczyną jak inne.

Zenobia już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Nie jestem zazdrosna, ani trochę. I nie obawiaj się,

że będę zazdrosna w przyszłości. Przeciwnie, to wielkie szczęście, że zostaniesz moją panią. Byłam tak szczęśliwa, gdy cię dziś ujrzałam. Jesteś tak piękna, że natychmiast cię pokochano. Możesz być pewna, że wszystkie dziewczęta myślą tak samo jak ja.

– Ale co się z tobą stanie?

– Och, ja będę...

Nie dokończyła.

Słowa te okazały się trudne do wypowiedzenia. Nawet w nocnym mroku.

Dinah wstała. Zgarnęła do góry włosy. W ciemnościach rozszedł się zapach jej perfum. Odpowiedziała na pytanie, którego Zenobia nie śmiała postawić.

– Najjaśniejszy jeszcze mnie do siebie nie wzywał. A przecież opuściłam dom mojego ojca już ponad rok temu. Jest miły, ale nie dostrzega mnie. Może uważa, że jestem za młoda albo niewystarczająco piękna, zwłaszcza teraz, kiedy ty masz zostać jego żoną.

– Nie sądzę – zaśmiała się Zenobia. – On zapewne myśli, że nie żyję!

Obie zachichotały. Dinah jednak szybko spoważniała. Przyłożyła ich splecione dłonie do swojej piersi. Zenobia ku swemu zaskoczeniu wyczuła dwie twarde, ciężkie piersi.

– Wystrzegaj się Ofali – szepnęła niespokojnie Dinah.  
– Kiedy chce wyrządzić komuś krzywdę, nic jej nie powstrzyma.

– Dlaczego miałyby zrobić mi krzywdę?  
– Jesteś jej wrogiem. Mogłaś się o tym dziś przekonać.  
– Dlaczego uważa mnie za wroga? Przecież dopiero co przyjechałam i...

– Sama perspektywa twojego przybycia wprawiała Ofalę we wściekłość. – Dinah mówiła teraz silniejszym głosem. – Zostaniesz żoną Najjaśniejszego Pana, a ona tego nie chce!

– Ale dlaczego? Chyba ta stara ropucha nie ma zamiaru go poślubić?

– Oczywiście, że nie – parsknęła śmiechem Dinah. – Ona boi się, że dasz Najjaśniejszemu Panu syna.

– Syna... – szepnęła Zenobia.

– Właśnie. Ofala chce, żeby Hayran, syn jej siostry, zmarłej królowej, został jego następcą.

– Odenatusowi nie wystarczy jeden syn?

– Na pewno nie ten. Gardzi nim.

– Własnym synem?

– Ma go za niezbyt dobrego wojownika i... jeszcze z innych powodów. – Dinah urwała z cichym westchnieniem, tłumiąc go ręką i rozsiewając wokół zapach perfum. – Zrozumiesz, kiedy go zobaczysz. W każdym razie Najjaśniejszy Pan nie ma do niego zaufania. Gdyby nie było tu Ofali, już dawno by się go wyrzekł. Stąd jej obawy. Jeśli dasz Odenatusowi syna, Hayran nie będzie się już w ogóle liczył.

Zenobia milczała. Pomyliła się w swych nocnych postanowieniach. Życie jest pełne zła, zagrożeń. Ale

można też w nim znaleźć czułość, jaką okazała jej ta owiana perfumami dziewczyna, która trzymała jej dłoń i drżąc z lęku, mówiła dalej:

– Nie sądź, że Ofala rzucała słowa na wiatr, kiedy ci groziła... Wiosną Najjaśniejszy Pan uczynił ciężarną jedną z dziewcząt z Pelusium,<sup>[28]</sup> najpiękniejszą z nas. Kiedy Ofala dowiedziała się o tym, zmusiła ją do wypicia narkotyku. Tu, na dworze kobiet, w obecności nas wszystkich, wcale się z tym nie kryła. Zwróciła się o pomoc do chłopców, którzy stale się kręcą przy Hayranie. Tego samego wieczoru ta dziewczyna pozbyła się płodu. Zmarła cztery dni potem. Nie dało się zatrzymać krwotoku.

Podskoczyły, słysząc dochodzący z ciemności krzyk. Zaskrzypiało łóżko i Aszemu zawołała:

– Mówiłam to! Mówiłam! Demon się odsłonił. Niech Izis ma nas w swojej opiece!

**CLAUDIA ARA AGRIPPINENSIIUM**

– Mitro, Mitro! Opatrzności, Fortuno, zdradź mi tajemnicą, którą tylko ja jeden mogę znać, ja, Walerian, ojciec Rzymu i jego ludów. Za pośrednictwem twego Archanioła, o Słońce Niezwyciężone, daj mi moc orła, abym mógł przyjąć idące z niebios twoje tchnienie i twój ogień.

Świszczący, zgrzytliwy głos starego cesarza rozbrzmiewał echem pod sklepieniem groty. Trudno było oddychać w powietrzu pełnym dymu pochodni i kadzideł, przesiąkniętym odorem uryny.

Za plecami Waleriana kilkunastu oficerów spoczywało na deskach z wygodnymi materacami. Obserwowali w napięciu twarz cesarza.

Aurelian, obnażony do pasa, stał przed bykiem. Było to czteroletnie zwierzę z czarną, błyszczącą sierścią, które sześciu dekurionów z trudem utrzymywało w miejscu. Byk, uwiązany rogami do drewnianego kozła obciążonego kamieniami, głośno ryczał. Złote opaski na łbie i karku oślepiały go, zwiększały jego wściekłość. Pobrzękiwały dzwonki przymocowane do jąder. Zwierzę, wstrząsane dreszczami, ciężko dyszało, Grzbiet zdobiły mu girlandy kwiatów, których płatki spadały do stóp posągu Mitry. Statua z czerwonego marmuru, wypolerowanego niczym



brąz, wyrażała tę samą scenę: Mitra składający w ofierze byka.

Centurion wydobył z kosza z żarem żelazny pręt. Na rozżarzoną do białości końcówkę widniał maleńki znak wielkości monety – słońce umieszczone wśród promieni, wyznaczających cztery strony świata. Zdecydowanym ruchem przyłożył pręt do barku byka. Na sierści ukazało się wypalone czarne znamię. Zwierzę zaryczało i wierzgnęło. Koziół, do którego było przywiązane, runął na ziemię z łomotem, który odbił się echem po całej gromadzie.

Chociaż rogi byka musnęły jego tors, Aurelian z rękami opartymi na rękojeści miecza nawet nie drgnął. Począł, aż ryk zwierzęcia ucichnie.

W ciszy, która nastąpiła potem, lekko drżącym głosem powiedział:

– Ja, Aurelian, syn Julii Kordelii, wnuk Hipsy Domicji, syn sług Słońca Niezwyciężonego, stoję przed tobą, początku początków. Stoję przed tobą, doskonała istota światła, nieśmiertelna materio. Oczyść mnie, który zrodziłem się z ogólnego zepsucia. Pozwól, abym uniósł się do niebios z ogniem Słońca, które nigdy nie umiera, ja, istota śmiertelna.

Wszyscy obecni, oficerowie, dekurioni i nawet cesarz, nie zdołali powstrzymać okrzyku zdumienia wobec słów wypowiedzianych z taką mocą. Z siłą, której używał setki razy w walce z wrogiem, Aurelian podniósł miecz i uderzył w kark byka.

Żelazo przecięło złote opaski, wbiło się w jego ciało.

Gdy ostrze sięgało już do kości, zwierzę ryknęło i szarpnęło. Trzej przytrzymujący je dekurioni zostali odrzuceni pod ścianę z pięknie wymalowanym wizerunkiem gwiazd.

Aurelian czuł pod mieczem pękające kości i kręgi. Z okrzykiem, który zmieszał się z rykiem byka, nacisnął całym swym ciężarem. Zwierzę nagle umilkło. Ostrze przecięło gardło. Pod bykiem ugięły się nogi. Zatoczył się do tyłu. Przy wtórze brzęczenia dzwonków jego wspaniałe ciało z wolna upadło na jedną stronę, a głowa na drugą. Podbiegli służący z miskami, by zebrać krew tryskającą wraz z ostatnim pulsowaniem serca.

Aurelian wyprostował się, twarz i tors miał zbryzgane krwią. Drżąc jeszcze z wysiłku, pohamował pragnienie, by odwrócić się twarzą do Waleriana i jego świty. Słyszał ich przyśpieszone oddechy i czuł na sobie pełne uznania spojrzenia.

Zamknął oczy, wciągnął do płuc śmierdzące powietrze, czekał na krzyk ludzi wiedzionych ręką Mitry.

I krzyk ten nadszedł.

Przyłączył się do krzyku cesarza i oficerów.

Dziki okrzyk, docierający do nieba, będący w stanie spowodować pęknięcie w sklepieniu *mithraeum*.

\* \* \*

Gdy umilkło echo tego krzyku, Aurelian otworzył oczy. Służący podali mu miskę z krwią. Wziął ją w obie

dłonie, odwrócił się do starego cesarza. Jego łysa czaszka lśniła w wypełniającym grocie dymie.

– Auguście, który jesteś pełnym cnót symbolem boga żywego i nieśmiertelnego, chroń mnie przed zbrukaniem i nieczystością.

Walerian uśmiechnął się do niego. Skłonił wąską twarz pokrytą zmarszczkami. Oficerowie wstali z łoży. Zawołali wraz z Aurelianem:

– Niech żyje nasz ojciec Walerian, Pan Tajemnic Mitry!

Cesarz podał swą czarę ze złota. Aurelian nalał do niej krew.

Walerian wypił ją jednym tchem. Kropelki krwi zabłyły w kącikach jego ust.

Odstawił czarę, wziął chleb z misy z niebieskawego szkła. Przełamał go, podniósł kawałek tak wysoko, aby wszyscy mogli go ujrzeć.

– Mitra jest krwią, nasieniem i pożywieniem. Mitra jest życiem przez ogień i przez nasienie. Mitra jest naszą obfitością.

Zjadł kawałek chleba, a oficerowie za nim zrobili to samo.

Walerian wyjął z wiklinowego kosza świeżo upleciony wieniec laurowy. Włożył go na czoło Aureliana. Wyszłymi wargami, chrypliwym głosem powiedział:

– Niech Aurelian będzie naszym posłańcem Heliosa. Niech będzie naszym zastępcą i posłańcem z woli Rzymu i nieśmiertelnego Słońca Niezwycięzonego. Niech nim

będzie tak daleko, jak daleko sięga światło wszechświata, i niech wszyscy się o tym dowiedzą. Taka jest wola Mitry, wola Waleriana, waszego ojca.

Aurelian poczuł woń rozpalonego żelaza, zanim się jeszcze odwrócił. Centurion, który dopiero co wypalił żelazem piętno na byku, trzymał w ręku rozżarzony do białości pręt. Był to młody oficer. Na jego twarzy malował się strach, jego usta drżały. Aurelian oddał służącemu misę z krwią.

– Jestem gotów.

Na jego lewej piersi odcisnęło się z sykiem słońce z promieniami czterech stron świata. Rozszedł się smród palonego ciała, od którego nagle zrobiło mu się niedobrze.

Określił się, aby każdy z obecnych mógł zobaczyć znak Mitry na jego ciele — słońce i cztery promienie stron świata. Wszyscy wznieśli czarki z głośnymi okrzykami.

Przeszywający, ostry ból od oparzenia przeszedł na kark. Aurelian, nie zwracając na to uwagi, znowu wziął miskę. Ciepła, cierpka krew byka, mocniejsza w smaku od wina zabulgotała w jego gardle.

\* \* \*

Gdy wyszli z groty, pozostawała już tylko jedna godzina dnia. Znowu padał śnieg gęstymi płatkami, który okrył grubą pierzyną rozległy teren obozu wojskowego w Agrippinensium.

Łysa czaszka Waleriana znikła pod hełmem

osłoniętym głową lwa ze złotymi oczami i groźnymi kłami. Łapy zwierzęcia, pamiątka po polowaniu w Syrii, wisiały na ramionach, nadając Augustowi wygląd bardziej czarownika niż żołnierza. Ten dziwaczny strój przy niskim wzroście cesarza był przedmiotem żartów legionistów, ale tylko do czasu, kiedy kpiarze poznali odwagę i spryt tego starca.

Dał znak towarzyszącym mu oficerom, że pragnie zostać z Aurelianem sam na sam.

– Przejdźmy się nad rzekę, *dux*. Dobrze ci to zrobi, a to, co mam ci do powiedzenia, nie dojdzie do innych uszu.

Aurelian drżał. Podobnie jak cesarz owinał się grubym, futrzanym płaszczem, ale gorączka, której dostał w grocie, jeszcze nie ustąpiła.

Zostawili za sobą szerokie aleje obozowiska i poszli w kierunku rzeki. Strzegący cesarza pretorianie bez żadnego rozkazu szli za nimi w pewnej odległości. Ich buty skrzypiały na śniegu. Białe płatki oblepiały brwi i brody, pióropusze na hełmach i pancerze.

– Jutro o świcie wyruszę do Argentorum<sup>[29]</sup> – oznajmił Walerian. – Obiecałem Gallienowi spożyć z nim posiłek. Posiłek ojca z synem. Nie mieliśmy dotąd takiej okazji i pewnie taka sposobność nieprędko się powtórzy.

– Niezbyt bezpiecznie jest podróżować w taką śnieżycę – zauważył Aurelian. – Może lepiej poczekać parę dni.

– Nie sądzisz chyba, że się boję! Twoje *limes*<sup>[30]</sup> są tak

wspaniale ufortyfikowane, że nie prześlizgnie się przez nic żaden barbarzyńca.

Aurelian odprężył się, słysząc taki komplement. Cesarz gratulował mu już tego ranka, obsypując go zaszczytami w obecności oficerów wojska Renu, zgromadzonych w pretorium. Walerian był przebiegły, ostrożny, ale nie stosował podstępu wobec tych, których szanował.

– Wspaniale poradziłeś sobie z bykiem – podjął stary cesarz. – Co za cios! Nigdy nie widziałem podobnego.

– Ostrze mego miecza jest niezawodne – uśmiechnął się Aurelian. – A to bardzo pomaga.

Nie zwalniając kroku, Walerian odsłonił płaszcz Aureliana. Zręcznym ruchem wyciągnął miecz z pochwy, podziwiając damasceńską stal i pięknie rzeźbioną rękojeść.

– Wspaniały! Niezwykły! To miecz Etruskusa, prawda? Podobno Decjusz ofiarował ci go przed śmiercią?

Aurelian przytaknął. Wiatr wiejący od rzeki był lodowaty. Aurelian dałby wiele, żeby zanurzyć się w ciepłej kąpieli, zamknąć oczy i nie myśleć o niczym. Dziwne, ale ceremonia w *mithraeum* osłabiła go, zamiast dodać sił. Miał nadzieję, że nie jest to zła wróżba.

Cesarz bystrym okiem dostrzegł jego złe samopoczucie. Oddał mu miecz.

– Nie martw się, wodzu. Mitra kocha cię tak samo jak ja. Oparzenie żelazem jest zawsze bardziej bolesne niż to sobie wyobrażamy.

Aurelian wiedział, że cesarz nie ma takiego znaku.

Wypalanie żelazem było dobrowolne, stanowiło też swego rodzaju próbę. Ten, kto przeżył próbę ognia, nie był już taki jak inni.

Szli jakiś czas w milczeniu. Śnieg zbierał się na grzywie lwa, a jego złote oczy robiły się jeszcze bardziej niesamowite. Na wyspie utworzonej przez dwie odnogi Renu pojawiły się pierwsze światła wież strażniczych. Cesarz odezwał się ponownie chrapliwym głosem:

– Szkoda, że Gallien nie zabił byka tak zręcznie jak ty.

Aurelian nic na to nie odrzekł. Wszystkie legiony nad Renem wiedziały, że Cezar próbował cztery lub pięć razy zabić byka Mitry.

– Tak więc wy dwaj możecie odtąd być moimi pomocnikami w obrzędach Mitry, posłańcami Heliosa. Mój syn i ty.

– Zdaję sobie sprawę z tego zaszczytu i okazywanego mi przez ciebie zaufania, Auguście.

– Mam nadzieję, Aurelianie. Jutro pragnę wystawić cię na próbę.

– Jestem na twoje rozkazy.

– Rozkazy to jedno, a zrozumienie, wierność i zaufanie to drugie.

– Możesz być pewien mojej wierności-, Walerianie. Moja wierność dla ciebie jest tak samo pełna i absolutna jak przedtem dla Decjusza. Po dzisiejszym dniu, po tym, co wspólnie przeżyliśmy w *mithraeum*, przysięgam przed Słońcem Niezwyciężonym, że moje ramię i serce należą do ciebie aż do śmierci.

Byli już tak blisko rzeki, że dostrzegali krę na rzece. Pokryte warstwą śnieżnego puchu kawałki lodu spływały dalej, porwane prądem. Cesarz zatrzymał się. To samo uczynili pretorianie idący dziesięć kroków za nimi. Po raz kolejny Walerian strząsnął śnieg oblepiający łapy lwa, zwieszające się na piersi. Musiał podnieść głowę, by spojrzeć na Aureliana. Lecz blask oczu cesarza kazał zapominać o jego niskim wzroście.

– Jesienią myślałem o tym, żeby mianować cię *dux maiorum* Wschodu. Perscy barbarzyńcy, odkąd zajęli Dura-Europos, wciąż napadają na szlaki handlowe w Syrii. Nasze legiony nie są tam wystarczająco aktywne. Powinniśmy zająć się ochroną Antiochii, Emesy i być może Palmyry. Nie jestem pewien wierności ludzi, którzy bronią tych miast. Jeśli Persowie zaproponują im złoto, Rzym wyda im się bardzo odległy. Lud na Wschodzie jest miękki, łatwo go przekupić!

– Nie zapominaj, że Persowie są również doskonałymi wojownikami. Nie brak im odwagi i umieją walczyć. Często się ich nie docenia.

– Być może masz rację. W każdym razie zmieniłem zdanie. Wracam do Antiochii. – Walerian przerwał, spodziewając się ujrzeć na twarzy Aureliana wyraz zaskoczenia, a może nawet gniewu. – Jadę osobiście, ponieważ pojawił się tam ważniejszy problem niż perscy barbarzyńcy. Chrześcijanie! Zaczynają znieważać nasze prawa i naszych bogów tak, jak to czynili za Decjusza. Nie chcą służyć Rzymowi. Nie szanują niczego.



Rozprzestrzeniają się jak zaraza. Czy wiesz, ilu jest w Rzymie takich, którzy uznają tylko swego własnego, jedyne boga? Są nawet w rodzinach senatorów. Piszą książki propagujące to szaleństwo! Prawdę mówiąc, Aurelianie, oni są wszędzie: w sklepach, na forum, w warsztatach, na drogach. Kto wie, może też w naszych legionach! – Rozgniewany wskazał ręką na zabudowania koszar, białe, puste uliczki prowadzące do pretorium. Jego gniewny głos brzmiał w lodowatym powietrzu jak skrzyp kry lodowej, płynącej po rzece. – Ci chrześcijanie są bogaci. Czy wiesz, że w Kartaginie w ostatnie październikowe kalendy jeden z tych szaleńców zapłacił bez mrugnięcia okiem okup za mieszkańców miasta wziętych do niewoli przez morskich piratów? Dwieście tysięcy aureusów<sup>[31]</sup> w złocie! Suma, jakiej nawet ja nie mam w cesarskim skarbcu. A czy wiesz, dlaczego ci wyznawcy Chrystusa są tacy bogaci? Bo okradają Rzym! Ukrywają dochody, żeby nie płacić podatków i móc lepiej prowadzić przeciw nam wojnę. Ach nie, nie są tacy odważni, żeby walczyć z bronią w rękę! To podstępni ludzie. Ich bronią są słowa. Całe mnóstwo kłamstw wziętych z ich głupiej wiary. Kłamstwa i nieustanne nieposłuszeństwo wobec naszych praw. A do tego jest ich coraz więcej! Nie zachowują się jak żydzi, którzy zamykają się we własnym środowisku. Im potrzebny jest tłum. Coraz większa masa ludzi! Są jak szarańcza. Bezwstydnie zagarniają do siebie wszystkich. Kobiety, dzieci, starców, chorych, biedaków. Każdy jest dobry dla

ich sekty. Aurelianie! Wyobraź sobie, żeby w *mithraeum* mogły być kobiety i dzieci!

Cesarz zaśmiał się chrypliwie.

Aurelian pomyślał, że ten, kto zobaczyłby go w tej chwili, straciłby ochotę na żarty ze wzrostu czy stroju cesarza. Uśmiechnął się w odpowiedzi bez przekonania. Mimo zimna czuł gorąco w całym boku. Szorstkie płótno opatrunku powodowało ból przy każdym ruchu.

– Co zamierzasz z nimi zrobić, Auguście?

– Wytepić ich! Uzyskałem od senatu nowe prawa. Nikt z poddanych cesarstwa nie może oddawać czci bogu chrześcijan. Nikt nie może do nich dołączać pod karą śmierci. Koniec z ich kapłanami, tymi „biskupami”, „diakonami”, którzy bezczeszczą nawet najmniejsze z miast w cesarstwie! Koniec z litością. Bez sądu, bez wyjątków! Śmierć i konfiskata majątku, oto co czeka tych, którzy będą uparcie nazywać się chrześcijanami. A skarbiec cesarstwa bardzo na tym skorzysta. Jeśli chcą żyć, muszą wyprzeć się ich Chrystusa. W dalszym ciągu obowiązuje prawo wydane przez Decjusza: albo uznają bogów Rzymu, albo umrą.

– Te prawa nic nie dadzą, Auguście. Chrześcijanie wykorzystają je, żeby zrobić wrażenie na ludziach. Nie boją się śmierci. Ze swego męczeństwa uczynią spektakl, a to powiększy ich szeregi.

– Tak było, bo panujący po Decjuszu gruby Trebonian okazał się słaby. W tej sprawie i w innych także. Uważał, że chrześcijanie dobrowolnie mu się podporządkują, że

pozyska ich pochlebstwami. Skutek tego taki, że jest ich coraz więcej. Mitra mi świadkiem, że nie okażą takiej słabości. Zniszczą ich źródło. Uderzą tam, gdzie rozprzestrzeniają się niczym zaraza – na Wschodzie. Dlatego właśnie wybieram się do Antiochii.

Milczeli obaj chwilą, jakby czekając, aż lodowaty wiatr ostudzi gniew cesarza. Szybko zapadał mrok. Centurion dowodzący pretorianami dał rozkaz, by przyniesiono pochodnie. Dwaj legioniści puścili się biegiem do obozu.

– Przypuszczam, że Cezar aprobuje twoją decyzją – odezwał się w końcu Aurelian, odchylając z lekka ciężki płaszcz, by ulżyć bólowi w piersi.

Walerian spojrział na niego z ukosa spod lwiego hełmu.

– Wiesz, że podejmujemy decyzje wspólnie. Jest moim synem, ale jednocześnie Cezarem i naczelnym wodzem armii w Galii i nad Renem. Podczas mojego pobytu na Wschodzie to on będzie mnie reprezentował w senacie.

Aurelian kiwnął potakująco głową, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– A co zamierzasz zrobić ze mną, Auguście? Odesłać mnie nad Dunaj?

Walerian zeszywniał, zaciął usta, źrenice zmrużonych oczu niemal zniknęły między ośnieżonymi rzęsami. Groźnie zalśniły kły lwa na jego czole. Jeszcze bardziej niż przedtem przypominał nieobliczalnego czarownika.

– Wiedziałem, Aurelianie! Wiedziałem, że będziesz chciał o tym porozmawiać. Wiem, że nie lubisz mego syna i nic ufasz mu. Tymczasem ja kocham ciebie i szanują jak Galliena.

– Mylisz się, Auguście. Szanują Cezara tak, jak szanują ciebie. Jestem natomiast zmuszony powiedzieć, że to Gallien mnie nie lubi. Obawia się mnie bez powodu.

Walerian potrząsnął gniewnie głową.

– Bez powodu! Daj spokój, Aurelianie, niepotrzebna ta ostrożność. Nie cierpicie się nawzajem. Gallien jest o ciebie zazdrosny, to prawda. A ty masz mu za złe, że jest moim synem! Potrzebuję was obu, nic chcę, żebyście występowali jeden przeciw drugiemu. Aurelianie, Aurelianie...

Cesarz jedną ręką chwycił połę płaszcza Aureliana, a drugą wskazał na idealne linie ulic w obozie, na magazyny, warsztaty, mieszkania, szpitale, termy i świątynie. Całe wojskowe miasto z jego wieżami wartowniczymi i bramami, oświetlone światłem pochodni.

– Nie ma legionisty, dekuriona, centuriona w tym obozie, na całej długości *limes* nad Renem i Dunajem, który by nie wielbił ciebie bardziej niż jakiegokolwiek innego dowódcę Rzymu. Wszyscy cię podziwiają. Już od dwudziestu lat śpiewają tę samą piosenkę, gdy obejmujesz nad nimi dowództwo: „Tysiąc, tysiąc! Nikt nie wypił więcej wina, niż Aurelian wylał barbarzyńskiej krwi!” – W ustach Waleriana piosenka zabrzmiała jak krakanie kruka. – Ja też ją znałem i śpiewałem, gdy byłem legatem.

Rzeka za nimi wyglądała teraz jak wąska strużka między słabo widocznymi brzegami. Walerian nachylił się. Grzywa lwa musnęła policzki Aureliana.

– Jeśli rozkażesz, ludzie z obozu przekroczą Ren jeszcze o świcie. Albo wystąpią przeciw Cezarowi. Taka jest prawda. Legiony Rzymu kochają ciebie, nie Galliena.

– Żołnierze rzymscy kochają tych, którzy prowadzą ich do zwycięstwa. Gallien zwyciężył w Galii, wkrótce przybędzie nad Ren. To wystarczy, żeby kochać go tak samo jak mnie.

Walerian nic nie odpowiedział. Odsunął się, odepchnął żołnierza z pochodnią, który za bardzo się do nich zbliżył.

– Zabierz to, żołnierzu, nie boję się ciemności!

Szybkim krokiem ruszył w kierunku obozu. On też był przemarznięty. Odwrócił się do Aureliana i bez żadnych wstępów oznajmił:

– Gallien pragnie, żeby to jego syn Saloninus został mianowany wodzem naczelnym armii nad Renem.

Zaskoczony Aurelian wstrząsnął się od dreszczu, jakby nagle wzrosła mu gorączka.

– Pragnie czy... żąda?

– To nie ma znaczenia – odburknął Walerian. – Jest Cezarem. Obiecałem tobie tę funkcję. Ale nie mogę dotrzymać obietnicy. Taka jest wola bogów. Mitra tego nie chce... I Cezar także nie życzy sobie tego.

Szli w milczeniu. Śniegu było tak dużo, że utrudniał chodzenie. Aurelian tonem bardziej ostrym, niż tego

chciał, powiedział:

– Muszę opatrzyć ranę po oparzeniu, żeby nie wdało się zakażenie. Czy możesz mi powiedzieć, Auguście, czego ode mnie oczekujesz?

Walerian spojrział mu w twarz. W przebłysku światła zaśniły jaskrawozłote oczy lwa. Chrapliwym głosem cesarz odrzekł:

– Chcę twojej obietnicy. Obietnicy żołnierza, że nie ruszysz przeciw Gallienowi. Chcę obietnicy, jaką wódz składa Augustowi. Obietnicy posłańca Heliosa danej ojcu zgodnie z wolą Mitry. Chcę mieć pewność, że mogę jechać na Wschód, a wy będziecie moimi synami, moimi sprzymierzeńcami, że między wami zapanuje pokój. Oto, czego chcę, Aurelianie.

**PALMYRA**

Przed powrotem Dostojnego Odenatusa Zenobia musiała wejść w rolę przyszłej żony. Były to długie dni wypełnione licznymi obowiązkami i różnymi wybiegami.

Poznała sztukę układania włosów na dwadzieścia różnych sposobów, stosowania kremów, perfumowanych barwiczek, ukrywania pod sukniami brzęczących klejnotów. Codziennie wkładała nowe suknie, a czasami nawet zmieniała je kilka razy w ciągu jednego dnia. Były to tuniki według mody rzymskiej, greckiej, egipskiej, a także palmyrskiej, spodnie wąskie lub bufiaste, tak szerokie, że trudno było w nich chodzić, zawsze bogato haftowane, niekiedy z takim zbytkiem, że ważyły tyle, ile kolczugi łuczników.

Wydawało się, że niewolnice obarczone obowiązkiem tkania, zamknięte w pałacowych warsztatach, miały za zadanie przygotowywać dla niej tyle strojów, ile wystarczyłoby na zaopatrzenie całego miasta. Kiedy Zenobia wyraziła zdziwienie wobec takiego zbytku, odpowiedziano jej, że taki jest zwyczaj w domu Najjaśniejszego Pana. Jego małżonka ma pojawiać się przed nim za każdym razem w innym stroju. Przestrzegania tego obyczaju pilnował osobiście shuloj Szarha.

– Z tego wynika – stwierdziła Zenobia z pogardą – że Ofala nie ma aż takiej władzy na dworze kobiet, jaką chciałyby mieć.

Dinah, bardzo zadowolona z ożywienia w pałacu, nie zapominała o ostrożności i nie opuszczała apartamentów Zenobii. Nie ulegało wątpliwości, że pod nieobecność Najjaśniejszego Pana pałacem rządził ten starzec, który potrafił być bezwzględny.

– Chociaż wydaje się stary i słaby, boją się go wszyscy. Jest taki wiemy Odenatusowi, że dałby się dla niego przypalać na wolnym ogniu. Ofala bardzo się pilnuje, żeby mu się nie narazić. Możesz jednak być pewna, że gotuje się ze wściekłości, widząc, jak służące wpadają w zachwyty, gdy wkładasz nowy strój. Niewolnice zdradziły mi, że Ofala co wieczór przed zaśnięciem zanoszą modły i składa ofiary demonom pustyni.

– Życzę jej szczęścia – zadrwiła Zenobia. – Niech się usmaży w ich wielkim kotle. Jest taka tłusta, że demony będą miały co jeść przez całą zimę.

We trójkę z Aszemu wybuchnęły śmiechem, ale Dinah szybko spoważniała.

– Ofala nie musi szukać pomocy demonów, bo sama jest wystarczająco zła. Uważaj. Jest najbardziej niebezpieczna wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewa.

Zenobia, raczej rozbawiona niż zaniepokojona, odrzekła:

– Może bardziej jej nienawidzisz, niż na to zasługuje.

– Czy nie zauważyłaś, jak krąży koło ciebie, kiedy



niewolnice zachwycają się, że tak pięknie wyglądasz w strojach nowej żony?

– Jest ciekawska, to prawda. Nie odzywa się do mnie słowem, ale to mi odpowiada.

– Do ciebie nic nie mówi – wtrąciła się Aszemu – ale zawsze szuka pretekstu, żeby ukarać te biedne dziewczyny, które ci służą. Ma w sobie tyle złości, ile tłuszczu w biodrach.

I rzeczywiście, w miarę upływu czasu szykany stały się tak dotkliwe, że służące przestały prawie komplementy przyszłej żonie Najjaśniejszego Pana. Stopniowo gorliwość i radość, z którymi Zenobia spotkała się po przybyciu, zmieniły się w chłodną rezerwę. Stare i młode, niewolnice i wyzwolone, coraz bardziej opieszale wykonywały polecenia Zenobii.

Pewnego rana, po nocy, podczas której wiał północny, lodowaty wiatr, Zenobia obudziła się drżąc z zimna. Kosze żarowe były wygaszone. Od dłuższego już czasu nikt do nich nie dokładał drewna. Nie przyniesiono jej dodatkowego pledu. Ponieważ nie wiedziała, gdzie go szukać, rozgniewanym tonem przywołała służące. Dwie młode dziewczyny wyjaśniły, że pilnowanie koszy żarowych nie należy do ich obowiązku.

– Pani Ofala powiedziała, że powinna się tym zająć niańka.

– Niańka? – Zenobia nie wierzyła własnym uszom. – Aszemu nic jest moją niańką od wielu lat! – wybuchnęła. – Zuchwalstwo, które wyczuła w zachowaniu służących,

jeszcze bardziej ją rozsierdziło. – Tutaj, w tych pokojach, waszą panią nie jest Ofala, ale ja!

Nie zdało się to jednak na nic.

– Nie gniewaj się na te biedne dziewczyny – odezwała się Aszemu. – Mają rację. Nie są twoimi niewolnicami. Odenatus jeszcze ci ich nie dał, jeśli w ogóle to uczyni. Ofala jest ich panią i jeśli nie będą okazywać ci niechęci, ten tłusty demon zamieni ich życie w piekło.

Zenobia wzruszyła ramionami.

– Trudno. Obejdę się bez ich pomocy i przyjaźni.

– I źle zrobisz. Będziesz tutaj żyć i wkrótce staniesz się panią tego domu. Ofala nie może przeszkodzić, żebyś została żoną Odenatusa, ale zatruje ci życie, jeśli jej na to pozwolisz.

– Nie boję się jej.

Aszemu pokiwała głową.

– Bo nie zdajesz sobie sprawy, ile zła potrafi ci ona wyrządzić. W domu twojego ojca traktowaliśmy cię jak królową, niemal jak boginię.

– Bo nią jestem – przerwała Zenobia.

Aszemu na moment aż zaniemówiła ze zdumienia, nie dostrzegając ironii w grymasie Zenobii.

– Tutaj nie jesteś królową Palmyry. Ofala każe niewolnicom cię szpiegować, będzie rozpowiadać złośliwości i plotki, żeby cię znienawidzono w świątyni Baalszamina. Niewiele potrzeba, żeby jej zółc zatrula twojego męża, który przestanie ci ufać. On też każe cię pilnować, twoje życie stanie się więzieniem, a Ofala przy

pierwszej nadarzającej się okazji całkowicie cię zniszczy. Dinah mówi prawdę: Ofala wydała ci wojnę. Ale ty musisz tę wojnę wygrać. – Aszemu, za bardzo podniecona, nie zwróciła uwagi na pogardliwą minę Zenobii. – Musisz być bardziej podstępna od niej. Potrzebujesz sprzymierzeńców. Nie pozwól Olali kierować tym tańcem. Nie ma co liczyć na ciotki i siostry Najjaśniejszego Pana. Żadna z nich nie przyszła cię odwiedzić. Nadstawiałam uszu. Te z charakterem boją się, że będziesz wyniosłą panią, a inne od dawna pokornie jedzą z ręki Ofali. Będą ostrożne aż do przesady. Możesz więc liczyć tylko na służące.

– Przecież to niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytała Aszemu z błyszczącym wzrokiem. – Służące zachowują się tak, bo muszą. Bądź dla nich dobra, traktuj je lepiej niż Ofala.

– Mam je traktować lepiej, choć nie chcą nawet podnieść na mnie oczu? .

– Tak jest dziś, ale nie musi być tak jutro.

– A to jakim cudem?

– Możesz im okazać, jak je cenisz. Narzekasz, że masz zbyt wiele pięknych sukien – mówiła dalej Egipcjanka. – Możesz zrobić z nich dobry użytek. Rozdaj je. Już jutro.

\* \* \*

Pomysł Aszemu zaskoczył Dinah. Pomyślała przez chwilę, po czym roześmiała się i powiedziała:

– To wspaniały pomysł, ale Zenobia nie może rozdać

swoich ubrań.

– Co ty opowiadasz? – oburzyła się Aszemu. – Oczywiście, że może.

– Nie, bo nie zgodzi się na to shuloj. Zenobia chociaż raz musi włożyć każdy ze swoich strojów. Tego wymaga zwyczaj. – Dinah pogłaskała rozgniewaną Egipcjanę po ramieniu. – Mniejsza o to! Bo pomysł jest dobry. Szarha zabroni dawania takich prezentów, ale służące rozumieją, że Zenobia je lubi i chce zrobić im przyjemność. A o to przecież chodzi. Mają już dość upokorzeń, których doznają bez przerwy od Ofali. Nienawidzą jej w takim stopniu, jak się jej boją, i będą uszczęśliwione oznakami sympatii ze strony Zenobii... Tak, to z pewnością dobry pomysł.

Przy wtórze okrzyków niedowierzania i zachwytu Zenobia otworzyła wszystkie swoje kufry, rozdała tuniki, naszyjniki, sandały z jedwabnymi paskami, zachwalając ich piękno, śmiejąc się razem ze służącymi.

Ofala nie pojawiła się, bez wątpienia uprzedzona przez bardziej uprzywilejowaną, wierniejszą niewolnicę. Jak przewidywała Dinah, kilka dni potem wizytę w domu kobiet złożył stary Szarha z nieodłączną laską w ręce. Za nim szła truchtem Ofala z miną świadczącą, że już z góry cieszy się widokiem Zenobii karconej przez shuloja.

– Musisz odebrać wszystko, co rozdałaś, córo plemienia Maazinów – oświadczył niewzruszonym tonem, stukając laską o płyty posadzki. – Te suknie to prezenty od Najjaśniejszego Pana. Zgodnie z prawem obowiązującym w tym domu nie należą do ciebie, dopóki nic ujrzy cię

w nich twój małżonek.

– Shuloj, jesteś świadkiem, że ta dziewczyna lekceważy podarki Odenatusa – odezwała się pewna siebie Ofala. – Tak, jakby lekceważyła jego samego.

Shuloj milczał przez chwilę, po czym spojrzał surowym wzrokiem na Ofalę, która przystąpiła do dalszego ataku.

– Musisz powiadomić Najjaśniejszego Pana o tym przestępstwie. Czy widział ktoś coś podobnego? Oddawać suknie ślubne niewolnicom! Można się zastanawiać, co ta dziewczyna w ogóle robi w tym domu.

Zwiotczałe wargi starca zacisnęły się w takim wyrazie, jaki Zenobia zobaczyła u niego w dniu swego przybycia. Laska w jego ręce drgnęła tak, iż róg byka zachwiał się groźnie. Jednakże w szarych źrenicach, z powodu wieku bledszych i zawsze załzawionych, Zenobia dostrzegła przebłysk rozbawienia, może nawet satysfakcji.

– Ach nie, droga Ofalo – mruknął w końcu. – Nie ma potrzeby zastanawiać się, co ta dziewczyna robi w tym domu, bo wszyscy to wiedzą.

Ofala rozdziawiła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Szarha laską nakazał jej milczenie. Odsłaniając różowe, pozbawione zębów dziąsła, dodał:

– Ja także, Zenobio, będę szczęśliwy, gdy cię ujrzę w tych strojach, zanim oddasz je niewolnicom. Mówiono mi, że jesteś tak piękna, jak blask słońca o świcie między wydmami.

– Shuloj! – oburzyła się Ofala. – Co ty opowiadasz?  
Szarha zwrócił na nią starcze, niechętne spojrzenie.

– Droga Ofalo, jestem równie szczęśliwy jak nasz szlachetny pan, że bogowie przysłali tu tak piękną istotę.

– Nie mów w imieniu Najjaśniejszego Pana! – zapiszczała Ofala. – Dowiemy się co myśli, gdy wróci do domu i usłyszy, jak ta zmarła zmartwychwstała i tutaj się pojawiła.

– On już to wie, droga Ofalo. Wysłałem do niego posłańca z wiadomością. Nasz pan jest teraz w drodze do domu, pragnie bowiem jak najszybciej poznać swoją przyszłą żonę.

\* \* \*

Powrót Najjaśniejszego Pana wywołał w mieście i w pałacu ogromne poruszenie. Mówiono, że władca Palmyry wraca znad Jeziora Tyberiadzkiego i wzgórz Libanu z tysiącem dzikich koni. Pospiesznie stawiano barierki i ogrodzenia na obrzeżach oazy, zbierano jarzyny z ogrodów nad brzegami wadi. Do pałacu przyjeżdżały wozy załadowane zbożem i oliwą. Magazyny wypełniły się darami, wielkie sale, stojące bezużytecznie przez tyle miesięcy, zasłano dywanami, na łóżkach układano poduszki w nowych poszewkach. Wszystko robiono w wielkim pośpiechu. Dzień i w nocy unosił się nad świątyniami i ołtarzami dym kadzideł.

Na dworze kobiet służące bardziej niż kiedykolwiek

odczuwały jarzmo Ofali. Nie przeszkadzało im to jednak uśmiechać się ukradkiem, gdy Zenobia prosiła je o pomoc. Pamiętały o podarowanych i odebranych sukniach i klejnotach. Ale ostrożność przeważała. Jeszcze za wcześnie było zgadywać, która z nich, Zenobia czy siostra zmarłej królowej, wygra tę batalię. Szeroko komentowano słowa, którymi shuloj upokorzył Ofalę. Nikt nie wątpił, że wojna dopiero się zaczyna i że powrót Najjaśniejszego Pana tylko ją podsyci.

Zenobia jednakże wydawała się obojętna wobec całego poruszenia, zachowywała chłodny dystans wobec tego, co się wokół niej działo. Aszemu wiedziała, że w nocy nie spała, leżąc z otwartymi oczami. Domyślała się, że Ofala w niewielkim tylko stopniu przyczyniała się do tej bezsenności. Wiele razy Egipcjanka szeptała:

– Śpij, na nic się nie zda myślenie o tym, co będzie.

Ale Zenobia, choć przez wiele tygodni zmuszała się, żeby o tym nie myśleć, nie była w stanie walczyć ze sobą.

Jak ma zachować się wobec tego człowieka. Przecież tak długo nie chciała się zgodzić na ślub z nim. Czy naprawdę jest taki stary i taki brzydki, jak to sobie wyobrażała?

Czy potrafi udawać? Okazywać, wbrew sobie, że sprawia jej to przyjemność? Nie, oczywiście, że nie. Tego była pewna. Odczuje tylko wstręt.

Widok Odenatusa będzie niczym w porównaniu z nocą poślubną, która nieuchronnie musi nadejść.

Była szalona, wyobrażając sobie, że starczy jej siły,

żeby go poślubić. Zajęta życiem tego domu, otoczona czułą opieką Dinah i Aszemu, pośród głupich utarczek z Ofalą, niemal przestała myśleć o tym, czego się nigdy nie zapomina.

Lada dzień Odenatus stanie przed nią. Zażąda od niej spełnienia obowiązku żony i żaden bóg nie będzie w stanie jej pomóc. Żaden! Opowieści o bogach to bajki dla dzieci. Baalszamin opuścił ją. Kiedy wróciła do Palmyry, głosiła chwałę tego boga, ale była to tylko maska.

Baalszamin nie pomógł jej na ogarniętym ogniem dziedzińcu w Dura-Europos. Czarny kamień z Dingir-Dusag nie był kamieniem jego serca ani gwiazdą, ani żadnym dowodem wszechpotęgi Baalszamina, w którą wszyscy pragnęli wierzyć.

Był czas, że uważała się za silną, twardą jak ten diament nocy. Zdolną pokonać wszystkie przeszkody, z jakimi będzie musiała się borykać, chcąc zostać królową Palmyry. Królową tak potężną jak jej małżonek. Tak samo nieprzejednaną jak cesarz Rzymu w walce z barbarzyńcami. Zdolną pomścić cierpienie, którego skutki jeszcze czuła w swoim ciele, nie zapominając o zdradzie Schawaada.

Ale co pocznie dziś, jutro, kiedy stanie twarzą w twarz z Odenatusem i będzie musiała stawić czoło temu, o czym myślały wszystkie kobiety w pałacu, choć nie nazywały tego po imieniu?

\* \* \*



– To szczęście móc dotykać twego ciała, królowo. To tak jakby pieścić klejnot.

Szept masażystki wyrażał pełne oddanie i szacunek.

Zenobia z wdzięcznością poddała się palcom, które przesuwały się po jej plecach. W słodko pachnącej wonnymi olejkami łaźni, gdzie zapominało się o zimnie na dworze, pora masażu była dla Zenobii wytchnieniem. Czar rąk perskiej niewolnicy sprawiał, że przestawały ją dręczyć pytania bez odpowiedzi.

Plotkowanie i nienasycona ciekawość krewnych Najjaśniejszego Pana ulatniały się wraz z parą nad basenem, który otoczony pokojami wyłożonymi marmurem, zaopatrywany był w filtrowaną wodę z wadi Qubur, podgrzewaną codziennie przez dwie godziny za pomocą rzymskiego pieca, w którym palono wielbłądzim łajnem.

Masażystka, w trudnym do określenia wieku, chuda i milcząca, odzywała się rzadko, ale często się uśmiechała i na jej twarzy pojawiało się mnóstwo zmarszczek. Wyzbywszy się początkowej rezerwy, Zenobia przyzwyczała się do dotyku umiejętnych rąk, mocnych i jednocześnie pieszczotliwych, zdolnych usunąć z jej ciała miazmaty wspomnień oraz brud ran, wprawdzie niewidocznych, ale jakże straszliwych.

– Nie jestem jeszcze gotowa – szepnęła.

– Och, to sprawa kilku miesięcy. Ale jak potem będzie wspaniale!

Persjanka mrugnęła do niej życzliwym okiem. Dostrzegła jednak cień, który pojawił się w oczach Zenobii, zanim zdążyła opuścić powieki. Po chwili milczenia masażystka szepnęła zupełnie innym tonem:

– Wyczuwam w tobie gniew. Wielki, odległy, ponury. Wiem, że Ofala nie ma nic do tego.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Czuję to pod moimi palcami.

– Mylisz się. Cieszę się na przybycie Najjaśniejszego Pana.

Persjanka, masując teraz pośladki Zenobii, dodała, jakby nie słysząc jej słów:

– Boisz się, ale pokonasz ten strach. Twoje ciało potrafi zdecydować, czego chce, a czego nie chce. Pomoże ci. Jesteś silniejsza i odważniejsza, niż myślisz.

Kobieta wyczuła pod dłońmi, że Zenobia wewnętrznie się skurczyła. Wymieniły spojrzenia. Pełen współczucia uśmiech rozjaśnił zniszczoną twarz niewolnicy.

– Nie słuchaj mnie. Mówię głupstwa. Wybacz mi, królowo.

Napięcie Zenobii opadło i Persjanka zamilkła.

Wkrótce potem, kiedy skończyła masaż, wydobyła z kosza pachnącą maść. Wysmarowała nią obficie swoje ręce i następnie z szacunkiem, ale zdecydowanie zaczęła rozchylać pośladki Zenobii.

– Co robisz?!

Zenobia zerwała się gwałtownie, brutalnie ją odpychając. Persjanka wyjąkała przeprosiny i pokazując

maść, którą miała na palcach, powiedziała:

– To nic takiego, królowo. To nie boli. To maść różana... Bardzo łagodna!

Zenobia, z płonąca twarzą okrywała się tuniką.

– Zostaw mnie.

– Ale to potrzebne dla twojego dziewictwa...

– Nie.

Persjanka patrzyła na nią niepewnym wzrokiem.

– Zawsze to robimy. Ta maść łagodzi... Przekonasz się... Dziewice są tak wrażliwe przed...

Niewolnica urwała, nie śmiać spojrzeć w twarz Zenobii. Siedzące wokół basenu kobiety nie straciły ani słowa z tej rozmowy.

– Już mi nie jesteś potrzebna, zabieraj swoje maści.

– Pani Ofala poleciła mi przygotować tę maść dla ciebie – szepnęła jeszcze Persjanka.

Zenobia zdążyła się już opanować i powiedziała spokojnym głosem:

– Nie robię ci wyrzutów. Nie zrobiłaś nic złego. Zapamiętaj tylko, że Ofala jest twoją panią a nie moją. Jeśli będzie robić ci wymówki, powtórz bez obawy moje słowa. Przekaż jej, że Zenobia nie potrzebuje nikogo, żeby przygotować ciało, by jej przyszły małżonek odczuł rozkosz.

\* \* \*

Wieczorem, gdy na dworze kobiet zapadał mrok, do

oświetlonego kilkoma lampami pokoju Zenobii wślizgnęła się Dinah.

– Ofala wyszła z domu. Udała się do grobowca swojej siostry. Oznajmiła shulojowi, że ją znieważyłś i że musi się oczyścić wśród swoich zmarłych przed przybyciem Najjaśniejszego Pana.

Zenobia uśmiechnęła się drwiąco.

– Tyle grózb, żeby teraz uciekać.

– Nie bądź taka pewna siebie! Ona chowa się między grobowcami, czekając na okazję, żeby uderzyć. Jest jak skorpion.

– Tchórzliwy, głupi skorpion! – burknęła pogardliwie Aszemu.

– Będzie składać ofiary i lamentować przed ołtarzem swej siostry Gardalaj, żeby potem rozpowiadać różne okropieństwa – mówiła dalej Dinah. – Potrafi dzień i noc leżeć wśród koszy z ofiarami. W sztuce kłamania nikt nie jest w stanie dorównać Ofali. Jutro całe miasto zacznie powtarzać jej kłamstwa.

– Będzie musiała dużo zmyślić – odburknęła Aszemu.

Dinah popatrzyła na Zenobię z pewnym zakłopotaniem.

– W mieście niektórzy mówią że skłamałaś. Że nie zostałaś zabrana na pustynię przez Baalszamina. Twierdzą, że kamień, który wyjęłaś z *koba* to zwykły kamyk. Że to kłamstwo, do którego zmusił cię ojciec, żeby osłonić twój występki.

Aszemu wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Dinah

dodała, wzruszając ramionami:

– Zresztą to nie takie ważne. Palmyra jest dużym miastem i nie brak w nim zazdrosnych ludzi. Twój ojciec jest tak bogaty, że ma tylko przyjaciół.

Zapadła kłopotliwa cisza. Aszemu spojrzała na Zenobię, spodziewając się gniewu swej pani. Jednak na bladej, zmęczonej twarzy dziewczyny błąkał się dziwny, obojętny uśmiech.

– Jeśli Najjaśniejszy Pan uwierzy jej, to trudno. Co mogę zrobić?

Aszemu podskoczyła, omal nie przewracając lampy.

– Mówisz poważnie? Oczywiście, że nie dopuścimy do tego... Te wszystkie kłamstwa to...

– Jeśli Odenatus mnie wypędzi – przerwała jej Zenobia – zostanę kapłanką Baalszamina. Myślałam już o tym, nie będę się czuła nieszczęśliwa.

– Znowu oszalała – jęknęła Aszemu.

Dinah chwyciła rękę Zenobii.

– Najjaśniejszy Pan nie jest starcem i nie tak łatwo go oszukać. Zna dobrze Ofalę. Łatwo będzie udowodnić, że to, co ona rozpowiada, to brednie.

Zenobia nic nie odpowiedziała.

– Niech cię Izis wysłucha, moje dziecko – westchnęła Aszemu. – Oby bogini cię wysłuchała!

## CLAUDIA ARA AGRIPPINENSIIUM

– I oczywiście złożyłeś mi tę obietnicę?

– A czy mogłem postąpić inaczej?

Maksymus nakładał starannie opatrunek z ziół i wieprzowego sadła na obrzmiałe, czerwone oparzenie na piersi Aureliana. Uniósł drwiąco brew.

– Myślę, że mógłbyś coś wymyślić.

– Daj spokój, Maksymusie! Nigdy nie będę należał do tej bandy, która przez własną próżność i zazdrość niszczy od środka imperium. Stary cesarz prosi mnie o pomoc i będzie ją miał. Ja go kocham, a on jest Augustem. Tego wymaga Rzym, jeśli chcemy, żeby przetrwał.

– Czy to Rzym lub „stary cesarz” proszą cię o takie poświęcenie, czy może Cezar, syn naszego Augusta, ulubieniec senatu?

– Maksymusie...

– Dobrze! Dobrze! Już milczą. Nie ruszaj się, jeszcze nic skończyłem.

Do alkowy przylegającej do obszernego *triclinium*, willi przydzielonej Aurelianowi na czas pobytu w obozie, wstawiono trzy kosze żarowe. W pomieszczeniu było całkiem ciepło. Mimo to nagim torsem Aureliana wstrząsnął znowu dreszcz. Gorączka nie opuszczała go. Długie blond włosy Maksymusa opadały mu na policzki

i zakrywały blizną na twarzy, gdy kończył opatrywanie rany. Wizerunek słońca z promieniami wyznaczającymi cztery strony świata powoli zniknął pod maścią.

Za cztery, pięć dni, jeśli wszystko pójdzie dobrze, rana przyschnie i zablizni się. Żadna rana nie jest tak trudna do wyleczenia jak oparzenie żelazem. Wielu oficerów, wyznawców Mitry, podobnie naznaczonych, cierpiało całymi miesiącami. Czasami oparzone miejsce przyprawiało ich o taki ból, że nie byli w stanie walczyć. Zdarzało się, że rana zaczynała ropieć, gnić. Takiego człowieka czekała powolna, bolesna śmierć, jakby ogień żelaza wdzierał się stopniowo we wszystkie zakamarki ciała. Mówiono, że to kara Mitry. Jednakże Aurelian nie chciał przywołać do siebie obozowego lekarza. Gdyby Maksymus nie nalegał, leczyłby ranę sam.

Maksymus położył maść na czystym kawałku płótna. Przytrzymał opatrunek bandażem, który owinał wokół torsu Aureliana, starając się go za mocno nie przyciskać. Zaledwie skończył, kiedy do alkowy weszły trzy młode frankońskie niewolnice, przynosząc tace z jedzeniem, dzbany grzanego wina z miodem i cynamonem oraz dużą miedzianą misą do mycia.

Były to dziewczyny niemające dwudziestu lat, o bardzo białej skórze i jasnych włosach. Miały na sobie krótkie tuniki, tak wycięte, że odsłaniały im białe piersi i młodziutkie biodra. Lęk pomieszany z chęcią podobania sprawił, że ich twarze były dziwnie pociągające.

Ustawiły na niskich taboretach talerze i dzbany,

a potem stanęły przy wejściu z opuszczonym wzrokiem. Maksymus umył starannie ręce w misie, po czym kazał zbliżyć się jednej z niewolnic.

– Zapomniałaś przynieść ręczniki, żebym mógł się wytrzeć – powiedział łagodnym głosem.

Uśmiechnął się, a wówczas blizna na policzku jakby ożyła, podkreślając jeszcze mocniej dziką urodą trybuna. Dziewczyna zarumieniła się. Wymamrotała przeprosiny i szepnęła, że zaraz naprawi swój błąd. Nie zdążyła jednak ruszyć się, gdyż Maksymus chwycił ją za uda i przyciągnął do siebie.

– Nie ruszaj się, maleńka. Przyniosłaś coś znacznie lepszego niż ręczniki. Nie spotka cię kara.

Nie przestając się uśmiechać, pieszczotliwym ruchem otarł mokre palce o gładką skórę niewolnicy.

Dziewczyna zagryzła wargi. Nie śmiała odepchnąć Maksymusa, a tymczasem jego ręce dosięgły jej pośladków i wsunęły się między uda. Odwróciła twarz, a w jej oczach pojawiły się nagle łzy. Pieszczoty stały się tak natarczywe, że dziewczyna jęknęła. Pozostałe niewolnice, stojące przy wejściu, przyglądały się im ukradkiem zaniepokojone.

Maksymus brutalnie klepnął dziewczynę po pośladkach.

– No dobrze. Dziękuję ci. Czy masz ochotę na te ślicznotki, Aurelianie?

Aurelian dał znak, żeby mu pomogły nałożyć tunikę, po czym odprawił niewolnice. Gdy opadła zasłona przy



wejściu, Maksymus głośno się roześmiał.

– Czy wiesz, że to sam Cezar przysłał je tobie? Powinieneś zatrzymać najładniejszą na noc. Jeśli nie znajdziesz dla niej innego zajęcia, to przynajmniej będzie pilnowała, żebyś w czasie snu nie zerwał opatrunku.

Aurelian nic na to nie odrzekł. Wypił duszkiem dwa duże kubki gorącego, słodkiego wina, które usunęło wreszcie mdlący smak krwi byka. Ciepło wypełniło mu pierś, łagodząc ból w ranie. Oparłszy się wygodniej na poduszkach łoża, napełnił znowu puchar.

– Dziwne są te praktyki wyznawców Mitry! – westchnął Maksymus. – Jaki z tego pożytek, że dajecie się piętnować niczym zwierzęta? Po co narażać się na takie cierpienia, skoro barbarzyńcy dają nam wiele okazji do otrzymania ran?

Aurelian, nie otwierając oczu, uśmiechnął się.

– Nie krytykuj tego, o czym nie masz pojęcia, przyjacielu. Wybierz się ze mną do *mithraeum* i wtedy zrozumiesz.

– Nie widzę potrzeby! Mojej duszy wystarczą Jowisz i Mars. Nic mam już miejsca w sercu, dla jeszcze jednego boga.

– Przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz potrzebował Mitry – zapewnił go ze spokojem Aurelian. – Dobremu oficerowi jest on zawsze potrzebny. Nie zdobędziesz chwały bez pomocy Mitry i Słońca Niezwycięzonego.

– Być może... – Maksymus przypatrywał się Aurelianowi z ledwie ukrytą ironią. – Pójdę z tobą do

*mithraeum*, ale dopiero wówczas, gdy legiony obwołają cię w końcu Augustem!

Aurelian podniósł powieki. Zacisnął wargi z twardym wyrazem twarzy. Maksymus zbyt dobrze znał ten objaw gniewu przyjaciela, żeby się nim przejąć. Nalał wina, podał mu kubek i dodał:

– Nadejdzie taka godzina, Aurelianie, że będziesz musiał wypełnić przepowiednię swojej matki. Czy nie otrzymała ona takiej obietnicy od waszego boga, Słońca Niezwycięzonego, i od Mitry?

– Nie wysilaj się na próżno, Maksymusie. Teraz najbardziej potrzebny mi jest odpoczynek.

Maksymus machnął obojętnie ręką i mówił dalej tym samym zuchwałym tonem:

– Czy nie widzisz, że te wszystkie względy, jakimi obdarza cię cesarz, to podstęp? Czy nie pojmujesz, że Walerian wykorzystuje twoje nadzwyczajne przywiązanie, żeby łatwiej cię omamić, żeby służyło ono ambicjom jego syna?

– Dopiero od Waleriana otrzymałem tyle zaszczytów – odrzekł sucho Aurelian. – Czy stanowisko *dux maiorum* legionów stacjonujących w dolnym biegu Dunaju, gdzie mam zastąpić Ulpiusza Krinitusa, którego wiek i choroba czynią niezdolnym do dalszej służby, nie jest dla ciebie wystarczającym wyróżnieniem?

– Ach... – syknął zaskoczony Maksymus. – *Dux maiorum!* Czy otrzymałeś także dowództwo nad jazdą?

– Tak.

Maksymus pokiwał głową. Wyraz podziwu zniknął z jego twarzy, gdy powiedział z wyraźną kpina:

– Piękne stanowisko, które ma tę dobrą stronę, że się jest z dala od Rzymu i od senatu. I możliwie jak najdalej od Galliena. Nie mówiąc już o tym, że Cezar stawia swego syna między sobą i tobą. Siedemnastoletni smarkacz ma władać terenami w górnym biegu Dunaju! To najbogatsze ziemie – Illiria, Pannonia, Dalmacja... Dobrze rozegrano tę partię. Przekonasz się, że już wkrótce zaczną się tu kręcić szpiedzy syna i ojca! Albo dziadka! Wspaniale! Rzym jest w dobrych rękach.

– Dość tego, Maksymusie – przerwał mu rozgniewany Aurelian. – Nie bierz mnie za głupca. Znam sztuczki Cezara. Jak również Waleriana. Nie masz jednak racji w tym, co mówisz. Dlaczego miałbym mieć im za złe, że sprawują silne rządy w cesarstwie? Czy nie jest to ich obowiązkiem? Czy znasz choćby jednego Augusta, którego by nie trawiło pragnienie, żeby dać początek dynastii i władać Rzymem aż do końca świata? Chciałbyś, żebym przeciwstawił się Cezarowi. Nie zrobię tego. On i jego ojciec sądzą, że zazdroszczę im. Mylą się. Pragnę jodynie jedności i wielkości cesarstwa. Jeśli będą do tego zmierzać, wesprę ich moim ramieniem i całym sercem. Jeśli nie... Wtedy o tym porozmawiamy.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. Aurelian z grymasem zmęczenia dodał:

– Poza tym jestem nawet zadowolony, że wracam nad Dunaj. Syn Kniwy zamierza podjąć wojenne wyprawy ojca

i poprowadzić Gotów aż do greckiego morza. Zapewniam cię, że skończymy z nimi. Sprawi mi wielką przyjemność odniesienie zwycięstwa nad barbarzyńcami znad Dunaju.

Maksymus przez chwilę spoglądał na Aureliana bez słowa. Z jego twarzy znikł już wyraz ironii. Piękne usta wykrzywił leciutki grymas rozczarowania, który natychmiast ukrył pod ugodowym uśmiechem.

– Bez wątpienia masz rację. Wkrótce będziesz mógł podziękować Cezarowi za tę przyjemność. Nie tylko przysłał nam piękne niewolnice, lecz także zaprosił nas jutro na obiad w *praetorium*!

\* \* \*

Nie patrząc na Maksymusa, centurion oznajmił:

– Cezar zażywa kąpeli, wodzu. Polecił mi zaprowadzić tam ciebie wraz z trybunem zaraz po waszym przybyciu.

Szedł przed nimi labiryntem korytarzy, przedsionków i schodów. *Praetorium* w Agrippinensium, przeznaczone na siedzibę dla najznamienitszych dowódców Rzymu w okresie zimowym, zawierało trzy dziedzińce i ponad setkę pokoi. Otaczające je mury były tak wysokie, że Frankowie i Alemanowie mogli je ze zgrozą podziwiać z drugiej strony Renu. Natomiast termy należały do najpiękniejszych poza Rzymem.

Zajmowały amfiladę podziemnych sal z sufitami podtrzymywanymi przez różnobarwne kolumny

marmurowe. Kłęby pary, dym kadzideł i blask lamp oliwnych, wzmocniony srebrnymi zwierciadłami, tworzyły niezwykłą atmosferę. Przepiękne mozaiki pokrywały ściany, podłogi i dna basenów. Przedstawiały cały świat zwierzęcy, nimfy, kwiaty i stworzenia wodne żyjące w głębinach, w których mogli przebywać jedynie bogowie.

Gdy centurion wprowadził ich do pierwszego *caldarium*, Aurelian poczuł na twarzy wilgotne, duszące gorąco. Panował tu ogłuszający hałas od nawoływań, śmiechów i szumu wody. Z sąsiedniej sali dobiegały okrzyki zapaśników. Oficerowie, siedzący na marmurowych stopniach basenu, pozdrowili głośno Aureliana i Maksymusa.

Przybiegły niewolnice, aby zabrać od nich płaszcze, a dziewczęta frankońskie przyniosły tace z napojami. Bawełniane przepaski, prawie przezroczyste od wilgoci, osłaniały im tylko piersi i biodra. Aurelian zdjął płaszcz, powstrzymując grymas bólu. Oparzenie jeszcze się nie zagoiło, przyłożona maść nie przynosiła ulgi.

Kiedy Maksymus odpinał swój pancerz, centurion oznajmił, że Cezar i jego goście siedzą przy basenie w strojach kąpielowych. Jeśli wódz i trybun pragną także się w nie przebrać, dostaną szlafroki w szatni.

– Prowadź nas do Cezara – odrzekł sucho Aurelian.

*Tepidarium* Cezara było oddzielone od reszty term korytarzem, salami masażu i *sudatorium*.<sup>[32]</sup> Ucichła za nimi wrzawa wspólnych basenów, a potem znowu usłyszeli szum wody, głosy i śmiechy dochodzące z głębi

wąskiego korytarza, do którego wszedł centurion.

Kiedy podniesiono zasłonę ze skóry, srebrnych płytek i muszelek, Aurelian i Maksymus ujrzeli niespodziewany widok. Z wysokich skał z hukiem powiększonym przez kamienne sklepienie spływała do basenu szumiąca, spieniona woda. W basenie kąpały się kobiety, inne siedziały na stopniach z czerwonego marmuru albo leżały na ławeczkach, poddając się rękóm masażystów. Żadna nie była bardziej ubrana niż krążące wokół niewolnice, tyle tylko, że na piersiach i biodrach miały przepaski z jedwabiu, tak cienkiego i tak bliskiego barwy ciała, że wydawały się nagie.

Z drugiej strony basenu Cezar i kilku jego ulubionych oficerów grało w *harpaster*.<sup>[33]</sup> Oni również mieli na sobie tylko przepaski. Aurelian ze zdziwieniem stwierdził, że przepaska Gallicna była w barwach jego senatorskiej rangi – szafranu i purpury.

Gdy centurion obwieścił przybycie gości, Gallien Cezar chwycił piłkę.

– *Dux maiorum!* Aurelian, mój brat w obliczu Mitry!

I bez żadnej zapowiedzi rzucił ciężką niczym kamień piłką w Aureliana. Zaskoczony, obolały Aurelian zawahał się, czy ma uskoczyć na bok, czy narazić się na to, że zostanie trafiony. Ale wyratował go Maksymus, chwytając bez wysiłku piłkę.

Cezar roześmiał się, nawet nie patrząc na Maksymusa.

– Witaj w tej jaskini czystości, *dux maiorum*.

Ujął Aureliana za ręce, pozdrawiając go tak, jak

czynili to legioniści. Mocno zbudowany, z silnymi nogami Gallien odziedziczył po ojcu niski wzrost. Jego pierś i zbytnio wydatny brzuch porastały gęste, kręcone włosy, starannie golone kilka razy w tygodniu. Gęste wąsy i broda zakrywająca podbródek sprawiały, iż usta wydawały się wąskie i niezwykle ostre. Nawet kiedy się uśmiechał, rysy twarzy zachowywały dziwną mieszaninę chłodnej brutalności i inteligencji.

Przytrzymując Aureliana za ramię, stanął obok niego, twarzą do oficerów. Dotknął wskazującym palcem rany w kształcie słońca z promieniami czterech stron świata, która widniała na jego lewej piersi.

– Zaraz będziecie mogli podziwiać ten sam znak na piersi Aureliana. To dar od mego ojca i od Mitry dla tych, których kochają najmocniej! Wodzu, czy nie zechciałbyś zdjąć tuniki i opatrunku? Nic tak nie uśmierza bólu po oparzeniu rozpalonym żelazem niż woda w basenie, możesz mi wierzyć.

Aurelian machnął lekceważąco ręką.

– Moja blizna nie jest jeszcze tak piękna jak twoja, Cezarze. Lepiej niech pozostanie zakryta dla oczu twoich gości. Zresztą ból po oparzeniu jest teraz całkiem znośny.

– Zapomniałem, że Aurelian jest najbardziej wytrzymały pośród nas!

Gallien znowu się roześmiał. Był to śmiech chrapliwy, podobny do śmiechu cesarza. W końcu zwrócił się do Maksymusa, jakby dostrzegł go dopiero w tym momencie.

– Ciebie, trybunie, nie zapraszam, żebyś się rozbierał,

bo damy kąpiące się w basenie znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Twoja reputacja jest tu dobrze znana.

Posypały się żarciki.

– Ta reputacja jest mocno przesadzona, Cezarze – odparł Maksymus. – Te Damy nie mają się czego obawiać. Niestety, żaden bóg nic uchronił mnie od szpetnych blizn, jakie wyrysowali na mnie Goci.

Cezar rzucił Maksymusowi chłodne spojrzenie, ale kobiety w basenie roześmiały się, twierdząc, że Cezar nie może sam decydować o tym, co jest piękne. Maksymus skłonił się szarmancko, przebiegł oczyma po kilku twarzach i znieruchomiał. Aurelian zaś aż krzyknął ze zdumienia. On także wśród kąpiących się rozpoznał Klodię. Pomachała do niego i skierowała się na schody, podczas gdy Gallien oświadczył:

– *Dux maiorum*, chciałem ci zrobić prezent, żeby przypieczętować nasz związek, powstały za sprawą mojego ojca. Z woli Mitry ów prezent staje sam przed tobą.

Siostra Aureliana zdążyła już wyjść z wody. Zafascynowany Maksymus patrzył, jak podeszła do Cezara i przyjęła podaną przez niego rękę. Z doskonale zbudowanego ciała kobiety woda spływała kroplami, połyskującymi niczym perełki na jasnej skórze. Pod białym jedwabiem czerniały sutki. Półprzezroczysty materiał uwypuklał jej łono. Nie mniej zachwyconym wzrokiem przyglądali się Klodii towarzyszący Cezarowi oficerowie.

Aurelian zeszywniał poblady z wściekłości. Klodia



rzuciła mu zwycięskie spojrzenie.

– Wodzu, twoja siostra prosiła mnie, bym okazał jej tę łaskę, której nie mogła oczekiwać po surowym bracie – powiedział rozbawiony Gallien. – Pragnie ona towarzyszyć ci w twojej nowej wyprawie. Trzeba mieć serce z kamienia, żeby oprzeć się życzeniu takiej kobiety.

Nieruchoma twarz Aureliana nie wyrażała żadnych emocji. Klodia wysunęła dłoń z ręki Cezara i podchodząc do brata posłała mu uśmiech, od którego jeszcze bardziej zeszywniał. Głosem łagodnym, ale tak, iż wszyscy ją słyszeli, zapytała:

– Czyżbym źle zrobiła, prosząc Cezara o pomoc, gdy rodzony brat nie chce odpowiadać na moje listy? A przecież potrzebuje siostrzanej opieki.

Maksymus spodziewał się gwałtownej reakcji Aureliana na te słowa. On jednak z grymasem, który mógłby uchodzić za uśmiech, odrzekł:

– Nie wątpię, Cezarze, twoje serce jest gorętsze od mojego i jestem ci za to wdzięczny. Wątpię, żeby moja siostra mogła być lepszym lekiem od tych, które są dostępne dla wyznawców Mitry, ale jeśli taka jest jej i twoja wola, podporządkuję się karze, jaką mi wymierzyłeś na czas mojego pobytu nad brzegami Dunaju.

Po tak dwuznacznej odpowiedzi zapadła cisza, dopóki Cezar nie dał znaku, że można się śmiać. Z miną jak gdyby nic szczególnego się nie stało, oznajmił, że nadeszła pora posiłku.

– Aurelianie, chodź, opowiesz mi, z czego zwierzył ci

się mój ojciec, a co ukrył przede mną.

Niewolnicy już przynieśli podgrzane szlafroki. Kiedy Klodia nakładała swój płaszcz kąpielowy, napotkała spojrzenie Maksymusa. Było ono prowokujące, taksujące ją, dzikie jak zew zwierzęcia zapowiadający niezwykłą rozkosz. Maksymus nie słyszał już wrzawy głosów ani szmeru wody w kaskadzie, widział tylko usta Klodii, krągłość ramion pod peniuarem, piękny kształt szyi.

Wydał z siebie krótkie westchnienie, jak w czasie bitwy, gdy podnosi się tarczę, bo zbroja już nie wystarcza.

**PALMYRA**

Dostojny Odenatus przybył z tysiącem dzikich koni. Pomruk rozszedł się po równinie, zanim jeszcze dzieci, usadowione na szczycie Umm-Beqi, wielkiej góry dominującej nad Palmyrą, dojrzały tuman kurzu na pustynnej drodze.

Dotarłszy do murów miasta, Najjaśniejszy Pan wraz z dostojnikami Palmyry, którzy wyjechali na jego spotkanie, przegalopował, aby zademonstrować piękno sprowadzonych przez niego zwierząt. Potem w otoczeniu gwardii rzymskich pretorianów, do czego miał prawo z racji funkcji senatora Azji, wjechał do miasta. Minał wspaniałą kolumnadę, zatrzymał się przed świątynią Bela, dopilnował złożenia bogatych darów i długo dziękował bogu.

Przed udaniem się do prywatnych apartamentów rozdawał garściami jałmużnę biedakom zgromadzonym przed pałacem i pogawędził przyjacielsko z przywódcami znakomitych rodów. Wtedy dopiero zauważono nieobecność ojca Zenobii, przywódcy rodu Maazinów. Ktoś dobrze poinformowany wyjaśnił, że Abdonaj wyjechał w sprawach handlowych do Antiochii, gdzie wkrótce miał się pojawić cesarz Rzymu.

Odenatus nie wydawał się obrażony jego

nieobecnością, ale ponowny przyjazd Augusta zdziwił go. Zapytał centuriona, dowodzącego gwardzistami przybyłymi na jego spotkanie, czy to pewna wiadomość.

Oficer odrzekł, że to wiadomość z ostatniej chwili.

– Nasz trybun, Eliusz, również wyjechał do Antiochii. Poślaniec od namiestnika prowincji przywiózł mu rozkaz, aby stawił się w Antiochii przed przybyciem Augusta.

Odenatus, rozważywszy w duchu tą nowinę, przeszedł do innych spraw, zapytał shuloja, jakie audiencje go czekają. W końcu oznajmił, że chce zjeść obiad, aby zobaczyć swą przyszłą małżonkę, zanim zgaśnie światło dnia i zepsuje mu tą przyjemność.

Odenatus lubił spożywać posiłki na sposób rzymski. Sala jadalna w jego pałacu była obszerna, otwarta na wszystkie strony, ale ze względu na porą roku ustawiono w niej wysokie parawany z malowanego, rzeźbionego drzewa, które miały chronić przed przeciągami. Łoże umieszczone były wokół dwóch dużych, okrągłych stołów, przy których usługiwali niewolnicy. Cicho grali muzykanci, czasami także występowali poeci.

Kiedy do sali weszła Zenobia, wszyscy zamilkli. Nie tylko z ciekawości, lecz także ze zdumienia.

Szła ku osłupiałym biesiadnikom, wśród których było dwudziestu mężczyzn i jedna kobieta, Ofala. Zenobia miała na sobie bogatą tunikę, tak szeroką, że trudno było się domyślić jej kształtów pod fałdami jedwabnej, haftowanej materii. Niebiesko-czerwona woalka przypięta do włosów grzebieniami ze złota i szylkretu zasłaniała

całkowicie twarz.

Shuloj zareagował pierwszy. Uderzył silnie laską w posadzkę.

– Zaczekaj, córo rodu Maazinów! Co to znaczy? Nie wolno stawać przed obliczem Najjaśniejszego Pana z zasłoniętą twarzą!

Nie podnosząc się z łoża, shuloj cmoknął językiem, celując rogiem byka w Zenobię. Dwie niewolnice podbiegły, żeby zdjąć woalkę. I wtedy stało się coś niespodziewanego. Zatrzymał je głos Dostojnego Odenatusa:

– Nie trzeba!

Niewolnice, podobnie jak biesiadnicy, spojrzały na niego zbite z tropu. Szarha westchnął.

Najjaśniejszy Pan, którego policzki przykrywała gęsta, kręcona broda, a brwi sięgały aż do skroni, przypominając skrzydła jaskółki, głosem, który zmuszał ludzi do posłuchu nawet podczas wrzawy na polowaniu i podczas bitwy, zapytał:

– Dlaczego ukrywasz się pod woalką? Czy nie jesteś Zenobią? Czy boisz się pokazać twarz?

Fałdy tuniki drgnęły tak, iż można było się domyślić pełnego szacunku ukłonu.

– Niczego nie ukrywam, Najjaśniejszy Panie. Jestem Zenobia i będziesz mógł ujrzeć moją twarz, jeśli zechcesz. Sądziłam, że przy naszym pierwszym spotkaniu mniej będzie ważne dla mego przyszłego małżonka to, jak wyglądam, a bardziej to, co czuję i myślę.

Po sali przeszedł szmer oburzenia. Ofala wyciągnęła szyję, by lepiej słyszeć tłumione przez woalkę słowa. Z drwiącym uśmiechem odwróciła się do dwudziestoletniego młodzieńca o włosach ściągniętych w kok złotą obrączką. Na jego szyi, w uszach, nawet na policzkach połyskiwały przeróżne klejnoty. Oczy obrysowane miał grubą warstwą białej szminki. Na wargach pomalowanych na czerwono pojawił się uszczypliwy, nerwowy uśmiech.

– Może ma rację, ojcze, że zasłania twarz. Podobno robią tak zmarli, gdy wracają, żeby straszyć żywych odorem podziemnego świata. Nie zapominajmy, że ta dziewczyna, która ma zostać moją matką, jest już martwa!

Prychnął pogardliwie i natychmiast zawtórowali mu inni młodzieńcy ubrani jak on w dwie lub trzy tuniki, nałożone jedna na drugą, ściągnięte bogatymi paskami.

Ofala skrzywiła się jeszcze bardziej. Pozostali biesiadnicy, najwyraźniej zmieszani, czekali na reakcję Najjaśniejszego Pana.

– Ten, którego przed chwilą usłyszałaś, Zenobio, nazywa się Hayran – powiedział, wskazując na niego ręką.  
– Bogowie, którym nie zawsze wychodzi wszystko doskonale, takim stworzyli mego syna.

Tym razem drwiące uśmiechy pokazały się na ustach innych biesiadników. Odenatus znowu uniósł rękę, zmarszczył brwi i mówił dalej:

– Ale Hayran miał trochę racji w tym, co powiedział. Opłakiwałem już twoją śmierć w tej sali, na tym łożu,

a teraz oto jesteś tutaj. Cała zasłonięta, jakbyś wracała z wielkiej podziemnej jaskini.

– Przez cały czas byłam żywa, Najjaśniejszy Panie. Ci, którzy donieśli ci, że umarłam, pomylili się albo nie umieli patrzeć.

– Dlaczego więc uciekłaś z domu ojca? A także ode mnie?

– Nie uciekłam ani od ojca, ani od ciebie.

– Nie uciekłaś, ale nie przybyłaś do tego domu, kiedy powinnaś była to zrobić.

– Znasz już powód, Najjaśniejszy Panie. Zabrał mnie do siebie Baalszamin.

Odenatus nie spuszczał czarnych, skrzących się oczu z zasłon okrywających Zenobię. Wziął do ręki kubek, kazał go napełnić, po czym, umoczywszy w nim wargi, skinął z lekka głową.

– Tak mówią ale chciałbym usłyszeć z twoich ust, jak to się odbyło.

– Baalszamin przybył pewnej nocy przed świtem. Obudził mnie i rozkazał, bym za nim poszła.

Rozległy się szepty zdziwienia, zaskoczenia, ale nie czuło się w nich niedowierzania. Odenatus zapytał:

– Jak wyglądał?

– Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, nie widziałam go.

Ofala prychnęła, gotowa już zrobić jakąś złośliwą uwagę, ale shuloj cmoknął językiem i wymierzył w nią swą łaskę. Nie było w nim teraz nic ze słabego starca.

– Baalszamin przyszedł po ciebie, ale ty go nie

widziałaś? – pytał dalej Odenatus.

– Tak, Najjaśniejszy Panie. Jego się nie widzi i nie słyszy, jest bezcielesny.

– Wobec tego skąd wiadomo, że to właśnie on?

– To się wie. Nie ma ręki, a jednak czuje się, gdy dotyka naszej dłoni. Nie ma warg, a jednak słyszy się jego rozkazy. Trzeba wtedy wstać i wypełnić jego wolę. Nie pozostaje nic innego, tylko być mu posłusznym.

Szmery umilkły. Zapadła cisza. Odenatus zmarszczył tak brwi, że utworzyły jedną linię od skroni do skroni.

– I co nakazał ci zrobić?

Zenobia zawahała się. Zadrgały zasłony, wyłoniły się z nich splecione ze sobą ręce.

– Zaprowadził mnie tam, gdzie człowiek nie wie już, co to szczęśliwe życie, gdzie płoną domy i nic nie zasługuje na szacunek. Tam, gdzie muchy obsiadają kałuże krwi, gdzie psy rozszarpują ciała tych, którzy jeszcze nie umarli, gdzie wojna wszystko niweczy. Zawiódł mnie tam, gdzie boją się chodzić kobiety. Gdzie może je spotykać tylko zło, gdzie zapominają o śmiechu. Gdzie nie mogą mieć dzieci i stają się już tylko jedną łzą na suchej pustyni.

Biesiadnicy wstrzymali oddechy. Szarha zaciskał dłonie na gałce łaski, zagryzając nerwowo wargi i odsłaniając przy tym nagie dziąsła.

Ofala z lękiem przechyliła głowę. Hayran chwycił ramię sąsiada, wpatrując się w woalkę Zenobii, jakby miały spod niej wypełznąć prawdziwie węże.

– Dlaczego bóg zabrał cię do jaskini demonów? –



zawołał Odenatus pełnym oburzenia głosem.

– Żeby mnie przestraszyć, przekonać, abym została twoją żoną, Najjaśniejszy Panie.

Odenatus otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– A ty tego nie chciałaś?

– Czego może chcieć trzynastoletnia dziewczyna, która nic nie wie o niebezpieczeństwach tego świata? Czego może chcieć siedemnastoletnia dziewczyna, która nigdy nie widziała twarzy mężczyzny, którego powinna pokochać? Jak może dać szczęścia temu, który jej pragnie, ale jej nie zna?

Z piersi obecnych spadł ciężar, znowu zaczęli między sobą szeptać i uśmiechać się. Odenatus zapytał z lekka żartobliwym tonem:

– I bóg przekonał cię?

Może Zenobia znowu się skłoniła, a może tylko zachwiała pod ciężarem jego słów. Zafalowały zasłony. Żeby ją usłyszeć, trzeba było wyteńczyć słuch.

– Baalszamin pokazał mi, że twoja droga jest moją drogą. Przekonał mnie, że powinnam cię wspierać aż do końca mych dni i obiecał, że staniesz się potężny. Kazał mi położyć mą dłoń na twojej, abym była tą, z której będziesz czerpać siły. A na dowód swej dobrej woli powierzył mi czarny kamień z nieba, który uderzył w pustynię w dniu moich narodzin.

Dostojny Odenatus potakiwał lekko głową przy ostatnich słowach Zenobii. Gdy zamilkła, na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech, zaskakujący u tak władczego

człowieka. Szarha, zgarbiony, z na pół przymkniętymi powiekami, jakby drzemał, cmoknął cicho językiem.

Odenatus odstawił nagle swój kubek tak gwałtownie, że aż rozlało się wino. Zerwał się z łoża, obszedł stół i odtrącając niewolnice, ruszył ku Zenobii. Przestraszona Zenobia cofnęła się. Odenatus chwycił woalkę osłaniającą twarz dziewczyny i odrzucił na jej ramiona.

Słysząc było, jak westchnął z ulgą, a może i zaskoczeniem.

Patrzył długo, bez słowa i szczęście rozjaśniło jego twarz. Nikt nie śmiał się odezwać, nawet Ofala i Hayran.

Odenatus cofnął ręce od woalki. Chętnie by ją zerwał, aby móc podziwiać gęste włosy swej przyszłej żony, ale powstrzymał się jednak z szacunkiem. Z błysku w jego oczach Zenobia domyśliła się, co czuł.

Najjaśniejszy Pan rzekł z lekkim zmieszaniem.

– Przywiozłem ci z gór nad Jeziorem Tyberiadzkim podarek i mam nadzieję, że ci się spodoba. Ujrzysz go jutro. Nurbel ci go pokaże.

Wskazał na mężczyznę z ogoloną głową, w skórzanej, zdobionej złotem czapce, noszonej przez ludzi wyższego stanu. Miał on starannie ostrzyżoną brodę i skośne oczy Azjaty. Szeroki, skórzany pas, nabijany blaszkami srebra, opinał bogato haftowaną tunikę. Doczepiona do niego była pochwa z szerokim sztyletem. Nurbel od chwili wejścia Zenobii najmniejszym gestem nie zareagował na jej widok. Odenatus, mrugając okiem jak rozbawiony chłopak, dodał:

– Septimus Nurbel Zabdilaj jest moim nauczycielem

szermierki. To on prowadzi moje wojny i organizuje polowania. Jest moim najbliższym przyjacielem. Możesz mu zaufać.

\* \* \*

Zaledwie Zenobia opuściła salę jadalną, odezwała się Ofala:

– Ta dziewczyna okłamuje cię, Najjaśniejszy Panie. Łże na każdym kroku, przy każdym oddechu i nawet wtedy, gdy przestaje oddychać.

Shuloj stuknął laską w podłogę.

– Trzymaj język za zębami, kobieto – powiedział.

– Mówię prawdę! Ta dziewczyna omotała już ciebie i zamierza to samo zrobić z Najjaśniejszym Panem. Staje przed wami w zasłonach, ze swoimi kłamstwami, a wy chłonicie jej słowa, jakbyście nie wiedzieli, gdzie jest prawda. Zestarzałeś się, Szarha! Nie jesteś już w stanie chronić jak należy Najjaśniejszego Pana!

Odenatus zignorował złośliwe uwagi Ofali. Na twarzy miał wciąż ten sam uśmiech, jaki pojawił się na niej, zanim Zenobia znikła za parawanami. Cmokanie rozgniewanego shuloja wyrwało go z błogiej zadumy. Obracając w rękach kawałek mięsa gazeli, upieczonego w liściach winogronowych z miętą, skosztował go i tonem zdradzającym niezwykłą nudę zapytał:

– A jaka twoim zdaniem, Ofalo, jest ta prawda?

– Że bogowie nie mają nic wspólnego z jej

zniknięciem. Nigdy nie wierzyłam w historię o gwieździe i źródle plemienia Maazinów, Tc brednie pozwoliły Abdonajowi i kapłanom Baalszamina zrobić fortunę, uważać się za tak potężnych jak ty, Najjaśniejszy Panie. Oto cała prawda.

Odenatus pokiwał głową. Wziął następny kawałek mięsa. Biesiadnicy poszli w jego ślady. Hayran głośno mlasnął, gdy jeden z jego towarzyszy tłustymi od oliwy palcami wsadził mu w usta kawałek mięsa.

– Źródło Dingir-Dusag, czarny kamień... – rozważał na głos Odenatus. – Przecież są prawdziwe, widoczne jak skały góry Umm-Beqi za murami Palmyry.

– Oczywiście, że są – przyznała wzgardliwie Ofala. – Ale czy z tego powodu córka Abdonaja przestała być zwyczajną dziewczyną pustyni? Podstępna i kłamliwa jak one wszystkie. A ojciec zbudował swoje bogactwo na jej oszustwie. Wybacz mi moją szczerłość, Najjaśniejszy Panie, ale jestem pewna, że ta dziewczyna postępuje identycznie wobec ciebie. Mnie jednak nie nabierze. Za dużo w życiu widziałam, żeby wierzyć w takie bzdury.

Hayran i jego towarzysze, gdacząc niczym kury, wymienili między sobą kubki z winem, wypili je duszkiem, po czym ponownie je opróżnili, gdy niewolnicy znów je napełnili. Szarha postukał laską, potrząsając starą głową i wzdychając z pogardą.

– A w co ty wierzysz, droga Ofalo? – zapytał. – Zastanawiamy się nad tym już od dłuższego czasu.

– Wierzę w to, co widzę. Nie w czary bezcielesnego

boga. Wierzę w tunikę, którą znaleźli na pustyni przewodnicy karawan, w to, że ta dziewczyna od chwili swego przybycia rozpowiada kłamstwa na dworze kobiet. A jaka z niej intrygantka! O tak, potrafi ukrywać się pod swoimi zasłonami. A ma co ukrywać! Wystarczy spojrzeć na jej twarz, żeby nabrać podejrzeń...

– Masz rację, ciociu! – przerwał jej pijany już Hayran.  
– Od razu widać, że nigdy nie umarła. Nic z tych rzeczy. Wyobrażam sobie, jak naga harcuje z kosmatymi demonami na pustyni.

Szarha uderzył laską w łóżko Hayrana, niemal dotykając jego nóg rogiem byka. Syn Odenatusa zerwał się przerażony i zarazem wściekły. Starzec ponownym uderzeniem laski uciszył jego piski oburzenia.

– Mówisz o przyszłej małżonce twego ojca, Hayranie.

Nurbel nachylił się do swego sąsiada, oficera w skórzanej tunice, który wstał i przy pomocy kilku niewolników wyprowadził Hayrana i jego towarzyszy z sali jadalnej, głuchy na ich pijackie protesty.

Ofala, już ostrożniejszym tonem, powiedziała:

– Nie gniewaj się na syna, Najjaśniejszy Panie. Jest jak dziecko, nie potrafi ukrywać tego, co ma w sercu. Ja również nie mogę niczego przed tobą ukrywać. Taka jest moja rola na dworze kobiet, żeby nadzorować tę, która pragnie zostać twoją żoną. I żeby cię w razie czego ostrzec, zanim będzie za późno.

Z lodowatą miną Odenatus zapytał:

– Czy masz jakiś dowód na to, o czym mówisz?

Pod sutymi fałdami jedwabiu zakołysało się grube ciało Ofali, głowę przekrzywiła niczym szykujący się do ataku wąż. Zerknęła spod oka na Nurbela i starego Szarhę.

– Są takie sprawy u kobiet, o których nie da się kłamać — mruknęła.

– Jeśli nie możesz o nich mówić, to milcz.

– To kłopotliwe dla kobiety, Najjaśniejszy Panie.

– Nie pamiętam, Ofalo, żeby cokolwiek mogło wprowadzić cię w zakłopotanie.

– Nie pozwoliła masażystce, żeby ją namaściła tak, jak to się robi przyszłej żonie.

Ciemny rumieniec pokrył policzki Odenatusa.

Ofala opuściła oczy, zwilżyła wargi.

– Masażystka nie mogła stwierdzić, czy ona jest jeszcze... godna ciebie.

Zapadła ciężka, przytłaczająca cisza.

Ku zaskoczeniu wszystkich przerwał ją Szarha. Stuknął laską, z zamkniętymi oczyma i bezdźwięcznym głosem, niczym ślepiec, rzekł:

– Tak więc, Ofalo, oskarżasz tę dziewczynę, że uciekła z domu ojca z niegodziwymi zamiarami i że wchodzi nieczysta do domu Najjaśniejszego Pana. Znasz nasze prawo. Jeśli to udowodnisz, Zenobię czeka chłosta i ukamienowanie.

– Ach, wystarczy tylko...

Odenatus ruchem ręki nakazał jej milczenie. Zwrócił się do swego wiernego Nurbela. Wymienili między sobą spojrzenia tak, jak to czynili od dwudziestu lat na polu

bitewnym i podczas polowania. Nikt z obecnych nie domyślał się, co sobie w ten sposób powiedzieli.

Odenatus wziął kubek wina i ze spokojem wypił jego zawartość.

– Zenobia zostanie moją żoną w idy kwietniowe, według kalendarza rzymskiego. Nikt nie ma prawa powiedzieć przeciw niej ani słowa, bo potraktuję to tak, jakby występował przeciw mnie. Dotyczy to także twojego siostrzeńca, Ofalo. Poradź mu, aby trzymał się z dala ode mnie, jeśli chce nadal być moim synem. Wystarczy mi to, co dziś widziałem i słyszałem.

\* \* \*

Koń był cudowny. Czarnej maści z białymi plamkami wokół pęcin, kolan i nozdrzy, z białą strzałką na głowie. Grzywa i ogon były mlecznobiałe, jedwabiste i lekkie niczym mgiełka. Mięśnie pod skórą drgały z młodzieńczą niecierpliwością, przywodząc na myśl igrające na piaszczystych wydmach pustynne wiatry.

Trzymany przez żołnierza na długiej, skórzanej lince, uskoczył nagle w bok, wierzgnął, wyginając grzbiet. Linka wysunęła się żołnierzowi z ręki. Koń podskakiwał, kręcił się w kółko, kopiąc kopytami piasek. Żołnierz krzyknął coś rozkazującym tonem. Koń poderwał do góry łeb i z rozwianą długą, białą grzywą pobiegł ku przeciwległemu ogrodzeniu. Wrócił tak samo szybko z falującym miękko zadem, z dumnym spojrzeniem,

z czujnie nastawionymi uszami.

Zenobia roześmiała się. Tak radośnie nie śmiała się, odkąd przybyła do pałacu. Koń znieruchomiał, spojrzął na nią zdziwionym okiem, drgającymi nozdrzami, wdychając jej zapach.

– Podoba ci się? – zapytał Nurbel.

– O tak, bardzo!

Nie ruszając się z miejsca, wyciągnęła rękę do konia. Żołnierz, korzystając z okazji, podszedł do niego od tyłu, by złapać ponownie linkę. Ale koń wyczuł to, uskoczył i cienko zarżał. Zenobia znowu się roześmiała.

– To prawdziwe чудо. Powiedz Najjaśniejszemu Panu, że jestem zachwycona tym podarkiem.

Mistrz szermierki popatrzył na nią wąskimi oczyma.

– To młody koń i nie chce mieć nikogo na grzbiecie. Potrafisz go dosiąść?

Zenobia kiwnęła potakująco głową.

– Nauczyłam się jazdy konnej od wojowników M'Tub. Dosiadają koni tylko na pół oswojonych. Uważają, że dzięki temu nikt ich nie ukradnie.

Nurbel z zadowoleniem przeczesał palcami długą brodę, maskującą uśmiech. Było coś w tej dziewczynie, co mu się podobało. Nic wynikało to ani z urody dziewczyny, ani z charakteru, który najwyraźniej był równie niepokorny, jak charakter tego młodego konia.

– Musisz mu dać imię.

– Yedkivin! – odrzekła Zenobia bez namysłu. – Znaczy to „len, który tu jest”. To imię będzie doskonale do



niego pasować.

Nurbel obserwował przez chwilę konia, który bawił się z żołnierzem, nie pozwalając mu schwytać linki. Zagwizdał. Koń znieruchomiał, strzygąc uszami, wpatrując się zdziwionymi oczami w mistrza szermierki. Nurbel wyciągnął ku niemu dłoń i zaczął coś mówić tak cicho, że Zenobia nic nie mogła zrozumieć. Koń zawahał się. Po grzbiecie przeszedł mu dreszcz. Machnął białym ogonem. Nurbel ostrożnie zbliżał się do niego, nie przestając mówić.

Zwierzę wygięło szyję, cofnęło się z lekka i ustawiło bokiem. Zenobia sądziła, że zamierza skoczyć, pogalopować do przeciwległego muru.

Jednak dłoń i głos mistrza szermierki fascynowały go. Uniósł wargę, pokazując zęby. Jego uszy drżały. Nurbel był już bardzo blisko, tak blisko, że mógł ujrzeć swoje odbicie w oczach konia. Podszedł jeszcze bliżej, nie przerywając śpiewnej mowy i nie opuszczając rąk. Zwierzę ponownie cofnęło się, podrzuciło głowę do góry. Nurbel był już tuż-tuż, z lekka musnął palcami drżącą szyję, chwycił skórzaną linkę, dotknął delikatnie połyskliwej grzywy. Yedkivin zawahał się, wyszczerzając groźnie zęby. Szarpnął linką.

Nurbel trzymał go jednak mocno.

– No, no, Yedkivin, nie tak szybko! – pokrzykiwał.

Zenobia zaklaskała w ręce. Nurbel oddał linkę żołnierzowi i wrócił do niej.

– Co mu powiedziałaś? Mówiłeś tak cicho, że nic nie

słyszałam.

W skośnych oczach mistrza szermierki błysnęła duma.

– Zwykle słowa, jakimi przemawia się do koni – odrzekł z lekceważącą miną.

– Nauczysz mnie tego?

Nurbel milczał przez moment. Jego oczy zwęziły się, tworząc szparki. Odpowiedział pytaniem:

– Czy ty kłamiesz, córo rodu Maazinów? Czy okłamujesz Dostojnego Odenatusa?

Zenobia podjęła wyzwanie rzucone przez mistrza szermierki.

– Moje słowa są uczciwe. Mój los jest związany z losem Najjaśniejszego Pana. Będę jego mieczem i strzałą, stanie się wielkim człowiekiem. Znacznie ważniejszym niż teraz. Możesz mnie obserwować i przekonasz się, że nie oszukuję.

– Chcesz być jego mieczem i strzałą? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co usłyszałeś.

– Ofala ma rację: twoje słowa są niejasne.

– To grube babsko nawet nie potrafi odróżnić nocy od dnia.

Nurbel uśmiechnął się, ale nie wyglądał jeszcze na przekonanego.

– Jego mieczem i strzałą – powtórzył. – Czy chcesz walczyć dla niego?

Zenobia skinęła potakująco głową.

– Przecież jesteś... masz być jego żoną. Żona nie

walczy.

– Ale zawsze będę przy nim. Taka jest wola Baalszamina.

Twarz mistrza szermierki zachmurzyła się.

– To niemożliwe.

– W takim razie nie zostanę jego żoną.

Nurbel, patrząc bacznie na nią, machnął ręką.

– Zapomnij o tym szaleństwie. Najjaśniejszy Pan nigdy się na to nie zgodzi, nigdy. Znam go tak dobrze jak siebie samego.

– Wobec tego pomóż mi go przekonać.

Nurbel milczał. Miał tak nieprzenikniony wyraz twarzy jak kamienne posągi na kolumnowej drodze. Koń stał w pewnej odległości od nich, nasłuchując, z czujnym wzrokiem, jakby wyczuwał w ich słowach jakieś zagrożenie.

– Czego oczekujesz ode mnie? – zapytał Nurbel cicho.

– Żebyś nauczył mnie strzelania z łuku.

Nurbel z lekka drgnął.

– Nikt nie powinien o tym wiedzieć – dodała łagodnie Zenobia. – Jako jego mistrz szermierki jesteś pierwszym z wojowników. Sam osądzisz, czy kłamię.

**ANTIOCHIA**

Nie było lepszej pory niż godziny zmierzchu, żeby podziwiać Antiochię. Na niebie rysowały się łagodne szczyty Orontesu. Drzewa cytrynowe i pomarańczowe rozsiewały swe wonie w ogrodach cesarskiego miasta. Pod koronami sosen i cedrów powietrze drżało od szeptów bogów. Ludzi ogarniał nareszcie spokój. Była to chwila prawdziwego szczęścia.

Od powrotu z terenów przygranicznych nad Renem Walerian nie zdążył się jeszcze znużyć tą beztroską. Sam siebie pytał, dlaczego w ogóle wyjechał stąd na pół roku. Sama myśl o obozie w Agrippinensium przeszywała go lodowatym chłodem. Takie zimno i ten śnieg! Czarna rzeka przynosząca śmierć! Nawet skóra lwa niezbyt go chroniła przed mrozem.

Oczywiście niczego po sobie nie pokazał. Ani przed Aurelianem, a tym bardziej przed Cezarem. Cesarz nie zdradza swoich uczuć, zwłaszcza jeśli mogłoby to być uznane za objaw słabości. Niech mu Neptun wybaczy, ale nienawidzi tych rzek, których humorów nic sposób odgadnąć!

Nic dziwnego, że te północne krainy zamieszkują barbarzyńcy. Bogowie już na początku dziejów nie chcieli się nimi interesować. Czy można sobie wyobrazić Apollina

spacerującego w takim błocie? Albo Junonę i Cererę, nagie pod zwiewnymi szatami, tańczące w tych bagnach? Albo Minerwę przemierzającą ponure lasy, zachwalającą tym obdartusom zalety rozumu?

Walerian zaśmiał się mimo woli. Niewolnica, która nacierała jego starcze uda i brzuch olejkim migdałowym, przerwała na moment z niepokojem w oczach. Jej cudownie pełne wargi przypominały usta Baubo<sup>[34]</sup> zdobiące starożytne greckie świątynie, gdzie, jak mówiono, można było usłyszeć boskie wyroki. Jej usta miały w sobie pociągającą erotyczną moc, były zdolne rozpalić najbardziej ukryte żądze.

Pogłaskał policzek niewolnicy, sięgnął palcami pod rozchyloną tunikę, dotknął wypukłości piersi.

– Nie przerywaj, Iflava, nie przerywaj. Twoje dłonie są rozkoszne, twoje piersi są niczym miód, a twoje usta nawiedzają mnie w snach.

Młoda kobieta wyduła wargi jak do pocałunku i wróciła do pieszczotliwego masowania starego ciała, które zachowało raczej wspomnienie rozkoszy, niż jej doznawało. Ale Iflava była bardzo doświadczona, umiała cierpliwie czekać na jego zadowolenie.

Oto, co mu przyszło z pobytu na północy! Wszystko, łącznie z udami niewolnic, przypominało mu jego wiek! Tam, w Germanii, Galii, Mezji człowiek starzał się szybciej, niżby tego chciała natura. Niewolnice frankońskie, którymi tak zachwycił się jego syn, były zbyt brutalne, zbyt energiczne, za bardzo niecierpliwe! I nie

dość uległe.

A tymczasem tutaj Ceres stworzyła każdy owoc, każdy cień, każde źródło, aby służyły mężczyznom. Czyż Mitra nie urodził się właśnie tutaj?

Przedstawiając Aurelianowi powody, które miały usprawiedliwić jego powrót do Antiochii, pominął milczeniem, że pragnął jak najszybciej znów poczuć słodycz tego miasta. Móc położyć się na tarasie pałacu i smakować kojący urok zmierzchu oraz dotyk zręcznych rąk Iflawy.

Ale co taki człowiek jak Aurelian może wiedzieć o cudownej mocy pieśczoł kobiety? Przecież on nawet nie całował swoich niewolnic. Niektórzy sugerowali, że darzył namiętym uczuciem własną siostrę. A może chodzi o tego pięknego trybuna, który nie odstępował go na krok? Walerian nie zapamiętał jego imienia.

Natomiast zapadło mu głęboko w pamięć to, w jaki sposób Aurelian odciął głowę byka Mitry. Na wszystkich bogów, tego nigdy nie da się zapomnieć! Jeszcze teraz czuł przerażenie. Sam Mitra nie byłby tak straszliwy.

Był to ten sam Aurelian, który patrzył na niego, na Augusta, oczyma kochającego syna. Niestety, on już ma innego syna. Nie gorszego, nie mniej kochającego. Jest nim Gallien Cezar.

Jak ci dwaj, tak o siebie zazdrośni, będą za jego plecami załatwiać swoje sprawy? Tylko bogowie to wiedzą. Aurelian umiałby dotrzymać obietnicy, ale nie Cezar. Cezar bawi się obietnicami jak frankońskimi

dziewczynami, robi to, co dla niego wygodne.

Dłonie Iflawy namaszczały teraz olejkiem jego członek. Usiłował nie myśleć ani o północy, ani o swoim synu, ani o Aurelianie.

Nad ogrodami, na niebie oblanym ostatnimi promieniami słońca słycać było popiskiwanie jaskółek, kreślących spirale nad ołtarzami, na których całymi dniami palono ofiary i kadzidła. Powstały w ten sposób popiół wciskał się wszędzie, nawet pod tunikę Iflawy.

Walerian jeszcze jako mały chłopiec obserwował lot jaskółek. Kreślone przez nie arabeski były tylko pozornie chaotyczne. Miały ściśle określony sens. Czuwali nad tym bogowie. On zaś ze swej strony czuwał nad porządkiem wśród ludzi, by nie rozgniewali bogów. I dzięki temu Rzym mógł trwać.

Iflava wodziła teraz ustami po jego członku. Walerian westchnął z rozkoszy, którą jednak przyćmiewało poczucie winy.

Z pewnością mądrzej byłoby pójść za pierwszym impulsem i przeciwstawić się tym dwóm walczącym ze sobą bykom. Należało zostać u boku Cezara na brzegach Dunaju, a Aureliana odesłać tutaj, do Antiochii.

Czy bogowie będą mieli mu to za złe?

Ach, jak rozkosze szybko przemijają, zwłaszcza te najcenniejsze. Oto jeszcze jeden z mankamentów starości.

Łagodnie odsunął Iflawę, mówiąc:

– Haruspikowie zapewne już dokończyli ceremonii wróżb. Idź, powiedz im, że cesarz na nich czeka. Przekaż to

samo Makrianusowi.

\* \* \*

– Wątroba barana, wątroba indyka i dwukolorowego jagnięcia. Śledziona barana, trzustka jagnięcia...

– Oszczędź mi tych szczegółów, Aksteksie – burknął Walerian. – Słucham cię od trzydziestu już lat i wiem, że wola nieba nie objawia się w kopytach konia! Oczekuję od ciebie odpowiedzi na moje pytania.

Augurowie nawet nie starali się ukryć swojego niezadowolenia. Było ich dwóch, stary i młody, każdy z długą laską zakończoną ślimacznicą, symbolizującą pełnioną przez nich funkcję. Starszy, wiemy wróżbita Waleriana pokiwał głową z westchnieniem. Młodszy zaś rzekł:

– Niemało jest rzeczy, Auguście, które można odczytać z kopyt konia. Wszystko zależy od...

Prokurator Makrianus, bardzo wysoki mężczyzna z półprzymkniętymi zawsze powiekami, jakby oślepiało go światło słoneczne, zamachał kościstymi rękami.

– Ważne są odpowiedzi, tylko odpowiedzi, augurze!  
Walerian skinął mu potakująco.

Aksteks, ubrany w togę przybraną zielonymi frędzlami, wyprostował się po krótkim milczeniu i oznajmił:

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, wróżby nie są ani dobre, ani złe. Płaty wątroby są zdrowe zarówno od strony



północnej, jak i południowej. Bogom jest wszystko jedno, gdzie przebywasz, tu czy tam. Możesz się przemieszczać, jak ci się podoba.

– August jest wszędzie na swoim miejscu w cesarstwie – powiedział dobitnie Makrianus z grymasem, pod którym znikły całkiem jego oczy.

– Co do drugiego pytania – podjął Aksteks, podkreślając każde słowo – górne warstwy nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Twoje zdrowie jest doskonałe. Będziesz żył długo. Bogowie są dla ciebie łaskawi w tym, co dotyczy ciała. Obdarzyli cię energią i zdrowiem.

– Dzięki im za to! – Walerian uśmiechnął się do Iflawy, która wydawała polecenia niewolnikom, aby przynieśli odświeżające napoje oraz świeże figi faszerowane małymi pieczonymi rybkami i obsypane pieprzem, za którym przepadał. – Makrianusie – dodał, zwracając się do prokuratora – jutro trzeba znowu złożyć ofiary, tak samo bogate, jak dziś.

– Na trzecie pytanie – powiedział Aksteks – nie można dać jasnej odpowiedzi – Co to znaczy?

– Wątroba indyka za łatwo dała się rozgnieść – wtrącił się młody wróżbita. – Wątroba barana miała żyłki tłuszczu skierowane w przeciwną stronę w małym płacie i...

– Mówcie jasno! – przerwał mu ze złością Walerian. Czy mam wysłać legiony przeciw Szapurowi, czy nie? Teraz czy jutro?

Aksteks podniósł swoje pergaminowe dłonie.

– Rozumiem twoją niecierpliwość, Auguście. Nie możemy jednak dać jednoznacznej odpowiedzi. Wróżby są pozytywne, jeśli chodzi o armię, ale...

– Ale co?

– Jak wiesz, zawsze może zdarzyć się tak, że jakiś znak kryje w sobie inny znak. Bogowie nie sprzeciwiają się walkom. Ale czy masz osobiście dowodzić wojskiem, to już inne pytanie.

– Postawiłeś je?

– Powinieneś sam zadać to pytanie. Twoje pytania są moimi pytaniami. A nie na odwrót. Przecież o tym wiesz, Auguście.

– W każdym razie – wtrącił młody wróżbita – głos bogów nie jest jednoznaczny. Istnieje pewna rozbieżność między tym, co znajduje się wewnątrz, a tym, co jest na zewnątrz.

Służący, postawiwszy na stoliku tace zjedzeniem i napojami, wycofali się. Iflava położyła jedną figę z rybą na srebrnym talerzu i podała go Walerianowi. Nie zauważył tego, starając się zapanować nad narastającym gniewem.

– Wewnątrz i na zewnątrz? Co przez to rozumiesz, augurze?

– To oznacza, że wojna może się toczyć w granicach imperium lub poza nimi, Auguście – zaczął cicho, lecz zdecydowanie młody wróżbita – a bogowie w odmienny sposób traktują te obie możliwości.

Po wyrazie twarzy Waleriana widać było, iż kipi ze

złości. Aksteks podniósł ku niebu zakrzywioną łaskę.

– Tej nocy ponowimy wróżby w świętym miejscu – powiedział pojednawczym tonem. – W takiej sytuacji gwiazdy dadzą jaśniejszą odpowiedź.

– Oby bogowie wysłuchali cię – rzekł wzburzony Walerian. Tym razem, Aksteksie, postaraj się postawić właściwe pytania, bo inaczej dojdę do wniosku, że stałeś się za stary, aby podobać się bogom.

Odprawił kapłanów gestem ręki. Po ich wyjściu zapadło na chwilę milczenie. Walerian zastanawiał się po raz kolejny, czy nie popełnił błędu, przedkładając przyjemności ciała nad politykę.

Iflava zachęcała go, by skosztował faszerowane figi, które mu podawała. Z pewnością są przepyszne. Smakowite jak jej usta.

Walerian nie zaproponował fig prokuratorowi. Już sama chudość Makrianusa pozwalała przypuszczać, że byłby to daremny gest. Nie częstował też stojących z boku młodych oficerów. Powinno im wystarczyć to, że mogli patrzeć na cesarza z tak bliska.

Wypijając kubek wina z miodem, łagodzącego ostrość pieprzu, obserwował służących, którzy przynieśli pochodnie i ustawiali lampy. Mimo iż figi z rybami były bez wątpienia dobre, a usta Iflavy słodkie, nie opuszczało go wrażenie, że podjął złą decyzję w Agrippinensium, a idiotyczna niepewność augurów tylko je potęgowało. Irytowało go to w najwyższym stopniu.

– Czy ten chrześcijanin wciąż tu jest? – zapytał

prokuratora ostrym tonem.

Makrianus kiwnął potakująco głową.

– Tak. Czeka. Ale jeśli pozwolisz, Auguście... – odwrócił się do młodego oficera. – To Eliusz Sylwiusz. Przynosi ci pozdrowienia i życzenia pomyślności od króla Palmyry.

Walerian zawahał się. Nie miał ochoty okazywać specjalnych względów któremuś z pupilków Makrianusa. Jednak zmienił zdanie na dźwięk słowa Palmyra. Zaintrygował go także wygląd trybuna. Miał on mniej niż trzydzieści lat, miłą twarz, zwinną sylwetkę, szramę na prawej nodze od uda do łydki.

– Podczas walki? – zainteresował się, pokazując na bliznę.

– W Dura-Europos, Auguście. Kiedy Szapur zdobywał miasto.

Walerian, włożywszy do ust figę, poczuł smak chrupiącej ryby i słodycz owocu, a dopiero po sekundzie ostrość pieprzu.

– Eliusz uratował się z obłączenia, podłożywszy wcześniej ogień pod to, co zostało z miasta – wyjaśnił Makrianus z ożywieniem, ale jego powieki nadal pozostały półprzymknięte. – Mówiłem ci już, Auguście, o tym jego wyczynie.

– Chyba sobie przypominam – uśmiechnął się Walerian w odpowiedzi.

Trybun zarumienił się z zadowolenia.

– Służysz więc w Palmyrze? – zapytał Walerian.

– Jestem twoim reprezentantem u boku tamtejszego króla, Odenatusa.

– Przypomnij mi, prokuratorze, co o nim wiadomo.

– Najjaśniejszy Septymus Odenatus, syn Wallabata, syna Nazora, senator, król Palmyry. Jego rodzina dostała rzymskie obywatelstwo z woli Septymiusza Sewera, gdy odnosił on zwycięstwa na Wschodzie jakieś pięćdziesiąt lat temu. Odenatus ma tytuł senatora. Ale jest senatorem, który nigdy nie postawił stopy w senacie, nigdy nie wszedł do świątyni Jowisza na Kapitolu. To człowiek doskonale czujący się na grzbiecie wielbłąda, bogaty kupiec uprawiający kult dziwacznych bogów pustyni.

Makrianus na zakończenie machnął lekceważąco ręką.

– Czy to prawda, Eliuszu? – zapytał Walerian, z umyślną poufałością używając tylko pierwszego imienia młodego oficera.

W świetle pochodni widać było wyraźnie, jak błysnęły oczy trybuna. Nie uszło to uwagi Makrianusa.

– Tak, Auguście. Ale Odenatus nie jest głupcem.

– Czy składa ofiary bogom Rzymu?

– Kiedy tego wymaga konieczność, składa ofiary w naszych świątyniach. Wydaje mi się, że darzy szczerym poważaniem Apollina.

– Czy lubi ciebie?

Na twarzy Eliusza po raz pierwszy pojawiło się zakłopotanie. Walerian uznał, że to z powodu obecności Makrianusa.

– Jestem tylko trybunem, Auguście. Ledwie mnie

dostrzega. W mojej osobie szanuje przede wszystkim Rzym. Słucha uważnie moich rad, ale takie okazje zdarzają się rzadko. Jestem... – Trybun spojrział spod oka na Makrianusa. – Mam natomiast bliskie kontakty z jego synem Hayranem. Ten chłopak bardzo różni się od ojca. Czułby się dobrze w każdym mieście imperium.

– Jaką więc przynosisz wiadomość od Odenatusa?

– Ma nadzieję, że klimat w Antiochii dobrze ci służy, Auguście. Miałem ci przekazać, że cię miłuje i wspiera, gdyż taka jest wola bogów Rzymu.

– A co to oznacza konkretnie?

– To, że w najbliższym czasie rozstrzygnie się, kto jest silniejszy. Szapur czy ty.

– Czy zgodzi się walczyć u mego boku?

Trybun zawahał się, odciążając dyskretnie bolącą nogę.

– Jest obywatelem Rzymu, Auguście. Chętnie demonstruje swoją potęgę i bogactwo. Prefekt ma rację, że przede wszystkim jest człowiekiem pustyni. Dla niego polowanie ma takie samo znaczenie jak wojna.

– Tacy są ci ludzie – wtrącił Makrianus. – Oglądając pałace i ulice Palmyry, możemy czuć się tak, jakbyśmy byli w Rzymie lub Atenach. Ale poza murami pałaców życie tamtejszych ludzi nie różni się od życia przewodników karawan. Znam dobrze Odenatusa i wierzę mi, że bardzo szybko można zorientować się, iż w głębi duszy jest barbarzyńcą.

Walerian opróżnił kolejny kubek wina.

– Pytanie jest proste, trybunie: czy można mu zaufać?

– Tak sędzę, Auguście. Sprzymierzeńcy są dla Odenatusa niczym wydmy, stale zmieniające kształt pod wpływem wiatru. Jednak na pustyni potrafią przeżyć tylko ludzie mądrzy. On zna swoje miejsce i umie przewidzieć, kto będzie silniejszy od niego. Ponadto Palmyra to jego klejnot. Raczej umrze, niż odda ją Persom.

– To chyba zależy mu na mnie – stwierdził z uśmiechem Walerian.

Ten trybun spodobał mu się. Inteligentny, sprytny, ambitny, na pewno odważny.

– Czy wiesz, Eliuszu, jaką chciałby on otrzymać ode mnie odpowiedź?

– Jest jedna rzecz, Auguście...

– Słucham.

– Odenatus zamierza po raz drugi się żenić. Pierwsza żona, matka jego syna, zmarła. Drugą ma być dziewczyna, którą ludzie Palmyry uważają za boginię...

Makrianus wybuchnął gromkim śmiechem, zaskakującym przy jego chudej sylwetce.

– Na rubieżach często zdarzają się takie dziwactwa, Auguście. Tamtejszym ludziom przy każdej burzy rodzą się bogowie, boginie i prorocy.

Te złośliwe słowa zamknęły usta Eliuszowi, który zawahał się, czy ma opowiadać dalej. Walerian zachęcił go gestem ręki.

– Za boginię?

– To niezwykła historia, Auguście. Podobno w chwili

narodzin dziewczyny ich bóg sprawił, że na pustyni, w miejscu, w którym wytrysnęło źródło, spadła gwiazda.

– Czy to prawda?

– Widziałem źródło. To piękne miejsce, Auguście. Oaza, gdzie karawany zatrzymują się, by wypocząć i nabrać wody. W ich języku nazywa się Pocałunek Nieba. Nie potrafiłbym jednak powiedzieć, kiedy rzeczywiście powstało to źródło.

– Tego rodzaju bajdy, Auguście, krążą po wszystkich drogach pustyni jak pchły po grzbiecie wielbłąda – zaśmiał się prokurator.

– Pewne jest jednak – podjął trybun, nie patrząc na Makrianusa że wystarczyło to, żeby Odenatus zapragnął poślubić tę dziewczynę, gdy osiągnie ona odpowiedni wiek. Zaręczyny miały się odbyć tego lata. Ale pewnej nocy dziewczyna zniknęła.

Zaciekawiony Walerian uniósł brwi. Ta historia bawiła go. Podobnie ja zazdrość Makrianusa.

– Opowiadaj dalej, Eliuszu.

– Ojciec uznał ją za zmarłą. Całe miasto, wszyscy ludzie w karawanach wierzyli, że zginęła na pustyni. Być może porwana przez wrogów jej ojca, może sprzedana Persom. Tymczasem w idy wrześniowe dziewczyna nieoczekiwanie pojawiła się tak samo tajemniczo, jak zniknęła. Jej wjazd do Palmyry wywołał ogólne osłupienie. Ujrzano w tym pomyślną wróżbę. Całe miasto wyległo na jej spotkanie ze śpiewem i okrzykami: „Zenobia! Zenobia!”.



– Zenobia?

– To jej imię, Auguście. Oznacza ono „Dar Boga”. Okazało się, że Zenobia nie tylko była żywa, lecz w dodatku wróciła do ojca z gwiazdą, którą wydobyła ze źródła.

– Naprawdę?

– Tak oni twierdzą. Długi, czarny, błyszczący kamień, niepodobny do innych, jakie można znaleźć na pustyni.

– Nie było cię tam wtedy?

– Nie, Auguście. Byłem tutaj, w Antiochii. Tego dnia wyjeżdżałeś do Rzymu. – Walerian skinął głową. – Wtedy zaczęła się szerzyć ta pogłoska. Kobiety szeptały między sobą, że Zenobia jest boginią, że bóg zabrał ją do siebie i dał jej gwiazdny kamień.

Uśmiezek pojawił się na ustach Makrianusa, ale Walerian rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Tacy są bogowie, Makrianusie. Nikt nie wie, do czego są zdolni. Poza tym Rzym zwalcza tylko boga chrześcijan... Czy widziałeś, Eliuszu, tę Zenobię?

– Niestety, nie, Auguście. W dniu jej powrotu byłem w Antiochii. Zresztą ona mieszka w pałacu Odenatusa. Nikt obcy nie ma prawa jej zobaczyć.

– Jak myślisz, jest piękna?

– Mówią, że ma niezwykłą urodę.

Walerian zamyślił się. Kiwając z lekka głową spojrzał na Iflawę, swą piękną boginię. Nie uroniła ani jednego słowa z opowieści trybuna, nawet przez moment nie wątpiła w jej prawdziwość.

– Dar Boga – mruknął. – Śliczne imię, nie sądzisz Makrianusie?

– To bajka, Auguście. Tylko bajka.

– Nie pozwól, aby twoja dusza tak wyschła, jak twoje ciało, Makrianusie. Przecież mamy na ziemi wiele darów od bogów. Dlaczego ta dziewczyna nie miałaby być jednym z nich? – Wskazał ręką na ostatnią z fig faszcerowanych rybami. – Poczęstuj się, trybunie. To również jest jeden z darów bogów – zamyślił się na chwilę. – Tak więc chodzi zapewne o prezent z okazji wesela króla Odenatusa. To miałeś na myśli, Eliuszu?

– Tak, Auguście.

– Napij się wina, trybunie. Miód złagodzi ostry smak pieprzu. Czy masz jakiś pomysł na ten prezent?

– Legion, Auguście – odważył się odpowiedzieć Eliusz, zanim wypił wino.

– Legion?

Trybun odstawił ostrożnie kubek.

– Będzie to znak, że Rzym docenia potęgę Palmyry, że cesarz popiera i chroni jej króla przeciw Szapurowi.

– Skąd mam wziąć legion, trybunie? Przecież wiesz, że brakuje mi żołnierzy, by wystąpić przeciw Szapurowi.

– To nie musi być kompletny legion, Auguście. Wystarczą trzy kohorty dodane do tych, którymi już dowodzę. W razie potrzeby oddziały pomocnicze z Egiptu lub Kapadocji. Są to dobrzy jeźdźcy i dobrzy łucznicy. Stanowiliby doskonałe uzupełnienie wojowników z Palmyry. Byłby to również sygnał dla Persów, że twoja

władza na granicach imperium jest silna.

– To będzie dużo kosztować.

– Odenatus i bogate rodziny z Palmyry wezmą na siebie koszty utrzymania, jak to robią dotąd.

– Prezent, za który płaci ten, kto go dostaje? – roześmiał się Walerian.

Eliusz z przebiegłym uśmiechem, od którego jego twarz zrobiła się znacznie mniej przyjemna, rzekł:

– Gest liczy się bardziej niż koszty, Augustie. Poza tym, to Odenatus z racji rangi senatora stanie na czele tego legionu.

– Posuwasz się za daleko, Eliuszu! – zawołał Makrianus. Byłaby to wielka nieostrożność! Jeśli Odenatus nie jest nam wiemy, zwróci te kohorty przeciw nam...

Walerian przerwał mu.

– Widzę, że nie zrozumiałeś, co miał na myśli trybun. Odenatus będzie miał tytuł, ale rzeczywistym dowódcą zostanie trybun. Ponadto te kohorty broniłyby miasta nawet w wypadku zdrady Odenatusa, prawda Eliuszu?

– Oczywiście, Augustie.

– Moglibyśmy więc, żeby sprawa była jasna, mianować cię prefektem wojskowym?

Eliusz, sprytny, ambitny, ale umiejący panować nad sobą, przyjął propozycję bez mrugnięcia okiem i wpatrywał się w cesarza, jakby chciał powiedzieć: „Augustie, możesz polegać na mojej wierności”.

– Co myślisz o tym, prokuratorze? Czy da sobie radę?

– Nie przedstawiałbym ci go, gdybym w niego wątpił,

Auguście – odrzekł z westchnieniem Makrianus.

– Zajmiesz się więc wszystkim. Przygotujcie list do Odenatusa, który dasz mi do podpisu, a także skrzynię pełną klejnotów dla tej Zenobii. A teraz dość gadania o tym. Teraz przyprowadźcie tego chrześcijanina.

Eliusz z rozjaśnioną twarzą przyłożył pięść do pancerza w geście pożegnalnym. Walerian jednak zatrzymał go.

– Nie odchodź jeszcze, prefekcie. Zawsze warto słuchać tych chrześcijan.

\* \* \*

Na taras wepchnięto nie jednego, ale dwóch mężczyzn. Było już niemal zupełnie ciemno. W nikłym świetle pochodni i lamp Walerian musiał wyteńczyć wzrok, żeby ich widzieć.

Pierwszy wyglądał jak wszyscy patrycjusze imperium. Ogolone policzki, trochę zbyt okrągłe, włosy niedawno przycięte, w spojrzeniu widoczna rezerwa. Jego toga była z materiału dobrej jakości, czysta, umiejętnie ułożona. Drugi nie wyglądał już tak dobrze, chociaż tkanina jego togi była dość przyzwoita. Szczupły, o cerze matowej jak u Syryjczyków, o długich włosach i brodzie, i wyrazie pogardy na ustach. Miał chyba nieco ponad dwadzieścia lat, choć trudno było określić jego wiek na podstawie twarzy, w której w blasku pochodni płonęły czarne oczy.

Walerian czuł, że obsesyjny gniew przeciw

chrześcijanom rozpala go bardziej niż dłonie Iflavii. Tylko spojrzał na tych ludzi, a nerwy zadrgały w nim jak napięta cięciwa łuku.

Sam nie wiedział, co w nich tak go drażniło. Jakaś mieszanina uległości i dumy. Ale także wzgardy. Bezgraniczna arogancja! Jakby nie byli zwykłymi ludźmi jak inni, ale nie wiadomo kim. Jakby każdym swoim spojrzeniem, oddechem, chcieli wszystkim wmówić, że to oni wybrani zostali przez bogów.

– Który z was jest przywódcą chrześcijan?

– Ja, Auguście – odrzekł patrycjusz, pochylając czoło.

– Twoje imię?

– Dymitrios. Jestem biskupem chrześcijan z Syrii.

– A kim jest ten drugi?

– To Szymon, mój diakon, Auguście.

– Nie obchodzą mnie wasze tytuły, w które się przystrajacie. Dlaczego on tu jest? Ty jesteś przywódcą sekty i wystarczy mi twoja obecność.

Brodacz skrzyżował ręce na piersi.

– Jestem tu, ponieważ moim obowiązkiem przed Bogiem jest być u boku biskupa.

– Nie stoisz teraz przed twoim bogiem! W każdym razie nie w takim sensie, jak ty to rozumiesz. Stoisz przede mną, swoim cesarzem, Walerianem Augustem.

– Stoję przed tobą i zarazem przed Bogiem – nie ustępowałem chrześcijanin.

Biskup uspokajającym gestem położył rękę na ramieniu towarzysza.

– Chciałeś mnie widzieć, więc przybyłem, Auguście.

Walerian wstał z fotela, rozprostował nogi. Spojrzał na Eliusza.

Nowo mianowany prefekt wydawał się zafascynowany chrześcijaninem o imieniu Szymon.

– Z pewnością wiesz, że Pers Szapur zagraża miastu?

– zapytał, podchodząc do biskupa.

Dymitrios zamrugnął powiekami.

– Umiesz czytać – mówił dalej Walerian. – Widziałeś rozkaz z moją pieczęcią, rozwieszony na murach miasta. Każdy mieszkaniec Antiochii jest zobowiązany udzielić pomocy, dając do dyspozycji swoje ręce albo pieniądze. Tymczasem dowiaduję się, że nikt z twojej sekty nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

– Nasz Bóg zabrania nam walczyć z bronią w ręku, Auguście – wymamrotał biskup, nie śmiejąc podnieść oczu.

– Obejdziemy się bez waszych rąk i waszej odwagi – zaśmiał się szyderczo Walerian. – Ale macie zapłacić pięćset sztuk złota od głowy.

Dymitrios otworzył usta, ale Walerian nie dał mu czasu na protest.

– Ilu ich jest w mieście, prokuratorze? Trzystu, pięciuset?

– Znacznie więcej, Auguście – westchnął Makrianus. – Z dnia na dzień jest ich coraz więcej, ale ukrywają to. Chyba jest ich około tysiąca.

Może sprawiło to drganie płomienia pochodni, ale

wydawało się, że na ustach tego, który nazywał się Szymon, pojawił się obrzydliwy, zuchwały uśmiezek.

– Jesteś bogaty, Dymitriosie! – Głos Waleriana stwardniał. – Posiadasz najpiękniejszą willę w Antiochii, masz więcej ziemi i niewolników niż ja sam. Jesteś bardzo bogaty. Jak wszyscy w twojej sekcie! Uwielbiacie pieniądze. Wasz bóg to złoto! – Roześmiał się złowrogo. Napotkał spojrzenie Eliusza. – Z tego powodu, prefekcie, przyjęli oni rybę jako swój symbol, żeby łatwiej im było pływać w morzu złota!

– Auguście, możemy...

– Macie okazać mi posłuszeństwo, Dymitriosie! Nie ma o czym dyskutować. Stoisz przed cesarzem. Możesz tylko być mu posłusznym.

– Jesteśmy posłuszni jedynie naszemu Bogu. On jest naszym Panem i nikt inny. On i Chrytus, Jego Syn, zmarły na krzyżu z rozkazu Rzymu. To oni biorą nas do siebie albo zostawiają przy życiu.

Słowa te wypowiedział ten drugi. Szymon, długowłosa, brodaty, z szaleństwem w oczach. Mówił niezwykle spokojnym głosem.

– Naszemu Bogu obojętne są sprawy Rzymu – dodał z uśmiechem.

Makrianus wydał rozkaz i strażnicy przyłożyli piki do pleców chrześcijan. Biskup wytrzeszczył oczy z przerażenia. Drugi nie drgnął ani nie przestał się uśmiechać. Wzrok miał nadal pełen wzdardy.

Waleriana ogarnął straszliwy gniew. Chwycił biskupa

za włosy i głosem możliwie jak najłagodniejszym rzekł:

– Wyjaśnij temu szaleńcowi, Dymitriosie, że się myli. Jemu i wszystkim, którzy idą za tobą. To mnie obojętny jest wasz bóg. Za cztery dni prokurator zda mi sprawozdanie, ile otrzymał od was pieniędzy. Ma to być pięć tysięcy denarów. Albo każdego dnia będziemy aresztować jednego z was. I codziennie któryś z was zostanie spalony na stosie.

Twarz Dymitriosa wyrażała przerażenie.

– Popełniłeś błąd, cesarzu Rzymu – rozległ się głos drugiego chrześcijanina. – Nie powinieneś traktować nas w taki sposób. Nie boimy się śmierci, a męczeństwo tylko dodaje siły wyznawcom Chrystusa.

Słowa te, wypowiedziane z takim przekonaniem, wstrząsnęły Walerianem. Po chwili wściekłość wzięła górę. Uczynił gest, jakby zamierzał wydobyć miecz, szarpnął Dymitriosa za siwe włosy, uderzając go przy tym w skroń bransoletką ze srebra i brązu, którą nosił na ręce. Szymon chciał go powstrzymać, lecz zachwiał się i jęknął z bólu, gdy żelazne ostrze piki przebiło jego togę, na której pojawiły się krople krwi. W tym momencie dopadł do niego prefekt Eliusz i potrząsając rannym bezlitośnie, zawołał:

– Ja ciebie znam!

Szymon spojrzał z ledwie widocznym grymasem bólu, ale milczał.

– Nie przypominasz sobie? – ryknął Eliusz. – Dura-Europos! Znam cię.



Chrześcijanin odepchnął Eliusza z siłą zaskakującą w tak mizernym ciecie.

– Nie bądź taki zarozumiały, Rzymianinie. Tylko Bóg mnie zna!

Walerian nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Widząc zaś, że rozwścieczony Eliusz szykuje się, żeby uderzyć chrześcijanina, powiedział:

– Zostaw go, prefekcie! Niech się cieszy z tego, że ma taką odwagę i cięty język. Nie obawiaj się, jego pierwszego uwięzimy, jeśli nie zapłacą złota należnego imperium.

Kiedy strażnicy wyprowadzali chrześcijan z tarasu, Eliusz, masując ręką bliznę na udzie, rzekł:

– Ja znam tego szaleńca, Auguście. Jestem tego pewien. To samo spojrzenie, te same włosy i broda, nawet głos. Był w Dura-Europos. Ukradł mi konia, kiedy byłem ranny. Czegoś takiego nie można zapomnieć. Był z dziewczyną, którą zgwałcili Persowie.

## PALMYRA

Koń wyczuł przeszkodę, choć jej nie widział. Napreżył się, machnął ogonem. Zenobia, leżąc na jego szyi z rękami wczepionymi w mlecznobiałą grzywę, szeptała:

– Yedkivin! Yedkivin, jesteś najpiękniejszy! Mój koniku, ty wszystko potrafisz... Pędź, pędź!

Yedkivin wydłużył krok w galopie. Ceglany murek zaczął się zbliżać z ogromną szybkością. Zenobia ścisnęła kolanami boki konia.

– Naprzód, naprzód, Yedkivin!

Krzyczała głośno, nie zdając sobie z tego sprawy. Murek był tuż-tuż. Chwyciła się mocniej grzywy. Koń tylnymi nogami odbił się silnie od ziemi. Zenobia poczuła ten wstrząs w całym ciele. Yedkivin napierał z całej siły. Poszybowali w powietrzu. Koń tak wygiął grzbiet, że Zenobia omal nie spadła. Ledwie utrzymała cugle w ręce. Jakoś udało jej się nie zamknąć oczu. Koń zawadził pierśią o przeszkodę. Cięciwa łuku przewieszzonego przez ramię wrzynała się jej w pierś, zatykając oddech. Ale Yedkivin podjął już ponownie galop.

Zenobia usłyszała krzyk Nurbela. Kukła, wypchana wełną, ubrana w tunikę, okryta skórzaną zbroją w hełmie była już w zasięgu strzały.

– Doskonale, Yedkivin! Mój słodki koniku... –

szepnęła Zenobia.

Wyprostowała się, przybrała właściwą postawę i chwyciła łuk lewą ręką. Kiedy nacisnęła mocniej piętami, Yedkivin zatoczył półokrąg.

Trzymając drewniany łuk daleko od siebie w wyciągniętej lewej ręce, założyła strzałę na cięciwę. Odchyliła się z lekka do tyłu, ściskając konia udami, usiłując unieruchomić ramiona i szyję tak, jak uczył ją Nurbel.

Oczy utkwiła w kukle, która była coraz bliżej. Zobaczyła skórzaną płytkę na jej piersi, na wprost ostrza strzały. Resztką sił napięła jeszcze mocniej cięciwę. Yedkivin biegł lekko ukosem do kukły. Teraz! Zenobia rozluźniła palce.

W barku poczuła wibrowanie łuku. Głuchy dźwięk odbił się echem w jej piersi. Bełt z czerwonych piór podobny był w powietrzu do wielkiego owada. Strzała przeleciała obok kukły i trafiła w kamień, wzniecając kurz.

– Aj!

Zenobia zgrzytnęła zębami ze złością, ściągnęła gwałtownie wodze. Przerzuciła nogę przez kark Yedkivina, zanim jeszcze zdążył się zatrzymać.

Gdy stopami dotykała ziemi, na cięciwie miała już założoną kolejną strzałę. Rozprostowała ramiona, tak twarde jak drzewo cedrowe, z którego zrobiono wygięty łuk. Puściła cięciwę. Strzała, tym razem z żółtym bełtem, świsnęła w powietrzu. Rozległ się tępy trzask żelaza przecinającego skórę, wełnę, wbijającego się w drewniany

kregosłup kukły.

Nurbel, siedzący na koniu na drugim końcu zapylonego pola, wybuchnął głośnym, kpiącym śmiechem.

– Gdyby lew chciał czekać na ciebie, to by zginął! – krzyknął.

– Ale dlaczego tak się stało?! – zawołała Zenobia. – Na czym polegał mój błąd?!

Nurbel poczekał z odpowiedzią, aż podjechała do niego bliżej. Gwizdnął cicho, by zwabić Yedkivina do siebie i przemówił do konia pieścotliwym tonem.

– Za mało masz siły w ramionach – zwrócił się do Zenobii. – Za mało siły w udach, barki odchylone do tyłu w niewystarczającym stopniu. Ale skok był doskonały. Yedkivin lubi mieć cię na sobie, a to już coś.

Zenobia potrząsnęła głową.

– Nie dam rady.

– Możesz strzelać z ziemi albo po zatrzymaniu konia. Masz, niewątpliwie dobre oko.

– Ale ciebie to by nie zadowoliło! I żadnego z twoich łuczników burknęła Zenobia.

– Oni nie są kobietami.

Zenobia rzuciła mu ponure spojrzenie i odepchnęła Yedkivina, który podszedł, by otrzeć się pyskiem o jej ramię. Nurbel zmrużył jeszcze bardziej swoje skośne oczy.

– Czy tego chcesz, czy nie, są rzeczy, których kobieta nie może robić tak dobrze jak mężczyzna. Należy do nich wojna.

– Nie wypowiadaj opinii, które do ciebie nie pasują.

Klepała pieszczotliwie pysk i czoło Yedkivina. Bardzo szybko polubił takie karesy. Odczepiła skórzany kołczan ze strzałami, przymocowany do jego karku. Potem zdjęła derkę z mokrego od potu grzbietu konia. Yedkivin zarżał z wdzięcznością, ale ona nie zareagowała tak, jak się tego spodziewał.

Nurbel przyglądał się jej bez słowa. Palce Zenobii były energiczne i zręczne. Tak samo jak wtedy, gdy napinała łuk, stojąc na ziemi. Jej ostatni strzał był naprawdę doskonały. Lepszy, niż sądziła.

Miała rację. To, że była kobietą, nie miało żadnego znaczenia. Była urodzona do strzelania z łuku i do wojowania. Ani razu od ponad miesiąca nie okazała najmniejszej słabości. Bez słowa skargi znosiła upadki, ból w rękach i barkach od napinania łuku. Rany od wcinającej się w palce cięciwy były tak dotkliwe, że niejedną noc spędziła bezsennie.

Była wściekła, gdy coś się jej nie udało. Prawdę mówiąc, Nurbel nigdy dotąd nie widział człowieka, który tak szybko nauczyłby się trafić strzałą w samo serce kukły. Nawet on sam na początku miał z tym trudności. Zenobia strzelanie miała we krwi.

Jakby wcieliły się w nią dusze największych łuczników.

Jakby to, co opowiedziała Najjaśniejszemu Panu o swojej wyprawie z Baalszaminem, zawierało więcej prawdy, niż sądził.

Jakby zamieszkała w niej Alath, wielka bogini wojny

i pustyni.

Ta myśl oszałamiała go, wprawiała w zmieszanie, choć czasami nic mógł się też powstrzymać, by nie widzieć w niej kobiety. Choćby teraz, gdy była w tym stroju, w skórzanej tunice osłaniającej jej kształty, z włosami związanymi w węzeł pod filcowym kapelusikiem łuczników z Palmyry. Nawet teraz, gdy stała z ponurą, lśniąca od potu twarzą pokrytą pyłem, z sińcami pod oczyma. Miała piękne oczy, lekko zaokrąglony podbródek, wystające policzki i pełną górną wargę, którą, gdy była rozgniewana, cięła niczym mieczem. Tak jak w tej chwili, gdy odwróciła się do niego i zapytała z ironią w głosie:

– Masz mnie już pewnie dość, Nurbel? Zmęczyłeś się? Wstydzisz się tego, że musisz zajmować się dziewczyną?

– Nie jesteś jakąś tam dziewczyną, ale przyszłą małżonką Najjaśniejszego Pana – odparł Nurbel sucho. – Nie zapominam o tym, a i ty także powinnaś o tym pamiętać.

– Oczywiście. Nie zapomnę o czymś takim z powodu łuku.

Wolał odwrócić się i poprawić wędzidło w pysku konia.

– Niektórzy jeźdźcy perscy używają watowanych derek, przymocowanych za pomocą popręgów pod piersią konia – powiedział przez ramię. – Mają one pętle z rzemieni, które pozwalają stanąć w momencie strzelania. Pochodzi to od ludów z Dalekiego Wschodu. Poszukam czegoś takiego i spróbujesz.

Twarz Zenobii rozjaśniła się.

– Musisz jednak jeszcze podźwigać kamienie. Twoje ramiona ciągle są za słabe. Łuk nie układa się jak należy. Strzała za szybko upada, nie dolatując do celu.

– Jak długo jeszcze będziemy mieli te lekcje?

– Oby jak najkrócej.

– Dlaczego?

Nurbel popatrzył na otaczające ich rudawe zbocza. Znajdowali się w odległości półtorej mili od Palmyry. W szerokim wąwozie osłoniętym od pustynnego wiatru, w którym zazwyczaj ćwiczyli łucznicy Dostojnego Odenatusa. Zaśmiał się cichym, kpiącym śmiechem, który tak zachwycał Zenobię.

– Hayran i jego ciotka udali się do Najjaśniejszego Pana. Postanowili go uprzedzić, że spiskujemy przeciw niemu.

– Co takiego?

– Zdaniem Ofali teraz robisz ze mnie kukłę, a wkrótce zabierzesz się za samego Najjaśniejszego Pana...

– Jakim sposobem się dowiedziała?

Nurbel wzruszył ramionami.

– Na dworze kobiet nic się nie ukryje...

Zenobia powiedziała im, że będzie tresować Yedkivina w towarzystwie Nurbela. Ale jedna ze służących zauważyła jej skórzaną tunikę, czapkę łuczników, pas i męskie spodnie. Czym prędzej pobiegła powiadomić Ofalę o tym odkryciu, żeby wkraść się w łaski swej pani.

– Pewnie to niewolnica, której zapomniałaś dać prezentu – stwierdził Nurbel pogardliwie. – Wskazał ręką na skały na zboczu. – Ofala powiedziała o tym Hayranowi, a on zapewne kazał nas śledzić jednemu ze swoich pupilków.

– Jak zareagował na to Odenatus? – zapytała Zenobia bezdźwięcznym głosem.

Nurbel wziął z rąk Zenobii derkę Yedkivina. Strzepnął ją, by usunąć kurz, i położył z powrotem na grzbiecie konia.

– Przywołał mnie do siebie i kazał wysłuchać plotek Ofali. Wtedy zwyczajnie wyznałem mu prawdę.

– Prawdę?

– Nigdy nie okłamuję Najjaśniejszego Pana. Jeśli mnie o coś pyta, mówię, jak jest.

– Nie oczekiwałam od ciebie, żebyś kłamał.

– Tylko bogowie wiedzą, czego oczekujesz ode mnie. Powiedziałem prawdę i Najjaśniejszy Pan się roześmiał. Patrzył na Ofalę i się śmiał. Po czym zwrócił się do Hayrana: „Dlaczego nie poćwiczysz razem z nią, mój synu? Przydałoby ci się to”. Możesz być pewna, że z tego tylko powodu Hayran będzie cię nienawidził do końca swoich dni.

– Jakoś do tego przywyknę. A jak zareagowała Ofala?

– Najbardziej oskarżała mnie. Najjaśniejszy Pan powiedział do niej: „Czy myślisz, że stracę zaufanie do Nurbela po dwudziestu latach wspólnych polowań i walk? Nie masz racji co do Zenobii. Moja przyszła żona jest



boginią. Dlaczego nie miałyby zostać doskonałą łuczniczką? Grecy mieli boginie, które były dzielnymi wojowniczkami. Nie jesteśmy gorsi od Greków”. – Nurbel zaśmiał się i mówił dalej już poważniejszym tonem: – Kiedy zostaliśmy sami, zapytał, czy mam do ciebie zaufanie. Chciał też wiedzieć, dlaczego zależy ci na tym, by nauczyć się strzelać z łuku. Odpowiedziałem mu, że tak naprawdę to jeszcze tego nie wiem. Że pięknie mówiłaś, ale twoje słowa przypominały woalki, w których mu się pokazałaś.

Stali blisko siebie. Zenobia nie wytrzymała jego spojrzenia. Bez pomocy lekko wskoczyła na Yedkivina.

Nurbel dodał:

– To prawda, w głębi serca tak właśnie myślę.

Zenobia skierowała konia w stronę wełnianej kukły. Za plecami usłyszała, że Nurbel dosiadł także swego konia. Dogoniwszy ją, wyprzedził drobnym galopem, dojechał do kukły i wyrwał z niej w biegu strzałę. Okręcił konia i stanął naprzeciw Zenobii, wbijając w nią ostry jak sztylet wzrok. Wymierzył w nią strzałą.

– Najjaśniejszy Pan chciał także wiedzieć, czy możesz już jechać z nami na polowanie na lwa.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Powiedziałem: „Zenobia cię zadziwi, Najjaśniejszy Panie!”, ale nie wpadaj w zarozumialstwo. To trudne polowanie. Potrwa co najmniej sześć dni. Od rana do wieczora na koniu. Yedkivin ci nie wystarczy, dostaniesz cztery wierzchowce jak my wszyscy. Najjaśniejszy Pan

będzie cię obserwował. Dużo się już nauczyłaś, ale nie jesteś jeszcze gotowa.

Zenobia podjechała do niego. Chwyciła strzałę.

– Będę gotowa.

– To niecały miesiąc.

– Będę gotowa, Nurbel. Wiesz o tym.

– W uciekające zwierzę nie jest tak łatwo trafić jak w wełnianą kukłę.

– Będę tu przyjeżdżać i ćwiczyć codziennie. Teraz nie muszę się już ukrywać.

Wyrwała strzałę z jego rąk z głośnym śmiechem i puściwszy konia galopem, zawołała:

– Kocham cię, Nurbel! Kocham całym sercem!

Chwilę potem, kiedy Nurbel dogonił ją na drodze do Palmyry, powiedział:

– Jego również powinnaś kochać.

– Będę mu wierna. Możesz być tego pewien.

\* \* \*

Zenobia, zadowolona, że może jawnie kpić z Ofali, nie zadała sobie trudu, żeby zmienić strój, gdy szła przez dziedziniec kobiet. Znalazłszy się w atrium, na które wychodził pokój Dinah, wyczuła, że coś się stało. Panowała niezwykła cisza. Służące, które kiedy indziej okazałyby zdziwienie i rozbawienie na widok jej ubioru, ledwie na nią spojrzały.

Aszemu nie było w jej pokojach. Zaniepokojona

Zenobia przebiegła korytarze. Zapytała jedną z niewolnic, gdzie jest Dinah. Dziewczyna wzruszyła ramionami, po czym wymknęła się, zanim Zenobia zdążyła zadać kolejne pytanie.

Pojawiła się Aszemu. Ujrzawszy strój Zenobii, nie kryła zaskoczenia.

– Czyś ty oszalała? Jeśli Ofala...

– Co się dzieje?

Egipcjanka popychała ją w kierunku ich pokoi.

– Przestań! Ofala wie, co robię, Najjaśniejszy Pan również. To nie jest teraz ważne.

– Niech Izis ma nas w swojej opiece – wyjąkała Aszemu.

– Izis czuwa nad tobą – zapewniła ją z uśmiechem Zenobia. – Gdzie jest Dinah? Chcę wam coś opowiedzieć...

Grube policzki Aszemu zatrzęśły się, gdy odrzekła:

– Dinah zachorowała.

– Co jej jest?

– Gdybym to ja wiedziała! Leży na łóżku i płacze. Nie można nic z niej wydobyć. Nie zgadza się na lekarza...

– A co mówią służące?

– Wiedzą coś, ale nie chcą mówić.

Zenobia skierowała swe kroki do pokoju Dinah. Idąca za nią Aszemu burczała pod nosem:

– Z pewnością maczała w tym palce Ofala. Miejmy nadzieję, że jej nie otruła. Niech Izis chroni nas przed tą kobietą!

Zenobia znieruchomiała na progu pokoju. Dinah leżała

skulona, twarzą do ściany. Ścisnęła tak mocno materiał tuniki, że aż popękały szwy. Jej ramionami i plecami wstrząsały drgawki. Nie słychać było płaczu, tylko ciężki oddech.

– Gdyby przynajmniej coś powiedziała – zaszeptała Aszemu. – Ale ona nawet nie pozwala się dotknąć.

Zenobia poczuła lodowate zimno na karku. Miała jakieś straszne przeczucie.

– Zostaw nas same – rozkazała Aszemu. – Zabroń też wchodzić tu służącym.

Obrażona Aszemu próbowała protestować, ale wykonała polecenie.

Zenobia odczekała, aż ucichł odgłos kroków Egipcjanki. Podeszła do łóżka Dinah. Świszczący oddech młodej Żydówki brzmiał tak, jakby drapała po ścianie paznokciami.

Zenobia uklękła. Powoli, starając się zapanować nad drżeniem palców i mdłościami, które podchodziły jej do gardła, zdjęła filcowy kapelusz, spod którego opadły gęstą falą długie włosy.

– Dinah, to ja.

Ledwie słyszalny szept upewnił Zenobią, że Dinah ją usłyszała.

– Położę się obok ciebie, nie będę cię dotykać.

Położyła się obok dziewczyny. Leżała nieruchomo przez długi, bardzo długi czas, nasłuchując coraz głośniejszych, wyraźniejszych szlochów. Urywany oddech Dinah stał się ostrzejszy, jakby narastał w niej ból

przeszywający wnętrzości.

Zenobia zaciskała mocno powieki, skupiając całe swe uczucie na dziewczynie, która obok niej zmagала się ze złem.

Wreszcie Dinah poszukała ręki Zenobii.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim zaczęła spokojniej oddychać i przewróciła się na plecy.

Leżała teraz bez ruchu jak martwa. Powrócił ból odbierający jej oddech, zaczęła męczyć ją czkawka, od której omal się nie udusiła. Chwyciła mocno rękę Zenobii.

A potem przyszły słowa.

– Hayran... Nie mogę, Zenobio!

– Jestem przy tobie, Dinah. Jestem tutaj.

– Tak się wstydzę.

– Nie wstydz się, Dinah. Nie masz powodu do wstydu.

Poprzedniego wieczoru, gdy już zapadła noc i na dworze kobiet wszyscy spali, Hayran przysłał po nią niewolnice. Zdarzało się to już kilka razy. Hayran i chłopcy, którymi się otaczał, lubili sobie czasami popić aż do zamroczenia. Chcieli wtedy, żeby któraś z kobiet im zatańczyła. Na ogół zadowalali się niewolnicami. Nienawidziły tego, bo Hayran i jego pupile pozwalali sobie na drwiny i żarciki na temat ich kobiecości. Im więcej wypili, tym żarty stawały się bardziej sprośne. Do tej pory jednak kończyło się na słowach. Po kilku tańcach przestawali się zajmować tańczącymi, zajęci igraszkami między sobą. Niewolnice tylko czekały na taki moment, żeby zniknąć, a chłopcy nawet tego nie zauważali. Ale tej

nocy Hayran kazał niewolnicom przyprowadzić Dinah. Kiedy protestowała, przybyła Ofala i nie mogła dłużej się opierać.

– A gdy się tam znalazłam, Hayran polecił niewolnicom, aby wyszły. Nie był pijany. Pozostali też byli trzeźwi.

Dinah zamilkła.

Teraz zaczęła mówić Zenobia.

– Hayran spytał, czy zwierzyłam ci się z tego, co robię z Nurbulem... Zapytał, czy jesteś moją przyjaciółką. Potwierdziłaś to.

Dinah nieznacznie skinęła potakująco głową.

– Rozzłościł się na mnie – szepnęła po chwili. – Chciał się dowiedzieć, czy jesteś... Jak znalazłaś ten gwiazdny kamień.

– Chciał się dowiedzieć, czy jestem już kobietą, czy nie.

– Pytał, dlaczego uciekłaś od ojca, a ponieważ nie umiałam odpowiedzieć, rzucili się wszyscy na mnie...

Nie była w stanie mówić dalej. Obie zamilkły, jakby wiatr mógł unieść słowa, które zbrukały powietrze w pokoju.

– Zażądali, żebym zdjęła tunikę. Odmówiłam. To ich rozbawiło. Próbowалаm uciec. Złapali mnie na pół naga.

Znowu zapadła cisza.

– A Hayran? – zapytała Zenobia.

Dinah potrząsnęła głową.

– On tylko śmiał się i mówił: „Mój dostojny ojciec

jeszcze jej nie kosztował, ale nie będzie nam miał tego za złe...”. – Głos Dinah uwiązał jej w gardle. Odetchnęła głęboko, złość brała górę nad bólem. – I nie było to tak, jak się to robi z kobietą, rozumiesz?

Zenobia nie odpowiedziała, utkwivszy oczy w malowidła zdobiące kąt pokoju nad łóżkiem.

Dinah dodała:

– Zrobił to tylko jeden z nich. Pozostali stwierdzili, że są zdegrustowani, bo za głośno płakałam, a to stale im przypominało, że jestem dziewczyną. Dlatego nie znaleźli w tym przyjemności. Hayran drwił z nich, ale nie...

Zenobia zapytała, kim był ten, który ją zgwałcił.

– Ma na imię Hedaj. Nosi zawsze w uszach grube, złote kolczyki.

– Umrze – powiedziała ze spokojem Zenobia. – Umrze, obiecuję ci to.

## NIKOPOLIS

Klodia śmiała się do rozpuku. Na scenie aktor w masce rozpustnego Pappusa<sup>[35]</sup> podrygiwał w śmiesznym tańcu. Poruszał się z młodzieńczą zwinnością, ale maska starca z ogromnymi oczami i dziwacznymi włosami tworzyła z całości niezwykle groteskowy wizerunek.

Kilka kroków dalej Manducus, żarłok, wirował wokoło Galijki o bardzo obfitym biuście. Pokrzykując z cicha, podnosił jej tunikę, obmacywał pierś i pośladki, przez cały czas pożerając małe ciasteczka, od których, jakby za sprawą czarów, jego brzuch stale rósł.

Chociaż Klodia siedziała blisko sceny, w rzędach przeznaczonych dla patrycjuszy, nie mogła się zorientować, jaki zastosowano tu trik. Wszyscy wiedzieli, że rolę Galijki gra mężczyzna. Mimo to, gdy Manducus unosił tunikę, zamiast owłosionych męskich ud widać było piękne nogi kobiety. Aktor z takim wdziękiem kołysał biodrami, że mogłaby mu tego pozazdrościć niejedna z siedzących na widowni żon. A jego okrzyki i protesty tak rozśmieszały, że widzowie wybuchali szalonym śmiechem.

Oprócz Ulpii, która śmiała się z zażenowaniem i przymusem.



Klodia spojrzała spod oka na swą młodą sąsiadkę. Nie ulegało wątpliwości, że Ulpia wstydzi się, że bierze udział w takim spektaklu. Rumieniec na policzkach, popłoch w oczach i drżenie warg świadczyły o rozczulającej niewinności, uroczej wstydlivosti. Klodia z pewną złośliwością pomyślała, że jest to nie mniej śmieszne niż spektakl, który oglądają.

A na scenie Manducus bez żadnego umiaru obdarzał Galijkę swoimi pieszczotami. Stary Pappus ryknął jak demon, a włosy peruki rozsypały się, gdy jednym skokiem zerwał się z podłogi. Z rozdartych bufiastych spodni wyłonił się różowy, gigantycznych rozmiarów członek. Widzowie z plebsu, stłoczeni w środkowych rzędach, wybuchnęli śmiechem. Usadowieni na balkonie niewolnicy też nie posiadali się z radości.

Manducus podniesioną pięścią nakazał, by wszyscy się uciszyli. Stał naprzeciw rozpustnego starca. Klodia zobaczyła przez szpary w jego masce wytrzeszczone oczy. Pappus, wrzeszcząc niczym zarzynana Świnia, wymachiwał członkiem. Biedna Galijka chciała uciec, ale Manducus złapał ją, zdarł z niej tunikę i nagą wepchnął do skrzyni, której wieko otworzył przed chwilą młody amerek.

Widzowie, którzy wiedzieli z góry, co się wydarzy, zaczęli znowu krzyczeć, skandując imiona postaci występujących w sztuce – jedni Pappusa, drudzy Manducusa.

Stary rozpustnik pozdrowił wielbicieli, nakierował

swój fallus, sztywny i długi jak laska wróżbity, na kilka pań w pierwszym rzędzie. Potem jednym skokiem, okręciwszy się w miejscu, zaatakował Manducusa.

Żarłok przewrócił się i potoczył niczym piłka. Śmiechy i rzęsiste brawa odbiły się echem od kamiennych ścian teatru. Manducus już się podniósł czerwony z wściekłości. Pomachał pięścią w stronę balkonu, gdzie niewolnicy gwizdali z zachwytu. Chwycił bukłak wina i całą jego zawartość wlał sobie do gardła.

Zapadła cisza. Klodia podobnie jak inni wbiła wzrok w brzuch Manducusa, który pęczniał przy każdym łyku, rósł i rósł w nieprawdopodobny sposób, jakby za sprawą czarów.

Aż nagle rozpękł się z ogromnym hukiem. Całe ciało Manducusa znikło w kłębach czerwonego dymu.

Z tego dymu wyskoczył stary Pappus. Roześmiany stanął do góry nogami. Raz. Drugi raz. Podczas tych akrobacji jego szmaciany fallus rozdarł się i dookoła niczym śnieg rozsypało się pierze. Miękki jedwabisty gęsi puch posypał się na widzów w pierwszych rzędach.

Ze skrzyni wyłoniła się piękna Galijka. Miała tak przezroczysty kostium, że wyglądała jak naga. Twarz zakrywała maska. Warkocze umocowane były na głowie wstążkami z materiału w kratkę. Z dekoltu między olbrzymimi piersiami sterczało długie pawie pióro ze lśniącym na perłowo słońcem pośrodku.

Rozległ się szmer zachwytu widzów, którym wydała się niezwykle kobieca i pociągająca. Końcem pióra ocuciła

leżącego Manducusa. I znowu widzowie zakrzyknęli ze zdziwienia. Żarłok był całkowicie nagi, jeśli nie liczyć złotego listka kapusty na jego członku.

Klodia z entuzjazmem dołączyła do okrzyków podziwu, oklasków i głośnych wiwatów wszystkich widzów. Przedstawienie się skończyło. Aktorzy zdjęli maski. Wtedy wszyscy zobaczyli, że Galijka jest brodata.

Klodia miała łzy w oczach. Śmiech młodziutkiej Ulpii, której policzki były czerwiejsze niż toga senatora, był ledwie słyszalny. Ogólną wrzawę zagłuszyła przenikliwa muzyka fletów i bębnow, zapowiadających przerwę.

Klodia nachyliła się do Ulpii.

– Nie podobało ci się, prawda?

Ulpia skrzywiła się z poczuciem winy.

– To było strasznie głośne. Nie jestem przyzwyczajona do...

Klodia nie usłyszała końca jej odpowiedzi. Dźwięk fletów wywołał entuzjazm widzów z plebsu. Między wysokimi łukami kulis pojawili się w strojach wschodnich, na dromaderach, dwaj perscy barbarzyńcy. Wjechali na scenę, prowadząc żyrafę. Zwierzę chwiała się na nogach, mrugało oczami, wodziło przestraszonym wzrokiem. Klodia pokazała Ulpii schody, przy których znajdowało się najbliższe *vomitorium*. Tłoczyli się tam wchodzący i wychodzący widzowie.

– Chodźmy – powiedziała Klodia. – Nie musisz oglądać dalszego ciągu.

Ulpia obdarzyła ją pełnym wdzięczności uśmiechem.

Żeby nie zgubić się w tłoku, chwyciła skraj tuniki Klodii tak mocno, jakby wciągano ją do rwącej rzeki.

\* \* \*

W sklepiku przed teatrem Klodia kupiła podłużne ciasteczka z figami. Ulpia skosztowała jedno z charakterystyczną dla niej delikatnością.

Przechadzały się razem po ogrodzie prowadzącym z teatru do świątyni Apollina i Diany. Dalej znajdowały się schody łączące ogród z miastem. Był piękny wiosenny dzień. Kwiaty wiśni i krzewów nieszpółki zwabiały latające nad nimi z wdziękiem motyle. Roje owadów szumiały nad żywopłotami z cyprysów, a ich pyłek wiatr rozwiewał w złotawych obłoczkach. Świergot wróbli i piski jaskółek nakładały się na krzyki i śmiechy, które znów wypełniły wysokie arkady teatru. Widocznie po pokazie zwierząt na scenę ponownie wyszli aktorzy.

Klodia wybuchnęła śmiechem na wspomnienie niedawno oglądanych groteskowych scen, po czym westchnęła:

– Szkoda, że aktorzy ci się nie spodobali. Nie byli aż tacy wulgarni.

– Trochę mnie rozbawili – zaprotestowała Ulpia nieśmiało. – Po prostu nie jestem przyzwyczajona... – Rozejrzała się swymi jasnymi oczami po ogrodzie, jakby szukała czegoś, co pomogłoby znaleźć słowa, które nie mogły jej przejść przez gardło. – Nie jestem

przyzwyczajona do czegoś takiego – zakończyła cicho.

– Ale z ciebie niewiniątko! – zażartowała Klodia.

Ulpia popatrzyła na nią z wymówką.

– Mój ojciec nie cierpiał fars. Nigdy nie chciał mnie na nie zabrać. Mówił, że to teatr dla plebsu i niewolników. Lubił tylko greckie sztuki, grane w języku greckim.

Klodia roześmiała się w głos, szczerze rozbawiona.

– Twój ojciec, znakomity żołnierz Rzymu, był starym człowiekiem. A ty nie masz nawet dwudziestu lat.

– Och, jestem bardzo zadowolona, że przyszedłam tutaj z tobą odparła Ulpia, starając się nie okazać, jak wielką przykrość sprawiły jej te słowa o ojcu.

– W każdym razie – nie ustępowała Klodia – miło było popatrzeć na tych aktorów. Niewolnik, który grał rolę Manducusa, kiedy stanął nagi bez swojego śmiesznego stroju, robił niezłe wrażenie, nie uważasz?

Rumieniec na policzkach Ulpii wystarczył za odpowiedź.

– Nie powiesz mi, że nie lubisz mężczyzn?

– Nie wiem. Jeśli... Och! Dlaczego mówisz takie rzeczy? Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

Klodia pogłaskała ją po policzku.

– Nie gniewaj się! Przekomarzam się z tobą. Nie ma w tym nic złośliwego.

Na twarzy Ulpii pojawił się żaloszny uśmiech. Klodia uniosła jej podbródek. Przytuliła dziewczynę do siebie i całując ją w policzek, zaszeptała do ucha:

– Zapewniam cię, że nie było w tym nic złośliwego.

Lubię cię i przekomarzam się z tobą jak z siostrą.

Gdy się od siebie odsunęły, wzrok Ulpii błyszczał nadzieją, a Klodia wyczytała w nim bez trudu, że dziewczyna chciałaby bardzo, aby były siostrami.

Bez słowa objęła ją w talii i pociągnęła na schody. Szły tak razem jakiś czas w milczeniu.

Ulpia miała zgrabną sylwetkę. Była dość niska i ramieniem sięgała Klodii do piersi. Smukła w pasie, ale dość szeroka w biodrach. Drżała z radości, gotowa oprzeć głowę na ramieniu „starszej siostry” Klodii. Młode dziewczę, jeszcze nieświadome darów, jakimi obdarzyła ją Wenus.

Nieśmiałość jednak już ją opuściła. Idąc tak w poufałym objęciu z Klodią, nie czuła strachu przed ludźmi spieszącymi do teatru na ostatnie tego dnia farsy.

Kiedy znalazły się na górze schodów, Klodia znieruchomiała. Biało-czerwone Nikopolis z forum i biegnącymi wokół niego wąskimi uliczkami, zabudowanymi dużymi domami z wielkimi ogrodami, rozciągało się w kierunku Dunaju, widocznego wśród zieleni topolowych lasów, z szerokimi, wolno płynącymi odnogami, będącymi zapowiedzią delty tej rzeki.

Klodia wydała okrzyk zachwytu.

– Mieszkam tutaj już cztery miesiące i nawet nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa! To miasto jest o wiele piękniejsze od Sirmium, gdzie się urodziłam. I tyle w nim życia. Tu stale dzieje się coś nowego. Teatr, wyścigi, muzyka...

Ulpia znowu spoważniała. Oglądała ten widok bez entuzjazmu.

– Nie znajdują w nim nic nadzwyczajnego. Można się tu zanudzić jak wszędzie. Latem jest bardzo gorąco, a zimą ciągle się marznie.

Klodia pomyślała z rozbawieniem, że Ulpia, mówiąc to, naśladuje starszego, zblazowanego człowieka, podczas gdy ma buzię dziewczynki i umysł dziecka. A przy tym z pewnością nie zdaje sobie sprawy, że ta głupiutka niewinność czyni ją bardzo pociągającą.

Ulpia wyczuła w jej wzroku ironię. Zagryzając wargi, dodała:

– Być może tak myślę, bo tu się urodziłam. Ojciec nie lubił zbytnio Nikopolis. Stale powtarzał, że moja zmarła matka nienawidziła tutejszych zim. Pewnie dlatego, że często chorowała.

– Pamiętasz ją? – zapytała Klodia.

– Niewiele. Byłam bardzo mała, kiedy umarła.

– Biedna Ulpia... Biedna mała Ulpia!

Ulpia odwróciła się z oczami pełnymi łez.

– To szczerą prawdą, co mówiłam ci wczoraj – powiedziała Klodia łagodnie. – Teraz, kiedy pozostałaś sama, chciałabym, żebyś uważała naszą rodziną za swoją. To znaczy Aureliana i mnie. A gdybyś znała moją matkę, też byś ją polubiła.

Klodia zamilkła, pocałowała ją lekko w powieki i trzymając za rękę, poprowadziła na schody.

– Czy wiesz, że Aurelian wraca? Pokonał Gotów

w czterech bitwach.

– O tak! Słyszałam o tym! – odrzekła Ulpia z entuzjazmem. – Mówią też, że trzeba będzie zbudować dwa nowe obozowiska dla gockich niewolników, bo tylu wziął jeńców.

Klodia uśmiechnęła się.

– Co myślisz o nim? – zapytała.

– O nim?

– O Aurelianie. O wodzu Aurelianie...

Ulpia znowu się zaczerwieniła. Ale mniej było w tym nieśmiałości, niż wtedy gdy chodziło o nagiego, pokrytego woskiem aktora.

– Mój ojciec bardzo go lubił. I chyba jeszcze bardziej podziwiał. Słyszałam, jak mówił, że nie widział w swoim życiu lepszego rzymskiego żołnierza. Niedługo przed śmiercią kiedy dowiedział się, że cesarz wyznaczył Aureliana na swego następcę, złożył bogom bogate ofiary w podzięce.

Ulpia nie zachowywała się już jak głupiutkie dziecko. Spoważniała, wspominając ojca.

– A ty, Ulpio, co ty o nim myślisz?

Zeszły kilka stopni w dół, zanim padła odpowiedź, wypowiedziana szeptem przepełnionym emocją.

– Moim zdaniem on jest jak ci bohaterowie, których imiona wypisuje się na murach. Tobie może wydać się to głupie, bo jesteś jego siostrą, ale ja uważam go za niezwykłego człowieka.

Klodia zawahała się rozbawiona i jednocześnie



zakłopotana.

– Może masz rację. Moja matka... To tajemnica, której na razie nie wolno nikomu zdradzić, bo Aurelian wpadnie we wściekłość.

Ulpia spojrzała na nią wzrokiem pełnym wdzięczności i podniecenia.

– Umiem dotrzymać tajemnicy – szepnęła.

– Matka twierdzi, że Aurelian pewnego dnia zostanie cesarzem. Dzięki kobiecie stanie się wielkim Augustem, a nie jednym z tych marionetkowych władców, którzy pojawiają się i znikają już w następnym sezonie.

– Ja też uważam, że byłby dobrym cesarzem – szepnęła Ulpia.

Klodia, obserwując uważnie twarzyczkę Ulpii, łatwo odgadła rodzące się w niej marzenie. Zaśmiała się z wyraźną ironią.

– A czy podoba ci się on jako mężczyzna?

– Och!

– Jego twarz, jego ciało... Przecież jest człowiekiem z krwi i kości jak wszyscy ludzie. – Próbowwała narzucić Ulpii żartobliwy ton, ale bez skutku. Uzyskała tylko tyle, że dziewczyna znowu spłonęła gorącym rumieńcem. – Daj spokój, Ulpio, nie rób z siebie dziecka. Jesteśmy dorosłe. Stałaś się już kobietą i to piękną, muszę przyznać. My, kobiety, zawsze mamy jakieś zdanie na temat wyglądu mężczyzn.

– O co ci chodzi?

– A czy chciałabyś wyjść za niego za mąż?

Ulpia otworzyła szeroko oczy. Był w nich zachwyt. Szczerzy zachwyt dziecka. Klodia uśmiechnęła się w duchu. Nie ulegało wątpliwości, że młodziutka, niewinna Ulpia chciałyby poślubić herosa.

## ANTIOCHIA

– Prokuratorze Makrianusie! Jeszcze trzy dni!

Chrześcijański biskup Dymitrios nie miał w sobie już nic z bogatego, zadbanego patrycjusza. Długa toga ciągnęła się po ziemi. Poblady, z błagalnym wyrazem twarzy, załamywał ręce. Przerażonymi oczyma wodził od stosu do oblicza namiestnika. Eliusz domyślił się, że biskup był już gotów paść na kolana ku ogromnej radości Makrianusa.

Prokurator, w hełmie, w za dużym na niego wojskowym rynsztunku, siedząc sztywno na wozie, z którego nie schodził, odkąd wjechali na teren siedziby chrześcijan, z nieugiętym wyrazem twarzy i nieskrywaną pogardą odrzekł:

– Za późno, Dymitriosie. Za późno. Dziś to nie jutro, a twoje ręce są puste.

– Bądź sprawiedliwy, prokuratorze! Brakuje tylko pięćdziesięciu tysięcy denarów. Całą resztę przekazałem twoim poborcom. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy. W monecie z Emesy, która jest najbogatsza w złoto. Przecież o tym wiesz... – Czteryście pięćdziesiąt, Dymitriosie, to nie pięćset.

– Gdzie miałem znaleźć tyle pieniędzy w tak krótkim czasie? Przysięgam przed moim Bogiem. Poproś cesarza

jeszcze o trzy dni...

Od strony portyku otaczającego wielki ogród z basenami i drzewami cytrusowymi, których kwiaty rozsiewały wokoło przyjemną woń, dały się słyszeć jakieś krzyki. Legioniści ustawiali tam grupkami mieszkańców domu, młodych i starych, panów i służących, niewolników i wolnych Rzymian. Konieczne okazało się rozdawanie razów pikami. Piskliwe krzyki kobiet. Zamęt. Eliusz wydał rozkaz żołnierzom, aby pomogli legionistom prokuratora. Jednak od grupy oderwał się jeden człowiek, wyrywając się tym, którzy go przytrzymywali, i usiłującym go złapać Rzymianom. Odszedłszy kilkanaście kroków, poczekał, aż otoczą go legioniści.

Eliusz już zdążył go rozpoznać. Podobnie jak Makrianus, który z wysokości swego wozu westchnął z zadowoleniem:

– A oto i on! Wiedziałem, Dymitriosie, że jeszcze jest wśród twoich ludzi.

Dymitrios odwrócił się i blady na twarzy wpatrywał się w człowieka, którego legioniści popychali w ich kierunku.

Stojący pod portykiem zawołali:

– Szymonie! Szymonie! Niech Bóg ma cię w swej opiece!

Makrianus spojrzał na Eliusza pełnym satysfakcji wzrokiem. Końcem bata zdzielił Dymitriosa po plecach, by się do niego odwrócił.

– Co ci dadzą te trzy dni? – zapytał z ciekawością.

Na twarzy Dymitriosa przerażenie ustąpiło znowu miejsca nadziei.

– Sześć moich dwupokładowych okrętów przy pływa do Aleksandrii. Za trzy dni wejdą do portu w Antiochii.

Makrianus uniósł brwi z niezdecydowaną miną. Czując na sobie spojrzenie Eliusza, zaśmiał się.

– Nasz August ma rację, prefekcie. Ci ludzie są bogatsi, niż nam się wydaje.

Wahanie Makrianusa również nie uszło uwagi Dymitriosa. Chwycił się kół wozu i powiedział znacznie silniejszym, pewniejszym tonem targującego się kupca:

– Ich ładunek wart jest ponad pięćdziesiąt tysięcy denarów. Oliwa, tkaniny, wino i zboże. Cała moja flota będzie należała do ciebie, Makrianusie. Trzy dni i będziesz bogaty. – Dymitrios odwrócił się do Eliusza i dodał: – Oczywiście i ty także, prefekcie.

Te słowa wpłynęły ostatecznie na decyzję Makrianusa. Jego małe oczka zabłyśły. Nie lubił się z nikim dzielić.

– Za późno, Dymitriosie. Twoje okręty powinny były dobić dzisiaj. Jeśli w ogóle dopłyną do Antiochii.

Rękojeścią bata wskazał na więźnia, którego prowadzili legioniści, wsunawszy pikę między jego związane na plecach ręce, co zmuszało go do pochylenia się.

– Stos już wystarczająco długo czeka na twoim dziedzińcu. I ten człowiek na nim spłonie.

Jak przewidywał Eliusz, Dymitrios padł na kolana. Nie zdążył jednak wyrzec ani jednego błagalnego słowa.

– Nie! Nie, biskupie! Wstań! Nie klękaj przed nim! – Przygarbiony, uchylający się przed pięściami legionistów Szymon podniósł głowę z gniewem na twarzy. – Nie grzesz, Dymitriosie! Nie zapominaj, że klękamy tylko przed naszym Bogiem!

Dymitrios wstał, ciężko oddychając, ze łzami w oczach.

– Szymonie, oni spalą cię na stosie.

– Taka jest wola Boga. To on doprowadził mnie tutaj. Ale ty jesteś naszym biskupem. Nigdy nie klękaj przed Rzymianami!

Dymitrios coś wybąkał, ale Szymon mówił dalej:

– Nie okazuj słabości. Nie ustępuj im. Nie płąć więcej. Nie zawdzięczamy Rzymianom nic, a zwłaszcza nie zawdzięczamy im życia.

Dymitrios chciał do niego podejść, ale Makrianus uderzył go batem.

– Dość tego, Dymitriosie. Nie spodziewaj się już niczego ode mnie. Odprowadźcie go wraz z innymi.

Kiedy dekurion chwycił Dymitriosa, Eliusz dostrzegł pełen ulgi uśmiech na twarzy Szymona. Chociaż broda i rozczochrane włosy nadawały mu wygląd szaleńca, w jego wzroku był spokój, opanowanie i ani cienia lęku.

Bardziej do siebie niż do Makrianusa Eliusz powiedział:

– To on, nie ma najmniejszej wątpliwości.

W przeszywającym spojrzeniu chrześcijanina pojawiła się ironia, taka sama pogarda, jaka błyszczała w oczach

złodzieja z Dura-Europos. Eliusz długo nie mógł zapomnieć spojrzenia tego człowieka, który zrzucił go z konia i uderzył, kiedy nie mógł się bronić.

Teraz poczuł, że zalewa go fala nienawiści. Wydobył miecz i przyłożył go do gardła chrześcijanina.

– Pamiętasz, co ci przyrzekłem, kiedy zrzuciłeś mnie z konia, żeby uciec z dziewczyną, którą przed chwilą zgwałciłeś?

– Nie! – krzyknął Szymon, podrywając się tak gwałtownie, że legioniści z trudem go przytrzymali. Ostrze miecza zadrasnęło mu policzek.

– Nie? – rzekł Eliusz z uśmiechem.

– Nie, Rzymianinie! To twoi ludzie ją zgwałcili. To ich dzieło.

Eliusz zawahał się.

– Ale to tobie przyrzekłem, że odeślę cię do czeluści piekielnych.

I teraz dotrzymam obietnicy. – Odwrócił się ze śmiechem do Makrianusa: – Czy to nie komiczne, prokuratorze? Ten człowiek ukradł mi konia, żeby uciec przed płomieniami, a teraz w nich zginie. Jego bóg niezbyt długo go chronił.

Szymon nawet nie mrugnął okiem. Nie zwracając uwagi na krew, ściekającą mu aż do ust, spokojnym głosem powiedział:

– Mylisz się, Rzymianinie. On jest tutaj. Chroni mnie, dzięki Niemu płomienie będą dla mnie tak słodkie jak pieszczoty.

Rozwścieczony Eliusz zerwał z szyi Szymona zawieszony na skórzanym rzemyku srebrny medalion w kształcie ryby.

– Zachowam go jako pamiątkę po tobie.

– Zapamiętaj przede wszystkim moje imię. Szymona z pustyni. Jeszcze o nim usłyszysz. A jeśli zapomnisz, nasz Pan Bóg przypomni ci o nim.

– Jaki bóg? – zadrwił Eliusz. – Nie widzę go ani nie słyszę. Zaraz umrzesz, a on cię opuścił. Ofiaruje ci tylko łązy twoich współwyznawców.

– Nie wiesz nic o życiu i śmierci, Rzymianinie. Nie rozumiesz świata, w którym oddychasz. Przybiłeś Chrystusa do krzyża, a On mimo to żyje. Jego życie przechodzi z życia na życie, z ust do ust. I nie jesteś w stanie temu przeszkodzić. Twój cesarz jest głupcem! Chce nas zniszczyć, a daje nam siłę do znoszenia cierpień.

– Roześmiał się. I chociaż pozycja, w jakiej trzymali go strażnicy, sprawiała mu ból, jego śmiech był lekki, radosny. Z brodą zlepioną krwią, z płonącymi czarnymi oczami bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na szaleńca. Odwrócił się do Makrianusa: – Zabij mnie, śmierć jest dla mnie błogosławieństwem. W rzeczywistości otwierasz przede mną znacznie lepsze życie. Biedaku, ślepy i głuchy na prawdę tego świata.

Makrianus, uderzając batem w bok wozu, rozkazał:

– Dość tego! Prowadźcie go na stos. Przekonamy się, czy tum też będzie wygłaszał te idiotyzmy. – Zwrócił się do Eliusza, dodając ze znużeniem: – Ci chrześcijanie,



prefekcie, znani są z gadulstwa. Poza złotem niczego bardziej nie uwielbiają niż słowa.

\* \* \*

Stos stał już od kilku dni na środku dziedzińca domu Dymitriosa. Na rozkaz Makrianusa wzniesli go sami chrześcijanie i to oni mieli dostarczyć słomę, smołę i chrust.

Skazaniec stał wyprostowany w płomieniach. Uniesiona do góry twarz nie zdradzała strachu. Pozostali chrześcijanie, klęcząc tuż za plecami Dymitriosa, który do nich dołączył, modlili się i śpiewali.

Eliusz nie przepadał za takimi widowiskami. Ale obecność Makrianusa, który spoglądał na niego z nieukrywaną drwiną, nie pozwalała mu odwrócić się.

– Pierwszy raz asystujesz przy stosie, prefekcie? – Za każdym razem, gdy Makrianus używał w stosunku do niego nowego tytułu, w jego tonie wyczuwało się lekką kpinę. Eliusz kiwnął głową. – Wszystko musi zdarzyć się kiedyś pierwszy raz – dodał z uśmiechem, od którego zmarszczyła się jego chuda twarz.

Ze stosu wytrysnęły do góry iskry. Na krótką chwilę na widok płomieni urwał się śpiew chrześcijan. Głos Szymona rozległ się z taką siłą, że najbliżej stojący legioniści aż się cofnęli.

– Jam jest alfa i omega, powiada Pan. Jam jest ten, który był i który będzie. Wszechmocny!

Chrześcijanie zgodnym chórem odrzekli amen, po czym podjęli znowu swój śpiew.

– Czy ci nie mówiłem? – rzekł Makrianus. – Oni nie potrafią milczeć.

Języki ognia pojawiły się z drugiej strony stosu. Zaczęły pochłaniać wszystko dokoła.

– Zaraz robi się bardzo gorąco – odezwał się znowu Makrianus. – Zawsze się zastanawiam, czy ci głupcy umierają usmażeni, zanim ogień spali ich na popiół.

– Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, namiestniku. – W tonie Eliusza słychać było rozdrażnienie.

– Nasz August bardzo nalegał, żebyś był przy tym obecny – odrzekł Makrianus z drwiącą miną. – Ponieważ ten szaleniec wyrządził ci krzywdę, potraktuj to jako rodzaj podarku.

Nagle dym zgęstniał. Zrobił się bardzo żółty i nieprzejrzysty, unosząc się kłębamii nad wiązkiami chrustu. Wiatr był za słaby, żeby go rozegnać. Wydawało się, że zdusi płomienie, zanim zdąży ulecieć do nieba, skąd ptaki zaczęły już uciekać.

Sylwetka skazańca była ledwie widoczna. Makrianus i Eliusz usłyszeli jego kaszel.

– Pewnie dali za dużo smoły – rzekł Makrianus. – Niewykluczone, że celowo. Żeby się udusił, zanim się spali. Nic jest to dobry pomysł. I tak zdąży poczuć płomienie.

W tym momencie dał się słyszeć z dymu głos Szymona, jeszcze wyraźniejszy i silniejszy niż przedtem:

– Jam jest Szymon, który grzeszył na pustyni. Jam jest Szymon, który idzie do Ciebie, Synu Boga, który powiadasz... – Urwał z powodu kaszlu. I znowu zawołał: – Nie zapominajcie! Chrystus powiedział: „Wypowiem im wojnę... A oreżem będą moje usta!...”.

– Nawet taki dym nie przeszkadza mu wydzierać się – zdziwił się Makrianus, na którym zrobiło to duże wrażenie.

Płomienie ognia trawiły teraz wiązki chrustu. Przez czarny dym przedarł się znowu ochrypły, straszny krzyk.

– Ty, który masz oczy niczym płomienie ognia!... Ty, który masz stopy niczym z brązu... Och! Siedem tchnień...

Tego zdania już nie dokończył. Rozległ się tylko trzask płomieni, płacz i śpiew chrześcijan.

Eliusz jednak miał wrażenie, że usłyszał jeszcze jeden krzyk. Nadal ścisnął w ręce wisior, który zerwał z szyi tego chrześcijanina. Z niesmakiem wsunął medalion pod pancerz.

Dym szedł teraz prosto w górę, ku błękitnemu niebu Antiochii. Makrianus odchrząknął i powiedział:

– Świetnie sobie poradziłeś z cesarzem, prefekcie. Zresztą potrafisz poradzić sobie z każdym. Na tym polega twój wdzięk, muszę to przyznać.

– Czy mam traktować to jako wyrzut, prokuratorze?

Makrianus nie odpowiedział od razu. Chrześcijanie, pilnowani przez strażników, zbili się w gromadkę i jęczeli, niezdolni kontynuować śpiew. Legioniści nie szczędzili im razów kijami.

Makrianus, upewniwszy się, że strażnicy zbyt są zajęci

skazańcem, żeby ich słyszeć, odrzekł:

– Nie bądź zarozumiała, Eliuszu. Jeszcze możesz mnie potrzebować. Walerian lubi otaczać się młodymi oficerami, ale nie lubi u nich słabości. Jest bardziej nieufny niż dawniej. Stale wyobraża sobie, że ktoś zastawia na niego pułapki. Potrafi zmienić zdanie między wieczorem a rankiem. Zwłaszcza w stosunku do ludzi nowo mianowanych.

– Nie zapominam, Makrianusie, co ci jestem winien – mruknął Eliusz. – Możesz na mnie polegać. Czy cię kiedyś zawiodłem?

Płomienie były już tak wysokie, że grzały na dwadzieścia kroków od stosu. Makrianus zarechotał, wskazując brodą na ognisko.

– Każdy człowiek zmienia się w którymś momencie, Eliuszu. Spójrz na tego tutaj. Właściwie trudno go już rozpoznać. – Potem trochę ciszej dorzucił: – Liczę na ciebie jak Dymitrios na swoje okręty, nie będąc nigdy pewnym, czy przyłyną wtedy, kiedy będą mu potrzebne.

Eliusz odwrócił się tyłem do stosu. Została w nim już tylko jedna wiązka chrustu.

– Będę tam, kiedy zajdzie taka potrzeba, prokuratorze. To, że zostałem mianowany prefektem Palmyry, jest dobre zarówno dla mnie, jak i dla ciebie.

Makrianus milczał. Chrześcijanie podbiegli do ogniska, padli na kolana i zaczęli znowu śpiewać swoje psalmy. Niektórzy znaleźli się tak blisko ognia, że zajęły się ich włosy. Prokurator pokiwał głową z niesmakiem.

– Czy to prawda – zapytał szeptem – że zdarza ci się sypiać z Hayranem, synem króla Palmyry?

Eliusz odrzekł z nikłym uśmiechem:

– Rzymianin sypia tylko z człowiekiem wolnym, Makrianusie.

– Ten jest przede wszystkim barbarzyńcą, a potem dopiero Rzymianinem. I nieważne, czy to syn króla, czy nie. Twój błąd nie byłby taki wielki...

– Hayran jest jedynym synem Odenatusa. Zostanie kiedyś królem Palmyry. Tego dnia będziesz ze mnie zadowolony, prokuratorze Makrianusie.

Makrianus rzucił mu ostre spojrzenie.

– Przecież powiadomiłeś Waleriana, że Odenatus chce pojąć nową żonę?

– Może Odenatus pragnie mieć drugiego syna, ale i tak to Hayran będzie po nim dziedziczył.

Zamilkli, słuchając ostatnich trzasków płomieni, zawodzenia chrześcijan, pokrzykiwania dekurionów, którzy zaprowadzali porządek w oddziałach.

– Sprawy potoczą się zgodnie z twoją wolą, prokuratorze – dodał spokojnie Eliusz. – Odenatus nie jest podejrzliwy, a jego syn nie marzy o niczym innym jak tylko o tym, żeby zająć miejsce ojca. Tak jak ty marzysz, żeby zająć miejsce Augusta.

– Ten dzień jeszcze nie nadszedł, prefekcie. Nie bądź jak chrześcijanie, którzy napawają się słowami. Ten twój królewski synalek jest jeszcze niecierpliwym młodzieniaszkiem, a nasz August nie zamierza umierać.

Eliusz potrząsnął głową.

– Nie trać ducha, prokuratorze. Jeśli zdołasz przekonać Aksteksa, bogowie będą z nami.

Nagle na pomarszczonej twarzy Makrianusa pojawił się wyraz uległości.

– Przechwyć okręty Dymitriosa – dodał jeszcze Eliusz suchym i uszczypliwym tonem – Kto może ci w tym przeszkodzić? Będzie złoto, a nie słowa.

## JEZIORO HARBA

Nurbel dwa razy krótko gwizdnął. Pokazał ręką gęstwinię akacji i karłowatych krzewów, porastających skarpe, przy której przykucnęli.

Ostrzeżenie było niepotrzebne. Zenobia sama już zobaczyła.

Dość daleko, ale w zasięgu łuku, między bladymi liśćmi i suchymi gałęziami dwa razy pojawiło się cętkowane futro.

I znikło.

Zenobia nie poruszyła się, przeszukując wzrokiem zarośla na trasie, którą powinien przejść drapieżnik. Tym razem wśród liści mignęła zaledwie brązowozłota plama. Zatrzeszczały kolczaste krzaki u stóp kamienistego zbocza, wyznaczającego brzeg jeziora. Zerwała się i uleciała w powietrze para skrzeczących srok.

Nurbel ponownie gwizdnął, naśladując gruchanie turkawki. Dał Zenobii znak, by poszła za nim. Zwinnie i cicho wycofał się w kierunku koni przywiązanych do martwych drzew za Sharpą. Zenobia, z mocno bijącym sercem, prześlizgnęła się jego śladem.

Od dziewięciu dni, kiedy opuścili Palmyrę, nie wystrzeliła ani jednej strzały, nie trafiła żadnego zwierzęcia ani ptaka. Wszyscy inni, Najjaśniejszy Pan,

Hayran i jego pupile, pięćdziesięciu dworzan i sam Nurbel, dowiedli swojej zręczności, zabijając gazy, rysie, lisy lub dziki, z których jednego trzeba było ścigać cały dzień.

Minęło dziewięć dni spędzonych daleko na zachód od Palmyry, nad brzegami jeziora Harba, tak suchych jak usta człowieka spragnionego wody.

Po raz pierwszy w polowaniu brały udział kobiety. W związku z tym trzeba było podwoić liczbę służących. Namioty dla kobiet rozstawiono z dala od namiotów dla mężczyzn w specjalnie do tego wyznaczonym obozowisku, którego strzegli gwardziści Najjaśniejszego Pana. Wraz z Aszemu jechało również kilkanaście niewolnic, a wśród nich Dinah, której Zenobia nie chciała zostawić samej na dworze kobiet pod okiem nienawidzącej jej Ofali.

Jedynie Zenobia towarzyszyła mężczyznom od samego świtu. Nurbel uprzedził ją, że żaden z mężczyzn, ani on sam, ani Najjaśniejszy Pan nie mają prawa odezwać się do niej słowem.

Odenatus przestrzegał tego zakazu. Zadowalał się tylko obserwowaniem swej przyszłej żony z taką uwagą z jaką oglądał kamień lub krzak. Było to spojrzenie myśliwego, cierpliwe, badawcze.

Zenobia zdawała sobie sprawę, że starał się ją rozszyfrować tak, jak czytał prawie niewidoczne w pyle i wśród krzaków tropy zwierząt.

Nurbel nie miał powodów do dumy ze swej uczennicy. Rozczarowanie starego wojownika było tak wielkie, że od



dwóch dni wcale go już nie ukrywał. Oczy mu pociemniały. Porozumiewał się z Zenobią tylko znakami i gwizdaniem. Trzymał się coraz dalej od niej. Wieczorem, kiedy zdejmowała derkę z Yedkivina, nawet nie życzył jej dobrego snu.

Wiedziała dlaczego.

Nurbel miał całkowicie rację.

Przez dziewięć dni nie wypuściła ani jednej strzały.

Wiele razy przebiegały przed nią gazy na tyle blisko, że mogłyby ruszyć w pościg za nimi. Za każdym razem do polowania dołączał się Hayran ze swymi pupilami. Za każdym razem widziała złote kolczyki w uszach gwałciciela Hedaja. Wiedziała, że gdyby wyjęła strzałę z kołczanu, trafiłaby ona w kark Hedaja.

Ale jakiś wewnętrzny głos szeptał: „Nie w ten sposób, nie teraz”.

Ściągała więc wodze, zmuszając Yedkivina do drobnego galopu i powiększając w ten sposób odległość pomiędzy nią a resztą myśliwych.

Poprzedniego dnia bardzo blisko przebiegła hiena, ale Zenobia nawet nie naciągnęła łuku.

Nurbel odwrócił się czerwony ze złości.

Mogło się wydawać, że Zenobia nie lubi widoku krwi. Że boi się pościgu za zwierzęciem i walki z nim.

Możliwe, że Dostojny Odenatus rozmawiał z Nurbelem właśnie na ten temat wieczorem podczas kolacji przy ognisku.

Zenobia myślała o tym całymi nocami, które nie

dawały wytchnienia jej ciału, obolałemu od długiej jazdy na koniu. Rozpamiętywała stracone okazje, zastanawiała się, co przyniesie nowy dzień i czy starczy jej odwagi.

Nie po to, żeby zabić zwierzę, ale Hedaja.

Powracający obraz połyskujących kolczyków przyprawiał Zenobię o mdłości.

Hayran i Hedaj drwili sobie z niej otwarcie, zanim jeszcze dotarli do brzegów jeziora Harba. Mieli już na koncie dużo upolowanej zwierzyny. Hedaj jechał na koniu z wdziękiem i pewnością siebie. Strzelał celnie i daleko. Trzy razy galopował jej naprzeciw, żeby wystraszyć Yedkivina. Wbijał się w Zenobię swymi błyszczącymi, obwiedzionymi czarną barwiczką oczami.

Nie wytrzymała jego wzroku. Widziała tylko kolczyki, które Dinah tak dokładnie opisała.

Czasami, kiedy śmiał się głośno, Zenobia nie miała wątpliwości, jakie żarty mógł czynić na jej temat.

Nurbel, który na początku wymagał szacunku dla niej i starał się ich trzymać z dala, w końcu pozwolił im robić, co chcą. Nurbel zważył w nią.

Tego rana Zenobia po raz pierwszy wyczytała we wzroku Nurbela wstyd.

Tak samo jak rano przed wyjazdem wyczuła lęk w milczeniu Dinah i Aszemu.

Ale teraz Nurbel, gdy dotarli do koni, odwrócił się i z twardym wyrazem twarzy szepnął:

– Ta samica jest dla ciebie...

– Dopadnę jej, Nurbel.

– Musisz albo ośmieszysz mnie na zawsze w oczach Najjaśniejszego Pana.

– Obiecuję.

– Ona nie da się tak łatwo upolować. Ma chyba cztery lub pięć lat. Musi ważyć ponad sto funtów, może sto pięćdziesiąt. Jeśli chybisz, zaatakuje ciebie. Będzie chciała twojej śmierci tak, jak ty pragniesz ją zabić.

Zdenerwowanie Yedkivina świadczyło, że zwęszył zwierzę. Zenobia poklepała uspokajająco konia po łbie, ściągając wodze. Nurbel dodał:

– Jadę z zapasowymi końmi z tyłu za tobą. Nie zapominaj, że Najjaśniejszy Pan cię obserwuje.

Zenobia uśmiechnęła się w odpowiedzi i ścisnąwszy konia piętami, pomyślała, że pozostali też śledzą ją wzrokiem.

\* \* \*

Zanim jeszcze pantera usłyszała drżenie ziemi pod kopytami Yedkivina, wyczuła, że polowanie się zaczęło.

Za wysoką skarpą, okalającą brzeg jeziora, otwierała się rozległa, porośnięta suchymi trawami równina, przechodząca stopniowo w pustynię. Brzegi jeziora pokrywały resztki zielonej roślinności. Było tam dużo królików i ptaków. Drapieżniki przychodziły tu pić, polować, odpoczywać w cieniu krzaków i gęstych zarośli. Dawały dobrą kryjówkę, ale utrudniały pościg.

Kiedy Yedkivin wynurzył się, łamiąc gałęzie akacji,

pantera wybiegła z gęstwiny, w kilku susach przeskoczyła skarpe i pognąła na równinę. Zenobia klepnęła Yedkivina po zadzie. Wierzchowiec i jeździec wjechali między spalone trawy jednocześnie z panterą, która wyprzedziła nieznacznie Zenobię i miała lepszy widok na teren, by lepiej ocenić swoje położenie.

Nurbel, poganiając głośnym krzykiem zapasowe konie, wjeżdżał już na skarpe. Dalej, na lewo, Odenatus i jego orszak rozproszyli się małymi grupkami wzdłuż jeziora. Usłyszawszy nawoływania Nurbela i widząc galopującego Yedkivina, pojęli, co się dzieje.

Z krzykiem puścili konie w galop, tworząc długą linię prostopadłą do brzegu jeziora, aby przeszkodzić panterze w ucieczce na południe.

Zenobia, ciężko oddychając, przestała już myśleć o Hedaju. Ogarnęła ją gorączka polowania. Pełna była podziwu dla piękna pantery. Jej bieg przywodził na myśl przesuający się błyskawicznie płomień. Niezwykłe zwierzę, którego dusza miała należeć jakoby do tego, kto zdoła je pokonać.

Zenobia zamierzała dotrzymać obietnicy. Nurbel nie będzie się już więcej jej wstydził.

\* \* \*

Pantera usiłowała zmęczyć Yedkivina szalonym biegiem. Robiła kolejne skoki, jakby miała niewyczerpany zapas sił.

Zenobia założyła na Yedkivina derkę, którą dostała od Nurbela. Grubo watowana derka miała skórzane pętle, w które jeździec mógł wsunąć stopy i unieść się do połowy, ściskając konia udami, przy czym nie hamował jego galopu, ale zmniejszał zmęczenie wierzchowca.

Pantera pędziła najpierw wzdłuż jeziora na północ, a potem nagle skręciła na zachód, gdzie nie spodziewała się żadnej przeszkody. Zenobia czekała już od jakiegoś czasu na ten manewr. Ryzykując, że samica zdobędzie nad nią dużą przewagę, pojechała ukosem, oddalając się także od jeziora.

Zenobia pokrzykiwała zachęcająco na Yedkivina. Przez chwilę miała nadzieję, że pantera znajdzie się na tyle blisko, że będzie mogła do niej strzelić. Taki strzał wymagałby niemałej zręczności. Znikło uczucie zmęczenia, które przedtem zaczęło się jej dawać we znaki ostrymi bólami w udach i plecach.

Jedną ręką trzymając się białej grzywy Yedkivina, drugą zsunęła z ramienia łuk. Koń sam z siebie przyspieszył biegu, jakby upajał się długim galopem.

Może pantera zauważyła, że koń zwiększył szybkość? Może Zenobia za głośno dodawała mu odwagi? Dość że zahamowała w biegu tak gwałtownie, że pazurami wznieciła kurz.

Przez ułamek sekundy stała nieruchoma, dysząc bokami, ukazując białe kły w otwartym pysku. Nastawiwszy okrągłe, puszyste uszy, wpatrzyła się w Zenobię zielonymi oczami. Widziała innych myśliwych

pędzących daleko z tyłu i czuła drżenie ziemi wywołane ich galopem, Zenobia napinała już łuk z umieszczoną na cięciwie strzałą.

Pantera jednym skokiem rzuciła się do ucieczki w przeciwnym kierunku, prosto na jezioro. Miała jeszcze wystarczająco dużo siły i odbiegła tak daleko, że strzała nie mogła już jej dosięgnąć.

Zenobia uśmiechnęła się w duchu. Przytuliwszy się do spoconej szyi Yedkivina, puściła się w pościg.

Jeszcze przed wyjazdem z Palmyry Nurbel ostrzegł ją:  
– Nie zapominaj, że drapieżnik jest nie tylko pięknym zwierzęciem, lecz także inteligentnym. Wie, czym jest polowanie, krew i śmierć. Zna różne sztuczki i mimo wyczerpania, nie przestaje myśleć. I jeśli nawet nigdy w swoim życiu nie był ścigany przez człowieka, jeśli nawet ani jedna strzała nie świsnęła nad jego karkiem, wie, czym grozi mu bliskość ludzi.

Zenobia jednak uznała, że pantera zrobiła błąd. Nad jeziorem łatwiej będzie ją dogonić.

Zamierzała zwolnić, poczekać na Nurbela i zmienić w biegu konia.

Ale z tyłu za Nurbelem, w szeregu myśliwych, którzy byli najbliżej jeziora, dostrzegła błysk złota. Hedaj! Jeśli utrzyma ten kurs, to dopadną pantery jednocześnie. Zenobia wydała straszny okrzyk, szarpnąwszy wodze konia.

– Naprzód! Naprzód! Pędź Yedkivin! Nadeszła ta chwila, mój piękny. Nie zwalniasz! Stać cię jeszcze na

wiele.

Bieg pantery stał się wolniejszy.

Gdy dotarła do brzegu jeziora, skręciła na północ, a potem znowu na zachód. Niespodzianie znalazła się bardzo blisko, na lewo od Zenobii. Jednak biegła jeszcze za szybko, żeby strzała mogła w nią trafić. Pantera widząc, że Zenobia nie może jej przeciąć drogi, znowu zawróciła w kierunku jeziora.

Ciężko oddychając, czując ból w piersi, Zenobia wiedziała już, że się nie myliła. Pantera, którą zaczynało już zaślepiac zmęczenie, znalazła się w pułapce.

Yedkivin także opadał z sił. Jego galop zrobił się cięższy. Machając nerwowo głową gryzł wędzidło, zamiast spokojnie oddychać. Zenobia popędzała go piętami, spoglądając ku szeregowi myśliwych. Byli już tak blisko, że mogła rozróżnić twarze.

W tym momencie pantera zaczęła bezsensownie biec zygzakiem, zrobiła wiraż i pobiegła wprost na nią. Zenobia pomyślała, że zwierzę zamierza atakować.

Wciąż krzycząc, popędziła Yedkivina, wciągając tym sposobem ścigane zwierzę w potrzask.

Nieświadoma tego pantera znalazła się na odciętym przez zimowe deszcze brzegu jeziora, w którym utworzyły się błotniste, wąskie zatoczki.

Równina kończyła się tu nagle skalistym usypiskiem. Zawsze wąski pas nabrzeżny, porośnięty gęstą roślinnością, był teraz do połowy zatopiony.

Zenobia pomyślała, że pantera będzie musiała

zdecydować się na walkę z nią lub przeskoczyć na urwisko i uciekać w przeciwnym kierunku przez krzewy zalane wodą.

Widząc obserwujące ją zielone źrenice, umieściła strzałę na cięciwie łuku, nie zwalniając urywanego biegu Yedkivina, którego boki już się nieco zapadły.

Zdażyła tylko napiąć łuk.

Przepiękne futro znikło wśród czerwonych liści mirty. Falowanie gałęzi wskazywało, że pantera wbiegła w zatoczkę. Zenobia szarpnęła wodzami, tak by Yedkivin skręcił na skarpe między krzaki.

Zmęczony koń, z czarnym grzbietem pokrytym pianą, z otwartym pyskiem, ciężko sapał. Zaparł się przednimi nogami, kopyta ześlizgiwały mu się po kamieniach. Trząśł się cały, gdy próbował się cofnąć, by nie upaść. Watowana derka, na której Zenobia wspierała się jedną stopą, zakołysała się i wówczas zerwał się przytrzymujący ją ramię.

Yedkivin wierzgnął kopytami w powietrzu. Zenobia miała na tyle przytomności umysłu, że wypuściła z rąk wodze.

Tracąc oddech, spadła na plecy. Yedkivin odbiegł z cichym rżeniem. Spod jego kopyt wypryskiwały kamienie.

Zenobia potoczyła się w dół po osypującym się zboczu, smagana i drapana gałęziami krzaków, aż wreszcie zatrzymała się na pniach młodych akacji, z twarzą w błocie.



Usłyszała dochodzący z bardzo daleka krzyk Nurbela i jednocześnie ryk pantery.

Zerwała się na równe nogi, zapominając o bólu w plecach.

W lewej ręce wciąż trzymała łuk. Zostały jej już tylko dwie strzały.

\* \* \*

Potem wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie.

Zenobia rzuciła się między krzaki. Brnąc przez błoto, zapadała się po kolana. Domyśliła się, że Nurbel jest już na brzegu, lecz nie patrzyła w tamtą stronę. Wypatrywała przemykającego wśród krzewów cienia drapieżnika.

Główna grupa myśliwych, z Odenatusem na czele, ukazała się na wysokości skarpy. Wystraszona ich widokiem pantera niechętnie weszła do wody aż po brzuch.

Stanąła i, robiąc bokami od długiego biegu, podniosła łeb w kierunku myśliwych. Pojęła, że odcięli jej drogę odwrotu.

Skierowała wzrok ku Zenobii. W spojrzeniu jej pięknych oczu, kryła się wściekłość i zarazem opanowanie. Widać było drganie jej wąsów.

Wydała z siebie długi, potężny ryk. Groźnie otwarty pysk wyrażał żądzę walki.

Nad nią, prawie pionowo, przemknął błysk złota na czyimś ramieniu. Hedaj gwałciciel zszedł z konia na ziemię. Z uśmiechem na twarzy, z krótką piką w dłoni

szukał wzrokiem pantery.

Zenobia czuła, że Baalszamin wyciągnął nad nią swoją rękę.

Pantera otrząsnęła się, wdychając nosem świeże i wilgotne powietrze. Krążące wokoło owady zmuszały ją do mrugania powiekami. Ogonem uderzała w powierzchnię wody. Zrobiła kilka kroków w kierunku Zenobii. Znieruchomiła.

Dzieliło ją od Zenobii zaledwie dwadzieścia kroków, a może i mniej. Dziewczyna wytrzymała żadne mordu spojrzenie zielonych ślepi. Poprzez mdły smród błota i gnijących roślin wyczuła ostrą woń oddechu drapieżnika.

Pantera znowu ryknęła.

Piękno tego chrypliwego ryku przepełniło pierś Zenobii i o dziwo usunęło z niej strach. Był to zew i zarazem groźba.

Trzymała napięty łuk, z jedną strzałą umieszczoną na cięciwie, drugą, w pogotowiu. Nie musiała celować. Szykowała się na ten moment od wielu już dni. Odchyliła się lekko do tyłu. Kolana jej się ugięły, jakby się trochę poślizgnęła w błocie.

Nad krzakami przeleciał ze świstem czarny bełt.

Hedaj krzyknął. Żelazny grot przeciął skórzaną tunikę i wbił się w pierś z głuchym dźwiękiem. Pochylił się i stoczył po usypisku.

Pantera skoczyła do przodu. Woda rozprysła się pod jej łapami. Nurbel krzyknął coś do Zenobii. Wydawało się, że zwierzę ulatuje do nieba, że przedziera się przez nie

pazurami, pyskiem i zębami.

Rozległ się głuchy, śpiewny odgłos napiętej cięciwy łuku. Bełt drugiej strzały był zielonożółty. Strzała wbiła się w pysk samicy tak gwałtownie i silnie, że rozłupała jej czaszkę na pół.

Zwierzę skonało, zanim zdołało dokończyć skoku. Piękne cielsko skręciło się, zakołysało, bijąc pazurami w powietrzu. Wpadło do wody w miejscu, gdzie stała Zenobia. Ale jej już tam nie było.

Nurbel zobaczył, jak rzuciła się do tyłu, zanurzyła w wodzie.

Nie widział jednak, żeby się z niej wynurzyła.

Hayran krzyczał. Wszyscy spoglądali w milczeniu w błotnistą wodę.

Dostojny Odenatus bez słowa, ze zmarszczonymi brwiami, wpatrywał się w nieruchomą panterę. Wywołane walką fale na wodzie stopniowo znikwały. Odenatus przypominał sobie, co mówiono o jego przyszłej żonie i o wodzie, która jako dar od boga naznaczyła dzień jej narodzin.

Hayran, który zszedł w dół usypiska, podnosił ciało swego faworyta i wrzeszczał, pokazując na strzałę tkwiącą w sercu.

Nurbel z większym zdenerwowaniem, niż to chciał okazać, krzyknął:

– Tam! Ona jest tam, Najjaśniejszy Panie!

Zenobia wychodziła na przeciwległy brzeg, nadal trzymając w ręku łuk. Oblepiona błotem przypominała

posąg Alath, Wielkiej Wojowniczkii, która była władczynią wojen na pustyni, odkąd pojawili się tam ludzie.

Tak właśnie pomyśleli Odenatus i Nurbel, uśmiechając się do siebie z ulgą.

Dopiero wtedy, podobnie jak i pozostali, odwrócili się do Hayrana, który nie przestawał lamentować:

– Ona go zabiła! Zabiła Hedaja!

\* \* \*

W drodze powrotnej do obozowiska wszyscy myśliwi skupili się przy Hayranie i koniu, który niósł ciało Hedaja. Nurbel oddalił się od grupy Odenatusa i jechał teraz obok Zenobii.

Martwił się o stan Yedkivina. Widoczne było ogromne zmęczenie konia. Miał rozpalone nozdrza i szedł ciężkim krokiem prowadzony za uzdę przez Zenobię. Jednak nie widać było na nim żadnej rany.

Nurbel przyniósł mu derkę i powiedział Zenobii, że trzeba konia nakarmić, wykapać w jeziorze i nie dosiadać go aż do końca polowania. Na koniec rzekł:

– Te dwie strzały zapewnią ci sławę w Palmyrze.

Duże skośne oczy Nurbela błysnęły. Zenobia nie odezwała się. Była wyczerpana, czuła odrętwienie we wszystkich mięśniach.

Nurbel jechał jakiś czas w milczeniu, po czym znowu się odezwał:

– Twoja stopa nie ześlizgnęła się.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Zenobia kiwnęła potakująco głową – Piękny strzał — podjął znowu Nurbel. – Szybki i precyzyjny. Hedaj nie miał szans, musiał zginąć. – W głosie Nurbela słysząc było podziw i zadowolenie. Ponieważ Zenobia w dalszym ciągu milczała, zapytał: – Czy miałaś do tego wystarczający powód?

– Nawet jego śmierć nie zatrze zła, które zrobił. Nie spodziewaj się, że powiem coś więcej. Ta hańba nie dotyczy mego ciała. Chociaż Hedaj uczynił to, żeby się przypodobać Hayranowi. – Zamilkła na moment, a gdy Nurbel spojrzał jej w oczy, dodała: – Najjaśniejszy Pan zadecyduje, czy powinnam zostać ukarana. Zrozumiem to. Ale lepiej, żeby mnie nie pytał o powody tego strzału. Hayran szybko przestanie jęczeć. On również będzie wolał, żeby o tym nie mówiono.

– Najjaśniejszy Pan nie wątpi, że głośne żale Hayrana nie potrwają długo. Pragnie tylko wiedzieć, czy twoja noga się ześlizgnęła. Będzie szczęśliwy, gdy dowie się, że nie popełniłaś niezręczności, że miałaś odwagę dopiąć swego. Jednak, żeby uciszyć plotki w pałacu, powiemy, że straciłaś równowagę i wtedy noga ci się ześlizgnęła. – Roześmiał się głośno z wielką radością i dorzucił, odjeżdżając drobnym galopem: – To nic takiego, kiedy kobieta, trochę zadrzy na widok pantery szykującej się, do skoku!

\* \* \*

Po przyjeździe do obozowiska Najjaśniejszy Pan posłał Zenobii kołczan z pięknie wyprawionej czerwonej skóry, wyszywany perłami i drogimi kamieniami. W przeciwieństwie do tych, z którymi miała dotąd do czynienia i które zawieszano na szyi konia, ten przymocowywano w pasie na pendencie jak pochwę sztyletu. Miał też cienki rzemyk, którym można było go przywiązać do uda.

W kołczanie znajdował się, owinięty wokół strzały ze złota i kości słoniowej, niewielki zwój papirusu, na którym Najjaśniejszy Pan napisał po grecku:

„Dla Zenobii, która urodziła się w oazie Pocałunek Nieba i która dziś przywiodła mi na myśl Wielką Alath. Oby jak najszybciej mogła dać mi syna, któremu przekaze dar bogów, i oby jej, tak jak i jemu nigdy nie zabrakło strzał przeciw wrogom”.

\* \* \*

Przy świetle lamp, w namiocie ogrzanym wonnymi kadzidłami, Aszemu i Dinah masowały Zenobię, wcierając wonne olejki, by usunąć zmęczenie z zeszywniałych mięśni.

Aszemu przestała przewracać oczami, wzdychać i mrużyć. Moje dziecko! Moje dziecko! Jesteś szalona, skąd miałaś w sobie tyle odwagi?

Dinah nie płakała i nie zapewniała któryś raz z rzędu,

jak bardzo jest wdzięczna. Przestała powtarzać, że nawet cała miłość, jaką darzy Zenobię, nie wystarczy do spłacenia jej długu wdzięczności.

– Jak mam się odpłacić za to, co dla mnie zrobiłaś?

Już nie zastanawiały się, czy Najjaśniejszy Pan ją ukarze, bo wszystko wskazywało, że nie ma on na to najmniejszej ochoty. Nie przejmowały się zemstą Hayrana ani wściekłością i nienawiścią Ofali, które musiały palić jej duszę ogniem.

Skończyły się opowieści o przepięknej sierści pantery ze świetlistymi cętkami, o jej pięknych zielonych oczach, długich pazurach, strasznych zębach.

Masowały teraz jej stwardniałe niczym drewno palmowe uda, kark, plecy i milczały podobnie jak Zenobia, która onieśmiała je bardziej niż kiedykolwiek.

W końcu Zenobia szepnęła:

– Najjaśniejszy Pan zaczyna mnie kochać, tak jak mężczyzna powinien kochać żonę. Ale pragnie także tego, co żona winna dać mężowi. A to będzie niemożliwe.

Aszemu znieruchomiała, powtórzyła w myślach jej słowa i zapytała:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie może mnie tknąć żaden mężczyzna, nawet Najjaśniejszy Pan. – Dinah i Aszemu patrzyły na nią z przerażeniem. Zenobia wzruszyła z lekka ramionami, z oczami błyszczącymi od zmęczenia lub od łez. – Nie mogę dać mu syna, czego ode mnie oczekuje.

– Nie wyjdiesz za niego za mąż?

Zenobia zawahała się, potrząsnęła głową i szepnęła jakby do samej siebie:

– Wierzyłam aż do dziś, że starczy mi na to sił.

Aszemu aż krzyknęła, przerywając masowanie ud Zenobii. Dinah, równie przerażona, zaczęła coś mamrotać. Wzrok Zenobii zdradził im całą prawdę.

Zenobia uśmiechała się i jednocześnie płakała.

Zapadło milczenie. W takich chwilach słowa wydają się całkowicie niepotrzebne.

– Biada! – jęknęła Aszemu. – A więc to tak! Od dawna to przeczuwałam!



## NIKOPOLIS

Triumfalny pochód trwał cały dzień.

Przed budynkiem *praetorium* stało osiem tysięcy legionistów, a ich piersi zdobiły *phalerae* oraz *torques*,<sup>[36]</sup> z wizerunkami bogów i cesarzy. Liczne pióropusze na hełmach przywodziły na myśl kwiaty na letniej łące, wyszukane geometryczne wzory kilimów lub arabeski na mozaikach.

Kohorta za kohortą, osiem tysięcy gardeł wykrzyczało imię Lucjusza Aureliana. *Principes*,<sup>[37]</sup> z głowami i barkami okrytymi skórami niedźwiedzia, wilka lub tygrysa, wyróżniali się oznakami z brązu przedstawiającymi orły, byki lub dziki albo warkocze wawrzynu.

Poprzez ryk trąb, skrzypienie pendentów oraz *cingulum militiae*<sup>[38]</sup> słyhać było pobrzękiwanie płytek metalowych z wyrzeźbionymi na nich wizerunkami błyskawicy, centaurów lub Jowisza. Dźwięk bębnów przetaczał się przez cały czas, gdy dwa tysiące gockich jeńców klękało przed ołtarzem, na którym palono mirt i tłuszcz byków Mitry.

Jeszcze raz rozległy się okrzyki sławiące Rzym i Aureliana w chwili, gdy zwłoki pięciuset barbarzyńców wrzucano do oczyszczającego ognia.

Osiem tysięcy gardeł, przy wtórze szczęku mieczy uderzających o tarcze, ryknęło jednym głosem piosenkę o Aurelianie:

„Pozbawiliśmy głów tysiące i tysiące! Ale on sam powalił ich tysiąc! Zabił tysiąc Sarmatów! Zabił tysiąc Gotów! Zabił tysiąc Franków! Niech mu w końcu dadzą tysiąc Persów”...

Słowa piosenki przenikały słuchaczy do szpiku kości. Ptaki już dawno opuściły okolice obozu wojskowego, tak jak uciekają zawsze znad pól, gdy toczy się bitwa.

Aurelian, w narzuconej na pancerz purpurowej todze z wyszytymi złotą nicią liśćmi akantu, stojąc na balkonie *praetorium*, nieustannie odpowiadał na wiwaty. Machał mieczem schowanym w pochwie, uśmiechał się z umiarem, nie tracąc opanowania. Ale jego wargi drżały z radości. Mrużył czasami powieki, jakby ranił je przenikliwy ton okrzyków.

Towarzyszący mu legaci, prefekci, trybunowie śledzili każdy jego gest i uśmiech, które z kolei ich ośmielały do tego, żeby się uśmiechać i pozdrawiać tysiące ludzi wiwatujących na cześć ukochanego wodza, któremu bogowie zawsze dawali zwycięstwo.

Stojąca nieco z boku Klodia, chłonąc wrzawę, wrzaski i nawet smród dymu unoszącego się ku błękitnemu niebu, upajała się tym triumfem, a towarzysząca jej. Ulpia podzielała ten entuzjizm.

Słodka, niewinna Ulpia. Tak smukła w zielonej jedwabnej sukni, z naszyjnikiem z bursztynu i pereł na

wiotkiej szyi, ze złotą opaską okalającą skronie i związane w kok włosy.

Podobnie jak inni Ulpia półgłosem powtarzała słowa wiwatów.

Ryk trąb i odór zwłok wywoływały zaledwie lekkie drzenie jej noska. Od czasu do czasu chwytiała ręce Klodii. Kiedy indziej obejmowała przyjaciółkę, przytulając wilgotne czoło do jej policzka, bez strachu, lęku czy odrazy, poddając się jedynie nastrojowi panującemu w obozie. Niekiedy prostowała się, aby spojrzeć zafascynowanym wzrokiem na Aureliana, ona tak niewinna, nieśmiała, niezdolna ukryć żaru, od którego drżała na całym ciele pod jedwabną suknią.

Gdy zaś Aurelian, wydobywszy z pochwy miecz, błysnął nagim ostrzem skierowanym ku niebu, nakazując tym samym zakończenie triumfu, tak jak daje się rozkaz do zakończenia walki, Klodia nachyliła się do Ulpii i złożyła na jej szyi pocałunek, od którego dziewczyna zadrżała jakby od ukąszenia.

– Już niedługo, po uczcie, będzie twój.

Ulpia zwróciła na nią błędny wzrok. Klodia uśmiechnęła się.

– Bądź spokojna. Jesteś piękna. Tej nocy bogowie nie będą mogli dać mu niczego piękniejszego niż ty, słodka Ulpio!

\* \* \*

Przyjęcie odbywało się w głośnej, pełnej ożywienia atmosferze. Około dwudziestu oficerów zajmowało łoża ustawione z obu stron stołów uginających się od jedzenia i dzbanów greckiego wina. Wokół nich kręciły się niestrudzone niewolnice w krótkich tunikach w błękitne pasy. Wiwatowano wciąż na cześć wodza Aureliana, opróżniano kolejne kubki. Aurelian pił z pucharu gockiego, zrobionego z długiego rogu inkrustowanego złotem i srebrem, grawerowanego w dziwne wzory, pochodzącego ze skarbu króla Kniwy. Co chwilę rozlegały się śmiechy kobiet, a z estrady znajdującej się obok sali jadalnej dochodziły dźwięki muzyki wykonywanej przez muzykantów, którzy grali na fletach i harfach.

W tym harmiderze Ulpia, nic nie pijąc i nie jedząc, powoli otrząsała się z egzaltacji, jaką przeżywała przez cały dzień. Aurelian tylko raz zatrzymał na niej przelotne, zamyślane spojrzenie, nieco zdziwione, ale nie chłodne. Z pewnością jednak w jego oczach nie było już nic z tego zapału, którym błyszczały w ciągu dnia.

To spojrzenie nie wyrażało żadnego pożądanego.

Ulpia nagle zawstydziała się własnych myśli i nadziei. Wydały się jej teraz śmieszne i bezsensowne.

Klodia, która bawiła się świetnie w towarzystwie trybuna Maksymusa, szybko domyśliła się powodu cienia, jaki przesłonił twarz dziewczyny. Wstała i ułożyła się obok niej, pijąc z nią z tego samego kubka, pieszcząc wprawną dłonią jej plecy i biodra, całując delikatnie w skronie.

– Nie sądź, że Aurelian przyjdzie do ciebie sam.

Musisz go zdobyć. Pokaż mu, że go pragniesz. Jesteś taka śliczna, słodka Ulpio. Przekonasz się, że nie będzie się długo opierał!

Policzki Ulpia spurpurowiały. Klodia przyciągała uwagę wszystkich głośnym śmiechem, co zwiększało zmieszanie dziewczyny. Nawet Aurelian odwrócił się w ich kierunku. Ulpia zdołała zauważyć, że spojrzał na swą siostrę tak płonącym wzrokiem, jakiego ona nie umiała na siebie ściągnąć.

Posypały się żarty, dowcipy, na które Klodia zrećźnie odpowiadała. Ulpia domyślała się, że za jej plecami biesiadnicy podśmiewają się z niej i zastanawiają, czy będzie miała na tyle odwagi, żeby podejść do Aureliana, chwycić za rękę i prosić o pozwolenie picia z jego pucharu. Wszyscy tylko na to czekali. Pragnęli nasycić oczy takim widokiem, wyobrażając sobie jednocześnie ich dwoje razem w sypialni.

Ale Ulpia była inna niż Klodia.

Nie należała do hałaśliwych kobiet, które co chwilę wybuchały głośnym śmiechem. Nie potrafiła się tak zachowywać. Pragnęła uciec jak najdalej od tego wrzaskliwego, upokarzającego dla niej przyjęcia.

I wtedy stało się coś strasznego.

Trybun Maksymus wstał z okrzykiem:

– Nie, nie pij tego!

Odtrącił rękę Aureliana i przykrył dłonią jego puchar.

Klodia zerwała się ze swego łóża. Pozostali biesiadnicy z przestraszonymi twarzami, z szeroko

otwartymi oczami wpatrywali się w róg z winem, który trzymał Aurelian.

W ręku Maksymusa pojawił się miecz. Złapał za włosy jednego z niewolników. Był to mężczyzna już niemłody, z rudawosiwą brodą. Należał do grupy służących, którzy przed chwilą napełniali kubki. Jednym machnięciem ostrza Maksymus rozciął jego tunikę.

Do cherlawego torsu niewolnika przymocowany był na cienkim sznurku niewielki skórzany bukłaczek. Maksymus oderwał go i rzucił Aurelianowi, który rozwiązał sznurek. Następnie wysypał jego zawartość na srebrny talerz. Na wypolerowanej powierzchni pojawił się drobny, brązowy proszek.

– Choć był bardzo zręczny – rzekł Maksymus – zauważyłem, co robi.

Klodia chwyciła talerz i podniósłszy go do nosa, ostrożnie powąchała proszek. Dziwny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Obrzuciła spojrzeniem wszystkich wokoło.

– Czy to możliwe, żeby był ktoś niezadowolony z triumfu wodza Aureliana? – zapytała.

Rozległy się zaprzeczenia. W oczach widoczny był strach.

Maksymus kopnięciem w plecy zmusił niewolnika, by klęknął, po czym przytknął koniec miecza do jego gardła. Pobladły Aurelian zapytał:

– Kto ci płaci?

Mężczyzna wydawał z siebie niewyraźne dźwięki, śliniąc się ze strachu. Maksymus przycisnął ostrze, które

z lekka zabarwiła krew.

– Kto jest twoim panem? – ryknął.

Mężczyzna jęknął. Krew spływała po ostrzu. Otworzył szeroko usta i wydał z siebie, chrapliwy dźwięk.

Maksymus wyprostował się.

– On nic nie powie, wodzu! Nie ma języka!

W porywie wściekłości Aurelian chwycił niewolnika za brodę. Rzeczywiście nieszczęśnik, zamiast języka miał w ustach kawałek poczerniałego kikuta. Krew płynęła już obficie, plamiąc mu pierś. Aurelian, przepełniony pogardą wylał zawartość pucharu w usta niewolnika.

Mężczyzna, wytrzeszczywszy oczy, pluł i krztusząc się połykał płyn.

Ulpia z przerażeniem w sercu nie mogła oderwać od niego wzroku.

Ramiona niewolnika zadrgały. Mimo iż Maksymus wciąż trzymał go za włosy, jego głowa poruszyła się. Wydał z siebie jeden głuchy jęk, chwytając ustami powietrze, które już nie wchodziło do jego płuc. Kiedy Maksymus puścił go, podniósł się, rozdrapując pierś poplamionymi krwią palcami. Skurcz podciął mu kolana.

Upadł do stóp Aureliana. Przez moment obijał się o podstawę łoża z taką siłą, jakby jakieś niewidzialne dłonie chciały go połamać na kawałki.

Po kolejnym, ostatnim skurczu zeszywniał. Miał zsiniałą twarz.

\* \* \*

Trzy lampy ze srebrnym zwierciadłem oświetlały rzęsiście niewielką sypialnię Aureliana.

Leżał na łóżku, przykryty purpurową togą. Kiedy weszła Klodia, nawet nie spojrzał w jej kierunku.

– Czyżbyś się bał? Centurioni i dekurioni nie chcieli mnie przepuścić i do tego te lampy...

Aurelian nie odpowiedział.

Usiadła obok niego. Przez chwilę głaskała w milczeniu jedwabną, haftowaną złotem togę. Jej piecząca dłoń dotarła do szyi Aureliana, który leżąc bez ruchu, nie odrywał oczu od czegoś niewidocznego między malowanymi ślimacznicami sufitu.

– Żołnierze dowiedzieli się, że chciano otruć ich wodza Aureliana w dniu jego triumfu – powiedziała Klodia, głaszcząc skronie brata. – Ich gniew był tak ogromny, że poszliby za tobą aż do Rzymu.

– Czy powtarzają czyjeś imię?

– Jeszcze nie. Ja też nie wymieniłam żadnego imienia.

Tym razem Aurelian spojrzał na nią.

– I nie wymienisz – rzekł twardo. – Jutro ogłoszę, że zatrzymano gockich szpiegów, którzy się przyznali, że chcieli otruć wodza Aureliana. To byli Goci. I nie chcę słyszeć o nikim innym.

Wymienili spojrzenia.

Klodia pochyliła się i pocałowała go w usta.

– Dlaczego? – szepnęła.

Pocałowała ponownie. Nie otworzył ust, ale nie



odtrącił jej żadnym gestem. Pocałowała więc mocniej. Próbowwała koniuszkiem języka zmusić go, by rozchylił wargi. Na próżno.

Wyprostowała się, opierając się o jego tors. Przymknęła powieki.

– To niezły pomysł – przyznała cichym głosem. – Dzięki temu Cezar pomyśli, że boisz się konfrontacji z nim albo że jesteś bardzo głupi. – Czekwała na odpowiedź, ale Aurelian milczał. Dodała: – Nic pozwól jednak, żeby legiony uwierzyły, że boisz się, iż ktoś może cię otruć. Zresztą nie masz się czego bać. Nie umrzesz w ten sposób. Przepowiednia matki...

Aurelian podniósł rękę – Zamilcz! – Odepchnął ją, zostawiając w jej rękach swoją togę. Wstał i usiadł przy usłanym zwojami stole z czerwonego marmuru, który służył mu za biurko. – Zostaw mnie. Muszę popracować.

Klodia uśmiechnęła się drwiąco.

– Popracować? – Podeszła do Aureliana, przytulając się biodrami do jego ramion. – Ulpia podziwiała cię przez cały dzień. Drżała z podniecenia i marzyła o wieczorze spędzonym z tobą. Pragnęła dzielić łóżce z wodzem Aurelianem! Biedna Ulpia. Teraz płacze ze wstydu we własnym łóżku. A może myśli o tym, że mogłeś umrzeć otruty i że kochałaby cię jeszcze bardziej umarłego niż żywego. Nie wie, jak bardzo chcesz, żeby została twoją żoną. Poczciwa, słodka Ulpia!

Aurelian udawał, że nic nie usłyszał. Przeglądał mapy i dokumenty nadesłane z Rzymu.

– To oczywiste, że tego chcesz – podjęła Klodia – bo potrzebujesz żony. Ale nie dojdzie do tego, jeśli nie zrobisz pierwszego kroku. Słodka Ulpia została wychowana przez swego ojca w sposób staroświecki. Uważa, że przyszły mąż powinien o nią zabiegać, a nawet okazać trochę pożądanía. Poza tym ona cię kocha. Pomyśl o tym, braciszku. Kocha cię szczerze i będzie kochać z oddaniem do końca życia, jeśli zrobisz to, co należy. – Aurelian zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać. Klodia uśmiechnęła się. – Zastanów się nad tym. Trochę zwykłej miłości ci nie zaszkodzi – szepnęła, głaszcząc go po karku, po czym opuściła pokój.

\* \* \*

Była już pełna, ciemna noc, gdy Klodia wślizgnęła się do pokoju Maksymusa.

Obudził się natychmiast, bo dopiero przed chwilą usnął. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiły słabe przebłyski światła pochodni wpadającego przez okno.

Gdy nachyliła się nad łóżkiem, poczuła dotyk metalu na piersi. Klodia przytrzymała miecz i szepnęła:

– Nie bój się.

– Kim jesteś?

Poszukała w ciemnościach ręki Maksymusa, by dotknąć jej twarzy.

– Czy nie poznajesz mnie choćby po perfumach?

– Klodia. Co tu robisz? Co się stało? Coś

z Aurelianem?

Zaśmiała się niskim, wibrującym śmiechem, który stłumiła, całując palce Maksymusa.

– Nic się nie stało. To tylko ja. Przyszłam, żeby podziękować za ocalenie mego ukochanego brata!

Roześmiała się ponownie. Powiodła rękę Maksymusa po swojej szyi, po piersiach. Maksymus uniósł się na łóżku.

– Klodia!

– Jutro Aurelian oświadczy, że chcieli go zabić goccy szpiedzy.

Maksymus skinął głową aprobująco.

– Czemu nie?

Klodia wyjęła mu z ręki krótki miecz i położyła jego dłonie na swych piersiach.

– Czy wiesz, kto za tym stoi?

– Nie mam pewności – mruknął Maksymus zduszonym głosem.

– A o kim myślisz?

– Tak jak ty, o Cezarze.

Klodia puściła rękę Maksymusa, zostawiając mu swobodę w pieszczaniu jej.

– Ale chyba nie sam? Musiał mieć oddanych sobie oficerów tutaj, wśród nas.

– Na pewno.

– Znasz ich?

Maksymus nie odpowiedział od razu.

Klodia podała mu dłoń do pocałunku, a on wodził już energicznej i śmielej po kobiecym ciele. Poddała się mu

przez chwilę, giętka i drżąca.

– Mógłbym się dowiedzieć, kto to był – szepnął w końcu.

Klodia odsunęła się na moment, zdjęła tunikę i przyłgnęła nagim ciałem do Maksymusa. Zanurzywszy dłonie w jego gęstych blond włosach, pozwoliła mu na pieszczoty, udając szal długo wstrzymywanego pożądania, śmiejąc się z jego niecierpliwości i go odpychając.

Gdy już był w niej, powstrzymała go.

– Będę twoja, ale pod dwoma warunkami.

– Zgoda.

– Odnajdziesz tych, którzy chcieli otruć mego brata, i ich zabijesz.

– Zgoda.

Klodia wyczuła, że Maksymus się uśmiecha.

– I pomożesz mi zrobić z Aureliana cesarza. Bez względu na to, ile cię to będzie kosztować.

Tym razem głośno się roześmiał.

– Zgoda. – Gwałtownym ruchem przycisnął Klodię tak mocno, że aż jęknęła. Całował jej piersi, mrużąc: – Oczywiście, pomogę. Bez względu na to, ile to mnie będzie kosztować.

**PALMYRA**

Jak było do przewidzenia i jak wymagała tradycja, bankiet wydany w idy lipcowe przez Dostojnego Odenatusa z okazji jego zaślubin trwał cztery dni.

Każdego ranka shuloj Szarha przyjmował z tą samą znużoną i drobiazgową uprzejmością wszystkich tych, których Najjaśniejszy Pan uznał za godnych wejścia w progi jego wspaniałego pałacu i dzielenia z nim posiłku.

Każdego wieczoru Szarha, już trochę mniej uprzejmy i bardziej oficjalny niż przy powitaniu, odprowadzał gości do wielkiej bramy, którą nakazywał niewolnikom otwierać, stukając trzy razy laską w kamienną posadzkę dziedzińca.

Goście szli wówczas pod okazałym świętym portykiem z rzędem ośmiuset dwudziestu kolumn. Przy wyjściu z pałacu oczekiwali ich znajomi i krewni, chciwi opowieści o przebiegu uroczystości.

A oni, początkowo oszczędnie, z rezerwą właściwą tym, którzy coś wiedzą i są zmęczeni świętowaniem aż do przesytu, zdradzali od niechcienia kilka szczegółów. I dopiero potem, kiedy audytorium było już wystarczająco duże, zaczynał się lać niepohamowany potok słów. Opowiadali o obfitości darów, jakie złożyli w ofierze bogom Dostojnego Odenatusa, i o świętych ofiarach, jakie

składał codziennie sam Najjaśniejszy Pan. Potem rozwodzili się nad świetnością dań, różnorodnością win i wszelkich napojów, nad urodą służących, muzyką i tańcami, pięknem jedwabnych narzut i poduszek okrywających łoża. Wspominali o tym, jak się śmiano i żartowano, powtarzali zasłyszane plotki.

Opowiadali bardzo dużo, a nawet więcej, niż mogli zobaczyć w bardzo krótkiej, a jednocześnie najważniejszej chwili każdego dnia, kiedy to w porze, gdy słońce stało w zenicie, pojawiała się Zenobia.

Przed wszystkim rzucał się w oczy przepych sukni, tunik i woali. Twarz Zenobii była jeszcze piękniejsza, ale zaskakiwała swoim wyrazem. Twarda, zamknięta, jakby trochę okrutna, przypominająca moment sprzed kilku miesięcy, gdy za sprawą jakiegoś cudu pojawiła się u bram Palmyry, prowadząc białą wielbłądnicę z przymocowanym do jej grzbietu świętym kufrem *koba*, w którym spoczywała gwiazda Baalszamina.

Zenobia przybywała każdego dnia o tej samej godzinie, zajmowała swoje miejsce na łożu okrytym skórą pantery, którą zabiła z taką zręcznością i odwagą.

Trwało to bardzo krótko, mniej niż godzinę. Nie otwierała w ogóle ust, nie odzywała się słowem, nie piła i nie jadła. Nie patrzyła na nikogo, nawet na Dostojnego Odenatusa.

Wszyscy goście odnosili wrażenie, że patrzą na posąg, a nie na kobietę z krwi i kości.

Przez cały czas jej obecności rwały się rozmowy,

a niekiedy nawet zupełnie ustawały. Niektórzy odczuwali ogromne skrepowanie. Jediną osobą, która, jak się wydawało, czuła się dobrze i chyba z dnia na dzień coraz lepiej, był sam Najjaśniejszy Pan.

Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech szczęścia, widoczny również w spojrzeniu. Zajadał ze smakiem daktyle i rodzynki z taką naturalnością, że wydawał się mniej majestatyczny niż kiedykolwiek.

Potem Zenobia wstawiała i przed Najjaśniejszym Panem robiła skłon, przy którym jej szaty wydawały szmer przywodzący na myśl odlatującego ptaka. Następnie przechodziła przez ogromną salę, zostawiając za sobą ciężką ciszę, i znikwała tak samo, jak się pojawiała.

Wszyscy oczywiście widzieli, że Ofala opuszczała salę na krótko przed przybyciem Zenobii. Zauważono także, że Abdonaj nie był lepiej traktowany przez swą córką niż pozostali goście. Wyglądało też na to, że Dostojny Odenatus po dwóch dniach znużył się rozmową ze swym teściem i odpowiadał zaledwie monosylabami na jego uprzejmości.

Wreszcie wszyscy zwrócili uwagę na szacunek i serdeczność, z jakimi przyjął Najjaśniejszy Pan człowieka, którego Rzym mianował prefektem Palmyry, a którym był nie kto inny jak tylko Eliusz, dawny trybun kohorty. Ten nowy zaszczyt, jakim było przybycie rzymskiego legionu do miasta, był dla wielu niespodzianką, ale niektórzy wcale nie okazywali zdziwienia. Złośliwe języki przypominały

zainteresowanie, jakim Hayran darzył młodego prefekta. Mądrzejsi zapewniali, że Rzym uhonorował w ten sposób Palmyrę i jej króla, bo przecież Dostojny Odenatus z racji swego tytułu przejmie dowództwo nad legionem. Że jest to jeszcze jeden dowód życzliwości cesarza Waleriana dla Najjaśniejszego Pana, któremu za pośrednictwem samego prefekta Eliusza ofiarował kuferek pełen przepięknych klejnotów dla jego młodej żony.

Nikt natomiast nie zauważył osłupienia na twarzy prefekta Eliusza, gdy składał kamienie przed Zenobią. Był tak zaskoczony, że omal nie krzyknął: „Przecież ja cię znam, ja cię już widziałem!”.

Jednakże od dawna nauczony panować nad swymi emocjami, nic nie powiedział, tłumiąc myśli, które wzburzyły jego umysł.

Czyżby się mylił? Czy to możliwe?

Co może mieć wspólnego królowa ze szpiegiem, z tamtą rozczochraną dziewczyną? A jednak w tej twarzy zobaczył ów niezwykle wyraz, ten sam wzrok. Przypomniawszy sobie dzikie spojrzenie oczu sponiewieranej dziewczyny, ubrudzonej twarzy, gdy ją ujrzał wśród walących się murów Dura-Europos.

Nie, nie mógł się mylić. Przecież wydarzyło się to nie tak dawno. Niech Jowisz zrzuci na niego grom tu, na tym miejscu, jeśli przyszła żona Dostojnego Odenatusa nie była szpiegiem!

Tę samą dziewczyną, którą uwięził na jego własnym koniu chrześcijanin spalony niedawno w Antiochii!



Eliusz, przywoławszy na twarz uprzejmy uśmiech, patrzył, jak Zenobia obojętnym okiem patrzy na perły i rzadkie kamienie leżące w kufrze od cesarza. Gdy wrócił do łoża, które dzielił przy stole z Hayranem, nie zdradził ani słowem czy gestem swego wzburzenia.

Jak to było możliwe? Nikt nie był przecież bardziej wymagający od króla Palmyry przy wyborze kobiety, którą zamierzał posadzić na tronie obok siebie.

A więc?

Musi się zastanowić. Nie może oznajmić Najjaśniejszemu Panu, że jego nowa żona jest kim innym, niż myśli.

Jaki sekret kryje się w tym związku? Sekret, o którym nikt do tej pory nic wic. Sekret, który pewnego dnia będzie na wagę złota dla cesarza Waleriana, To oszustwo w przyszłości pomoże Hayranowi i jego ciotce Olafi pozbyć się tej żony. Ale przede wszystkim przysłuży się zamysłom gubernatora Makrianusa i ambicjom Eliusza. Nie ulega wątpliwości, że bogowie są z nimi.

Układając w myślach strategię działania, Eliusz podczas bankietu cały czas panował nad swym wzburzeniem. Nikt nie domyślał się, zwłaszcza Zenobia, jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Bardziej spostrzegawczy pośród gości zauważyli tylko krótką wymianę zdań między Rzymianinem i synem Najjaśniejszego Pana. Nie słyszeli słów, ale domyślili się, że Rzymianin jest czymś zniecierpliwiony.

Hayran zupełnie się pomylił co do zamiarów Eliusza,

gdy ten władczy tonem poprosił go o potajemne spotkanie pod koniec dnia. Zachwycony zamrugał dwuznacznie powiekami.

– Nie rób takich min! – zbeształ go Eliusz. – To nie jest odpowiedni moment. Wszyscy na nas patrzą. To bardzo ważna sprawa i postaraj się, żeby dołączyła do nas twoja ciotka Ofala.

Hayran, wstrząśnięty brutalnością Eliusza, skinął posłusznie głową. Goście uśmiechnęli się do siebie, widząc, że syn Najjaśniejszego dostał po nosie.

Nawet Rzymianom zdarza się zmieniać upodobania. Przyjemności, które podobały się trybunowi, mogły już nie bawić prefekta.

\* \* \*

Czwartego dnia Dostojny Odenatus wydał się gościom weselszy i bardziej zdenerwowany, co nikogo nie zdziwiło. Wszyscy coraz więcej pili i coraz głośniej się śmiali.

Kiedy Zenobia podniosła się z łoża okrytego skórą pantery, by złożyć ukłon przed Najjaśniejszym Panem, on także wstał uśmiechnięty i szczęśliwy. Ujął Zenobię za rękę i poprowadził do takiego miejsca w sali, gdzie każdy mógł ich widzieć.

Dołączył do nich shuloj Szarha, stukając w podłogę ciężką laską. Z zaskakującą wszystkich radością zawołał:

– Zenobia, córka Abdonaja, syna Maliku, syna Naszuma, staje się żoną! Staje się królową Dostojnego

Odenatusa, naszego Najjaśniejszego Pana, syna Wallabatha, syna Nazora, senatora cesarstwa rzymskiego i króla Palmyry. Zenobia staje się ukochaną żoną naszego króla, dostojną królową Palmyry!

Rozległy się wiwaty, które Odenatus uciszył zmarszczeniem brwi. Potem głosem wzruszony ze szczęścia, stanąwszy naprzeciw Zenobii, ujął jej obie dłonie w swoje ręce i głośno zawołał:

– Jesteś nią! Zenobio, córko Palmyry, zostałam moją żoną!

Ponownie wzniesiono toasty, śmiechem objawiano radość. Ogólne zamieszanie było tak wielkie, że gdy później pytano gości, co wyrażała twarz Zenobii, nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Oczywiście pamiętali, że Najjaśniejszy Pan wyprowadził z sali nowo poślubioną małżonkę. Przypominali sobie, że Dostojny Odenatus szedł lekkim krokiem niczym młodzieniec, mimo iż jego tunika i spodnie haftowane złotem i srebrem musiały mu ciążyć niczym pancerz.

Wspominali dowcipy, jakie się potem posypały i ogólne pijaństwo po zniknięciu młodej pary.

Nikt jednak nie pamiętał wyrazu twarzy Zenobii, żony Odenatusa i ukochanej królowej Palmyry.

\* \* \*

Zapamiętał ją dobrze Odenatus, gdy weszli, sypialni

małżeńskiej, gdzie ta, która dopiero co została mu poślubiona, miała się z nim połączyć.

Całe jego doświadczenie jako mężczyzny, myśliwego, wojownika, króla i nawet senatora Rzymu mówiło mu, że twarz, którą zobaczył, była najpiękniejszą i najbardziej królewską, o jakiej można marzyć. Nie była to jednak twarz kobiety, która miała poddać się ciężarowi jego ciała i dać mu rozkosz, zostać jego małżonką.

Tego dnia wypił dużo, choć mniej niż w dni poprzednie. Lecz wino tylko wyostrzało jego intuicję. A intuicja podpowiadała mu, że podobnie jak wszystko, co się wydarzyło od pierwszego dnia pojawienia się Zenobii w pałacu, noc poślubna nie będzie podobna do innych.

Starał się jednak nie zdradzić się ze swymi myślami. Hamując niecierpliwość, kazał służącym, by go rozebrali i wykąpali. Potem przepłukał usta, włożył długą, piękną lnianą tunikę haftowaną w byki i konie. Sprawdził dłonią gładkość prześcieradeł i w końcu nakazał wszystkim opuścić pokój.

W drugim końcu pokoju, skąd widać było baseny i wazy pełne czerwonych kwiatów, otworzyły się drzwi. Pojawiła się w nich Zenobia, a za nią dziewczyna, może służąca. Odenatus pomyślał z rozdrażnieniem, że jej obecność z pewnością jest tu niepotrzebna. Dziewczyna miała zbyt piękny strój jak na służącą, a jej twarz wydała mu się jakby znajoma.

Przede wszystkim jednak stwierdził, że Zenobia nie przebrała się. Uznał to za kaprys, za jakąś nieoczekiwaną

fantazję żony. Kto wie, może jakiś nowy pomysł na igraszki małżeńskie, o których marzył od tylu miesięcy. Łagodnym więc tonem zapytał, rzucając okiem na służącą:

– Czy ona ma tu zostać?

Zenobia położyła opiekuńczym gestem rękę na ramieniu dziewczyny.

– Tak — potwierdziła ze spokojem. – Ma na imię Dinah i to ona zostanie teraz z tobą, Najjaśniejszy Panie.

Odenatus, sądząc, że źle usłyszał, zmarszczył brwi i zapytał:

– Co to ma znaczyć?

– Dinah jest dziewczyną, którą sam wybrałeś w domu jej ojca w Emesie. Nie pamiętasz?

Tak, teraz sobie przypomniał. Kupiec żydowski, bardzo zamożny, i ta dziewczyna, bardzo młodziutka i bardzo świeża. Zresztą była taka nadal, a nawet ładniejsza, niż ją zapamiętał, chociaż teraz patrzyła na niego oczyma błyszczącymi lękiem.

– I co z tego?

– Wybrałeś ją na swoją konkubinę, Najjaśniejszy Panie. Spodobała ci się. Miałeś nadzieję, że zaspokoi twoje pożądanie i zwiększy rozkosz pożycia z żoną.

Odenatus szukał w tonie Zenobii jakiegoś znaku, że czyni mu wyrzuty lub że jest zazdrosna. Nie doszukawszy się niczego podobnego, miał ochotę ponownie zapytać: „I co z tego?”. Nie powiedział jednak nic, pewien, że intuicja go nie myli.

Usiadł na łóżku, przybrał surowy wyraz twarzy

i patrząc na Dinah nieprzychylnym wzrokiem, z wyraźną niechęcią w głosie, rzekł:

– Słucham cię, moja żono.

Zenobia oznajmiła mu wtedy, że nie ma prawa jej dotknąć żaden mężczyzna, nawet król, bo ona nie dlatego znalazła się w tym pałacu, przy swym mężu, w tym mieście i na pustyni, żeby wypełniać obowiązki, jakie spełniają z większym i mniejszym talentem lub obojętnością wszystkie kobiety wobec mężczyzn.

Znalazła się tu po to, aby wynieść swego męża do potęgi i wielkości o wiele większej i bardziej uniwersalnej niż rozkosze ciała. Do tego właśnie celu Baalszamin, bóg rodu Maazinów, wyznaczył ją od pierwszego dnia narodzin. Baalszamin sprawił, że została żoną Odenatusa, bo jej los zależał jedynie od tego boga, a nie od Abdonaja, który jest jej ojcem tylko pozornie.

Odenatus wysłuchał w milczeniu tych słów, po czym z ironią, maskującą niezadowolenie, zapytał:

– A jaka ma być ta potęga i wielkość, do których chcesz mnie wynieść?

– Odniesiesz zwycięstwo nad Szapurem, królem Persów, staniesz się najznakomitszym wojownikiem na Pustyni Syryjskiej, a także w imperium. A potem zostaniesz obwołany Augustem tak tutaj, jak i w Rzymie.

– W Rzymie? Ich cesarzem? – rzekł osłupiały Odenatus.

– Jak sądzisz, z jakiego powodu Walerian jest w Antiochii? Dlaczego cesarz mianuje tutaj prefekta

i przysłała do naszego miasta cały legion? Dlaczego chce osobiście prowadzić wojnę przeciw Persom? Czy nie dlatego, że bogactwa Palmyry mają takie same znaczenie dla Rzymu jak bogactwa Egiptu? I dlatego, że wieniec laurowy za zwycięstwo nad Szapurem może włożyć na swoje czoło tylko cesarz? Pomyśl o tym, mój mężu, tak jak i ja myślę od wielu miesięcy...

Zenobia jeszcze jakiś czas mówiła o polityce i wojnie z uniesieniem, które wprowadziło w zdumienie Odenatusa.

– Gdzie się nauczyłaś myśleć tak jak mężczyźni? – zapytał z chmurną miną.

Zenobia uśmiechnęła się.

– Ojciec zrobił przynajmniej tyle, że dał mi dobrych greckich nauczycieli. A oni lubią ćwiczyć umysły swoich uczniów! Nie przyniosę ci wstydu, jeśli będziesz potrzebował podzielić się ze mną kłopotami.

Odenatus miał zamiar coś na to odrzec, ale Zenobia już poważniejszym tonem dodała:

– Moja wiedza pochodzi od Baalszaminy i to on jest moim przewodnikiem.

Odenatus przyglądał się jej niezdecydowany, w końcu uspokojony pewną myślą, pokiwał głową.

– Rozmawiałaś z Nurbelem! A on najbardziej lubi rozprawiać o wojnie, Persach i Rzymie.

– Rozmawiałam z Nurbelem, to prawda – powiedziała z dziwnym uśmiechem, który ponownie wstrząsnął Odenatusem. – Ale to ja, Zenobia, sprawię, że włożysz na czoło wieniec laurowy podczas triumfu w Rzymie. Tę

obietnicę składam ci jako twoja żona.

Zbity z tropu Odenatus spojrział na młodą Żydówkę, która zafascynowana wpatrywała się w Zenobię. Dinah była piękna, wykazał się więc dobrym gustem, wybierając ją na swą konkubinę. Miała w sobie dojrzałe, mądre piękno. Ale nie mogło ono się równać z urodą Zenobii.

Zenobia obserwowała go teraz bez słowa, cierpliwa, pewna siebie. Odwrócił się do niej plecami i odszedł w kierunku basenów i wazonów z kwiatami, które teraz, w popołudniowym żarze, pachniały jeszcze mocniej.

Ciepło, woń kwiatów, idealna atmosfera na noc rozkoszy. Myślał jednak o polowaniu. O tym, jak pod koniec polowania Zenobia zabiła jednego z faworytów Hayrana. Przypomniawszy sobie, że wówczas ujrzał w niej Alath, boginię wojny.

Podskoczył, gdy usłyszał za sobą głos Zenobii, która stała blisko niego:

– Zabiłam ulubieńca twojego syna, Najjaśniejszy Panie – zaszepotała, jakby odgadując jego myśli. – Zabiłam go, ponieważ chciał zhańbić Dinah. Dziewczynę, którą wybrałeś dla jej niewinności. Moim obowiązkiem było uchronić ją dla ciebie. I stanie się tak ze wszystkimi, którzy targną się na twoje życie i twój honor.

Odenatus odwrócił się. Wzruszony utkwiał wzrok w oczach Zenobii.

– Skąd mam wiedzieć, czy mnie nie okłamujesz? Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać, że pragniesz naprawdę tego, o czym mówisz?



– Przekonasz się na polu bitwy, Najjaśniejszy Panie. Tam się przekonasz.

– Jeśli mnie oszukujesz, okłamujesz albo zdradzisz, umrzesz. Zginą również wszyscy twoi bliscy. Maazinowie będą wypędzeni z Palmyry. Źródło powstałe w dniu twoich narodzin zostanie zatrute, by przypominało o twojej zdradzie.

Zenobia uśmiechała się, bardziej rozbawiona niż przestraszona.

– Poczekaj do pierwszej bitwy z Szapurem i wtedy przestaniesz mieć wątpliwości.

Odenatus już zamierzał ustąpić, gdy powróciła do niego dawno zapomniana myśl.

– Potrzebny mi jest syn, drugi syn. Dlatego cię poślubiłem. Wiesz, jaki jest Hayran. Potrzebuję syna, który nie przyniesie mi wstydu.

– Będziesz go miał. – Głos Zenobi zrobił się trochę słabszy, mniej pewny. Powtórzyła: – Będziesz go miał, Najjaśniejszy Panie. Jutro pokażesz krew na twojej pościeli.

Po tych słowach Zenobia odwróciła się do Dinah. Dziewczyna zarumieniona, szepnęła z przejęciem:

– To będzie dla mnie przyjemność, na którą czekam już od dawna, Najjaśniejszy Panie.

Nastąpiła chwila niepewności. Odenatus wciąż nie był jeszcze przekonany. Wydało mu się, że zobaczył w oczach Zenobii łzy.

Odchodząc, zatrzymała się jeszcze i spojrzawszy na

niego, powiedziała:

– Możesz zaufać moim słowom, Najjaśniejszy Panie.  
Tak samo jak ufasz słowom Nurbela. Podobnie jak on ja  
także nigdy nie kłamię.

**Tom II**  
**ZŁOTE ŁAŃCUCHY**

**Część 1**  
**ALATH**  
**259–260 r. n.e.**

# 1

## PALMYRA

W ciągu miesięcy, które nastąpiły po ślubie Odenatusa i Zenobii, mieszkańcy Palmyry niejedną raz z zadowoleniem oglądali królewską parę wyruszającą na polowanie. Po jej powrocie chwalono zrećność młodej żony, celność strzał, rozwodzono się też nad dobrym humorem Najjaśniejszego Pana.

Gdy nadeszły letnie upały, polowania ustały. Małżonkowie nie pojawiali się już poza pałacem w Palmyrze.

Miasto zawrzało od plotek. Przeróżne opowieści krążyły wraz z pyłem i piaskiem z jednego krańca pustyni Turaq Al'llab do drugiego.

Najpierw rozeszła się wieść, że Najjaśniejszy Pan wyprowadzi wojsko przeciw Królowi Królów, Szapuruwi, władcy Persji, Armenii i Medii. Do tej nowiny doszła jeszcze druga, bardziej zdumiewająca, że Zenobia wyruszy wraz z nim. Niczym generał poprowadzi wojowników Palmyry!

Plotka ta zrodziła uśmieszki i ironiczne miny. Niedowiarkowie wysuwali mądre argumenty.

Wiadomo, że Odenatus był pod urokiem swej pięknej żony. Prawdą było także, iż Zenobia nie jest kobietą taką jak inne. Ale jak dotąd żadna kobieta nie dowodziła

wojskiem. A tym bardziej wojskiem mającym się zmierzyć z Szapurem, którego potęga i okrucieństwo dobrze były wszystkim znane.

Nawet sam cesarz Rzymu bał się tego Persa. Po kilku zaciekle bitwach, które nie skończyły się dla niego pomyślnie, Augustus Walerian unikał konfrontacji z Szapurem. Zamknawszy się w swoich komfortowych willach w Antiochii i Emesie, zadowalał się tym, że jego legiony toczyły potyczki to tu, to tam na obrzeżach imperium. Od czasu Hadriana i Trajana żaden cesarz rzymski nie pokonał Persów. Tak więc przywykli oni łupić regularnie Rzym i jego sprzymierzeńców.

Najjaśniejszemu Panu udawało się aż do tej pory unikać bezpośredniego starcia, które mogłoby zdziesiątkować jego armię liczącą zaledwie kilka tysięcy wojowników. Czy miałby być aż tak szalony, żeby powierzać swoje życie, swoje dobre imię i losy Palmyry kobiecie mającej zaledwie dwadzieścia lat? Dopiero co poślubionej żonie?

Słysząc było też inne głosy, że przeznaczenia Zenobii nie da się porównać z niczym, co racjonalne, naturalne, ludzkie.

Czy już zapomniano, jak powróciła z pustyni, kiedy od miesięcy uznano ją za zmarłą? I co to był za powrót! Przewodnicy karawan opisali jej śmierć. A mimo to całe miasto ujrzało ją wchodzącą do świątyni Baalszamina prowadzącą białą wielbłądzicę, która niosła na swym grzbiecie czarną gwiazdę jej narodzin. Gwiazdę, z której

zrodziło się źródło Dingir-Dusag i powstała osada Pocałunek Nieba!

Jeżeli jej bóg mógł sprawić, żeby wróciła ze świata umarłych, to czy nie potrafi również dać jej siły wojownika?

Czy już zapomniano, jak w dniu swoich zaślubin siedziała na skórze pantery, którą własnoręcznie zabiła? Niektórzy dodawali po cichu, że umiała także zabijać mężczyzn. Celność jej strzałów poznały nie tylko drapieżniki, lecz także wiarołomni dworzanie!

Dzień po dniu poufne szepty rozchodziły się po ulicach Palmyry, niczym oliwa sącząca się z pękniętego dzbana.

Każdy z gości Najjaśniejszego Pana miał coś nowego do opowiedzenia. Jedni zapewniali, że Zenobia i Nurbel, towarzysz Najjaśniejszego Pana na polowaniach i na wojnie, pracowali razem nad nowymi rodzajami broni. Inni twierdzili, że nie ma w tym ziarna prawdy. Wewnątrz pałacu mówiono, że Nurbel i Zenobia szykują spisek. Plotką tę rozsiewał prawdopodobnie Hayran, syn Najjaśniejszego Papa, i jego ciotka Ofala, która toczyła skrytą wojnę z Odenatusem. Gorące spory wydostały się poza mury pałacu, na złocone ulice Palmyry, niwecząc na jakiś czas stare przyjaźnie.

Potem rozeszła się wieść, że przybyły z Tyru rymarz zamieszkał potajemnie u Dostojnego Odenatusa. Wymyślił on nowy sposób mocowania derki na grzbiecie konia, co dawało jeźdźcowi większą swobodą ruchów.

Ta nowina już nazajutrz została podważona. Rymarz był Persem. Nurbel na sekretne polecenie Dostojnego Odenatusa sprowadził go z dworu Szapura. Za wysoką opłatą człowiek ten miał zrobić skórzany pancerz specjalnie dla Zenobii.

Dwa dni potem pewien kupiec z Charaksu w tawernie znajdującej się w pobliżu wielkich magazynów przy wyjeździe z Palmyry potwierdził obecność perskiego rymarza w pałacu. Wiedział to od jego pomocników. Jego zdaniem jednakże Najjaśniejszy Pan płacił temu człowiekowi złotem za to, żeby wymyślił taką uprzęż dla koni, przez którą nie przebijają się strzały łuczników Szapura.

Po jakimś czasie, kiedy nikt nie mógł potwierdzić, że widział na własne oczy rymarza, uznano całą sprawą za żart. Na miejsce starej plotki pojawiła się nowa. Wślizgnęła się między ogrody i namioty niczym podstępny wąż. Nikt nie mógł zobaczyć perskiego rymarza, bo Dostojny Odenatus kazał mu poderżnąć gardło, aby nikomu nie sprzedał swojej wiedzy.

Wkrótce potem przy wieczornym ognisku zaczęto szeptać, że Pers został zamordowany, ponieważ dotykał piersi Zenobii, by wykonać dla niej pancerz. Było to świętokradztwo, którego nie mógł tolerować Najjaśniejszy Pan, zazdrosny i zakochany w swej żonie.

\* \* \*



Pod koniec lata ustąpiły straszliwe upały. Wkrótce z Antiochii, Emesy i Palestyny przybyły niezliczone kolumny rzymskich żołnierzy. Byli to ludzie wszystkich kolorów skóry, posługujący się najróżniejszymi językami imperium. Znajdowali się wśród nich jasnowłosi wojownicy z Panonii i Recji,<sup>[39]</sup> a także czarni z Nubii i Egiptu. Tworzyli dwadzieścia kohort legionu, który Dostojny Odenatus otrzymał w prezencie od Augusta Waleriana z okazji zaślubin.

Legionista czy trybun, lekarz czy cieśla, wszyscy ciągnęli ze sobą kobiety, dzieci i niewolników, muły, konie i wielbłądy. W zamieszaniu związanym z ich przybyciem zapomniano o wszelkich plotkach. Odbyła się wielka uroczystość. W świątyniach złożono bogate dary. A kiedy pod koniec ceremonii pojawił się Najjaśniejszy Pan, nowo przybyli na rozkaz Eliusza wydali okrzyk na jego cześć.

Ale w okrzyku tym brakowało zapachu.

Łatwo to zrozumieć. Żołnierze musieli być zmęczeni drogą. Wszyscy jednakże zauważyli wyraz twarzy Najjaśniejszego Pana na widok niejednolitego, ospałego wojska, które przedstawiono mu, jak również wobec zimnej grzeczności, z jaką prefekt Eliusz zwracał się do władcy Palmyry.

Od następnego dnia legioniści przystąpili do kopania rowów i usypywania wałów obronnych, do rozstawiania skórzanych namiotów i lnianych parawanów. Żeby ich nakarmić, trzeba było opróżnić magazyny z żywnością. Na szczęście do miasta przybywały dziesiątki karawan.

Rozkwitał handel. Co wieczór powstawały nowe zagrody dla drobnego inwentarza i bydła. Na wschód od wielkiego gaju palmowego wznoszono kolejne magazyny. Z północy i południa jakby za sprawą cudu nadciągały nieprzerwanie nowe stada młodych wielbłądów, które kupcy sprzedawali po twardych targach.

Palmyra nagle znacznie się powiększyła. Sięgała teraz aż na pustynię. Nowo przybyli, mając nadzieję na wzbogacenie się, bez sprzeciwu płacili podatek, którego zażądano od nich pierwszego dnia pobytu na peryferiach miasta.

Szeregi namiotów dawały schronienie chmarze kobiet i rozbrykanych dzieci, pokrzykujących w niezrozumiałych językach. Dołączywszy do starców, za dwie brązowe sesterceje dziennie ugniatały z mułu tysiące cegieł.

Palmyra stała się wielkim placem budowy. Do już istniejących murów obronnych dobudowywano nowe. Obecność żołnierzy rzymskich wymagała przedłużenia miejskich kanałów nowymi rurami doprowadzającymi wodę. Legioniści przybyli z czterech stron imperium potrzebowali nowych ołtarzy i nowych świątyń dla swych bogów. Bogów, którzy oczywiście nie byli bogami pustyni.

Niestety, w Palmyrze zaczęło brakować wody. Wyschnięte częściowo wskutek letniej suszy źródła nie były w stanie napoić takiej masy ludzi. Najpierw trzeba było zawiesić produkcję cegieł. Cudzoziemcom przyznano prawo do jednego na dzień skórzanego bukłaka wody na namiot i dziesięć osób.

W końcu pewnego ranka ujrzano wojowników Odenatusa opuszczających obóz wraz z wierzchowcami i całym taborem. Wyruszyli pod dowództwem Nurbela, by rozbić namioty w oazie Pocałunek Nieba. Korzystając z wody w jeziorze narodzin Zenobii i przynosząc w ten sposób ulgę tysiącom spragnionych ludzi i zwierząt w Palmyrze, mieli tam czekać na wyprawę przeciw Szapurowi.

Ich nagły wyjazd zrodził nową falę plotek.

Wszyscy zgodnie uznali, że wojna z Persami jest nieunikniona. Opowiadano, że Zenobia w ukryciu przed spojrzeniami ciekawskich nieustannie ćwiczy strzelanie z łuku w głębi pałacowych ogrodów. Potrafiła już używać potężnych łuków z drzewa i rogu, których cięciwę udawało się napiąć tylko bardzo doświadczonym łucznikom.

Nawet ci, którzy nigdy nie widzieli Zenobii na własne oczy, wychwalali jej piękno, gdy dosiadała konia, Yedkivina.

Niedługo potem bogaci kupcy z Antiochii złożyli liczne dary w świątyniach miasta. Na pytanie o przyczynę sugerowali półsłówkami, że stosunki między Dostojnym Odenatusem i Eliuszem, prefektem Rzymu, nie układają się najlepiej.

Chociaż informacja nie była niespodzianką, ochłodziła atmosferę. Z mniejszą już sympatią spoglądano na legionistów krążących tłumnie po mieście. Dzieciaki zaczęły im złośliwie przeszkadzać w sjeście w cieniu gaju palmowego.

Rozeszła się pogłoska, że kampania przeciw Persom i Szapurowi nie dojdzie do skutku. Okazała się tylko zasłoną dymną, wybiegiem. W rzeczywistości Najjaśniejszy Pan obawiał się wrogich poczynań ze strony Rzymian. Dlatego Nurbel wyprowadził wojsko do źródła Zenobii. Odenatus wołał usunąć z miasta żołnierzy, aby uniemożliwić Eliuszowi wciągnięcie ich w pułapkę.

Takie to opinie były na ustach ludzi. Podsycone zostały jeszcze przez pewnego żydowskiego kupca z Emesy, który sprzedawał w pałacu drzewo z Północy i niewolników z Kapadocji. Twierdził on, że wojna toczy się w samym pałacu, że wydali ją Zenobii syn Najjaśniejszego Pana i jego ciotka Ofala, wspierani przez prefekta Eliusza. Oskarżali ją ni mniej, ni więcej tylko o chęć zajęcia miejsca należnego Najjaśniejszemu Panu.

Potwierdzali to ze złośliwą satysfakcją ci, którzy zawsze chętnie powtarzali pomówienia Ofali. Palmyrze groziło niebezpieczeństwo nie ze strony Rzymu, ale ze strony Zenobii. Miała zgubny wpływ na swego męża. Gorzej jeszcze – podporządkowała sobie także Nurbela, czyniąc go bezbronnym jak dziecko.

Oto dlaczego wojownicy Palmyry zostali odesłani na oazę Pocałunek Nieba. Nurbel tylko czekał na sygnał od swej czcigodnej pani, by zaatakować miasto, wymordować legion i zapewne wszystkich mieszkańców.

Te straszne pogłoski zdawała się potwierdzać wysokość ceglanych murów obronnych wokół rzymskiego obozu, jakiej żądał prefekt Eliusz. Panika wdzieriała się już

do umysłów najmniej odpornych. Karawany zaczynały opuszczać miasto. Niespokojne spojrzenia zwracały się rano i wieczorem ku pustyni. Dzieci na polecenie dorosłych przebywały całe dni w wysokich gajach palmowych na skraju pustyni. Z wielką powagą badały wzrokiem horyzont, wypatrując chmury pyłu, która zwiastowałaby atak wojowników Nurbela.

Wreszcie któregoś dnia o świcie zagrzmiały trąby z wysokich kopuł pałacu Odenatusa. Otworzyła się brama, a w niej pojawił się shuloj Szarha, jak zawsze wychudzony, z trudem się poruszający. Zastukał cztery razy w posadzką swą długą laską. Ze skrzywioną głową, jak to miał we zwyczaju, oznajmił, że Najjaśniejszy Pan i Zenobia będą przez cały dzień modlić się i składać ofiary w świątyniach Palmyry.

– Jutro – powiedział Szarha, nie podnosząc głosu – Najjaśniejszy Pan i jego żona wyruszą, by dołączyć do szlachetnego Nurbela w oazie Pocałunek Nieba i poprowadzić stamtąd wojowników Palmyry przeciw perskim wojskom Szapura. Niech wszyscy w mieście, którzy miłują Najjaśniejszego Pana i Dostojną Zenobią, pójdą złożyć ofiary naszym bogom, aby dali nam zwycięstwo.

To już nie była plotka, lecz rzeczywistość. Pierwsza od dawna konkretna wiadomość. Uleciała w niebo Palmyry szybciej niż ptak. Do następnego brzasku dymy ofiarne utworzyły potężną chmurą nad dachami i namiotami.

Zanim słońce wyźłobiło pierwszy cień, między

ośmiuset dwudziestoma kolumnami świętej alei zebrał się ogromny tłum. Był tak zbity, że niektórzy, nie wywołując przy tym oburzenia pozostałych, popełnili świętokradztwo i wspięli się na posągi zasłużonych obywateli, zdobiących olbrzymi portyk.

Zenobia kroczyła u boku swego męża. Chociaż Odenatus ubrany był jak zawsze we wspaniały strój, oczy tłumy zwrócone były tylko na nią.

Wbrew plotkom nie miała na sobie pancerza. Jej ramiona okrywał kaftan z jedwabiu w złote i brązowe pasy. Pod nim miała tunikę z niebieskimi girlandami. Na czerwonym, skórzanym pasie podkreślającym talię wisiał futerał z naszywanej perłami jagnięcej skóry, w którym znajdował się sztylet o krótkim ostrzu. Podobnie jak jej mąż miała na sobie bufiaste pantalony, wpuszczone w wysokie, zawiązane rzemykami na łydkach, buty do konnej jazdy. Czoło opasywała złotosrebrna szarfa, przytrzymująca jej długie włosy i podkreślająca czerń obrysowanych barwiczką oczu. Usta miała pomalowane na czerwono.

Oszałamiała nie tyle jej piękność, co chłodny, wręcz obojętny wyraz twarzy. Osłupienie tłumy ustąpiło miejsca entuzjazmowi. Wykrzykiwano imiona Dostojnego Odenatusa i Zenobii. A potem tylko Zenobii. Niektórzy spostrzegli, że Najjaśniejszy Pan, zamiast poczuć się urażonym, jeszcze bardziej się rozpromienił.

Prawie w ogóle nie zwrócono uwagi na Hayrana i jego świętę. A przecież kroczył zaraz za Najjaśniejszym Panem,

przed jego oficerami. Jeśli zaś chodzi o ciotkę Ofalę, to trudno było ją wypatrzeć w tłumie kobiet, okrytą białym welonem, przyozdobionym jedynie frędzlą ze złotymi guzami.

Ci, którzy pamiętali plotki z poprzednich tygodni, uśmiechali się do siebie z rozbawieniem. Jeśli toczyła się jakaś wojna w pałacu, to Ofala z pewnością jej nie wygrała.

Gdy orszak królewski dotarł do końca olbrzymiej kolumnady, zbliżyli się słudzy z końmi. Najjaśniejszy Pan osobiście przytrzymał wierzchowca Zenobii, aby mogła go dosiąść. Wtedy wszyscy ujrzeli zarzuconą na grzbiet Yedkivina niezwykłą derką. Z przodu i z tyłu miała grube wałki, szersze od dłoni. Po bokach zwieszały się rzemienie, w które Zenobia bez trudu wsunęła stopy w butach. Wówczas przypomniano sobie o perskim rymarzu. Tak więc plotki zawierały trochę prawdy. Jakiś przewodnik karawan z Północy opowiadał, że ludzie ze Wschodu nazywają tego rodzaju derkę „siodłem”. Powtarzano to słowo, jakby miało w sobie coś magicznego.

Utworzyła się karawana, na której czele u boku swego męża jechała Zenobia. Ofala rozsiadła się na poduszkach w koszu zawieszonym między dwoma wielbłędami. Gwardziści Najjaśniejszego Pana poprzedzali długą kolumną wozów z niewolnikami, zapasami żywności, służącymi i kobietami niezbędnymi w czasie wojny.

Minęli miasto namiotów otaczające Palmyrę i gaj palmowy, wydając radosne okrzyki i wzbijając pył.

Dopiero teraz zauważono, że rzymski legion nie towarzyszył Najjaśniejszemu Panu. Legioniści prefekta Eliusza zajęli pozycje na murach obronnych miasta.

Tym, którzy okazali z tego powodu zdziwienie, wyjaśniono, że prefekt Eliusz otrzymał od Najjaśniejszego Pana rozkaz pilnowania miasta. Roztropne posunięcie, bo trzeba będzie bronić Palmyry przed Persami, gdyby Szapur wygrał, jak zwykle mu się dotąd udawało, wojną wydaną mu przez Odenatusa i jego żonę.

Zaledwie królewska karawana zniknęła w drgającym od gorąca powietrzu nad pustynią, gdy na nowo pojawiły się najprzeróżniejsze plotki. Wyczuwało się w nich niepokój zmieszany z nadzieją.



## OAZA POCAŁUNEK NIEBA

Kiedy z oazy Pocałunek Nieba ujrzano nadjeżdżających Odenatusa i Zenobię, na ich spotkanie wyjechał Nurbel.

Po zwykłych powitaniach oznajmił:

– Najjaśniejszy Panie, twoi wojownicy są gotowi do walki. Od pierwszego do ostatniego. Już jutro możemy wyruszyć na północ. Wysłałem grupę ludzi przodem, aby jak najszybciej doprowadzili nas do Szapura. – Odwrócił się do Zenobii i powiedział: – Wykonałem twoje rozkazy. I w tej sprawie wszystko jest gotowe.

Zenobia podziękowała mu i poprosiła męża, aby mogła wykąpać się w jeziorze jej narodzin. Powiedziała, że musi to zrobić, bo oczekuje tego bóg Baalszamin. Udzieli on jej namaszczenia koniecznego do odniesienia zwycięstwa.

Dostojny Odenatus był oczarowany pięknem oazy, o której tyle mu mówiono, a którą ujrzał po raz pierwszy. Wydał polecenie, żeby rozciągnięto zasłony nad brzegiem jeziora, aby jego małżonka mogła ukazać się swemu bogu w ukryciu przed niedyskretnymi spojrzeniami.

Podczas gdy niewolnicy krzatali się, wykonując jego rozkazy, Najjaśniejszy Pan przechadzał się z Nurbelem pod palmami. Na żyznej glebie oazy rosły obficie bujne

krzaki róż, drzewa laurowe i akantu. Musiał przyznać, że ten cudowny ogród robił większe wrażenie niż ogrody Palmyry.

– Nie wydaje ci się – zapytał Nurbela – że ten ogród jest podobny do mojej żony? Wszystko tu jest pełne słodczy i zarazem surowe. Tak niezwykle, jak wszystko, co pochodzi od bogów.

Nurbel uśmiechnął się w milczeniu.

\* \* \*

Zenobia została w jeziorze aż do nocy. Kiedy Odenatus odważył się spojrzeć poprzez zasłony trzymane przez niewolnice, dostrzegł tylko jej ramiona i głowę. Reszta ciała zanurzona była w wodzie. Przez cały czas Zenobia tkwiła w tym samym miejscu.

O zmroku do oazy dotarły karawany ze służbą i wozy z kobietami. Aszemu, pozostawiwszy niewolnikom i służącym rozstawianie namiotu, zastała Zenobię w dalszym ciągu siedzącą w wodzie, nieporuszoną, odwróconą plecami do brzegu i płóciennych parawanów.

Najjaśniejszy Pan nie okazywał z tego powodu wielkiego zdziwienia. Wydał rozkaz ustawienia pochodni, aby Zenobia odnalazła drogę do brzegu, gdy jej bóg pozwoli, by wyszła z wody.

Po czym mrugnął do Dinah, co zauważyła tylko Aszemu. Policzki młodej Żydówki spłonęły rumieńcem. Z uśmiechem na ustach weszła dyskretnie do namiotu

Dostojnego Odenatusa.

\* \* \*

Niebo rozbłysło gwiazdami nad rozległą pustynią Turaq Al'llab, gdy Zenobia opuściła w końcu źródło Baalszamina. W ciemnościach słychać było cykady, potrzaskiwania ochładzających się kamieni, śpiewy, którym towarzyszyły flety oraz instrumenty o trzech strunach, na których grały konkubiny i żony wojowników.

Aszemu wyszła szybko naprzeciw niej z prześcieradłami, które trzymała w pogotowiu już od wielu godzin. Owinęła w nie Zenobię i wycierała ją przez całą drogę do namiotu.

Egipcjanek ogarnęło gorączkowe podniecenie. Gdy czekała na Zenobię, nagle opadły ją wspomnienia. Gardło ścisnęło jej wzruszenie. Ta noc przypominała jej tamtą, straszną noc, kiedy wydobywała Zenobię z otwartego brzucha jej matki, a gwiazda Baalszamina zapowiedziała niemal koniec świata.

Aszemu już dawno nauczyła się rozpoznawać zmienne nastroje Zenobii. Wystarczyło jej tylko jedno spojrzenie, żeby rozumieć, iż nie powinna mówić o przeszłości. Mimo to, gdy wycierała i szczotkowała włosy tej, którą nadal traktowała jak swą małą córeczką, nie wytrzymała i szepnęła:

– Prawie zapomniałam, jak wygląda to miejsce. To było tak dawno! Ostatni raz byliśmy tu w twoje trzynaste

urodziny. Niech Izis nas wspomaga! Byłaś tak piękna, gdy stałaś w wodzie! Twój ojciec pękał z dumy. Pamiętasz?

– Nie – odpowiedziała ostro Zenobia. – Nie interesuje mnie to, co było. Liczy się jedynie jutro. A jutro czeka nas długa jazda na koniach.

\* \* \*

Spała bez snów, gdy coś ją obudziło. Czyjaś ręka zatykała jej usta. Natychmiast oprzytomniała. Rozpoznała perfumy grubej Ofali, zanim zdążyła ją odepchnąć.

– Milcz i słuchaj – warknęła ciotka Hayrana.

Obok łóżka stała do połowy przesłonięta lampa. Obszerna tunika okrywająca Ofalę tworzyła jasną plamę. Jej twarz była ledwie widoczna. Zenobia bezskutecznie próbowała sięgnąć po sztylet, który trzymała pod poduszką.

– Czego chcesz? – zapytała ostrym tonem. – Wystarczy, że krzyknę i natychmiast pojawi się tu straż Najjaśniejszego Pana.

– Lepiej będzie dla ciebie nie wywoływać skandalu – syknęła złośliwie Ofala. – Przynoszę ci tylko pewną wiadomość.

Zenobia zerwała się z łóżka. Zanim Ofala zdążyła zareagować, chwyciła lampę i oświetliła nią wykrzywioną złością twarz kobiety.

– Co to za wiadomość, że ośmielasz się mnie budzić?

– Mam dowód, że okłamałaś Najjaśniejszego Pana.

Dreszcz przeszedł Zenobię. Milczała.

Ofala zachichotała.

– Wiem, gdzie byłaś wtedy, kiedy twój ojciec i Odenatus sądzili, że nie żyjesz. Nie byłaś u Baalszamina! O nie... Ten twój bóg, to źródło, twoje słowa, twoja arogancja... Tajemnica Zenobii zaginionej na pustyni i jej cudowny powrót? Bujdy! Nigdy w to nie wierzyłam.

Za kotarą przedzielającą namiot na pół dał się słyszeć jakiś szmer. To Aszemu się obudziła. Ofala także go usłyszała. Rzuciła krótkie spojrzenie w tamtą stronę.

– Byłaś w Dura-Europos, z Persami. – Wpatrywała się w twarz Zenobii, szukając na niej śladów wzruszenia, drżenia warg, ale niczego takiego nie dostrzegła. Zenobia niczym się nie zdradziła. – W Dura-Europos – powtórzyła Ofala, dobitnie podkreślając każde słowo. – Z mężczyzną! – Już nie szydziła. Pałaca nienawiść ogarnęła ją bez reszty. – I nie był to Baalszamin.

Powieki Zenobii drgnęły. Ofala coś musiała wiedzieć.

– Kłamiesz – powiedziała. – Kłamiesz i zmyślasz, jak zawsze.

Ofala potrząsnęła głową.

– Mówię, jak było. Widział cię prefekt Eliusz. A dlaczego Rzymianin miałby kłamać? Poznał cię. Szpiegowałaś dla Persów! I knułaś coś z jakimś chrześcijaninem!

Tym razem niewidzialna ręka strachu ścisnęła gardło Zenobii. Powróciły wspomnienia, przeklęte obrazy, dawno już usunięte z pamięci. Tak żywe, jakby tamten czas

w Dura-Europos wciąż trwał.

Ujrzała twarz Rzymianina, który chciał ją uwięzić, gdy wyszła z perskich tuneli. Eliusz?

Czyżby Eliusz był tym centurionem, któremu Schawaad zabrał konia, aby mogli uciec z miasta zajętego przez Persów?

Eliusz, który dziś jest prefektem i intryguje w Palmyrze w cieniu Hayrana i Ofali! O, złośliwa ironio Baalszamina!

– Widzę, że sobie przypomniałaś – zasyczała Ofala.

– Kłamiesz – powtórzyła głucho Zenobia.

Musiała zyskać na czasie, zastanowić się. Eliusz najwyraźniej nie był pewien swych wspomnień, bo nie powiadomił o tym Najjaśniejszego Pana. Nie miał też niczego na poparcie swych słów. A co znaczy słowo jakiegoś Rzymianina dla króla Palmyry?

– Powiedziałam, że mam dla ciebie nowinę – zaszeptała Ofala. Otworzyła dłoń. W świetle lampy zabłysnął srebrny medalion.

Ryba.

Medalion, który Zenobia natychmiast rozpoznała.

– Eliusz zerwał to z szyi twojego chrześcijanina. Już nie żyje.

Zginał na stosie na osobisty rozkaz cesarza. W Antiochii. Prefekt Eliusz był tam i wszystko widział.

Jak się jej udało nie wydać z siebie jęku? Dlaczego nic zemdląca?

– Wiem, kto w Palmyrze będzie zaskoczony,

dowiedziawszy się, że Zenobia zamiast być z Baalszaminem spiskowała z Persami i chrześcijanami! – Tokowała Ofala. – Podobno lubią oni ponad wszystko dziewice. Kto wie, czy nie zakosztowali ciebie, zanim zdążył to zrobić Najjaśniejszy Pan? To wyjaśniałoby wiele rzeczy...

Bezgraniczna nienawiść, chęć upokorzenia i zhańbienia, widoczne we wzroku Ofali, zmusiły Zenobią do milczenia.

Ofala, rozkoszując się własnymi słowami, które wreszcie mogła z siebie wyrzucić, mówiła dalej:

– O tak, potrafisz być przebiegła! Tak dobrze omotałaś tego głupca Odenatusa, że nie chce on już mnie słuchać. Nawet Rzymianinowi nie ufa... Jacy głupi są mężczyźni! Wystarczy, że śliczna dziewczyna da się popieścić i już uważają się za bogów. Możesz go okłamywać, nic mi do tego. Odenatus ma to, na co zasłużył. Jeśli pragnie zginąć razem z tobą, tym lepiej. Ale nie pozwolę ci zająć mojego miejsca ani miejsca Hayrana.

Ofala akcentowała każde słowo, jakby chciała, żeby za każdym razem sprawiały ból. Na oczach Zenobii obracała w grubych paluchach srebrny medalion, dowód śmierci Schawaada.

– Powiem ci, co masz zrobić, wybranko Balsamina! Dasz się zabić Persom. A jeśli nie masz odwagi umrzeć, to uciekniesz. Wszyscy będą rozpaczać po tobie. Zrobią z ciebie legendę. Przrzekam ci.

Ofala była zawsze głupią kobietą. Nie знаła siły

pogardy, jaką wywoływała.

– Najjaśniejszy Pan, nie będzie chciał cię wysłuchać – odrzekła Zenobia. – Dobrze cię zna. Wie, że twoje serce jest przegniłe. Gardzi tobą tak samo, jak Hayranem.

– Nie bądź taka pewna, ty mała żmijo! Nie muszę niczego mówić. Prefekt Eliusz jest gotów na wszystko, bylebyś tylko ty i twój małżonek nie wrócili do Palmyry. Czy sądzisz, że Rzymianie zechcą oddać legiony pod rozkazy starego szaleńca? Męża oszustki, perskiego szpiega?

– Ja mam być szpiegiem? Co ty bredzisz? Zamierzam walczyć z Persami.

– Akurat! To tylko twoje podstępne działanie zmierzające do wydania im Palmyry. Dobrze wiesz, że Szapur jest niepokonany. Ale udało ci się przekonać tego kretyna Odenatusa, by wystawił swoich wojowników na zgubę. Na szczęście ja tu jestem. Mnie nie oszukasz. Umrzesz. A pobity Odenatus zgodzi się, aby Palmyrą rządził Hayran i prefekt Eliusz!

Zenobia usiłowała odgadnąć, czy Ofala wierzy w to, co mówi.

– Ten medalion nie jest żadnym dowodem – powiedziała Zenobia opanowanym, chłodnym głosem. – Wszyscy chrześcijanie noszą na szyjach srebrne ryby. Ten medalion kupiłaś albo ukradłaś chrześcijanom, których wielu przybyło ostatnio do Palmyry... Kłamiesz, Ofalo. Jak zawsze zatruwasz świat kłamstwami.

– Jak śmiesz!



Zenobia przytrzymała rękę Ofali, złapała ją za tunikę.

– Po co czekać aż do bitwy z Persami? Chodź ze mną! Obudzimy mojego męża. Opowiesz mu swoją historyjkę. Pokażesz mu ten srebrny medalion. Wyśmieje cię. A ja powiem mu, jak chciałaś go zdradzić!

– Wiesz, że mówię prawdę – zaprotestowała Ofala, usiłując się wyrwać.

– Nie znieważaj bogów, ty śmierdząca hieno! Z twoich ust nigdy nie wyszła prawda.

– Nie wyobrażaj sobie, że uda ci się nadal oszukiwać Najjaśniejszego Pana...

– Wynoś się! – krzyknęła Zenobia. – Popchnęła Ofalę tak gwałtownie, że zachwiała się i musiała się złapać cedrowych kolumn podpierających drzwi. – Wynoś się z mojego namiotu, zanim cię uduszę!

\* \* \*

Gdy kotara opadła, Zenobia stała drżąca, niezdolna zrobić kroku ani usiąść. Czuła się tak, jakby całe jej ciało przeszłyto strzałami. Miała na ustach imię Schawaada, ale nie mogła go wypowiedzieć.

Ofala była uosobieniem zła. Kłamała.

Kłamała w wielu sprawach. Jednak czasami mówiła prawdę.

Zenobia wiedziała to, czuła najdrobniejszą cząstką swego ciała.

Nagle cień śmierci Schawaada znalazł się tuż obok

niej. Zajął cały namiot. Wypełnił noc wokół niej. Straszliwy obraz stosu, ciała spalonego w płomieniach, przyprawiał ją o mdłości. Zacisnęła powieki. Łzy, na które nigdy sobie nie pozwalała, zwilżyły jej policzki.

O, Schawaad, mój ukochany, mój jedyny, ukochany!

Ujrzała go klęczącego przed nią na brzegu jeziora. Ona oblepiona była błotem, a on ją błagał. Opowiadał jej, jak uratowali się z Dura-Europos. Ofiarowywał jej swój srebrny medalion, rybę swego boga, ze słowami: „Weź go, to najcenniejsza rzecz, jaką mam. Weź go!”

A ona nic mu nie odpowiedziała. Nie obdarzyła go ani jednym spojrzeniem, gdy się oddalał.

\* \* \*

To było dawno temu.

Tak dawno, że należało do innego życia.

A teraz Schawaad był już tylko popiołem.

Została sama. Sama jak nigdy dotąd.

Zupełnie sama wśród ludzi i mocy tego świata.

\* \* \*

Drgnęła, słysząc jakiś szelest, czyjś oddech.

Egipcjanka Aszemu poszukała w ciemnościach jej ręki. Przycisnęła ją do swej piersi. Zenobia dała się bez oporu posadzić na łóżku. Popatrzyły na siebie w słabym świetle lampy. Aszemu szepnęła:

– Powiedziała prawdę, tak? Ten demon powiedział prawdę?

Zenobia zadrżała. Nie odpowiadała przez długi czas.

W końcu z suchymi oczami potrząsnęła głową.

– Nie. Słowo prawdy nie wyszło z jej ust. Kłamała. To podła kłamczyni!

Aszemu chciała coś powiedzieć, ale Zenobia chwyciła ją za podbródek i zmusiła do spojrzenia sobie w oczy.

– To podła oszustka, Aszemu, nic więcej.

### 3

## NIKOPOLIS

Klodia pochwaliła wszystko jednym gestem ręki. Wyglądało to wspaniale.

Olbrzymia sala *praetorium*<sup>[40]</sup> pojaśniała od błyszczących pancerzy, *phalerae*<sup>[41]</sup> i haftowanych płaszczy. Obecni byli wszyscy – trybuni, prefekci, legaci legionów z naddunajskiej prowincji. Wszyscy ci, którzy pięć miesięcy wcześniej brali udział w triumfie Aureliana nad Gotami. I przy próbie jego otrucia, która omal nie skończyła się dla niego tragicznie.

Dziś ci sami przychodzili życzyć szczęścia z okazji zaślubin ich *dux maiorum*.<sup>[42]</sup> Ci sami wierni i ci sami zdrajcy.

Maksymus był gotowy. Silny i piękny. Godny pożądanja. Na krótką chwilę ściągnęła na siebie jego wzrok, żeby dojrzał jej wzruszenie, przypomniał sobie o tym, co ich łączyło. Potem odwróciła się ku Ulpii, wokół której słychać było podniecone szepty matron, szykujących się do formowania weselnego orszaku.

Słodka, delikatna Ulpia zaczerwieniła się, gdy Klodia wyciągnęła do niej rękę. Pod przyczernionymi barwiczką powiekami jej oczy lśniły obawą i nadzieją. Złote opaski na czole przytrzymały sześć rytualnych splotów, stanowiących uczesanie panny młodej. Skóra na jej

skroniach i policzkach była tak blada, że sznury pereł opasujące szyję wydawały się żółte. Drżące wargi pokrywała gruba warstwa czerwonej szminki.

Słodka Ulpia! Już niedługo przestanie być młodą dziewczyną tak źle, po wiejsku, wychowaną przez swego starego ojca!

Nie miała na sobie, tradycyjnej białej tuniki panny młodej. Trzeba było całej batalii, żeby ją przekonać, że wyszły one z mody i stały się zbyt pospolite.

Na szczęście Aureliana dało się przekonać bez trudu. Mimo iż mistrz krawiecki sprowadzony z Rzymu zażądał zapłaty równej cenie domu! Suknia była uszyta ze złotawego jedwabnego brokatu z misternym haftem przedstawiającym wiejskie scenki. Istny ogród marzeń widniał na tkaninie w geometryczne motywy, przyozdobionej długimi, mieniącymi się różnobarwnymi kolorami frędzlami.

Krój tuniki i płaszczka był czymś zupełnie nowym. Ramiona przykrywały dwa plisowane, podwójne pasma. Biust osłaniał tylko jedwabny, lekko ażurowy materiał, pod którym łatwo było się domyślić twardych, małych piersi Ulpii. Zręcznie współgrały ze sobą przezroczystość i zarazem nieprzezroczystość jedwabiu.

Przyszyty z tyłu do tuniki pasek ze zwykłej czerwonej wstążki miał na obu końcach dwie grube frędzle z pereł i lazurytu, zwieszające się aż na wysokość wzgórka łonowego, jakby nań wskazując. Niebieskie woale, miękkie i przewiewne, z wyhaftowanymi pajęczą nitką

postaciami Junony i Wenery, gęstymi fałdami okrywały biodra, opadając aż do kostek. Spod nich ledwie były widoczne stopy panny młodej w złotych, sznurkowych sandałach.

Była to najpiękniejsza suknia, jaką Klodia kiedykolwiek widziała. Miny obecnych mężatek, ubranych z przepychem, z kwiatami i diademami we włosach, z masą klejnotów na ramionach i piersi, świadczyły o tym, że i one także nie widziały równie pięknej sukni ślubnej.

Klodia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Zgodnie z tradycją nałożyła na głowę Ulpii płomienisty welon zwany „ogniem poranka”, mieniący się pomarańczowymi refleksami, doskonale pasujący do sukni. Matrony przestały szeptać między sobą i ustawiły się w szeregu. Niewolnik uderzył w miedziane cymbały. Klodia ujęła rękę Ulpii i delikatnie ucałowała jej palce.

– Już czas – szepnęła – idź za mną. Nie zapominaj, że masz trzymać głowę wysoko i nie okazywać strachu.

\* \* \*

Maksymus, który pełnił rolę „starosty wesela”, stanął na czele orszaku. Wydobył miecz, którego ostrze zadźwięczało, uderzając o pancerz, gdy wstępował na pierwszy ze stopni prowadzących do wielkiej sali *praetorium*.

Panowała głęboka cisza.

Klodia ze złożonymi rękoma, jak tego wymagała rola

„starościny wesela”, prowadziła orszak kobiet. Spojrzenia wszystkich skierowały się od razu na Ulpie, usiłowano dostrzec kobiece kształty pod okrywającymi ją welonami. Rozległy się szepty. Oficerowie wydobyli miecze i ich rękojeściami uderzali o pancerze.

Obecni rozstąpili się, otwierając przejście do Aureliana. Stał obok wielkiego posągu Junony w todze z purpurowym obramowaniem, narzuconej na zwykłą tunikę. Spoglądał na Ulpie, jakby ją widział pierwszy raz. Drgnęły mu powieki. Błysk dumy w oczach, a może i pożądania, złagodził wyraz jego twarzy.

Orszak doszedł do Aureliana i go otoczył. Ulpia stanęła obok niego. Krucha, drżąca, z opuszczonymi powiekami mimo rad Klodii. Aurelian uśmiechnął się. Był to uśmiech niezwykle czuły. Uśmiech takiej czułości, o jaki Klodia nawet go nie podejrzewała i od którego poczuła drobne ukłucie niespodziewanej zazdrości.

Czy to możliwe, że ci małżonkowie dadzą się ponieść grze? Czy tak dobrze przygotowała Ulpie, że jej brat nagle wzruszył się na widok takiej niewinności?

Kobiety zaczęły śpiewać pieśń do Junony. Tańcząc wokół posągu, pieściły biodra i piersi marmurowej bogini. Mężczyźni pozwalali sobie na prowokacyjne żarty.

Nagle wszyscy razem zakrzyknęli:

– Eia! Eeiaaa!

Śpiewy ucichły. Nadszedł moment składania ofiar. Aurelian pierwszy złożył u stóp posągu jądra i czarny członek byka, którego własnoręcznie poświęcił tego ranka

Mitrze. Palce ubrudzone krwią otarł o uda Junony. Oparł czoło o wzniesienie łonowy bogini. Trwał tak krótką chwilę potrzebną na odmówienie modlitwy, która nic wyszła z jego warg.

Kiedy Aurelian odsunął się, wszyscy zaczęli podchodzić do posągu i składać pod nim ofiary, prosząc boginię, aby zapewniła szczęście młodej parze. Wkrótce otaczające posąg kosze uplecione z liści laurowych wypełniły się kwiatami, placuszkami z pszennej mąki i podrobami jałowki. Potem kapłani w białych togach poderżnęli gardła gołębi i bażantów, potrzebnych im do wróżb. Maksymus jednym uderzeniem sztyletu rozciął brzuch upolowanego przez siebie rysia, którego wnętrzności również miały posłużyć kapłanom do przepowiedni.

Kiedy jasna, pachnąca krew zwierząt ofiarnych oblała stopy bogini, dwoje oblubieńców stanęło do siebie twarzami.

Ulpia podała Aurelianowi rękę, a on zamknął je w swoich silnych, szerokich dłoniach. Spojrzała mu prosto w oczy i głośno, bez wahania wypowiedziała świętą formułę:

– Przyjmij mnie, mężu. Należę do ciebie. Gdzie ty będziesz, tam i ja będę. W cieniu i w świetle odnajdziesz mój wzrok i moje łono. Duszą i ciałem jestem twoja!

Po tych słowach Ulpia utkwiała na kilka sekund nieruchomy wzrok swych błyszczących źrenic w twarzy Aureliana. Na jej szyi pod naszyjnikami z pereł widać było



pulsujące żyłki. Drżały także z lekka jej usta.

Maksymus pierwszy przerwał fascynację gości.

– Niech żyje młoda para! Niech żyje Ulpia, żona Aureliana, niech żyje Aurelian, mąż Ulpii!

\* \* \*

Bawiono się aż do wieczora. Niewolnicy przynosili puchary w kształcie narządów rodnych mężczyzn lub kobiet, z których pito bez umiaru. Młodzi małżonkowie zanurzali w nich swe usta po kolei. Maksymus i Klodia udawali, że piją, nikt tego nie zauważył.

Gdy zapadła noc, przyszedł czas na procesję.

Od jakiegoś już czasu muzyka z trudem przebijała się przez śmiechy i rubaszne dowcipy. Z głośnymi krzykami uganiano się za obecnymi kobietami – żonami, służącymi, niewolnicami. Nagle spomiędzy portyków otaczających salę wybiegli młodzi niewolnicy w krótkich tunikach.

Ucharakteryzowani na demony i bożki rozrzućili między gości orzechy i suszone figi. Ze śmiechem, który zabrzmiał głośno w powietrzu przepelnionym zapachem perfum i wina, rozbiegli się między gośćmi. Zręcznymi ruchami ściągali z mężczyzn pancerze, a z kobiet okrywające je szale. Przy wtórze rozbawionych protestów darli tuniki, odsłaniali torsy, biodra, uda, piersi. To temu, to tamtemu zabierali biżuterię lub zdobne tarcze zawieszane przy pasie. Niektórzy odważyli się wyciągnąć miecze z pochew leżących przy łóżach. W groteskowym tańcu

niczym małpy udawali, że toczą ze sobą walkę, wymykając się tym, którzy próbowali ich złapać.

W końcu z głośnym wrzaskiem rzucili swoje łupy u stóp marmurowego posągu Junony. W świetle pochodni, zapalonych przez niewolników, wydawało się, że bogini uśmiecha się drwiąco. Potem chwycili przygotowane poprzedniego dnia gałęzie głogu. A gdy zatrzeszczały zapalone w ogniu na ołtarzu, rozległ się donośny dźwięk rogów, fletów, harf i bębenków.

Po sali rozbiegły się dzieci, wymachując gałązkami, z których sypały się iskry. Goście otoczyli łożę, na którym spoczywali Ulpia i Aurelian, wołając:

– Już czas! Już czas! Młoda para do łóżka! Już czas!

Ulpia wstała z dłońmi w rękach Aureliana. Aurelian, wesoły, tym razem nie okazał żadnego wahania. Wyminąwszy dzieci, skierowali się do wyjścia z sali. Klodia i Maksymus pospieszyli za nimi, ale zostali wchłonięci przez tłum gości.

Przeszli przez centralny dziedziniec pod okiem niewzruszonej straży. Zadyszani pobiegli do dużego basenu, na który wychodziły okna domu *dux maiorum*. Bardziej pijani jeszcze tam nie dotarli. Krążąc na chwiejnych nogach między kolumnami, zachęcali z głośnym śmiechem tych; którzy ścigali kobiety, aby zepchnąć je do czarnej wody, w której, jak w lustrze, odbijały się posągi bogów.

Jak tego wymagała tradycja od zarania dziejów Rzymu, próg domu Aureliana wysmarowany był oliwą

pachnącą tymiankiem i myrrą. Ulpia znieruchomiła. W blasku pochodni Klodia dostrzegła jej nagle spoważniałą, zaniepokojoną twarz.

Aurelian przy wtórze radosnych okrzyków podniósł ją, jakby nic nic ważyła.

Odprowadzany wiwatami przeniósł ją przez próg. Maksymus w otoczeniu strażników, którzy czekali tu od południa, zatarasował wejście. Odepchnęli bez ceregieli najbardziej rozbrykanych, którzy z lubieżnymi okrzykami chcieli iść za młodą parą aż do ich sypialni.

Klodia, popychana przez tłum, napotkała drwiące spojrzenie Maksymusa. Ona również, bardziej niż inni, pragnęłaby wśliznąć się za młodą parą tam, gdzie odbędzie się ich noc poślubna.

Opanowała się jednak. Niecierpliwość nie miała sensu. Krew tej nocy poślubnej popłynie także dla niej.

\* \* \*

Cisza powróciła, gdy znaleźli się w małym pokoiku sąsiadującym z kuchniami *praetorium*.

Gdy Klodia odchyliła kotarę, z trudem dostrzegła sylwetkę Maksymusa. Oświetlała go jedna tylko lampa postawiona na skrzyni. Zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, był już przy niej, szukając jej warg w mocnym pocałunku.

Nie protestowała. Przeciwnie, równie zachłannie rzuciła się w ramiona trybuna. Ściągnął z siebie pancerz.

Jego ciało płonęło pod tuniką. Szczęśliwa Klodia wyczuła na swoim brzuchu, jak twardnieje mu członek. Powiodła ustami po jego szyi, musnęła językiem długą szramę na policzku.

Ciągle myślała o Aurelianie i Ulpii w ich weselnej sypialni. By pozbyć się tej obsesyjnej wizji, potrzebowała gwałtownych pieszczot. Chwyła gęste loki Maksymusa, jeszcze pachnące dymem ofiar składanych Junonie. Zmusiła go, by całował ją w szyję, w piersi. Kiedy jednak ręce Maksymusa wymacywały jej pośladki pod tkaniną sukni, niespodziewanie wyrwała się z jego objęć.

Maksymus znieruchomiał. Domyślił się, o co chodzi. Nie czekając na jej pytanie, szepnął:

– Jestem gotowy. Trzej ludzie czekają na zewnątrz.

– Kto?

– Nie obawiaj się, nikt ich tu nie zna. To ludzie areny, Samnici, którzy wiele mi zawdzięczają od dawna. Nie martw się.

– Czy wiesz, gdzie oni śpią?

Nie musiała precyzować, kogo ma na myśli. Odniosła wrażenie, że ujrzała uśmiech na pięknych wargach Maksymusa. Pewnie kpił z niej, że chciała wszystko wiedzieć, wszystko kontrolować.

– Znamy pokoje, w których śpią, i upewniliśmy się, że nie pomylili łóżek. Byli zupełnie pijani.

– Są sami? – zapytała znowu Klodia.

– Nie. Kwintillius jest ze swoją żoną. Pozostali wzięli do towarzystwa niewolnice.

Klodia nie zdołała powstrzymać grymasu. Z odrobiną ironii w głosie Maksymus zapytał:

– Czy chcesz oszczędzić żonę Kwintilliusa?

– Ma zaledwie dwadzieścia lat. Poślubiła tę grubą świnię dopiero dwa miesiące temu. To nie ona usiłowała otruć Aureliana.

– Ani te niewolnice, które z musu zaspokajają żądze tych zdrajców! – odparł sucho Maksymus. – Ona zaś sama wybrała sobie za męża Kwintilliusa. Dokonała złego wyboru, od którego ją uwolnimy.

Klodia milczała.

– Ta dziewczyna jest niewinna, masz rację – podjął Maksymus. – Ale ma oczy i dość rozumu, aby zobaczyć to, czego nie powinna widzieć. Chcesz zaryzykować?

Klodia wyczuła pogardę w głosie Maksymusa. Dla niego śmierć nie była niczym niezwykłym. Czy nie dlatego wybrała właśnie jego?

– Rób, jak chcesz – szepnęła z drzeniem.

\* \* \*

Wyszli z pałacu przez drzwi kuchenne. Bez światła, cicho niczym koty. Samnicy szli przodem. Wyglądało na to, że znają alejki obozowiska tak samo dobrze jak legionieści.

Minęli magazyny, skręcili przy kwaterach żołnierzy z pierwszego rocznika, gdzie w świetle pochodni stały zawsze straże. Klodia nie słyszała nawet chrzęstu sandałów gladiatorów idących przed nią. Szła tuż obok Maksymusa,

wciąż się o niego ocierając, by się nie zgubić w ciemnościach.

Prześliznąwszy się przez wąskie przejście oddzielające kwatery piechoty, znaleźli się na głównej ulicy koszar. Przez całą noc paliły się tu ustawione w dość dużej odległości od siebie pochodnie. Ciemności między nimi były na tyle gęste, że doszli do kwater oficerów przez nikogo nie zauważeni.

Pierwszym był Antonin Versillius. Legat legionu Macedonia.

Maksymus bezszelestnie odchylił kotarę u wejścia. Legat chrapał, Regularny oddech śpiącej u jego boku dziewczyny był ledwie słyszalny.

Jeden z Samnitów wszedł do pokoju, odsłonił do połowy pokrywę ślepej lampy, której Klodia nie zauważyła wcześniej w jego rękę. Na łóżko padło żółte światło. Niewolnica była młodziutką dziewczyną o pełnych kształtach i ciemnej skórze. Jej długie złote włosy tworzyły jasną plamę na poduszce. Spała pod ścianą, przytulona pośladkami do prawego uda legata, leżącego na plecach. Był to niewysoki, muskularny mężczyzna, w jego otwartych ustach widniały zepsute zęby lub puste miejsca po nich. W rękę wciąż trzymał rogowy puchar w kształcie fallusa. Emanował z nich spokój, który zmieszał nieco Klodię. Przypominali parę zakochanych, którzy nasycili swoje pożądanie.

Maksymus dał znak głową. Najwyższy z Samnitów wbił ostrze wąskiego miecza między łopatki dziewczyny.

Trzeci ukląkł na łożku. Przyłożył do szyi legata legionu Macedonia jedwabny postronek, z którego końców zwieszały się dwa uchwyty z kości słoniowej.

Maksymus nachylił się. Końcem sztyletu dotknął owłosionej, różowej brodawki Versilliusa. Na wpeł obudzony legat chrapliwie zaprotestował. Maksymus nacisnął ostrze na tyle, żeby pokazała się krew. Versillius krzyknął i otworzywszy szeroko oczy, przerażony, chwycił palcami raniące go ostrze. Poznał twarz Maksymusa. Próbował się podnieść, ale jedwabny postronek wbił mu się w szyję.

Niewolnica też się obudziła, ale nie zdążyła się przestraszyć. Miecz Samnity przeszył jej serce. Skonała, zanim ostrze dosięgło materaca.

Gladiator wyrwał miecz. Ciemna krew dziewczyny trysnęła na brzuch legata. Versillius, nic nie pojmując, jęczał, łapiąc z trudem powietrze, na ile pozwalał mu jeszcze postronek. Instynktownie usiłował zepchnąć z siebie ciało dziewczyny. Maksymus przyklęknął, spojrzał mu w oczy.

– Wiesz, dlaczego umierasz, legacie. Nie ma w tobie więcej rozumu niż honoru. Nie powinieneś być słuchać obietnic Galliena.

Legat zrobił rozpaczliwy wysiłek, żeby krzyknąć. Maksymus jednym ruchem wbił mu sztylet między żebra.

Antonin Versillius z wytrzeszczonymi oczami miał dość czasu, żeby pojąć, jaki los zgotowali mu bogowie. Klodia była pewna, że jego powolna agonia zwiększyła

przyjemność Maksymusa.

\* \* \*

Kolejne zabójstwa nie przedstawiły więcej trudności.

Za każdym razem mężczyzna i niewolnica, wyrwani ze snu, ledwie mieli czas zorientować się, że zabiera ich śmierć. Za każdym razem niewolnica umierała pierwsza. Nic nie rozumiejąc, niczego nieświadoma, a może i bez żalu.

Jedna z nich nie miała chyba piętnastu lat. Ledwie zdążyła nabrać kobiecych kształtów. Przypominała bardziej chłopca niż dziewczynę. Klodię wzruszył wdzięk tego młodego, pięknego ciała. Zauważyła wahanie Samnity przed wbiciem miecza. Maksymus zgromił go wzrokiem i gladiator posłusznie, już bez skrupułów, zabił dziewczynę.

Podobnie jak przedtem Versillius, dwaj pozostali zdrajcy nie dali świadectwa odwagi, słysząc słowa wyroku. Gdyby nie uniemożliwił tego jedwabny postronek, błagaliby jak dzieci o darowanie im życia.

Klodia doznała dziwnego rozczarowania. Zapach krwi i strachu były mniej odrażające niż żalosna słabość tych mężczyzn. Największy wstręt wzbudził w niej Arius Procibien, trybun legionu XII Gemina. Błagał ją, nie Maksymusa. Trzydziestoletni, bardzo przystojny mężczyzna, który przez wiele lat walczył u boku Aureliana i który wielokrotnie próbował ją uwieść.



Rozpoznał ją w półmroku. Nie próbował wyszarpnąć sztyletu Maksymusa, jak to czynili inni, lecz z oczyma pełnymi łez wyciągnął do niej rękę. Wykrzywione usta nie zdołały wymówić jej imienia.

Klodia odwróciła się z niesmakiem.

Dlaczego wyobrażała sobie, że w tych morderstwach będzie coś oczyszczającego, podobnie jak przy składaniu ofiar bogom? Dlaczego ci skazani na śmierć nie walczyli? Żaden z nich nie okazał dumy, nienawiści, które trochę bardziej usprawiedliwiałyby wydany na nich wyrok. Przeciwnie, śmierć każdego z nich była nijaka, że nawet Maksymus nie wydawał się jej już tak piękny, dokonując kolejnych zabójstw na jej życzenie.

Śmierć Kwintilliusa niczym się nie różniła, chyba tylko tym, że jego młoda żona nie spała. Ujrzawszy ich w ciemnościach, otworzyła szeroko oczy, gotowa już krzyknąć. Miecz Samnity sprawił, że jej głowa potoczyła się i spadła na tors starego, grubego męża.

Klodia, tłumiąc mdłości, uciekła, niezdolna asystować przy ostatnim akcie zemsty, której przecież pragnęła i którą drobiazgowo zaplanowała.

\* \* \*

Niedługo potem Maksymus dogonił Klodię pod portykiem *praetorium*. Kiedy chciał ją pocałować, odepchnęła go. Chwycił ją za płaszcz. Na rękach miał jeszcze krew zamordowanych.

– Chodź do mnie! – nie ustępował.

Powiedział to chrapliwym, niskim głosem nabrzmiałym pożądaniem, któremu w innych okolicznościach wcale by się nie opierała.

Na szczęście w ciemnościach Maksymus nie mógł dojrzeć odrazy na twarzy Klodii.

– Nie! Nie dziś!

Klodia domyśliła się drżenia jego warg, gdy ze złością syknął prosto w twarz:

– Czy nie zapłaciłem wystarczającej ceny?

W tonie Maksymusa zabrzmiała wzgarda, nie tylko gniew. Musiała go jakoś ułagodzić. Położyła palce na ustach trybuna, przytuliła się mimo wstrętu przenikającego ją na wskroś.

– Nie dziś. Chcę być przy Ulpii.

– W noc poślubną!

Klodia zdobyła się na wysiłek i odparła:

– I co z tego? Czyżbyś był zazdrosny?

– To nie o Ulpię ci chodzi. Chcesz widzieć Aureliana, a może i coś więcej.

Pogłaskała go pieszczotliwie. Ale tym razem to Maksymus odepchnął Klodię.

– Uważaj, Klodio. Nie jestem twoim niewolnikiem. Ani też mieczem, którego się używa, a potem zapomina.

W jego lodowatym tonie brzmiała prawdziwa groźba.

Klodia przymusiła się do uśmiechu, który miał wyrażać obietnicę.

– Wiem, kim jesteś, trybunie Maksymusie. Niczego

nie zapominam. – Musnęła go wargami, które w inne noce umiały tak dobrze rozpalać w nim rozkosz. – Połóż się spać. Nabierz sił, mój wojowniku – szepnęła, znikając w ciemnościach.

\* \* \*

Klodia nie była zaskoczona, gdy zastała Ulpie samą, klęczącą na łóżku. Nadal miała na sobie suknię ślubną, otulającą ją niczym olbrzymi, niezwykle szal.

Podniosła oczy, poznając Klodię w blasku pochodni. Na jej twarzy pojawił się grymas jak u dziecka przyłapanego na jakiejś psocie. Od łez rozpuściła się jej czarna barwiczka na powiekach, tworząc małe plamki pod oczyma. Wyciągnęła ręce do Klodii.

– Wiedziałam, że przyjdiesz.

– Gdzie on jest?

– W łaźni.

Wargi Ulpii drżały. Opuściła powieki i ledwie słyszalnym głosem szepnęła:

– Nie umiałam go zatrzymać. Kiedy weszliśmy do sypialni, on... wydawał się bardzo zmieszany! Zaraz potem zostawił mnie, mówiąc, że idzie do łaźni. Że potrzebna mu bardzo gorąca kąpiel, bo kręci mu się w głowie od wina.

Klodia uśmiechnęła się.

– Ach, ten mój brat!

Podeszła bliżej, usiadła na łóżku obok Ulpii, która wciąż pachniała wonnym olejkiem panny młodej, jakim

namaszczone jej ciało o świcie. Wdychając ten zapach, Klodia pozbyła się w końcu myśli o zabitych tej nocy, broczących krwią, w innej części *praetorium*.

Objęła Ulpie, przytuliła, oparłszy czoło o jej ciepłą skroń. Ulpia przylgnęła wilgotnymi ustami do jej karku, szlochając, drząc ze wstydu i niezaspokojonego pożądania.

Klodia, śmiejąc się, odpowiedziała czule na pieszczoty dziewczyny. Wszystko odbywało się zgodnie z jej przewidywaniami.

– No, uspokój się... Nie płacz już, słodka Ulpio. Nie płacz! To nie twoja wina. Jeszcze nic straconego.

Nie dodała, że to bardzo dobrze, iż Aurelian pokazał się w tym momencie w łaźni. Pewnie śmiano się za jego plecami, że *dux mariorum* woli kąpać się w basenie niż zagłębić się w dziewicze łono swej żony. Wszyscy jutro o tym sobie przypomną, kiedy odkryte zostaną trupy. Zrozumieją, kto za tym stoi. To o niej będą myśleć ze strachem.

– Są rzeczy, których musisz się nauczyć. I to jeszcze dzisiaj – szepnęła Klodia. – Wargami muskała skronie, oczy, usta Ulpii, zlizując koniuszkiem języka jej łzy. – Czeka cię dużo szczęścia, moja słodka. Jeszcze nic nie jest stracone!

Ulpia w dziecięcym odruchu przytuliła policzek do piersi Klodii, ale ona odsunęła ją, przytrzymała za podbródek, szukając jej wzroku. Żrenice Ulpii były tak wielkie i ciemne, że niemal niewidoczne. Z szeroko otwartych oczu wyzierała pustka czarna jak noc.

– Pozwól, że zrobię, co trzeba. – Zręcznie odpięła spinającą górę jej sukni agrafkę ze srebra i koralu. – Aurelian zaraz tu przyjdzie – zapewniała Ulpie. – Nie uciekł od ciebie. On boi się samego siebie. – Klodia pochyliła się i złożyła pocałunek między pełnymi piersiami. Od jej oddechu uniosły się sutki Ulpii, która wcale się temu nic opierała. Wygięła się, by podsunąć lepiej piersi do pieszczot. Na jej wargach ukazał się zwycięski uśmiech.

Ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

– Wiedziałam, że tego chcesz. Jak mi dobrze, jak dobrze!

Oczekiwała, że Klodia pocałuje ją w usta. Ta jednakże uchyliła się od pocałunku. Zsunęła suknię z bioder Ulpii i bez pośpiechu kilkoma zręcznymi ruchami rozebrała ją do naga. Ułożyła na łóżku na brzuchu, twarzą do drzwi sypialni, a sama błyskawicznie się rozebrała i całkiem naga usiadła na plecach dziewczyny. Objęła ściśle udami jej biodra i pośladki.

Ulpia poddała się jej rękom z ulgą i wdzięcznością. Odchyliwszy głowę, znowu szukała ust Klodii, która tym razem oddała pocałunek i śmiałymi ruchami rąk pieściła dziewicze ciało Ulpii, jakby grając na dobrze znanym sobie instrumencie, wywołując drżenia i jęki rozkoszy. Kiedy źrenice panny młodej rozszerzyły się od pożądania, szepnęła:

– Przekonasz się, jak piękne jest ciało Aureliana. Znam wszystkie jego blizny i rany, wiem, kiedy je

otrzymał. Najstraszniejsza jest ta Mitry. Sam sobie ją zadał rozpalonym żelazem! Mój brat to szaleniec, ale jest najpiękniejszym i najodważniejszym mężczyzną w Rzymie. Nie ma kobiety w całym imperium, która nie będzie ci zazdrościć...

Ulpia głucho jęknęła. Splotła swoje palce z palcami Klodii, pieszczącymi ją, wywołującymi jednocześnie w ich dwóch ciałach drzenia rozkoszy.

– Został wybrany przez bogów – szeptała znowu Klodia między pocałunkami. – Jego czoło uwieńczy wieniec laurowy. Nasza matka odczytała to we wróżbach. A ty, moja Ulpio, dasz mu rozkosz i synów, którzy zapewnią mu wieczną pamięć w Rzymie.

Ulpia jęknęła ponownie. Wtuliła się całym ciałem w Klodię, jakby chciała się w niej zatopić.

I tak je zastał Aurelian. Pojawił się nagle w świetle pochodni. Na jego włosach perlila się jeszcze woda z basenu. Członek w stanie erekcji śmiesznie unosił krótką przepaskę na biodrach. Widoczna na gołym torsie pod barkiem blizna Mitry, promienne słońce, błyszczała tak mocno niczym trzecie oko.

Ulpia krzyknęła przestraszona. W odruchu wstydu próbowała się odwrócić, ale Klodia mocną ją przytrzymała. Zdecydowanym ruchem rozchyliła szeroko jej uda, ofiarując Aurelianowi dziewiczość jego nowo poślubionej żony.

Ręce Ulpii zacisnęły się na nadgarstkach Klodii. Odczuwała lęk, a może i wstyd, ale pozwoliła Aurelianowi

nacieszyć się tym, co miała mu do ofiarowania.

W końcu pewnym, wyraźnym głosem, który zaskoczył Klodię, powiedziała:

– Przyjdź do mnie, mój mężu. Należę do ciebie tak samo jak twoja umiłowana siostra.

## 4

### EUFRAT

Służąca odsunęła kotarę przy wejściu do namiotu. Rzucając niepewne spojrzenia na krzątające się przy Zenobii Dinah i Aszemu, oznajmiła:

– Szlachetny Nurbel prosi o rozmowę z żoną Najjaśniejszego Pana.

– Za chwilę, jeszcze nie jest gotowa – pospieszyła z odpowiedzią Aszemu.

– Co ty mówisz? – Zenobia opuściła gwałtownie ramiona, zmuszając Dinah i Aszemu do przerwania ich zajęcia.

– Poczekaj przynajmniej, aż narzucimy na to tunikę! – zaprotestowała Egipcjanka z twarzą czerwoną z wysiłku i oburzenia.

Zenobia zaciągnęła rzemienie skórzanego pancerza i z prowokującym śmiechem zapytała:

– A na co mi ta tunika?

– Chcesz się pokazać naga?

– A jestem naga?

– Gorzej niż naga!

Zenobia poszukała wzrokiem wsparcia u Dinah. Ale dziewczyna uśmiechała się tylko z zakłopotaniem. Prawdę mówiąc, Aszemu miała rację. Pancerz tak ściśle przylegał do jej ciała, że wyglądała naprawdę jak naga.



– Dziś ujrzą mnie w tym pancerzu tysiące ludzi – odparła. – Dlatego go włożyłam, żeby wszyscy mnie widzieli. Nie spodziewaj się, że osłonię się jakąś suknią.

Tak jak głosiła plotka rozpowszechniana w Palmyrze, perski rymarz wykonał arcydzieło. Pancerz był twardy niczym żelazo, chociaż składał się z wielu warstw skóry jagnięcej niebywale delikatnej, w dotyku tak miękkiej jak skóra noworodka. W jaskrawoczerwonym kolorze płatków zimowita jesienno, kwiatu z krainy Medei, pancerz ten okrywał Zenobię od szyi po pośladki, uwypuklając zagłębienie pępka, zarysy żeber, a także łopatek.

Na wysokości piersi widniał misternie wytłoczony w skórze złoty wizerunek skrzydlatej bogini wojny Alath, której Grecy dali imię Atena. Oblicze bogini, bardzo podobne do twarzy Zenobii, przedstawione było z profilu, a jej ciało okrywała tunika o barwie płomienia pochodni. W zagłębieniu pępka umieszczona została perła w kształcie kropli wody.

Doskonałość tego pancerza polegała na tym, że był niezwykle miękki i giętki, jednocześnie idealnie spełniając swą rolę ochronną. Zapewniał swobodę ruchów przy strzelaniu z łuku i ważył znacznie mniej niż pancerze z metalu, które parzyły na słońcu. Jaskrawoczerwony kolor, na który ufarbowano pancerz zgodnie z życzeniem Zenobii, wywoływał ogólne zdumienie.

Zenobia zgromiła służącą wzrokiem.

– Na co czekasz? Aż bogowie poćwiartują cię na kawałki? Wprowadź szlachetnego Nurbela.

– To jeszcze nie bitwa, mogłabyś być miłsza dla tej dziewczyny – burknęła Aszemu, gdy za niewolnicą opadła płócienna kotara.

– Aszemu! – odezwała się Dinah, chcąc załagodzić atmosferę.

– Ty też chcesz, żebym milczała? – zawołała Egipcjanka, odwracając się do Dinah i podnosząc ręce, jakby zamierzała ją uderzyć. – Czy tak jak wszyscy czekasz na to, żeby Zenobia, pusząc się w tym idiotycznym pancerzu, dała się zamordować Persom?

– Aszemu, nie mów tego, czego później będziesz żałować – odparła Dinah, usiłując zachować spokój.

– Niczego nie będę żałować, wierz mi! Już za długo leżą mi na sercu te słowa. – Oczy Egipcjanki błyszczały gniewem, gdy odwróciła się do Zenobii. – Ponieważ nikt nie ma odwagi powiedzieć ci prawdy, nie będę się krepować. Wojna, moja córko, to sprawa mężczyzn. Nic kobiet. Nawet nie twoja, Zenobio. I w dodatku chcesz pokazać się naga! Jeśli nie umrzesz, to na pewno okryjesz się hańbą. Oto co się stanie. A to będzie jeszcze gorsze. A Najjaśniejszy Pan...

– Dość tego! – przerwała ostro Zenobia. – Nie zamierzam tego wysłuchiwać. Nie potrzebne mi twoje kazania.

Aszemu zawahała się, czy ma dać upust złości, czy zapłakać. Machnęła ręką z goryczą i ruszyła do wyjścia.

– Wiem, wiem, niańka musi milczeć. Tylko tego oczekuje się od Egipcjanki. Nawet w taki dzień, jak ten.

Niech Izis pomoże mi kochać ciebie, Zenobio!

Ostatnie słowa Aszemu wykrzyczała, dochodząc do kotary, która zakołysała się, zanim zdążyła ją odchylić.

Pojawił się Nurbel w pancerzu, jaki nosili jeźdźcy Palmyry. Jego barki i tors osłaniała kolczuga z metalowych łusek, a uda watowane spodnie. Na prawym ramieniu miał zwinięty w rulon brązowo-niebieski kaftan. Talię opinał nabijany srebrem pas oraz podwójny, szerszy od dłoni rzemień pochwy miecza z rękojeścią z kości słoniowej. W rękę trzymał ostro zakończony hełm, zdobiony ogonem tygrysa i plecionką ze złota, koralu i pereł. Brązowa osłona nosa była ostra niczym dziób orła.

Wszystko w nim, od twarzy po sandały, świadczyło o gotowości do walki.

\* \* \*

Nurbel podniósł brew, otaksował Zenobię od stóp do głowy. Skinął głową z podziwem i zarazem z niedowierzaniem.

– Bogowie dojrzą cię z najdalszych zakamarków nieba! – stwierdził.

Zenobia obdarzyła go szerokim uśmiechem.

– Być może i bogowie, ale na pewno dojrzą mnie perscy łucznicy. Cała perska armia. Czy nie taki jest tego cel, żeby wszyscy mnie widzieli? Żeby Szapur wiedział, kto go pokonuje?

Nurbel nie odpowiedział. Obserwował Dinah, która

próbowała wiązać rzemienie, chcąc dokończyć to, czego nie zdążyła zrobić Aszemu. Skórzane wiązadła wyślizgiwały się z drżących palców dziewczyny.

– Może ci pomogę? – zaproponował Nurbel. – To robota, do której od dawna przywykłem.

Dinah nie zwróciła na niego uwagi. Podniosła zrozpaczony wzrok na Zenobię.

– Aszemu i ja boimy się...

Zenobia objęła ją.

– Wiem, Dinah, wiem.

– Nie chcę, żebyś zginęła! Jeśli umrzesz, nie będę mogła... Nie możesz umrzeć! Nie mogłabym już kochać Najjaśniejszego Pana!

Zapadło kłopotliwe milczenie. Nurbel przeciągnął ręką po swej łysej czaszce i zatrzymał wzrok na stole, na którym leżał hełm i broń Zenobii.

Zenobia uniosła ręką twarzyczkę Dinah.

– Nie zginę. Dożyję do tego wieczoru! I zwyciężę! Nie powinnaś w to wątpić.

Dinah przymknęła oczy, śląc błagalne modły do Przedwiecznego. Zenobia zacisnęła palce na jej ramieniu.

– Musisz mi ufać, Dinah. Potrzebuję twojej wiary. Pokonam Persów, a ty pomożesz mi swoimi myślami.

Dinah skinęła lekko głową. Zmusiwszy się do uśmiechu, otarła dłonią łzy z policzków.

– Wybacz mi. Skończę sznurowanie twojego pancerza.

– Nie trzeba. Zrobi to Nurbel. Idź do Aszemu, będzie

jej raźniej.

Gdy Dinah zniknęła, Zenobia odwróciła się do starego wojownika.

– To honor dla mnie – rzekł – ubierać żonę Najjaśniejszego Pana.

– Aszemu i Dinah nie mają w tym doświadczenia – westchnęła Zenobia. – Zaskoczę dziś jeszcze wielu ludzi.

Nurbel bez słowa zaciągał mocno sznurówki.

– Ty także boisz się o mnie? – zapytała Zenobia.

Mądrą twarz Nurbela rozjaśnił uśmiech.

– Zbyt często brałem udział w walkach, żeby się nie bać. I zdaję sobie sprawę, że strach nie ma żadnego znaczenia wobec woli bogów.

Skończył sznurowanie. Zenobia sprawdziła, czy pancerz nie przeszkadza jej w ruchach.

– Persowie są już na miejscu?

– Od pierwszego brzasku. Jest ich ponad dziesięć tysięcy.

– Mają opancerzone konie?

– Przeprowadzili je przez rzeką o świcie. Pięć albo sześć setek. Ustawili się tak, jak przewidywaliśmy. – Nurbel uśmiechnął się. – Mówiłem ci, że Szapur lubi stosować tę samą strategię. Na przedzie ustawił pieszych wojowników, a z tyłu szeregi łuczników. Dobrze zrobiliśmy, jadąc tak daleko na północ. Będziemy mieli dość miejsca do walki, a wzgórze od strony zachodniej doskonale zasłoni nasze wielbłądy. Nie sądzą, żeby szpiedzy Szapura je odkryli. Zaskoczenie Persów będzie

ogromne, zapewniam cię! Jednak żołnierze Szapura mają większe doświadczenie wojenne niż nasi. Mają też opancerzone konie...

– Gdy słońce stanie w zenicie już ich nie zobaczysz, zapewniam cię.

– Nie łudź się, Zenobio – odrzekł Nurbel. – Szapur nie zmieni taktyki w trakcie bitwy, bo zawsze w ten sposób zwyciężał. Jego łucznicy trafiają konia z odległości pięćdziesięciu kroków. A ci, którym udaje się dobiec do ich opancerzonych potworów, natychmiast giną.

– A ja każę atakować ich na wielbłądach! – odparła Zenobia z twardym wyrazem twarzy. – Czy ty także wątpisz w nasze zwycięstwo?

– Nie. Podobnie jak Najjaśniejszy Pan jestem ciekaw, czy sprawdzą się twoje obietnice.

– Jeśli się mylę, zginę. A jeśli ja zginę, zginiesz i ty. Nie będziemy mieli czasu na żale, na wymówki.

Nurbel w odpowiedzi uśmiechnął się lekceważąco.

– Czy wojownicy Palmyry też się boją? – zapytała znowu Zenobia.

– Oczywiście. Ale są dumni i nie okazują lęku. Jak dotąd.

– Czy ich strach wynika z tego, że dowodzić nimi będzie kobieta, czy po prostu boją się Persów?

– Woleliby, żebyś była mężczyzną – zażartował Nurbel, po czym dodał z pogardą: – Klika Ofali i Hayrana nagadała przez ostatnie miesiące niemało kłamstw i podłości, żeby ich wystraszyć.

– Czy obawiasz się, że nie posłuchają rozkazów?

Nurbel zawahał się. Pogładził ręką starannie wystrzyżoną brodę.

– Gdy zacznie się walka, lepiej byłoby, żeby atak Persów dało się łatwo odeprzeć.

– Czy nie wystarcza im, że ufają mi Najjaśniejszy Pan i szlachetny Nurbel?

– Są żołnierzami. Ich wiedza wynika z doświadczenia. Zdarzało się już, że królowie i generałowie tracili rozum dla młodej kobiety.

Zenobia wzięła swój hełm. Był również z czerwonej skóry, jak jej pancerz, ozdobiony dwoma dużymi pawimi piórami w pomarańczowo-niebieskim kolorze.

– Muszą być posłuszni! Nieważne, że Persowie wezmą nas za tchórzy. Musimy ich przetrzymać, aż spali ich słońce. Tylko wtedy zwyciężymy. – Zawiązała pod brodą rzemyki złotych i srebrnych płytek ochraniających jej policzki i dodała: – Tego wieczoru wszyscy się przekonają, czy Zenobia kłamała.

\* \* \*

Taką właśnie ujrzeli ją po raz pierwszy wojownicy Palmyry: ze szkarłatnym, jakby nagim torsem, z bujnymi włosami, powiewającymi spod hełmu z pawimi piórami.

Puściła Yedkivina galopem. Przemknąwszy obok łuczników i jeźdźców, dojechała do kamienistego wzgórza, gdzie stał Dostojny Odenatus w otoczeniu

dowódców.

Zeskoczyła z konia, skłoniła się głęboko przed Najjaśniejszym Panem. Donośnym głosem wypowiedziała wojenną przysięgę, która jeszcze nigdy dotąd nie padła z ust kobiety:

– Moje życie należy do ciebie, Dostojny Odenatusie. Pójdę tam, gdzie zaprowadzi mnie twój miecz.

Najjaśniejszy Pan, patrząc przez szpary w hełmie z ochroniaczami na policzkach tak szerokimi, że zakrywały mu pół twarzy, przyjął przysięgę, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

Zenobia jednym skokiem znalazła się ponownie na grzbiecie Yedkivina. Teraz przejechała między szeregami żołnierzy wolno, żeby każdy z nich mógł ją podziwiać. Wymachiwała łukiem z tak grubego drewna jak jej nadgarstek obleczony w skórzaną rękawicę. Łucznicy wykręcali głowy, żeby widzieć jej bezwstydnie obnażony czerwony tors, na którym falował złoty wizerunek Alath. Czuli na sobie spojrzenie jej podczernionych barwiczką oczu, które błyszczały, jakby bitwa już się rozpoczęła.

Grzbiet Yedkivina okrywała niezwykła derka. Zenobia, poddając się nerwowemu rytmowi galopu konia, hamowała go kolanami, jednym szarpnięciem cugli zmuszała do zmiany kierunku. Koń wydawał się przewidywać jej zamiary. Każdy przyznawał w duchu, że dokonać czegoś takiego mogą tylko znakomici jeźdźcy.

Wszyscy zadrżeli, gdy zabrzmiał jej silny głos:

– Żołnierze Palmyry, bogowie są z wami. Dzisiejszego



wieczoru Szapur przejdzie w bród Eufrat jako pokonany.

Ta postać kobiety w pancerzu z czerwonej skóry wydała im się nagle jakaś nieludzka, groźna. Ta twarz pełna żaru, to ramię potrząsające łukiem nie mogły należeć do niczyjej żony, do żadnej zwykłej kobiety.

– Żołnierze Palmyry, bogowie są z wami. Mówię to wam ja, córka Baalszaminy, żona Najjaśniejszego Pana, waszego króla. Ten dzień będzie świadkiem zwycięstwa Dostojnego Odenatusa. Szapur jeszcze tego nic wie, ale już jest pokonany! Bogowie odwracają się od niego... – Galopowała pomiędzy szeregami, ukazując się tysiącom wojowników Najjaśniejszego Pana, prezentując swoje piękno i potęgę, dodając odwagi głosem. – Nie lękajcie się ani ich koni, ani pancerzy. Dziś Persowie będą przeklinać Szapura, że kazał im włożyć na siebie tyle żelastwa. Zmieciemy ich, jak wiatr zmiata piasek na pustyni.

Ktoś coś zawołał. Potem dołączyło do niego kilka innych głosów. Wrzawa rozszerzała się, niczym płomień ogarniający słomę, aż w końcu rozbrzmiała wspólnym okrzykiem:

– Niech żyje Odenatus! Niech Baalszamin wspiera swą ręką Zenobię!

W tym momencie u boku Zenobii pojawił się niespodzianie Nurbel.

Siedział nie na koniu, lecz na przysposobionym do walki wielbłądzie, którego boki osłaniały szerokie skórzane pasy. W ręce trzymał długą pikę, zakończoną żelaznym grotem. Towarzyszył mu, również na

wielbłądzie, jego adiutant z głową okrytą skórą lwa, dzierżący proporzec ze złotymi frędzlami. Na pomarańczowej jedwabnej materii wyszyto ognistą gwiazdę, błękitną wodę oazy i gaj palmowy – godło Palmyry i miejsce narodzin Zenobii.

– Niech żyje Zenobia! – ryknął Nurbel. – Niech żyje Najjaśniejszy Pan! Niech bogowie wypalą krew Persów!

Tysiące wojowników Palmyry wrzasnęło wraz z nim.

Szapur, Król Królów, który stał kilka kilometrów dalej ze swoimi oddziałami, usłyszał ten wibrujący w powietrzu okrzyk.

Odgadł jego źródło i zaśmiał się, a wraz z nim cała jego świta.

\* \* \*

Przez cały czas, gdy słońce wznosiło się nad horyzontem, przybierając kształt ognistej kuli, przed zdezorientowanymi perskimi szeregami odbywał się przedziwny balet. Żołnierze Szapura, przywykli do ostrej, zacieklej walki wręcz, nie pojmowali nic z zachowania wojsk Odenatusa.

W pierwszym momencie setki jeźdźców Palmyry wyjechały naprzeciw perskim szykom. Jechali drobnym truchtem, na jaki pozwalało ukształtowanie terenu, w dwuszeregu, ciasno jeden przy drugim.

Dowódcy perscy pomyśleli, drwiąc w duchu, że Odenatus, podobnie jak wszyscy wojownicy pustyni

stosujący zawsze tę samą strategię, szykuje się do bezpośredniego, bezskutecznego ataku. Doskonale znali ten manewr. Jeźdźcy niktęli szalonym galopem, wyrzaskując obelżywe słowa, wyrzucając w niebo masy strzał. Jadąc początkowo w podwójnym szeregu, a później w pojedynczym, starali się otoczyć wroga półkolem. Persowie natychmiast niweczyli ich wysiłki. Łucznicy Szapura, tworząc zbity front, zasypywali atakujących strzałami, które padały coraz bliżej i coraz celniej. W linii napastników pojawiały się luki. Wówczas wysuwały się do przodu opancerzone konie kawalerii perskiej. Jeźdźcy i wierzchowce byli ukryci pod metalowymi kolczugami, wzmocnionymi skórzanymi pasami. Jechali ciężkim truchtem, odporni na strzały i ciosy pik. Tratowali konie i ludzi, którzy zmęczeni już długą, daremną jazdą, teraz musieli się z nimi zmierzyć.

W taki to sposób Szapur od wielu lat zapewniał sobie zwycięstwa nad władcami pustyni. Wyglądało na to, że Odenatus zamierza powtórzyć błędy królów pustyni, bardziej nawykłych do najazdów rabunkowych i polowań niż do prawdziwej bitwy.

Tymczasem jednak, gdy wydawało się, że jeźdźcy palmyreńscy za chwilę rzucą się do ataku, zabrzmiały trąbki. Wojownicy Odenatusa zawrócili konie i bezzwłocznie wycofali się na jakieś pół kilometra poza zasięg strzał.

Persowie ryknęli śmiechem. Odenatus okazał się słabeuszem. Może potrzebował więcej światła i będzie

czekał z atakiem do południa?

Jednakże minęła godzina oczekiwania i nic się nie ruszyło w szeregach Palmyreńczyków. Nie słyhać było żadnych okrzyków, dźwięków trąb ani bębnow. Oficerowie Szapura byli zupełnie zdezorientowani.

W bezwietrznym dniu narastał dławiący upał. Słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie, cień był krótki, niedający wytchnienia. Dowódcy perscy odbyli naradę. Ze względu na niedużą odległość między Persami i szeregami Palmyreńczyków nie mogli bez narażania się na atak ze strony wojsk Odenatusa poprzesuwać wojska w celu zmiany taktyki. Frontalny atak też nie stanowił dobrego rozwiązania, bo osłabiłoby to opancerzone konie. Metalowe pancerze były bardzo ciężkie. Konie tak obciążone nie zdołałyby wytrzymać długiego galopu w walce.

Postanowiono więc czekać, aż decyzję podejmą ci tchórze z Palmyry. Niecierpliwość rosła wraz z upałem. Pogarda dla Odenatusa rozjątrzała perskich żołnierzy. Ani przez chwilę nikt nie podejrzewał pułapki. Potężni, pyszni Persowie, przyzwyczajeni do zwycięstw, sądzili, że król Palmyry unika bitwy, przerażony ich siłą.

Wreszcie znużeni perscy dowódcy wysłali dwa lekkie oddziały w kierunku Palmyreńczyków. Zostali przyjęci dobrze wymierzonymi strzałami.

Wrócili z informacjami, które tylko powiększyły irytację dowódców. Odenatus znajdował się cały czas na pagórku, z którego miał rozległy widok. Nie siedział na

koniu, lecz na taborecie. Pił i żartował z oficerami, jakby był już zwycięzcą w bitwie. Szeregi jego łuczników okazały się mniej liczne, niż przypuszczano. Było ich niecałe dwa tysiące, podczas gdy spodziewano się czterech.

Dowódcy perscy doszli do tego samego wniosku: Odenatus, niepomiernie próżny, chciał, prowokując Króla Królów, wyrzucić wrażenie na swych rzymskich sojusznikach. Przeliczył się jednak z siłami. Jego mizerne wojsko nie wytrzyma bezpośredniego starcia. Oto dlaczego ta bitwa ma tak dziwny przebieg. Armia Palmyry została zmuszona do obrony, która niechybnie zamieni się w ucieczkę. Odenatus zachowuje się niczym dziewica w krytycznej chwili próby.

Do tego momentu Szapur nie opuszczał swojego namiotu. Kiedy mu powiedziano, co się dzieje, najpierw się rozzłościł, a potem roześmiał. Odenatus boi się opancerzonych koni i ma rację!

Z uśmiechem na ustach czekał, aż jego dowódcy wymyślą, jak ukarać pychę Palmyreńczyków. A kiedy nic sensownego nie zdołali powiedzieć, ogłosił własną decyzję.

\* \* \*

Oficerowie potrzebowali ponad godziny, żeby rozstawić ciężkozbrojne perskie szeregi zgodnie z wolą Króla Królów. Następnie trzeba było napoić konie, które

od światu stały w ogromnym upale.

Gdy słońce zbliżyło się do zenitu, rozległ się chrypliwy zew rogów, oznajmiających początek walki.

Wtedy z kolei uśmiechnęli się do siebie ludzie z otoczenia Odenatusa. Persowie świetnie odgrywali przewidzianą dla nich rolę. Arogancja i pycha całkiem ich zaślepiły.

Zwinnie wskoczyli na siodła, ucieszeni, że nareszcie nastąpi koniec tej głupiej gry i że już wkrótce okaże się, co postanowili bogowie.

\* \* \*

Trzystu perskich łuczników stanęło naprzeciw wojsk Palmyry. Za nimi trzystu innych stało w pogotowiu, by strzelać w drugiej kolejności. Trzecia grupa, niewiele liczniejsza, miała jechać przed opancerzonymi końmi, doprowadzając je bliżej szeregów wroga. W ten sposób, gdy ostatnia seria strzał dosięgnie Palmyreńczyków, groźni jeźdźcy na opancerzonych koniach znajdą się w odległości pozwalającej im zaatakować i złamać jednym uderzeniem siły Odenatusa.

Taka była wola Króla Królów. Ale bogowie zdecydowali inaczej.

Jak tylko pierwsze szeregi Szapura dotarły na odległość strzału, niebo zatrzęsło się od tysiąca demonicznych okrzyków.

Wszystkie cięciwy łuków Palmyry zostały

jednocześnie napięte. W przeciwieństwie do tego, co zazwyczaj się działo, łucznicy Odenatusa nie rozproszyli się, ale na odgłos perskich trąbek, zeskoczywszy z koni, ustawili się ciasno jeden obok drugiego. Pierwsza salwa przeleciała niczym cień śmierci tuż nad ziemią. Dosięgła koni w pełnym galopie w momencie, kiedy perscy jeźdźcy ledwie zdążyli unieść łuki.

Pierwsza fala, straciwszy dwie trzecie jeźdźców, rozsypała się. Leżący na ziemi ludzie i konie powiększyli chaos wśród uciekających, tworząc jednocześnie przeszkodę dla drugiej, już nadciągającej fali atakujących.

Szeregi perskie ogarnęła panika. Jak celnie strzelać, gdy konie potykają się na trupach? Na tę chwilę czekali łucznicy Palmyry, by ponownie wysłać na nich śmiertelny strumień strzał.

Na ten widok trzecia grupa szturmowa straciła resztki zapachu. Ziemia drgała z gorąca. Powietrze przesiąknięte było zapachem krwi i ostrym smrodem końskiej uryny.

Przerażeni oficerowie Szapura spodziewali się, że zaraz runie na nich kawaleria Odenatusa. Czym prędzej wydali ciężkozbrojnym rozkaz do ataku. Tylko oni byli w stanie rozprawić się z łucznikami Palmyry.

Ustawieni w romby po pięćdziesiąt szeregów, każdy najeżony różnokolorowymi drzewcami włóczni, ruszyli w idealnym ordynku. Te nieprzypominające ludzi stwory tratowały zmarłych i rannych, popychając przed sobą własnych zdziesiątkowanych towarzyszy. Kopyta ciężkich galopujących wierzchowców kruszyły kamienie, wzbijały

kurz. Nad ogólnym hałasem unosił się zgrzyt metalowych łusek kolczug. Słońce odbijało się w płytkach pancerzy. Ich blask oślepiał walczących bardziej, niż gdyby wystąpili przeciw nim rozgniewani bogowie. Wydało im się, że mają do czynienia z żarłocznymi smokami, złowrogimi chimerami z innego świata.

I wtedy usłyszeli dochodzący z prawej strony wrzask.

Szapur i jego dowódcy ujrzeli bojowe wielbłądy. Tysiąc wielbłądów z łbami przystrojonymi czerwonymi pióropuszcami, które jakby wyłoniły się spod ziemi.

Zwierzęta pędziły z wyciągniętymi szyjami, z głośnym rykiem. Na ich czele dostrzeżono człowieka z tygrysim ogonem na hełmie. Był to Nurbel, główny dowódca Odenatusa. Nie zamierzał atakować od frontu. Prowadził swoich wojowników między szeregi oszołomionych Persów.

W ten sposób zajechał ciężkozbrojnych z boku.

Jeźdźcy na wielbłądach, wymachując włóczniami zakończonymi żelaznymi grotami, w pełnym biegu przebijali nimi pancerze koni i ludzi. Pęd wielbłądów zwiększał siłę uderzeń. Włócznie Persów nie były w stanie ich zatrzymać. Beładnie wypuszczane strzały ześlizgiwały się po skórzanych tunikach. Perski szyk rozpadł się.

Zmuszeni do walki w pojedynkę, kręcąc się wokół własnej osi niczym oszalałe insekty, stalowi jeźdźcy, na których opierała się siła Króla Królów, wpadali po kolei w przygotowaną przez Zenobię pułapkę.



Szapur i jego dowódcy pojeśli w końcu, dlaczego Odenatus tak długo zwlekał z atakiem.

Konie i żołnierze dusili się pod stalowymi pancerzami, rozgrzanyimi od słońca niczym cegły w piecu.

Ludzie zrzucali hełmy, żeby się nie udusić. Ale było to tylko odwleczenie śmierci.

Kiedy pod ciężarem powalonego konia pękł dwudziesty pancerz, ruszyli do boju żołnierze Palmyry. Rozpoczęła się rzeź.

Stojący obok Szapura oficer wskazał palcem na czerwoną postać, która z diabelską zręcznością, pędząc na koniu, prowadziła za sobą cały zastęp. Wypuszczała z łuku strzały z taką siłą, że trafieni nimi perscy jeźdźcy jak zmiecenii wiatrem spadali ze swych wierzchowców.

Szapur podniósł przyłbicę hełmu: postać przybierała konkretne kształty wojownika, kobiety.

W tej czerwonej furii był jakiś straszliwy, fascynujący urok. Gdy unosiła się nad koniem, by napiąć łuk, nad walczącymi ukazywał się nagi tors. Strzały zawsze trafiały w szyję, udo lub szparę w pancerzu.

\* \* \*

Chociaż Szapur po raz pierwszy był świadkiem klęski swoich wojsk, zachwycił się zażartością tej pięknej kobiety o torsie purpurowym jak krew, którą przelewała.

Od razu odgadł, kim była. To młoda żona Odenatusa. Dziewczyna, o której istnieniu dowiedział się od swoich

szpiegów. Czyżby prawdą było to, co o niej mówiono?

Czy bogowie już go opuścili? Czy zesłali na ziemię demona groźniejszego niż jego okryte pancerzami konie?

Postanowił uciekać. Nie wydał nawet rozkazu do odwrotu, chcąc jak najszybciej przekroczyć Eufrat, zanim wody rzeki staną się czerwone od krwi jego żołnierzy.

\* \* \*

– Alath! Alath!

Imię to było na ustach wszystkich, zanim jeszcze wojownicy powrócili z pola bitwy. Radość ze zwycięstwa pozwalała zapomnieć o zmęczeniu, zmniejszała straszliwy ból mięśni po zaciętej walce.

W oczach mieli jeszcze obraz uciekających w pośpiechu Persów. Potrząsali mieczami zabranymi trupom pokonanych. Niektórzy pozatykali na włócznie stalowe pancerze perskich koni. Niosąc je niczym łupy wojenne, wydawali okrzyki na cześć zwycięskiej Palmyry i Dostojnego Odenatusa. Okrzykami radości przyjęto też wielbłądy Nurbela, gdy dołączyły do zwycięskiej kohorty, obojętnie przeżuając suche patyki, jak gdyby wracały z codziennej przejażdżki.

W tym momencie nikt nie pamiętał o ranach, krwi, o zabitych towarzyszach. Opowiadano sobie o tym, kto czego dokonał, poddając się niezmiernemu uczuciu szczęścia, że się jest żywym i całym. Ci, którzy podążali w ślad za czerwonym pancerzem Zenobii, nie potrafili

oddać zwykłymi słowami tego, co widzieli.

To na ich ustach najpierw pojawiło się imię bogini wojny.

– Alath! Alath! Alath nas prowadziła!

Ten okrzyk podchwycili inni.

– Chwała Zenobii! Chwała Alath!

Zenobia jechała na koniu u boku Odenatusa i Nurbela. Zdjęła hełm i zatknęła go na rękojeść miecza. Uniosła się w strzemionach i wszyscy ujrzeli olśniewający uśmiech młodej kobiety. Od jej czerwonego torsu bił blask niczym od bogini. Była symbolem przeznaczenia, którym kierują wyłącznie bogowie.

Znowu rozległ się krzyk tysiąca żołnierzy.

– Alath! Alath! Chwała Alath!

Dostojny Odenatus, wymachując swoim mieczem, wzniósł okrzyk na cześć swojej żony z taką samą żarliwością jak jego wojownicy.

– Alath! Alath, królowa Palmyry!

\* \* \*

Śpiewano, rozpalano ogniska, lało się wino, radowano się głośno ze zwycięstwa.

Zenobia długo pozostała przy Najjaśniejszym Panu, przyjmując od męża hołdy, które on sam otrzymywał.

Gdy zapalono pochodnie, a obozowisko rozbrzmiało muzyką, Odenatus dał znak niewolnikom. Na dwóch długich noszach słudzy wnieśli całą zawartość wojennego

namiotu Szapura, Króla Królów.

Były tam naczynia ze szkła i złota, derki i dywany z jedwabiu, dwie zbroje z plecionkami ze złota, trzy krótkie miecze z rękojeściami z kości słoniowej i drogich kamieni. Ponadto płaszcze, grzebienie, puchowe poduszki, wanna z brązu. Przyprawiono także kilka młodziutkich niewolnic, mających około dziesięciu lat, o skórze czarniejszej niż noc.

Najjaśniejszy Pan wziął do ręki płaszcz haftowany w glicynie i dzikie gęsi, tak piękny, że nikt nie umiałby go opisać. Podobno Szapur narzucał go na pancerz po zwycięskiej bitwie i decydował o życiu lub śmierci wziętych żywcem jeńców.

– Szapur zakończył bitwę tak szybko, że słudzy nie zdążyli zwinąć jego wojennego namiotu – zażartował Odenatus. – Z pewnością żył do dnia dzisiejszego w przekonaniu, że zawsze będzie zwyciężał. Trzeba stracić rozum, żeby zabierać takie skarby na pole bitwy. Teraz na tych noszach brakuje jedynie jego ciała!

\* \* \*

W powietrzu pełnym dymu od ognisk rozbrzmiały na przemian drwiny i wiwaty. Szyszono sobie z imienia Króla Królów. Gdy nastąpiła krótka chwila ciszy, Dostojny Odenatus złożył u stóp Zenobii płaszcz i miecz Szapura. Po czym, wskazując na skarby stłoczone na noszach, wstał i powiedział silnym głosem:

– To twoja zdobycz wojenna, Zenobio. To ty dziś wygrałaś tą bitwą.

Zenobia skłoniła się mu z szacunkiem i wzięwszy do ręki miecz Szapura, podniosła go, by pozdrowić w ten sposób wszystkich wojowników. Znowu rozległy się wiwaty. Okrzyki ponawiano za każdym razem, gdy Zenobia machała krótkim mieczem.

Kiedy usiadała obok Odenatusa, pochwyciła spojrzenie Ofali, która stała nieco z tyłu, kilka kroków za Hayranem, przed grupą kobiet. Na jej twarzy malowała się nienawiść. W palcach miała skraj woalki haftowanej w złote ogniwa.

Zenobia przez chwilę patrzyła w jej stronę. Zauważyli to Najjaśniejszy Pan, Nurbel i oficerowie. I oni spojrzeli na Ofalę. Najjaśniejszy Pan mruknął coś ze złością. Ujął dłonie swej królowej, ucałował czule jej palce i z oczyma błyszczącymi wzruszeniem rzekł:

– Wojownicy Palmyry wierzą, że w twoim ciele żyje Alath. Może to i prawda. Ja zaś wiem, że moja żona mnie nie okłamała.

Nie puszczając jej ręki, poprowadził Zenobią do namiotu, gdzie czekał już posiłek.

Widząc, jak odchodzą, Ofala, czerwona na twarzy, przepchnęła się między kobietami i zniknęła za plecami służących i żon niosących tace z potrawami i dzbany z piwem.

\* \* \*

Była już głęboka noc, kiedy wyszła ze swojego namiotu. Aszemu nic nie usłyszała. Ani strażnicy pochrapujący z przepicia i zmęczenia. Jak cień przemykała pod gwiazdzistym niebem, na którym od kilku już godzin nie było księżyca.

Przed namiotem Ofali zatrzymała się, nasłuchując, położywszy się na ziemi wilgotnej od rosy. Dokoła panowała cisza.

Jak wąż wśliznęła się do namiotu. Ze sztyletem w rękę przeczołgała się między kilimami tworzącymi przepierzenia.

Zapach perfum Ofali był tak silny, że bez trudu rozpoznała, gdzie stało jej łóżko. Położyła się obok tej grubej kobiety. Czekwała bez ruchu.

Kiedy już była gotowa do zadania śmiertelnego ciosu, jedną ręką zasłoniła usta Ofali, drugą przycisnęła koniec sztyletu do pofałdowanej szyi. Ofala obudziła się. Przerażona spróbowała oderwać ręką, zatykającą jej usta.

Zenobia, z wargami przy uchu ciotki Hayrana, szepnęła:

– Umrzesz, ślicznotko, dla uczczenia śmierci Schawaada. Jedyne go człowieka, którego Zenobia darzyła miłością.

Strach dodał Ofali sił. Usiłowała walczyć, wyrwać się z objęć Zenobii. Ale od tych ruchów sztylet wszedł jeszcze głębiej w jej szyję. Zenobia wyczuła palcami, jak śmierć wnika w ciało grubej Ofali.

Ofala straciła już przytomność, kiedy Zenobia znowu szepnęła:

– Zabierz ze sobą moją tajemnicą. Ofiaruj ją demonom, które już czekają po tamtej stronie.

Ciało ofiary znieruchomiało. Zenobia odsunęła się na bok. Serce biło jej w piersi tak mocno, że miała wrażenie, że drżą od tego kotary namiotu.

W mroku nocy pojawiła się przed nią twarz Schawaada. Chciała się do niego uśmiechnąć. Łzy zmusiły ją do zamknięcia powiek.

Teraz dopiero ogarnęło ją ogromne zmęczenie po bitwie. Przycisnęła dłoń do ust, żeby powstrzymać szcęknięcie zębów. Wyczuła jakiś mdły, przykry zapach. To krew Ofali spłynęła z jej ręki na wargi. Zrobiło się jej niedobrze. Zwymiotowała na podłogę, otarła usta płaszczem.

Zakręciło się jej w głowie. W jednej chwili noc otworzyła się przed nią niczym studnia.

Gdyby Schawaad nie odszedł wtedy na dziedzińcu w Dura-Europos! Wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej.

\* \* \*

Nie wróciła do swego łóżka, ale poszła do namiotu Najjaśniejszego Pana. Oświetlony był dwiema lampami olejowymi. U progu namiotu leżeli pilnujący go strażnicy.

Na jej widok zerwali się na równe nogi. Zenobia

zbliżywszy się do światła, posłała im szeroki uśmiech, pewna jego skuteczności.

Patrzyli w osłupieniu na żonę Odenatusa. Jej policzki, czoło, ręce, tunika, nawet buciki oblepiała świeża krew. Wstrząśnięci, pełni szacunku, wyprężyli się na baczność. Zapewne pomyśleli, że Alath w nocy po walce syciła się krwią.

Oznajmili cichym głosem, że Najjaśniejszy Pan już śpi. Zenobia tak samo cicho odpowiedziała, że bardzo ją to cieszy i że nie ma zamiaru go budzić.

Usunęli się na bok i wpuścili ją do środka, przytrzymując kotarę u wejścia.

Strażnicy powiedzieli prawdę. Najjaśniejszy Pan spał głębokim snem przytulony do Dinah. Oboje byli całkiem nadzy. Przy delikatnej jasnoskórej Dinah owłosiony tors Odenatusa przywodził na myśl groźnego drapieżnika. Ich ciała w żadnym szczególe nie pasowały do siebie.

Jakim cudem wąskie biodra Dinah nie rozerwały się pod naporem szerokich, silnych bioder Najjaśniejszego Pana?

A przecież ich sen tchnął takim spokojem, jaki jest udziałem tylko zaspokojonych kochanków.

Zenobia stała przez chwilę nieruchoma, drżąca. Do oczu napłynęły jej łzy. Była świadkiem szczęścia i spokoju, jakich sama nigdy nie zazna.

Zawahała się. Zapragnęła uciec z powrotem w noc, w jej ciemny, obojętny chłód. Nerwowo zrzuciła z siebie ubrudzone krwią ubranie i naga położyła się obok Dinah.



Młoda Żydówka odwróciła się na pół przebudzona. Zenobia zamknęła jej usta lekkim pocałunkiem, po czym musnęła wargami delikatną szyję i ramiona dziewczyny. Cichym szeptem poprosiła:

– Pozwól mi spać obok ciebie.

Dinah objęła ją z uśmiechem, przygarnęła mocno do siebie, aby Zenobia mogła choć na kilka godzin zaznać słodczy zapomnienia.

\* \* \*

Rano w obozowisku podniósł się wielki zgiełk. Wrzaski Hayrana obudziły tych, którzy byli jeszcze zamroczeni winem.

Nurbel i kilku innych szlachetnych panów musiało interweniować przed namiotem Najjaśniejszego Pana, by pohamować wściekłość siostrzeńca Ofali, który domagał się sprawiedliwości i odwołując się do bogów, zapowiadał gniew Jowisza, rzekę krwi, która poleje się w akcie zemsty.

Dostojny Odenatus, jeszcze w nocnej tunice, wyszedł przed namiot i zapytał syna o powód tego zamieszania.

– Ona zabiła Ofalę! – wrzasnął Hayran. – Podcięła jej gardło! Wiem, czyja ręka trzymała sztylet!

Na twarzy Najjaśniejszego Pana malowało się zdziwienie. Przypatrywał się Hayranowi obojętnym wzrokiem. Przyjaciele jego syna, wszyscy ci, którzy korzystali przy nim z wszelkich uciech i razem z nim spędzali noce, teraz tłoczyli się za jego plecami. Gdy

Odenatus obrzucił ich baczny spojrzeniem, opuścili oczy.

– Ojczy, Ofala została zamordowana! – jęczał Hayran.  
– A ty znasz dobrze tę, która ją zabiła!

Pięścią wskazał na Zenobię, która wraz z Dinah pojawiła się na progu namiotu. Odenatus odwrócił się w stronę żony. Przez chwilę spoglądali na siebie. Nurbelowi wydało się, że zauważył w oczach Najjaśniejszego Pana błysk zadowolenia.

Dostojny Odenatus ujął rękę żony i położył ją na swojej piersi. Zwrócił się twarzą do tych, którzy wciąż nadbiegali i ze zmarszczonymi gniewnie brwiami rzekł do syna:

– Jak śmiesz oskarżać Alath? – Po czym patrząc na wszystkich, zawołał: – Królowa Palmyry była tej nocy w moim łóżu. Ktokolwiek ośmieli się rzucić na nią jakieś podejrzenia, niech wie, że umrze, zanim zdąży wymówić jej imię. Ciało Ofali niech zostanie zaniezione do grobowca jej siostry.

## SAMOSATA

Nacisk palców ustał. Pieszczoty skończyły się. Walerian, leżąc z zamkniętymi oczami, wyczuł lekkie ugięcie się łóżka, gdy niewolnica wstawała.

Podniósł powieki z cichym protestem. Iflava, naga, szła do stolika zastawionego słoiczkami i fiolkami. Czując na sobie jego spojrzenie, odwróciła się z uśmiechem.

Walerian już zapomniał, że chciał się na nią gniewać. Wszystkim bogom, nie wyłączając żadnego, należą się dzięki za to, że stworzyli tą piękną kobietę, nieważne, że była niewolnicą!

– Masz za suchą skórę, Auguście – powiedziała cichym głosem Iflava, podchodząc do niego z fiolką z grubego szkła. – Klimat Samosaty nie jest dla ciebie dobry.

– Nic nie jest tu dla mnie dobre – poskarżył się Walerian. – Bez ciebie Samosata byłaby najobrzydliwszym z miast.

Mówił szczerą prawdę! Samosata, miasto wojskowych garnizonów, kupców i wieśniaków, nie przypominała w niczym Antiochii. Od świtu do nocy panował tu nieustanny ruch i zgiełk. A tutejszy klimat był okropny! Lodowaty chłód lub upał, susza lub zgniła wilgoć. Odczuwał brak łagodnego klimatu morskiego. Samosata

była ważna tylko dlatego, że w pobliżu znajdowały się wojska Szapura, tego, który uważał się za Króla Królów, chociaż z każdym dniem miał do tego coraz mniej powodów.

– Nienawidzę tego miasta – westchnął Walerian, przymykając znowu powieki.

Nie cierpiał też tej cesarskiej rezydencji. Był to pałac w stylu perskim. Ściany z politurowanej cegły, kopulaste dachy, płaskorzeźby z ceramiki. Tylko ta jedna komnata miała nieco charakter rzymski z portykami, marmurami, malowanym sufitem i szerokim tarasem wychodzącym na ogród i zapylone wzgórza. Dlatego właśnie tu zamieszkał.

Wiatr łopotał w lnianych zasłonach, zawieszonych między kolumnami prowadzącymi na taras. Szeleścił w tapetach. Krótki promień światła padł na marmurową mozaikę posadzki. W silnym blasku zabłysła matowa skóra Iflawy.

Przysiadła na łóżku blisko niego. Złoty promień musnął ciemnobrązowy sutek piersi. Odcinał się wyraźnie w półmroku panującym w pokoju, przywodząc na myśl głęboki, czysty dźwięk struny harfy. Wąską talię Iflawy można było objąć dwiema rękami. Meszek na wzgórku łonowym lśnił niczym laka na przedmiotach przywożonych ze Wschodu. A kiedy się podnosiła, odsłaniał się różowy cień pochwy, obietnica słodkiego żaru wśród czarnego runa.

O, Iflava! Piękna Iflava!

Czyż bogowie nie stworzyli jej, by stanowiła

ucieleśnienie wszelkich kobiecych wdzięków?

A on sam, dlaczego był cesarzem, a nie malarzem lub poetą? Nie miałby wówczas innych zmartwień, jak tylko te, by spędzać dni i noce, upajając się urodą Iflawy. Niestety, musiał być Augustem Walerianem! Zresztą chciał tego. Zanim poznał ciężar władzy i bezsens związanych z nią niedogodności.

Ale przynajmniej bogowie pozwolili mu mimo podeszłego wieku cieszyć się i podziwiać najdoskonalsze piękno, jakie istniało na świecie.

Iflava uśmiechnęła się. Ułożyła usta w słodkim geście, który przywodził na myśl Baubo, niesamowitą grecką gorgonę.

Nagle ogarnął go niepoahamowany lęk, czy Iflava go kocha. Czy Iflava kocha starca, którego pieści codziennie z tak cudowną wprawą? Czy to w ogóle możliwe?

Jak poznać uczucia niewolnicy? Ukazywała swe piękno, ale to wszystko, nie zdradzała się nawet z tym, czy jest jej zimno, czy ciepło.

On jednak pragnął, żeby go kochała. O tak! Pragnął miłości bardziej nawet niż pożądał ciała.

Z pewnością to głupota. Ale taka była prawda.

Ta niepewność przeszła go na wskroś. Powstrzymał się w samą porę, żeby nie zadać tego pytania.

Niech Mitra ma go w swojej opiece! Iflava była zdolna odebrać mu rozum i go ośmieszyć.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Zastony owinęły się znowu wokół kolumn, odsłaniając szarą masę chmur

przesuwających się na niebie od zachodu. Powietrze w pokoju zrobiło się świeższe.

– Będzie padać – zauważyła Iflava obojętnym głosem.

Palcami nawilżonymi olejkiem nacierała szorstką skórę Waleriana.

Odszukał w mroku jej dłonie i przytrzymał je, półgłosem, z żarem wyrecytował fragment z poezji Horacego, który znał na pamięć, bo tak często go sobie powtarzał:

„Czy ciało księżniczki jest piękniejsze, bardziej godne pożądania niż ciało kurtyzany?”

Chwytaj piękno, gdy się do ciebie zbliży, i nic pozwól mu umknąć.

Nie ma większej rozkoszy.

Cała reszta to tylko iluzja, kaprys nieokiełznanej wyobraźni, nieznaną natury, rezygnacja z prawdziwego szczęścia”.

Iflava rzuciła mu krótkie spojrzenie. Jej oczy wydawały się bardziej błyszczące. Może ze wzruszenia, a może była w tym jakaś drwina?

– Czy lękasz się Auguście, że nie jesteś dostatecznie kochany? – zapytała nieoczekiwanie.

– Chodzi mi o ciebie, Iflavo, jedynie o ciebie – przyznał bardzo poważnym tonem.

Nie podnosząc na niego oczu, pokiwała głową z wyrazem powątpiewania na pięknej twarzy. Przyklękła na nim, obejmując go udami tak ściśle, że w uczuciu niewysłowionej ekstazy domyślał się, jak gorące i wilgotne

musiało być jej wewnątrz.

– Mówisz tak – szepnęła – bo otrzymałeś złe wieści od Cezara.

Ekstaza Waleriana pękła niczym kruche szkło. Zaboląła go ta odpowiedź. To był cios poniżej pasa.

Rzeczywiście, opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło w Nikopolis. O kielichu z trucizną, której Aurelian omal nie wypił w dniu swego triumfu z okazji pokonania Gotów, o zamordowanych w odwecie oficerach w ich własnych łóżkach, w jego noc poślubną!

Morderstwa te miały być sygnałem ostrzegawczym dla Galliena, jego syna. Legiony i całe imperium widziały w Cezarze tego, który pragnął śmierci umiłowanego *dux maiorum* Aureliana.

– Dlaczego jesteś okrutna, Iflavo? – rzekł, kiwając głową. – Już prawie o tym zapomniałem.

Stało się to, czego się obawiał, gdy zostawiał Galliena i Aureliana razem. O tak, nie wątpił, że Cezar Gallien chciał śmierci Aureliana. Znał lepiej niż ktokolwiek inny zimny, wyrachowany charakter swego syna.

Nie może mieć pretensji do *dux maiorum*. Aurelian musiał zareagować. Wymagały tego jego honor i duma... Miał nadzieję, że te właśnie wartości są najważniejsze dla nich, gdy przyprowadził ich razem przed byka Mitry.

Powinien był przewidzieć, że ci dwaj, choć wypiją byczą krew, by stać się posłańcami Heliosa, nigdy nie staną się dla siebie braćmi, ale na zawsze pozostaną wrogami. Gotowi się pozabijać, by zająć jego miejsce.

Iflava miała rację. Wieści z Nikopolis sprawiły, że ogarnęły go gorycz, zmęczenie, rozczarowanie.

Gdyby przynajmniej miał pewność, że ona go kocha, wtedy łatwiej byłoby mu podjąć pewne decyzje. Rozstanie z rozkoszami Wschodu byłoby mniej przykre.

Obserwował uważnie twarz niewolnicy z nadzieją, iż odnajdzie na niej jakiś ślad wzruszenia. Ale na próżno.

– Nie mogę się już bez ciebie obyć – wyznał szczerze.

– Bez wątpienia możesz – odrzekła z rozbawieniem. – Masz do dyspozycji tysiące niewolnic, a ja jestem tylko jedną z nich.

– Właśnie że nie, Iflavo! Nie mów głupstw – zdenerwował się Walerian. – Nie jesteś w niczym do innych podobna. Jesteś samą pięknnością. Ty...

Urwał, żeby nie powiedzieć, że nie ma w niej nic z niewolnicy.

Niech Jowisz ma go w swojej opiece! Starzał się. Tracił energię.

Wiatr znowu uderzył w zasłony. Huk grzmotów zbliżał się. Przycichła nagle miejska wrzawa, na marmurowym tarasie zabębniły pierwsze krople deszczu.

Walerian objął Iflavę w talii, przyciągnął, by ucałować jej pachwiny. Niewolnica pochyliła się posłusznie, a jej piersi zakołysały się nad jego twarzą. Potrząsnęła figlarnie ramionami, muskając sutkami jego usta i powieki. Walerian poczuł lekkie drgnięcie budzącego się członka.

W tych sprawach Iflava była czarodziejką. Nie musiała prawie nic robić, żeby wywołać jego stwardnienie.



Gdy wzięła go w ręce i wsunęła głęboko między swoje uda, Walerian szepnął:

– Jutro nie będziesz już niewolnicą. – Na jej hebanowej twarzy nie dostrzegł żadnej reakcji. Myśląc, że go nie zrozumiała, dodał głośniejszym głosem: – Mam zamiar cię wyzwolić, Iflavo. – Nie okazała szczególnej radości. Jej piękna twarz była nieprzenikniona. – Zrobię to, obiecuję.

W odpowiedzi poruszyła tylko silniej biodrami. Walerian poddał się. Z upodobaniem obserwował, jak tańczy na nim, oddając się cudownej rozkoszy, jakby mogła ona trwać całą wieczność.

Kiedy zatracił się w swym szczęściu, piorun uderzył z taką siłą, jakby sam Jowisz ciskał oślepiającymi błyskawicami. W gasnącym blasku błyskawicy Walerian dostrzegł w pokoju czyjąś sylwetkę.

– Na wszystkich bogów, kto...

Jego głos zniknął w trzasku gromu. Iflava znieruchomiała. Rozkoszna chwila była już tylko wspomnieniem. Walerian rozpoznał tego, kto się im przyglądał.

– Aksteks – jęknął. – Nie mogłeś trochę poczekać.

Stary uczony wpatrywał się zafascynowany w Iflawę.

– Kazalesz mi się pospieszyć, Auguście. Skończyłem wróżby.

Walerian przymknął oczy. Iflava delikatnie zsunęła się z jego członka.

Poczuł się nagle straszliwie nagi, kruchy, samotny. Niezmierny smutek ścisnął mu gardło. Pocieszał się

w myślach, że Aksteks z pewnością rozniesie dobrą nowinę, że August jest jeszcze do czegoś zdolny. Owinął się prześcieradłem, który podała mu Iflava.

– I co powiesz?

– Zużyłem osiemnaście gatunków ziół, rozkroilem siedem wątrób ptaków...

– Bez tych szczegółów, Aksteksie. Interesuje mnie wyłącznie rezultat.

Stary uczyony, potrząsnąwszy głową, ze znużeniem odpowiedział:

– Nie powinieneś wszczynać wojny, Auguście. Bogowie ci nie sprzyjają.

Walerian usiadł.

– Jesteś tego pewny?

– Nie chciałeś słuchać szczegółów, Auguście.

– Absolutnie pewny?

– Mógłbym to udowodnić. Nie należy wszczynać wojny z Persami.

– Mam nie walczyć?

– Ani ty, ani twoje legiony. Tak mówią bogowie.

Deszcz rozpadał się na dobre. Walerian spojrzał na zalany wodą taras. Iflava porządkowała fioletki, wygładzała pościel na łóżku. Wciąż była naga, nie narzuciła na siebie nawet tuniki. Bezwstydnie lśnił puszek na jej wzniesieniu łonowym. Aksteks wodził za nią wzrokiem starca pozbawionego już męskich sił.

Kto wie, może bezwstyd Iflawy był jej sposobem na przedłużenie niespełnionej rozkoszy?

Walerian mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Jeśli bogowie nie chcą, aby walczył, nie będzie walczył.

– Bogowie wyrażają swoją wolę, rozpętując tę burzę – rzekł do Aksteka.

Stary wróżbita wzruszył ramionami i odrzekł, że burze nie są tak wiarygodne jak wnętrzności ptaków. Walerian pozwolił mu mówić jeszcze przez krótką chwilę, po czym zwolnił go i wezwał niewolników.

– Sprowadźcie muzykantów, natychmiast. Chcę, żeby muzyka towarzyszyła burzy i moim myślom.

W oczekiwaniu na muzykantów zapytał, czy prokurator Makrianus przybył już z Antiochii.

– Czeka od wczoraj, Auguście.

– Może poczekać jeszcze trochę. Przyjmę go razem z sekretarzem Puliniuszem. Za godzinę. Nie, później... Może przed nocą.

Gdy przybyli muzykanci i pierwsze tony harfy i fletów zlały się z szumem deszczu, Walerian znowu miał w objęciach Iflawę. Całując jej piersi, szepnął:

– Dotrzymam obietnicy, jutro będziesz wolna.

\* \* \*

O zmierzchu ustały błyskawice i nie słychać już było grzmotów, deszcz jednak nie osłabł, lecz, przeciwnie, padał coraz rześniej. Muzykanci nadal grali. Walerian, siedząc w głębokim fotelu ustawionym między kolumnami prowadzącymi na taras, z wieńcem laurowym na głowie,

przyglądał się potokom wody siekącym ogrodowe baseny. Iflava, jak zawsze milcząca, ubrana w zwiewne woale, ze złotymi bransoletkami na rękach i naszyjnikami na szyi, leżała wyciągnięta na łóżku. Pod ścianami stało dwudziestu strażników nieruchomych niczym posągi.

Sekretarz senatu Puliniusz Aventiliusz i prokurator Makrianus musieli przejść przez cały pokój, by pozdrowić Augusta. Walerian odpowiedział na ich powitanie, wskazując palcem w niebo:

– To bogowie przemawiają do mnie.

Makrianus uniósł brwi, a jego chuda twarz jeszcze bardziej się pomarszczyła. Jak można było przewidzieć, nie przygotowano siedzeń ani dla sekretarza senatu, ani dla niego.

Walerian powtórzył z odrobiną ironii w głosie:

– Deszcz, błyskawice, burza! Wulkan, Junona, Ceres i Jowisz, to oni do mnie przemawiają. Jak wszyscy pragną wiedzieć, co postanowię.

Sekretarz Puliniusz skinął potakująco głową.

– Najwyższa pora, Auguście.

Puliniusz, mianowany dożywotnio pierwszym sekretarzem senatu, był niewiele starszy od Makrianusa, ale robił wrażenie mocno zniszczonego człowieka. Rzadkie włosy, wyblakłe oczy, wiotkie policzki, cera miejscami blada, miejscami czerwona. Wschód nie miał dla niego żadnego uroku. Tęsknił do Rzymu i swego pałacu na wzgórzu Opus, sąsiadującego z zalesionym wzgórzem eskwilińskim.

Wygląd Puliniusza był bardziej mylący niż obraz Galijki z fars Lamantiniusa Suliciusa.

Na jego widok Walerian miał czasami wyrzuty sumienia, że zmusił go do przyjazdu na Wschód. Sekretarz Puliniusz jednak był człowiekiem wyjątkowym – wiernym, obojętnym na polityczne intrygi i niezwykle odpornym na próby losu. Szczerze oddany sprawom państwa.

Stanowił przeciwieństwo chudego jak tyka Makrianusa, którego nie dawało się w żaden sposób utuczyć. Poza tym stale knuł spiski. Potrzebny więc był ktoś, kto by czuwał nad pomysłami prokuratora. Puliniusz nadawał się do tej roli doskonale. Miał rozum, wolę i spryt o wiele większe, niż można było podejrzewać z jego wyglądu. Niejeden dał się już na to nabrać.

Piorun uderzył w zbocze pobliskiego wzgórza. Od blasku błyskawicy i huku gromu aż się wzdrygnęli. Zadrżały ściany i kolumny pałacu. Przerażeni muzykanci przestali na moment grać.

– Sami widzicie – westchnął zadowolony z efektu Walerian – jak do mnie przemawiają.

Makrianus, okrywając fałdami togi ramiona, nieznacznie skinął głową, po czym rzucił niespokojne spojrzenie ku wzgórzom. Powietrze było już zimne, zrobiło się ciemniej.

– Boisz się burzy, Makrianusie? – zapytał Walerian.

– Boję się tylko bogów, Auguście. Tylko ich się lękam, i to bardzo. Jak wszyscy ludzie, jak wszyscy dobrzy Rzymianie.

– Masz rację – uśmiechnął się w odpowiedzi Walerian.  
– Jakie przywozisz wieści z Antiochii?

– Chrześcijanie nadal nie chcą płacić wojennego podatku. Kazałem spalić na stosie biskupa Dymitriosa. Ten stary głupiec nie zamierzał ustąpić. Nie podejrzewałem go o taki upór.

– Każdy boi się swojego boga, prokuratorze Makrianusie – odezwał się Puliniusz bezbarwnym głosem.

– Dymitrios mocniej wierzył w swego boga niż ty w swego. Boga jedyne, którego uważał za potężniejszego od naszych bogów. Powtarzam od dawna, że siłą niczego nie uzyskamy od chrześcijan.

Walerian skrzywił się z niechęcią. Jediną wadą Puliniusza była niezrozumiała słabość dla chrześcijan.

– Do sprawy chrześcijan jeszcze powrócimy. Teraz mów, prokuratorze, o Szapurze.

– Ten Pers... Powinieneś mnie raczej pytać, Auguście, o nowiny dotyczące Odenatusa i jego zawziętej żony!

– Nadal zwyciężają?

– Opancerzone konie Szapura znowu cofnęły się przed Odenatusem. Podobno to jego żona prowadziła łuczników do walki, jak za pierwszym razem. Ubrana w czerwony pancerz!

– W czerwony pancerz? – zdziwił się Puliniusz z dziecinnym zainteresowaniem.

– W pancerzu ze skóry, sekretarzu. – Przylega tak ściśle do ciała, że wygląda w nim jak naga. Ozdobiony jest złotem, aby świecił jak słońce i był widoczny z daleka.

A ona galopuje w nim podczas bitwy.

Walerian uśmiechnął się.

– Zasługuje rzeczywiście na podziw. Świetnie jeździ konno, celnie strzela z łuku i jest doskonałym strategiem. Odenatus ma szczęście. Kto wie, może lepiej mieć za generała taką żonę niż syna lub knujących intrygi wodzów.

Po tych słowach zapadła cisza, przerywana szumem deszczu. Chudy Makrianus powiedział bez przekonania:

– To prawda, dobra z niej łuczniczka, Auguście. Ale przed tymi barbarzyńcami z pustyni trzeba mieć się na baczności. Uwielbiają przesadzać. Żołnierze Palmyry traktują ją już jak boginię.

– Naprawdę? – zdziwił się ponownie Puliniusz.

Makrianus wydał usta z tak pogardliwą miną, jaką tylko on potrafił zrobić:

– Alath! – zaśmiał się drwiąco. – Tak właśnie ją nazywają. To imię bogini. Trochę podobna jest do naszej Diany, ale bardziej dzika. Więcej w niej z naszego Marsa. Wierz mi, Puliniuszu, że chociaż Odenatus ma tytuł obywatela Rzymu, to tacy ludzie pozostają przede wszystkim barbarzyńcami.

– Za każdym razem, kiedy słyszę o tej Zenobii – powiedział w zamyśleniu Walerian – wiąże się z nią jakieś cudowne wydarzenie. Najpierw historia z gwiazdą jej narodzin i ze źródłem na pustyni. Potem jej śmierć i niespodziewane pojawienie się. Obecnie jest wojownikiem, przed którym ugiął się Szapur. Obawiam się, Makrianusie, że twoja opinia o niej jest zbyt pochopna.

Czy ten młody Eliusz, którego zgodnie z twoim życzeniem mianowałem prefektem w Palmyrze, nie dostarcza ci poważniejszych informacji?

– Przeciwnie, Auguście. Mój osąd opieram na jego raportach. Eliusz jest przekonany, że Zenobia nie jest tą, za którą się podaje.

– A kim? – zapytał Puliniusz.

– Przypuszcza, że jest ona perskim szpiegiem.

– Naprawdę? – Walerian parsknął śmiechem. – Szpieg, który na czele wojsk Odenatusa pokonuje Szapura? Który walczy z Persami i odnosi nad nimi zwycięstwa? Czy twój Eliusz nie nadużył rozkoszy Palmyry?

– Myślę, że on się nie myli, Auguście. Ta Zenobia odgrywa przed nami teatr.

– No to raczej dziwnie gra swoją rolę. Meandry twojego umysłu, Makrianusie, są dla mnie zbyt zawile.

– Te zwycięstwa nad Szapurem to tylko komedia. Szapur robi to samo. Chce, abyśmy uwierzyli w jego słabość. Wykorzystuje dziewczynę, która została żoną Odenatusa i królową Palmyry, żeby wciągnąć nas w wojnę, w której pokaże nam swoją siłę i jednym uderzeniem rozbije nasze legiony.

Puliniusz aż gwizdnał z podziwem.

– Temu twojemu prefektowi, prokuratorze, nie brakuje wyobraźni.

– Kto uwierzy, że jedna kobieta potrafiłaby pokonać potężną armią Króla Królów? – odrzekł sucho Makrianus.

– Przecież i tobie, Auguście, nie udało się tego dokonać



z całą potęgą legionów! Te wszystkie bitwy to jedna wielka maskarada. Szapur chce, żebyśmy dołączyli do Odenatusa, a wtedy pokona nas swą pancerną jazdą!

– I w tym celu posłał tę Zenobię do łóżka Odenatusa?  
– zapytał rozbawiony Puliniusz. – Upokarza swoje wojsko, godzi się na klęskę po klęsce, czekając, aż Zdecydujemy się wysłać przeciw niemu nasze legiony? Obawiam się, Makrianusie, że dałeś się ponieść swojemu upodobaniu do misternych intryg.

– Nie obrażaj mnie, sekretarzu – warknął Makrianus, nie kryjąc złości i odzyskując pewność siebie, gdy burza się oddaliła. – Wiem, co mówię. Uważam, że nie powinniśmy wierzyć w słabość Szapura. To krętacz. Nie jest jeszcze tak osłabiony, żeby nasze legiony mogły go pokonać.

Puliniusz spojrział na Waleriana. Cesarz ze zmarszczonymi brwiami znowu wpatrywał się w deszcz. Myślał o wróżbach, jakie kilka godzin wcześniej przekazał mu Aksteks. Argumenty Makrianusa, choć dość dziwaczne, zmierzały w tym samym kierunku. Ta zgodność była Walerianowi niemiła. Nie lubił przyznawać racji prokuratorowi.

– Czy według ciebie, Makrianusie, Odenatus jest nam wiemy? Czy tylko jego żonie nie ufasz?

– Czyż można być pewnym sojuszu z jakimś tam królem ze Wschodu?

– Jest senatorem podobnie jak ja – zauważył Puliniusz. Makrianus machnął lekceważąco ręką.

– Wybacz mi szczerłość, sekretarzu, ale codziennie pojawiają się senatorzy, którzy potem zwracają się przeciw Rzymowi. Nie ma miesiąca, żeby nie dochodziły do nas wieści o wszczynanych to tu, to tam rebeliach. W Panonii, w prowincji Naddunajskiej, Galii. Z którymi zresztą, wybacz mi Augustie, Cezar walczy bez skutku. Bunty są nawet w Afryce. Tylko tutaj udaje mi się utrzymać porządek. Widzę jednak inne zagrożenie ze strony Palmyry. Jeżeli Zenobia nie jest tą, za którą ją uważam, jeśli jej zwycięstwa nad Szapurem są prawdziwe, to możemy oczekiwać, że Odenatus i jego małżonka wyobrażą sobie, iż są równie potężni jak nasi bogowie.

– Wówczas nasi bogowie ich ukarzą – odrzekł chłodno Walerian, którego ubodła uwaga o Gallienie. – Ale niezbyt wierzę twojemu prefektowi. Z tego, co słyszę, wynika, że on wrogo jest nastawiony przede wszystkim do królowej Palmyry. A więc jest również wrogiem naszego sojusznika Odenatusa.

– Augustie – zaproponował Makrianus – Eliusz postępuje zgodnie w twoją wolą. Zastanówmy się nad zaistniałą sytuacją. Jeśli Odenatus zostanie pokonany, jeśli Zenobia nas zdradzi, Persowie bez trudu zajmą Palmyrę. A to będzie katastrofa. Dla naszego handlu, dla Emesy, dla Antiochii.

– Rzeczywiście wielka katastrofa – przerwał mu Puliniusz. – Ale są to tylko przypuszczenia, prokuratorze. Na razie Persowie uciekają z pola walki.

Walerian gestem ręki nie dał Makrianusowi okazji do

odpowiedzi.

– Ta dyskusja nie ma sensu. Moja decyzja jest jasna, nie wystąpimy przeciw Szapurowi.

Walerian był zły, że znów nie rozumie zawilego rozumowania Makrianusa.

– Bogowie tego nie chcą – dodał sucho. – Aksteks bada wnętrze ptaków od dwóch dni. Bogowie nam nie sprzyjają. Ale mylisz się jednak, prokuratorze. Odenatus i jego małżonka w czerwonym pancerzu znacznie osłabili Szapura. – Wyciągnął rękę do Puliniusza, który wyjął z rękawa swej tuniki niewielki zwój papirusa. Podał go ostrożnie Walerianowi. – To list od Szapura. Prosi w nim o pokój.

– Co takiego? – Tym razem twarz prokuratora wyrażała całkowite zaskoczenie.

Walerian uśmiechnął się.

– Prosi o pokój i złoto.

Twarc Makrianusa na nowo się rozjaśniła.

– No tak, rozumiem.

– Zawsze byłem przeciwny takim praktykom – podjął Walerian. – Płacić barbarzyńcom, żeby zostawili nas w spokoju, to nic chwalebne.

– No i nie gwarantuje to skuteczności – przypomniał cicho Puliniusz.

– Pragnę zakończyć szybko sprawę z Szapurem. Muszę wrócić do Europy, gdzie Cezar mu dużo do zrobienia, jak sam to zauważyłeś, prokuratorze. Gdyby wróżby były pomyślne, to mimo twoich argumentów

ruszylibyśmy już jutro przeciw Persom. Nie sądzę, żeby Zenobia była zdrajczynią. Jest na to zbyt... wyjątkowa. A ja znam się na kobietach. Ale w jednej sprawie masz rację. Nie podoba mi się, że zaczyna być czczona jak bogini kosztem bogów rzymskich. Ona i jej mąż odnoszą zwycięstwa nad Persami, ale nie ma potrzeby, by okrywali się większą chwałą. Tak więc damy złoto Szapurowi, a potem wyruszę drogą morską, by dołączyć do Cezara, który stacjonuje nad Renem. Ty zaś, Makrianusie, zostaniesz tutaj i do mojego powrotu będziesz czuwać nad sprawami Rzymu. Dołożysz starań, by zachować jak najlepsze stosunki z królem Palmyry i jego żoną, którym tak wiele zawdzięczamy.

Makrianus stracił ochotę do dalszej dyskusji na temat Palmyry. Wskazując na list od Szapura, zapytał:

– O jaką sumę chodzi?

– Cztery wozy złota.

– Cztery wozy...! – Trwało dobrą chwilę, zanim odzyskał oddech. – Ależ, Auguście! Nie wystarczy żołdu wszystkich twoich legionów!

– Zapewne masz rację. Z tego powodu kazałem ci przybyć z Antiochii. Jesteś prokuratorem Rzymu w Syrii. Nikt lepiej od ciebie nie wie, co znajduje się w naszym skarbcu i... poza nim.

– Co masz na myśli?

– Twój własny skarbiec, Makrianusie. Czasami jest tak blisko cesarskiego skarbcza...

– Auguście!

– Tak, tak. Napełnili go chrześcijanie, od których pobierałeś pieniądze w moim imieniu.

Zapadła cisza. Walerian uśmiechał się. Puliniusz słuchał muzyki.

– Mogę oddać do twojej dyspozycji, Auguście, najwyżej dwa wozy – próbował targować się Makrianus.

– Wątpię, czy Szapur się tym zadowoli.

– Na Jowisza, Auguście, nie uda mi się zebrać więcej w tak krótkim czasie. Złoto to złoto. To nie słowa ani papirus, tego nie da się zgromadzić w jednej chwili. Poza tym potrzebują go twoje legiony. Nie płaciliśmy żołnierzom żołdu od dwóch miesięcy.

To był istotny argument.

– Szapurowi musi to wystarczyć – mruknął Walerian.

Nagle twarz Makrianusa wypogodziła się.

– Wystarczy, jeśli złoto zawieszysz mu osobiście, Auguście. Twoja obecność podwoi jego wartość.

Uśmiech Makrianusa mówił to wszystko, czego nie wyraziły słowa. Puliniusz zareagował pierwszy:

– Wykluczone! Byłoby to więcej niż nieostrożne.

– Czego się obawiasz, sekretarzu? – zdziwił się Makrianus. – Szapur chce złota. Jeśli August wręczy je osobiście, to Szapur będzie musiał dotrzymać umowy o pokoju.

Puliniusz nie ustępował:

– Nie, prokuratorze, to spotkanie może być pułapką. August, senat i Rzym nie mogą podejmować takiego ryzyka.

Makrianus opuścił powieki, skrywając wzrok.

– Decyzja należy do ciebie, Auguście. Nie zgadzając się na spotkanie i nie podejmując walki, pozwolisz mi uwierzyć, że cesarz Rzymu boi się Persów.

– Nic podobnego – odrzekł Puliniusz, ubiegając Waleriana. – Jesteś prokuratorem Wschodu, Makrianusie. Tu, w Syrii, twoje słowo liczy się najbardziej po cesarzu. I to ty powinieneś zawieźć to złoto.

Makrianus najwyraźniej zawahał się.

– Mogę to zrobić – przyznał. – Ale to i tak zostanie przyjęte jako dowód słabości cesarza Rzymu.

Walerian ze złością dał znak Puliniuszowi, żeby milczał. Nie ma sensu dalej o tym rozprawiać. Makrianus rozegrał to dobrze, i w dodatku miał rację.

Posłyszał za plecami, że Iflava wstała z łóżka. Musi dotrzymać danej obietnicy. Nie zważając na inne sprawy, jutro rano wręczy jej akt wyzwolenia. Ta myśl zasmuciła go. Ogarnął go żal, jakby tracił coś, co miał najdroższego. Szarość nieba i okropna atmosfera tego miasta, Samosaty, działały na niego jak trucizna. Dobre przynajmniej to, że stąd wyjedzie.

Tonem ucinającym wszelką dyskusję oznajmił:

– Pojadę na spotkanie z Szapurem i załatwię z nim sprawę. A ty, prokuratorze, zbierz jak najszybciej złoto.

**SISOGODON**

– Jak ona się czuje? – zapytała z troską Dinah.

– Śpi – szepnęła Aszemu. – Dałam jej do wypicia napar z ziół. Sen dobrze jej robi.

Dinah nie mogła się powstrzymać, by nie zadać dręczącego ją pytania:

– Czy to coś poważnego?

Aszemu, skrzywiwszy się, jakby to pytanie nie zasługiwało na odpowiedź, odwróciła się. Ignorując Dinah, przywołała cichym głosem niewolnicę, by wyrzuciła poplamione krwią szmaty do kosza.

Znajdowały się w wyłożonym dywanami przedsionku, prowadzącym do głównego pomieszczenia w namiocie. Pomimo grubych lnianych kotar, wzmocnionych pasmami skóry, we wnętrzu namiotu panował ogromny upał.

Po raz pierwszy Dinah nie czuła żadnej życzliwości dla Egipcjanki. Pomyślała, że Aszemu, podobnie jak wszystkich ogarnął lęk.

– Będzie żyć – szepnęła Dinah. – Jestem tego pewna. Bogowie nie mogą jej opuścić. Aszemu spojrzała na nią zaczerwienionymi oczami, które zdradzały, jak bardzo musi być zmęczona. Z jękiem otworzyła ramiona i przygarnęła Dinah do szerokiej piersi. Trwały tak objęte przez kilka chwil, podtrzymując się nawzajem, tłumiąc

szloch w gardle. Wreszcie Aszemu powiedziała cicho:

– Przez całą noc myślałam, że ona umrze. Teraz już nic nie wiem. – Odepchnęła lekko Dinah i dodała: – Nie wolno jej budzić, bo znowu będzie cierpieć z bólu.

– Nie chcę zakłócać jej snu. Chcę tylko tutaj posiedzieć.

Aszemu westchnęła, potarła powieki, patrząc na Dinah trochę nieufnie.

– Niełatwo mi przyszło zrobić jej opatrunki i zmusić, by wypila napar ziołowy. Teraz śpi i nie wolno jej budzić – powtórzyła z naciskiem.

– Obiecuję, że tylko będę nad nią czuwać. Prosił mnie o to Najjaśniejszy Pan.

Aszemu pokiwała głową z niezadowoleniem. Rozkazała niewolnicom przygotować czyste bandaże i maści. Kiedy już skończyła wydawać polecenia, zwróciła się do Dinah:

– Nie przyszłaś tu z woli Najjaśniejszego Pana. Domyślam się, że chcesz z nią porozmawiać, i wiem o czym.

Dinah spojrzała na nią zdumiona.

– Nie ma co robić przede mną tajemnic, moja mała – burknęła Egipcjanka. – Jeśli w obozowisku coś się dzieje, to Aszemu o tym wie.

Jej zmęczoną twarz rozjaśnił błysk czułości z jednoczesną lekką kpina. Dinah spłonęła rumieńcem.

– Poczekam, aż się obudzi. Przyrzekam.

– Mam nadzieję. Przecież to nic takiego pilnego.



Ruchem brody wskazała na brzuch Dinah, która poczuła, że jej policzki robią się jeszcze bardziej czerwone.

– Zamierzałam powiedzieć o tym po skończonej wojnie, ale teraz sytuacja się zmieniła. Przekażę jej tę wiadomość, jak tylko się obudzi.

– Jeśli wpadnie w gniew, zaszkodzi to jej ranom.

– Jestem pewna, że się ucieszy.

Aszemu pokiwała groźnie palcem.

– Módl się do twojego żydowskiego boga, abyś się nie myliła. Jeśli podniesie się jej gorączka, zabiję cię.

Dinah zaśmiała się, choć czuła, że Egipcjanka nie rzuca groźby na wiatr.

\* \* \*

Zenobia spała spokojnie, leżąc na plecach. Prześcieradło okrywało jej biodra i nogi. Pod piersiami owinięta była mocno bandażem, który pociemniał na prawym boku, gdzie Aszemu i akuszerka przyłożyły na ranę masć.

Dinah dowiedziała się, podobnie jak wszyscy w obozowisku, że ostrze włóczni na szczęście nie weszło głęboko. Pancierz ze skóry uratował Zenobię od śmierci.

Prawdę mówiąc, dumna Zenobia w ogóle nie chciała przyznać się, że została raniona. Ani Persom, ani wojownikom Palmyry.

Kiedy prowadziła łuczników do ataku, jeden z Persów powalonych na ziemię ugodził ją włócznią, której drzewce

złamało się od silnego uderzenia. Zawróciwszy Yedkivina, Zenobia przeszła strzałą gardło Persa i dopiero potem wyszarpnęła żelazo z pancerza.

Gdy zaniepokojeni jeźdźcy Palmyry otoczyli ją, by udaremnić następne ciosy, cisnęła z pogardą śmiercionośne ostrze. Uśmiechem pokryła ból. Nikt nie zauważył, że grot złamał się, zostawiając w ranie kawałek żelaza.

Bez najmniejszego skrzywienia walczyła dalej, choć żelazo rozrywało jej bok. Dopiero po zwycięskim zakończeniu bitwy Nurbel dostrzegł krew na pancerzu i spodniach. Zenobia utraciła tyle krwi, że z trudem utrzymywała się na koniu. Mimo to, z pobladłą twarzą pod zdobnym piórami hełmem, chciała zostać w siodle aż do powrotu do obozu. I tutaj w końcu zemdląca.

Najjaśniejszy Pan zaniósł ją na rękach do łóżka. Od tamtej pory składał wciąż nowe ofiary na ołtarzu Baalszamina, byleby tylko bóg pustyni zachował Zenobię przy życiu i mu jej nie odebrał.

Oczywiście Zenobia, jak tylko odzyskała przytomność, chciała wstać. Aszemu, Nurbel i akuszerka z trudem przekonali ją, że należy opatrzyć ranę. Nurbel powiedział ze śmiechem:

– Zaśnij! Alath nie umiera we śnie! Musisz jeszcze powalczyć, żeby być całkiem do niej podobna!

No i teraz dzięki ziołom Aszemu Zenobia usnęła.

Jej pierś ledwie unosiła się w oddechu.

Dinah, ogarnięta na nowo strachem, nachyliła się do

warg swej pani. Podniosła się dopiero wtedy, gdy upewniła się, że słyszy oddech.

Z tyłu łóżka, czuwając nad Zenobią niczym duchy, wisiały na trójnogach dwa pancerze. Jeden, rozdarty, ocalił jej życie. Czarna plama krwi, jak złowroga wróżba, przesłaniała wizerunek Alath. Postać bogini wyrzeźbionej w skórze wyglądała przerażająco. Dinah wydawało się, że ogląda poszarpaną pierś Zenobii.

Na drugim trójnogu wisiał nowy pancerz, identyczny jak tamten. Jakby czekał, by oblec ciało Zenobii gotowej do podjęcia walki, która – co Dinah wreszcie pojęła – nigdy się nie skończy.

Tak, Dinah nie miała już żadnych wątpliwości. Nieważne, czy Zenobia jest boginią wojny Alath, czy zwykłą dziewczyną z pustyni, bo i tak będzie prowadzić wojnę, aż do kresu swych dni. Persowie zostaną w końcu pokonani, a wówczas ona znajdzie sobie innych wrogów.

Prawda jest taka, że Zenobia, żeby żyć, musi walczyć. Straszna prawda.

Dinah siedziała na taborecie przy łóżku. Obserwowała twarz swojej niezwyklej, nieprzeniknionej przyjaciółki. Wojna sprawiła, że usta Zenobii zwężyły się, ich wyraz stał się bardziej surowy. Teraz wargi miała popękane od gorączki jak u starego przewodnika karawany. Nie było już w niej łagodności młodej dziewczyny. Nawet w tym śnie, graniczącym z utratą świadomości, zachowała surowy, okrutny wyraz twarzy, z jakim zagrzewała do boju swoich wojowników. Zmęczenie i rana powinny były złagodzić jej

rysy, ale tak się nie stało.

Odkąd zamordowano Ofalę, Zenobia często przychodziła w środku nocy i zasypiała obok niej, gdy dzieliła łożę z Najjaśniejszym Panem. Robiła to tak ostrożnie, że ani Dinah, ani Najjaśniejszy Pan nawet tego nie zauważali. Znikała o świcie, a Dinah budziła się z niejasnym wrażeniem, że Zenobia długo leżała blisko do niej przytulona.

Czasami, gdy Najjaśniejszy Pan wywoływał z niej jęki rozkoszy, Dinah wydawało się, że czuje wzrok Zenobii ukrytej za kotarą.

Ale może była to tylko iluzja. Rankiem z trudem odróżniała sen od rzeczywistości. Nigdy nie ośmieliła się zapytać o to Zenobię.

Tak naprawdę Dinah, nigdy nie żałowała, iż zgodziła się na dziwną rolę, jaką wyznaczyła jej Zenobia. Najjaśniejszy Pan traktował ją z szacunkiem wynikającym z satysfakcji, jaką daje mężczyznom zaspokojenie. Nawet straszne wspomnienia o tym, co zrobił jej Hayran, osłabły pod wpływem pieścizot Odenatusa.

A Zenobia? Czy nie cierpi z tego powodu, że nigdy nie znalazła się w ramionach swego męża? Jak przyjmie wiadomość, którą Dinah chciała jej oznajmić?

Aszemu miała rację, że nikt nie zdoła przewidzieć, co Zenobii spodoba się lub nie. Cóż w tym dziwnego? Nikt nie potrafi pojąć, czego pragnie, co czuje bogini i co czyni ją szczęśliwą.

\* \* \*

Dinah czuwała całą godzinę i przez ten czas Zenobia nie obudziła się. Niekiedy tylko drgały jej oczy pod powiekami, albo rozchyłały się usta, jakby próbowała coś powiedzieć. Żaden jednak dźwięk nie wychodził z jej zaschniętych warg.

Aszemu wróciła i obmyła twarz Zenobii wilgotnym ręcznikiem.

– W dalszym ciągu ma gorączkę – stwierdziła.

– Czy ona naprawdę śpi?

– Nie wiem. Wygląda na to, że częściej przebywa z bogami niż między ludźmi.

Umilkły na chwilę ogarnięte niepewnością. Dinah chwyciła rękę Egipcjanki i przytrzymała ją, by pohamować jej drzenie.

\* \* \*

Gdy zapadła noc, Zenobia spała nadal. W obozowisku zaczęto się niepokoić. Ci, którzy zapalali pochodnie, szeptem przekazywali wieść, że rana Alath okazała się poważniejsza niż przypuszczano. Najjaśniejszy Pan nie odchodził od ołtarza Baalszamina. Co godzinę składano na nim nowe ofiary. Nad obozem zaległa cisza. Nic nie zostało z radości po świętowaniu odniesionych zwycięstw.

Aszemu co jakiś czas zwilżała usta Zenobii drewnianą łyżeczką. Dinah nie spuszczała oczu z przyjaciółki.

Próbowała modlić się, ale od tak dawna nie prosiła o nic Jahwę Wszechmocnego, że nie pamiętała słów, jakimi zyskiwało się jego łaskę. Czyniła sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty, bojąc się, że może to ściągnąć na Zenobię nieszczęście.

Zawieszona nad łóżkiem Zenobii pancerze przybrały inny wygląd w świetle lamp. Teraz przywodziły Dinah na myśl opiekuńcze anioły czekające cierpliwie, aż ich królowa się obudzi. W żółtym blasku pochodni twarz Zenobii nabrała lekkich rumieńców. Odzyskała swą niezwykłą piękność. Usta nie były już tak popekane od gorączki, cień powiek podkreślał doskonałą linię czoła. Znikło zwiotczenie mięśni ramion, zdolnych napiąć ciężką wielkiego łuku, wywijać mieczem całymi godzinami podczas walki.

Bez żadnego konkretnego powodu Dinah nabrała nadziei.

Zenobia obudzi się. Jej sen był taki dziwny, bo czerpała u bogów siłę do wyzdrowienia.

Zenobii nie da się porównać z żadną inną kobietą, z żadną inną istotą ludzką. Zenobia ich nie porzuci. Będzie żyć.

\* \* \*

Przyszedł Nurbel po wieści. Aszemu nie pozwoliła mu zbliżyć się do śpiącej, mówiąc tyle tylko, że nie odzyskała ona jeszcze przytomności. Nurbel przyszedł ponownie

późną nocą, nabrzmiałą od straszliwej ciszy. Tym razem nie czekał na zgodę Aszemu i odchylił wejściową kotarę. Dinah i Aszemu były wstrząśnięte wyrazem niepokoju na jego twarzy, od którego postarzał się bardziej niż od lat wojowania. Jego broda, zawsze starannie przystrzyżona, wydawała się jeszcze bielsza.

Stanął obok łoża Zenobii i długo bez słowa na nią patrzył. Dinah domyśliła się, że podziwiał Zenobię tak, jak ona to robiła kilka godzin wcześniej. Podobnie jak ona także pragnął uspokoić się i nasycić oczy jej przedziwną pięknnością.

– Najjaśniejszy Pan obawia się o życie swojej żony – odezwał się w końcu cicho. – Postanowił zostać przy ołtarzu Baalszamina tak długo, dopóki Zenobia nie otworzy oczu.

Po raz pierwszy w jego głosie brakowało pewności siebie. On również podzielał niepokój Najjaśniejszego Pana.

– Znam się na ranach – odburknęła Aszemu – i znam Zenobię. Nie wolno tracić nadziei. Wkrótce się obudzi.

Nurbel z troską na twarzy powiódł ręką po swej łysej czaszce. Widział wiele ran, niektóre wyglądały na niegroźne, a jednak zabijały.

Dinah powiedziała:

– Myślę, że ona wcale nie śpi. Po prostu odpoczywa, nabiera sił u bogów.

Nurbel spojrział na nią ze zdziwieniem. Potem znowu popatrzył na Zenobię. Po czym uśmiechnął się nieznacznie

i pokiwał głową.

– Być może, kto to wie.



## SIRMIUM

Gdy wóz kołysał się na zatłoczonych drogach prowadzących do Sirmium, Klodia poddała się nostalgicznemu uczuciu szczęścia, oglądając znowu krajobraz swego dzieciństwa. Jej dobry humor oraz perspektywa zbliżającego się końca męczącej podróży z Nikopolis sprawiły, że również Ulpia pozbyła się wreszcie ponurego nastroju.

Niestety, radość Klodii z ponownego spotkania z matką w domu, który przed kilkoma laty rozbudowywała z takim zapałem, przyćmiło rozczarowanie. Wesole okrzyki, zachwyty zaskoczonego Elkana, wiernego rządcy, czułe uściski, ofiary złożone larom przodków i jej ojca nic mogły na długo przesłonić tego, czego nie dawało się ukryć. Julia Kordelia była chora, bardzo się postarzała.

Klodia początkowo sądziła, że bladość twarzy matki to tylko efekt wzruszenia. Ale ani śmiech, ani radość okazywana przy słuchaniu świeżych wieści o Aurelianie nie starły chorobliwej bladości z jej policzków i posągowego czoła. Pod wymalowanymi barwiczką oczami widniały głębokie sińce. Na czole pojawiły się granatowe, niemal czarne drobne żyłki. We wzroku matki Klodia nie znajdowała już błysku energii, którą zawsze podziwiała.

Gdy spacerowały po ogrodach, krok matki był ociężały, powolny. Chudą, pokrytą licznymi plamami dłonią opierała się na ramieniu Ulpii. Żartowała jednak z taką samą jak dawniej żywością umysłu. Tę samą ironię wyczuwało się w jej czułości, gdy opowiadała o tym, ile trudu zadała sobie Klodia, całkowicie zmieniając dom, aby stał się godny chwały Aureliana. Mimo wieczornego światła Klodia zauważyła, że wargi matki nie mają ani kropli krwi. Co gorsza, piękne włosy arcykapłanki Słońca Niezwycięzonego, włosy, których zazdrościła matce jako młoda dziewczyna, przeredziły się, stały się suche i łamliwe.

Szczyście i nadzieje Klodii ustąpiły miejsca goryczy rozczarowania. Przywiozła tu Ulpię, aby powierzyć ją wszechmocnej matce. Odkąd przekonała Ulpię do podróży do Sirmium, ani przez chwilę nie wątpiła w pomoc Julii Kordelii.

Teraz z przenikającym ją do głębi lodowatym chłodem zastanawiała się w duchu, czy Mitra i Słońce Niezwycięzone zechcą jeszcze wysłuchać modłów starej kapłanki. Czy zadowolili ich ofiara tej zniszczonej, schorowanej kobiety?

\* \* \*

Jeśli Julia Kordelia odgadywała nastrój córki, to nie pokazywała tego po sobie. W ostatnich promieniach dnia, pod portykiem świątyni Magna Mater, chwyciła dłonie

Ulpia i przycisnęła do swej chudej piersi. Był to gest czuły i zarazem władczy. We wzroku Julii Kordelii znowu pojawiła się siła. Onieśmielona Ulpia zagryzała wargi.

– To szczęście móc na ciebie patrzeć, Ulpio. Aurelian musi być dumny z takiej żony. Ale ty nie wyglądasz na szczęśliwą. Czuję to. Nie śmiałaś się już od wielu tygodni, prawda?

Rumieniec, który pokrył twarz Ulpia, nie miał nic wspólnego z czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Opuściła oczy. Julia Kordelia zapytała jeszcze łagodniejszym tonem:

– To dlatego Klodia przywiozła cię do mnie?

W odpowiedzi usłyszała szloch. Ulpia wyrwała się z jej objęć, odwróciła plecami i na dobre się rozplakała.

Klodia obserwowała matkę. Odczuła ulgę, że matka wszystko odgadła, znaczyło to, że starość nie pozbawiła jej jeszcze dawnych zdolności.

– Ulpia nie może zająć w ciążę – wyjaśniła z westchnieniem Klodia, patrząc, jak dziewczyna oddala się w kierunku atrium.

Julia Kordelia kiwnęła głową.

– Tego właśnie się domyślałam.

– Aurelian musi mieć syna. Cesarz bez potomka nie będzie szanowany – powiedziała Klodia z naciskiem i bez zbędnych wstępów, pewna, że matka zrozumie jej obawy.

– Czy on wie, że tu jesteście?

– Nie. Aurelian jest w Rzymie. Wyruszyliśmy niedługo po jego wyjeździe – Aurelian jest w Rzymie?

Klodia wolała nie mówić o prawdziwej przyczynie tej podróży.

Wydawało się, że Gallien po zamordowaniu oficerów w noc weselną Aureliana wolał pokryć obojętnym milczeniem tę hańbę. Jednak niespodziewanie po siedmiu miesiącach senat nakazał, aby wódz naczelny prowincji Mezja stawił się na Kapitolu. Julia Kordelia nie wiedziała nic ani o próbie otrucia Aureliana, ani o krwawej zemście, jakiej dokonała jej córka z pomocą Maksymusa. I lepiej będzie, żeby pozostała w tej nieświadomości.

– Czasami wzywany jest przez senat, to nic nadzwyczajnego – odrzekła obojętnie Klodia.

– Czy Aurelian wie, że ona nie może zajść w ciążę? – zapytała Julia Kordelia, wskazując na Ulpie.

– Nie. Ulpia chciała mu o tym powiedzieć przed jego wyjazdem. Zachowuje się wciąż jak niewinna dziewczynka. Wierzy, że zawsze należy mówić prawdę.

Ulpia usłyszała koniec ich rozmowy, bo właśnie wróciła, ocierając łzy z twarzy.

– Wybacz mi, matko – wyjąkała. – Tak mi wstyd! Klodia ma rację. Zachowuję się jak dziecko. Ale to jest... tak trudno jest pogodzić się... a Aurelian o niczym nie wie...

Łzy ponownie popłynęły po twarzy Ulpii, nie pozwalając jej dalej mówić. Julia Kordelia objęła ją bez słowa.

– Klodia ma rację – szepnęła. – Twój mąż nie musi o tym wiedzieć. Jeszcze nie teraz... A może i nigdy, jeśli

zechcą tak bogowie.

– Nie krwawię wtedy, kiedy powinnam – wyjąkała Ulpia poprzez łyzy. – A potem nagle mam taki silny i długi krwotok, że aż się boję, że wycieknie ze mnie cała krew.

Klodia obserwowała, z jaką czułością Julia Kordelia odnosiła się do Ulpii. Przypomniła sobie, jak ona sama dawno temu bardzo pragnęła, żeby matka objęła ją i utuliła w ramionach, gdy cierpiała jak teraz Ulpia. Ona też chciała wtedy wyjawic swoje cierpienie Aurelianowi i jednocześnie ukryć je przed nim. Jemu, który był źródłem i zarazem lekiem na jej ból. Matka wówczas, nie okazując oburzenia, ukoila ją z pomocą bogów. Dodała córce siły, która odtąd już nigdy nie bała się cierpień zadawanych przez brata.

– Nic nie pomaga – mówiła dalej Ulpia wstrząsana szlochom. – Modliłam się do Ceres, naszej bogini płodności, we wszystkich świątyniach w Nikopolis, na próżno. Nie pomagają ani zioła, ani wywary. Ani...

Przerwała, nie śmiejąc wypowiedzieć tego słowa.

– Szukałyśmy rady u akuszerok, greckich, syryjskich i byłyśmy nawet u jednej Egipcjanki – wtrąciła się Klodia. – Wszystkie próbowały swojej magii, ale krwawienia znowu powróciły. I dlatego uznałam, że powinnyśmy przyjechać do ciebie, matko.

– Tak mi wstyd – powtarzała żałośnie Ulpia. – Tak mi wstyd!

– Nie masz czego się wstydzic – powiedziała stanowczym głosem Julia Kordelia. — Wstyd ci nie

pomoże. Sprawি tylko tyle, że będziesz wobec siebie niesprawiedliwa.

– To kara bogów – upierała się Ulpia. – Zrobiłam coś złego! Inaczej byłabym jak inne kobiety.

– Jeśli zrobiłaś coś złego, to znasz swój błąd i możesz go naprawić.

Ulpia podniosła zalaną łzami twarz na Klodię. Spojrzała na nią badawczym wzrokiem, jakby oczekiwała od niej odpowiedzi. Usta Klodii pozostały nieruchome. Ulpia ukryła twarz w dłoniach.

– Gdybym wiedziała, że to jest złe...

Julia Kordelia chwyciła ją za ramiona z nieoczekiwaną brutalnością.

– Posłuchaj, żono mego syna. Wszystko, co przydarza się Aurelianowi, wynika z woli bogów, którzy go chronią. Od pierwszego dnia, gdy odetchnął powietrzem tego świata, Mitra i Słońce Niezwyciężone czuwają nad jego losem. Jesteś jego żoną. Nie zostałaśbyś nią bez ich woli. Twoja krew pojawia się i odpływa, bo oni tak zdecydowali. Jeśli nie chcą, żebyś nosiła dziś w łonie dziecko, trzeba im za to dziękować i poddać się cierpliwie przeznaczeniu.

Ulpia pokiwała głową.

– Aurelian nie będzie miał takiej cierpliwości. Dozna rozczarowania, poczuje do mnie odrazę.

Julia Kordelia zaśmiała się uspokajająco.

– Nie znasz jeszcze swego męża. Nikt nie jest bardziej wierny od niego. On nigdy nie rozstanie się z tym, co

otrzymał dzięki miłości.

Klodia opuściła wzrok, odgadując, że słowa matki odnosiły się również i do niej.

– Chodźmy – powiedziała znowu Julia Kordelia, prowadząc Ulpią do atrium, w którym Elkan pozapalał już lampy. – Musisz odpocząć i odzyskać siły. Jutro w południe polecą cię. wszechmocy Wielkiego Słońca.

**SISOGODON**

Zenobia spała jeszcze dwa dni i dwie noce. Obozowisko zastygło w oczekiwaniu. Wojownicy nie śmieli zwrócić oczu ku namiotom kobiet ani nawet wymawiać imię Alath.

Nurbel się załamał. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić i jak pocieszać Najjaśniejszego Pana. W środku drugiej nocy Najjaśniejszy Pan przyszedł zobaczyć Zenobię.

Wszedł po cichu. Żona leżała dokładnie tak, jak opisał mu to Nurbel – na plecach, z opatrunkiem pod piersią. Była bledsza niż kiedykolwiek przedtem, z półotwartymi ustami, z których wydobywał się ledwie słyszalny oddech.

Przyglądając się jej, nie wypowiedział ani słowa, rozmyślał o tym, że Zenobia, mimo bladości, bandaży i rozpalonych gorączką skroni, pozostaje nadal piękną kobietą. Myślał o tym, że nie trzymał nigdy w ramionach swej ukochanej żony, która teraz, unieruchomiona chorobą, nie wzbudzała w nim pożądania, lecz pełen lęku szacunek.

W milczeniu podszedł bliżej do łóżka, dotknął lekko jej twarzy, ale nie odważył się jej pogłaskać, chciał jedynie poczuć ciepło ciała kobiety, która stała mu się tak droga.

Kiedy już zamierzał opuścić namiot, Aszemu



z pokornym ukłonem powiedziała:

– Twoja żona, Najjaśniejszy Panie, będzie żyć.

Dostojny Odenatus spojrział na nią oczyma, w których nic nie dało się odczytać.

– Zenobia obudzi się – dodała z naciskiem Aszemu. – Jutro otworzy oczy, jestem tego pewna.

Najjaśniejszy Pan nie zapytał, skąd stara Egipcjanka ma taką pewność. Wszedł z namiotu i przywołał do siebie Dinah. Gdy przyszła do niego, przyjrzał się jej zmęczonej czuwaniem twarzy i pogładził ją po policzku. Gest był podobny do tego, jakim dotknął twarzy Zenobii, ale tym razem zrobił to z czułością przeznaczoną dla młodej konkubiny.

– Dlaczego niańka egipska jest taka pewna, że Zenobia się obudzi?

Dinah nie wiedziała, co powiedzieć.

– Bo podobnie jak ja nie może sobie wyobrazić, żeby bogowie nie chcieli jej nam oddać.

Najjaśniejszy Pan wyczuł tkwiący w niej strach. Skinął głową ze słabym uśmiechem.

Dinah szepnęła:

– Ona musi żyć, żeby dziecko Najjaśniejszego Pana stało się jej dzieckiem, żeby wypełniło się wszystko, co przepowiedziała.

Odenatus nic na to nie odrzekł. Kazał Dinah położyć się obok niego na królewskim łożu. Trzymając jej drobniutką dłoń w swojej ręce, leżał do świtu z otwartymi oczami.

Dinah, przejęta niepokojem i smutkiem, niemal nie oddychała. Odenatus trzymał ją tak, jak przytrzymuje się dziecko, żeby nie wpadło w przepaść.

Bez względu na to, czy Aszemu mówiła ze strachu, czy na podstawie swojego doświadczenia, okazało się, że miała rację.

Zenobia obudziła się z pierwszym brzaskiem, gdy czerwone, ogromne słońce wstawało nad pustynnym płaskowyżem. Przez moment była zaskoczona widokiem zmizerowanej, zaniepokojonej twarzy Aszemu. Dotknęła płótna pokrywającego ranę.

– Nadal tu jest – szepnęła zdziwiona i rozczarowana.

Aszemu zachwiała się i przywołała służące słabym głosem. Długo wstrzymywane łzy popłynęły po policzkach. Wydała z siebie gardłowy krzyk. Na zewnątrz pomyślano, że stan chorej się pogorszył. Ale służące wybiegły z namiotu, wołając, że Zenobia obudziła się, że Alath żyje!

\* \* \*

W obozie zapanowała radość. Wojownicy gromadzili się przed namiotem, broniąc do niego wejścia. Aszemu doszła już do siebie, wydawała polecenia, przekonała Nurbela i Najjaśniejszego Pana, aby odłożyli do wieczora wizytę u Zenobii. Nie straci już przytomności, nie zapadnie znowu w sen, ale potrzebuje spokoju oraz zabiegów, których nie można robić w obecności mężczyzn.

Dinah również musiała zdobyć się na cierpliwość. Słońce już mocno prażyło płótno namiotu, gdy w końcu pozwolono jej usiąść przy łóżku Zenobii. Nie była w stanie wymówić słowa. Tak długo czekała na tę chwilę. Wzrok Zenobii, równie przenikliwy jak przedtem, nim została ranna, onieśmielał ją.

– I co, nie masz zamiaru jej powiedzieć? – odezwała się Aszemu, zdenerwowana milczeniem Dinah.

– Powiedzieć o czym? – zapytała Zenobia trochę niewyraźnym głosem.

Dinah splotła ręce na brzuchu.

– Nie krwawię już od czterech miesięcy!

– Och!

– Cztery miesiące! – syknęła Aszemu, ocierając swoje czarne oczy. – Cztery miesiące i ani ty, ani Najjaśniejszy Pan niczego nie zauważyliście! Oprócz wojny nic was nie interesuje!

Zenobia, zignorowawszy jej złośliwość, uśmiechnęła się łagodnie. Dinah chwyciła jej ręce i położyła na swoim brzuchu.

– Ono będzie zarówno twoje, jak i moje.

Zenobia kiwnęła głową.

– Nie radzę ci, moja panno, chwalić się tym. Będzie to syn Dostojnego Odenatusa i jego żony Zenobii – wtrąciła się Aszemu.

– Przypuszczasz, że to będzie chłopiec? – zapytała Dinah.

– Jeśli nie chłopiec, pozostanie ci tylko skryć się na

pustyni – odparła Egipcjanka.

Zenobia, krzywiąc się z bólu, przekreśliła się na bok. Ułożyła głowę na kolanach Dinah, całowała jej brzuch poprzez materiał tuniki. Ta niezwykła u Zenobii czułość zaskoczyła Dinah. Zawahała się, czy może pogłaskać jej czoło, z którego powoli ustępowała gorączka.

– Jakie to cudowne – szepnęła cicho Zenobia. – To wspaniałe, że nosisz w sobie nowe życie. Dziewczynka czy chłopiec, nieważne, i tak będę szczęśliwa. Na moich rękach jest tyle krwi, tyle śmierci, że potrzeba mi nowego życia.

– Najwyższa pora, żebyś zdała sobie z tego sprawę – burknęła Aszemu.

– Obie będziemy miały duże brzuchy – zażartowała Dinah.

Aszemu roześmiała się.

– Z pewnością! Przymocujemy jej na brzuchu poduszki, ubierzemy w obszerne tuniki i nikt nie będzie wątpił, że jest w ciąży. Nie możesz jednak pokazywać się w czymś takim. – Aszemu wskazała na wiszące za łóżkiem pancerze. – Kobieta w ciąży nie może brać udziału w wojnie.

Zenobia nie odpowiedziała od razu. Spochmurniała.

– Aszemu ma rację – wtrąciła się Dinah. – Nie możesz już więcej walczyć. Trzeba wyleczyć twoją ranę.

Zenobia opadła z powrotem na łóżko. Jej usta milczały, ale twarz mówiła wszystko. Jakby w odpowiedzi rozbrzmiały jakieś krzyki. Wojownicy zgromadzeni wokół

namiotu od rana w pełnym słońcu niecierpliwili się, ale nie zamierzali odejść.

– No tak, zaczyna się – Aszemu nie kryła rozdrażnienia. – Alath! Alath! Będą tak wrzeszczeć do nocy!

– Masz rację – powiedziała Zenobia. – Okazują tym sposobem, że mnie potrzebują. Jak bogini.

– Bogini! – syknęła Aszemu. – Tacy są mężczyźni! Wierzą we wszystko, co im się opowiada. Ale ja dobrze wiem, kim jesteś. I to od dnia twoich narodzin! Jesteś dziewczyną, która potrzebuje teraz odpoczynku i powinna zachować się jak prawdziwa kobieta. Oto cała prawda.

– To jesteś ślepa i ciemna, nianiu, – odparła sucho Zenobia. – Przyrzekłam Najjaśniejszemu Panu, że pokonam Persów. I dotrzymam tej obietnicy. Nikt nie ma prawa w to wątpić, nawet ty.

– W twoim stanie?

– Tak, w moim stanie. Czy nie jesteś tu po to, żeby mnie wyleczyć?

Dinah zerwała się z łóżka, chwyciła Aszemu za rękę, żeby uciszyć jej gniew. Ale Egipcjanka, zmęczona i przejęta niepokojem o zdrowie Zenobii, straciła panowanie nad sobą.

– W takim razie niech Izis przyjdzie ci z pomocą – powiedziała ze złością. – Ja już mam dość. Nie zdołam po raz drugi uratować cię przed demonami.

\* \* \*

Kiedy słońce zapadało już za horyzont, Najjaśniejszy Pan kazał się zaanonsować Zenobii. Jego niewolnicy usypali kobierzec z płatków róż, które pospiesznie zebrano w ogrodach nad Eufratem. Kiedy podłoga była nimi całkowicie pokryta i powietrze nasyciło się ich zapachem, Odenatus wszedł do namiotu i zażądał, aby zostawiono go samego z żoną.

Przez moment, ogarnięci wzruszeniem, patrzyli na siebie bez słowa. Twarz Dostojnego Odenatusa wyrażała tyle szczęścia, że Zenobia była tym bardziej poruszona, niż chciałyby to przyznać.

Najjaśniejszy Pan odetchnął i zapytał z czułością w głosie:

– Boli?

– Trochę. Nie tak, żeby się tym zanadto przejmować.

Odenatus pokiwał głową i znowu zapytał:

– Czy widziałaś swojego boga, kiedy spałaś? – Widząc zdziwione spojrzenie Zenobii, dodał: – To Dinah tak wymyśliła. Przyglądała ci się długo podczas twego niekończącego się snu. Doszła do wniosku, że byłaś u Baalszamina. Oczywiście opowiedziała już o tym służącym i nie ma teraz w Palmyrze ani jednego wojownika, który by w to wątpił. Są przekonani, że to był powód twojej rany i długiego stanu nieświadomości. Mniejsza o to. Wszyscy pragniemy, aby Alath była wielka i miłowana przez bogów...

W oczach Odenatusa pojawił się figlarny błysk.

Zenobia zaczerwieniła się.

– Mój długi sen był wynikiem niezręczności Aszemu, a nie interwencji bogów, Najjaśniejszy Panie. Musiała się pomylić, szykując leczniczy ziołowy wywar, i to on pozbawił mnie świadomości bardziej niż włócznia Persa. Jeśli nawet Baalszamin wezwał mnie do siebie, nic z tego nie pamiętam.

Najjaśniejszy Pan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem. Usłyszano go poza namiotem. Wszyscy nadstawili uszu, domyślając się, że Odenatus jest znowu szczęśliwy u boku swej żony i że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. W całym obozie zapanowała powszechna radość, pozwalająca zapomnieć o niepokoju minionych godzin.

– Cieszę się, że mówisz prawdę – rzekł Odenatus, łapiąc oddech.

– Czy nie przyrzekłam ci mówić prawdę? – odrzekła Zenobia, patrząc mu prosto w oczy.

Odenatus przyglądał się jej w zamyśleniu. Zenobia odgadła, że chciałby wziąć ją za rękę. Może nawet złożyć pocałunek na jej ustach. Nie budziło to w niej odrazy, lecz dziwny żal. Ona również chciałaby móc choć na moment zamknąć oczy, wtulić swe zbolełe ciało w silne ramiona męża, który pokochał ją i okazywał jej tyle szacunku. Niestety, nie pozwalał na to uciskający nadal jej pierś lodowaty ciężar.

Z czułością, na jaką potrafiła się zdobyć, powiedziała:

– Dobrze mieć takiego męża jak ty, Najjaśniejszy

Panie. Ucieszyłam się bardzo na wieść, że Dinah da ci syna.

Najjaśniejszy Pan potrząsnął głową i z wielką powagą odrzekł:

– Nie, to nie Dinah daje mi syna, lecz ty.

\* \* \*

Nazajutrz w środku dnia nadeszła straszliwa wiadomość.

Aszemu i Dinah jeszcze odpoczywały, kiedy Zenobia usłyszała jakieś niezwykle poruszenie w obozowisku. Wysłała jedną z niewolnic, by dowiedziała się o przyczynę tego zamętu. Dziewczyna wróciła szybko bardzo podekscytowana.

– Cesarz Rzymian jest jeńcem Persów.

Zenobia zmartwiała.

– Skąd to wiesz?

– Tak mówią, pani. Persowie wzięli do niewoli cesarza Rzymu – powtórzyła niewolnica.

Oszołomiona Zenobia przez moment milczała, po czym wydała rozkaz:

– Przywołaj inne służące. Tylko nie róbcie hałasu. – Wskazała wzrokiem na uśpioną Aszemu. – Ubierzecie mnie, nie budząc przy tym niani.

Niewolnica otworzyła szeroko oczy.

– Ależ pani, twój opatrunek...

Zenobia przyłożyła palec do ust.



– Milcz i rób, co kazałam.

Opierając się na ramionach dwóch rosnących służących, w pancerzu ostrożnie włożonym na owiniętą opatrunkiem pierś, Zenobia wyszła ze swego namiotu, kierując się do namiotu Najjaśniejszego Pana.

Ledwie zdążyła przejść dwadzieścia kroków, otoczyli ją wojownicy, tworząc wokół niej mur. Ich wzrok wyrażał szczęście i zarazem zaskoczenie. Rozległy się głośne okrzyki:

– Alath wróciła, niezwyciężona Alath!

Zenobia zdobyła się na uśmiech, chociaż przy każdym kroku straszliwy ból rozdzierał jej wnętrzności i zatykał oddech. Nie mogła jednak okazać słabości. Wojownicy w pancerzach uderzali się swymi mieczami w piersi, inni bębnilo strzałami o drewniane łuki, przekrzykując ogólny harmider:

– Alath jest z nami! Niezwyciężona Alath!

Nadbiegł Nurbel z mieczem w dłoni. Przepychając się przez tłum, dotarł do Zenobii.

– Czyś ty oszalała? Na wszystkich bogów, chcesz, żeby otworzyły się twoje rany?

– Nie przemawiaj do mnie jak Aszemu. Pomóż mi raczej dojść do namiotu mojego męża.

Przy wtórze głośnych wiwatów Nurbel wziął ją na rękę. Zenobia dostrzegła, że ten rzadki między nimi kontakt nie pozostawił obojętnym starego wojownika.

– Niesiesz w ramionach Alath, a nie kobietę – przypomniała mu żartem.

Nurbel, przepychając się przez rozentuzjasmowany tłum, udał, że tego nie słyszał. Najjaśniejszy Pan, ubrany jedynie w zwykłą tunikę i bufiaste spodnie, czekał na nich przed namiotem.

– Zanieś ją na moje łóżko – zawołał do Nurbela.

Ułożono tam Zenobię, bladą, z kroplami potu na wargach i na czole. Najjaśniejszy Pan rozkazał przynieść świeże opatrunki, wino, owoce, mleko wielbłądzie, daktyle i chleb.

Nurbel zobaczył, że surową twarz Odenatusa rozjaśnił czuły, tak rzadki u niego uśmiech. Opuścił wzrok. Jego oczy także błyszczały bardziej niż zazwyczaj.

– Czy to prawda, że cesarz Rzymu jest w rękach Szapura? – zapytała Zenobia, napiwszy się wody ze srebrnego kubka.

Nurbel opowiedział, jakie doszły do nich wieści. Zamiast zwrócić swoje legiony przeciw Persom osłabionym przez zwycięskich żołnierzy Palmyry, Augustus Walerian wolał dać Szapurowi złoto. Bezmyślnie postanowił osobiście przekazać okup Persom. Towarzyszyła mu niewielka grupka strażników. Persowie bez najmniejszego trudu wzięli go do niewoli.

– Trzeba być Rzymianinem, żeby nie przewidzieć pułapki mruknął Nurbel. – Ten cesarz może był kiedyś silny, sprytny, ale dziś jest już tylko zramolałym starcem!

– Oby bogowie byli dla niego litościwi i pozwolili mu szybko umrzeć – westchnął Najjaśniejszy Pan. – Bo dopóki żyje, Szapur będzie się znęcał nad nim okrutniej niż tysiąc

demonów.

– Co robią Rzymianie, żeby uwolnić cesarza? – zapytała Zenobia.

– Nic. – Nurbel pogłaskał swą brodę z pogardliwym uśmiechem. – Tacy są dzisiaj Rzymianie. Zwiewają przed Persami, ile sił w nogach. Uciekają do Emesy, a tymczasem Szapur wkrótce dotrze do Antiochii, po drodze mordując i plądrując tak, jak to potrafi, gdy nie napotyka oporu. Rzymianie mają to, na co zasłużyli.

Wiadomo było również, że prokurator Makrianus zamiast ratować Waleriana objął dowództwo nad legionami na Wschodzie i kazał się obwołać Augustem, uzurpując sobie ten tytuł bez żadnych skrupułów. Od wielu już lat rządził pieniędzmi cesarstwa. Nikt nie miał złudzeń, co on sam sobą przedstawia.

– Wężę i skorpiony, kłamstwa, hipokryzja i zdrada, oto na czym wspiera się Rzym! – ponownie odezwał się Nurbel. – To imperium jest jak stare drzewo. Jego korzenie są przegniłe, a gałęzie za długie. Niczego się już po nim nie można spodziewać. I po co było zwyciężać trzy razy tego szczura Szapura?

Odenatus podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Wygrana bitwa zawsze przynosi jakiś efekt. Walerian nie jest głupcem. Wpadł w pułapkę zastawioną przez Persów, bo zapewne został zdradzony przez tych, którym ufał.

– Co teraz zamierzasz zrobić? – zapytała męża Zenobia.

Zamiast Odenatusa odezwał się Nurbel:

– Dlaczego mamy walczyć z Persami? Wracajmy do Palmyry. Miasto i twój syn potrzebują twojej obecności, Najjaśniejszy Panie, bardziej niż Rzymianie. Zenobia będzie mogła tam wyleczyć rany w lepszych warunkach.

– My także stanowimy Rzym, Nurbelu. Jestem członkiem senatu.

– Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie – nie ustępował Nurbel – ale twoja noga nigdy nawet nie postąpiła w Rzymie!

– Przysięgałem przed bogami wierność wobec cesarza. Odenatus nie łamie danego słowa. Kiedy Szapur upokarza cesarza, to rzuca wyzwanie również i mnie. Czy chcesz, abyśmy podobnie jak Rzymianie szybko zapominali o naszych obowiązkach?

Słowa te zostały powiedziane ostrym tonem. Nurbel skłonił się z wyrazem goryczy na śniadych policzkach.

Najjaśniejszy Pan odwrócił się do Zenobii.

– Nurbel w jednej sprawie ma rację. W Palmyrze trzeba zaprowadzić porządek. Zdrada Makrianusa dotyczy i mojego królestwa. Uzurpując sobie tytuł Augusta, Makrianus obejmuje dowództwo nad wszystkimi legionami na Wschodzie...

– Ach tak! – westchnęła Zenobia. – To dlatego Eliusz tak bardzo chciał zostać w Palmyrze, zamiast wyruszyć z nami przeciw Persom!

Odenatus przytaknął z gorzkim uśmiechem.

– Właśnie, byliśmy nie mniej ślepi niż stary Walerian!

Bawiła nas myśl, że prefekt jest zbyt tchórzliwy, by walczyć z Szapurem. Tymczasem jego pan, Makrianus, już szykował zdradę.

– I z tego samego powodu twój syn Hayran tak spiesznie odjechał, by do niego dołączyć, gdy zabrakło jego ukochanej ciotki, która broniłaby go przed twoim gniewem – dodała cicho Zenobia z pogardą w głosie.

Odenatus milczał, podobnie jak Nurbel. Nie było już nic do dodania. Wszystkie fragmenty łamigłówek pasowały do siebie.

Szapur mógł zdobyć Antiochię i, jak to Persowie mieli w zwyczaju, zniszczyć miasto, pojmać tysiące niewolników. Uzurpator Makrianus wcale się tym nie przejmie. Szlaki handlowe, dzięki którym stał się bogaty, nie zostały odcięte. To jemu podlegała Emesa, szlaki egipskie, porty, a przede wszystkim, dzięki Eliuszowi, Palmyra.

Odenatus, tak samo jak Zenobia i Nurbel, nie wątpił, że Hayran z radością zaprzeda się Rzymianom. Mógłby wtedy przejąć tytuł ojca, którego od tak dawna pożądał. Zamknie bramy miasta i nie wpuści do niego Odenatusa ani Zenobii. Wypędzić go stamtąd można by było dopiero po długim oblężeniu, które zniszczyłoby dużą część miasta. Hayran dobrze wiedział, że Najjaśniejszy Pan nigdy nie pozwoli sobie na takie świętokradztwo.

– Dlaczego bogowie ukarali mnie takim synem? – powiedział Odenatus ze szczerym zdziwieniem.

– Bogowie jeszcze nie podjęli ostatecznej decyzji –

odrzekła Zenobia z uśmiechem. – Powinniśmy ruszyć nie na Szapura, ani nie na Palmyrę, ale na Emesę i na Rzymian.

– Na Rzymian?

– Tak, przeciw legionom uzurpatora, Najjaśniejszy Panie. Powiedziałeś, że Makrianus i jego klika to zdrajcy. Musimy ruszyć przeciwko nim, zanim urosną w siłę.

Nurbel gwizdnął.

– Nie będzie to tak łatwe jak z Persami. Z tego, co wiem, przynajmniej cztery legiony opowiedziały się po stronie Makrianusa.

– Kupił ich posłuszeństwo – stwierdziła Zenobia. – Jaką wartość mają słowa fałszywego Augusta wobec armii Dostojnego Odenatusa, który całkiem niedawno pokonał opancerzone konie Szapura? Poza tym Najjaśniejszy Pan da im do zrozumienia jeszcze przed bitwą, że jest wiemy Walerianowi, a nie uzurpatorowi. Jeśli oficerowie w tych legionach zachowali jeszcze choć odrobinę honoru, poddadzą się królowi Palmyry bez walki.

Odenatus wymienił spojrzenia z Nurbelem. Zenobia wprawdzie tego nie powiedziała, ale przecież te legiony, podobnie jak cały Wschód, słyszały imię Alath. Żołnierze uwielbiają zwycięzców...

– To byłoby możliwe – przyznał ze smutkiem Odenatus – gdyby Rzymianie nie wiedzieli, że zostałam ranna i że Alath nie wyruszy na czele moich wojowników.

– Pokonanie Makrianusa nie przeszkodzi Hayranowi zamknąć się w Palmyrze i nie pozwolić nam wjechać do miasta – dodał Nurbel. – Jest na tyle głupi, że może tak

postąpić...

– Nie zdoła tego uczynić.

Nurbel i Najjaśniejszy Pan wpatrywali się w Zenobię, nic nie rozumiejąc.

– Ty, Nurbelu, jeszcze tej nocy powinieneś udać się do Palmyry ze swoimi wielbłędami. Jeśli zrobisz to szybko i dyskretnie, zajmiesz miasto, zanim się zorientują. Hayran i ten prefekt są zarozumiałymi głupcami... A my w tym czasie, Najjaśniejszy Panie, wyruszymy na Emesę. Będę u twego boku tak, jak podczas minionych bitew.

– Nawet o tym nie myśl! – zawołał Odenatus. – Z powodu rany nie możesz jeździć konno jeszcze przez wiele dni albo i tygodni...

– Moja rana nie ma znaczenia! Musimy uderzyć teraz.

– Nie! To cię zabije.

– Najjaśniejszy Panie, Alath powinna jechać na czele twoich wojowników.

– Nie kuś nieszczęścia, bo Emesa ujrzy martwą Alath! Stracą ciebie i przegram wojnę, bo żołnierze pomyślą, iż bogowie mnie opuścili.

– Zaufaj mi. W razie potrzeby pojedę na wozie. Będę miała dużo czasu, żeby się wyleczyć, gdy zdobędziemy Emesę.

Odenatus pokiwał głową zaskoczony szalonym uporem Zenobii. Ona zaś, wspierając się na jego ramieniu, wstała, wcale się przy tym nie krzywiąc.

– Pomożesz mi podobnie jak teraz – powiedziała głuchym głosem. Odetchnęła i pogładziła zdrową ręką

pancerz, pod którym znajdował się opatrunek. – Jak wiesz, jest jeszcze inny powód, dla którego należy pokonać Makrianusa bezzwłocznie i uczynić cię najpotężniejszym królem Wschodu. – Odeantus i Nurbel podnieśli pytająco brwi. – Zenobia już niedługo nie będzie mogła nosić pancerza ani walczyć. Urośnie jej brzuch. Obowiązkiem żony jest dać syna królowi Palmyry.



**SIRMIUM**

Julia Kordelia precyzyjnymi ruchami układała kadzidło na żarzących się węglach. Nad brązowymi misami uniósł się wonny dym.

Stanąła twarzą do ogromnego złotego dysku, wiszącego nad ołtarzem. Otworzyła ramiona, odsłaniając pierś, przymknęła powieki, unosząc twarz do góry, odchyliła się do tyłu. Woalka, przypięta agrafami do białych włosów, spłynęła aż na jej plecy. Julia Kordelia stała nieporuszona z ciałem wygiętym w łuk, podobna do doskonałego posągu.

Wysoko w sklepieniu świątyni, w rzeźbionej szparze, ukazał się promień słońca. Zaśnił na krawędzi dysku, tworząc na nim oślepiającą plamę. Przesuwał się po nim bardzo powoli, rozgrzewając coraz silniej jego złotą tarczę.

Julia Kordelia nie poruszyła się. Jej szczupłe ciało, okryte błękitno-złotą, jedwabną, obszerną togą arcykapłanki, wydawało się jak wyrzeźbione z drewna. Pierś, podtrzymywaną pasem z frędzlami, zdobionym bliźniaczymi figurami Boga Słońca i Mitry, unosił ledwie widoczny oddech. Poruszały się jedynie wargi w prawie niesłyszalnej modlitwie na cześć Słońca Niezwycięzonego, Wielkiego Niepokonanego Boga Słońca.

Słońce nieuchronnie zmierzało w kierunku serca

tarczy. Półmrok panujący w świątyni rozpraszał się, z rozgrzanego wnętrza znikwały cienie.

Klodia szukała na twarzy matki oznak starości i słabości, które dostrzegła poprzedniego dnia. Czy to nagły wpływ tego złotego światła? A może niezwykle napięcie wibrujące w ciele Julii Kordelii stojącej przed swym bogiem w tak nienaturalnej pozycji? W blasku słońca, spływającym na gładką powierzchnię złotego dysku, Klodia z wielką ulgą ujrzała matkę tak samo silną i godną uwagi bogów, jaką była w jej wspomnieniach.

Kiedy wreszcie słońce ogarnęło połowę tarczy, zalewając złotymi promieniami mury świątyni, Julia Kordelia wyprostowała się.

Z rękoma wyciągniętymi przed siebie sprawiała wrażenie, jakby wdychała to cenne, niezwykle światło. Schrypniętym głosem kilka razy wymówiła imię boga. Z zaokrąglonych ust wydobył się dźwięk przypominający drżącą muzyczną nutę:

– Eeeooo! Eeeeeyohoyoooh!

Ostry, modulowany dźwięk uderzył w tarczę, wywołując głuchy rezonans. Klodia odczuła wibracje na piersi. Kark i plecy przeszył dreszcz, który odczuwała tyle razy podczas modłów odprawianych przez matkę, kiedy była małym dzieckiem i potem, gdy była już dorastającą dziewczyną. Poddała się mu z rozkoszą. Matka nadal potrafiła zmusić do śpiewu ten złoty dysk!

Klodia dała się ponieść zmysłowemu, urzekającemu głosowi matki.

– Eeeooo! Eyeehhoeheooo!

Melodia przeszła w słowa, które zlewały się w wszechpotężnym słońcu.

– Władco ognia! Ty, który jesteś jądrem żywego żaru, wysłuchaj mnie! Boże bogów, usłysz tchnienie twojej sługi. Wejdź we mnie ty, który jesteś uosobieniem ognia! Eeeooo! Piękno światła, wysłuchaj skargi Ulpii, córki Ulpiusa Krinitusa, małżonki Lucjusza Domicjusza Aureliana!

O Panie życiodajnego ognia, daj znak za pośrednictwem tego dysku!

Przez jakiś czas Julia Kordelia powtarzała swą śpiewną modlitwę. Następnie pochyliła się tak nisko, że włosy wraz z okrywającą je woalką musnęły posadzkę. Wpadając w trans, przez chwilę drżała tak mocno, jakby jakaś niewidzialna ręka potrzasała nią niczym szmacianą kukłą.

Młode dziewczyny, kapłanki pełniące rolę służebnic przy ołtarzu, utworzyły wokół niej półkole. One również podniosły ręce ku złotej tarczy, podejmując gardłowy śpiew arcykapłanki. Rozbrzmiała nim cała świątynia, a kamienne mury odpowiadały echem.

Na wypolerowanej tarczy dysku drgały promienie słoneczne. Drgawki Julii Kordelii przybrały na sile. Wątle ciało zmuszała do tego jakaś niewidzialna siła. Napięta, pobladła, lśniąca od potu twarz matki wydała się Klodii niezwykle piękna.

Otworzyły się drzwi znajdujące się za dyskiem.

Wyszła nimi prowadzona przez służebne kapłanki Ulpia w diademie ze złotym wizerunkiem słońca. Ciało dziewczyny okrywały całkowicie czerwone woale. W oślepiającym blasku złota przypominała krwawą zjawę. Kapłanki ułożyły ją na długiej kamiennej ławie, ustawionej w cieniu.

W tym momencie skończył się trans Julii Kordelii, a śpiew stojących za nią służebnic rozbrzmiał ze zdwojoną siłą.

Światło słońca pokrywało już dwie trzecie dysku.

Julia Kordelia drewnianą łyżką zaczerpnęła z misy kadzidło, które wsypała do brązowej kadzielnicy, po czym okrążyła ołtarz i podeszła do Ulpii. Urywany oddech dziewczyny poruszał krwistymi woalkami osłaniającymi twarz. Julia Kordelia rozcięła wszystkie po kolei ostrzem brązowego noża.

Ulpia krzyknęła ze strachu. Chciała się podnieść, odepchnąć arcykapłankę. Ale służebne kapłanki, otaczające kamienną ławę ze wszystkich stron, czujne na każdy jej gest, nie pozwoliły na to, przytrzymawszy ją za nadgarstki i kostki u nóg. Szybkimi ruchami noża Julia Kordelia przecięła woale okrywające pierś, brzuch i uda Ulpii. Dziewczyna, z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, głośno jęknęła.

Dwie młode kapłanki podały Julii Kordelii srebrną tacę. Klodia zadrżała, ujrawszy na niej ciemnoróżowy członek byka.

Ze zręcznością, jaką osiągnęła, powtarzając ten ruch

już setki razy, arcykapłanka wzięła w ręce martwy członek. Potem przesuwiała nim energicznie po ciele Ulpia, która zamknęła powieki, a z jej otwartych lisi wydobył się krzyk obrzydzenia i przerażenia, gdy członek byka spoczął na jej podbrzuszu.

Kapłanki przyniosły misę, w której Julia Kordelia zanurzyła ręce. Wyjęła je po chwili oblane ciepłą jeszcze krwią złożonego w ofierze byka. Koniuszkami palców skropiła nią brzuch Ulpia, dławiącej w gardle szloch.

Julia Kordelia ponownie zanurzyła ręce we krwi, po czym na brzuchu Ulpia narysowała zakrwawionymi palcami dwie krzyżujące się linie.

– Eeeooo! Eyyyoo, władco ognia, władco życiodajnego żaru, użyż moim dłoniom światła twojej woli!

Nie zwracając uwagi na drzenie brzucha Ulpia, mocno ugniatała na nim członek byka. Krew i fizjologiczne płyny ściekały z niego między uda żony Aureliana.

Odwróciwszy się gwałtownie od na pół zemdlonej Ulpia, Julia Kordelia dołączyła do służebnych kapłanek, które śpiewały, wpadając już w trans. Arcykapłanka, rozłożywszy ramiona, przyłożyła ociekające krwią dłonie do złotej tarczy dysku. Rozszedł się ostry, mdlący zapach zmieszany z wonią kadzidła.

– Władco ognia, wysłuchaj skargi Ulpia! O Panie światła, pozwól, by mogła zostać matką!

Julia Kordelia podeszła ponownie do Ulpia. Kapłanki podały jej dwie srebrne czarki. Jedna zawierała spernę

byka, druga mleko krowy. Obojętna na płacz i błagania synowej, zaczęła namaszczać tym ciało młodej kobiety wstrząsane spazmami.

\* \* \*

W tym czasie słońce ześlizgiwało się po złotej tarczy, by w końcu zniknąć tak gwałtownie, jakby odcięto mu promienie.

Dopiero wówczas Klodia i jej matka usłyszały jakieś dochodzące z ulicy hałasy, odbijające się echem w pomieszczeniach świątyni. Julia Kordelia spokojnie zakończyła ceremonię. Służące zaniósły jękającą się z przerażenia Ulpię do basenu, w którym miały ją wykapać, a potem uśpić naparem z ziół.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Julia Kordelia zapytała:

– Co się tam dzieje? Co to za wrzawa?

Służebne kapłanki wybiegły na stopnie świątyni, gdzie gromadził się tłum. Jedna z nich wróciła szybko bardzo wzburzona.

– Cesarz jest jeńcem Persów! Barbarzyńcy pochwycili cesarza Rzymu...

– Co ty opowiadasz? – zawołała Klodia, chwytając ją mocno za ramię.

– Mówią tak ludzie przed świątynią – odrzekła dziewczyna ze łzami w oczach. — Cesarz Walerian jest jeńcem Persów od idów wrześniowych.

Klodia machinalnie policzyła w myślach, ile dni upłynęło od tej daty. Ponad sześć dni! Tuż przed tym, zanim Aurelian opuścił Nikopolis. Wiadomość musiała dotrzeć do Rzymu szybciej niż do Sirmium. A więc i on musiał już o tym wiedzieć. Ta wiadomość rozejdzie się zaraz po całym imperium!

Poszukała spojrzeniem wzroku matki. Julia Kordelia, ze zmarszczkami pogłębionymi zmęczeniem, kiwnęła głową, jakby zgadując myśli córki.

– Bogowie decydują o wszystkim – powiedziała cicho.  
– Słońce decyduje o czasie, Mitra decyduje o sile. Ludzie zależą całkowicie od ich woli. Cesarz tak samo jak inni.

\* \* \*

W całym imperium, w mieście i na wsi, wieść o wzięciu do niewoli Augustusa Waleriana wzbudziła przerażenie. Kobiety i mężczyźni, bogaci i biedni, wolni obywatele Rzymu i wyzwolenicy, niekiedy nawet niewolnicy, wszyscy spieszyli do przepelnionych świątyń.

Ludzie dawali upust swemu przerażeniu głośnymi krzykami, jakby słońce nie wstało tego dnia o świcie. Jedni łamali paznokcie, drapiąc ziemię, by obsypać się pyłem, inni wkładali ręce do ognia, by spalić się na popiół. Szlochające kobiety biegały na wszystkie strony, rozdzierając na sobie suknie i przenikliwie krzycząc. Mężczyźni wyrywali garściami włosy z głowy. Rzym był zgubiony. Straszliwa kara bogów spadła na imperium!

Teraz już nic nie ochroni państwa przed strasznymi klęskami. Zarazy, barbarzyńcy, niekończące się cierpienia wciągną wszystkich w swe przepastne otchłanie. Na drogach i pod kolumnadami świątyń wróżbici zwiastujący nieszczęścia, z bladymi, podrapanymi twarzami, przepowiadali rychłe pojawienie się demonów i złowieszczych znaków. Krwiożercze bestie o ciele węża i lwa, lub ryby i orła, będą rozszarpywać wnętrzości ludzi. Z gór spłynie na miasta gorąca lava. Woda zostanie zatruta. Będzie wrząca albo ścięta lodem tak, iż nie da się go porąbać.

Dzieci, przestraszone takimi okropnymi wizjami, dołączały swój płacz do przejmujących jęków dorosłych. Gdy zbliżała się noc, niektórzy woleli popełnić samobójstwo. Ciężarne kobiety zadawały sobie rany, by nie urodzić dziecka. W końcu rozesłano po kraju kohorty legionistów, by powstrzymać tych, którzy korzystając z chaosu, grabili farmy i magazyny, po czym podpalali je, tańcząc z radości.

\* \* \*

Julia Kordelia i jej kapłanki, gdy tylko otrząsnęły się z szoku, zabarykadowały drzwi świątyni Słońca Niezwycięzonego, by nie wdarł się do środka oszalały tłum. Służące dostały rozkaz, aby pod żadnym pozorem nie wychodziły ze świątyni. Miały w składzikach z ofiarnymi darami dość pożywienia i picia, by przetrzymać nawet



kilkudniowe obleżenie.

– Zresztą do tego nie dojdzie – zapewniała Julia Kordelia z uspokajającym uśmiechem. – Jutro wszyscy otrzeźwieją.

Klodia, ukrywając zdenerwowanie, pogodziła się niechętnie z decyzją matki. Rozumiała, że byłoby bardzo nierozsądne próbować dotrzeć do miasta. Ulpia, oszołomiona narkotykiem, nadal spała. Nie można pozostawało nic innego, jak tylko czekać świtu. Może uspokoi się wówczas atmosfera szaleństwa, które ogarnęło miasto.

Myśl o własnej bezsilności była jednak dla Klodii nie do zniesienia. Czy w takiej chwili nie powinna być u boku Aureliana?

Na Kapitolu i w senacie pewnie już spiskowano, knuto zamachy. Po pierwszym oszołomieniu nastąpi bezpardonowa wojna o najwyższą władzę. Walka o wieniec laurowy, który Walerian tak głupio utracił.

Cezar Gallien bez wątpienia zdążył zmobilizować senatorów i wojskowych dowódców, którzy byli mu posłuszni już od dawna. Był to odpowiedni moment dla Aureliana, by okazał swą siłę i przeciwstawił się Gallienowi. Ale czy sam będzie miał dość woli i sprytu?

W głębi duszy liczyła, że Maksymus przyjdzie z pomocą i ochroni Aureliana przed niebezpiecznymi knowaniami Galliena i jemu podobnych. Obawiała się, że jej brat okaże się bezradny jak dziecko tam, gdzie trzeba walczyć z przebiegłością tą samą bronią.

O tak, była całkowicie bezsilna. Jakże wyrzucała sobie teraz, że przyjechała do Sirmium, by pocieszyć Ulpię zalewającą się dziecinnymi łzami, a potem oglądać ohydny spektakl w wykonaniu jej starej matki!

\* \* \*

Późno w nocy, gdy już ułożyły się na poduszkach w kącie świątyni, zza grubych drewnianych drzwi dał się słyszeć głos Elkana, starego rządcy.

Pierwsza zerwała się Julia Kordelia, która nie mogła zasnąć. Na jej rozkaz służące podniosły ciężkie sztaby blokujące odrzwia. Elkan w towarzystwie dwóch niewolników, podobnie jak on w pelerynach z kapturami, szybko wślizgnęli się na teren świątyni.

Julia Kordelia, z twarzą poszarzałą od zmęczenia i napięcia, przyjęła go chłodno.

– Dlaczego w taką noc opuściłeś dom? Nie dałam ci takiego rozkazu.

Elkan zsunął z głowy kaptur i nie przejmując się naganą, odrzekł:

– Sądziłaś, że zostawię cię samą pośród tego szaleństwa? W domu jest dość ludzi do obrony, a ty tutaj potrzebujesz mojej pomocy.

Światła pochodni rzucały groźne cienie na ściany świątyni. Z zewnątrz dochodziły odgłosy przypominające ryki zwierząt.

Klodia zauważyła, że młode dziewczyny na widok

Elkana od razu się uspokoiły. Mimo niemłodego wieku miał jeszcze sylwetkę żołnierza. Bo też i był doskonałym żołnierzem, a całą swą wojskową wiedzę przekazał Aurelianowi. Nigdy nie można było zarzucić mu braku odwagi i w taką noc jak ta mógł się tutaj bardzo przydać.

– Elkan ma rację, matko – powiedziała. – Teraz połóż się i odpoczywaj do rana. Nic nam już nie grozi.

Julia Kordelia zawahała się. Z wyrazem wdzięczności na twarzy wzięła Elkana za rękę i oparła się czołem o jego twarde ramię. Nie zostało w niej już ani trochę tej siły, jakiej dowód dała podczas ceremonii. Pod oczyma miała czarne jak noc sińce. Wargi zdawały się pozbawione choćby jednej kropli krwi. Wielokrotnie w ciągu minionego dnia zaskakiwało Klodię drzenie jej rąk i ramion. Co jakiś czas zaciskała powieki i wstrzymywała oddech, jakby zmagając się z nagłą falą silnego bólu.

Elkan bez słowa zaprowadził Julię Kordelię do małego pokoiku na tyłach sanktuarium. Gdy wrócił, Klodia zapytała:

– Ona jest chora, prawda?

Jeśli nawet Elkana zdziwił jej suchy ton, to wcale tego po sobie nie pokazał. Jego smutna twarz była zatroskana.

– Od kilku miesięcy. Nie chce o tym mówić i leczy się własnoręcznie przygotowanymi naparami. Wygląda to tak, jakby jakieś zwierzę żyło w jej ciele i pożerało ją od wewnątrz.

Klodia przyjęła w milczeniu tę wiadomość. Kiedy Elkan wydał rozkazy niewolnikom i sprawdził osobiście,

czy brama świątyni jest zamknięta, podeszła i powiedziała:

– Jutro musisz nas odprowadzić do Rzymu.

Elkan uniósł wysoko brwi ze zdziwieniem.

– Do Rzymu? W jakim celu? Julia Kordelia z pewnością nie będzie chciała jechać do Rzymu. Nienawidzi stolicy i noga jej nie powstała tam od śmierci twojego ojca!

– W Rzymie jest Aurelian – odrzekła Klodia z gestem zniecierpliwienia. – Tam toczy się teraz walka o władzę. Mój brat mnie potrzebuje. Dobrze by również było, gdyby miał przy sobie Ulpię i naszą matkę.

Elkan wpatrywał się w jej twarz, jakby niezbyt dobrze ją widział w żółtym świetle pochodni. Zbyt długo jednak znał Klodię, żeby być zaskoczonym jej słowami.

– Zrób to dla mojej matki – dodała nerwowo – nie dla mnie. W Rzymie znajdują się lekarze, którzy potrafią ją wyleczyć. To tylko dziesięć dni podróży. Odległość nie jest bardzo wielka.

Elkan uśmiechnął się.

– Nic się nie zmieniłaś. Tak samo jak zawsze zimna i nieczuła. – W jego tonie nie było wymówki, jedynie lekka ironia. – Ale to dobry pomysł. Z radością ujrzę Aureliana, zanim jeszcze zdążysz zrobić z niego Augusta.

Klodia, urażona, wskazała na wiszący za nimi złoty dysk.

– To nie ja pragnę uczynić z niego Augusta, ale jego bóg. Równie dobrze jak ja znasz przepowiednię naszej matki. – Elkan przytaknął w milczeniu. – Postaraj się,

abyśmy wyruszyli jutro możliwie jak najwcześniej.

– Wyślę jednego z niewolników do willi, aby przygotowano tam wszystko, co będzie nam potrzebne do wyjazdu. Julia Kordelia musi mieć dobry wóz, żeby znieść trudy podróży.

## PALMYRA

Koryto Wadi Qubur niemal całkowicie wyschło. Jesienne deszcze były tak słabe, że płynęła w nim teraz zaledwie płytka struga czerwonego błota szerokości kilku kroków.

Nurbel od świtu czekał cierpliwie na brzegu, poniżej królewskiego pałacu. Ukryty w zaroślach, owinięty szerokim płaszczem z brązowej wełny, tkwił nieruchomy jak otaczające go okryte pyłem kamienie. Czy rzeka była w stanie przyboru, czy wyschnięta, shuloj Szarha miał zwyczaj przechadzać się tędy codziennie po pierwszym posiłku. Jeśli tylko żył, Nurbel go odnajdzie.

Słońce wstawało już nad pustynią, rzucając czerwone blaski na kamienne kopuły i dachy najwyższych domów. Gdy wyrzeźbiło cienie w żłobkach kolumn i pod oczyma posągów, dało się słyszeć gdakanie kur, ryki osłów i mułów. Pierwsze krzyki dzieci i nawoływania kobiet rozległy się w powietrzu, w którym unosiły się dymy porannych ofiar. Słysząc już było turkot kół na drodze wiodącej do bram miasta. W korycie rzeki pojawili się chłopcy prowadzący za sobą wielbłądzice z małymi, które szły na drżących jeszcze nóżkach.

Nikt nie domyślał się obecności Nurbela ani ukrytych obok niego kilkunastu wojowników.

Kiedy wreszcie w wysokim pałacowym murze otworzyła się brama malowana na czerwono i niebiesko, ukazała się krucha postać Szarha z nieodłączną laską w ręce. Nurbel dostrzegł za nim żołnierza i zląkł się na moment, że będzie on towarzyszył staremu shulojowi, ale Szarha odprawił go ruchem ręki i oddalił się od muru, idąc ścieżką w stronę Wadi. Brama zamknęła się za nim.

Nurbel odczekał, aż shuloj podejdzie do niego wystarczająco blisko, żeby usłyszał jego wołanie. Starzec drgnął i spojrzał w niebo, jakby spodziewał się tam ujrzeć jakiegoś demona.

– Shuloj, to ja, Nurbel! Spójrzysz tutaj.

Nurbel uchylił z lekka kaptur i ukazał swą twarz. Szarha cicho krzyknął ze zdziwienia:

– Ach, to ty, szlachetny Nurbelu! Nie poznałem cię.

– Siądź przy mnie, Szarha – polecił mu Nurbel. – Lepiej, żeby nikt nas nie zauważył.

Shuloj rozejrzał się wokoło ze strachem.

– Mam usiąść na ziemi, szlachetny Nurbelu? Niech bogowie mają mnie w swojej opiece! Przecież nie zdołam potem wstać.

– Nie histeryzuj. Pomogę ci. Jesteś mi potrzebny.

Szarha skrzywił się, ale go posłuchał. Z wielką ostrożnością, wspierając się na lasce, żeby zachować równowagę, umieścił swoje chude ciało na kamieniu.

– Jak wygląda sytuacja w pałacu? – zapytał niecierpliwie Nurbel.

– Jest źle, bardzo źle! Najjaśniejszy Pan i ty nie

powinniście byli powierzać miasta temu rzymskiemu prefektowi! — Pokiwał głową z wymówką i dodał zaniepokojonym głosem: — Szlachetny Nurbelu, czy to prawda, co mówią?

– A co mówią?

– Że żona Najjaśniejszego Pana zginęła od włóczni Persa!

– To nieprawda. Bądź spokojny, Zenobia żyje. Rozpowiadają kłamstwa. Grot włóczni Persa zranił ją, ale nie przyszła jeszcze pora na śmierć Alath.

Na wąskich wargach Szarhy, przed chwilą jeszcze wykrzywionych grymasem, pojawił się uśmiech radości i ulgi.

– Ty także nazywasz ją Alath? Czy wiesz, że tutejsi kapłani Baalszamina postanowili wznieść świątynię na cześć tej bogini? Twierdzą, że Alath jest młodszą siostrą Baalszamina.

– Co nie przeszkadza, że rozsiewane są wieści o jej śmierci.

– Ach, szlachetny Nurbelu, to sprawka tego Rzymianina, Eliusza. No i syna Najjaśniejszego Pana – dodał Szarha po chwili wahania. – Hayran zawsze lubił sprzeciwiać się ojcu. Szkoda, że nie widziałeś, jak jęczał, gdy wrócił do miasta po śmierci ciotki Ofali. Opowiadał o swoim nieszczęściu każdemu, kto przychodził go odwiedzić: „To Zenobia poderznęła jej gardło. Ma krew mojej ciotki na swoich rękach, a mój ojciec z tego się cieszy!”.



Shuloj wpatrywał się w Nurbela, spodziewając się chyba jakiegoś protestu. Nurbel zapytał jednak tylko:

– Czy rozpowiadają również, że cesarz Walerian jest jeńcem Szapura?

– Tak, mówią. A czy to prawda?

– Prawda. Rzymianin zachował się jak pisklę przy kocie.

Obaj zamyślili się na moment. Wskazując końcem laski na miasto, shuloj powiedział:

– Wiesz, jak to jest w Palmyrze. Ile ust, tyle plotek. Najpierw rozgłaszają, że Najjaśniejszy Pan i jego żona pokonali Persów, a potem temu zaprzeczają. Teraz mówią, że ona nie żyje i że Szapur zrównał z ziemią Antiochią! Ale te plotki są niczym wobec zdrady Hayrana. Nie ma dnia, żeby nie znieważał imienia Najjaśniejszego Pana!

– Dlatego właśnie przyjechałem – mruknął Nurbel. – Opowiedz mi wszystko po kolei.

Historia była całkiem prosta i nie było w niej nic zaskakującego. Wieść o śmierci Zenobii rozeszła się jak zaraza, usuwając w cień wzięcie do niewoli Augusta Waleriana i nielegalne przejęcie władzy przez prokuratora Makrianusa. Miasto tonęło w żalu, świątynie pełne były ludzi.

Prefekt Eliusz ogłosił, że odtąd to on odpowiada za porządek i obronę Palmyry, czym zwiększył atmosferę niepokoju.

– Wtedy Hayran kazał mi otworzyć bramy pałacu i przyjąć tego Rzymianina. Niech mi bogowie wybaczą, że

widziałem takie rzeczy, szlachetny Nurbelu. Hayran uściskał prefekta tak, jak mąż po powrocie z polowania wita żonę. O reszcie wolę milczeć.

– Nadal przebywają w pałacu?

– Oczywiście. Rzymianin czuje się w nim bardzo swobodnie i wydaje rozkazy, jakby się tu urodził.

– Czy Hayran wygłosił jakieś oświadczenie?

Pogarda i gniew ogarnęły shuloja, aż zadrgał mu podbródek.

– O tak. Jego słowa omal mnie nie zabiły.

– Co powiedział?

– Że Najjaśniejszy Pan i jego żona Zenobia zostali pokonani przez Szapura. Że Dostojny Odenatus przekonał się, że żona okłamała go, zapewniając o zwycięstwie nad Persami. Że bogowie ukarali Zenobię, zostawiając ją martwą na polu bitwy w Sisogodon.

Oczy Szarhy zwilgotniały. Z trudem oddychał. Nurbel machnął ręką niecierpliwie.

– Nie miej do siebie żalu, Szarha. Gdybyś nie posłuchał prefekta, dawno byś nie żył. Mów dalej, mam mało czasu.

– Nowy cesarz Rzymian mianował Hayrana Najjaśniejszym Księciem Palmyry, senatorem rzymskim w miejsce jego ojca. Prefekt Eliusz oznajmił, że zostaje jedynym dowódcą legionu i wojska Palmyry.

Złowrogi uśmiech pojawił się na ustach Nurbela.

– A to pyszałek! Ilu legionistów jest w pałacu?

– Ze dwudziestu. Straż prefekta i dwóch centurionów.

– Czy wiesz, gdzie mają swoją kwaterę?  
– Jak mógłbym nie wiedzieć? Panoszą się bezczelnie w komnatach Najjaśniejszego Pana!

– Dobrze.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zabić ich.

– Sam?

– Nie jestem sam, shuloj. Wpuścisz potajemnie do pałacu mnie i kilku wojowników. Nadszedł czas, by pomścić twoje upokorzenie, jakiego doznałeś ze strony Rzymianina. Teraz, przyjacielu, możesz dowieść swojego oddania dla Najjaśniejszego Pana i Zenobii.

Twarz Szarhy rozjaśniła się. W mgnieniu oka ubyło mu dziesięć lat.

– Zrobię wszystko, co zechcesz, szlachetny Nurbelu! Wszystko, co tylko rozkażesz!

\* \* \*

Dwaj legioniści przechadzali się, żartując. Byli bez hełmów. Na tunikach mieli tylko cienkie kolczugi. Przy pasach – krótki sztylet na lewym biodrze i pochwę z mieczem na prawym. Przy każdym kroku pobrząkiwały im srebrne ćwieki, którymi były nabijane skórzane spodnie. Ich śmiech odbijał się od sklepienia portyku, łączącego pomieszczenia służby z pokojami Najjaśniejszego Pana.

Z drugiej strony muru, z prywatnego ogrodu

Dostojnego Odenatusa, dochodził szum wody i głośne rozmowy. Ponad nimi wybijał się czyjś ostry śmiech. Nurbel poznał głos Hayrana.

Odczekał jeszcze chwilę, dał legionistom czas, żeby zawrócili na końcu portyku. Trzej wojownicy Palmyry przyczaili się za kolumnami za nim. Czterej inni, wślizgnęli się już do sąsiednich pomieszczeń. Każdy uzbrojony był w łuk o długości przedramienia, bardzo groźny w walce z bliska.

Gdy Rzymianie doszli do środka portyku, Nurbel podniósł rękę. Zafurkotały skrzydłami spłoszone gołębie. Legioniści zachwiali się na nogach. Obaj równocześnie chwycili się za szyję. Grube, krótkie strzały przebiły im gardła na wylot.

Wojownicy Nurbela wyskoczyli z ukrycia z mieczami w dłoniach. Nie potrzebowali ich jednak używać. Z ust legionistów chlusnęła krew. Ugięły się pod nimi kolana. Wojownicy palmyreńscy dopadli ich, gdy już byli martwi, i na znak Nurbela ukryli ciała w bocznych pomieszczeniach. Z pozostałymi ludźmi Nurbel pobiegł do bramy prowadzącej do ogrodów Najjaśniejszego Pana.

Stał tam namiot, w którym znajdowało się łóżko polowe oraz składany taboret i stolik. Na łóżku leżał hełm z grzebieniem, jaki nosili centurioni, a obok pancerz ozdobiony falerami – małymi tarczkami z brązu i srebra, przyznawanymi za wojenne męstwo. Rzymianin, ubrany tylko w tunikę, czytał długi zwój rozłożony na stoliku. Strzała przebiła jego serce, zanim w ogóle zorientował się,

że coś mu zagraża.

Wojownicy Palmyry pospiesznie zanieśli zabitego na łóżko, układając go w takiej pozycji, jakby spał.

– Schowajcie się za namiotem – szepnął Nurbel.

Teraz należało czekać na shuloja. Z drugiego końca pałacu dwie inne grupy wojowników palmyreńskich miały zaskoczyć strażników pilnujących mury. Szarha, który mógł się poruszać wszędzie bez wzbudzania podejrzeń, powinien był się o tym upewnić, zanim otworzy drzwi do ogrodu.

Shuloj nie kazał im na siebie czekać. Nurbel nigdy dotąd nie widział go idącego tak szybkim krokiem. Nawet nie podpierał się laską, tylko nią wymachiwał.

– Zrobione, szlachetny Nurbelu. Siedmiu Rzymian jest martwych. Przy życiu są strażnicy przed główną bramą i ci, którzy są z prefektem.

– Ilu ich jest?

– Sześciu, licząc także prefekta.

Szarha pokazał laską na drugą stronę muru.

– Wszyscy zamierzają teraz wziąć kąpiel z Hayranem.

– Hayran wymaga ochrony?

Szarha wzruszył ramionami.

– To są ci, którzy zawsze mu towarzyszą.

– Doskonale. Powiedz strażnikom, że masz im coś ważnego do przekazania, żeby otworzyli szeroko bramę. Czeka tam na ciebie dwustu wojowników Najjaśniejszego Pana!

\* \* \*

Jednym uderzeniem ramienia Nurbel otworzył drzwi, które skrzypnęły na zawiasach. Najpierw dały się słyszeć krzyki, a potem zapadła pełna osłupienia cisza.

Rzymscy strażnicy stali wzdłuż żywopłotu z krzaków pistacji. Kilkunastu niewolników krzątało się przy marmurowym stoliku. Hayran i Eliusz kąpali się nago w basenie w towarzystwie jednego Rzymianina o posturze gladiatora. Trochę dalej od nich grupka mężczyzn ubranych tylko w przepaski na biodrach grała w piłkę.

Pierwszy oprzytomniał Eliusz. Przywołał strażników, ale jego krzyk nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy dwaj legioniści runęli na podłogę z mieczami w rękach. Trzeci pobiegł w kierunku drzwi po przeciwnej stronie, by wszcząć alarm, ale zanim tam dotarł, śmiertelna strzała wbiła się w jego plecy. Padł u stóp przerażonych niewolników.

Towarzysze Hayrana zaskomlili ze strachu. Nurbel kazał niewolnikom położyć się pod stołem i nie ruszać się stamtąd. Po czym sam wskoczył do basenu. Nim gladiator zdążył zareagować, chwycił go za włosy i podciął mu gardło jednym uderzeniem miecza. Krew trysnęła na wrzeszczącego w panice syna Odenatusa. Nurbel zignorował go, szukając wzrokiem Eliusza.

– To odpowiedź Najjaśniejszego Pana dla tych, którzy sądzą, że można go zdradzić.

Wojownicy Nurbela, którzy wpadli za nim,

wymierzali strzały i miecze w piersi Rzymian.

– Nurbel! – krzyknął piskliwym głosem Hayran – Jesteś nikim! Czy nie wiesz, że mój ojciec nie jest już królem Palmyry?

– Milcz, kupo łajna! Nie jesteś godzien wymawiać mego imienia!

Rozwścieczony Hayran rzucił się do przodu. Nurbel wykręcił mu rękę i uderzył go mocno w pierś ręką i mieczem. Rycząc niczym ranne zwierzę, Hayran zachwiał się i zanurzył w czerwonej od krwi wodzie.

Nurbel, więcej się nim nie zajmując, ruszył na Eliusza. Prefekt na pewno mógłby być przeciwnikiem groźniejszym niż syn Najjaśniejszego Pana. Był jednak nagi i jego jedyną bronią stanowił pełen nienawiści wzrok.

W tym momencie rozległ się krótki sygnał rogu. Wojownicy Palmyry zajęli pałac. Szarha wykonał swoje zadanie.

Na ustach prefekta pojawił się zły, pełen pogardy i pychy uśmiech.

– Jeśli mnie tkniesz – zagroził, wytrzymując wzrok Nurbela – mój legion zrówna z ziemią Palmyrę!

Nurbel roześmiał się:

– Twój legion? Nie licz na niego, prefekcie! Legioniści są otoczeni w swoim obozie i nie wyjdą stamtąd bez zgody moich łuczników. Niewykluczone, że ci legioniści nie będą mieli ochoty walczyć dla ciebie, gdy dowiedzą się, że Zenobia żyje i lada moment pokona uzurpatora Makrianusa.

Eliusz pojął, co go czeka. Spojrzał niepewnie na swoich towarzyszy. Wszyscy byli otoczeni przez żołnierzy Nurbela. Hayran, nie przestając jęczeć, siedział w wodzie w drugim kącie basenu.

– Popełniłeś błąd, prefekcie. Nie jest tak łatwo pokonać Dostojnego Odenatusa – rzekł zimnym tonem Nurbel.

Eliusz, z pobladłą twarzą, wstrząsnawszy się od nagłego dreszczu, krzyknął:

– Nie ośmielisz się! Jestem przedstawicielem Rzymu! August mianował mnie...

– Milcz! Jesteś nikim!

Ostrze miecza świsnęło niczym bicz. Rozległ się paskudny chrzęst pękających kości i rozrywanych mięśni. Hayran zaskrzeczał. Eliusz jeszcze przez chwilę stał na nogach. Nurbel nachylił się i patrząc mu w oczy, w których zobaczył ostami przebłysk życia, powiedział:

– Gdy staniesz przed swoimi bogami, to nie zapomnij, że wysłała cię do nich Alath...

Końcem miecza ugodził Eliusza w czoło. Głowa prefekta opadła na piersi.

Nurbel odwrócił się do Hayrana, któremu strach zeszpecił śliczną twarz.

– Podziękuj ojcu, śmierdząca hieno, że jeszcze żyjesz – rzekł drwiąco.

\* \* \*



Przed wieczorem Nurbel przybył do legionu Palmyry, stacjonującego w obozie na zachód od miasta. Stał na stopniach świątyni Jowisza, skąd prefekt Eliusz zazwyczaj wydawał rozkazy. Łucznicy palmyreńscy, ustawieni na wzniesionym wiosną obwarowaniu, trzymali przez cały czas łuki wymierzone w legionistów.

Zapadła tak głęboka cisza, że słycać było skrzeczenie żab w brudnej wodzie Wadi Qubur. Wszyscy legioniści, od prostego dekuriona do trybuna, wpatrywali się w Nurbela.

Przez moment milczał, spoglądając na nich. Potem nakazał gestem przyprowadzić do siebie jednego z zastępców centurionów. Miał on na policzkach dawno niegolony zarost. Jego sandały i czarny grzebień na hełmie pokryte były kurzem. Trzymał długie, czerwone drzewce z umieszczonym na szczycie orłem rozwijającym skrzydła do lotu. Między szeregami kohort przeszedł szmer. Rozpoznano godło gwardii nowego Augusta, Makrianusa.

– Ja, Lilenus Avalius, zastępca centuriona III legionu Parthica, zostałem wysłany z miasta Emesy jako poseł do króla Palmyry Dostojnego Odenatusa. – Szmer przybrał na sile. Nurbel nakazał ciszę jednym ruchem miecza. Zastępca centuriona, prawą rękę przyciskając do piersi, mówił dalej donośnym głosem: – Król Palmyry, Najjaśniejszy Pan Odenatus, obywatel i senator imperium, stanął wraz ze swym wojskiem u wrót Emesy. Zgromadzone tam legiony – III Parthica, VI Ferrata, II Flavia Firma – nie zgodziły się walczyć przeciw niemu. Rozpoznały w nim przyjaciela Rzymu i naszego wziętego do niewoli cesarza Waleriana.

Prokurator Makrianus, który uzurpował sobie prawo do tytułu cesarza, dowiedziawszy się o tym, że Najjaśniejszy Pan szykuje się do oblężenia Emesy, opuścił miasto. Żona Dostojnego Odenatusa, królowa Zenobia, jako pierwsza wkroczyła do miasta na czele tysiąca łuczników. Prefekci wyparli się przysięgi złożonej zdrajcy Makrianusowi. Przed ołtarzem rzymskich bogów przysięgli wierność Najjaśniejszemu Panu Odenatusowi. Wszystkie trzy legiony złożyły przysięgę, że będą walczyć u boku armii Najjaśniejszego Pana Odenatusa, zbawcy Wschodu i Rzymu, żeby pokonać Persa Szapura i wyzwolić Augusta Waleriana.

Zastępca centuriona odetchnął, wpatrując się w setki twarzy zwróconych ku niemu. Zaległa pełna zaskoczenia cisza.

Nurbel, zamachnąwszy się mieczem, wskazał na łuczników Palmyry, stojących na wałach obozu. Zabrzmiął jego chrapliwy, niski głos:

– Ci wojownicy trzykrotnie zwyciężyli Szapura, gdy tymczasem wasz prefekt odpoczywał w pałacu Najjaśniejszego Pana. Szapur trzy razy przed nami uciekał. Do zwycięstwa prowadziła nas królowa Palmyry, a w tym czasie Makrianus zdradził waszego cesarza, by bezprawnie włożyć na głowę wieniec laurowy Augusta. Eliusz poparł tego zdrajcę. Jego podłe zachowanie przynosi hańbę waszemu legionowi. Wasi bogowie odwracają się od was i opuszczają was, tak jak wy zapomnieliście o dumie, jaką daje walka i zwycięstwo. Legioniści, jeszcze dziś musicie

dokonać wyboru, czy ruszycie przeciw Persom razem z Najjaśniejszym Panem, czy wolicie umrzeć.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę. Legioniści spoglądali teraz nie na Nurbela, ale na łuczników. Z pewnością pośród starych i doświadczonych oficerów byli tacy, którzy przypuszczali, że dowódca Odenatusa przechwała się.

Łucznicy Palmyry, choć było ich dużo i znali się na swojej robocie, mogliby nie doprowadzić do ostatecznej klęski. Po pierwszej salwie zostałyby w kohortach jeszcze dosyć ludzi zdolnych do walki. Ale jeden z centurionów wyszedł przed szereg, wy dobył swój krótki miecz i potrzásając nim, zawołał:

– Niech żyje czerwona bogini, niech żyje Zenobia!

W jednej chwili wszystkie usta połączyły się w okrzyku:

– Niech żyje czerwona bogini! Niech żyje Alath!  
Niech żyje Walerian!

Nurbel pokiwał głową z zadowoleniem. Ci tutaj znali już także imię Alath.

\* \* \*

Strażnicy otworzyli drzwi do małego pomieszczenia, które pełniło rolę więzienia w podziemiach pałacu Najjaśniejszego Pana. Hayran, zwinięty w kłębek, nadal nagi, z rękoma i nogami skutymi kajdanami, patrzył oszalałym wzrokiem. Gdy rozpoznał Nurbela, jego usta

zadrżały od obelg, których nie miał siły wymówić.

Nurbel wyjął z pochwy miecz i jego końcem dotknął czoła Hayrana.

– Najjaśniejszy Pan popełnia błąd. Nie chce, żebym cię zabił. A tak przecież postępuje się ze wściekłymi lub chorymi zwierzętami.

Dał znak strażnikowi, aby uwolnił z kajdan syna Najjaśniejszego Pana. Na progu celi pokazał się shuloj oraz kilku niewolników, którzy przynieśli ubranie.

Kiedy niewolnicy pomagali Hayranowi wstać i włożyć tunikę, Szarha westchnął z żalem:

– Byłem przy jego narodzinach.

– Ja również – odrzekł sucho Nurbel. – I nie przypominam sobie, żebym się potem z tego cieszył.

Pchnięto Hayrana do podziemnego korytarza, który prowadził pod murami miasta do ukrytego wyjścia, znajdującego się w pewnej odległości od pałacu. Korytarz był na tyle szeroki, że mógł nim precyzyjnie przejść muł. Panowały tu takie ciemności, że płomień pochodni ledwie je rozpraszał.

Minęli kilka pomieszczeń zatłoczonych koszami i wielkimi dzbanami, których kontury były prawie niewidoczne. Hayran zaczął się tak gwałtownie szarpać, że strażnicy, żeby go uspokoić, musieli związać mu ręce skórzaną linką. Nagle shuloj wydał okrzyk przerażenia.

W słabym świetle pochodni ukazały się zwalone na ziemię w poprzek ich drogi ciała towarzyszy Hayrana, aresztowanych tego rana w ogrodzie.

Nurbel podszedł do Hayrana, chwycił go za kark twardymi palcami i mruknął do jego ucha:

– Nie zapomnij tego widoku, niegodny synu, bo twoi ulubieńcy nie staną przed bogami. Zgniją tu, obiecuję ci. Już dawno czekałem na okazję, żeby ukarać te małpy, które sądziły, że mogą bezkarnie upokarzać swojego władcę i uznać ciebie za króla!

– Zabiję cię – wyjąkał zdławionym głosem Hayran. – Zabiję!

Nurbel klepnął go po policzku i rzekł drwiąco:

– Do tego musiałbyś być odważniejszy i sprytniejszy, niż jesteś.

– Zabiję ojca i ją także! – wrzasnął Hyran ostrym, przenikającym ciemności głosem.

Nurbel nic na to nie odpowiedział, tylko zdzieliwszy Hayrana mieczem po plecach popchnął go do przodu, zmuszając tym samym, żeby przeszedł przez zwalone trupy. Za nimi podążył Szarha, gderliwym głosem żądając, aby strażnicy pomogli mu przejść.

Kiedy wyszli przez niskie drzwi na skalne rumowisko, porośnięte akacjami i opuncją, oślepił ich jaskrawy blask słońca. Strażnicy, nic czekając na dalsze rozkazy, podprowadzili Hayrana do czekającej tam wielbłądzicy i uwolnili go z więzów.

Nurbel przyglądał się, jak Hayran owinał sobie głowę długim kawałkiem materiału oddartym od tuniki, a następnie zmusił zwierzę do ukłęknięcia.

– W bukłaku masz wodę na dwa dni. To ci wystarczy,

żebyś zniknął mi z oczu.

Hayran bez słowa usadowił się na okrytym derką grzbiecie wielbłądzicy. Nogą uderzył ją w szyję i zmusił do powstania.

– Zapamiętaj to sobie, Hayran – pogroził mu jeszcze Nurbel – jeśli zbliżysz się do Zenobii, dołączysz do swoich przyjaciół w podziemiach. Biorę bogów na świadków.

Hayran nawet na niego nie spojrzał. Skierował wielbłądzicę w wysuszone koryto Wadi Qubur. Pojechał na zachód, w kierunku doliny grobowców, skąd otwierała się droga do Emesy.

Kiedy już zniknął w cieniu starego tamaryszku, Szarha mruknął z wymówką:

– Czy konieczne było pokazywanie mu tych okropnych trupów? Czy nie uważasz, że on już wystarczająco boi się ciebie?

– Wiem, kiedy mam do czynienia z szakalem – odrzekł lodowatym tonem Nurbel. – Ten nigdy nie przestanie kąsać. Zbyt wiele jest trucizny w jego krwi. Mówię ci, Szarha, że Najjaśniejszy Pan źle uczynił, darując życie synowi.

**Część 2**  
**KŁAMSTWO**  
**261 r. n.e.**

# 11

## RZYM

– Sprowadziłem najlepszych lekarzy – zapewnił cichym głosem Puliniusz.

Przy łóżku Julii Kordelii stało ich czterech. Z tyłu krzatali się niewolnicy pracujący przy sporządzaniu leków oraz służba domowa, która zapalała lampy. Choć był to środek dnia, z ołowianego nieba nie przedostawał się do pokoju najmniejszy promień światła. Nastaly zimowe chłody i Rzym tonął w siekącym deszczu.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny – szepnął Aurelian. Nic wiem, jak mam ci dziękować.

Puliniusz, stary sekretarz senatu, wiemy przyjaciel Augusta Waleriana, ścisnął go za rękę, zapewniając o swej bezinteresownej przyjaźni.

Aurelian nie mógł oderwać oczu od matki. To, co widział, wprawiało go w popłoch i zarazem napełniało smutkiem.

Kiedy Julia Kordelia przyjechała do Rzymu, przeżył ogromne zaskoczenie, widząc, jak bardzo się postarzała. Chciał wierzyć, że to efekt długiej podróży z Sirmium, mimo iż Klodia oznajmiła mu bez ogródek: „Nasza matka umiera. Zżera ją choroba. Z każdym dniem cierpi coraz bardziej”.

W czasie drogi *carruca*<sup>[43]</sup> często była zatrzymywana



na rozkaz Elkana, żeby Julia Kordelia mogła odetchnąć. Na szczęście w tym dużym powozie, zaprzężonym w sześć wołów, wyposażonym w dwa wygodne łóżka, krytym plandeką z podwójnymi przegrodami, nie czuło się deszczu ani zimna. Julia Kordelia po nocy lub dniu odpoczynku czuła się zawsze trochę lepiej. Jednak była coraz słabsza, coraz bardziej widoczne było spustoszenie, jakie choroba czyniła w jej organizmie.

Po przybyciu do Rzymu, wbrew oczywistym faktom, zapewniała Aureliana o dobrym stanie swego zdrowia. Mówiła, że czuje się osłabiona tylko z powodu podróży. Udała się do świątyni Dobrej Bogini, aby złożyć ofiary i wypić ziołową herbatkę. Wróciła stamtąd bardzo ożywiona.

Aurelian był przekonany, że Klodia przesadziła, jak to często lubiła robić. Chciał w to wierzyć. W ostatnich dniach miał już i tak dosyć zmartwień.

Pojmanie Augusta Waleriana wywołało wzburzenie w podmiejskiej dzielnicy Subura, jak również na forum. Posiedzenia senatu zmieniały się w kłótnie. Zwolennicy Cezara Galliena tak manewrowali, by przejąć władzę. Tydzień później, ogłosiwszy, że syn przejmuje obowiązki ojca, wybiegli z *curii*<sup>[44]</sup> i wraz ze swoimi poplecznikami, zgromadzonymi przy fontannie na Comitium,<sup>[45]</sup> wspięli się na stopnie świątyni Jowisza, wołając:

– Niech żyje Cezar Augustus Gallien! Niech bogowie wesprą go swą życzliwością!

Wszystko to działo się zgodnie z prawem. Utworzyła

się grupa niechętnych temu senatorów i wyższych oficerów, którzy pragnęli, aby Aurelian przeciwstawił się Gallienowi. Ich zdaniem tylko Aurelian, *dux maiorum*, najznakomitszy i najbardziej zasłużony z wojowników Rzymu, może przywrócić godność imperium, uwalniając Waleriana z rąk Persów.

Odtąd nie było dnia, żeby go do tego nie wzywano. Z różnych stron naciskano na niego, by zdecydował się na działanie. Jednakże on, choć schlebiali to jego dumie, wcale nie był pewny sukcesu.

Na koniec, jakby tego wszystkiego było mało, resztki spokoju odebrała mu Ulpia.

Od kiedy przyjechała do Rzymu z Klodią i Julią Kordelią, w nocy nie dawała mu chwili wytchnienia. Zachowywali się tak, jak nic przystoi małżonkom.

Aurelian był przekonany, że za tym erotycznym szaleństwem Ulpii stoi z jakiegoś powodu Klodia. Gdy znaleźli się sami w sypialni, po raz pierwszy ustąpił jej. Z pewnym niesmakiem poddał się jej grze, bardziej nią zafascynowany, niż chciał to przyznać. Mimo swoich uprzedzeń odkrywał, iż odpowiada mu to seksualne szaleństwo. Wyrzucając sobie, że nie pojmuje przyczyny, dlaczego tak się dzieje, coraz bardziej dawał się w to wciągać i nie potrafił już oponować przeciw dziwnym zachciankom Ulpii. Zaskoczyła go. Zachowywała się tak, jakby chciała obdarzyć go uczuciem, jakiego on sam nigdy nie doświadczył. Była zupełnie inną kobietą niż tą, którą brał do tej pory do swego łóżka z pewnym przymusem

i zakłopotaniem.

Prawdę mówiąc, poza Klodią z jej kłopotliwymi zachciankami, niewiele wiedział o kobietach.

W środku tego całego zamętu otrzymał bardzo serdeczny list od pierwszego sekretarza senatu, Puliniusza.

„Lucjusz Aurelianie, bądź pewien mojej głębokiej przyjaźni. Nic znasz mnie, ale ja wciąż mam w uszach słowa ojcowskiej miłości, jaką darzył cię nasz drogi i nieodżałowany Augustus Walerian. Oby bogowie uratowali go z tej straszliwej sytuacji!

Wiesz, że byłem i jestem nadal jego wiernym sojusznikiem. Byłem przy nim owego nieszczęsnego rana, gdy wyjechał z Emesy, by udać się na spotkanie z podstępny Szapurem.

Dopiero co wróciłem do Rzymu. Muszę opowiedzieć ci o Auguście i o sytuacji w imperium. I nie tylko dlatego, że wiem, iż obie te sprawy leżą ci na sercu. Tu chodzi o Rzym.

Lepiej będzie, jeśli wysłuchasz moich słów bez świadków. Jutro o godzinie czwartej przybędzie do ciebie jeden z moich niewolników i zaprowadzi do mojego domu na wzgórzu Opus. Mam nadzieję, że bogowie tego właśnie oczekują”.

Ale tego rana, gdy Aurelian dotarł do Puliniusza po dość uciążliwej jeździe, przybył niewolnik ze złą wiadomością.

Julia Kordelia zemdlą w trakcie składania ofiar w świątyni Minerwy Uzdrawicielki. Kapłani nie śmieli jej

ruszyć, obawiając się, że ta niemoc może być znakiem od bogini. Elkan, który towarzyszył swej pani, wściekał się i żądał, żeby przeniesiono ją w wygodniejsze miejsce niż posadzka świątyni.

Puliniusz bez wahania zaoferował pomoc, oddając do dyspozycji służbę i pokoje w swym domu, bardzo blisko świątyni.

Aurelian nie poznawał teraz twarzy matki. Przy Kordelii zebrali się lekarze w togach.

Niedawno odzyskała przytomność. Była niezwykle mizerna. Pod poźólkłą, suchą skórą sterczały kości policzkowe. Włosy rozsypane na poduszkach zlepione były od potu i kurzu z posadzki, na którą upadła.

Wychudzonym ciałem okrytym prześcieradłami i kocami co jakiś czas wstrząsały dreszcze. Były one tak nagłe i tak silne, jakby atakowało ją jakieś zwierzę ukryte w łóżku.

Julia Kordelia walczyła z cierpieniem, zbierając za każdym razem resztki sił. Krzywiła się z bólu, ale ani jedna skarga nie padała z bezkrwistych warg. Po chwili nieruchomiała, z oczyma zapadniętymi w głąb oczodołów, co było widowym znakiem nadchodzącej śmierci.

\* \* \*

Lekarze naradzali się z wielkim ożywieniem. Najstarszy z nich wyleczył ranę Augusta Waleriana i pomógł w chorobie wielu senatorom o sławnych

imionach. Twierdził, że ciałem Julii Kordelii żywi się jakaś zwierzęca siła.

– To, co nazywamy chorobą, jest niezwykle żarłoczne. Trzeba więc ją tak nakarmić, aby w końcu nasycona opuściła ciało, w którym siedzi.

Zadał tysiące pytań Julii Kordelii. Czy odczuwała większy ból, jedząc to czy tamto? Wieczorem czy rano? Czując głód, czy nie? A płyny? Co się dzieje z płynami fizjologicznymi? A jak działają na nią owoce?

Nie odpowiadała, tylko ciężko oddychała. Koledzy skorzystali z tego, by obalić jego teorię. Ich zdaniem nie miała nic wspólnego ze sztuką lekarską i nie była skuteczna. Jeden doradzał, aby zrobić operację i przekonać się naocznie, co ukrywa się w ciele chorej. Inny proponował, żeby zanurzyć Julię Kordelię w kąpieli z gorących ziół zmieszanych z kozimi bobkami i siarką. Trzeci z wielką pewnością siebie twierdził, że taki przypadek jest mu doskonale znany.

– Jest on związany z tym, co Teofrast i Aulus Geliusz nazywają „czarną zarazą”. Należy w tym wypadku postępować z wielką ostrożnością, bazując na porozumieniu między chorymi organami i umysłem osoby cierpiącej na tę chorobę. Najlepszym sposobem, by to osiągnąć, jest muzyka. Doradzam zwłaszcza flet. Melodia powinna być grana w spokojnym, niezmiennym rytmie, z trzema nutami niskimi na przemian z jedną wysoką.

Silnym głosem zademonstrował, jak brzmią te dobroczynne dźwięki. Pozostali natychmiast go

zakrzyczeli. Ponownie zasypali Julię Kordelię masą pytań. Naciskano jej brzuch, piersi, uda. Nagle z niespodziewaną siłą odepchnęła ich ręce. Tonem autorytatywnym, jakim przemawiała jako kapłanka, oznajmiła:

– Co mi jest, wiedzą bogowie i wiem ja sama. Dożyłam już lat, kiedy się umiera. Moje ciało, które tak często doświadczało potęgi Słońca Niezwycięzonego, jest już stare.

Zdobyła się na słaby uśmiech. Lekarzy nie zadowolili jej wyjaśnienia. Co miała na myśli, wspominając swego boga? Kiedy i jak doszło do kontaktu z nim? A może dał jej coś specjalnego, jakiś napój, jakieś jedzenie? Czy pamięta, ile ma lat? Czy może podać dzień, godzinę i położenie księżyca w chwili, gdy się urodziła?

Julia Kordelia patrzyła na nich z błaganiem w oczach. Aurelian stał jak skamieniały, niezdolny do żadnego ruchu ani protestu. Drgnął, gdy usłyszał za sobą głos Elkana:

– Czy nie mógłbyś powiedzieć tym kretynom, żeby dali spokój twojej matce? Zameczą ją swym gadulstwem. Najzwyklejsza akuszerka wiedziałaby, czego potrzebuje Julia Kordelia, i dałaby jej napar uśmierzający ból, dzięki któremu zasnęłaby choć na trochę.

Puliniusz westchnął z żalem.

– Obawiam się, że twój rządca ma rację, Aurelianie. Sprowadzając ich tutaj, miałem nadzieję, że dobrze robię. W obecności lekarza jest zawsze więcej nadziei. A ci nie są najgorsi, zapewniam cię. Jednak są tylko lekarzami!

Elkan, nie czekając dłużej, nakazał im wszystkim

opuścić pokój. Lekarze poczuli się urażeni, ale swoje niezadowolenie wyrazili dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nimi drzwi komnaty. Narobili takiego hałasu, że Puliniusz musiał wyjść i ich uspokoić.

Julia Kordelia uśmiechnęła się z wdzięcznością do Elkana.

W tym czułym uśmiechu Aurelian dopatrzył się podobieństwa z grymasem na pysku konia w chwili agonii. Powinno to było go wzruszyć, ale pozostał obojętny.

Gorąca fala wstydu zalała mu pierś. Przypomniawszy sobie, z jakim chłodem Klodia powiadomiła go o chorobie matki. Czyżby oboje byli tak do siebie podobni, tak samo nieczuli?

Przymusił się, żeby podejść do łóżka. Julia Kordelia wyciągnęła do niego rękę, którą niezręcznie chwycił. Dała mu znak, żeby usiadł obok niej na łóżku.

– Znam ten chłód, który teraz czujesz – powiedziała łagodnie. – Aurelian chciał zaprotestować, ale mrugnięciem powiek nakazała mu, by milczał. – Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów, mój synu. I nie miej za złe Klodii. Tak właśnie musi być. Moja śmierć nie powinna was osłabiać. Taka jest wola bogów.

Zamilkła, by odetchnąć. Elkan podszedł z gorącym, pachnącym napojem. Oczy Julii Kordelii zabłyśły lekkim ożywieniem.

– Elkan daje mi czułość, jakiej potrzebuję. Od dawna. Bez jego wsparcia i miłości nigdy nie zostałabym w Sirmium arcykapłanką.

Na zniszczonej wiekiem twarzy rządcy pojawił się rumieniec. Spojrzał na Julię Kordelię z wyrzutem w oczach. Pragnął zachować dla siebie tę tajemnicę niczym drogocenny klejnot.

Aurelian skinął głową, ściskając mocniej rękę matki.

– Wiem.

– Wiedziałaś? – Elkan nie krył niezadowolenia. – Klodia ci powiedziała?

– Czy to ważne? – odrzekł Aurelian, nie spuszczać wzroku z Julii Kordelii. – Moja matka wie, co ma robić ze swą duszą i swoim sercem. Życzeniem ojca było, by tak właśnie się stało po jego śmierci.

Zapadła krępująca cisza. Elkan namawiał Julię Kordelię, by wypić wywar. Ona jednak odsunęła kubek.

– Masz rację, Aurelianie. To nie ma znaczenia. Słuchaj Klodii. Podobnie jak przeze mnie również przez nią ma się spełnić twoje przeznaczenie. Nie opieraj się na próżno. Bogowie chcą, abyś został Augustem.

– Matko...

– Bogowie chcą, byś został Augustem! – Powtórzyła z wysiłkiem, krzywiąc się przy tym z bólu. – Rozejrzyj się wokół siebie. Popatrz, jaki chaos ogarnął Rzym. Jakie zamieszanie panuje na ulicach. Mimo choroby słyszę to... Czekają na tego, kto zdoła stawić czoło wyzwaniu bogów. I ty nim jesteś, Aurelianie... Nikt inny, tylko ty!

– To nie jest takie proste, matko. Nie wystarczy, żebym...

Aurelian urwał. Julia Kordelia, ściskając rękę syna,



wygięła się w łuk od nagłego bólu. Elkan odrzucił kubek, podsunął ramię pod głowę swojej pani. Julia Kordelia puściła rękę Aureliana. Jęcząc, objęła za szyję ukochanego, który przytulił ją do swej piersi. Trwali tak objęci jakiś czas.

Aurelian widział, jak przez ciało matki przechodzą fale bólu. Mimo chłodu panującego w pokoju, czoło Elkana zrosiły kropelki potu. Z zamkniętymi oczami pragnął przejąć cierpienie ukochanej kobiety.

Wreszcie kryzys minął.

Julia Kordelia opadła na poduszki. Elkan, cały spocony, spojrzał twardo na Aureliana.

– Pozwól jej odpocząć. Zajmę się nią. Idź do Puliniusza. Czeka na ciebie. Macie pewne sprawy do omówienia.

Aurelian zawahał się. Elkan mówił autorytatywnym tonem ojca, nie jak wyzwoleniec. Czy miał się poczuć tym urażony?

Elkan pogłaskał Julię Kordelię po policzkach, jakby była dzieckiem, które chciał ukołysać do snu.

– Nigdy żadna kobieta nie była dla mnie droższa i piękniejsza – szepnął. – Całą czułość, jakiej nie umiała okazać tobie i twojej siostrze, przelała na mnie.

\* \* \*

– Włóż ten płaszcz – powiedział Puliniusz. – Pada lodowaty deszcz.

Niewolnik podał Aurelianowi wełnianą pelerynę z kapturem. Łysa głowa Puliniusza zniknęła pod baranią czapką osłaniającą policzki i kark. Jego twarz przywodziła na myśl starego, złośliwego cherubina. Aurelian zastanawiał się w duchu, skąd ten wątyły mężczyzna znajdował w sobie tyle energii i odwagi, jakiej wymagało pełnione przez niego stanowisko.

Poszli spacerem pod pięknym portykiem, okalającym całą posiadłość, tworzącym doskonały kwadrat z podwójnego rzędu czerwonych kolumn. Puliniusz wskazał palcem na niebo.

– Pogoda nie sprzyja spacerom, ale lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na dworze. Mam nowych niewolników. Jeszcze nic wiem, czy mogę im zaufać. – Zamilkł i stanął. – Czy wiesz, że ten ogród zaprojektował Tytus? – Nie czekając na odpowiedź, która wcale go nie interesowała, chwycił ramię Aureliana. Wyraz niezwykłego zadowolenia bardzo go odmłodził. – Po długiej nieobecności Rzym wydaje mi się cudowny, mimo jego nieprzyjemnego klimatu. Mój dom nie jest tak piękny jak znajdujący się tuż obok dom Wergiliusza. Ale kocham go. Kocham go tak, jak mógłbym kochać kobietę w młodości... Mieszkam tu już... pięćdziesiąt lat, a może więcej? Ty się jeszcze wtedy nie urodziłeś. Augustem był wówczas szalony Heliogabal, który tańczył nago przed swym ojcem Słońcem Niezwyciężonym! – Zaśmiał się i zerknął na Aureliana, sprawdzając, czy go słucha. – Czy wiesz, że willa Wergiliusza jest teraz zajęta przez jakiegoś prymitywnego

handlarza prześcieradłami? To wyzwoleniec. Dziesięć albo i dwadzieścia razy bogatszy ode mnie. No cóż, tak dziś dzieje się w Rzymie. Rzym jest opanowany przez wyzwoleńców. Nie jestem bogaty, mój przyjacielu. W każdym razie nie tak, jak ludzie uważają. Na pewno nie! Ale przynajmniej jestem sobą! – Westchnął i pokiwał poważnie głową.

Aurelian nie miał nastroju do śmiechu, ale paplanina starego sekretarza senatu bardziej go bawiła, niż denerwowała. Puliniusz miał zresztą rację. Ogród był wspaniały. Umiejętnie przyszczyżone w różne kształty krzewy bukszpanu, cisy i drzewa oliwne tworzyły przepiękny żywopłot, który biegł wokół fontann, basenów, pergoli, licznych posągów, najczęściej w stylu greckim, jak tego wymagała moda. Aurelian rozpoznał wśród nich Cicerona, Apollina grającego na harfie, Cezara w pięknej zbroi, nagiego Perseusza, głowę jednej z Erynii, Wenus i Cybele połączone pocałunkiem, a także niewielkie, ale doskonałe popiersie Liwii, żony Oktawiana Augusta.

Woda ściekająca strumieniem po marmurze uwypuklała fałdy tunik, podkreślała piękne kształty ich piersi, ramion i ud, wdzięk prawdziwej nagości. Był to świat piękna, którym mógłby się napawać, gdyby nie wspomnienie naznaczonej bólem twarzy Julii Kordelii.

– Dziękuję ci, sekretarzu, za okazaną pomoc – powiedział. – Każę przewieźć matkę, jak tylko się jej polepszy, do willi, którą wynajmuję.

– Nie ma mowy! – zawołał Puliniusz. – Ona zostanie

tutaj. Nie psuj jej ostatnich dni.

– Mój dom jest niedaleko bramy Ostii – zaproponował Aurelian bez przekonania. – Będzie jej tam wygodnie.

– Moim zdaniem to dzielnica, gdzie jest bardzo dokuczliwy hałas dochodzący z portu i magazynów Galby. Proszę cię, zostaw matkę tutaj. Julia Kordelia już niedługo odejdzie do swych bogów. Pozwól, że ofiarują jej spokój mojego domu. Śmierć nie napawa mnie lękiem. Zamieszkajcie przy niej razem z twoją siostrą. Ten dom będzie waszym tak długo, jak długo pozostaniecie w Rzymie.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony. Będę twoim dłużnikiem... Puliniusz, ze wzrokiem utkwionym w oczach Aureliana, z przebiegłym uśmiechem na ustach pokiwał starczą głową.

– No tak. Porozmawiajmy o tym długu... Oczywiście chodzi mi o dobro twojej matki, ale chcą, żeby w senacie i w otoczeniu Galliena wiedziano, że zatrzymałeś się u mnie.

Aurelian milczał, czekając na dalszy ciąg. Puliniusz rozejrzał się i jeszcze bardziej zwolnił kroku.

– Przede wszystkim mam dla ciebie wieści. Nikt ich nie zniekształcił po to, aby przypodobać się senatorom.

– Wieści o Walerianie?

Puliniusz przytaknął. Jego twarz sposepniała.

– Szapur codziennie upokarza naszego umiłowanego Augusta. Wykorzystuje go jako podnózek przy wchodzeniu do powozu. Przeróżające! Wyobrażasz to

sobie? A noc Walerian spędza razem ze świniami i baranami. Dostaje do jedzenia to samo, co i one. – Potrząsnął głową i dodał: – A mimo to żyje. Bogowie niczego mu nie oszczędzają. Nic umiera i znosi upokorzenie. A my wraz z nim, Aurelianie. W hańbie jest pogrążone całe imperium.

Zamilkli. W padającym deszczu ciężar tych słów zdawał się jeszcze trudniejszy do zniesienia.

– Czy to prawda – odezwał się w końcu Aurelian – że król Palmyry zmusił do ucieczki uzurpatora Makrianusa i szykuje się teraz do starcia z Szapurem i naszymi legionami? Wczoraj słyszałem, jak o tym mówiono.

Puliniusz znowu przytaknął i z lekką drwiną w głosie powiedział:

– To z pewnością jego żona załatwiła tego tchórza Makrianusa. Wystawiła go na pośmiewisko. Strach, jakiego mu napędziła, pewnie go jeszcze nie opuścił na Morzu Śródziemnym, gdzie uciekł.

– Jego żona? Królowa Palmyry?

– Zenobia albo bogini Alath, jak wolisz. Tak właśnie nazywają ją wojownicy Palmyry – Alath! I w dodatku podobno jest piękna. Chociaż, niestety, nie widziałem jej na własne oczy.

– Chcesz powiedzieć, że ta kobieta walczy jak mężczyzna?

– Lepiej niż mężczyzna. – Puliniusz chwycił Aureliana za łokieć, zmuszając go, by szedł wolniej. Ich ramiona prawie się stykały ze sobą. – Jestem pewien, że

spodobałaby ci się, Aurelianie. Do walki wyrusza w pancerzu z czerwonej skóry, tak ją opinającym, że wygląda w nim jak naga.

– Dlaczego król posyła żonę na czele swojego wojska?

– oburzył się Aurelian. – Czy nie umie sam dowodzić?

– Nic podobnego, Odenatus jest znakomitym wojownikiem. Jednak to nie on pcha swoją żonę do wojny, lecz ona jego. – Puliniusz westchnął. – Mówimy o Wschodzie, mój przyjacielu. To, co tobie wydaje się normalne tutaj, w Rzymie czy nawet na terenach pogranicznych nad Dunajem, na Wschodzie takim nie jest. Gdybyś widział, z jakim przekonaniem mieszkańcy Wschodu, podobnie jak chrześcijanie, wierzą w jedyne boga! Oni tutaj ukrywają się w grotach i spotykają nocą. Tam obnoszą się ze swą wiarą w biały dzień. Nie przemawiają do nich żadne argumenty. Najokrutniejsze prześladowania wprawiają ich w zachwyt. Zenobia jest jedną z tych tajemnic, które co jakiś czas rodzi pustynia.

Sekretarz potrząsnął znowu głową w futrzanej czapce. Przycisnął mocniej ramię Aureliana.

– Zapamiętaj to imię, Aurelianie – Zenobia z Palmyry. I nie lekceważ jej. Ona kocha wojnę. Tamtejsi ludzie wierzą, że nie jest do końca istotą ludzką... Kto wie? Jej historia jest bardzo ciekawa, kiedyś ci ją opowiem. Dziś ważne jest to, że wraz ze swym królewskim małżonkiem oddała nam wielką przysługę. Położyła kres rządowi uzurpatora Makrianusa.

Puliniusz cmoknął językiem z zadowoleniem.

W długim życiu dobre jest to, że można zobaczyć, jak wrogów dosięga nieszczęście, którego im się życzyło.

– Jak to się stało, że Augustus Walerian wpadł w pułapkę Szapura? – zapytał ostro Aurelian, którego to pytanie dręczyło już od dawna. – Czy nie było nikogo, kto by go powstrzymał?

Puliniusz puścił ramię Aureliana. Nie odpowiedział od razu, a w jego milczeniu wyczuwało się wymówkę.

– Walerian zawsze robił to, co chciał, i nikt nic mógł go powstrzymać. Nawet ja. Lubił wysłuchiwać moich rad, ale rzadko do nich się stosował... Masz jednak rację. Nie powinien był rzucać się w ramiona Persa. Postąpił tak z twojego powodu.

– Z mojego powodu?

– Nie tak głośno – Puliniusz spojrzął za siebie.

– Jak śmiesz mówić coś podobnego? – oburzył się Aurelian, nic zniżając tonu.

– Nie denerwuj się, przyjacielu. Zaraz wszystko wyjaśnię. Jest jeszcze ta niewolnica. Walerian zbzikował na jej punkcie. Piękna czarna dziewczyna o imieniu Iflava. Był w niej bardzo zakochany. Miał natychmiast erekcję, jak tylko się do niej zbliżył. Cudowne młodzieńcze doznania dla mężczyzny, który już dawno stracił młodość. W ten nieszczęsny ranek, zanim wsiadł do powozu, który miał go zawieźć do Szapura, wyzwolił dziewczynę i ofiarował jej milion sestercji. Oddał jej także swoją wille w Tuskulum. Niedaleko stąd. Pewnie tam teraz mieszka. Może będziesz miał okazję ją poznać. Naprawdę jest...

– Sekretarzu!

– Uspokój się, Aurelianie. Nie kwestionuję twojej wierności dla naszego biednego Augusta. – Znowu ujął pod ramię Aureliana i poprowadził w drugi koniec portyku. – I proszę cię, mów ciszej. Głos tutaj bardzo się roznosi. A teraz posłuchaj, jak było. Ani Augustus, ani ja nie wątpiliśmy, że Szapur to szczywany lis, a dusza Makrianusa przypomina latrynę w Suburze. Ale Walerian dowiedział się, że źle się dzieje między tobą i Gallienem. Czyż nie tak? Wciąż musiał stawać między wami. Nie chciał już dalej prowadzić wojny z Szapurem. Obawiał się, że zrujnujecie imperium za jego plecami.

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego. Augustus wiedział to doskonale. Obiecałem mu.

– Wierzył w twoją obietnicę. Ale bardzo go poruszyły te morderstwa w Nikopolis – rzekł cicho Puliniusz.

Aurelian zeszywniał, jego policzki pokryła bladość.

– Cezar próbował mnie otruć. W dzień mego triumfu nad Gotami.

– Rzeczywiście. Gallien nie znosi triumfów, które nie są jego własnymi.

– Nigdy nie szanował słowa danego ojcu. Złożyliśmy tę obietnicę, wspólnie pijąc krew byka Mitry – mówił Aurelian z rosnącym gniewem. – A co dzieje się dzisiaj? Cezar ani przez chwilę nie okazał chęci uwolnienia Waleriana.

– Wiem, przyjacielu, wiem.

– Co jest ważne dla Cezara? Pragnie tylko tego, żeby



senat obwołał go cesarzem i obdarzył wieńcem laurowym, podczas gdy jego ojciec oczekuje od niego pomocy.

– Nie jest to takie głupie. Jeśli sam nawet tego nie rozumiesz, to uwierz mojemu doświadczeniu. Cezar robi to, co powinien.

Twarz Puliniusza zmieniła się, nie była już taka miła, beztroska. Aurelian wyczytał w niej determinację, jaką sam czuł podczas walki wręcz na miecze z groźnym przeciwnikiem.

– O czym ty mówisz?

– Że imperium ginie wskutek nadmiernych ambicji i zrad. Rzym upada, Aurelianie. Rzym jest dziś potężny tylko na starych malowidłach wiszących w naszych pałacach! Cezar Gallien, syn naszego cesarza, jest w tym momencie jedynym człowiekiem, który może ocalić potęgę imperium, zanim je utracimy.

– Gallien nie ma autorytetu. Niedawno przyjechałeś do Rzymu i może jeszcze nie słyszałeś, co się dzieje na ulicach. Nie ma sklepikarza, który by nie złorzeczył przeciw niemu, spelunki, gdzie by z niego nie drwiono. Kto mógłby podziwiać Cezara, który nie dba o życie własnego ojca?

– Ludzie burzą się na ulicach Rzymu, ale co z tego? Ucichną, gdy urządzi się im igrzyska lub zamęczy kilku chrześcijan. Zapomnij o motłochu, przyjacielu. Przejmują się losem Waleriana, bo nie ma go tutaj i nie zdążył im się narazić. Zastanów się. Gallien ma poparcie legionów... choć jego sława nie jest nawet w jednej piątej równa

twojej. Ma też za sobą senat, na który, wybacz mi szczerść, nie masz większego wpływu niż bogowie. Ma za sobą prefektów Galii. Wojskami nad Renem i nad Dunajem dowodzą jego synowie. Wodzowie w Afryce i Egipcie mają mu coś do zawdzięczenia albo się go boją. Gallien nie odda ci nic. Będziesz musiał wszystko zdobywać siłą...

– Mylisz się co do mnie, sekretarzu. Ja niczego nie chcę. Nigdy nie zostanę uzurpatorem. Mam za złe Cezarowi, że postępuje niegodnie wobec Augusta. Nie myśl, że jestem zazdrosny.

Wzrok Puliniusza złagodniał. Przytaknął głową z uśmiechem:

– Tak właśnie Walerian mówił o tobie. „Prostolinijny i odważny jak byk, nieuznający niczego poza dobrem i honorem Rzymu. – I dodawał jeszcze: – Ale ma piękną i inteligentną siostrą, a ona zna doskonale wszystkie drogi wiodące na forum. – Puliniusz śmiał się, ale Aurelian bez trudu wyczuł groźbę. – Jesteś, jaki jesteś, wodzu Lucjuszu Aurelianie, i to jest wspaniałe. Jednak w twoim otoczeniu są tacy, którzy chcieliby, żebyś został cesarzem. Nie mają oni twojej cierpliwości – podjął łagodnym tonem Puliniusz. – Jeśli nie będziesz miał się na baczności, szybko możesz zostać zmuszony do konfrontacji z Gallienem, choćbyś nawet tego nie chciał. Może dojść do tego tak samo jak wtedy, gdy dowiedziałeś się o morderstwie w Nikopolis w dzień twojego ślubu.

Aurelian zbladł.

– Sądysz, że jestem słaby? – zapytał, patrząc w oczy Puliniusza.

– Nic podobnego! Daleki jestem od takiej myśli. Mam cię za silnego, prawego, ale zbyt naiwnego. Sądzę też, wybac mi tę otwartość, że nadto ulegasz ambicjom siostry. Klodia nie ma twojej czystości charakteru. Nigdy nie czuła podziwu dla tego, co podziwialiście ty i twój ojciec: *Virtus, Pietas, Fides!*

Aurelian zamarł. Gniew, który go przed chwilą ponosił, przeszedł w zdziwienie. Wpatrywał się z osłupieniem w twarz Puliniusza. Skąd on tyle wiedział?

Puliniusz najwyraźniej wyczytał w jego wzroku niewypowiedziane pytanie, bo z przyjaznym uśmiechem ścisnął Aureliana za rękę i rzekł:

– Nie myśl o mnie źle. Nie szpiegowałem cię. Znam twoje serce, bo obaj mamy w nim wyryte te same słowa: *Virtus, Pietas, Fides!* To hasło prawdziwego Cezara i Augusta. Oto dlaczego poszedłem za Walerianem dalej niż chciałem. – Uwieszony u ramienia Aureliana, skierował go do ostatniej alejki portyku. – Zrozum, wodzu, pragnę tylko twojego dobra. Jeśli wierzysz w moją szczerłość, zrób to, czego nigdy nie uczynił nieszczęsny Walerian: posłuchaj mojej rady. Nie nadszedł jeszcze czas na konfrontację z Gallienem. Nie pozwól, by kierował tobą gniew. Przed tobą wielkie przeznaczenie. Zgadza się z Julią Kordelią, że bogowie pragną, abyś został cesarzem. Arcykapłanka z Sirmium ma rację, nadejdzie godzina twego triumfu. Teraz jednak pozwól Gallienowi uspokoić

ulice. Pozwól, aby królowa Palmyry i jej mąż uwolnili nas od Szapura i pomścili nieszczęsnego Waleriana. Potem będę głosić twoją chwałę. Obiecują ci to w obliczu bogów.

Aurelian odpowiedział dopiero, gdy dotarli do murów posiadłości.

– Pójdę za twoją radą, sekretarzu, ale pod jednym warunkiem. Dopóki Augustus Walerian będzie żył, choćby nawet upokarzany przez Szapura, jego syn Gallien nie ogłosi się cesarzem i nie włoży wieńca laurowego.

Puliniusz zamrugał powiekami, zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Jestem pewien, że senat przyjmie ten warunek.

# 12

## EMESA

Bolało ją, ale wiedziała, że wytrzyma.

Najjaśniejszy Pan pragnął ją widzieć w blasku. Pragnął, aby imiona Zenobii i Odenatusa, zespolone w chwale, rozpałały serca wiernych i wypełniły strachem tych, którzy mu nie sprzyjali. Za moment w obecności wszystkich mieszkańców Emesy i okolic, w obecności wszystkich przywódców klanów, plemion, legatów legionów, kapłanów Rzymu i Syrii, małżonka Dostojnego Odenatusa otrzyma tytuł Despojna.<sup>[46]</sup>

Nie zobaczą jej jako Alath w czerwonym pancerzu, lecz jako królową, która niedługo urodzi swemu władcy syna. Obszerna tunika okrywała brzuch, odpowiednio wyдутy dzięki umocowanej do paska haftowanej poduszce.

Zenobia będzie umiała odegrać swoją rolę. Od Dinah nauczyła się, jak chodzić ociężałym krokiem, wyginać biodra, co charakteryzuje kobiety w ciąży. Bez najmniejszego trudu od czasu do czasu mdlała i chwiała się na nogach, jak to się zdarza kobietom ciężarnym. Poduszka pod tuniką spełniała jeszcze inne zadanie – maskowała grube opatrunki i bandaże, nakładane na jej stale ropiejącą ranę.

Tak jak przewidziała rozgniewana Aszemu, długa jazda do Emesy, jaką odbyła Zenobia, żeby wyprzeć

stamtąd uzurpatora Makrianusa, była szaleństwem. Żaden opatrunek nie byłby w stanie tego wytrzymać. Głęboka rana paliła teraz jej wnętrzności. Żadne zioło, żadna maść, żadna magia nie przynosiły ukojenia.

Udawane omdlenia i zasłabnięcia skrywały jej cierpienia przed Najjaśniejszym Panem i Nurbelem, ale nie mogły zwieść Egipcjanki. Aszemu przestała zrzędzić. Bo i po co? Stało się już to, czego się obawiała. Wieczorem i rano, a także często w ciągu dnia, kiedy zmieniała opatrunki, wargi jej drżały, łzy napływały do oczu. I powtarzała prawie bezgłośnym szeptem:

– Zabiłaś się! Zabiłaś!

Może i była to prawda. Jednak Aszemu nie potrafiła pojąć szczęścia, jakie ogarnęło Zenobię, gdy pojawiła się przed żołnierzami rzymskimi stłoczonymi na murach obronnych Emesy, siedząc wyprostowana na Yedkivinie; jak okrzyki przeszły powietrze niczym seria strzał.

Zenobia ruszyła do przodu, sama jedna, wystawiając pierś okrytą czerwonym pancerzem na pociski wrogów, mając przy tym nadzieję, że nie będą do niej strzelać. Bramy miasta otworzyły się bez walki. Legioniści i żołnierze z oddziałów posiłkowych powitali ją z radością. Współ z łucznikami z Palmyry wołali na całe gardło: „Alath! Alath jest z nami! Niech żyje Alath!”.

Chudy Makrianus zniknął bez śladu. Uciekł, nie czekając na spotkanie z Zenobią. A ona żona, króla Palmyry, stała się boginią legionów imperium, podobnie jak była nią dla wojowników pustyni.

Napawała się sławą tak chciwie, że nie czuła płynącej znowu pod pancerzem krwi.

Najjaśniejszy Pan, zostawszy za zgodą Rzymu namiestnikiem i władcą całej Syrii, dał jej do dyspozycji wspaniały pałac z marmuru i złota. Przyjmowała w nim całymi dniami wyrazy najwyższego szacunku i uległości. Zapomniała, że była Zenobią. Uwierzyła w swoją bajkę, stając się dla siebie samej, jak i dla innych, Alath, czerwoną boginią. Nie pamiętała już o wymyślonych przez siebie kłamstwach ani o tym, co przeżyła.

Dotrzymała obietnicy. Pokonała Persa Szapura. Nawet Rzym ugiął kolano przed Odenatusem i jego żoną. Żoną niepodobną do żadnej innej. Która nie bała się ani rozlewu krwi, ani śmierci. Która nie ustępowała w niczym najznakomitszym wojownikom.

Czy rzeczywiście wierzyła, obiecując Odenatusowi chwałę, że uda się jej to spełnić? Dziś już tego nie wiedziała. Wszystko to było Ink niezwykle, że czuła, iż nie ma żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Zmęczona, obolała, z rosnącą gorączką, zaczęła wierzyć, że być może Baalszamin, potężny bóg pustyni, rzeczywiście nad nią czuwa.

Podczas gdy brzuch Dinah zaokrąglął się, jej własny, dzięki poduszkom, też stawał się coraz większy. Jednak rana zadana jej w Sisogodon nie goiła się.

Coraz częściej musiała zaciskać zęby, bo ból przeszkadzał jej w oddychaniu. Gorączka rozpaliała skronie, trawiła piersi. Nocami, gdy ból nie pozwalał jej

zasnąć, nawiedzały ją dawne, wydawało się, że zapomniane, koszmary. Wracały wszystkie złe wspomnienia nieszczęść, które legły u podstaw jej szalonej chwały.

W czasie takiego bezsennego czuwania nie czuła się boginią. Była już tylko Zenobią. Tą, która straciła Schawaada i swą niewinność w ruinach Dura-Europos. Ropiejąca rana była karą od bogów. Posłużyła się przemocą i imieniem Baalszamina, by zaspokoić swój gniew, swoją zemstę po strasznej krzywdzie, jakiej doznała od gwałcicieli.

Ale ból związany z gwałtem wciąż jej nie opuszczał, był tak samo żywy i straszny jak pierwszego dnia.. Teraz zatruł ją całą.

Aszemu miała rację. To ją zabije.

Tym lepiej. Skończą się kłamstwa. Przyjdzie spokój i ulga.

Musi tylko wytrwać do narodzin dziecka Najjaśniejszego Pana.

A potem Alath umrze w pełni chwały.

I być może, jeśli istnieje obiecany przez bogów inny świat, spotka tam Schawaada.

Tylko ta myśl dodawała jej odwagi, by przetrzymać karą zesłaną przez bogów. Był już czas, żeby śmierć zawiodła ją do ukochanego. Żeby mogła się połączyć, znowu czysta i wolna od hańby kłamstwa, z jedynym człowiekiem, który zawładnął jej sercem. Z tym, który już czekał na nią w świecie bogów.



\* \* \*

Było ich ze trzydziestu, wszyscy niecierpliwie czekali, żeby ją ujrzeć.

Gwar rozmów odbijał się echem od malowanych belek sufitu. Ucichł natychmiast, gdy tylko się pojawiła, wsparta na ramieniu niewolnicy. Obszerna tunika przetykana złotem i koralami oraz wydatny brzuch, zapowiadający nowe życie, jeszcze podkreślały jej piękno. Wzrok był tak twardy, że opuścili oczy, nie mogąc go wytrzymać. Pomyśleli, że takie właśnie spojrzenie musi mieć Alath.

Najjaśniejszy Pan w tunice z purpurowego jedwabiu, przypominającej o jego pozycji w imperium, na wpół leżał na łożu w sali jadalnej. Jego pierś zdobiły zaszczytne, małe złote tarcze z wizerunkami bogów Palmyry i Rzymu. Na prawym nadgarstku miał opaskę ze skóry, na której wił się srebrny wąż, trzymający w paszczy złoty dysk.

Na widok żony podniósł się, zmuszając wszystkich, by uczynili tak samo. Z wyrazem szczęścia na twarzy patrzył, jak się zbliżała. Jeśli nawet zauważył bladość jej policzków, pot na czole osłoniętym diademem, zaciśnięte palce na ramieniu niewolnicy, to tego nie okazał. Jeśli pomyślał o ranie, która ją dręczyła, nie przestał się do niej uśmiechać.

Podał Zenobii ramię, aby mogła się na nim wesprzeć. Z czułością, którą zauważyli wszyscy, pomógł jej usadowić się na poduszkach na jego łożu.

Nie wypuszczając ręki Zenobii, w ciszy pełnej szacunku, powiedział:

– Ja, Odenatus, syn Wabalata, syna Nazora, senator Rzymu, namiestnik całej Syrii, ogłaszam moją żonę Zenobię władczynią i Wielkim Wodzem Palmyry. Będziecie się do niej zwracać tak jak do mnie w sprawach wojny i pokoju, ze wszystkimi problemami dotyczącymi królestwa Palmyry. Jej wola będzie moją wolą. – Zamilkł, by spojrzeć na obecnych przy stole. Podniósł rękę splecioną z ręką Zenobii i podjął donośnym głosem: – Bogowie są świadkami, że Zenobia i Odenatus, król i królowa, będą odtąd równi w obowiązkach i powinnościach. Niech żyje Despojna Palmyry!

Wszyscy, zarówno przywódcy klanów, jak i kapłani, zakrzyknęli jednym głosem:

– Niech żyje Despojna! Niech żyją Odenatus i Zenobia! Niech bogowie czuwają nad królewską parą!

A kiedy nad pałacem uniósł się dym kadzideł, jakby na wszystkich ołtarzach zapłonął ten sam płomień, rozpoczęła się uczta ofiarna.

\* \* \*

Niewolnicy przynosili nowe dania i zabierali puste tace. Znowu rozbrzmiał gwar rozmów. Zenobia jadła bardzo mało. Zaciskała szczęki, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Najjaśniejszy Pan cały czas trzymał ją za rękę. Z pewnością domyślał się, że cierpi.

Co jakiś czas czuła na sobie badawcze spojrzenie Nurbela. On również się niepokoił.

Zmusiła się do uśmiechu, powiedziała kilka słów. Zażartowała, że kaletnicy z Emesy będą musieli dopasować pancerz do jej wielkiego brzucha. Że Persowie Szapura jeszcze bardziej się wystraszą, gdy pojawi się przed nimi w najbliższej bitwie. Rozległy się głośne wybuchy śmiechu. Powtarzano sobie ten żart dokoła. Mąż pogłaskał czule jej dłoń, jakby w geście podziękii. Kątem oka dostrzegła zadowoloną minę Nurbela.

Potem długo milczała, żeby uspokoić oddech. Ból podchodził aż do gardła, oślepiał łzami oczy.

\* \* \*

Kiedy zamierzała już poprosić Najjaśniejszego Pana, by pozwolił jej odejść i odpocząć ze względu na nią i dziecko, które nosiła w łonie, w głębi sali dał się słyszeć jakiś hałas.

Pojawił się centurion, za którym legionieści popychali jakiegoś mężczyznę. Po długiej białej tunice i włosach zasłaniających część twarzy poznano, iż jest to chrześcijanin. Rozległ się szmer niechęci. Legat III legionu Parthica, dając znak centurionowi, by się zbliżył, oznajmił:

– Najjaśniejszy Panie, pragnęłaś, żeby dziś przybyli tu wszyscy kapłani ze świątyń w Emesie, wzięli udział w tej ofiarnej uczcie i złożyli pokłon przed twoją żoną, Despojną. Ale ten człowiek nie chciał tego zrobić.

Przyprowadziłem go więc siłą.

Centurion pchnął chrześcijanina, który zrobił kilka kroków do przodu. Zenobia zadrżała na widok chudej, wyprostowanej sztywno postaci.

Czy to efekt gorączki?

Poznałaby go wśród tysiąca innych.

Czy w ogóle jego obraz mógłby zatrzeć się w jej pamięci?

Ale przecież to niemożliwe. Zmarli nie pojawiają się na tym świecie.

Legionista zamierzał zmusić chrześcijanina, by ukląkł przed Najjaśniejszym Panem, ale zawahał się, gdy spod długich włosów ukazała się twarz więźnia.

Rozległy się okrzyki przerażenia. Odenatus usłyszał jęk Zenobii, Lewa strona twarzy chrześcijanina przedstawiała straszliwy widok. Ogień zniekształcił oko, nos, prawie całe usta, odbierając twarzy ludzki charakter.

Jednak Zenobia poznała go.

Schawaad! Schawaad!

Była bliska utraty przytomności.

Ten wzrok! Nawet przy tak potwornie zmienionej twarzy nie mogła go nie rozpoznać.

Najjaśniejszy Pan dał znak, aby legionieści nie zmuszali chrześcijanina do pokłonu.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Szymon, jestem sługą Jezusa Chrystusa.

– Jesteś przywódcą chrześcijan w Emesie?

– Prowadzę ich zgodnie z wolą Pana Boga.

– Co się stało z twoją twarzą?

Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy Szymona, jeszcze bardziej ją zniekształcił.

– Augustus Walerian i prokurator Makrianus sądzili, że mogą spalić mnie na stosie. Nie wiedzieli, jaka jest wszechpotęga naszego Boga.

Po sali rozszedł się pomruk potępienia. Ból nagle opuścił Zenobię. Chciała wstać, powiedzieć coś do Shawaada. O Schawaad, mój ukochany! Ledwie zdawała sobie sprawę, że ręka Najjaśniejszego Pana zacisnęła się mocniej na jej palcach.

– Dlaczego nie chcesz wziąć udziału w mojej uczcie i oddać pokłonu mojej żonie Despojni? – zapytał.

– Chrześcijanin oddaje pokłon jedynie swemu Bogu. Spożywa ciało Chrystusa i pije jego krew – odrzekł ze spokojem Szymon. – Po raz pierwszy odwrócił się do Zenobii, ukazując całą potworność swej twarzy. – Nie wyobrażaj sobie ani przez chwilę, królu Palmyry, że mógłbym skłonić się przed twoją żoną. W obliczu wszechpotężnego Boga uosabia ona tylko grzech i kłamstwa.

Zenobia chciała wstać, otworzyła usta, żeby zaprotestować. Ból zgiął ją we dwoje. W ostatnim przebłysku świadomości ujrzała jeszcze raz przerażającą twarz swego ukochanego, a potem zapadła w ciemność. Nie słyszała już krzyku Najjaśniejszego Pana, który chciał ją podtrzymać, gdy osuwała się na podłogę.

# 13

## RZYM

Rozpuszczone włosy Klodii muskały nagą pierś Maksymusa. Językiem wodziła po bliźnie widniejącej na jego policzku. Uniósł twarz, dotknął wargami jej ust, obejmując jednocześnie biodra. Podniósł ją do góry, by mogła usiąść na nim okrakiem. Klodia oparła się na jego ramionach, wygięła do tyłu, by w nią wszedł. A gdy poczuła go w sobie, wydała jęk rozkoszy, nie przerywając stosunku.

Zza kotary ich alkowy dochodziły okrzyki, śmiechy, wrzawa, ale żadne z nich nie zwracało na hałas uwagi. Klodia wyprostowała się, podsunęła do ust Maksymusa sutek piersi. Z zamkniętymi oczami zagłębiał się w niej, trzymając ją za pośladki, unosił się w tym samym rytmie jak jej biodra.

Na zewnątrz szcęk łamanych tarcz i pękających mieczy mieszał się z krzykami. Grały trąbki, dudniły bębny. Nikt nie usłyszał zwierzęcego jęku, jaki wyszedł z gardła Klodii. Maksymus z narastającą rozkoszą wchodził w nią coraz dalej. Nagle Klodia wygięła się w łuk, znieruchomiła, przeszył ją dreszcz.

Sięgnęła do członka Maksymusa, gwałtownie go z siebie wyszarpnęła i czując w palcach jego drżenie, odczekała, aż się uspokoił. Wtedy, z otwartymi szeroko

oczami, z wargami pobladłymi od żądz i rozkoszy, ponownie wsunęła go do swej pochwy. Biodrami napierała na niego z całej siły, czerpiąc z tego dziką, jedyną w swoim rodzaju przyjemność.

Za kotarą słychać było ostre nawoływania, wybuchy śmiechu, obelżywe słowa, zagłuszające głos trąbek.

Maksymus, zafascynowany, nie mógł oderwać wzroku od Klodii. Wymykała mu się. Przestawał dla niej istnieć. Może nawet go nie czuła, zamknięta w, swojej rozkoszy, wbijając paznokcie w jego pierś.

Na gwałtowne ruchy jej bioder odpowiedział silniejszymi pchnięciami, jakby chciał ją rozerwać. Pragnął ujrzeć na jej twarzy oznaki najwyższego zaspokożenia, które ona zachowywała dla siebie, nie chcąc się tym dzielić. Zamknął oczy, poddając się zalewającej go fali orgazmu, którym teraz on z kolei napawał się bez niej.

Hałas na dworze ustał w tym samym momencie, kiedy skończyli.

Klodia oderwała się od niego, osunęła na poduszki. Piersi jej unosiły się niemal równomiernym oddechem. Twarz wyrażała obojętność.

Maksymusa już od dawna nie dziwił chłód, który pojawiał się u niej po pełnym brutalności akcie miłosnym. Klodia w niczym nie przypominała innych kobiet. Jeżeli nawet czuł się rozczarowany, to duma nie pozwalała mu tego okazywać.

Nachylił się, by pocałować zagłębienie między jej piersiami, pogłaskał czule wilgotny jeszcze wzgórek

łonowy i odwrócił się, by odciągnąć kotarę.

Pod ich loggią rozciągał się przerażający spektakl naumachii Trajana. Ogromny basen przypominał rozmiarami jezioro i był na tyle głęboki, że mogła się w nim toczyć bitwa morska. Na stopniach wokół basenu osiemdziesiąt tysięcy podekscytowanych widzów wyrażało głośno swoje upodobanie do widoku krwi i pogardę dla pokonanych.

\* \* \*

W bitwie, która się właśnie skończyła, walczyły ze sobą łodzie z dwoma rzędami wioślarzy. Dzioby szybkich i zwrotnych łodzi zakończone były stewami z brązu ostrymi jak sztylet. Na czas bitwy w basenie były zaopatrzone w jeden centralny maszt z reją, na której nie rozwijano nigdy żagla. Załogi jednej strony miały czapki lub pióra na hełmach w kolorze zielonym, przeciwnicy zaś w niebieskim.

Tym razem zwyciężyli niebiescy. Teraz wioślarze kierowali swą łódź w triumfalnym pochodzie do pomostów tworzących molo w odległym końcu basenu. W odpowiedzi na radosne wiwaty zwycięzcy odpowiadali głośnymi krzykami, wymachując bojowymi młotami ociekającymi jeszcze krwią i zmiażdżonymi mózgami.

Za nimi, na miejscu walki, pozostały trupy pokonanych, których krew plamiła na czerwono wzburzoną wodę basenu. Nieruchoma galera zielonych



miała rozdarty kadłub na długości dwudziestu stóp. Do środka strumieniem wlewała się woda. Na przedziurawionym pomoście ci, którzy ocaleli, pomagali rannym przy wtórze obelg najbliższej publiczności. Do uszkodzonej łodzi podpływała ogromna płaskodenna barka, wyposażona w kołowrót, by przeciągnąć ją, zanim zatonie, do pływającego doku, gdzie stały już inne wraki.

Maksymus skrzywił się.

Naumachia Trajana była największym i najdroższym szaleństwem wśród rzymskich igrzysk. Już sama architektura areny przyprawiała o zawrót głowy. Ginące na horyzoncie stopnie amfiteatru mogły pomieścić jeszcze liczniejszy tłum widzów niż *trigarium*<sup>[47]</sup> Klaudiusza, gdzie odbywały się wyścigi kwadryg. W porównaniu z nim nawet potężny budynek Koloseum wydawał się lichy. Jednakże oszałamiające za pierwszym razem widowiska szybko stawały się nudne.

Basen był na tyle duży, że łodzie mogły w nim łatwo manewrować. Pościg i atak powinny więc być ekscytujące. Ale do tego potrzeba, żeby bitwą kierowali doskonali tacy. Załogę łodzi stanowili najczęściej żołnierze najemni. Galery wypływały z przeciwległych krańców basenu, wykorzystując dzielący ich dystans do tego, żeby rozwinąć jak największą szybkość przed frontalnym atakiem. Od siły uderzenia zależało, czy uda się rozbić kadłub łodzi przeciwnika.

Rzadko zdarzały się przemyślne manewry, pozwalające uniknąć dziobu wrogiej łodzi, otrzeć się o jej

kadłub, zmiążyć wiosła, unieruchomić ją i potem zaatakować własnym dziobem. Na ogół ograniczano się do abordażu, po którym następowała obustronna masakra.

Jeżeli samemu setki razy brało się udział w prawdziwych bitwach, to takie widowisko nie mogło być interesujące.

Maksymus wołał walki wręcz, żołnierza z żołnierzem, gladiatora z gladiatorem. A jeszcze bardziej walki z dzikimi zwierzętami. Wtedy dopiero ujawniała się odwaga lub strach człowieka. W spektaklu, gdzie wynik walki nie mógł być z góry przesądzony, decydowały inteligencja, przebiegłość i siła. Ekscytujące było to, jak poradzą sobie walczący, a nie pewność, że któryś z nich musi zginąć. Niektórzy z gladiatorów mieli we krwi sztukę walki. Szalona żądza sukcesu skłaniała ich do nadludzkich wyczynów. Nawet pewna niedoskonałość miała swój urok. Z tchórzostwa mogło wyniknąć coś komicznego, zaskakującego.

Klodia jednak lubiła naumachie. Lubiła kochać się w wynajętych za duże pieniądze łóżach, wiszących wysoko nad areną. Była to odpowiednia rekompensata za wrzawę i nudę widowiska.

– Tak jak przypuszczałam, zieloni Gajusza Orinusza znowu przegrali – powiedziała Klodia z pogardą.

Do alkowy wtargnęło zimno panujące w Rzymie już od dwóch tygodni. Klodia owinęła się płaszczem podbitym wilczym futrem, który wiele razy służył Maksymusowi na terenie nadreńskiego pogranicza.

– Czyżbyś postawiła na nich? – zażartował Maksymus.

– Na galerę Gajusza? Musiałabym być szalona! Postawiłam na Oktofenikesa i jego Egipcjan. Trzydzieści cztery srebrne denary, za które dostanę teraz trzy razy więcej. Łódź Oktofenikesa walczyła dopiero cztery razy od lata, ale nie poniosła żadnej klęski.

Taka była Klodia. Przebywała w Rzymie najwyżej miesiąc, a mimo to doskonale się orientowała, jakie ekipy biorą udział w naumachii!

W basenie barki wyławiały trupy i szczątki łodzi. Jeden czarny Nubijczyk miał pierś rozplataną aż do kości. Z pewnością zmuszono go do walki bez pancerza, żeby ubarwić spektakl. Jego ciało okazało się tak ciężkie, że wyciągająca je z wody barka omal się nie wywróciła. Na stopniach amfiteatru rozległy się żarciki.

– Czy otrzymałeś odpowiedź na naszą wiadomość? – zapytała Klodia zniżonym głosem.

Maksymus odwrócił się w jej kierunku.

– Legiony nad Dunajem są gotowe. Te z Ilyrii również. Nie wrócili jeszcze posłańcy z Mezji, ale jestem pewien takiej samej odpowiedzi. Od dekurionów do legatów wszyscy są gotowi obwołać Aureliana cesarzem, gdy tylko nadejdzie pora. Uważają, że Cezar okrywa ich hańbą, nie chcąc walczyć osobiście z Persami i uwolnić ojca. Jedynie jego legiony w Mediolanie będą go opłakiwać, gdy zostanie zamordowany.

– Ciszej! – Klodia zamknęła mu usta gwałtownym

ruchem ręki i gniewnym spojrzeniem. – Nie mów tego na głos. Nawet tutaj.

Maksymus, wskazując na tłum siedzący na stopniach widowni, odparł drwiąco:

– Czy sądzisz, że oni przejmują się Cezarem? Ta naumachia to obraz imperium – nie ma innych praw nad te, które sama sobie ustanawia. Codziennie zabiera się stąd kilkanaście trupów. Co dla nich znaczy jedno morderstwo więcej?

Klodia zignorowała jego uwagę. Przyglądała się zwycięskiej załodze, która składała ofiary Neptunowi na ołtarzu wzniesionym przy basenie.

– Czy wiesz, że Gallien zakochał się w Grecji? – zapytała z udaną obojętnością. – Tylko Grekom wierzy. Obcałowuje kobiety greckie, zarówno niewolnice, jak i żony oficerów. Podobno wybiera się do Aten w przyszłym miesiącu. – Maksymus milczał wyczekująco. Klodia nie należała do kobiet, które lubią plotkować i nigdy nie mówiła niczego bez powodu. – Powinieneś spotkać się z tym Oktofenikesem – zasugerowała w końcu. – Gallien podróżuje po Morzu Egejskim zawsze tym samym statkiem. Ciężka i powolna cesarska łódź ma w ochronie tylko dwie triremy. Jeśli odpowiednio zapłacimy Oktofenikesowi, znajdzie on sposób, aby zwerbować załogę takich jak on ludzi. Mając dwa statki pod twoją komendą, zrobicie, co trzeba.

Maksymus gwizdnął przez zęby, rozbawiony i jednocześnie pełen podziwu.

– A więc to dlatego jesteśmy tutaj! A ja zastanawiałem się, skąd u ciebie takie zamiłowanie do naumachii!

Klodia roześmiała się. Chwyliła jego rękę i pogłaskała się nią po brzuchu.

– Czy masz powody, żeby się skarżyć? Czy przyjemność związana z naumachią nie spełniła twoich największych oczekiwań?

– Wiesz, co myślę o naumachii – odrzekł Maksymus, pozwalając jej, by prowadziła jego rękę.

– Nie bądź zazdrosny – zaśmiała się gardłowo. – Na ten pomysł wpadłam w ostatniej chwili.

Maksymus wątpił w to, ale było mu obojętne, czy kłamała. Wolał podwoić pieśczoty, aż wyczuł, że Klodia znowu drży z pożądania. Udała, że mu ulega. Objęła go ramionami, przyciągnęła do siebie jego twarz, by zmusić go do pocałunku.

– Czy poznam prawdę któregoś dnia?

– Jaką prawdę? Czy nie jesteś jedynym człowiekiem, przed którym niczego nie ukrywam?

– Okłamujesz mnie tak samo jak innych. Chciałbym jednak wiedzieć, czy oddajesz mi się z innych powodów niż wyrachowanie.

– Tylko słabi ludzie martwią się o taką prawdę – odparła pogardliwie. – Inni biorą i cieszą się tym, co mają.

Przymknęła powieki, już bez wahania oddając się pieśczotom, z głową przytuloną do jego szyi.

– Widocznie robię się słaby – odrzekł po chwili.

Odsunęła się, okrywając biodra futrzanym płaszczem.

– Uważaj, bo stracisz więcej, niż przypuszczasz.

– A co takiego?

– Jeśli Aurelian zostanie cesarzem, ja zostanę twoją żoną.

Maksymus przez moment nie wiedział, co ma powiedzieć. Potem wybuchnął śmiechem.

– Nie podoba ci się ten pomysł? – zapytała ze złością Klodia.

– Nie wierzę ci. Nigdy nie zostaniesz moją żoną. To jest jedna z tych rzeczy, które wiem na pewno. Ty masz już męża, chociaż nie przysięgaliście sobie przed ołtarzem Wenus. To mąż niemożliwy do zdobycia, ale jedyny, jakiego pragniesz!

Nie musiał wymawiać imienia Aureliana. Zrozumiała i bez tego. Myślał, że uderzy go w twarz.

Klodia jednak opanowała się i z twardym wyrazem twarzy powiedziała:

– Wobec tego, co tu robisz ze mną? W Rzymie nie brak prostytutek.

Zaśmiał się i odgarnął znużonym gestem gęste włosy z czoła.

– Jak widać, jestem zarazem silny i słaby. Cieszę się tym, co mam, a mimo to wciąż czekam na coś więcej, czego mieć nie będę.

Klodia nawet nie mrugnęła okiem. Wolał nie patrzeć na jej twarz, którą nienawiść, pogarda, a niekiedy i zwykły egoizm czyniły bardzo niemiłą.

Na basenie szykowały się do walki następne galery,

a publiczność wrzaskami dawała upust swemu zadowoleniu.

– Może być i tak – odezwał się ponownie Maksymus obojętnym tonem – że miłość nie interesuje mnie bardziej niż ciebie. Ale rzymskie prostytutki są tak samo nudne jak naumachie. Posiadłaś ich sztukę w takim stopniu, jakiego wiele z nich nie ma, ponadto ofiarowujesz przy tym coś, do czego one w ogóle nie są zdolne.

Klodia milczała.

Nie był tym zdziwiony. Nigdy nie odpowiadała od razu na obraźliwe słowa. Należała do tych przeciwników, którzy czekali z atakiem na odpowiedni moment i miejsce. Zapłaci za swoją złośliwość, kiedy się tego będzie najmniej spodziewał.

Galery zajęły już pozycje na przeciwległych krańcach basenu. Sędzia na niewielkiej łódce machnął drzewcem z czerwoną chorągiewką.

– Aurelian unika zdecydowanego działania – powiedziała ze złością Klodia. – Zaczynam wątpić, czy ma dość odwagi, by przeciwstawić się Gallienowi. Każdego dnia znajduje jakiś inny pretekst. Słucha bredni, jakie podszeptuje mu ten stary głupiec Puliniusz. Usiłuje on przekonać go do Cezara i podburza przeciw mnie.

Zanim chorągiewka dotknęła wody, alkowa zadrżała od ryku tysięcy widzów na arenie. Maksymus spojrzął na wypływające galery, a potem obserwował profil Klodii. Miała twarz napiętą i lodowatą, niczym ostrze miecza na styczniowym mrozie.

– Nikt nie jest w stanie podburzyć Aureliana przeciw tobie.

– Puliniuszowi to się udaje. Doskonale to czuję. Jest chytry, wie, jak się do tego zabierać. Aurelian zawsze lubił mieć za powiernika jakiegoś starca. Tak mu brak ojca, że musi sobie znaleźć kogoś na jego miejsce.

Przerwała. Łodzie rozwinęły szybkość, zostawiając za sobą bruzdy spienionej wody. I znowu dojdzie do zwyczajnego zderzenia, zadowalającego tę wrzeszczącą tłuszcę.

– Czy wiesz, że teraz wszystkie noce spędza z Ulpią? – zapytała Klodia tak głośno, że jej głos przebił się przez panujący na basenie harmider. – Wyobrażasz sobie Aureliana, który co noc kocha się z żoną?

Maksymus miał ochotę zakpić z jej zazdrości, z którą się tak jawnie zdradziła. Ale nagle zaintrygowało go to, co się działo na basenie.

Galera czerwonych w ostatniej chwili spróbowała zrobić manewr wymijający. Wioślarze wyjęli nagle wiosła. Niewolnicy nacisnęli z całej siły na ciężkie ramiona steru, skręcając go na prawo. Statek uniknął zderzenia z dziobem zielonych i zaczął zbliżać się do burty przeciwnika, by połamać mu wiosła.

Ale kapitan zielonych przewidział ten manewr. Wioślarze na lewej burcie błyskawicznie wyjęli wiosła z dulek, podczas gdy ci z prawej burty wiosłowali z całej siły. Efekt był natychmiastowy. Łódź okręciła się wokół własnej osi. Wystarczyło tego, żeby ich dziobnica z brązu



przebiła luk galery czerwonych.

Maksymus na widok tej sztuczki pokiwał głową z uznaniem. Ponad radosnymi wrzaskami publiczności dał się słyszeć trzask pękającego drewna. Łódź czerwonych pogrążyła się w wodzie. Zaczynała się rzeź.

– Przedtem bywał z nią nie częściej niż trzy razy w miesiącu! – odezwała się ponownie Klodia z gniewem. – Kto mógł przypuszczać, że słodka, niewinna Ulpia zmieni się w jakąś furiatkę z Subury? Tak przynajmniej opowiadają jej służące. Pozbyła się w ogóle wstydu...

– Zaufaj służącej, a w końcu uwierzysz, że świat przypomina dynię – zaśmiał się Maksymus, nie spuszczać wzroku z morskiej bitwy. – Ulpia jest niewinna i pozostanie niewinną. Może właśnie to podoba się Aurelianowi.

– Nie. Od pobytu w Sirmium Ulpia nie jest już taka sama. Oszałała po ceremonii, jaką odprawiła nad nią w tamtejszej świątyni moja matka. Jednak niestety nie zaszła dotąd w ciążę!

Maksymus skrzywił się z niesmakiem. Walka wręcz szybko się kończyła i nie budziła już w nim żadnego zainteresowania. Widzowie jednak byli nią zachwyceni, wrzeszcząc z radości na widok krwi, barwiącej wodę w basenie.

Podniosła się znowu tak wielka wrzawa, że dopiero po chwili uświadomili sobie, że ktoś wali w drzwi ich alkowy.

Maksymus, zanim otworzył drzwi, wy dobył miecz z pochwy zawieszanej nad łóżem i popchnął Klodię za

siebie. Na progu ukazała się niewolnica z domu Puliniusza.

– Pani! – zawołała najwyraźniej czymś zdenerwowana.

– Jak śmiesz? – Klodia nie posiadała się z oburzenia. – Kto ci powiedział, że tu jesteśmy?

– Twoja matka, pani... Twoja matka...

– Nie gadaj głupstw. Moja matka... – Klodia zamilkła, pojmując nagle, czego nie śmiała powiedzieć niewolnica. Po czym dodała: – Odejdź.

Odwróciła się do Maksymusa. Ze wzrokiem niezdradzającym żadnego wzruszenia, chwyciła jego rękę, w której jeszcze trzymał miecz, i powiodła palcami po jego wargach.

– Nie zapomnij, legacie. Spotkaj się z Oktofenikesem. Przekonasz się, czy dotrzymuję obietnic.

## EMESA

Przepychała się zatłoczonymi, hałaśliwymi uliczkami, starannie wymijając kupy nieczystości. Nikt nie wiedział, skąd przyszła ani kim była. Brązowa lniana tunika, sznurowe sandały i wełniana peleryna były tej samej pośledniej jakości jak te, które nosiły kręcące się przed sklepikami kobiety. Co pewien czas jakiś mężczyzna dostrzegał jej twarz i uśmiechał się do niej.

Dwa razy musiała pytać o drogę. Nigdy przedtem nie zagłębiała się w labirynt biednej dzielnicy Emesy. Przywodziła na myśl prawdziwe piekło. Jej uliczki były wąskie, ciemne, śmierdzące. Ściany domów obdrapane, wejścia często nawet bez jakiegokolwiek zasłony. Role okien pełniły otwory, przez które wydobywał się dym z kuchennych palenisk.

Kobiety i mężczyźni bez żenady załatwiali swoje fizjologiczne potrzeby tam, gdzie popadło. Między nimi szwendały się najróżniejsze zwierzęta, zdziczałe świnie i groźnie powarkujące psy. Dzieciaki biegały nago lub okryte tylko jakimiś szmatkami. Zewsząd dobiegały krzyki i odgłosy ożywionych dysput. Sprzedawcy popychali objuczone osły, domagając się wrzaskiem, by dano im przejść.

Na kilku ulicach znajdowały się sklepy oraz ołtarze

bogów pustyni albo Kybele, Wielkiej Macierzy. Jednak paleniska ich były zimne. Od dawna już nikt nie składał ofiar w wyszczerbionych misach z brązu. Bogowie odwrócili się, opuścili biedaków, skazując ich na jeszcze większe cierpienia.

Zenobia, która znała tylko życie w pałacu lub w wojennych namiotach, nigdy czegoś podobnego nie widziała. Emesa była ogromnym miastem, z czterokrotnie większą liczbą mieszkańców niż Palmyra. Powiedziano jej, że musi przejść przez tę dzielnicę, żeby dotrzeć do domu chrześcijan. Ich bóg i kapłani mieli dziwne upodobanie do ubóstwa i cierpienia. Przelekkła się, że zabłądzi.

Opatrunek, który zrobiła jej Aszemu, trzymał się dobrze, ale ból w ranie odżył mimo silnych środków odurzających. Trzy dni leżała bez ruchu, zbierając siły na ten moment. Jeśli jednak dłużej będzie błądzić w tym siedlisku brudu i nędzy, to może znowu zemdleć i nikt tu jej nie znajdzie.

Musi wytrzymać, znaleźć ten dom, gdzie Shawaada traktowano niczym samego boga.

\* \* \*

Niespodziewanie znalazła się na brukowanym placu. Było tu dużo światła, a smrodliwe powietrze przewiał suchy, północny wiatr. Oślepiła ją biel ścian stojących tam domów. Wszystkie robiły wrażenie czystych, w dobrym stanie.

Chcąc odzyskać oddech i uspokoić bicie serca, oparła się o słupek, do którego przywiązano muły. Plac pełen był ludzi, zwłaszcza kobiet i dzieci. W przeciwieństwie do harmideru ulic, przez które przed chwilą przechodziła, tutaj wszyscy zachowywali się spokojnie i cicho. Siedzące na wozie staruszki, obrzuciwszy ją szybkim, obojętnym spojrzeniem, zwróciły ponownie wzrok ku grupce dzieci po drugiej stronie placu.

Na placu przychodziły jeszcze inne kobiety i dzieci. Wszyscy, ubogo ubrani, stawali w milczeniu. Wielu z nich, jak zauważyła Zenobia, wyglądało na cierpiących i z trudem trzymało się na nogach. Przypomniała sobie o darze uzdrawiania, który Schawaad miał już wtedy, kiedy jako dzieci przebywali na pustyni Turaq Al'llab.

Teraz nie wątpiła, że Schawaad musi być w tym tłumie ludzi czekających na cudowny efekt jego daru. Co za ironia! Przecież on może pomyśleć, że przyszła tutaj, podobnie jak tamci, z nadzieją na to, że ją wyleczy.

Cichy śpiew przerwał jej rozmyślenia. Stożące obok stare kobiety powtórzyły niczym echo słowa, których Zenobia nie zrozumiała.

Nie mogła dłużej czekać. Mijając jedną grupkę po drugiej, szła w poprzek placu. Z trudem łapała oddech, bardziej ze strachu niż z bólu.

Przez te wszystkie dni, zanim postanowiła wymknąć się z pałacu, od chwili, kiedy ocknęła się z omdlenia, prześladowało ją wspomnienie strasznej twarzy Schawaada. Nic nie zostało z jego urody, zmieniło się

nawet spojrzenie. Jakby płomienie za sprawą bogów pozbawiły go wszystkich ludzkich cech. Najbardziej bała się ponownie zobaczyć jego twarz.

Umarłaby jednak, gdyby teraz zawróciła.

Musiała powiedzieć mu to, czego nigdy nie mówiła. Musiała to zrobić nade wszystko i wbrew wszystkiemu.

To, co ujrzała, podchodząc bliżej, zaskoczyło ją bardziej, niż się spodziewała.

Grupka dzieci otaczała trzech mężczyzn siedzących na drewnianych taboretach. Na twarzy Schawaada widoczne były tylko nietknięte oko, skroń i policzek. Resztę twarzy, nawet usta, zakrywała nieskazitelnie biała woalka. W rękę trzymał zwój papirusu. Głos przytłumiony woalką brzmiał taką łagodnością i spokojem, jakiego Zenobia nigdy u niego słyszała.

– Był pewien człowiek przysłany przez Boga – opowiadał. – Nadano mu przydomek Stary. Na imię miał Jan. Głosił on ludziom: „Widziałem światło Boga. To jedyne i prawdziwe światło, przez które powstał świat”. A gdy słuchano Jana, wiedziano, że każde jego słowo jest prawdą...

Dzieci słuchały z niezwykłą uwagą historii opowiadanej przez Schawaada. Gdy zamilkł, jedno z nich zapytało:

– Czy twój pan, Chrystus, nie był zazdrosny o to światło? Przecież on sam jest bogiem.

Dwaj mężczyźni siedzący obok Schawaada parsknęli śmiechem.

– Nie – odparł spokojnym głosem Schawaad. – Jezus Chrystus nie był zazdrosny. Nie miał powodu, bo światłem był jego Ojciec, podobnie jak on sam.

Zapadła cisza. Zdziwione dzieci stały nieruchomo, starając się zrozumieć jego słowa.

– Jak to jest możliwe? – zapytała w końcu starsza dziewczynka. – Przecież ci, którzy twierdzą, że słońce jest bogiem, nigdy nie widzieli go pod postacią człowieka. Może pod postacią złotego byka, ale nic człowieka. Nie, trudno w to uwierzyć. Bogowie nie są ludźmi. I nie mogą być światłem.

Schawaad i jego towarzysze skrzyżowali ręce na piersiach i szeptem zamienili między sobą kilka słów. A potem Schawaad odezwał się znowu, z nutką rozbawienia w głosie.

– Zapomnij, moje dziecko, o tym, co się mówi o słońcu. To baśnie i kłamstwa Rzymian. Światło Boga nie ma nic wspólnego z tymi bredniami.

– Ale słońce można zobaczyć – upierała się dziewczynka. – Światło, o którym mówisz, nie jest światłem słonecznym, więc gdzie mogę je ujrzeć?

– Ujrzysz je! Jeśli mi ufasz, zobaczysz je wkrótce w sobie samej, w głębi swego serca. Zapomnij o tym, co ci opowiadano. Nie ma to żadnego znaczenia, podobnie jak nieważne są muchy, które teraz latają nad twoim noskiem.

Kilkoro dzieci roześmiało się. Schawaad przerwał na chwilę. Zenobia, podobnie jak wszyscy, którzy go słuchali, wyczuła emanującą z niego siłę. Zamilkł, aby ci, którzy go

słuchali, zastanowili się nad sensem jego słów.

– To, co mówiono wam o bogach, to kłamstwa – podjął mocnym głosem. – Kłamstwa Rzymian i tych, którzy zabierają wam od ust chich. Istnieje tylko jeden Bóg, wiekuisty Ojciec Chrystusa. Jego światło jest na tym i na tamtym świecie. Bóg nie oczekuje od nas ofiar. Miłuje was i pragnie waszego dobra. Posłał do nas swego Syna Jezusa, aby przyjął wasz głód i wasze pragnienie, żeby otworzył się przed wami Raj Pana, jego Ojca. Z tego powodu Rzymianie ukrzyżowali go, skazali na cierpienie, tak jak was skazują na nędzę.

Znowu przerwał, zostawiając dzieci pod wrażeniem siły jego głosu. Potem wstał i wyciągnął rękę.

– Na dziś wystarczy. Jutro opowiem wam coś innego. A teraz pomódlmy się razem, bo muszę uzdrawiać kobiety i dzieci światłem naszego wszechpotężnego Ojca.

Dołączając swój głos do głosu swoich towarzyszy i jasnych głosików dzieci, zawołał:

– Przyjdź i wejrzyj na nas, Chrystusie. Jesteśmy jak owieczki, które potrzebują pasterza. Spraw, abyśmy, my twoje dzieci, byli twymi owieczkami, a ty naszym pasterzem. O, Panie, nasyć nas twoim światłem i twoją sprawiedliwością!

– Amen! Amen! – zakrzyknęły dzieci, po czym wesoło rozbiegły się po placu.

Zenobia usłyszała, że powtarzają to rzymskie słowo, które upodobali sobie chrześcijanie.

Schawaad odwrócił się, odszedł w kierunku domu



z szeroko otwartymi drzwiami, gdzie czekali na niego chrześcijanie w białych togach. Zanim tam dotarł, rzuciły się ku niemu kobiety z niemowlętami w ramionach. Wszyscy wołali go imieniem, które przyjął na chrzcie.

– Szymon! Szymon!

Jego towarzysze odepchnęli kobiety bezceremonialnie.

– Później, później! Na każdą z was przyjdzie kolej!

On zaś, nie oglądając się za siebie, wszedł do domu, nie przeczuwając jej obecności.

Zenobia stała przez chwilę zagubiona w tłumie. Wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać ich spotkanie, co mu powie, ale nie myślała, że będzie przy tym tyle ludzi.

Zapragnęła odejść. Nie miała nic wspólnego z tym nieszczęsnym tłumem.

Myślała tylko o Schawaadzie. O chłopcu, który wyciągnął ją z jeziora w dniu jej narodzin. O mężczyźnie, który ją odrzucił w Dura-Europos. Nie wiedziała nic o chrześcijaninie, który miał na imię Szymon. Nie wiedziała nawet tego, jak uszedł z życiem z płomieni stosu, po którym został mu ten przerażający stygmat.

Przypuszczała, że nie będzie chciał jej wysłuchać. Czy nie powiedział jej i Najjaśniejszemu Panu, że jest uosobieniem grzechu i kłamstwa? Wystarczyło go zobaczyć rozmawiającego z tymi dziećmi, żeby zrozumieć, jaki jest nieprzejednany.

Potrącano ją, przed drzwiami zaczęła formować się kolejka. Przeszyła ją nagła fala bólu. Nie mogła i nie

chciała się opierać. Znalazła się między młodą dziewczyną z opuchniętą ręką, siną i źle obandażowaną, oraz starszą kobietą, której oczy przypominały już dwie białe kule.

Ogarnęło ją zmęczenie, słabość, smutek. Nie była już Zenobią, królową i Despojną Palmyry. Była po prostu chora, tak jak tłoczące się kobiety. Jej rana nie miała nic wspólnego z wielką bitwą przeciw Persom. Powstała tamtej nocy w Dura-Europos. A Schawaad się do niej przyczynił. I tylko on jeden mógłby ją wyleczyć.

\* \* \*

Siedział na ławce na podwórzu przed portykiem otaczającym dom. Żadna woalka nie zasłaniała teraz zdeformowanej twarzy. Z pochyloną głową, nieruchomy, bez oznak wzruszenia słuchał skarg i wyjaśnień, zamknawszy zdrowe oko. Trwał tak bez ruchu jakąś chwilę, jakby spał. W jego obecności kobiety były zaleknione, nieśmiałe. Milkły i cierpliwie czekały.

Po długim milczeniu podnosił ręce i szerokim okrężnym ruchem dotykał z lekka dziecko, ramię, nogę czy zraniony brzuch. Przypominało to powolną pieśczętę. W końcu kładł dłonie na bolącym miejscu.

Dziecko, które przed chwilą tak płakało i jęczało, milkło. Kobiety drżały, ciężko oddychając. Niektóre płakały, zagryzając wargi. Inne trzęsły się jak w gorączce, ale szybko się uspokajały.

Szymon oderwał ręce od dwuletniego chłopca, który

nie przestawał krzyczeć. Dzieciak ucichł ze zdziwieniem w oczach. Tym samym spojrzeniem obrzucił tłum, a następnie matkę chłopca. Malec zaczął się śmiać, a matka osunęła się na ziemię i towarzysze Szymona musieli ją podnosić.

Wokół Zenobii rozległy się okrzyki radości. Wiele kobiet padło na kolana. Wtedy Szymon silnym i twardym głosem zawołał:

– Podnieście się! Klękamy tylko przed Bogiem!

\* \* \*

Seans trwał dalej. Za każdym razem powtarzało się to samo wzruszenie, to samo napięcie. Zenobia, od wielu godzin na nogach, czuła, że słabnie. Ogarniało ją również zwątpienie i poczucie, iż niepotrzebnie tu przybyła. Czuła też jakiś wstyd. Nie mogła jednak oderwać oczu od rąk i twarzy Szymona.

Przyzwyczajają się, jak i wszyscy wokół, do jego przerażającego wyglądu.

Jej pierś przeszywał coraz ostrzejszy ból. W skroniach pulsowało. Opatrunek znowu nasiąkł krwią. Nagle uświadomiła sobie, że nie może ustać na nogach. Nie była już w stanie opuścić podwórza domu chrześcijan.

Mimo woli chwyciła za ramię stojącą przed nią starą, ślepią kobietę. Staruszka zachwiała się. Zawstydzona Zenobia puściła jej rękę i osunęła się na ziemię, z okrzykiem bólu. Leżąc z otwartymi szeroko oczami,

widziała powstające wokół niej zamieszanie. I towarzyszy Szymona, którzy już zdążali w jej kierunku.

## RZYM

Puliniusz oddał swój dom na uroczystości pogrzebowe Julii Kordelii. Ciało, umyte i namaszczone wonnymi olejkami przez służbę zaraz po tym, jak oddała ostatnie tchnienie, zostało wystawione w atrium na paradnym łożu ozdobionym złotymi tarczami Słońca Niezwycięzonego.

Nad ciałem arcykapłanki stał baldachim z brązowego jedwabiu ze srebrnymi frędzlami. Żeby podać do publicznej wiadomości, iż w domu ktoś umarł, nad drzwiami od strony ulicy zawieszono gałązki jodły. Ku zaskoczeniu Klodii i Aureliana odwiedzających przybyło więcej, niż się spodziewali.

Oprócz przyjaciół i klientów Puliniusza przyszło także ze stu senatorów, wiedzionych ciekawością i zarazem chęcią przypodobania się. Okazja, żeby zostać zauważonym przez *dux maiorum* oraz pierwszego sekretarza, była nadto dobra, żeby z niej nie skorzystać. Powtarzano teraz cicho ich imiona, chociaż dopiero co na ustach wszystkich było imię Cezara Galliena. W tych niepewnych czasach, gdy pomruki pospólstwa rzymskiego stawały się coraz groźniejsze, należało być przewidującym.

Przy głośnym wtórze płaczek i muzykantów defilowano przed obliczem Julii Kordelii. Słuchając pieśni

pochwalnych na cześć arcykapłanki świątyni Słońca Niezwycięzonego w Sirmium, podziwiano jej spokojne, harmonijne rysy. Julia Kordelia nawet po śmierci zachowała swoją urodę.

Za radą Puliniusza Aurelian złożył znaczne ofiary w świątyni Kybele, czczonej w całym imperium pod imieniem Wielkiej Macierzy. Musiał także dopełnić świętego obrzędu w grocie Mitry na Palatynie.

Ponieważ Aurelian pełnił funkcję posłańca Heliosa, a więc drugiej pod względem ważności osoby wśród wyznawców Mitry, ceremonia ta była najwspanialszą, jakie rzymska grota kiedykolwiek widziała. Następnie udano się podziwiać woskową maskę nałożoną na twarz Julii Kordelii, gdy wystawiono jej ciało na widok publiczny.

Ósmego dnia o świcie niewolnicy zapalili pochodnie. Zapalano je zawsze, nawet wtedy, gdy na dworze świeciło słońce. Tym razem jednak niebo było szare, pasujące do nastroju żałoby. Padała mżawka, wilgotny, zimny wiatr przenikał do szpiku kości. Płomienie pochodni rzucały cienie na ściany i podłogę, co stwarzało wrażenie, jakby pod nogami ludzi szemrały już wody Styksu, poruszane łodzią Charona. Słońce okazywało swój smutek, posyłając promienie ciemne niczym popiół, w jaki wkrótce miała obrócić się Julia Kordelia.

\* \* \*

Służący przenieśli ciało z łoża na nosze przybrane rozmarynem i mirrą. Otoczyli je niewolnicy domu Puliniusza oraz Aureliana i Klodii. Przedtem niewolnice Julii Kordelii otrzymały pozwolenie, by dotknąć ciała zmarłej pani.

Rozległy się dźwięki fletu i trąbki. Grana melodia była powolna, przejmująca, natrętnie szarpiąca nerwy. Muzykanci ustawili się na czele orszaku, który wyszedł z pięknej willi Puliniusza. Za nimi podążały ubrane na czarno płaczki z twarzami umazanymi popiołem i kredą. Gdy podniesiono nosze z Julią Kordelią, zaczęły wyć, uderzać się w piersi, wyrywać potargane zgodnie z obyczajem włosy.

Stare prawo zezwalało na przejazd przez miasto rydwanem kurulnym tylko członkom senatu. Tak więc Aurelian, Elkan i Maksymus musieli zająć miejsce w rydwanie powożonym przez samego Puliniusza.

We wspaniałym zaprzęgu szły cztery woły z rogami wysmarowanymi tłuszczem i sadzą, na których osadzono złote tarcze, kształtem przywodzące na myśl wygięcie liry. Przeładowany wóz z trudem toczył się po bruku. Za nim jechał dużo skromniejszy dwukołowy rydwan, w którym stały Klodia i Ulpia, ubrane w ciemnobrązowe tuniki.

Ulpia, być może zgodnie z wolą Aureliana, wysmarowała twarz, kredą. Wymalowane na czerwono usta i obwiedzione na czarno oczy nadawały jej twarzy błędny wyraz, który drażnił Klodię od ran#.

Kiedy wyraziła zdziwienie na widok tego przesadnego

makijażu, Ulpia, która z dnia na dzień, traciła swą łagodność i okazywała jej coraz, mniej szacunku, popatrzyła na Klodię z ironią.

– Dlaczego przesadny? – zadrwiła. – Czy już zapomniałaś, co robiła ze mną Julia Kordelia w świątyni w Sirmium? Czy nie była wtedy chora? Ja, moja siostrze Klodio, nigdy tego nie zapomnę. A poza tym, czy to nie ty namawiałaś mnie do różnych ekscesów? – Widząc oburzoną minę Klodii, Ulpia dodała jeszcze złośliwym tonem: – Nie jestem taka jak ty, Klodio. Nie mam zimnego serca. O nie! Ja, słodka Ulpia, nic czynię tajemnicy z tego, co mam na duszy.

Klodia wysłuchiwała jej słów z osłupieniem i przerażeniem. Czy Ulpia naprawdę zwariowała?

W domu coraz bardziej krytycznie traktowano Klodię.

Elkan wyraził żal, że nie było jej w domu w chwili śmierci matki. Uważał, że to zniewaga zadana Julii Kordelii w ostatnim momencie jej życia, której nie da się już naprawić. Czy Klodia nie wiedziała o tym, że umierający muszą zachować w oczach obraz swoich potomków, gdy spotkają się z cieniami w królestwie Charona?

Klodia oczywiście wiedziała o tym doskonale. Ale wolała naumachie i tylko bogowie wiedzą co jeszcze.

Szpiedzy Puliniusza z łatwością ją tam odnaleźli i nie zachowali dyskrecji. Teraz każdy mógł ocenić, jak zimne było serce Klodii nawet w godzinie jej najświętszego obowiązku!

Elkan przypomniał, że tak było zawsze. Córka nigdy



nie chciała podporządkować się matce. Zawsze dawała dowody swojego egoizmu. Czy w ogóle miała serce i duszę?

Aurelian, co było niezwykle, wcale jej nie bronił.

A to bez wątpienia sprawiło, że Ulpia poczuła jeszcze większą niechęć dla szwagierki.

Klodia patrzyła, jak przechodnie rozstępują się z szacunkiem przed nimi. Może Elkan miał rację. Może była pozbawiona serca i duszy. To samo zresztą mówił Maksymus. Podobnie musiał myśleć Aurelian, ale nie robił siostrze wyrzutów z tego powodu. Może dlatego, że w nim także nie było miejsca na żadne sentymenty.

Nie liczy się serce ani dusza. Jedynie silna wola i władza.

Czy cesarze osiągnęli triumfy z sercem pełnym sentymentów i szlachetną duszą?

\* \* \*

Zajął to pół dnia, zanim ich powolny orszak dotarł do cmentarza przy via Appia, na południe od Rzymu.

Musieli przejść przez wzgórze Opus, obejść olbrzymie Koloseum. Wąskimi uliczkami, na których z trudem mieściły się zaprzęgi, przejechali akwedukt Magnum pod łukiem Dolabelli. Tutaj zaczynała się szeroka aleja via Novae. Przy termach Septimusa Sewera zmieniała się w drogę obrzeżoną ogrodami, warzywnikami i sadami. Rosnące w nich drzewa wiśniowe pochodziły od drzew

srowadzonych z Azji w czasach republiki ponad trzysta lat temu.

W końcu, pod wieczór dotarli do miasta zmarłych.

Bogate i średniozamożne rodziny rzymskie stawiały tutaj grobowce wspanialsze od domostw ludzi żywych. Można było tu podziwiać wszystko, co potrafili stworzyć architekci i rzeźbiarze – ogromne mauzolea, panteony w stylu etruskim, repliki piramid, grobowce pełne marmurowych posągów. Konie, psy i potwory z granitu, wysokie wieżyczki lub kolumny ze spiralnym zwieńczeniem.

Ponieważ Aurelian nie miał w Rzymie rodziny, na jego zamówienie zostało wzniesione okrągłe mauzoleum otoczone grecką kolumnadą. Była to budowla skromna, lecz odznaczająca się dobrym smakiem. Sąsiedztwo starych grobowców dodawało jej prestiżu.

Stos, na którym miało spłonąć ciało Julii Kordelii, był już gotowy. Brązowy sarkofag do kremacji czekał ustawiony na grubej warstwie kwiatowych płatków.

Ułożono w nim zmarłą przy akompaniamencie muzyki i krzyków płaczek, obecni byli również mimowie, odgrywający przewidziane tradycją scenki. Gdy płomienie buchnęły do góry, goście zaintonowali pieśni żałobne. Śpiew zmarłych wpływających na ciemne wody Styksu był tak przejmujący, że podróżni jadący via Appia zatrzymywali się i trwali nieruchomo, aż się skończył.

O zmroku, przy świetle gasnącego stosu, zaczęła się uczta pogrzebowa. Do Aureliana podszedł Puliniusz

z bardzo poważną miną.

– Pozwól ze mną na moment. Ten, na którego czekaliśmy, jest tutaj.

Poszli w kierunku mauzoleum, jakby pragnęli obejrzeć jeszcze raz jego wystrój.

W cieniu kolumnady stał wysoki mężczyzna w żałobnej pelerynie, podobnej do tych, jakie mieli na sobie goście. Krótka broda porastała jego policzki i szyję, nie zasłaniając przy tym podbródka i ust. Taka była ostatnia moda lansowana przez Galliena.

Uderzył się pięścią w pierś, wykonując powitalny gest legionisty.

– *Ave dux maiorum*. Nazywam się Sylwiusz Kallist. Jestem legatem XXII legionu Primigenia, wiernym Cezarowi Gallienowi tak, jak ty byłeś wiemy Augustowi Walerianowi.

Mówił zdecydowanym, ale niepozbawionym szacunku tonem. Aurelian odpowiedział tak samo oficjalnie:

– Nie mów, legacie, o Auguście w czasie przeszłym. Nie odsyłaj do podziemnych otchłani tych, którzy jeszcze żyją wraz z nami. Zwłaszcza gdy rzecz dotyczy twego cesarza. Bo inaczej, Kalliście zobaczysz Styks wcześniej niż Augustus.

Poseł Galliena zawahał się, spojrzął na Puliniusza, który czekał z nieprzeniknioną twarzą.

– Wybacz mi, wodzu. Masz rację. Nie do mnie należy wydawanie opinii. – Wsunął rękę pod pelerynę i wyjął

skórzany futerał. – Cezar pragnie, abyś przeczytał ten list i podpisał się, jeśli się z nim zgadzasz.

– Przypuszczam, że znasz treść tego listu? – zapytał Aurelian, nic odbierając go.

Legat ponownie się zawahał, ale tym razem Puliniusz gestem dodał mu odwagi.

– Jest pisany moją ręką pod dyktando Cezara – przyznał.

– Słucham.

– Cezar proponuje ci pokój.

– A czy między nami nie ma pokoju? – zdziwił się Aurelian.

– Cezar przysięga przed Jowiszem i Mitrą, że nie ma nic wspólnego z tym przykrym wydarzeniem, które spotkało cię w Nikopolis.

– To nie było takie sobie wydarzenie, chciano mnie otruć.

– Cezar Gallien wie, jaką cieszysz się sławą w swoich legionach nad Dunajem – mówił dalej Kallist. – Zna wszystkie twoje zwycięstwa i...

– Moja sława nie kończy się na legionach dunajskich, legacie! – przerwał mu ostro Aurelian. – Sięga tam, gdzie chwała Cezara jest raczej blada! Jeżeli przybyłeś tu, żeby powtarzać takie banały, to tracisz czas. Zawracasz mi głowę w chwili, gdy czekają na mnie prochy mojej matki.

Kallist zacisnął szczęki, na próżno szukając wzrokiem pomocy u Puliniusza. Może zamierzał dać ciętą odpowiedź, ale czuł na sobie twarde wzrok Aureliana.

Wielu oficerów opowiadało mu o niebieskich tęczówkach *dux maiorum*. O jego oczach, które widziały śmierć tylu wrogów, że nie dałoby się ich zliczyć. W spojrzeniu Aureliana było o wiele więcej mrozącego zimna niż w odbywającej się przy mauzoleum ceremonii pogrzebowej.

Kallist głuchym głosem rzekł:

– Cezar Gallien nie pragnie starcia z tobą. Zastanów się, jakim byłoby to nieszczęściem dla imperium, gdybyś poprowadził swoje legiony przeciw niemu. Cezar zna twoją siłę, ale zdaje też sobie dobrze sprawę ze swojej.

– I dlatego powinno mu zależeć na mojej życzliwości.

– Cezar prosi cię o poparcie w senacie. Rzym powinien zobaczyć, że jesteście w zgodzie. Zrozumieć, że kampania przeciw Persom, celem uwolnienia Augustusa, byłaby szaleństwem, w czasie gdy barbarzyńcy nękają nasze granice od Renu aż do Mezji. Król Palmyry, Najjaśniejszy Pan Odenatus, jest wiemy Cezarowi. Już wyruszył przeciw Szapurowi... Senatorowie uwierzą w to, co usłyszą z twoich ust.

Aurelian uśmiechnął się szyderczo.

– Jaka jest cena za moją zgodę? – spytał.

– Otrzymasz dowództwo nad całą jazdą imperium. To największy zaszczyt, jaki można ci przyznać.

Zaskoczony Aurelian cicho gwizdnął. Puliniusz uniósł z lekka brew.

Aurelian wyciągnął rękę:

– Daj mi ten list, legacie. Cezar będzie miał moją

odpowieź przed najbliŹszymi idami.

## EMESA

Chrześcijanie ułożyli ją na wąskim łóżku w małym pokoju ze sklepionym sufitem. Dano jej do picia chłodną wodę i nie zadawano żadnych pytań. Tylko jeden z nich powiedział:

– Możesz tu spokojnie odpoczywać. Brat Szymon zajmie się tobą, jak tylko będzie mógł.

Od tamtej chwili czekała. Otaczające ją ściany były ozdobione freskami. Naprzeciw niej widniały sceny uzdrowienia z dziećmi, które, trzymając się za ręce, siały wokół chorych. Na innym fresku ulatywały w niebo postacie kobiet i mężczyzn przypominające białe, połyskliwe motyle. Na przeciwległej ścianie przedstawiony był wysoki, brodaty mężczyzna ze złotą tarczą nad głową trzymający w ramionach jagnię.

Pokój odgradzony do połowy zaciągniętą kotarą łączył się z drugim, znacznie większym, gdzie, jak domyślała się Zenobia, musiał znajdować się basen. Wszędzie było bardzo czysto, jasno, tkaniny na meblach i różne przedmioty świadczyły o bogactwie. Gdyby Zenobia nic przechodziła wcześniej przez brudne dzielnice dolnego miasta, pomyślałaby, że znalazła się w pałacu. W tym domu można było zażywać cichego, spokojnego odpoczynku.

Powrócił ból. Zenobia postanowiła się podnieść, nie chciała bowiem przyjmować Schawaada na leżąco. Ale przy pierwszym ruchu ponownie zabrakło jej oddechu, zrozumiała więc, że nie będzie miała dość sił, żeby usiąść.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi, szuranie sandałów. Wiedziała, że to on przyszedł.

\* \* \*

Znowu miał twarz zasłoniętą. Podeszedł bliżej i zatrzymał się kilka kroków przed łóżkiem. Zenobia uniosła się z wysiłkiem.

– Schawaad...

Przerwał jej natychmiast gestem ręki.

– Mam na imię Szymon. Szymon, sługa Chrystusa Pana. Zwracaj się do mnie tylko tym imieniem.

Milczała. Zasłona na jego twarzy drgnęła, gdy kiwnął z lekka głową.

– Dobrze mi się wydawało, że cię rozpoznaję.

Zenobia odniosła wrażenie, jakby w jego głosie zabrzmiała ironia. Widoczna część jego twarzy pozostała bez wyrazu.

Opadła na plecy, łapiąc z trudem oddech.

– Opowiadano, że nie żyjesz.

Zignorował jej słowa, podeszedł bliżej i powiedział:

– A więc nie masz już dużego brzucha. Czy urodziłaś to dziecko?

Znowu miała wrażenie, że z niej drwi.



– Nie byłam w ciąży, kiedy mnie widziałeś z Najjaśniejszym Panem. Dotrzymałam obietnicy. Nie tknął mnie żaden mężczyzna, nawet mój mąż.

– To znaczy, że okłamujesz wszystkich? Okłamujesz swych poddanych. – Potrząsnął głową. Usta wykrzywił mu okropny grymas. – Ty i twój mąż umiecie żyć tylko w kłamstwie. Jak Rzymianie.

Powinna była zaprotestować. Przecież znał powód jej kłamstw. Mimo to milczała. Zamknęła oczy, czując rumieniec wstydu na twarzy.

Głos Schawaada-Szymona stał się jeszcze bardziej ostry.

– Skoro nie zasłabłaś z powodu połogu, to znaczy, że przyczyną twoich cierpień jest rana.

– Wiesz o mojej ranie?

– Chrześcijanie wiedzą o wszystkim, co się dzieje w Imperium Rzymskim – odrzekł z pogardą. – Mamy swoich braci i potrafimy dotrzeć wszędzie. Bóg czuwa nad światem, nie jest zamknięty w świątyni.

Mówiąc to, podniósł ręce nad nią i wykonywał takie same ruchy, jak nad innymi chorymi.

– Teraz milcz! – rozkazał. – Przyszłaś, żebym cię wyleczył, więc zrobię to.

– Nie! Mylisz się! Nie dlatego tu przyszłam. Chciałam...

Urwała. On też się zawahał. Szybkim ruchem odkrył twarz.

– Może po to, żeby mnie lepiej zobaczyć? –

powiedział ochryplym głosem. – Żeby się nade mną litować? No to patrz, ale bez litości, bo mnie nie jest potrzebne współczucie. Bóg mnie ocalił. Uczynił tym, kim miałem być.

To było silniejsze od niej. Podniosła się, wyciągnęła rękę do jego straszego policzka. Łzy trysnęły jej z oczu. Nie dostrzegła, jak się cofnął.

– Jak to się mogło stać? Schawaad, Schawaad! Jak to w ogóle jest możliwe?

– Mam na imię Szymon!

– Dlaczego ci to zrobiono?

– Jako sojuszniczka Rzymian powinnaś to wiedzieć! Czy nigdy nic widziałaś, jakie męki zadają oni naszym braciom? Walerian, ten Wielki Wąż, napawał się naszym cierpieniem. Męczeństwo chrześcijan było jego codzienną przyjemnością... – Szymon przerwał pełen nienawiści. – Teraz przyszła kolej na ciebie, byś pojęła, czym jest ból. Bóg ukarze go i pomści nas stokrotnie! Każdego dnia Szapur depta po plecach cesarza Rzymu! Ale jego piekło na ziemi jest niczym w porównaniu z tym, co go czeka, gdy stanie przed obliczem wszechpotężnego Pana.

Jego usta zbieleły z wściekłości.

– Ale ty... – wyjąkała – Jak to się stało, że nic zginąłeś?

Oczy Szymona płonęły egzaltacją.

– Dzięki woli wiekuistego Pana! I dlatego, że Rzymianie byli tak głupi, że w ramach dodatkowej kary kazali moim braciom, aby to oni przygotowali stos dla mnie. Postawili go nad studnią, na cembrowinie. Musiałem

tylko przetrzymać pierwsze płomienie, żeby przez pałac się drzewo dostać się do wody w studni i tam czekać na pomoc. Bóg nie opuścił mnie w tej próbie. Zamienił ją w radość.

– No to masz pewnie poparzone nogi, stopy...

Szymon z uśmiechem rozbawienia uniósł tokę. Zdołała zobaczyć popaloną skórę na łydkach.

Łzy zalały gardło Zenobii.

– Płaczesz? Ty, którą nazywają Alath, czerwoną boginią? Ty, która zadawałaś o wiele gorsze rany na polu bitwy? Ty, która, jak opowiadają na pustyni, czyniłaś to ze śmiechem na ustach?

– Byłeś taki piękny – szepnęła, nie zwracając uwagi na jego drwiny. – O, mój ukochany, byłeś taki piękny!

Zesztywniał.

– Zamilcz, królowo Palmyry. Są słowa, których nie powinny słyszeć te mury, a poza tym mówisz o kimś, kto już nie istnieje. To, co się stało z moim ciałem, nie ma znaczenia! Ważne jest to, że Bóg sprawił, że moje ręce stały się bardziej skuteczne. Lepiej niż kiedykolwiek, przenoszą jego posłanie dobra i łagodności tym, którzy cierpią, tak jak kiedyś ręce naszego Pana, Chrystusa. I tylko to się liczy. – Zrobił znak krzyża na piersi i znowu rozkazał: – Milcz teraz. Nie odzywaj się dla twojego dobra, żebym mógł cię uleczyć.

– To na nic. Nie po to tu przyszłam.

– Ach tak – zadrwił. – Czyżbyś chciała zostać jedną z nas? A może ty i twój mąż chcecie poznać moc słowa

naszego Pana Jezusa Chrystusa? Odenatus i Zenobia, to by dopiero była wielka nowina!

– Schawaad, moja miłość do ciebie nie zgasła ani na jeden dzień. I jeśli nawet nazwę cię Szymonem, jest ona tak samo żywa, jak pierwszego dnia. Tak samo piękna i wielka jak w oazie moich narodzin. Ty jeden znasz prawdę o Zenobii. To, co się wydarzyło w Dura-Europos, zmusiło mnie do kłamstw. I dlatego stałam się tą, którą nazywają Alath. Nigdy nie opuściłeś mojego serca. Nawet wtedy, gdy uwierzyłam, że nie żyjesz. Nawet teraz, kiedy cię widzę, kiedy nie jesteś już Schawaadem, a ogień męczeńskiego stosu sprawił, że masz twarz potwora, moja miłość do ciebie trwa nadal. O tak! Kocham ciebie. I nic na to nie możesz poradzić. Jesteś tym, którego kocham i będę zawsze kochać. Jeśli to prawda, że na tym świecie wszystko dzieje się zgodnie z wolą twojego Boga, to znaczy, że on chce także i tego.

Przez chwilę Szymon wydawał się wstrząśnięty. Powiódł oczyma po freskach namalowanych na ścianach, jakby tam szukał pomocy i siły. Usta mu drżały. Piers unosiła się gwałtownie. Zamknął powieki. Jego twarz stała się jeszcze bardziej odrażająca.

– Masz rację – odrzekł ledwie słyszalnym głosem. – Masz racją. Nic nie mogę zrobić dla ciebie. Idź stąd.

Nie zaprotestowała. Zebrała w sobie wszystkie siły, żeby wstać.

Zaledwie jednak dotknęła stopą podłogi, nogi się pod nią ugięły.

W mimowolnym odruchu wyciągnął ręce, żeby ją podtrzymać. Natychmiast jednak je cofnął, pozwalając, aby osunęła się na podłogę, Zenobia, jęcząc niczym walczące ze śmiercią zwierzę, przewróciła się na bok. Z trudem łapiąc oddech, zwinięta w kłębek, złapała się nogi łóżka. W tej chwili pragnęła usilnie, aby dobrzy bogowie pozwolili jej umrzeć.

Dopiero w tym momencie padł przed nią na kolana, może dlatego, że cierpiała tak samo, jak wówczas, gdy ujrział ją wiele lat temu na ogarniętym pożarem dziedzińcu domu w Dura-Europos.

– Ułóż się na plecach – powiedział.

Uśluchała go na pół przytomna.

– Tym razem bądź posłuszna – powtórzył. – Nie mów już ani słowa.

\* \* \*

Co zrobił, nie dowiedziała się nigdy.

Na początku ból był tak silny, wysiłek przy oddychaniu tak wyczerpujący, że nie była w stanie otworzyć oczu.

Potem żelazny grot, który tkwił w jej wnętrzościach, przestał się ruszać. Oddech stał się głębszy, bardziej regularny. Niepokój uciszył się i ogarnęło ją jakieś odrętwienie. Była to ociężałość, od której nieruchomiały mięśnie w nogach i rękach, która powoli przesuwała się w kierunku rany.

Nagle przeszedł ją dreszcz, gdyż poczuła wyraźnie, że Szymon dotyka jej boku. Zapragnęła połączyć swoje place z jego palcami, szepnąć czułe słowo, podziękować. Jednak nie miała żadnej władzy nad własnym ciałem.

Zranione miejsce objął chłód. Zenobia uświadomiła sobie, że ból ustąpił. Otworzyła oczy. Zobaczyła Schawaada stojącego kilka kroków od niej, przygarbionego, zmęczonego.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd upadła na podłogę. Nic miała ochoty na nic, nawet na to, żeby wstać, dotknąć go, powiedzieć to, czego jeszcze mu nie powiedziała. Usłyszała jego głos, jakby był kimś mówiącym do niej we śnie.

– Leż i nie ruszaj się. Niedługo przyjdzie jeden z braci, pomoże ci wstać i odwiezie cię wozem do pałacu twojego męża. Oszczędzaj się przez kilka najbliższych dni, a rana zablizni się.

Zenobia otworzyła usta, żeby mu podziękować, a może prosić o przebaczenie, że stała się taką, jaką była.

Tymczasem on mówił dalej głosem, który docierał do niej z daleka:

– Nie wracaj tutaj, Despojno z Palmyry. Zrobiłem dla ciebie, co mogłem. Nie oczekuj niczego więcej. Chyba że zapragniesz powierzyć swą duszę naszemu Panu Bogu i prosić go o przebaczenie za grzechy. Jeśli chcesz okazać dobrą wolę, spraw choćby tyle, żeby twój mąż zostawił moich braci w spokoju tutaj w Emesie i wszędzie tam, gdzie sięga jego władza. W Rzymie panuje Cezar

Galienus. Traktuje nas lepiej niż jego ojciec. Ale wy wszyscy – twój mąż, ty i Cezar – mylicie się. Wydaje się wam, że rządzą tym światem. Jesteście jednak tylko barbarzyńcami. Jedyna władza, jedyny król tego świata to nasz Bóg. Wkrótce zapanuje tutaj sprawiedliwość Jego Syna, Chrystusa. Nie zapomnij, Despojno, o tym, co ci mówię. Niesiesz ze sobą kłamstwa i nic ci nie pomogą wszystkie twoje bitwy. Nie jesteś boginią. Jesteś jedynie błądzącą duszą zrodzoną na pustyni i obiecaną pustyni. Twoje usta wymawiają słowa miłości, ale ani twoje serce, ani twój umysł nie pojmują jej sensu.

## RZYM

Nieruchome chmury spurpurowiały w blasku ostatnich promieni, a słońce bardzo powoli chowało się za horyzont z widocznymi na jego tle świątyniami i pałacami Rzymu.

Przepiękny był widok krwawej kuli, ale zarazem drażniący i deprymujący. Dobiegały końca uroczystości święta Kybele, Wielkiej Macierzy Imperium. Z tej okazji Aurelian musiał zabić własnoręcznie byka składanego w ofierze bogini. Przez cały dzień płynęła krew. Przez cały dzień powietrze nad miastem wibrowało od krzyków oraz głośnych błagalnych modlitw biczujących się kapłanów. Wraz ze zmierzchem nastał wreszcie spokój.

Słońce, także napojone krwią, robiło wrażenie, że jest całkiem obojętne na los ludzi, i opuszczało ich na całą noc, by świecić po drugiej stronie świata.

Czy przyczyna leżała w śmierci Julii Kordelii? Czy może wynikało to ze zmęczenia walkami i niepewnością polityczną? A może sprawiły to manewry Puliniusza i pełna hipokryzji gadanina senatu? A może lęk przed dziwnym, narastającym szaleństwem Ulpia?

Nigdy dotąd Aurelian nie czuł się do tego stopnia przybity. A przecież Rzym w ostatnich dniach dawał mu dowody na to, że jest jednym z najbardziej wpływowych



ludzi w imperium. Jednakże fakt ten miał tak niewielkie znaczenie.

Jakże tęsknił do czasów, gdy jego jedynym obowiązkiem była walka na polu bitwy, gdzie liczyło się tylko to, czy zwyciężysz, czy umrzesz, kiedy wystarczyło poddać się woli bogów, składając samego siebie w ofierze.

Ileż to razy przed bitwą oddawał się woli Mitry i Słońca Niezwycięzonego? Ileż to razy czuł ich tchnienie w swoim ciele, w pulsującej w skroniach krwi.

A dziś bogowie milczeli.

Czy powinien przyjąć od Galliena propozycję pokoju? Posłuchać rozsądnych rad Puliniusza? Ustąpić przed szaloną dumą Klodii?

Czy powinien zdecydować się na otwarte wystąpienie, jak tego chciały setki, a może i tysiące jego żołnierzy? Czy odmówić i tym samym narazić się na zarzut słabości, utratę szacunku legionów, poparcia, a może nawet miłości Klodii i oddania Maksymusa?

Nikt i nic nie mogło mu pomóc w dokonaniu wyboru. Nie widział żadnego światła na swojej drodze. Wydał majątek na augurów. Żadna z wróżb, jakie mu przekazywali, nie była jednoznaczna.

Był sam.

Purpurowa poświata słoneczna załamywała się nad cyprysami, murami i świątyniami Awentynu. Przez krótką chwilę czerwony krąg otworzył się nad garbem pagórka Testaceus.<sup>[49]</sup>

Potem było już tylko jedną wielką kroplą krwi. Dzień

skończył się.

Aurelianem wstrząsnął dreszcz. Mimo woli poszukał dłonią rękojeści sztyletu, który miał zawsze pod togą. Również tym razem pierwszy z bogów odpowiedział mu zagadkowym milczeniem.

Choć było to absurdalne, zapragnął ujrzeć na czerwieniącym horyzoncie twarz Julii Kordelii. Ale znalazł tam tylko pierwsze cienie nocy, a ich mrok przypomniał mu szaleństwa Ulpia.

Ostatniej nocy pod pretekstem święta Kybele zażyczyła sobie uprawiać miłość z niewolnicami w błocie, a potem dopiero oddać się jemu.

W poprzednią noc ucharakteryzowała się na fauna, po czym chciała spermą męża wymieszaną z krwią byka wysmarować sobie brzuch.

Gdy Aurelian odmówił, po raz pierwszy doszło między nimi do sprzeczki.

Prawdopodobnie jeszcze teraz wypłakiwała swoje żale przed niewolnicami. Nie ukrywała przed nimi niczego z ich życia intymnego, niczego się nie wstydziła, ignorowała kpiny.

Czy to Rzym sprawił, iż oszalała?

Ta gwałtowna zmiana, jej pozbawione wszelkiego rozsądku zachowanie tak niepokoiły Aureliana, że niekiedy zastanawiał się, czy nie powinien szukać rady u bogów.

Jeśli nawet rad mu udzielali, to nie umiał ich odczytać.

Gdy zgodnie z tradycją składał pocałunek na ustach

matki, oddającej ostatnie tchnienie, Julia Kordelia szepnęła: „Kobieta, mój synu. Kobieta! To ją Wielkie Słońce posyła ci dla twojego triumfu”.

Ale przecież tą kobietą nie mogła być Ulpia. To niewiarygodne! Ulpia, nawet pobudzana swoim szaleństwem, nawet w przedziwnych zachciankach erotycznych, nie miała w sobie żadnej siły. Przywodziła na myśl ptaka, który zabłąkał się nad padlinę i nie wiedział, gdzie usiąść.

A może bogowie wyznaczyli do tego Klodię? Byłoby to już bardziej prawdopodobne. Przecież Julia Kordelia powiedziała mu kiedyś: „Klodia jest jak ja nasieniem bogów, które ma wypełnić twoje przeznaczenie”.

Jej charakter i upór przerażały go. Cokolwiek by jednak zrobiła, nie potrafił wyrzucić jej z serca. Ale była jego siostrą. Bogowie nie mogli wyznaczyć siostry...

– Jesteś zmęczony, braciszku. Powinieneś odpocząć.

Drgnął, zaskoczony. Weszła na taras bezszelestnie, jakby za sprawą jakiegoś czarownika. Jakby jego myśli się zmaterializowały.

Dotknęła ręką jego ramienia, odsunęła grubą tkaninę togi i pocałowała go w kark.

– Miałeś męczące dni. Rzym nie daje ci wytchnąć.

Było jeszcze dosyć światła i dzięki temu mógł widzieć dobrze jej twarz. Czarny zarys powiek, czarne jak węgiel włosy, sznury pereł opasujące kok i spadające na delikatną szyję. Usta bez szminki. Z tym skromnym makijażem była po prostu piękna. I te oczy, tak podobne do jego oczu.

Był jej wdzięczny za tę prostotę. Niespodziewanie obecność Klodii wywołała w nim ulgę, a nie lęk. Miała rację. Był zmęczony.

W ogrodzie wokół domu niewolnicy Puliniusza zapalali pochodnie i lampy. Lada moment zrobi się zupełna noc.

– Zaczyna wiać wiatr – powiedziała czule Klodia. – Znowu będzie chłodno. Nie stójmy na tarasie.

Pociągnęła go na schody prowadzące do pokoi.

Aureliana uderzył spokój w jej głosie. Za bardzo przywykł do ekscesów Ulpii. Podążył za Klodią, wdychając z rozkoszą zapach jej perfum.

\* \* \*

Klodia najwyraźniej wydała odpowiednie rozkazy, zanim podeszła do niego na tarasie. W pokoju stał już piecyk z żarem. Niewolnicy przygotowali wonne olejki, pościel i gorące wino na niskich stolikach. Za kotarą w pokoju służby muzykanci grali na harfie i flecie.

Klodia oświadczyła, że dobrze zrobi mu masaż. Zdjęła z niego togę i kazała mu się położyć na wąskim łóżku. Gdy namaszczała jego plecy oliwą z oliwek z dodatkiem pachnącego tymianku i bergamoty, jej palce zatrzymały się na wypukłościach blizn.

– Dawno cię już nie masowałam – powiedziała z czułością.

Aurelian nie odpowiedział, poddając się przynoszącej

odprężenie pieszczocie. Tak, minęło dużo, bardzo dużo czasu. Tak dużo, iż można było przypuszczać, że się od siebie oddalili. Może zbyt uległ wpływowi Puliniusza i odepchnął Klodię od siebie dalej, niż tego naprawdę chciał?

Czując, jak pod palcami siostry zmniejsza się napięcie w mięśniach i znikają dręczące go obawy, doznał wrażenia, jakby znowu stawał się sobą, odrywając się od zawiłych meandrów polityki starego sekretarza i historii swojej żony.

Klodia, jakby czytając jego myśli, smarując wolno barki brata, powiedziała:

– To moja wina, naprawdę. Chciałam uniknąć wymówek Puliniusza i zazdrości Ulpii. Jeśli chodzi o Ulpie i tak to się na nic zdało. Ta biedaczka tak mnie nienawidzi, że jest to silniejsze od niej.

Aurelian domyślił się, że Klodia zamierza coś jeszcze dodać, ale milczał. Długo masowała jego kark, aż nagle odezwała się:

– Muszę ci coś pokazać.

Poszła po mały płócienny woreczek, leżący na krześle. Wyjęła z niego cienkie, ołowiane blaszki.

Były starannie owinięte na pręcie. Klodia rozłożyła je na płask. Ukazały się dobrze widoczne, wyryte w pośpiechu słowa, a także rysunki i magiczne znaki.

Podąła je z drwiącą miną Aurelianowi.

– Czytaj.

Wziął je do ręki niechętnie. Domyślał się, że nie

zawierały nic przyjemnego.

*O, Kybele, powstrzymaj Klodię, pozbaw jej twarz nadziei i piękna, odbierz jej wszelki wdzięk aż do jej śmierci!*

*Niech Klodia stanie się wstrętną dla mego męża Aureliana, niech ją odrzuci jak śmierdzącą padlinę!*

*Spraw, aby podła Klodia skoła natychmiast i na wieczność, niech wypłynie z niej szpik, niech zgnije jej łono, niech budzi przerażenie we wszystkich, którzy się do niej zbliżają!*

*Niech zaleje ją żółć i żeby Aurelian wymiotował na jej widok, niech się to stanie jak najszybciej i na wieczność, niech jej piersi i macicę objedzą karaluchy i to zaraz, już, teraz!*

Aurelian rzucił blaszki na podłogę, jakby parzyły mu palce.

– Służące znalazły to wczoraj rano pod moim łóżkiem – wyjaśniła Klodia. – Możesz sobie wyobrazić ich przerażenie. – Najwyraźniej bawiło ją to. Podniosła blaszki z podłogi i wrzuciła je do pojemnika z żarem.

Wracając do Aureliana, odpięła agrafę spinającą suknię, która zsunęła się z jej ramion. Pod nią miała tylko wąską opaskę podtrzymującą piersi i opaskę na biodrach. Rozłożyła ręce, by mógł ją lepiej podziwiać.

– Jak widzisz, niezbyt skuteczne okazały się te zaklęcia! – Zaśmiała się w tak dobrze znany mu sposób. –

Nadal żyję i jeszcze nie trawi mnie zgnilizna – zakpiła.

Aurelian odwrócił wzrok. Wystarczyło, że ją zobaczył, a już ogarnęło go pożądanie. Prawdziwe pożądanie, połączone z tkliwością. Pożądanie niepodobne w niczym do nerwowego, zmieszanego z zakłopotaniem podniecenia, jakie wywoływało w nim szaleństwo Ulpia.

Choć wiedział, że to na nic, że Klodia i tak odgadnie, co się z nim dzieje, starał się nie okazać tego po sobie.

– Jej szaleństwo narasta z każdym dniem – westchnął.  
– Patrzę na nią i zaczynam się wstydzić, że jest moją żoną.

Klodia bez słowa zmusiła go, by się znowu położył. Masaż jako pretekst był już niepotrzebny. Pchnęła go na poduszki, przylgnęła biodrem do jego stwardniałego już członka, pocałowała głębokie znamię na ramieniu, zostawione przez żelazny grot Mitry.

– Zasługuje raczej na współczucie niż gniew – powiedziała dość obojętnie. – Prawdę mówiąc to bardziej moja wina niż jej. Sądziłam, że jest silniejsza, że będzie doskonałą żoną dla ciebie. Dałam się zwieść jej niewinności. Podobała mi się...

Urwała z grymasem niezadowolenia na twarzy. Wodziła palcami po wargach Aureliana, nachyliła się i pocałowała go w usta.

– Myślałam, że spodoba ci się ona na tyle, żebyś w siostrze widział tylko siostrę. Bo sam się tego domagałeś.

Kpiła sobie z niego.

Czy przewidziała szaleństwo Ulpia? Czy dlatego ją

wybrała? To było całkiem możliwe.

– Wiesz, jaki jest powód jej szaleństwa?

Nie odpowiedział.

– Nigdy nie będzie miała dziecka.

Aurelian domyślał się tego. Wyjaśniało to obsesyjne zachowania Ulpia.

– Nigdy nie urodzi! Próbowaliśmy wszystkiego, możesz mi wierzyć – mówiła Klodia, nie przestając go pieścić. – W tajemnicy przed tobą, przyznaję. To są sprawy między kobietami...

Ręką sięgnęła pod ręcznik i dotknęła członka Aureliana. Zamknął oczy, czując napięcie w całym ciele. Nie był w stanie oprzeć się szczęściu, jakie dawała mu Klodia. Jak tyle razy w przeszłości!

– August powinien mieć potomka. Musisz mieć syna.

– Nie zaczynaj od nowa! – zaprotestował, nie bardzo wiedząc, przed czym się broni.

– Wkrótce nim zostaniesz. Gallien ustąpi ci miejsca.

– Ależ skąd, przeciwnie...

Zamknęła mu usta kolejnym pocałunkiem. Jednakże, mimo zniewalających go pieszczot, słowa Klodii odsłoniły mu prawdą w całej ostrości. Przecież doskonale wiedział, że już dawno podjął decyzją i tylko obawa przed utratą miłości Klodii nie pozwoliła mu jej o tym powiedzieć. On, *dux maiorum* Lucius Aurelianus, okazał się słaby i lękliwy, gdy w grę wchodziło dobro Rzymu i imperium!

Spojrzał w twarz Klodii, podziwiał jej nabrzmiałe pożądaniem usta.



– Co masz na myśli?

– Że to ja mogę ci urodzić dziecko – odrzekła, nie zrozumiawszy jego pytania. – Można tak zrobić, żeby wszyscy wierzyli, że to dziecko Ulpii. August będzie miał potomka.

A więc to tak, posunęła się aż do tego!

– Nie znieważaj bogów! Co chciałaś powiedzieć w związku z Gallienem?

Niczym niezrażona Klodia próbowała uspokoić go nowymi pieszczotami, ale odtrącił ją ze złością.

– Odpowiedz. Dlaczego Cezar miałby mi ustąpić miejsca?

– Bo nie będzie miał wyboru. Nie martw się o to.

Odepchnął ją tak gwałtownie, że ześliznęła się do jego stóp.

– Nie, tym razem nie zgodzę się na to! Nie zabijesz znowu za moimi plecami.

Spojrzała mu w twarz. Zmierzyli się wzrokiem. Lodowaty błękit tęczówek Aureliana, tak sławiony wśród legionistów i straszny dla barbarzyńców, zderzył się z takim samym błękitem jej oczu, rozpalonych równie silną wolą.

Na twarzy Klodii pojawił się grymas złości. Jej uroda znikła nagle.

Aurelian oparł się pragnieniu, żeby wziąć ją w ramiona i przytulić do piersi. Chciał odnaleźć Klodię taką, jaką była przed chwilą!

Ale nic już nie mogło tego zmienić. Teraz miał przed

sobą jej prawdziwą twarz.

– Nie bądź głupi, Aurelianie. Czy sądzisz, że Gallien będzie miał skrupuły?

– On chce pokoju. Potrzebuje mnie. I ma rację.

Śmiech Klodii odczuł jak policzek.

– Mój biedny bracie! Tylko ty wierzysz w te bzdury! Czy jesteś aż tak naiwny? Z ust Galliena nie wychodzi ani jedno szczere słowo! Kiedy to zrozumiesz? List, który ci przysłał, nie ma żadnego znaczenia! Dziecinada, puste słowa, które przemawiają do tego, kto chce w nie wierzyć.

– Teraz śmiała się już otwarcie, uderzając dłonią w pierś Aureliana. – To podstęp, mój bracie. Prawda, którą ukrywa przed tobą ten stary odrażający Puliniusz, jest taka, że Gallien boi się ciebie! Chce cię związać ze sobą, żeby uczynić bezbronnym. Słuchasz jego kłamstw, a on cię wykorzystuje. Przejrzyj na oczy, chociaż raz! Twój ukochany staruszek ma jeden cel. Chce ciebie odciągnąć ode mnie. Szpieguje mnie...

Przerwała, płonąc nienawiścią. I właśnie ta nienawiść bardziej niż reszta zraziła Aureliana.

Chwycił mocno Klodię, nie bacząc na to, że może zrobić jej krzywdę, może zniszczyć tę jej urodę, którą kochał ponad wszystko.

– Zamilcz, Klodio. Znam Puliniusza i ja decyduję o tym, co znaczą słowa Cezara. Ja i bogowie. Powziąłem decyzję. Jeśli coś przydarzy się Gallienowi, przestanę być twoim bratem.

Zbladła. Opaska stanika zsunęła się, odkrywając całe

piękno kobiecych piersi. Zakryła je rękami w niezwykłym u niej geście zawstydzenia. Cofnęła się z zawziętą miną.

– Już nim nie jesteś! – syknęła przez zęby. – Nasza matka pomyliła się. Nie zostaniesz Augustem. Ja też się myliłam. Od zawsze. Nie masz w sobie żadnej odwagi. Jesteś tak samo tchórzliwy i głupi jak ci starcy, których tak uwielbiasz. – Narzuciła na siebie tunikę. W oczach pojawiły się łzy. – Już nie jesteś moim bratem! Zadowolaj się swoją żoną. Nie zasługujesz na nic lepszego.

Mówiła lodowatym, pełnym pogardy głosem. Opłakiwała nie jego, swojego brata, lecz własne marzenie o władzy.

Gdy zniknęła za kotarą, wzrok Aureliana spoczął na ołowianych blaszkach, które nie zdążyły się jeszcze stopić. W taki to sposób zemścili się bogowie. Zaklęcia Ulpii spełniły się.

Ze straszliwym okrzykiem kopnął nogą i przewrócił pojemnik z żarem.

## EMESA

Aszemu, zarumieniona na twarzy, ze spoconymi włosami na skroniach i rozradowaną miną złożyła noworodka w ramiona Zenobii.

– Chłopiec! Chłopiec, jak chciał Najjaśniejszy Pan!

Ze swą dużą głową podobny był do ojca. Krzyczał głośno, dzielnie, na znak, że żyje, z purpurową buzią pod gęstwiną ciemnych włosów.

– Przynajmniej on wyszedł z brzucha matki gładko i szybko – stwierdziła ucieszona Aszemu, łaskocząc maleństwo pod bródką.

– Dinah wciąż śpi? Już nie krwawi?

– Wszystko w porządku. Nie martw się. Jest silna. Można by powiedzieć, że rodziła już z kilkanaście razy! Poczekaj, nie w ten sposób!

Aszemu wyjęła jej z ręki pieluszkę i zaczęła przewijać dziecko.

– Widzisz, tak się to robi!

Śmiała się, dużo mówiła, była szczęśliwa i odprężona. Prawdę mówiąc, poród odbywał się inaczej niż zwykle. Kiedy Dinah zaczęła odczuwać bóle, Aszemu i Zenobia natychmiast się z nią zamknęły.

Cała odpowiedzialność spoczęła na barkach Aszemu. Zenobia nie chciała dopuszczać do tajemnicy żadnej

akuszerki. Uważała, że to zbyt duże ryzyko. Po pałacu rozeszła się wieść, że Despojna Zenobia wkrótce będzie rodzić. Że ma jej przy tym pomagać niania, której zawdzięczała życie z woli Baalszamina.

Dinah starała się być odważna. Chwyciły ją silne bóle, że aż się skręcała. Wody odeszły z niej dopiero drugiej nocy. Na szczęście dziecko urodziło się szybko i bez kłopotów.

– Czy już powiadomiłaś Najjaśniejszego Pana?

– Zrobiłam tak, jak mi poleciłaś. Przyjdzie zobaczyć syna i Despojnę dziś wieczorem, nie wcześniej.

Aszemu przytuliła noworodka do bujnej piersi. Mały, ukojony jej ciepłem, przestał od razu wrzeszczeć, zamrugał powiekami, zakwilił jeszcze ze dwa razy i zasnął.

Zenobia uśmiechnęła się. Był to jej pierwszy od dawna uśmiech. Aszemu spojrzała jej w oczy. Ogarnięte nagłym smutkiem, nie potrzebowały słów, żeby się zrozumieć.

Zenobia, zapanowawszy nad wzruszeniem, które ścisnęło jej gardło, szepnęła:

– Chodźmy do Dinah.

\* \* \*

– To cud! – powiedziała z przekonaniem Dinah. – Jestem taka szczęśliwa!

Leżały obok siebie z przytulonym do nich dzieckiem. Dinah miała podkrążone z wyczerpania oczy, ale radość rozjaśniała jej twarz. Zanim jeszcze zaczęły się u niej bóle

porodowe, chciała się przekonać, czy od poprzedniego dnia nastąpiła jakaś poprawa w ranie Zenobii. Zobaczyła na jej miejscu już tylko czerwoną bliznę.

– Dziecko się rodzi i rana się zamyka. W tym samym momencie! To cud – powtórzyła. – Po raz pierwszy Jahwe Wiekuisty wysłuchał mojej modlitwy.

– Był już najwyższy czas! – zażartowała Aszemu, zerkając porozumiewawczo na Zenobię. – Ale masz rację, że to cud. Już nie mówiąc o nim.

Zenobia pogłaskała ostrożnie czółko dziecka.

Gdy wróciła z domu chrześcijan, czekała na nią Aszemu, nie szczędząc wymówek. Gdzie się podziewała w takim stanie? Czy chciała umrzeć?

Zenobia jednakże nie słuchała jej i osunęła się ciężko na łóżko. A wieczorem, gdy Aszemu przyszła, aby zmienić opatrunek, zdumienie odebrało jej głos. Rana już nie krwawiła. Poszarpane, ropiejące brzegi zrobiły się czystsze, zdrowsze. Zmniejszyło się rozległe zaczerwienienie.

– Z kim się widziałaś? – zapytała Aszemu.

Zenobia nie odpowiedziała. Nazajutrz nie było już żadnych wątpliwości. Rana nareszcie się zamykała. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie czuła już żadnego bólu.

Aszemu, obwinawszy ranę lekkim bandażem bez leczniczej maści, pokiwała głową.

– Byłaś u tego chrześcijanina, prawda? U tego, który przeżył stos i ma poparzoną twarz. To on...

Nagle umilkła z oczyma utkwionymi w Zenobię. Już

wiedziała. Przypomniała sobie, co mówiła Ofala i czym groziła. Zrozumiała. Schawaad nie umarł. Zmienił tylko imię i stracił swą piękną twarz.

Trwały tak jakiś czas w milczeniu, pogrążone w takich samych ponurych myślach. Potem Egipcjanka otworzyła ramiona. Po raz pierwszy od wielu lat przytuliła Zenobię tak jak kiedyś, gdy była jej piastunką.

Potem sztucznie obojętnym tonem powiedziała, że ten chrześcijanin z dolnego miasta jest bardzo dobrze znany w Emesie, a nawet w pałacu.

– Opowiadają, że swoim oddechem czyni cuda, zwłaszcza pomaga kobietom i dzieciom. Mówią, że jego dłońmi kieruje ich Bóg.

A gdy Zenobia nie odzywała się i nie dodała żadnych wyjaśnień, Aszemu zakończyła:

– Najważniejsze, że ta paskudna rana zabliznia się i że już nie cierpisz.

I rzeczywiście. Ślad po perskim żelazie zniknął, po bólu pozostało już tylko wspomnienie. Jednak inna, nie cielesna rana otworzyła się w niej, by już nigdy się nie zamknąć. Nie odbierała tchu, nie wywoływała gorączki. Ten ból drażył ją uporczywie, atakował niczym skradający się wąż. Wystarczyło tylko jedno słowo, jedna chwila nieuwagi, żeby ścisnął za gardło i pogrążył w rozpacz. Zenobia wiedziała, że na tę chorobę nie ma żadnego leku.

– Jesteś smutna? – zaniepokoiła się Dinah.

– Ach, nie! – skłamała Zenobia. – Nie, przeciwnie, jestem bardzo szczęśliwa.

Chwyliła rękę Dinah, przycisnęła do swoich warg, a potem pogłaskała wypukłe czółko jej synka.

– Najjaśniejszy Pan zamierza dać mu imię swego ojca: Wabalat. Któregoś dnia zostanie królem, a ja chcę zdobyć dla niego ogromne królestwo. Tak wielkie jak Imperium Rzymskie.

Dinah śmiała się razem z nią. Ale Aszemu nie było do śmiechu.

– Mówisz poważnie? Zamierzasz znowu walczyć? Nie masz już dosyć?

Zenobia chciała roześmiać się, zażartować, ale jej głos zadrżał, gdy odpowiedziała:

– Jestem Alath, nianiu. Zbyt często o tym zapominasz. Jedynym przeznaczeniem Alath jest iść na czele wojowników. – Objęła małego, przytuliła jego główkę. – A teraz mam jeszcze jeden powód. Mój syn Wabalat, syn Odenatusa i Zenobii, będzie wielkim władcą dzięki podbojom swoich rodziców.

\* \* \*

To samo powiedziała Najjaśniejszemu Panu, gdy przyszedł ją odwiedzić. Zastał ją w łóżku, obok Dinah, z dzieckiem leżącym na jej piersi. Przybył w towarzystwie Nurbela i kilku służących. Najwyraźniej był zakłopotany i zarazem zachwycony. Wyciągnął rękę, by pogłaskać dziecko po główce, ale przestraszył się grubości własnych palców w porównaniu z delikatnymi policzkami Wabalata.



Z uśmiechem cofnął rękę.

Zenobia oznajmiła:

– Za kilka dni będę mogła włożyć pancerz. Wyprawimy się przeciw Persom, żeby ich przepędzić na drugi brzeg rzeki. Nasz syn musi mieć królestwo większe od tych, jakimi władali królowie Palmyry. Ruszę razem z tobą, mój mężu, żeby wieść o naszych zwycięstwach dotarła aż do Rzymu.

Najjaśniejszy Pan, czerwony ze wzruszenia, pocałował ją w czoło. Był to pierwszy pocałunek, na jaki się odważył i na który mu pozwoliła.

Wabalat spał teraz w ramionach Dinah, która nakarmiła go piersią. Patrząc, na nich, Zenobia uświadomiła sobie nagą prawdę, która z nich jest matką.

Pomyślała, że jak tylko będzie to możliwe, zawiezie małego nad jezioro w oazie Pocałunek Nieba. Poczowała ucisk w gardle. Ból, podstępny niczym wąż, wypełził znowu ze swej nory. Atakował ją, kąsał.

Myśl o jeziorze przypomniwała jej Schawaada, który był teraz chrześcijaninem i nosił imię Szymon.

Przypominała również kłamstwa, którymi tak gardził Szymon.

On dla swego boga był gotów spłonąć na stosie i nie ugiął się przed Rzymianami. Dla niego najważniejsza była prawda, która okazała się silniejsza od płomieni.

Natomiast Zenobia żyła ustawicznie w kłamstwie.

Syn nie był jej synem. Mąż nie był jej mężem. A ją samą urodziła zmarła w czasie porodu kobieta, taka jak

inne, a nie gwiazda Baalszamina, w co wierzyli jej poddani.

Baalszamin już dawno ją opuścił. Od czasu Dura-Europos.

Bogowie wybrali Schawaada. A Szymon wybrał boga jedyne, pragnąc być przez niego kochanym.

Dla niej pozostało już tylko jedno – wykazanie odwagi na polu bitwy, odniesienie zwycięstw, które czyniły z niej Alath, i wojna, która pozwalała zapomnieć o zdeformowanej twarzy Schawaada i pogardzie Szymona.

**Część 3**  
**CZAS ZABÓJCÓW**  
**267–270 r. n.e.**

## ANTIOCHIA

Chłopiec obserwował płynący meandrami Orontes. Widział liczne barki na rzece, która opływała nowe miasto Antiochii. Nie dostrzegał jednak wśród nich żadnego okrętu wojennego ani okrętu królewskiego i towarzyszącego mu hałaśliwego, barwnego orszaku.

Nie widać także było bogatych powozów na wyłożonej marmurem drodze, która dochodziła do rzeki. Tysiące stojących po obu stronach drogi posągów i kolumn tworzyły przedziwną grę cienia i światła. Wozy, zaprzęgi, piesi, pojawiali się i znikali. Byli to jednak tylko kupcy, zwyczajni podróżni lub wieśniacy. Niczym nie wyróżniały się również małe karawany wielbłądów z czerwonymi jukami.

Rozczarowanie chłopca przeszło w gniew. Tupnął nogą, odwrócił się do Dinah i zawołał:

– Obiecała mi! Okłamała mnie! Obiecała, ale nie przyjeżdżają!

Dinah uśmiechnęła się uspakajająco.

– Bądź cierpliwy, kochanie. Przyjadą.

Chciała pogłaskać go po policzku, ale odtrącił ze złością jej rękę. Wyciągnął zza paska maleńki sztylecik. Ostrze nie było dłuższe niż jego dłoń. Prezent od ojca, który napętniał go dumą. Kilkoma zamachami ściał

purpurowe i białe główki dalii w ogrodzie na tyłach pałacu na zboczu wzgórza, z którego roztaczał się przepiękny widok na Antiochię.

Dinah z udaną surowością zgañała go:

– Wabalat! Nie niszczy kwiatów! Twoja mama nie będzie zadowolona.

– Tym gorzej dla niej. Zetnę wszystkie, żeby wiedziała... – Łzy popłynęły obficie po policzkach chłopca.  
– Ty też jesteś niedobra – powiedział drżącym głosem. – Kłamałaś tak samo jak mama.

Dinah przykucnęła, wyjęła mu z ręki sztylecik.

– Uspokój się aniołku, skaleczysz się.

– Nie jestem aniołkiem! Przyrzekłaś, że przyjadą na moje urodziny. To dziś!

– Jest dopiero rano – zaprotestowała łagodnie Dinah. – Daj im czas. Z Tarsu droga jest daleka.

– Nieprawda. Mama nie potrzebuje czasu. Jej koń pędzi szybciej niż inne. Nawet tata nie zawsze może ją dogonić...

– Widać z tego – zaśmiała się Dinah – że mama czeka na niego, żeby mogli przyjechać razem.

Wyprostowała się, trzymając wciąż rączkę chłopca. Zamierzała zaprowadzić go do innej części ogrodu, żeby go czymś zająć. Machinalnie odwróciła się, żeby upewnić się, czy są strażnicy. Jak zawsze pełnili wartę w drzwiach, prowadzących do tej części pałacu, która była zarezerwowana dla kobiet.

Chłopiec wyrywał swoją rękę.

– Wabalat – nalegała – przecież wiesz, że twoi rodzice zawsze dotrzymują obietnic. Przybędą przed końcem dnia.

– Powinni już tu być! Moje urodziny zaczęły się o wschodzie słońca!

Na prawo od siebie Dinah zobaczyła jakiś brązowy cień. Peleryna leżąca między dwoma potężnymi hibiskusami. Pewnie zostawili ją ogrodnicy. Zwróci im zaraz uwagę. Zenobia nie cierpi bałaganu w ogrodzie.

I w tym momencie rozległ się dźwięk rogu.

Trzy długie, niskie tony zapowiadające wjazd Najjaśniejszego Pana i Despojny do pałacu.

– Są!

Chłopiec wyrwał się Dinah. Spróbowała go zatrzymać, ale zaśmiała się, widząc, jak skacze radośnie, wołając:

– Są! Przyjechali do mnie!

Kątem oka ujrzała, że ta peleryna podnosi się. Że przybiera kształt człowieka. Wojownika z twarzą okoloną czarną brodą, z otwartymi bezzębnymi ustami. Przeszła jej przez głowę myśl, że jest to twarz wróżąca nieszczęście.

Zanim jeszcze pojęła do końca, o co chodzi, zawołała chłopca po imieniu.

Zobaczyła, że ten wojownik trzyma krótki łuk. Dostrzegła strzałę na cięciwie, stalowy grot wycelowany w pierś chłopca. Krzyknęła drugi raz:

– Wabalat!

Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, pobiegła. Biegła, jak mogła najszybciej, płacząc się w fałdach tuniki,

walcząc z woalkami, nie zważając na ciężar naszyjników i bransoletek.

Spadła na chłopca niczym olbrzymi ptak. Wiedziała, że strzała jest już w drodze. Pomyślała o królewskiej krwi, o wspaniałej przyszłości czekającej jej ukochanego synka.

Oboje upadli na ziemię.

Zakryła chłopca własnym ciałem i wtedy poczuła straszliwy ból w plecach.

Natychmiast pojęła, że już nigdy nie wstanie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Grunt, że żył jej synek.

– Wabalat!

Wabalat przerażony próbował się wyswobodzić. Starczyło mu siły, żeby ją odwrócić. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Wytrzeszczając oczy, z trudem oddychała.

– Nie!

Zobaczyła stopy zbliżającego się zabójcy.

Nie! Nie pozwoli na to! Złapała chłopca za nogę. Krzycząc niczym zwierzę, wcisnęła go pod siebie. Stała się dla niego tarczą i pancerzem. Zawyla głośno, gdy miecz zabójcy odcinał jej głowę.

\* \* \*

– Wabalat!

Zenobia, wykrzykując imię syna, zrzuciła z siebie strojną tunikę, by móc szybciej biec.

Dojrzała krew na broni strażników. Krew na ich pancerzach, przerażone spojrzenia, otwarte w poczuciu

bezsilności usta.

– Wabalat!

Chłopiec leżał skulony pod ciałem Dinah, której ręce nadal go obejmowały. Nie mógł oderwać oczu od wpatrzonej w niego twarzy. Głowa Dinah potoczyła się kilka kroków dalej. Patrzyła na niego z dziwnym grymasem, z policzkiem podrapanym przez kamienie.

Cały był zakrwawiony. Wstrząsał nim cichy płacz. Widział nogi zabójcy, którego miecze strażników przygwoździły do ziemi, leżącego tuż obok Dinah.

– Synku!

Zenobia wyrwała go z rąk zmarłej Dinah i podniosła, wołając z ulgą:

– Synku, żyjesz!

Chłopiec wyrywał się jej. Chciał jeszcze raz ujrzeć twarz martwej Dinah. Chciał, żeby nieruchome oczy ciotki przestały patrzeć w pył zmieszany z krwią i zwróciły się ku niemu.

Zenobia zasłoniła mu oczy, przytulając go do swej piersi.

– Jestem z tobą, Wabalat. Już tu jestem, synku.

Wtedy objął ją za szyję. Rozpłakał się, tłumiąc szloch.

U wejścia do ogrodu pojawiła się Aszemu. Biegła z podniesionymi do góry rękami. Za nią nadbiegł poblady adiutant Nurbela.

– Despojna! Despojna... Najjaśniejszy Pan!  
Najjaśniejszy Pan!



\* \* \*

Nurbel płakał.

Płakał bezgłośnie, klęcząc, z głową Dostojnego Odenatusa w ramionach. Jego łzy mieszały się z krwią tryskającą z poderżniętego gardła ukochanego króla. Nie podniósł oczu, gdy Zenobia wbiegła do pokoju. Dopiero kiedy padła na kolana przy zwłokach Najjaśniejszego Pana, Nurbel dostrzegł jej twarz, zakrwawioną i rozdartą tunikę.

– Ty też? – zapytał ochryple.

– Nie, nic mi nie jest...

– Chłopiec?

– Wabalat żyje. Dinah zginęła w jego obronie.

Zenobia ujęła dłonie Najjaśniejszego Pana. To dziwne, ale wydawał się teraz mniejszy i piękniejszy niż za życia. Ukryła twarz w jego martwych dłoniach.

– Mój mężu!

Gorące łzy zalały gardło Zenobii. Pragnęła wypowiedzieć na głos słowa miłości. Przyznać się do uczucia, jakim od dawna go obdarzała, choć nigdy się z tym nie zdradziła.

A przecież wierzył jej od pierwszego do ostatniego słowa! Nigdy nie miał do niej o nic żalu. Uczynił ją sobie równą.

Położyła się na nim tak, jak nigdy tego nie chciała zrobić, całowała, obejmowała z miłością, której zawsze mu odmawiała.

– O, mój ukochany mężu! – jęczała, dotykając czołem krwawiącej rany na jego szyi. – Wspaniały, czuły, kochałeś mnie bardziej niż ja samą siebie! Kochałeś mnie, nawet będąc z Dinah!

Bogowie zabrali kochanków. Ale zostawili ją by mogła dokonać zemsty.

Wokół nich zgromadził się już tłum. Donośnym głosem, który mogli słyszeć wszyscy, oświadczyła:

– Twój syn, Najjaśniejszy Panie, będzie najpotężniejszym władcą. Twoja śmierć, Dostojny Odenatusie, doda mu mocy. Przysięgam na twoją krew, która płynie tak jak łzy po mojej twarzy, że twoje imię będzie wspominane przez wieki.

Chwyliła rękę Nurbela, a gdy pomagał jej wstać, zobaczyła ujętych przez strażników zabójców.

Byli to wojownicy Palmyry przebrani za kupców. Choć jeden z nich miał twarz zasłoniętą do połowy, Zenobia zamarła ze zgrozy.

– Hayran! Mogłam się tego spodziewać!

– Pokonałem cię, dziewczyno pustyni! – zarechotał Hayran. – Zabiłaś moją ciotkę, zabiłaś moich przyjaciół! To najpiękniejszy dzień w moim życiu!

– Już w chwili, gdy pozwoliłem temu psu opuścić Palmyrę, wiedziałem, że sprowadzi nieszczęście. Mówiłem to Najjaśniejszemu Panu. Nie powinniśmy byli darować mu życia – rzekł z gniewem Nurbel.

– Ale teraz koniec z nim. Nie będzie dłużej żył! – syknęła Zenobia.

Zabrała miecz jednemu ze strażników. Już wznosiła ostrze nad głową Hayrana, gdy Nurbel przytrzymał jej rękę.

– Nie, Despojno...

Zenobia wyrywała się, jakby nie słysząc jego słów. Nurbel chwycił mocno jej rękę, zmuszając w ten sposób, by na niego spojrzała.

– Najjaśniejszy Pan zginął z mojej winy, Zenobio. Powinienem być lepiej nad nim czuwać. I dlatego to ja odeślę jego syna do krainy demonów.

Zawahala się. Wściekłość i smutek Nurbela były odbiciem takich samych uczuć, które przepęłniały jej serce.

– Nigdy cię o nic nie prosiłem, królowo Palmyry – powiedział cicho. – Wiesz, że jestem ci bez reszty oddany. Dziś jednak zrób mi tę łaskę.

Zamrugła powiekami. Nurbel zwolnił uścisk. Ręka Zenobii opadła. Ostrze miecza odcięło dolną część twarzy Hayrana. Wyjąc z bólu, osunął się na ziemię.

Zenobia rzuciła miecz do stóp Nurbela.

– Jest twój.

\* \* \*

Tej nocy w Antiochii pogasły wszystkie światła, zakazano wszelkich świąt i przyjemności. Płonęły jedynie ognie na ołtarzach w świątyniach, do których napływały tłumy ludzi płaczących i składających ofiary.

W ciemnościach wszyscy słyszeli wycie Hayrana,

wyrodnego syna, zabójcy swego ojca. Nurbel, nie spiesząc się, rozciął mu pierś, łamiąc po kolei wszystkie kości. Chciał, żeby każdy ujrzał ociekające krwią, pulsujące wciąż serce zdrajcy.

Potem zawleczono mordercę przed Wielki Cyrk. Tam wbito go na pal, który przeszył jego ciało aż do ramion.

Całe miasto przybyło, żeby go opluć, ciskać w jego rany kamienie i ziemię. Dopiero z pierwszymi promieniami słońca bogowie zgodzili się otworzyć przed nim drzwi piekła.

**SINGIDUNUM, DUNAJ**

Stojąc na murze małego fortu, Aurelian spoglądał na Dunaj. Tutaj, dwadzieścia siedem lat temu z trzema setkami legionistów jednej kohorty rozbił doszczętnie sarmackich barbarzyńców.

Dziś roztaczało się przed nim całe miasto w szerokim zakolu rzeki, gdzie tamtego dnia prąd unosił trupy i płonące tratwy. Ogromna jak dawniej rzeka toczyła tak samo ciężkie, szare wody. Teraz jednakże w głąb rzeki wciskały się portowe mola, przy których zakotwiczone były duże łodzie handlowe. Mury obronne wojskowego obozu sięgały daleko w pola, z których przybyli sarmaccy wojownicy, żeby znaleźć tu śmierć.

Dwadzieścia siedem lat! Aurelian jeszcze pamiętał wycie barbarzyńców ogarniętych płomieniami. W uszach brzmiał mu jeszcze zwycięski śpiew legionów, które po raz pierwszy sławiły jego imię.

Dwadzieścia siedem lat!

Dziś wszystko było inne i zarazem przerażająco takie same. Singidunum stało się miastem. Od dziesięciu lat do portu przybijało mniej statków. Ostatnio jednak, od kilku miesięcy, ich liczba coraz bardziej malała. Wszyscy przewoźnicy, z Mezji i Germanii, znowu obawiali się najazdów barbarzyńców.

Pokonani już ze dwadzieścia razy wrogowie Rzymu, Goci i Alamanowie, Roksolanie i Jazygowie, wciąż się odradzali. Różnili się językami, bronią, ale łączyła ich nienasycona żądza pokonania imperium. A on wracał wciąż do tych samych obozowisk, na te same tereny, by dodać odwagi legionom. Musiał toczyć wciąż takie same bitwy. Zwycięzać i znowu zwyciężać, lecz zwycięstwa te osłabiały wrogów nie na długo.

I nie widać było temu końca. Jedynie Rzym tracił coraz więcej sił, niczym bardzo długo ścigane zwierzę.

Czy obojętność bogów może być jeszcze większa?

Aurelian z goryczą w sercu spoglądał na zalewaną deszczem rzekę, jakby widział płynącą nią krew wycieńczonego Rzymu.

Coraz gęstsza mgła okrywała daleki, przeciwległy brzeg. Ponownie przypomniawszy sobie ranek bitwy z Sarmatami, kiedy mgła przesłoniła wszystko. Aurelian wyrzucał sobie swój pesymizm.

Wtedy również, czekając, aż Sarmaci wypłyną tratwami, zwątpił w pomoc Mitry i Słońca Niezwycięzonego. Bogowie jednak nie opuścili go. Ani wtedy, ani w setkach bitew, które musiał stoczyć.

– Wodzu...

Słyszając głos trybuna, odwrócił się.

– Wodzu, zbliża się powóz Puliniusza. Jego straż przednia wjechała już przez bramę.

Aurelian poczuł to samo zniecierpliwienie, jak trzy dni wcześniej, gdy otrzymał wiadomość o wizycie sekretarza.

Usunęło ono melancholijny nastrój spowodowany pogodą. Jeśli pierwszy sekretarz senatu, którym nadal był Puliniusz mimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, wyrusza do odległych terenów naddunajskich, żeby się z nim spotkać, może to być znak, iż Rzym pragnie wyrwać go z tego marazmu.

\* \* \*

W ciągu sześciu lat, kiedy się nie widzieli, Puliniusz stracił resztki włosów i zęby. Nie ruszał się bez podwójnej skórzanej peruki, ciężkiej od zdobiących ją honorowych malutkich tarcz. Na jednej z nich widniał profil Augusta Waleriana, który, jak głosiły plotki, wciąż żył w Persji.

Aureliana wzruszył widok starca, jeszcze mizerniejszego i jeszcze słabszego. Miał żółtą, woskową cerę i pożółkłą skórę na rękach. To cud, że w ogóle mógł się ruszać. Najczęściej przenoszono go z jednego krzesła na drugie. Ale jego wzrok nie stracił nic z ironii i przenikliwości.

Burcząc na niewolników, którzy podnosili go z ogromnego stosu poduszek wyściełających powóz, odgadł, o czym myśli Aurelian. Zaśmiał się skrzypiącym głosem.

– Wiem, wiem, mój chłopcze, nie mam najlepszej miny. I to nic tylko z powodu męczącej podróży. Ale przynajmniej dobrze, że oszczędziła mnie dżuma.

Kiedy niewolnicy sadzali go z wielką ostrożnością na

składanym krześle, przytrzymał rękę Aureliana.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, wodzu, co się dzieje. Dżuma rozeszła się wszędzie! Przez sześć dni podróży nie podniosłem plandeki mojego powozu! – Przerwał na moment i znowu roześmiał się chrypliwie. – Nie bój się. Nie od tego umrę. Wystarczy starość! – Końcem laski uderzył najbliższego niewolnika po plecach, jakby dając dowód swojej energii. – Czy masz ciepły pokój, Aurelianie? Marzę o tym. To chyba już koniec lata i strasznie marznę... Pokój z kominkiem. Oto, czego pragnę. Dużo żaru w palenisku! Żebym zapomniał o tym ohydny deszczu.

Później, kiedy jego życzenie zostało spełnione, kiedy wypił miseczkę mleka z rozbitymi w nim jajkami, przymknął oczy, a z jego starczych ust wydobyło się westchnienie ulgi.

– Teraz, mój chłopcze, pozwól mi pospać parę godzin. Potem porozmawiamy. Wiem, że się niecierpliwisz i że chciałbyś jak najszybciej usłyszeć, co mam ci do powiedzenia. Obiecuję, że nie umrę w czasie snu.

\* \* \*

Wezwał do siebie Aureliana w środku nocy, gdy całe obozowisko pogrążone było we śnie.

Przykryty futrami na łóżku z nogami byka obrzucił Aureliana uważnym spojrzeniem i stwierdził:

– Ty, mój chłopcze, także nie masz najlepszej miny.



Ale ty nie możesz tłumaczyć tego wiekiem.

– Rzadko mam powody do radości, pierwszy sekretarzu. Mam nadzieję, że twoje przybycie stanie się jednym z nich.

Puliniusz przyjrzał się mu bacznie, zanim odrzekł:

– Co do reszty, to wcale się nie zmieniłeś. Przede wszystkim jesteś zawsze żołnierzem. Zdasz prosto do celu! – Wysunąwszy spod futer chudą rękę, wskazał na ściany pokoju. – Czy możemy tu swobodnie rozmawiać?

– Jesteśmy sami. Wszyscy w obozie śpią.

– Ale te ściany?

– Są z kamienia, Puliniuszu.

– Kamień bywa niekiedy porowaty, Aurelianie. Mógłby z tego skorzystać ten, którego znasz. – Widząc zdziwioną minę Aureliana, Puliniusz pokiwał głową: – Nie traktuj mnie jak starego idiotę! Obaj wiemy, o kim mówię. Jak sądzisz, w jakim celu, będąc w moim stanie, przebyłem tyle mil? – Zdecydowanym ruchem podbródka pokazał na drzwi. – Upewnij się, że znasz wartowników, którzy są na korytarzu.

Kiedy Aurelian wydał już odpowiednie rozkazy i sam wyznaczył wartowników, Puliniusz, spojrzawszy na niego uważnie, zapytał z odrobiną niepewności w głosie:

– Już się na mnie nie gniewasz, *dux maiorum* Lucjuszu Aurelianie?

– Nigdy się na ciebie nie gniewałem, pierwszy sekretarzu.

– No, no! Ale tak wyglądało! Nie zapomniałem, że

opuściłeś mój dom i Rzym bez słowa podziękowania i bez pożegnania... Niczym rozwścieczony demon.

– Nie miałem już nic do roboty w Rzymie. Przecież napisałem do ciebie list z podziękowaniami.

– Bardzo krótki list. A potem już żadnego.

– O niczym nie zapomniałem, pierwszy sekretarzu. Ani o tym, jak pomogłeś mojej matce, ani o twoich radach. Prosiłeś, bym ustąpił Cezarowi i ustąpiłem. Nie było najmniejszej potrzeby, żebym robił to publicznie na forum. Tutaj zaś miałem dużo zajęć.

Puliniusz skinął głową potakująco i odsłaniając bezzębne zęby, rzekł:

– Rozumiem. Zdaję sobie sprawę, jak musiała cierpieć twoja duma. I ile cię to kosztowało. Wierz mi, chłopcze, że bardzo było mi przykro z powodu twojej sprzeczki z siostrą. I z twoim legatem. Cierpiałem, widząc, jak się ranicie...

Wzrok Aureliana zniechęcił go do kontynuowania tego tematu. Jego głowa w skórzanej czapce lekko się zakołysała. Pomachał chudą ręką, jakby rozganiał uparty dym.

– No tak, co było, to było. Masz rację. Zapomnijmy o tym. Ważne jest to, że ja się nie zmieniłem. Wprawdzie przez te wszystkie lata nie pokazywałeś się w senacie, ale wspominałem twoje imię za każdym razem, gdy tylko otwierałem usta... – Urwał z lękiem w oczach. Palcem wskazał na drzwi. – Jesteś pewien?

– Raczej tak.

– To za mało!

Puliniusz znowu nadstawił uszu, wzruszył ramionami.

– Zważ na to, że dziś mówię nie tylko w swoim imieniu, *dux maiorum*. Za moim pośrednictwem przemawiają do ciebie Klaudiusz, Probus, Karus i Diokles. Ludzie równi ci rangą w legionach. A ze strony senatu serdecznie cię pozdrawiają Flawiusz, Antiochanus, Pomponiusz Bassus i Wiriusz Ofritusz. – Mówił już spokojniej i pewniej, z wyrazem lekkiej ironii w starczych źrenicach. – Nie ma ich tu, ale wiesz dlaczego. Ja jestem, bo mnie nie przeraża już śmierć... Krótko mówiąc, mój chłopcze, nadszedł twój czas. Nie możemy już dłużej żyć w chaosie, w jakim pogrąża nas Gallien. Usuwa wszystkich, którzy nie starają mu się przypodobać. Senat nie ma już żadnego znaczenia. Gallien nie słucha już nikogo. A tymczasem niebezpieczeństwo czyha zewsząd. Burzą się Gallowie, Iberowie, Afrykanie! Obwołują cesarzami ludzi, którzy dzień wcześniej sprzedawali figi lub zapijali się piwem. W całym kraju szerzy się bieda i dzuma. Denar nie zawiera dziś już w ogóle srebra, jak to było jeszcze pięć lat temu. A teraz Gallien przygotował nam jeszcze jeden prezent: śledzenie wszystkich i wszystkiego. Chce zaglądać nawet do naszych latryn, by sprawdzić, czy nie ukrywamy tam pieniędzy i czy nic spiskujemy przeciw niemu. Już pora, Aurelianie. Potrzebny nam nowy Augustus. Tylko jeden człowiek może uratować Rzym. I to ty nim jesteś.

Aurelian, słuchając Puliniusza, chodził po pokoju. Tak

więc zostało to w końcu powiedziane!

Mimo zalewającej go fali gorąca, usiłował zachować spokój.

– W tym, co mi mówisz, pierwszy sekretarzu, nie ma nic nowego. Uzgodniliśmy kiedyś, że nie wystąpię przeciw Gallienowi i imperium. Nic się nie zmieniło. Zwracając nasze legiony przeciw Gallienowi, odsłonimy barbarzyńcom granice imperium.

– Skończ już z tym – przerwał mu niecierpliwie Puliniusz. – Przyprawiasz mnie o zawrót głowy. – Nieważne, co było! Właśnie dlatego zdecydowałem się na tę podróż. Gdy opuszczałem Rzym, Gallien szykował się do oglądania na forum jeńców perskich maszerujących w jego pochodzie triumfalnym. Król Palmyry i jego żona – pamiętasz, ta wojowniczką w czerwonym pancerzu? – pokonali Szapura. Tak jak się spodziewano, było to piękne, wspaniałe zwycięstwo. Nisibis, Carrhae, Tars, Ktesifon, Babilon... Odenatus i Zenobia zajęli wszystko w swym marszu od Kapadocji do Eufratu. Podobno w Ktesifonie dokonali rzezi. Bogowie im sprzyjali. A więc sprzyjali także nam! Bo Odenatus, mimo tych zwycięstw, pozostaje nam wiemy. Jest to okoliczność tak samo szczęśliwa, co rzadka. A królowa Palmyry jest tam uwielbiana niczym Diana, Wenus i Junona razem wzięte przez wszystkich, którzy władają mieczem... – Puliniusz odetchnął. Spojrzał ponownie ukradkiem w stronę drzwi, ale mówił dalej: – W każdym razie Gallien miał na tyle rozsądku, że uhonorował Odenatusa szumnym tytułem Wielki Zbawca

i Odnowiciel Wschodu. Czy coś w tym rodzaju. Oddał mu też władzę nad tymi terenami. Przynajmniej tam unikniemy jeszcze jednego fałszywego Augustusa... Najważniejsze jest to, że nie ma już obawy, że imperium załamie się na Wschodzie.

– Cieszę się z tego, ale tutaj, nad Dunajem, a także w górze Renu, sytuacja jest inna.

– Gdybyś mi ciągle nie przerywał, dostrzegłbyś coś nowego w tym, co ci przynoszę. Nie żądamy od ciebie, abyś zwrócił legiony przeciw Gallienowi. Nie chodzi o to, żebyś przy tej okazji odsłaniał granice, jak mówiłeś. – Puliniusz umilkł. Dał Aurelianowi czas na zastanowienie się nad tym, co już usłyszał, zanim dokończył: – Chodzi o to, abyś własnoręcznie położył kres rządowi Cezara.

\* \* \*

A więc tego chcieli. Żeby zabił Galliena.

Tego samego chciała Klodia. A on, nie godząc się na to morderstwo, odpędził od siebie Klodię, skazał się na samotność, podczas gdy Ulpia w Rzymie nadal trwała w swoim szaleństwie.

– Poprzemy cię – powiedział cicho Puliniusz. – I nie tylko w słowach. Oni wszyscy przysięgli przed Mitrą, że staną u twojego boku.

Aurelian nie odpowiedział. Puliniusz podniósł kubek.

– Daj mi coś do picia. Zaszło mi w ustach od mówienia.

Aurelian napełnił kubek gorącym winem z miodem.

– Augustus Walerian nie umarł – rzekł. – Dopóki żyje Walerian, Rzym nie będzie miał innego Augusta.

– Kto to wie, czy on jeszcze żyje – zirytował się Puliniusz, rozlewając trochę wina. Po chwili, jakby powodowany wyrzutami sumienia, dotknął na czapce medalionu z wizerunkiem Waleriana. – Biedny człowiek – szepnął. – Podnózek dla Szapura. W jego wieku! Straszne! Oczywiście, że nie żyje! Kto by to był w stanie znieść? Nie myśl o tym. Senat zajmie się tą sprawą. Prawo odbierające władzę Augustowi Walerianowi jest już od dawna przygotowane. Nasi przyjaciele zgodzą się je przegłosować ku wielkiej radości Cezara.

Aurelian przypatrywał się Puliniuszowi.

– Potrzebuję kilku dni na zastanowienie się. Wiesz, że nienawidzę zabójców. Jestem żołnierzem, Puliniuszu. Walczę szlachetnymi metodami z wrogiem.

– Gallien pragnął twojej śmierci. Zapomniałeś o tym?

– Ale ja nigdy nie pragnąłem jego śmierci.

– Wiem – westchnął Puliniusz. – O tak, wiem! Czekasz, żeby bogowie załatwili tę sprawę za ciebie.

Aurelian dziwnie się uśmiechnął.

– Czy pomyślałeś kiedyś o tym, Puliniuszu, że od czasów Trajana ci, którzy zostali cesarzami drogą morderstwa, sami również ginęli zamordowani? Może bogowie nie lubią tego rodzaju zabójstw? Śmierć na polu bitwy w obronie Rzymu jest zaszczytem, ale nie ma nic chwalebniejszego w śmierci zadanej przez zdrajcę.

Zmieszany Puliniusz patrzył na niego, zaciskając wargi.

– Uprzedziłem ich. Powiedziałem im, że Lucjusz Aurelianus ma taki charakter, że trzeba go przekonywać nawet do tego, czego najbardziej pragnie! Jeśli chcesz, zastanów się, *dux maiorum*. Lecz nie za długo. Dam ci jednak dobrą radę. Wezwij do siebie, mój chłopcze, tych, którzy cię kochają. Twoją siostrę Klodię i twego przyjaciela Maksymusa. Wiem, że się już na nich nie gniewasz.

Aurelian zeszywniał. Nie odpowiedział. Puliniusz pokiwał starczą głową.

– Domyślam się z twojej miny, że uważasz, iż wtrącam się w nie swoje sprawy. Masz oczywiście rację. Jestem strasznie wścibski, ale też bardzo stary. Tak blisko mi do śmierci, że twoja ponura mina nie robi na mnie wrażenia. Posłuchaj mojej rady. Pogódź się z Klodią i prefektem Maksymusem. A także z twoją nieszczęsną żoną Ulpią. Nie musisz już trzymać jej z dala od siebie. Tamta obsesja minęła, gdy została sama w Rzymie. Widziałem ją przed wyjazdem. Odbyliśmy bardzo miłą pogawędką. W jej zachowaniu i słowach nie ma ani śladu szaleństwa. Przeciwnie. Nie osłabło też jej uczucie do ciebie. Gdybym nie bał się o nią z powodu dżumy i niewygód podróży, zabrałbym ją tutaj ze sobą. Augustus powinien mieć przy sobie żonę. Nawet jeśli nie może ona urodzić dziecka. – Widząc, że Aurelian bez odpowiedzi odwraca się i idzie do drzwi, Puliniusz szybko dodał: –

Poczekaj! Nie odchodź. Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć...

Staremu sekretarzowi jakby nagle zabrakło słów, choć nigdy nie miał z tym trudności. Zmieszany opuścił wzrok.

– Czy mogę cię prosić o jedną łaskę, chłopcze?

– Twoje rady są na tyle cenne, że chętnie coś dla ciebie zrobię. Aurelian nie ukrywał ani ironii, ani chłodu w swoim głosie. Puliniusz nie zwracał na to uwagi.

– Nie chcę wracać do Rzymu. Mój dom jest piękny, ale umrę tam otoczony niewolnikami i bombardowany prośbami natrętnych petentów. Byłby to straszny koniec, nie uważasz? Nie mieć przy sobie nikogo, kto cię kocha... Tutaj, przy tobie, czuję się, jakbym miał syna.

Aurelian zawahał się. Czy Puliniusz mówił szczerze, czy też była to kolejna próba omamienia go? Widząc zaniepokojoną niepewną minę tego słabego starca czekającego na jego decyzję, poczuł wzruszenie.

– Możesz zostać przy mnie, jak długo zechcesz, Puliniuszu. Nie zapomniałem, co zrobiłeś dla mojej matki.

– Och, przekonasz się – odrzekł Puliniusz z żartobliwym westchnieniem ulgi – że nie potrwa to długo. Gdy tylko zostaniesz Augustem, odejdę ze szczęściem w sercu.

## 21

### ANTIOCHIA



Chłopcem wstrząsnął dreszcz, jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach. Zenobia całowała go w czółko i przytulała mocno do siebie. Znowu powtórzył pytanie, do którego wracał od poprzedniego dnia:

– To ja już ich więcej nie zobaczę?

Zenobia za każdym razem, tuląc go, odpowiadała:

– Ależ tak, synku, zobaczysz ich. Przyjdą cię odwiedzić we śnie, kiedy będziesz smutny, kiedy będziesz bardzo za nimi tęsknił. Ci, którzy odchodzą do krainy bogów, duchem pozostają z nami.

Chłopiec czasami dodawał drugie pytanie:

– Ty także ich zobaczysz?

– Oczywiście – odpowiadała Zenobia ze ściśniętym gardłem. – Ja też będę ich widywać.

Tego ranka Wabalat zauważył zmianę w jej zachowaniu. Popatrzył na Zenobię z niepokojem.

– Jesteś już dużym chłopcem. Jesteś księciem – wyjaśniła mu. – Książęta nie pytają wciąż o to samo. Nie myślą cały czas o swoim smutku.

Chłopiec zagryzł wargi. Odwrócił się nachmurzony, bliski łez.

– Dziś jest wielki dzień – podjęła Zenobia tym samym tonem. – Książę Wabalat przyjmie tych, którzy przybyli zobaczyć Najjaśniejszego Pana. Musisz dowieść swojej odwagi. Pokazać im, że potrafisz być równie wielki i mądry jak twój ojciec.

Chłopiec stał odwrócony, napięty, z piąstkami zaciśniętymi na brzuchu. Zenobia zdawała sobie sprawę, że jej słowa zadały mu ból. Pogłaskała czule jego włosy, kędzierzawe i sztywne jak u ojca, których nigdy tak nie pieściła.

– Uczynię z ciebie króla. Najpotężniejszego wśród królów. Tak wielkiego jak cesarz Rzymu. Tego pragnął twój ojciec, Najjaśniejszy Pan. I ja mu to obiecałam. Wkroczysz do Rzymu w triumfie. Przysięgam ci. Wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic.

Chłopiec zapatrzył się ponad dachy Antiochii. Między okalającymi taras kolumnami z różowego marmuru widać było migotliwą wodę Orontesu.

– Nieprawda – rzekł ze złością. – Nie dotrzymujesz obietnic. Mówiłaś, że obudzisz mnie w dzień moich urodzin. I nie zrobiłaś tego. Gdybyś dotrzymała tej obietnicy, mój ojciec i ciocia Dinah nie byłiby teraz z bogami. Mógłbym ich widywać, kiedy tylko bym chciał.

Zenobia skamieniała. Ani razu od dnia zabójstw nie pozwoliła sobie na łzy. Teraz paliły ją pod powiekami.

Dlaczego w wymówkach dziecka słyszała głos Szymona?

– Masz rację – odrzekła po dłuższym milczeniu. – Zawiniłam. Ale uwierz mi. Dotrzymam tej obietnicy. Pewnego dnia wkroczysz do Rzymu i wszyscy będą głośno krzyczyć: „To Wabalat, syn Zenobii, najpotężniejszy z królów!”.

Stali jakiś czas bez słowa.

Dobiegały tutaj różne dźwięki z zewnątrz. Skrzypienie wozów, stukot końskich kopyt, szepty służących, popiskiwanie krążących w górze jaskółek.

Chłopiec odwrócił się do Zenobii, objął ją w pasie, przytulił główkę do jej piersi.

– Nie zależy mi na tytule Króla Królów. Chcę być taki jak ty. Chcę być wielkim wojownikiem, który budzi postrach i wygrywa wszystkie bitwy.

\* \* \*

Mężczyzna ubrany w grecką togę z obfitymi fałdami był przystojny. Miał też doskonałą sylwetkę dzięki sportom uprawianym w termach. Jego pociągła twarz zachowała jeszcze ślady młodości, mimo zupełnie siwych włosów, z którymi wyglądał na mędrca. Zenobii spodobały się również jego ręce. Smukłe, zadbane dłonie, nienawykłe do broni ani do pracy fizycznej. Dłonie uczonego, dłonie człowieka posługującego się słowami. Spojrzenie ciemnobrązowych oczu robiło wrażenie szczerego.

Skłonił się najpierw przed nią, a następnie przed Wabalatem. W tym ukłonie była nawet pewna bezceremonialność. Miał to być ukłon pełen szacunku bez śladu służalczości.

– Bardzo mi przykro, królowo – rzekł w języku mieszkańców Antiochii. – Przykro, że oddaję ci hołd w takich smutnych okolicznościach. Byłbym wielce szczęśliwy widząc u twego boku Najjaśniejszego Pana.

Pragnął moich usług i dlatego opuściłem Ateny.

– Śmierć Najjaśniejszego Pana okrywa żałobą nasze serca – odrzekła Zenobia po grecku stosownym do sytuacji tonem. – Jednak niczego ona nie zmienia, mistrzu Longinusię.<sup>[49]</sup> Książę Wabalat osiągnął wiek, w którym musi nauczyć się, jak zostać mężczyzną i królem. Mój mąż pragnął, abyś przekazał mu swą mądrość i wiedzę. Czytałam kilka twoich książek o estetyce i władzy. Chciałabym, abyś zrobił z mego syna władcę, który budzi szacunek i miłość. Będzie zaszczytem dla Palmyry, jeśli przyjmiesz tę propozycję.

Longinus zarumienił się z lekka i ożywił, może dlatego, że poczuł się pochlebiony, a może zareagował tak na dźwięk swego ojczystego języka. Spojrzał na sześciolatniego chłopca w zbyt dużej dla niego tunice, z pasem szerszym niż jego pierś, który taksował go wzrokiem pełnym królewskiej wyniosłości. Nie wydawał się zachwycony widokiem Longinusa.

W innych okolicznościach Zenobia ironicznie by się uśmiechnęła. Teraz jednak, patrząc na twarz greckiego uczonego, doznała niezwykłego wrażenia. Było to uczucie spokoju i ufności, których tak bardzo brakowało jej w ostatnich dniach.

Greki bez trudu odgadł jej myśli.

– Mogę udzielać nauk księciu Wabalatowi i chętnie to uczynię, królowo, ale dopiero za kilka lat. Wybacz, królowo, lecz wydaje mi się, że teraz bardziej przydam się tobie niż twojemu synowi.

Wzrok Zenobii stał się zimny i ostry.

– Co masz na myśli?

– To na twoich barkach, królowo Zenobio, spoczywa w tej chwili ciężar władzy, a nie barkach syna.

Longinus zatoczył ręką, pokazując na komnatę, w której go przyjmowała, jakby był to cały świat.

– Jesteś królową i boginią Palmyry, lecz także władczynią tej części Wschodu, którą obroniłaś przed Persami. Wszędzie, pod namiotami pustyni jak i w miastach, jesteś uważana za boginię Alath. Żeby zostać Alath wystarczyły ci rady bogów. Obecnie musisz bronić tego, co zdobyłaś. A ja mogę ci w tym pomóc.

– Masz rację – przyznała chłodnym tonem. – Dopóki książę Wabalat nie dorośnie na tyle, aby mógł rządzić, ja będę sprawować władzę. Jednak mamy pokój. Nie musimy już obawiać się Szapura. Nie ma on nawet tylu wojowników, żeby obronić się przed ludami Północy, które drwią sobie z jego słabości. – Z pogardliwą miną dodała: – No i przekonał się, kim jest Alath.

– Słusznie mówisz, królowo. Twój wróg nie znajduje się na wschód od Eufratu. Jest tutaj. Obok ciebie.

– Tutaj? – Na twarzy Zenobii pojawił się złośliwy uśmiezek. – Twoja wiedza jest mniejsza, niż sądziłam. Hayran nie może mi już zagrozić.

– Nie miałem na myśli syna Najjaśniejszego Pana, ale Rzym – odrzekł niezrażony Longinus.

Zenobia wzruszyła ramionami.

– Rzym? Po tych wszystkich bitwach, jakie stoczyłam

u boku Najjaśniejszego Pana, żeby podtrzymać imperium? Po tym, jak obaliliśmy uzurpatora Makrianusa? Rzym miałby stać się moim wrogiem? Nie ma w tym sensu, mistrzu Longinusi.

– Rzym nigdy nie postępował zgodnie z rozsądkiem, królowo – przekonywał ją cierpliwie Grek. – W przeciwnym razie nie zbudowałyby tak wielkiego Imperium, które teraz samo siebie pożera.

– Może nie wiesz, że z rozkazu Augustusa Galliena w jego pochodzie triumfalnym szli jeńcy perscy, których mu odesłałam. Ponad sto tysięcy wojowników Szapura. W podzięce za to Augustus Gallien przyznał Najjaśniejszemu Panu tytuł imperatora całego Wschodu.

– Rzym uwielbia tytuły – rzekł Longinus. – Język łaciński, który znasz tak samo dobrze jak i mój ojczysty język, został stworzony do tego, żeby wymyślać iluzoryczne tytuły i słowa przyjaźni, które trwają nic dłużej niż sen.

Ironia zawarta w słowach Greka zbudziła w Zenobii złość. Ten człowiek rozczarował ją. Przystojny, pięknie mówi, ale jest zarozumiały i plecie głupstwa.

Rzuciła okiem na Wabalata, który przysłuchiwał się z miną dorosłego mężczyzny.

– Mów jaśniej, mistrzu Longinusi. Księżę Wabalat nie zdoła wytrzymać zbyt długiej audiencji.

– Jak sama powiedziałaś, tysiące jeńców perskich uświetniło w Rzymie triumf Cezara Galliena. Nie twój, nie bogini Alath ani nie twojego męża Dostojnego Odenatusa.

A tytuł, który Cezar dał twojemu mężowi niczym zabawkę dziecku, jest bezużyteczny, bo nie ma kto go teraz używać. Tego właśnie chciał Gallien. Rzym jest twoim wrogiem, królowo. Wszystko o tym świadczy.

– Im dłużej mówisz, mistrzu Longinusi, tym mniej cię rozumiem. Czy chcesz powiedzieć, że Cezar...

– ...zabił twojego męża. Tak, królowo.

Zenobia zadrżała, pojmując już, że miał rację.

– To Hyrana złapano ze sztyletem w ręku – powiedziała cicho, czując chłód w piersi.

– Synowi Najjaśniejszego Pana nie starczyłoby ani inteligencji, ani odwagi, żeby samodzielnie zdecydować się na to morderstwo. Obiecano mu wspaniałą nagrodę.

– Nagrodę? – szepnęła Zenobia.

Walabat poruszył się. Przypatrywał się im szeroko otwartymi oczami, nie myśląc już o tym, że ma wyglądać jak król. Longinus wskazał na niego ręką.

– Pomyśl o tym, królowo. Gdyby udało się zabić twojego syna, dziś na twoim miejscu byłby Hayran. I to on dziś przyjmowałby mnie tutaj. A przede wszystkim reprezentowałby tu Rzym. Hayran byłby posłuszny woli Cezara niczym jagnię.

– Wówczas wystąpiłabym przeciw niemu.

– I stałabyś się wrogiem Rzymu. Nie miałabyś już legionów. Zostałabyś sama. Wszystko, co zdobyłaś w imię Rzymu, przeciekłoby ci między palcami niczym piasek. Czy nie to właśnie próbowali osiągnąć Hayran i uzurpator Makrianus, gdy stałaś się Alath? Czy nie dlatego zabiłaś

prefekta Palmyry?

Zenobia długi czas milczała.

– Wiele wiesz – przyznała.

– Wiem to, co powinien wiedzieć człowiek, który zamierza służyć ci swą wiedzą i radami.

– Czy masz dowody na to, co mówisz? – zapytała wzburzona Zenobia.

– Znajdą się, jeśli ich poszukamy, królowo.

\* \* \*

– Twój Grek ma rację. Rzeczywiście nie jest głupi. Nie przechwala się. Potrafi lepiej posługiwać się mózgiem niż ja.

Nurbel uśmiechał się z zadowoleniem, nie zważając na pomruki oburzenia Zenobii.

Schodzili do podziemi pałacu krętymi schodami wokół studni, w której stała zgniła woda. Pochodnie trzymane przez strażników nie oświetlały wystarczająco drogi. Buty Zenobii ślizgały się po wilgotnej posadzce.

– Musisz sama się o tym przekonać – powtórzył Nurbel słowa, z którymi przyszedł do niej przed chwilą.

Przed tygodniem zleciła mu, żeby znalazł dowody na potwierdzenie podejrzeń Longinusa. Nurbel nie był zdziwiony.

– Rzymianie umieją tylko zdradzać. Mają to we krwi – powiedział z pogardą. – Chyba obszedłem się zbyt łagodnie z Hayranem, pozwalając, by zabrał do krainy



demonów swoje tajemnice.

Cała Antiochia została dokładnie przeczesana. Nowe Miasto i Stare Miasto miały po kilkanaście teatrów i term. Bary i zajazdy, do których zachodzili złodzieje, bandyci i drobne rzezimieszki, można było liczyć na setki. Podobnie jak burdele i kabarety, gdzie piękne dziewczyny i pijani goście recytowali wiersze poetów.

Niczego ani nikogo nie pominięto. Każdy klient musiał przedstawić przekonujące powody swojej obecności. Przeszukano port, barki, nawet niektóre świątynie. Zamknięto biegnące wzdłuż Orontesu drogi, prowadzące do Dafne<sup>[50]</sup> i Aleppo, jak również drogi w stronę morza i na pustynię. Przez dwie noce nikt nie mógł ani wjechać, ani wyjechać z miasta.

Po raz drugi od śmierci Najjaśniejszego Pana miasto zostało pozbawione swoich szalonych nocnych zabaw. Smutne, milczące ulice oświetlały jedynie pochodnie wojowników Palmyry.

W murach fortecy zamknięto ponad tysiąc osób – zwykłych złodziei i oszustów, ale także kupców z Egiptu i Charaksu i podróżnych, którzy na nieszczęście dla siebie przybyli niedawno z Rzymu. Byli wśród nich bogacze, wolni obywatele i wyzwoleńcy. Wszyscy oni wyrażali swe niezadowolenie z powodu narzuconych im warunków życia, zmuszających ich do kontaktu z ludźmi, których wcześniej nie spotykali nawet w publicznych latrynach.

Ich skargi i groźby dochodziły do samego pałacu, gdzie przekazywali je Zenobii szambelanowie.

Nie robiło to na niej wielkiego wrażenia, ale zapytała Nurbela:

– Czy wiesz, czego szukasz?

– Będę wiedział, kiedy znajdę.

– To znajdź szybko, bo inaczej będziemy mieli przeciw sobie całe miasto.

I oto stało się. Nurbel ucieszył się tym, co znalazł.

Zeszli głęboko do lochu, gdzie znajdowała się klatka z grubych żelaznych prętów. Nurbel pchnął wąskie drzwiczki. Wewnątrz klatki Zenobia ujrzała niskiego mężczyznę z nogami i rękami zakutymi w kajdany. Więzień przewrócił się na bok ze szczękiem metalu, a echo odbiło się od wilgotnych murów. Skulił się niczym zwierzę, wydając dziwaczne, chrypliwe, żałosne piski. Płomienie pochodni tańczyły w jego przerażonych oczach.

– Dobrze mu się przypatrz – powiedział z naciskiem Nurbel.

Widok nie był przyjemny. Brud, łysa czaszka, twarz zniekształcona strachem i ranami, nie pozwalały określić wieku mężczyzny. Wciąż wydawał dziwne okrzyki, machając rękami w łańcuchach.

– Nic ci nie powie – zakpił Nurbel. – Rzymianie odcięli mu język. To raczej niezwykle u posłańca. Ale spójrz na jego czaszkę...

Nurbel chwycił więźnia za kark, zmuszając go do pochylecia głowy. Niedawno wygolony czubek głowy miał sinawy odcień. Kiedy Zenobia przyjrzała mu się bliżej, zauważyła równe linijki pisma.

– W świetnej łacinie, co sama możesz stwierdzić – skomentował Nurbel.

– Jest za ciemno, żebym mogła przeczytać.

– Nie szkodzi, znam tekst na pamięć: „Do księcia Hayrana, przyszłego króla Palmyry, protektora Wschodu. Te słowa są dowodem, że Cezar, władca imperium, pokłada w tobie zaufanie. Nadeszła pora na twoje rządy. Jeśli pójdziesz do przodu, ręka Rzymu będzie cię wspierać, będę twoim przyjacielem we wszystkim”.

Nurbel wodził palcem po grubej skórze i okragłej bliźnie, która tworzyła jakby garb nad karkiem nieszczęśnika.

– Oto pieczęć Cezara.

Zenobia wyprostowała się i odsunęła od klatki z uczuciem obrzydzenia, jakie wywołał w niej smród bijący od więźnia oraz słowa Nurbela.

– Tak więc mistrz Longinus ma rację. Rzymianie chcieli śmierci Najjaśniejszego Pana!

– Oczywiście, że to prawda. Zawsze uważałem, że Najjaśniejszy Pan i ty za bardzo ufacie Rzymowi.

Zenobia podniosła pochodnię, by oświetlić stopnie schodów prowadzących na górę.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Nurbel.

– Dać Cezarowi odpowiedź. Będzie to wiadomość, która powinna sprawić mu przyjemność. Myślę, że mistrz Longinus z radością ją nam zredaguje.

W ciemnościach zabłysła rozradowana twarz Nurbela.

**SINGIDUNUM, DUNAJ**

Centurion straży wypowiedział głośno imię gościa. Aurelian zerwał się na równe nogi. Tak gwałtownie odepchnął opatrujących go dwóch niewolników, że jeden z nich przewrócił się na plecy.

– Maksymusie! – Twarz Aureliana wyrażała radosne zaskoczenie. – Prefekcie Maksymusie, nareszcie jesteś!

Maksymus upuścił na podłogę skórzaną torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, i zdjął hełm. Na ramiona opadły mu jeszcze dłuższe niż przedtem włosy.

– Oczywiście, że tu jestem, *dux maiorum*. Wyruszyłem natychmiast, jak tylko otrzymałem twój rozkaz. – Rozłożył ramiona i przycisnął nagi tors Aureliana do swego pancerza. – Pędziłem siedem dni i siedem nocy, zajeżdżając konie, jakie tylko mogłem znaleźć! Tak, to ja...

Roześmieli się obaj. Aurelian zażądał, by przyniesiono mu tunikę, gorące wino dla prefekta Maksymusa i coś dojedzenia. Kiedy Aurelian się ubierał, Maksymus zauważył na jego plecach czerwone plamy i zadrapania, które opatrywali przed chwilą niewolnicy. – Ślady po bitwie?

– Głupstwo – odrzekł Aurelian z lekceważącym uśmiechem. – Na razie barbarzyńcy zostawiają nas w spokoju. Chciałem dla rozrywki zmierzyć się

z niedźwiedzicą którą jakiś czas temu złapali ludzie z jednej z kohort. Zabrano jej małe, nie chciała więc walczyć ze mną zgodnie z regułami obowiązującymi na arenie!

Roześmieli się ponownie.

– Musisz być zmordowany – podjął Aurelian. – Czy chcesz odprężyć się w łaźni? Będę ci towarzyszył...

– Z wielką przyjemnością. Ale nie od razu. Mam ci coś do pokazania.

Poszedł po swoją torbę, którą zostawił na podłodze.

– Bogowie pragnęli, żebyśmy się znowu zobaczyli – rzekł, wyrzucając zawartość torby na biurko Aureliana. – Gdybyś nie wezwał mnie do siebie i tak bym przyjechał z powodu tej przesyłki.

\* \* \*

Aurelian cofnął się z niesmakiem.

Była to głowa mężczyzny, równo odcięta i dobrze wysuszona jak u mumii egipskich. Oczy i mózg zostały usunięte, ale na czaszce pozostała skóra napięta niczym na bębnie.

Maksymus przekręcił czaszkę. Pokazał palcem na wytatuowane na niej niebieskie litery. Aurelian nachylił się i nie dotykając głowy, odczytał wiadomość Cezara dla Hayrana.

Bez słowa się wyprostował. Maksymus się zaśmiał.

– Wygląda na to, że Cezar wymyślił nowy sposób,

żeby zapewnić sobie dyskrecję posłańców! Ten człowiek pewnie nawet nie wiedział, co ma wypisane na czaszce. Jest jeszcze druga wiadomość.

Maksymus wyjął z za pasa zwój papirusu i wsunął go między zęby zmarłego.

– Tak to znalazłem.

Aurelian wziął papirus i rozwinął go. Pismo było piękne, ale greckie, nie łacińskie.

*Cesarze, twój posłaniec tak dobrze wykonał zadanie, że może teraz wrócić i przekazać ci moją odpowiedź.*

*Przyjmij do wiadomości, że królowa Palmyry panuje nad Antiochią i Emesą, nad całym Wschodem, wyrwanymi przez nią ze szponów Persa Szapura, u którego więźniem jest twój ojciec. Zabójstwo mojego męża, dokonane przez jego syna w twoim imieniu, daje mi wolną rękę w wykorzystaniu tych zdobyczy wedle mej woli. Prawa Rzymu nie sięgają już tutaj.*

*Jutro książę Wabalat, syn Dostojnego Odenatusa i Zenobii, zagwarantuje kontynuację rządów jego ojca tak, jak chcą tego bogowie.*

*Zenobia, Despojna Palmyry  
Basilissa całego Wschodu*

– W jaki sposób ta czaszka dostała się do twoich rąk? – zapytał Aurelian.

– Najprościej w świecie – uśmiechnął się Maksymus.

– W naszym obozie zatrzymał się trybun jadący z Antiochii. Wiózł skórzany kuferek obity adamaszkiem adresowany do Cezara. „To prezent od królowej Palmyry dla Cezara”, wyjaśnił mi. Zgodnie z rozkazem królowej miał go wręczyć Cezarowi do rąk własnych. Ponieważ niedawno doszła do nas wieść o zamordowaniu króla Odenatusa, zaintrygowało to mnie. Czy to nie dziwne, że królowa, będąc w żałobie, przesyła prezent Cezarowi? Przyszło mi na myśl, że może sama królowa Zenobia miała coś wspólnego z zabójstwem swego męża. Wydawało mi się, że pasuje to do jej wizerunku, jaki przekazywali ludzie wracający ze Wschodu. Piękna i wojownicza kobieta, która zakosztowała smaku władzy. – Maksymus przerwał i z ironicznym uśmiechem dodał: – Myliłem się. Łatwo się mylę co do kobiet, prawda?

Aurelian nie zrozumiał aluzji. Nie okazując, co naprawdę myśli, schował czaszkę na powrót do torby.

– Jest tu od kilku dni Puliniusz. Ten list powinien go zainteresować.

\* \* \*

– Cezar jest jeszcze głupszy, niż się o nim sądzi! – zawołał z oburzeniem Puliniusz, odwracając wzrok od tatuażu. Schowaj to paskudztwo, prefekcie Maksymusie. Nigdy nie gustowałem w żartach ludzi Wschodu. Kretyn z tego Galliena! Kiedy chce się kogoś zamordować, nie popełnia się takich błędów! A teraz... – Przeczytał list

Zenobii, mamrocząc bezzębnymi ustami, kiwając głową po czym oddał go Aurelianowi. – „Basilissa całego Wschodu”! Święta królowa królowych! Oto tytuł, o którym nawet nie pomyśleliśmy – powiedział ze złością. – Iw dodatku napisany po grecku, żeby jeszcze bardziej obrazić Rzym.

– Albo zadrwić z Galliena, który tak uwielbia wszystko, co greckie – zaśmiał się Maksymus.

Pomarszczone policzki Puliniusza pobladyły z gniewu.

– Głupiec z tego Galliena! Zabić tego, który był mu najbardziej potrzebny! Przecież ten doskonały wojownik Odenatus wcale mu nie zagrażał. Tak był wierny Rzymowi jak ja. Co za głupota! A Zenobia? Po co było podburzać przeciw nam kobietą, którą wojownicy Wschodu uważają za boginią? Oczywiście Cezar nie wierzy w boginie w czerwonych pancerzach. Jego zdaniem ludzie ze Wschodu to barbarzyńcy. Imbecyl Makrianus myślał podobnie jak on. Ale kiedy Zenobia ruszyła na niego, zsikał się ze strachu! Bogowie nie... – Nagle przerwał. Spojrzał z uwagą na Aureliana. Złość zniknęła z jego twarzy. Zastąpił ją promienny uśmiech. – Tak, mój chłopcze, to ewidentny znak od bogów! Bogowie wysłuchali twojego życzenia, *dux maiorum*. Twoja matka miała rację. Słońce Niezwyciężone daje ci znak. Możesz teraz wystąpić przeciw Gallienowi z czystym sumieniem. To, co zrobił, jest niewybaczalne. Wszyscy będą wiedzieli, że nie odbierasz życia Cezarowi powodowany ambicją lecz dlatego, że jego szaleństwo gubi imperium! Jego krew nie



zhańbi cię. – Kościstą ręką chwycił torbę Maksymusa, wyjął z niej głowę i potrząsnął nią przed Aurelianem. – To znak, na który tak długo czekałeś, mój chłopcze. Mitra i Słońce Niezwyciężone przesyłają ci tę głowę i poparcie Zenobii!

Maksymus spojrział na Aureliana.

– To dlatego mnie wezwałeś! Zdecydowałeś się. Nareszcie...

Aurelian nie zdążył odpowiedzieć. Puliniusz z radosną twarzą podał mu tatuowaną czaszkę.

– Przekażemy Zenobii, że jej podarek i wiadomość nie pozostaną bez echa. Rzym okaże wdzięczność swoim przyjaciołom! – zawołał. – Jej nastrój poprawi się wraz ze śmiercią Cezara. Żeby doszła do siebie po tych przeżyciach, przyznamy jej tytuł Basilissy. Wszystkie tytuły, jakie będzie chciała dla swego syna... Ale nie wolno zwlekać, Aurelianie. Mówiłem ci już, że pragnę cieszyć się twoją wielkością, zanim moje oczy zamkną się na dobre. Odejdę z myślą że dla Rzymu jest jeszcze nadzieja.

\* \* \*

Deszcz przestał padać. Wiał silny wschodni wiatr. Od rozganianych przez niego chmur na powierzchni Dunaju tworzyły się cienie. Wilgotne liście drzew skrzyły się w czystym wrześnieowym powietrzu.

– Puliniusz ma rację. Słońce Niezwyciężone pozdrawia cię, *dux maiorum* – odezwał się trochę kpiąco

Maksymus, który przecież nie wierzył ani w bogów, ani w demony.

– Puliniusz umie przekonywać – odrzekł Aurelian ostrożnie. – Odwołuje się do znaków bogów tak, jak mu wygodnie.

– Dzięki temu dożył starości. Ma jednak rację i ty o tym wiesz. Gallien popełnił niewybaczalny błąd.

Milczeli obaj jakiś czas. Z twarzami wystawionymi na działanie palącego słońca obserwowali kohortę młodych rekrutów ćwiczących nad rzeką. Centurioni musieli się dobrze przyłożyć, żeby nauczyć ich wykonywania najprostszych komend.

Sześć miesięcy temu ci ludzie byli jeszcze barbarzyńcami. Po klęsce ich dowódców stanęli przed prostym wyborem: niewola lub służba w rzymskich legionach. Wybór o znaczeniu zasadniczym zarówno dla nich, jak i dla imperium. Wcielanie pokonanych barbarzyńskich oddziałów było obecnie jedynym sposobem, żeby uzupełniać stan wojska, gdyż ustawiczne wojny pożerały rzymskich żołnierzy niczym Minotaur.

– Tak. Cezar zachowuje się jak szaleniec i trzeba go powstrzymać. Już najwyższa pora.

Ton Aureliana był suchy, stanowczy. W ten sposób wydawał rozkazy na polu bitwy. Maksymus uśmiechnął się z zadowoleniem. Uścisnął serdecznie ramię przyjaciela.

– Cieszę się, że nareszcie padły te słowa z twoich ust! A zwłaszcza tutaj. – Pokazał na rzekę. – Tu, gdzie narodził się Aurelian z pieśni „tysiące i tysiące”!

Maksymus zanucił pieśń sławiącą zwycięstwo nad Sarmatami: „Tysiąc, tysiąc ludzi pozbawiliśmy głów... Nikt nie zdoła wypić tyle wina, ile Aurelian przelał krwi!”.

Aurelian przyjacielskim kuksańcem zmusił go do milczenia.

– Nie obawiaj się, nie zapomniałem o tym, co się tutaj wydarzyło.

– Nawet sobie nie wyobrażasz entuzjazmu legionów, gdy dowiedzą się, że przejmujesz władzę cesarską. Możesz być pewien, że ich aplauz obiegnie całe imperium z jednego końca na drugi.

– Jeszcze do tego nie doszliśmy, Maksymusie. Nic się jeszcze nie dokonało. Cezar jest tak samo przebiegły jak Puliniusz. Jego policja i szpiedzy krążą wszędzie. Konieczna jest niezwykła ostrożność.

Maksymus wzruszył ramionami.

– Najtrudniejsze zostało zrobione: udało się ciebie przekonać. Zajął to wiele lat. Rzecz dziwna, ale nigdy nie traciłem nadziei.

– Żałuję tego, co ci powiedziałem w Rzymie – rzekł niepewnie Aurelian. – Kierował mną wtedy gniew.

– Nie przejmuj się – odpowiedział, patrząc na niego Maksymus – to bez znaczenia. Już dawno o tym zapomniałem.

Aurelian zamilkł, zdając sobie sprawę, że to nieprawda. Ani jeden, ani drugi nie mogli zapomnieć o tamtym strasznym dniu w Rzymie, kiedy wypędził Klodię, a razem z nią przyjaciela z pól bitewnych. Słowa,

które wówczas padły między nimi, wryły się im w serca, niwecząc przyjaźń, którą uważali za niezniszczalną.

Pozostawszy sam, Aurelian czuł ustawiczne wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy walczył bez Maksymusa u swego boku. W dalszym ciągu zwyciężał, ale nie dawało już mu to takiej radości jak dawniej.

– Nie, nie zapomniłeś, ani ja nie zapomniałem – powiedział cicho Aurelian. – Musiałem... Musiałem się z nią rozstać. Nie mogłem tego dłużej znieść.

Maksymus przerwał mu, obejmując go tak, jak legioniści obejmują się przed bitwą.

– Rozumiałem to, *dux maiorum*. Zawsze to rozumiałem. Miałeś rację... Zapomnij o tym. Teraz liczy się przyszłość. – Maksymus puścił ramię Aureliana i wskazując na rzekę, powiedział: – Dziś mogę ci się przyznać. Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo, jak tamtej nocy przed bitwą z Sarmatami. A potem okazało się, że połowa z nich to kobiety! – Przerwał i po chwili dodał: – Nieraz myślałem, że Klodia bardzo przypomina te wojowniczkę.

Aurelian zadał pytanie, które od dawna cisnęło mu się na usta:

– Co u niej?

– Wszystko w porządku. Czeka na znak od ciebie, tak jak ja czekałem. Na swój sposób oczywiście. Nienawidząc cię i jednocześnie wielbiąc.

– Co masz na myśli?

Maksymus potrząsnął głową.

– Nie widziałem Klodii od ponad roku. Zostałem mianowany prefektem wojskowym w Nikopolis. Nie chciała ze mną jechać. Nikopolis budzi w niej złe wspomnienia. Ja także stałem się dla niej złym wspomnieniem. O ile wiem, przez kilka miesięcy przebywała w waszym domu w Sirmium, ale od ostatniej wiosny jest w Rzymie. Nie słyszałeś o tym?

Od długiego czasu nic nie wiedział o siostrze. Przysiągł sobie nawet, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Ta przysięga nie miała już chyba sensu.

Wzruszył ramionami, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar.

– Puliniusz radzi, abym ją wezwał do siebie. Ją i Ulpię. Jego zdaniem szaleństwo Ulpii już minęło.

– To prawda. Miejsce twojej żony jest obok ciebie. Ulpia zawsze cię kochała i nikt nie będzie wierniejszy od niej. Puliniusz ma też rację co do Klodii. Już pora, żebyś jej wybaczył.

Aurelian milczał. Nawet Maksymusowi nic mógł powiedzieć prawdy. On już dawno jej wybaczył. Ale strach przed nią nic zmałał, podobnie jak ogień, który od zawsze rozpałał w nim pożądanie.

– To może jeszcze poczekać – powiedział. – Kiedy już będzie po wszystkim.

**EMESA**

Bóg był świetlistą obecnością Szaleńcy, bluźniercy wyobrażali sobie, że to słońce było bogiem. Ich ignorancja nie miała granic.

Bóg, jedyny, wyjątkowy, wieczny, był Bogiem i Światłem. Był łaską i obietnicą Raju!

O tak, wielkość Boga była w Raju, każdy ból na tym nikczemnym, podłym świecie był do zniesienia, jeśli nosiło się w sobie obietnicę Raju. Wielka, niezwykła obietnica dobrego Boga! Śmierć, cierpienie, wszystko zostanie wynagrodzone.

Nikt tego lepiej nie sformułował niż Orygenes, męczennik i prawdziwy sługa Boga:

„Mieście w nienawiści własne życie, abyście zachowali je dla życia wiecznego, zgodnie ze słowami Jezusa Chrystusa, który uczy tej dobrej, pożytecznej nienawiści”.

Jakże słodkie jest codzienne cierpienie dla tego, kto wierzy! Jak wielka jest obietnica Raju!

Kiedy wreszcie to rozumieją? Ojciec i Syn nie stworzyli mężczyzny i kobiety po to, żeby zadowalali się swoim mizernym ciałem! Wystarczająco bezczeszczą ten świat żyjące w nim zwierzęta.

Bóg nie stworzył duszy po to, by zatruć ją

przyjemnymi uczuciami, troskami i namiętnościami tak zmiennymi, że wystarczy jedno życie, żeby obrócić je w pył.

Jak można sądzić, że Bóg powołał człowieka dla tak błahych powodów? I że stworzył kobietę, żeby była tylko uosobieniem słabości?

Czy byli aż tak zaślepieni, że nie dostrzegali zamiaru, jaki Bóg ukrył w ich kruchym ciele?

„Nie miłujcie świata ani niczego, co jest na tym świecie! Kto miłuje świat, ten nie ma w sobie miłości Boga!”.

Słuchali słów apostoła, ale niewiele z nich pojmowali.

„Wszystko, co jest na tym świecie, pożądanie ciała, pożądanie oczu oraz pycha, nie pochodzi od Ojca!”.

Oby przyszedł czas Jana! Oby nadeszła trwoga i na nich spadła! Oby usłyszeli głos z nieba: „Wejdźcie tu!”. Oby weszli w chmurę... Oby spełniły się słowa Jana!

\* \* \*

Od medytacji oderwał go cichy szmer. Odwrócił się z gniewem, gotów do ostrej wymówki. Rozpoznał ją i zamarł.

Ubrała się jak chrześcijanka. Głowę i piersi okryła białym welonem opadającym aż do stóp. Twarz zostawiła częściowo odsłoniętą. To wystarczyło, żeby poznał ją natychmiast. Poznałby ją zawsze, chociaż jej ciało i twarz zmieniły przeżycia, walka, wiatr pustyni. Nadal była

piękną kobietą, mimo iż nie była to już uroda młodej dziewczyny. Wszechmocny Pan nie użył mu jeszcze siły, aby mógł wszystko zapomnieć.

Poczuł gniew, ale pomyślał, że może przyszła wiedziona dobrą wolą.

Może Ojciec i Syn przywiedli ją do niego dla słusznej sprawy?

Tłumiąc gniew, zapytał:

– Co tu robisz?

Przez moment miał nadzieję, że się nie pomylił. Padła na kolana. Nic podnosząc ku niemu twarzy, zaczęła mówić:

– Szymonie, niech będzie błogosławiony twój Bóg. Na pewno doszła cię wieść o śmierci mego męża. Został zamordowany z poduszczenia Rzymu. Tego może nie wiedziałeś. Jutro wracam do Palmyry i wjadę tam jak przystoi królowej. Ale przedtem chcę dotrzymać danej ci obietnicy. Obietnicy, którą przyniosłam ci w dniu moich narodzin z wód jeziora na pustyni. Nigdy o niej zapomniałam. Po to przybyłam do Dura-Europos. Jednak bogowie pustyni i twój Bóg nie chcieli tego. Teraz wszystko się zmieniło. Zostań moim mężem.

Oślupiały nie znajdował słów.

Przez moment nic nie czuł. Nie czuł ani gniewu, ani radości.

Była jedynie pustka, w której rozbrzmiewały słowa wypowiedziane przez Zenobię.

Nadal nie podnosząc głowy, mówiła dalej:



– Zostań moim mężem, Szymonie. Zostań królem Palmyry, ty, który byłeś Schawaadem i którego kocham ponad wszystko. Przestanę wtedy żyć w kłamstwie i będę żyć w czystości, którą tak miłujesz.

Te słowa ocuciły go. Zaczynał rozumieć.

Pojął, jakie straszne demony zawładnęły Zenobią. Za jej pośrednictwem owiewały go swym straszliwym oddechem.

W końcu Bóg przywrócił mu zdolność mówienia. Krzyknął:

– Nie bluźnij w domu Pana! Przestanieś żyć w kłamstwie, gdy staniesz się niewolnicą Chrystusa!

Podniosła głowę ku niemu z pytającym wzrokiem. Pokazał ręką na wizerunki Jezusa Zbawiciela, namalowane na ścianach.

– To nie mnie musisz poślubić, ale Jego! To Jego trzeba kochać. Jemu powinnaś się podporządkować! Nie mnie!

– Ależ, Szymonie, to będzie nowe kłamstwo. On nie jest moim Bogiem, to ciebie kocham.

Szymona poniósł gniew.

– Nie brukaj tego domu takimi słowami! Nic nie rozumiesz! Jest napisane: „A ten, kto ma żonę i dzieci, braci i siostry, niech ich ma w nienawiści, bo jego nienawiść obróci się im na dobro w miłości Boga!”. Nie ma innej miłości, szalona kobieto, jak tylko miłość do Pana Boga i Jego Syna Jezusa Chrystusa!

Krzyczał, aż poczuł ból w poranionej twarzy. Jednak

demony są tak stworzone przez diabła, że nigdy nic ich nie przekona.

Wyciągnęła do niego ręce w geście przypominającym błagalny posąg. Odrzuciła woalkę, odsłaniając błyszczące od łez usta i oczy. Patrząc w jej niezwykle piękną twarz, miał wrażenie, że widzi złowrogą chmurę.

– Szymonie – powiedziała błagalnie. – Szymonie, nie odczujesz ciężaru mej miłości! Twój bóg będzie mile widziany w Palmyrze. Będiesz sprawował jego wolę. Rzym jest twoim i moim wrogiem, będę cię wspierać w walce przeciw niemu. Palmyra stanie się miastem chrześcijan. Nie będziecie się musieli lękać upokorzeń i męczarni. Pokierujesz twoim wiernym ludem wedle waszego prawa! Dostaniesz tyle pieniędzy, ile wam będzie potrzeba. Pałac w Palmyrze stanie się największym, najpiękniejszym domem chrześcijan na świecie. A ja, Szymonie, moja miłości, potrafię być pokorna.

Zrobiła coś, od czego zaparło mu dech.

Poczołgała się do jego stóp.

Uniosła jego togę i objęła rękami poparzone, poczerniałe od ognia łydki. Całowała go po stopach.

To było silniejsze od niego. Ujrzał to, co widzieli apostołowie, gdy Jawnogrzesznica całowała stopy Jezusa Chrystusa.

Nieprawdopodobna moc zła odebrała mu zdolność jakiegokolwiek ruchu.

Zwabieni hałasem mieszkańcy domu przybiegli i zatrzymali się na progu, widząc tę straszną scenę.

Wtedy oprzytomniał.

Oderwawszy jej ręce od swych zmalretowanych nóg, odepchnął ją daleko od siebie. Dopiero teraz mógł spokojnie odpowiedzieć.

– Zabierz sobie te nieczyste słowa, królowo Palmyry! Twoja ofiara jest daremna. Pan Bóg jest już królem w swoim królestwie. Jest królem w Rzymie! Jest nim wszędzie na ziemi jako i na niebie. Ty i tobie podobni nie przejrzelście jeszcze na oczy! Straszna kara spadnie na ciebie, gdy to wreszcie pojmiesz!

Tym razem nie odezwała się. Upadła na podłogę owinięta białą woalką. Pokonana szlochała, trzęsąc się niczym liść.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

Bracia i siostry w Chrystusie powlekli Zenobię do drzwi, by wyrzucić ją na dwór.

– Uciekaj, Zenobio z Palmyry, uciekaj z tego domu! Zostaw mnie i myśl o Bogu! – słyszała głos Szymona, podczas gdy, trzymając się ściany, próbowała się podnieść.  
– Zapamiętaj na zawsze, że dla Szymona z Emesy jesteś martwa! Martwa od dawna!

**MEDIOLAN**

Tak jak przewidział Puliniusz na spotkanie przybyło wielu – z Recji, Dalmacji, Pannonii, Mezji i Germanii. Wszystkim udało się zmylić czujność szpiegów Cezara, pokonując drogę w przebraniu kupców lub zwykłych podróżnych, aby nie budzić podejrzeń, gdy przejeżdżali przez miasta i wsie.

Cztery dni obozowali bez rozpalania ognisk w lesie w pobliżu obozu Cezara, śledząc jego poczynania. Przebrali się za szeregowych legionistów i na zmianę przedostawali się do obozu, rozgłaszając nowe wieści. Któregoś rana legat z Dalmacji wrócił z dobrą nowiną. Cezar obudził się w złym humorze. Kiedy był w takim stanie, najczęściej nie wychodził z namiotu przez cały dzień. To była ta okazja, na którą czekali.

Od samego początku było uzgodnione, że wszyscy razem mają wystąpić przeciw Cezarowi i ponieść odpowiedzialność za jego śmierć.

Maksymus powiedział:

– Jeśli przekradniemy się do obozu w strojach legionistów, szybko zostaniemy zdemaskowani. Wielu zna nasze twarze i może zacząć się zastanawiać, dlaczego nie widzieli nas ani w namiotach, ani na apelach. Jestem pewien, że niejeden zada sobie takie pytanie. Jeśli

natomiast wejdziemy przez bramę w strojach, jakie przysługują randze każdego z nas, wywoła to wrzawę i zdziwienie. Gallien zostanie natychmiast o tym powiadomiony i będzie miał się na baczności. Gdy się pojawimy, będzie już czekać na nas cała dekuria.<sup>[51]</sup>

Jeden z oficerów rzekł:

– To dojdzie do walki. Powinniśmy dać sobie radę z jedną dekurią!

– Tak właśnie postanowiliśmy od samego początku – dodał drugi z oficerów. – Za krew Galliena odpowiemy wszyscy.

Aurelian uważał jednak inaczej:

– Zgadzam się z prefektem Maksymusem. Jeśli zostaniemy zmuszeni do walki, damy w ten sposób Gallienowi możliwość ucieczki. To za duże ryzyko. Poza tym nie chcę walczyć przeciw rzymskim żołnierzom. Pragnę tylko śmierci Cezara. – Umilkł, oczekując sprzeciwów, ale oni milczeli. – Pójdę z prefektem i tylko ja wezmę krew Cezara na siebie. Wy będziecie czekać przy bramie obozowej i wejdziecie dopiero wtedy, kiedy usłyszycie krzyki, świadczące o tym, że wykonaliśmy nasze zadanie.

Na tym dyskusja się skończyła. Każdy z obecnych uświadomił sobie, że Lucjusz Domicjusz Aurelianus wydał swój pierwszy rozkaz jako Augustus.

\* \* \*

Ich przyjazd – obaj powozili rydwanami odpowiednim do ich rangi – wywołał zdziwienie, ale nie podejrzenie.

Na prośbę Aureliana jeden z centurionów eskortował ich aż do namiotu Galliena. Cezar jadł tam śniadanie w towarzystwie kilku kobiet i niewolnika, który czytał mu na głos aforyzmy greckich mędrców. Na ich widok wstał z łoża z okrzykiem, który miał być przyjaznym powitaniem.

Maksymus zanotował w myślach, że oprócz jednego dekuriona nic było innych strażników. Gallien ubrany był tylko w tunikę i nic miał żadnej broni u pasa.

Jak zawsze arogancki, pewny siebie. Wyglądał, jakby trochę przytył. Broda, którą golił tak, iż podbródek oraz usta zostawały odkryte, bardziej niż przedtem podkreślała jego nadąsaną, nadętą minę.

– Długą drogę musiałeś odbyć, żeby tu do mnie przyjechać, *dux maiorum* – wyraził zdziwienie Cezar. – Ale to bardzo miła niespodzianka. Zasiądź ze mną zjemy i opijemy to wydarzenie. – Gestem ręki nakazał niewolnikowi lektorowi, żeby zniknął, odepchnął też kobietę, która dzieliła z nim łoże. – Ta cała mądrość już zaczęła mnie nudzić. Nie wiem, czy znasz to uczucie, *dux maiorum*, ale są takie dni, kiedy nic nie jest w stanie mnie rozerwać!

Aurelian przytaknął głową.

– Myślę, że mam coś, co cię rozbawi, Cezarze – powiedział, kładąc przed Gallieniem torbę z czaszką przywiezioną z Antiochii. – To prezent, który przesyła ci

królowa Palmyry.

– Prezent dla mnie?

Gallien, doskonale panując nad sobą okazał naturalne zdziwienie, a nawet jakby rozbawienie. Aurelian odpowiedział z taką swobodą i opanowaniem, że zaskoczył Maksymusa.

– Od Zenobii, żony zmarłego senatora i króla Odenatusa. Prefekt Maksymus odebrał tę przesyłkę w Nikopolis od posłańca z Antiochii. Zapewnił go, że dotrze ona do twoich rąk, a ja pomyślałem, że docenisz fakt, iż osobiście ci ten prezent przywiozłem.

Błysk nieufności pojawił się w oczach Galliena. Był zbyt przebiegły, by nie usłyszeć drwiny w słowach Aureliana. Wierzył jednak, że jest silniejszy od niego.

– Nie powiesz mi, *dux maiorum* – zażartował – że bogini Alath przysłała mi w dowód swej życzliwości kawałek swojego czerwonego pancerza!

Maksymus wyczuł, że wypadki potoczą się szybko. Ścisnął mocno rękojeść miecza. Aurelian mówił dalej tonem lekkiej pogawędki, co mogło robić wrażenie absolutnej szczerości z jego strony.

– Coś w tym rodzaju, Cezarze. Pozwoliłem sobie bowiem zajrzeć do środka!

Gallien, już na dobre zaintrygowany, otworzył torbę i włożył tam rękę.

Zmarszczył z obrzydzeniem brwi. Nie wyjmując suchej czaszki, odwrócił się do Aureliana. Nie musiał o nic pytać, bo *dux maiorum*, nadal bardzo opanowany, odrzekł:

– To posłaniec i zarazem wiadomość, Gallienie. Królowa Palmyry dziękuje ci za zamordowanie jej męża.

Zanim Gallien zdążył wykonać jakiś ruch, Aurelian już był przy nim, przytykając sztylet do jego szyi. Maksymus podbiegł i wykręcił Gallienowi ręce do tyłu. Kobiety zaczęły krzyczeć, a Aurelian rzekł:

– To była twoja ostatnia zbrodnia, Cezarze. Najgłupsza. Błagaj bogów o litość.

Gallien bronił się jak oszalały, ale bezskutecznie. Aurelian jednym pchnięciem sztyletu przebił mu gardło, po czym obaj z Maksymusem natychmiast odskoczyli, by nie obryzgała ich krew.

Krzyki kobiet ponownie odbiły się echem od skórzanych ścian namiotu. Cezar zachwiał się, przyciskając dłońmi ranę. Maksymus napotkał osłupiały wzrok strażnika przy drzwiach, który nie wydał z siebie żadnego dźwięku i nie wyglądało na to, żeby zamierzał wykonać jakiś gest. Gallien zrobił krok w jego kierunku i upadł na podłogę. Oddychał chrapliwie, dusząc się od krwi, która zalewała mu usta.

Na zewnątrz dał się słyszeć hałas. Nikt jednak nie śmiał wejść. Po chwili wszyscy spiskowcy byli już na miejscu.

Maksymus stanął obok Aureliana, który zimnym wzrokiem przyglądał się agonii swego wroga.

– To prawda, co mówią w biedniejszych dzielnicach Rzymu – szepnął. – O wiele łatwiej jest zabić Cezara, niż usłyszeć od niego słowo podziękowania.



## PALMYRA

– Ach, szlachetny Nurbelu, nareszcie cię znalazłem.

Wysoka, bardzo postarzała i chwiejna sylwetka shuloja Szarhy wyłoniła się pomiędzy blankami. Ostatnim wysiłkiem, opierając się dwiema rękami na lasce, pokonał stopnie schodów prowadzących na tarasy na dachu pałacu.

– Szukałeś mnie, shuloj?

– Przede wszystkim dziwiłem się twojej nieobecności.

– Szarha odzyskiwał oddech. – Twoi niewolnicy powiedzieli mi, że tu się posilasz. Przypuszczałem, że to żarty, ale widzę, że nie.

Nurbel przyjacielskim gestem wskazał na nakryty stół, na poduszki oraz karafki z winem i kozim mlekiem.

– Usiądź, przyjacielu Szarha. Jesteś dla mnie miłym gościem. To, że wszedłeś tak wysoko, zasługuje na nagrodę.

Shuloj zamrugnął powiekami i odrzekł, sadowiąc się z wielką ostrożnością:

– „Przyjacielu, Szarha”? Nie przypominam sobie, żebyś się kiedyś tak do mnie zwracał, szlachetny Nurbelu.

– Wszystko się zmienia, shuloj. Starzeją się. Potrzebny mi przyjaciel w twoim wieku.

Szarha zaśmiał się gorzko, a jego ręka zadrżała, gdy sięgał po figi w suszonym mięsie.

– Życzą ci tak długiego życia jak moje, przyjacielu Nurbelu. Choć bogowie nie stworzyli wojowników do tego, by żyli za długo.

– Masz racją. Nigdy nie zapominał, że trzeba będzie zwrócić bogom dane mi przez nich życie.

Szarha przytaknął głową.

Przez dłuższy czas milczeli, jedząc i pijąc. Shuloj przeżuwał ostrożnie, żeby nie pokaleczyć bezzębnych dziąseł.

Nad miastem latały jaskółki. Ranek otulał Palmyrę łagodnym światłem, w którym nie było jeszcze złotych przebłysków słońca.

Z wysokości tarasów Nurbel i Szarha mogli podziwiać niekończącą się panoramę miasta, jego kolumn i frontonów, portyków i wyniosłych posągów. Wszystko wydawało się całkiem nowe, a jednocześnie tak stare jak wszechświat.

Na zachód długi szereg grobowców ginał gdzieś między nagimi wzgórzami. Rzeźby na nich przedstawiały twarze i sceny z życia zmarłych. Najpiękniejszy z nich był w kształcie bardzo wysokiej wieży, wystającej ponad wszystkie inne, odcinającej się na tle brązowożłoty wierzchołków gór. Spoczywały w nim szczątki Najjaśniejszego Pana.

Na pilastry wielkiego portyku Nympheum i Cezareum padały pierwsze promienie światła dnia. Powstające przy tym cienie dodawały życia oczom i ustom posągów otaczających kolumny, upodabniając je do tłumu, który

szykuje się do marszu. Po przeciwnej stronie, od wschodu, w oślepiającym brzasku wschodzącego słońca wyłaniał się perystyl i przepiękne blanki sanktuarium Bela.

Tuż obok widoczny był fronton świątyni Nebo-Apollina i łuki wielkiego teatru. Nad nimi, w północnej części miasta, wznosiły się niebieskie mury marmurowej świątyni Baalszamina. Gdzieś tam połyskiwały orły z emaliowanych cegieł, gdzie indziej antylopy z ogonami smoków, wielbłądzice i skrzydlate konie. Z gęstwiny zielonych ogrodów wynurzały się marmurowe liście akantu i winorośli, porfirowe kiście winogron.

A dokoła, pod ich stopami, skupiały się wokół pałacu, tworząc siatkę ulic i dziedzińców, lśniące bielą domy. To tu, to tam tę monotonię bieli przerywały kraty, żaluzje, balkony malowane na niebiesko i czerwono.

Shuloj Szarha pokiwał głową z zachwytem.

– Piękne miejsce wybrałeś, szlachetny Nurbelu. – Już dawno nie oglądałem Palmyry z tej wysokości.

– Najjaśniejszy Pan lubił tu przebywać. Kiedy mieliśmy ochotę popić bez świadków.

– Tęsknisz za nim, prawda?

– To już dwa lata, jak zobaczyłem go z poderżniętym gardłem. Każdego dnia, kiedy się budzę, widzę wpatrzona we mnie jego oczy.

– No tak. – Shuloj powiódł językiem po dziąsłach, przymknął powieki. – Czy wiesz, że czasami odwracam się, bo wydaje mi się, że on mnie woła?

– Tak to jest, shuloj. Przychodzi do nas, żeby nam przypomnieć, co mu zawdzięczamy. – Nurbel umilkł, lecz po chwili odezwał się znowu, wzdychając: – Ja winien mu jestem więcej, niż mógłbym się odwdzińczyć. A nawet nie zdołałem go ochronić, kiedy tego potrzebował.

– Wiem, że tak myślisz, szlachetny Nurbelu. Nie masz jednak racji. Postępowałeś zgodnie z wolą Najjaśniejszego Pana i wolą bogów. Dostojny Odenatus nigdy nie miał wierniejszego od ciebie przyjaciela i sługi.

Wzruszeni milczeli jakiś czas.

Z dołu dochodziły do nich falami hałasy. Zwykle poranne pokrzykiwania kobiet i dzieci. Czasami szczekanie jakiegoś psa, porykiwanie rozzłoszczonego osła lub wielbłąda. Można by sądzić, że na tym polegało życie. Był to taki moment, kiedy bogowie zostawiali ludziom złudzenie, że wszystko zapowiada spokój w kolejnym dniu.

Shuloj laską pokazał w kierunku zachodnim, gdzie kiedyś stacjonował rzymski legion.

– Już bardzo dawno nie wychodziłem z pałacu. Nie poznaję tych dachów, tych kopuł, tego całego piękna.

– Tam będzie się znajdować przyszła rezydencja naszej królowej – odrzekł Nurbel.

– No tak, oczywiście. Powinienem był się domyślić. – Szarha pokiwał głową z dezaprobatą – Ponieważ nie ma nikogo innego, kto by mnie wysłuchał, to powiem ci, że mi się to nie podoba. Nie chodzi o świątynię Alath, ale o nowy pałac. Dlaczego Zenobia nie może dalej mieszkać z nami?

Przecież tutaj przebywał Najjaśniejszy Pan.

– Namówił ją do tego ten Grek, przyjacielu Szarha. A jest bardzo przekonujący. Bardziej niż ty czyja. Korci go, żeby wszystko zbudować na nowo. Spójrz na te rusztowania na lewo od wielkiej kolumnady. Stanie tam nowe sanktuarium. Zenobia złoży w nim swój czarny kamień. Zdaniem Greka stara świątynia Baalszamina nie jest odpowiednia. Sanktuarium będzie gotowe przed latem. Dalej na północ widać stosy belek i desek. To plac budowy nowego muru obronnego. Grek zakupił dwa tysiące niewolników, którzy będą go wznosić. Otoczy całe miasto aż do wielkiej bramy. Longinus zapewnia, że jest to niezbędne. Może ma rację, kto wie?

– Faktem jest, że mistrz Longinus to człowiek przedsiębiorczy.

– Sprytny. Przede wszystkim jest sprytny, no i ambitny.

– Potrafi dobrze przemawiać, trzeba mu to przyznać. Pamiętam jeszcze jego mowę nad prochami Najjaśniejszego Pana. Powtarzałem sobie w duchu te zdania, tak były piękne. Jak na człowieka, który w swoim życiu nigdy nie spotkał Dostojnego Odenatusa, to dość niezwykle, nie uważasz?

– Tak. Wie, jak się do tego zabierać.

W na pozór lekkim tonie Nurbela shuloj, wyczuwszy pewną cierpkość, rzucił mu badawcze spojrzenie.

– Czy sądzisz, że jest złym doradcą dla naszej królowej? – zapytał niewinnie.

Nurbel nie odpowiedział od razu. Jadł wolno kawałki suszonej gazeli nadziewane duszonym bakłazanem i popijał piwo z pianką.

– Nie wiem, Szarha – odrzekł w końcu – Nie wiem, i to mnie złości. Niektóre jego rady są dobre. Ale są i takie... których bogowie jeszcze nie osądzili.

– Nie ma racji, domagając się, żeby językiem oficjalnym na dworze Palmyry była greka. To nasz język nie jest wystarczająco piękny? Posługiwali się nim nasi pradziadowie. Podobno znany już był w czasach, gdy budowano wieżę Babel. To ciekawe, dlaczego on chce to zmienić.

– Jemu nie chodzi o nasz język, ale o wyrugowanie z Palmyry łaciny. Jest ogarnięty nienawiścią do Rzymian... Wiesz, shuloj, co myślę o Rzymianach. To głupcy. Czcą swoich bogów, ale to im nic dodaje rozumu. Zabijają się nawzajem bez powodu, żyją w kłamstwie i kochają jedynie tych, którzy im pochlebiają. Ale trzeba przyznać, że znają się na handlu jak żaden inny lud. Dzięki nim jesteśmy bogaci. Longinus nienawidzi Rzymian do tego stopnia, że nie potrafi znaleźć w nich nic godnego pochwały. Od pierwszej chwili, gdy pojawił się przy Zenobii, nie przestaje podjudzać jej przeciw nim.

– Faktem jest, że trzeba mieć naprawdę doskonały wzrok, żeby dojrzeć w nich coś miłego. Moje oczy nie nadają się już do tego. W jednej sprawie zgadzam się z mistrzem Longinusem: ma rację odsuwając nas od Rzymian. Zabili naszego Najjaśniejszego Pana...

– Myślisz krótkowzrocznie, shuloj – przerwał mu Nurbel. – Zenobia jest Basilissą całej Palmyry. Pod jej panowaniem znalazły się takie miasta jak Antiochia, Emesa, Heliopolis, Dura-Europos, Babilon, Charaks. Od dziesięciu lat prowadzę naszych wojowników dalej niż doszły kiedykolwiek wojska Palmyry. Zdobyliśmy Tars, przed królową Palmyry ugięły się miasta Kapadocji. Weszliśmy do kraju Persów i dotarliśmy aż do Ktesifotu. W ubiegłym roku zajęliśmy Cezareę, przeszliśmy przez Palestynę i pustynię Negew, byliśmy w Arabii i nawet na równinach Saracenów, nie napotkawszy właściwie żadnego oporu. W dodatku Zenobia chce ruszyć na Egipt! Nigdy dotąd nie walczyliśmy przeciw legionom rzymskim. Ale w tym wypadku może do tego dojść. Egipt jest cenny dla Rzymian. Dostarcza im owoców i zboża! Przypuszczasz, że pozwolą nam go zająć? Że zgodzą się, aby Basilissa Zenobia była silniejsza i potężniejsza niż ich cesarz?

– Ach...

– To będzie wojna, Szarha. A komu za pamięci ludzkiej udało się pokonać rzymskie legiony?

– Moja stara głowa nie ogarnia tego wszystkiego, Nurbelu.

– Zabójstwo Najjaśniejszego Pana dało Grekowi bardzo poważny argument. Ja też tak uważałem. Basilissa wysłała Gallienowi głowę jego posłańca i okazała tym swój gniew. Cezar Gallien, zabójca Dostojnego Odenatusa, nie żyje. Zginął tak jak na to zasłużył, zamordowany przez

tego, który jest dziś Augustem. Wysłał do Zenobii list. Piękny list z wyrazami żalu i podziwu: „Tragiczna śmierć Najjaśniejszego Pana Odenatusa obciąża nasze sumienie, królowo Palmyry. Ja, Lucjusz Aurelianus, wyciągam do ciebie, Basilisso, rękę, by odnowić przymierze, zniszczone przez szaleństwo Galliena. Ty i twój mąż pokonaliście Persów, za co Rzym jest ci wdzięczny, biorąc bogów na świadków...”. I tak dalej w tym stylu, pięknymi słowami. Nauczyłem się tego tekstu na pamięć, tak jak powinno się znać pieśń, za której pośrednictwem chce cię omamić twój wróg.

– Jednakże – westchnął shuloj – ten Augustus nie jest jeszcze do końca Augustem...

– No właśnie... Kolejna głupota Rzymian. On nie chce zostać Augustem, dopóki nie ma pewności, że ich stary Walerian nie zmarł-pod butem Szapura! Jego udreka powinna się już wkrótce skończyć. A Zenobia powinna była odpowiedzieć: „Twój list zadowala mnie. Żyjmy w pokoju”.

– To by było słuszne, masz rację. Wczorajszy wróg nie musi być wrogiem jutra.

– Longinus jednak uważał inaczej i przekonał królową używając odpowiednich słów: „Królowo, Aurelian swoimi obietnicami usypia twoją czujność. Schlebia ci. Czy zauważyłaś, że jego list jest napisany po grecku, a więc w języku, w jakim był nasz list wysłany razem z wytatuowaną głową? To mówi samo za siebie...”.

– No, no! – zawołał Szarha z młodzieńczym



zachwytem. – Mistrz Longinus jest przebiegły, umie dostrzec podstęp...

– Posłuchaj dalszego ciągu, jeśli chcesz wszystko zrozumieć: „Rzym wyobraża sobie, że jest nadal potężny, a tymczasem nigdy nie był taki słaby. Barbarzyńcy oblegają wszystkie jego granice, dzuma zbiera swoje żniwo w miastach i na wsi, senat nie decyduje już o niczym. Nowy August jest człowiekiem legionów. Umie walczyć, ale myślenie, to już inna sprawa. Brak mu strategii. Działa chaotycznie. Dziś, Basilisso Zenobio, ty jesteś najsilniejsza w całym imperium. Zajmij Egipt – tam znajduje się największe bogactwo Rzymu. Staniesz się pierwszą Augustą imperium”.

– Sam widzisz, jak on dobrze mówi – stwierdził Szarha. – Dobrze pamiętasz jego przemówienia.

– Mam niezłą pamięć, shuloj. Pamiętam i te rzeczy, które mi się nie podobają.

– Jednak jest trochę prawdy w tym, co twierdzi Longinus. Wiadomo, że bez egipskiego zboża Rzym nie będzie mógł się wyżywić.

– Marzenia zawsze owinięte są w zwodnicze prawdy.

– Jesteś surowy, szlachetny Nurbelu. Nie wierzysz w wielkość naszej Zenobii?

– Ależ wierzę tak samo jak ty, przyjacielu Szarha. Zenobia już jest wielka. Jest boginią Alath. Jest Basilissą królową Palmyry. Jest wszystkim, co znamy i kochamy... Namawianie jej, żeby została Augustą Rzymu, to dowód niewiary w jej wielkość. To naśladowanie chorobliwej

ambicji Rzymian, od której upada imperium.

– No tak... Rzeczywiście – mruknął Szarha. – W twoich słowach jest mądrość. Ale gdybyście, ty sam i Najjaśniejszy Pan, byli mądrzy, nie poparlibyście Zenobii, gdy postanowiła walczyć z Szapurem. Wszyscy wołali, że to szaleństwo. Oprócz was dwóch. Mówiliście, że Zenobia może wszystko. A przecież nic nie wiedzieliście i dużo ryzykowaliście. Mistrz Longinus idzie tylko waszym śladem.

Nurbel kiwnął głową i westchnął:

– Tylko Grek może być tak przebiegły, zdolny bronić swoich idei. Ale masz rację, shuloj. Trudno być rozsądnym, gdy chce się iść za Zenobią.

– A więc?

– A więc pójdę za nią! Jak ślepiec, który wie, że zbliża się do przepaści. Gdy Zenobia ruszyła przeciw Szapurowi, towarzyszyliśmy jej my, Najjaśniejszy Pan i ja. Wiedzieliśmy, czym jest wojna. Znaliśmy nasze siły, nasze słabości i możliwości. Grek nie ma o tym pojęcia. Chce, żebym stworzył oddział jazdy pancernej na wzór pokonanej przez nas jazdy Szapura. Rzymianie powinni się nas przestraszyć, jak kiedyś bali się Persów. Piękny pomysł! Grek jest filozofem, a nie wojownikiem! Sądzi, że to, co najcięższe, jest zarazem najskuteczniejsze. Myli się. Ale Zenobia go słucha. Spija jego słowa jak miód.

Szarha przyjrzał się uważniej Nurbelowi.

– Czy z powodu tej różnicy zdań spędzałeś tu czas w ostatnich dniach, gdy świętowano powrót Zenobii

z kampanii w Arabii?

Nurbel kopnął nogą skórzany kufer, stojący obok stołu.

– Nie, pojechałem do Persów szukać prezentu dla naszej królowej. Mija dziesięć lat od czasu, kiedy pokonaliśmy ich razem po raz pierwszy. A to trzeba uczcić.

Shuloj chciał zapytać, co to za podarek, ale zrezygnował, widząc promienny uśmiech, który nagle pojawił się na twarzy starego żołnierza.

– Możesz uznać, że jestem bardzo niedyskretny, szlachetny Nurbelu, ale zawsze podejrzewałem, że żywisz dla naszej królowej... uczucie, jakie ma mężczyzna dla kobiet.

– Podobnie jak ty.

– Daj spokój, przyjacielu. W moim wieku. To niemożliwe! Ty, to co innego, jesteś piękny mimo upływu lat. Twoje marzenia są dla mnie niedostępne!

Roześmieli się obaj.

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz ujrzałem ją na koniu, z łukiem w ręce. Nigdy nie widziałem nic równie pięknego. Ale ona była obiecana Najjaśniejszemu Panu, opuściłem więc wzrok. Do dziś jednak czuję w sercu wrażenie, jakie na mnie zrobiła.

Umilkli obaj. Kapłani w świątyniach ogłaszali koniec porannych modłów.

– Nie jest już tą młodą dziewczyną – podjął znowu Nurbel. – Ma około trzydziestu lat, ale jej piękność zmusza do szacunku. Jak zauważyłeś, Grek nie jest w wieku, kiedy

urodę kobiety podziwia się jedynie jako dzieło bogów. Z pewnością marzy o tym, by wejść do jej łóża.

– Ty także o tym myślałeś.

– Wszyscy o tym myślą. Ale nikt dostatecznie jej nie zna. Zenobia nie pójdzie do łóża żadnego mężczyzny.

Szarha pokiwał głową mrużąc oczy:

– Zazdrość nie jest dobrym towarzyszem, przyjacielu Nurbelu.

– Daj spokój. Nie jestem zazdrosny.

– Hmm...

– Nie. Nie byłem, kiedy Basilissa była żoną Najjaśniejszego Pana. Nigdy nie byłem. Znam serce Zenobii. Ten, kto wie, co w nim jest, nie może być zazdrosny.

– Widać jednakże, że mistrz Longinus podoba się jej. I to nic tylko z powodu jego pięknych słów.

– Lubi go, bo przy nim zapomina o swym nieszczęściu.

– O nieszczęściu? Co ty mówisz?

– To, że wy wszyscy jesteście zaślepieni, nie widzicie prawdy. Zenobia jest nieszczęśliwa. Grek, bitwy, czas spędzany z synem Wabalatem, zmiany w mieście, to wszystko ma jeden tylko powód. Chcę zapomnieć o nieszczęściu, które czeka na nią każdego ranka po przebudzeniu.

– O jakim nieszczęściu mówisz? Od jak dawna jest nieszczęśliwa?

– Od śmierci Najjaśniejszego Pana.

– Aha...

– Nie, nie o to chodzi. – Niezwykłe światło zabłysło w oczach Nurbela. – Zenobia darzyła wielkim uczuciem Najjaśniejszego Pana. Na swój sposób. Ale jej ból nie ma nic wspólnego z jego śmiercią. Nic pytaj mnie, gdzie leży przyczyna. Nie wiem nic więcej niż ty. Ale tak jest. I to nieszczęście jest cięższe niż wszystkie pancerze.

Shuloj zamyślił się. Jego twarz nagle jakby się jeszcze bardziej pomarszczyła, pociemniała.

– Co się teraz stanie? – szepnął – Będzie wojna z Rzymem, przyjacielu Szarha. To największa rozrywka, jaką może sobie zafundować Zenobia. Dlatego tak pilnie słucha Greka. I dlatego nie sprzeciwiam się temu.

– Nawet jeśli doprowadzi to nas do katastrofy?

– Jakie to ma znaczenie? Dostyc długo już żyjesz i wiesz, jakie będzie twoje miejsce u bogów, a co do mnie, to bogowie nie będą mi mieli za złe, jeśli zginę w bitwie przeciw Rzymianom. Pragnę tylko oderwać od smutnych myśli moją ukochaną królową.

**BOSTRA**

W głębokich nocnych ciemnościach rysowały się wyraźnie płomienie ognisk palących się w obwarowaniach rzymskiego obozu.

Co jakiś czas przechadzali się wolnym krokiem wartownicy odbywający nocny obchód. Dokoła panował spokój.

Od czasu do czasu hałas czyniły jedynie rysie stepowe i hieny płoszące zwierzynę. Wówczas żołnierze wyteżali słuch zadowoleni z rozrywki, jakiej dostarczały im przenikliwe piski konających zajęcy lub borsuków.

Czasami ciszę przerywał szmer skrzydeł polującego nocą sokoła, unoszącego w szponach skowronka lub gołębia, których zgubił sen.

Godzinę przed świtem pięćdziesięciu legionistów opuściło po cichu swoje namioty. Jeden po drugim wymknęli się ostrożnie między alejki, bardzo uważając, aby nie szczęknęła broń. Zgromadzili się przy magazynach z oliwą i zbożem, opróżnionych poprzedniego dnia przez karawany wyruszające do Cezarei.

Tam, ze ślepą latarnią w ręku, czekał na nich człowiek w długiej pelerynie z kapturem. W ciemnościach nie można było dostrzec jego rysów. Wszyscy legioniści znali jednak jego imię, jego potęgę i straszną twarz.

Z żarliwym szacunkiem klękali przed nim. Jeden po drugim, szepcząc cicho modlitwę, całowali rękę, która podawała im ciało Jezusa Chrystusa pod postacią opłatka.

Następnie, nie odzywając się do nich ani słowem, mężczyzna wskazał na leżące w kącie magazynu worki. Znaleźli w nich peleryny, tuniki i insygnia wojska Palmyry. Wystarczyła im tylko chwila, żeby zmienić mundur legionisty na strój wojownika Basilissy Zenobii.

Kiedy już się przebrali, nadal w absolutnej ciszy ów mężczyzna poprowadził ich krętymi uliczkami miasta. Biegli grupkami w pewnej od siebie odległości. Ich sandały nie czyniły więcej hałasu na zakurzonym bruku niż wiatr, który podniósł się z pierwszym brzaskiem dnia.

Mężczyzna w pelerynie zebrał ich wszystkich na prostokątnym placu forum. Wydał cichy rozkaz. Każdy z nich wiedział, co ma robić.

Grupami rozbiegli się do świątyni. Bramy sanktuarium Słońca Niezwycięzonego, Kybele i Junony zostały wyważone w jednej chwili. Z wściekłością której nic nie było w stanie się oprzeć, fałszywi wojownicy Palmyry wywracali stojące na ołtarzach misy z ofiarami, paleniska wypełnione popiołem. Rozbijali marmurowe i drewniane posągi, wrywali pochodnie, by ich płomieniami wzniecić pożar. Wrzucali meble do ognia, niszczyli freski na ścianach, wszystko, co im wpadło w ręce, wrzeszcząc przy tym i głośno recytując modlitwy. Sanktuaria bogów zostały zbezczeszczone, zdewastowane.

Gwałtownie obudzeni kapłani, kapłanki i służba

świątynna ledwie zdążyli krzyknąć ze strachu, zanim poderżnięto im gardła. Kilku stawiało opór w świątyni Jowisza. Przeszyto ich włóczniami, które jeszcze chwilę wcześniej podtrzymywały święte godła. Służebnicom Kybele błagającym na kolanach o łaskę ucięto głowy.

Nie okazano litości nikomu. Nie oszczędzono świętych przedmiotów. W świątyni Słońca Niezwycięzonego człowiek w pelerynie własnorecznie stracił na ziemię wiszący nad ołtarzem złoty dysk, a skrzynię z pieczęciami Augusta Waleriana, który dziesięć lat temu złożył tu hołd swemu bogu, wrzucił do ognia, pożerającego już magazyn z darami ofiarnymi.

Gdy płomienie lizały sklepienia i konstrukcję świątyni, na forum przybiegli pierwsi mieszkańcy. Usłyszeli jęki umierających. Przerażeni tym, co zastali, zdążyli zobaczyć, jak z podpalonych świątyni wybiegają żołnierze.

Poprzedzani przez przypominającego złowrogi cień mężczyznę w pelerynie mordercy zdąжали pospiesznie ku Bramie Zachodniej.

Wartownicy, wyrwani ze snu po nocnym czuwaniu, zaskoczeni widokiem napastników wewnątrz murów, nie zdążyli nawet pomyśleć o obronie. Jednemu z nich, który chciał podnieść trąbką do ust, ucięto ręce i natychmiast po tym przeszła go włócznia. Inni zginęli jeszcze szybciej.

W okolicznych domach podniosły się krzyki, ale belki ryglujące bramą już zostały zdjęte, otwierając przejście zabójcom. Za bramą czekały na nich konie. Zniknęli na drodze do Cezarei, kiedy na bladym niebie świtu nie



ukazało się jeszcze słońce.

Później w ruinach świątyni Kybele znaleziono zwłoki jednego z napastników, przygniecione przez posag. Pod palmyreńską tuniką i kolczugą które mieszkańcy Bostry zdarli z wściekłością odkryto srebrną rybę, symbol chrześcijan.

## RZYM

Ulpia wyszła z kąpieli, z wdziękiem stąpając po stopniach basenu. Troskliwe niewolnice owinęły ją starannie ręcznikiem. Powiedziała do nich kilka słów. Dziewczyny wybuchnęły śmiechem, odprowadzając ją do łoża, na którym mogła odpocząć.

Klodia, schowana za parawanem, nie spuszczała z niej wzroku. Za cenę dwóch złotych denarów zarządzająca domem zaprowadziła ją do tej kryjówki i zapewniła, że nikt jej tu nie zauważy. Stojąc bez ruchu, śledziła Ulpie.

Teraz niewolnice namaszczały swoją panią wonnymi olejkami. Jedna z nich piłowała i polerowała jej paznokcie. Nie przestawały wesoło gawędzić. Ulpia od czasu do czasu rzucała jakiś żart, mało istotne słowo, napomnienie.

Nagle z przedsionka wiodącego do pokoi wyłonił się śliczny chłopiec, który wszedł do sali kąpielowej. Delikatna twarz, pełne wargi, jasne włosy Gota lub Anglika. Ciało efeba okrywała jedynie prążkowana opaska na biodrach, jaką nosili niewolnicy.

Trzymał długą tacę, na której leżały klejnoty. Złoty naszyjnik z malutkimi wisiorcami z berylu, kolczyki w kształcie kiści winogron oraz broszka z ametystu oprawionego w złoto. Ulpia wzięła je do ręki. Przesuwała między palcami, na których widniała już obrączka.

Pochwaliła wybór, głaszcząc chłopca po policzku. Położył klejnoty na stoliku z mozaikowym blatem, stojącym obok wysokiego wieszaka, na którym wisiała tunika z haftowanego, wyszywanego perłami jedwabiu oraz czarna bielizna.

Klodia czekała, aż wydarzy się coś dziwnego, niezwykłego. Tymczasem nawet gest, jakim żona Aureliana podziękowała gockiemu niewolnikowi, pozbawiony był jakiegokolwiek dwuznaczności. Ulpia zachowywała się jak osoba całkowicie zdrowa na umyśle. Przypominała Klodii dawną łagodną niewinną Ulpie, którą tak lubiła w Nikopolis.

Wyglądało na to, że Puliniusz miał rację. Pięć dni wcześniej Klodia otrzymała list od starego sekretarza, który donosił, że widział Ulpie przed swoim wyjazdem z Rzymu i uważa, że odzyskała ona rozsądek. List ten zawierał także inne niespodzianki:

*Droga, piękno Klodio! Oto mija już prawie rok, gdy Cezar ustąpił miejsca twemu bratu, a my nadal nie widzimy ciebie u jego boku. Brakuje nam twego widoku, mnie, jemu i Maksymusowi. Nie dziw się, że słowa te wypływają spod mojej ręki, a nie twojego brata. Duma Aureliana jest równa uczuciu, jakie żywi do ciebie. Zwracam ci tu uwagę na dwie rzeczy, które ceni on sobie najwyżej. Oczywiście poza miłością do imperium.*

*Tak więc jestem tutaj z dwoma mężczyznami, którzy są ci drodzy i którym ciąży twoja nieobecność. Lucjusz*

*Aurelianus zostanie wreszcie przez wszystkie legiony naddunajskie obwołany cesarzem w przyszłym miesiącu, w Sirmium, w waszym rodzinnym mieście.*

*Ten wielki moment został niepotrzebnie opóźniony przez twego brata pod pretekstem, że śmierć Augusta Waleriana nie została udowodniona. Ale w końcu go przekonałem. Senat uznał już w nim cesarza. Dlatego właśnie do ciebie piszę. Przyjeżdżaj. Dołącz do nas, droga Klodio, bądź obecna w tym wielkim dniu. Nadeszła pora, aby twoja uroda dodała blasku potędze twego brata.*

*Możesz być pewna, że moja usilna prośba wypływa i z serca, i z rozumu. Aurelian bez ciebie nie jest w stanie oddychać pełną piersią. Zadania, które go czekają, wymagają od niego spokoju i jasności umysłu. A to zależy od ciebie. Dobrze o tym wiesz. Od kiedy zabronił ci widywać się z nim, wyrzucił cię ze swego serca, nie jest już tym samym człowiekiem. Augustus Aurelianus musi być w pełni synem bogów.*

*Niech cię nie szokuje moja szczerłość. Jest ona właściwa starcom, którzy nie mają już czego się bać. Trzymam się przy życiu po to tylko, żeby ujrzeć Aureliana w pełnym blasku jego tytułu. To mój dług wobec Rzymu. Ale dziś musisz mi pomóc.*

*Przybywaj, droga Klodio. I przywieź ze sobą Ulpię. Jej stan umysłu nie budzi już żadnych obaw. Mogłem się o tym przekonać, zanim opuściłem Rzym. Dziwaczne szaleństwa minęły i przypuszczam, że ma nadzieję zająć należne jej miejsce u boku Aureliana. Pokaże się jako jego żona*

*legionom i ludowi imperium wówczas, gdy uznasz to za konieczne.*

O, jaka była szczęśliwa, czytając ten list!

Aurelian Augustus!

Augustus Lucius Aurelianus! Nareszcie, nareszcie!

Po tylu latach, tylu zmaganiach i rozczarowaniach! Niemal jednocześnie dowiedziała się o zabójstwie Cezara Galliena i otrzymała list od Puliniusza.

Domyślała się w nim wszystkich podstępów, przemilczeń tego starego lisa. To, że tak mu teraz na niej zależało, pozwoliło zapomnieć o upokorzeniu i samotności, na które skazał ją Aurelian.

Czuła już rozkosz bliskiej władzy.

Tak, weźmie ze sobą Ulpie. Wydaje się, że jest już w porządku. Chyba nie będzie trudno ją przekonać. To bardzo dobra myśl. Słodka Ulpia, czuła żona, uciszy wszelkie plotki i zawiść, których nie zabraknie, jeśli tylko ona sama będzie u boku brata.

A dla niej nadejdzie czas panowania w nikłym cieniu Ulpii. Puliniusz zrozumiał to, powiedział prawdę, że Aurelian nie umie oddychać bez siostry. Bez niej nie zazna ani ekstazy, ani spokoju. Nie potrafi rządzić bez jej wsparcia.

O, jakże upojną była myśl o przyszłości! Wreszcie nadszedł czas władzy. Czas cudownego panowania, które kształtują wedle swojej woli jedynie cesarze i bogowie!

\* \* \*

Ulpia cicho krzyknęła, widząc ją na progu łazienki. Jednym skokiem wstała z łoża, cała naga, lśniąca od wonnej oliwy.

Klodia wyciągnęła do niej z uśmiechem ręce.

– Ulpio! Wybacz mi, że cię przestraszyłam! Chciałam zrobić ci niespodziankę. Prosiłam służące, żeby nie zapowiadały mojego przyjścia.

Usta Ulpii wykrzywiły się w dziecięcym grymasie zaskoczenia. Pobladła i otworzyła szeroko oczy. Cofnęła się do tyłu, krzyżując ręce na piersiach, a jednocześnie odsłaniając biodra i łono. Podbiegła do niej jedna z niewolnic, chcąc nie dopuścić do tego, żeby wpadła do basenu. Druga szybko narzuciła jej na ramiona ręcznik.

– Ulpio! – odezwała się ponownie Klodia łagodnym głosem. – Wybacz! Nie sądziłam, że cię tak wystraszę.

Ulpia zagryzała wargi, w oczach pojawiło się trochę więcej życia, policzki się zaróżowiły. Odzyskała już panowanie nad sobą.

– Ale jestem śmieszna! To ja przepraszam ciebie, Klodio. – Żartowała sama z siebie, trzymając się ramienia służącej. – Rzeczywiście wystraszyłaś mnie... Jakaż jestem głupia!

– To było głupie z mojej strony – przyznała Klodia. – Nic powinnam była tak cię zaskakiwać. Nie widziałyśmy się od tak dawna.

Ulpia spłonęła rumieńcem, śliczna w swej

niewinności.

– Właśnie... wydało mi się, że widzę zjawę. – Roześmiała się ponownie, całkowicie już panując nad sobą. Zrobiła filuterną minę. Z twarzy zniknęło napięcie. Odepchnęła niewolnice i rzuciła się w ramiona Klodii. W dziecięcym porywie objęła ją przycisnęła do nagiego, pachnącego ciała, całowała po oczach, przytulała policzek do policzka Klodii. – Na szczęście to rzeczywiście ty. Klodio, jaka jestem szczęśliwa, że cię znowu widzę.

Jeszcze przez chwilę całowały się ze śmiechem, po czym rozkazała, by ją ubrano i podano jej klejnoty oraz przygotowano w *triclinium* owoce, napoje i poduszki.

Ulpia, podekscytowana jak dziewczynka, która odzyskała przyjaciółkę, zaprowadziła Klodię do sali jadalnej. Klodia mimo woli poczuła wzruszenie. Było jej trochę wstyd, że przez kilka minut śledziła Ulpie. Chwyciła ją za ramię, przyciągnęła do siebie tak, jak to kiedyś czyniła. Poglaskała dłonią nagi kark Ulpii, uniosła do góry twarz dziewczyny, Pocałowała ją lekko w usta.

– Ja też jestem szczęśliwa, że cię widzę!

Dreszcz wstrząsnął ciałem Ulpii. Nagle tak zaciążyła w ramionach Klodii, jakby miała za moment zemdleć. Klodia mocniej ją przytrzymała i szepnęła:

– Cieszę się, że jesteś zdrowa. Masz rację. Powinnam była już wcześniej przybyć. Obie żyłyśmy w Rzymie niczym błakające się dusze... Byłam, prawdę mówiąc, tak samo samotna jak ty. A może bardziej. No i bałam się, że może jeszcze jesteś... na mnie obrażona.

Omali nie użyła słowa „szalona”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Oczy Ulpii zabłyśły. Odsunęła się, zaczerwieniła, znowu spoważniała, jakby minął przyływ wzruszenia.

– Tak – przyznała trochę zakłopotana. – Nie byłam dla ciebie miła... Nie zawsze byłam tą „słodką Ulpia”!

Klodia podążyła za nią do *triclinium*, małego pokoiku, gdzie ławy ustawiono w kształt litery U. Ułożyła się ze śmiechem na poduszkach, wzięła śliwkę z misy stojącej na stole.

– Jeśli masz na myśli te zapisane przez ciebie ołowiane tabliczki, to dawno już uległy przetopieniu. A razem z nimi stopniał mój gniew.

– Och, Klodio... jakże byłam głupia!

– Bardzo głupia! Ile w tym było nienawiści do mnie! Ale już ci wybaczyłam. Zapomniałam o tym, uwierz mi.

Ulpia uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nagle na jej twarzy pojawił się strach. Otworzyła szeroko oczy, zasłoniła usta upierścienionymi palcami.

– Klodio... Nie przyszłaś do mnie dlatego... że Aurelianowi przydarzyło się coś złego? Och, nie! Niech bogowie mają mnie w swojej opiece!

Klodia roześmiała się czule:

– Ależ nie! Całkiem przeciwnie! Twój mąż w idy listopadowe zostanie przez swoje legiony obwołany cesarzem! Za miesiąc, moja piękna, zostaniesz Augustą! Oto nowina, jaką ci przynoszę.

Ulpia zamyśliła się. Robiła wrażenie zbitej z tropu.



Zawahała się, czy usiąść obok Klodii. Jej oczy podkreślone barwiczką błyszcząły. Pojawiły się w nich łzy. Z trudem zmusiła się do uśmiechu.

– Jestem szczęśliwa ze względu na ciebie i na Aureliana. Z pewnością bardzo się cieszycie...

– Ale to dotyczy również ciebie! – zaprotestowała Klodia.

– O tak! Oczywiście!

– Jest ci obojętne, że będziesz żoną cesarza?

– Przeciwnie... Tylko że, to takie nieoczekiwane. Przychodzisz i oznajmiasz mi...

Klodia chwyciła ją za rękę, posadziła obok siebie. Ulpia, znowu wesółą, nie opierała się.

– Opowiedz mi wszystko! – poprosiła przymilnie. – Opowiedz, jak to się stało. Chcę wiedzieć wszystko!

Klodia już szykowała się, żeby jej odpowiedzieć, gdy Ulpia zerwała się na równe nogi, wołając:

– Poczekaj! Jeszcze nie. Mam ochotę czegoś się napić. Trzeba to uczcić winem.

Klodia roześmiała się, ustępując jej tak, jak ustępuje się kapryśnemu dziecku.

Ulpia przywołała niewolnice, po czym, zbesztawszy je, że przyniosły nieodpowiednią karafkę, odesłała je i z brzękiem pierścieni na palcach sama zajęła się nalewaniem wina do kubków. Klodia pomyślała, że Ulpia najwyraźniej znów jest taka jak dawniej: słodka, niewinna, daleka od szaleństwa.

Trąciły się kubkami tak, jak to robią mężczyźni,

i jednocześnie zawołały: „Niech żyje Augustus Lucjusz Aurelianus!”, po czym spełniły ten toast do dna. Machając rękami, niczym motyl skrzydełkami, Ulpia napełniła kubki od nowa i z niecierpliwością w głosie zażądała:

– Opowiadaj, opowiadaj!

Klodia zrelacjonowała to, co wiedziała o śmierci Cezara Galliena, o woli legionów obwołania cesarzem Aureliana, który sprzeciwiał się temu ze względu na byłego cesarza Waleriana, o którym już wszyscy zapomnieli. Popijając wino małymi łyčzkami, zażartowała:

– Jedynie Aurelian wspomina tego biednego starego Waleriana. Nikt w całym imperium nie przejmuje się tym, czy on jeszcze żyje, ale twój mąż pamięta o nim. A tacy starcy zachowują się czasem jak porzucona kochanka.

Ulpia spojrzała na nią z wyrzutem. Napełniła znowu swój kubek, podczas gdy Klodia, której wino już trochę uderzyło do głowy, powiedziała z naciskiem:

– Tak, tak, wierz mi. Czasami zastanawiam się, czy Aurelian nie woli starców od pięknych kobiet.

Opowiedziała kilka anegdot o dawno zmarłym Auguście Decjuszu, którego Aurelian tak bardzo wielbił, zanim uległ starczemu czarowi Waleriana, a potem sekretarza Puliniusza.

– Ale teraz już koniec z tymi staruchami – zakończyła trochę teatralnie. – Przyszła kolej na Aureliana, żeby został cesarzem. Pojedziemy razem do niego do Sirmium. Czeka tam na nas, pragnie, abyś była przy nim... Ty też tego chcesz, prawda?

– Oczywiście! Będę taka szczęśliwa! – odpowiedziała ze wzruszeniem Ulpia. – Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo mi was brakowało, tak samo ciebie, jak i jego!

Klodia zamierzała kiwnąć potakująco głową ale nagle przeszył ją dziwny dreszcz. Chciała coś powiedzieć, ale zeszywniałe wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Czy wiesz – kontynuowała Ulpia spokojnym, czułym głosem – że często chodziłam składać ofiary twojej matce w jej ślicznym grobowcu?

Klodia poczuła niewypowiedziany strach. Widziała uśmiech, twarz Ulpii, zmieniającą się w zależności od tego, co mówiła, lecz jej głos napawał ją dogłębnym przerażeniem. Chciała zaprotestować, ale nie była w stanie tego zrobić.

Ulpia tymczasem mówiła dalej:

– Wiesz, kilka dni temu miałam przedziwny sen. Aurelian był Augustem, a ty jego żoną. Wasze dzieci miały po dwie głowy: jedna była podobna do mnie, druga do ciebie. Jaki to dziwny sen, wzięwszy pod uwagę, że przyszedł do mnie z taką dobrą nowiną. To prawda, że jesteście z Aurelianem bardzo do siebie podobni. Kiedy patrzę w twoje oczy, mam wrażenie, że widzę jego oczy. Są takie piękne, tak doskonale błękitne, głębokie.

Palenie w płucach zmieniło się w pożar. Słowa Ulpii przenikały Klodię niczym pęcherzyki jasnego światła. Pęcherzyki, które pękały w jej wnętrznościach, powodując kolejne bóle.

– Co ci jest? – zapytała wciąż uśmiechnięta Ulpia. –

Dlaczego tak drżysz, droga Klodio?

Tym razem jej słowa zmieniły się w ostre kryształki, z trudem zaczęła oddychać.

To wariatka! Ona mnie otruła!

Ulpia!

Klodia nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Ból! Wszędzie ból. Śmierć! Śmierć była już blisko. Ta świadomość oślepiła ją nie pozwalając myśleć o niczym innym, podczas gdy rozpadały się w niej kości, rozrywały się mięśnie.

– Tymi swoimi pięknymi oczami i pięknymi ustami okłamałaś mnie wiele razy, Klodio – szeptała Ulpia. – Ja jednak nie jestem szalona. O nie! Umiem słyszeć to, czego nie wypowiadają słowa. Umiem dostrzec kłamstwo w spojrzeniach. Słodka Ulpia nie jest szalona. I nie jest głupia. Tak, Klodio, pragnęłaś zostać żoną Aureliana. Pragnęłaś zepsutym miłostkami ciałem dać mu dzieci. Teraz sama widzisz, że nic z tego! Nic ma mowy o dzieciach! Wszystko się skończyło! Ulpia wypełnia wolę bogów, a bogowie nie chcą żeby siostra i brat kochali się jak żona i mąż.

Piekło!

Kto ją ukarze? Kto będzie o tym wiedział?

Aurelianie! Aurelianie, mój ukochany bracie! Nie opuszczaj mnie! Pomóż mi! Nie chcę umierać!

Nie teraz, kiedy wszystko stało się możliwe!

Jaki straszny ból, cierpię dla ciebie, Aurelianie!  
Aurelianie, moja miłości...

Osunęła się na podłogę, przewracając stół, wibrując niczym cięciwa, z wykrzywionymi bólem, zakrwawionymi ustami.

Klodia, zanim zapadła się w całkowitą ciemność, przerażona, nic nie pojmując, usłyszała jeszcze echo ostatnich słów Ulpii, która przywoływała na pomoc służące. Jej przyjaciółka, jej siostra zachorowała.

**PALMYRA**

Chłopiec śmiał się na cały głos. Jego radosny śmiech odbijał się od sklepionego sufitu i ścian sali. Na chwilę dołączył się do niego śmiech Zenobii.

Wabalat, siedząc w wiklinowym koszu zawieszonym pod belkami sufitu, ubrany w prawdziwy mały pancerz, wymachiwał szabelką z ostrzem z kości słoniowej. Z zaczerwienioną twarzą kołysał się w swoim koszu, atakując Zenobię. Przy każdym wahnięciu kosza zadawał błyskawiczne ciosy, które matka odbijała z największym trudem. Udając, że została już ranna, broniła się z przesadną niezręcznością wywijając krzywą szablą z rogowym ostrzem. Jednakże od czasu do czasu trafiała chłopca, który śmiał się wówczas do rozpuku.

Nurbel nie od razu przekroczył próg sali. Rzadko zdarzało mu się widywać matkę i syna rozradowanych wspólną zabawą. Zenobia wyczuła jego obecność. Rzuciwszy mu spojrzenie przez ramię, krzyknęła:

– Nurbelu! Pomóż mi pokonać tego demona. Sama nie podołam, rozniesie mnie na strzępy!

Nurbel włączył się do zabawy. Z bojowym okrzykiem zasłonił ją przed ciosami Wabalata, który atakował teraz ze zdwojoną siłą. Głośną zabawą przerwały im gwałtowne okrzyki oburzenia.

– Przestańcie, dość tego! – Aszemu wbiegła do sali tak szybko, na ile pozwoliły jej spuchnięte nogi. – Czy potraciliście rozum?

Chwyciła kosz, oparła się na nim całym swym ciężarem, by przerwać jego kołysanie. Wabalat, rozzłoszczony uderzył szabelką w ramię starą nianię. Aszemu odwróciła się i jednym ruchem wyrwała mu z rąk zabawkę.

– Czy nie widzicie, że jest zupełnie mokry pod idiotycznym pancerzem?! – krzyknęła do Zenobii i Nurbela. – Jest upał, a on jeszcze wczoraj miał gorączkę! Oboje nie macie za grosz rozsądku!

Rzeczywiście tunika chłopca była mokra od potu. Policzki i czoło miał rozpalone, usta blade i suche, ręce drżały mu jeszcze z podniecenia.

Wabalat, na granicy łez, buntował się, protestował, że czuje się dobrze i że chce dalej się bawić. Zenobia przytuliła go do siebie.

– Aszemu ma rację. Nie powinniśmy tak zajadle walczyć. Teraz trzeba odpocząć, jutro znowu będziemy się bawić. Obiecuję ci to.

– Nie jestem wcale zmęczony. Aszemu jest za stara, żeby rozumieć...

– Óóóó! Zaprowadzi cię do łazienki, trochę odpoczniesz, a zaraz potem ja do ciebie przyjdę.

– Aszemu nigdy nie ma racji! – złościł się Wabalat. – Ona zawsze psuje mi zabawę. Dlaczego jej nie odeślesz? Jesteś królową a ja jestem księciem! Nie musimy jej

słuchać!

Nurbel wybuchnął śmiechem. Zanim jednak Zenobia zdążyła odpowiedzieć chłopcu, Aszemu wyrwała chłopca z objęć matki i powiedziała zrzędlwym tonem:

– Mam nadzieję, że to nie wszystko, czego uczy cię mistrz Longinus, abyś był dobrym królem!

Wyprowadziła chłopca z sali, obrzucając oboje takim spojrzeniem, że odebrała im ochotę do śmiechu.

– Szlachetny, Nurbelu, nie udawaj takiego sprytnego! Nic jesteś więcej wart niż ten Grek albo Basilissa. Dla was najważniejszą rzeczą jest bić się i wciągacie w to nawet dziecko!

W jej słowach więcej było wyrzutów niż gniewu.

– Ale charakterek! – jęknął Nurbel, gdy Egipcjanka wyszła z sali. – Wabalat ma rację. Ona nic nie wie o chłopcach. Była twoją piastunką. Niańką dziewczyny.

Zenobia zareagowała na też żart słabym uśmiechem. Nurbel z bólem serca dostrzegł, że choć Zenobia cieszyła się zabawą z synem, od wielu, wielu miesięcy nie opuszczało jej przygnębienie.

– Ale co tam – dodał. – Wabalat jest tak samo silny jak jego ojciec i ma tylko jedno pragnienie: być takim wojownikiem jak jego matka. Aszemu, jak wszystkie nianie, jest po prostu zazdrosna. Chciałaby zrobić z niego łagodnego, ślicznego księcia.

Tym razem Zenobia uśmiechnęła się do Nurbela.

– Niewielkie są szanse, żeby jej się to udało. Podobnie jaknie udało się jej ze mną.



Nurbel poszedł po skórzane pudełko, które odstawił na bok przed zabawą z Wabalatem.

– To prezent dla ciebie.

– Prezent? Z jakiej okazji?

– Och, jest wiele powodów, Basilisso, żeby robić ci prezenty – mruknął Nurbel zmieszany – Uświadomiłem sobie, że w przyszłym miesiącu minie dziesięć lat, kiedy dzięki tobie pokonaliśmy na wielbłądach jazdę Szapura i byłem świadkiem narodzin Alath. Chciałem uczcić tę rocznicę. – Pogłaskał się po łysej czaszce, co robił zawsze wtedy, kiedy chciał ukryć zmieszanie. – Nie obawiaj się – dodał, rumieniąc się – to nie suknia ani nie klejnoty! Tylko... prezent, który powinien ci się podobać.

– Och, Nurbelu!

– Nie dziękuj, dopóki nie otworzysz pudełka.

Zenobia rozwiązała rzemyki. Gdy podniosła wieko, krzyknęła zaskoczona.

– Co to jest?

W pudełku leżała brązowa, przezroczysta błona przypominająca pergamin.

Nurbel nie odezwał się słowem, nie poruszył się.

Kiedy Zenobia z pewną odrazą wzięła do rąk ową błonę, była tak zaskoczona, że z biciem serca wrzuciła ją z powrotem do pudełka. Okazało się, że jest to ni mniej, ni więcej tylko skóra człowieka, zdarta z ciała.

– Należała do Augusta Waleriana – wyjaśnił zadowolony Nurbel. – Teraz on z kolei wziął do ręki ten dziwny relikwiarz i wymachując nim, powiedział szyderym

tonem: – Oto, Basilisso, co zostało z wielkiego cesarza Rzymu.

– Niech bogowie mają go w swojej opiece! – szepnęła.

– Szapur rozkazał odrzeć zmarłego cesarza ze skóry i powiesił ją w swoim wojennym namiocie. Doszedł jednak do wniosku, że przynosi mu nieszczęście, bo wciąż z nami przegrywał. Ofiarował więc skórę jednemu ze swoich dowódców. A ja ją odkupiłem za sporą sumę.

– To niezwykły prezent, Nurbelu! Ale nie obiecuję ci, że przyozdobię nim mój nowy pałac.

– Nie w tym celu ci go daję, Basilisso. Z tej skóry możesz teraz zrobić dobry użytek.

– Jaki?

– Ofiaruj ją nowemu Augustowi.

– Po co?

– W Rzymie, podobnie jak u nas, zmarły bez cielesnej powłoki nic może być uznany za zmarłego. A tym bardziej Augustus. Ten, kto nosił tę skórę, nie przekroczył rzeki cieni i nie dotarł do siedziby bogów. Jeśli ofiarujesz ją nowemu cesarzowi, Lucjuszowi Aurelianowi, to chociaż zamordował on syna starego cesarza, będzie żył w pokoju z duchami Waleriana. Jak również z nami.

Zenobia uniosła brwi, twarz jej przybrała poważny wyraz.

– Chcesz pokoju z Rzymem?

We wzroku Nurbela pojawił się przebiegły błysk.

– To piękny prezent dla Rzymu. Podarek ten może zmniejszyć obawy Augusta Aureliana wobec nas. Zapomni

na jakiś czas, że Zenobia, która panuje nad całą Kapadocją aż po Arabię, stała się potężniejsza niż Persowie...

– To dobry pomysł, szlachetny Nurbelu. Ale obawiam się, że na nic się to zda, bo jest już za późno...

Odwrócili się, słysząc głos Longinusa.

Stał za parawanem, ze zwojem papirusu w ręku, z pewnością podsłuchując ich już od jakiegoś czasu. Skłonił się z szacunkiem Zenobii, a potem ze znacznie mniejszym respektem Nurbelowi.

– Wybaczcie, że was tak zaskoczyłem – powiedział. – Mam ważną wiadomość dla ciebie, królowo.

Nurbel kątem oka obserwował Zenobię. Chciał, żeby odpowiedziała Grekowi ostro, ale niestety, tak jak mówił shuloj, okazała niezwykłą u niej łagodność.

– Wcale nam nie przeszkadzasz, Longinusie. Popatrz, jaką niezwykłą rzecz przyniósł mi Nurbel.

Grek ledwie raczył spojrzeć w kierunku pudełka.

– Wybacz mi, królowo, ale nie odczuwam przyjemności na widok skóry zdartej z człowieka. Nawet jeśli należała ona do Augusta, który gardził moim narodem i obojętny był na piękno Aten.

– Co masz na myśli, mistrzu Longinusie, twierdząc, że jest już za późno na odsyłanie jej Rzymianom? – zapytał sucho Nurbel.

Longinus podniósł do góry papirus trzymany w ręce.

– Jest za późno na to, aby Rzymianie uwierzyli, że Basilissa Palmyry jest potężną ale nieszkodliwą królową. Chrześcijanie przebrani za żołnierzy Palmyry

zdeprawiali i podpalili świątynie Bostry. Wymordowali także kapłanów i kapłanki. Pożar z palących się sanktuariów przeniósł się na większą część miasta, zniszczeniu uległ także obóz legionów...

– Chrześcijanie? – zdziwiła się poblądła na twarzy Zenobia.

– U jednego z zabitych fałszywych żołnierzy znaleziono rybę, symbol chrześcijan – wyjaśnił Longinus.

– Ponadto mieszkańcy Bostry opowiadają że słyszeli modlitwy, które śpiewali ci ludzie, niszcząc wszystko dokoła. Były to modlitwy chrześcijan. Mówią również, że człowiek, który stał na ich czele, to nie oficer, lecz ich religijny przywódca.

– Czy widzieli jego twarz?

– Chyba nie. Dobrze ją zasłonił. Jednak właściciele karawan przypominają sobie, że kilka dni przed tą profanacją podróżował z nimi jakiś chrześcijanin z Emesy. Jego twarz trudno zapomnieć, bo była do połowy poparzona.

Nurbel spoglądał ze zdumieniem na Zenobię. Nigdy dotąd nie widział jej tak wstrząśniętej. Również Longinus zwrócił na to uwagę. Nie krył zdziwienia. Nie wiedział, czy ma mówić dalej.

– Co się stało? – zaniepokoił się Nurbel.

– Nic — skłamała Zenobia. – Może za długo bawiłam się z Wabalatem i powinnam się teraz czegoś napić. Aszemu ma rację, że upał tego lata zaczyna dawać się we znaki.

Longinus przyjął to kłamstwo ze stosownym uśmiechem. Zenobia, poleciwszy niewolnicom przynieść coś do picia, zabrała Nurbela i Longinusa na taras, na świeże powietrze, gdzie było łatwiej oddychać.

– Nie ulega wątpliwości – podjął znowu Longinus, zwracając się do Nurbela – że za późno już na jakieś gry z nowym cesarzem. Gdy dowie się on o zniewadze, jaka spotkała bogów Rzymu, uzna, że Basilissa zwraca się przeciw niemu.

– Ależ skąd! – oburzył się Nurbel. – Bardzo łatwo dowieść, że Zenobia została oszukana przez chrześcijan! Wiemy, gdzie ich znaleźć – w Emesie i Antiochii. Potrzeba mi zaledwie pięciu dni, żeby ich domy obrócić w popiół, a ich przywódcy, ci, których nazywają diakonami i biskupami, ugną kolana przed tobą Basilisso. To wystarczy, żeby uspokoić Augusta...

– Nie! – zawołała Zenobia. – Nie chcę, żeby chrześcijanom stała się jakaś krzywda.

Nurbel patrzył na nią w osłupieniu.

– Jeśli nie dasz dowodu swojej dobrej woli wobec Rzymian...

– Będzie to oznaczało wypowiedzenie wojny Rzymowi! – dokończył za niego Longinus. – Dobrze rozumiałeś, szlachetny Nurbelu.

– Dlaczego chcesz oszczędzić chrześcijan? – zapytał wzburzony Nurbel, ignorując Greka. – Co im zawdzięczasz? To szaleńcy! Znieważają cię, jak tylko potrafią. Ich kapłani bez przerwy obwieszczają w Emesie

i w Antiochii, że jesteś fałszywą boginią że jest tylko jeden bóg, ich bóg, i że nikt nie może być królem czy królową oprócz ich proroka! Nigdy nie próbowałaś zamknąć im ust. A teraz chcesz pozwolić na to, żeby ich zdrada pozostała bez żadnej reakcji z twojej strony? Nie rozumiem cię...

Zenobia spojrzała na niego bez słowa. Nurbel ujrzał w jej oczach mrok, który przerażał go od tak dawna, i pojął, że jest bezsilny.

– Basilissa ma rację, szlachetny Nurbelu – podjął ze spokojem Longinus. – Chrześcijanie są nam potrzebni. Nie zastawiają na nas pułapki, lecz dają nam okazję, na którą czekaliśmy.

– Czy mam podejrzewać, że ty sam maczałeś palce w tym, co się wydarzyło w Bostrze? – W tonie Nurbela słyhać było szyderstwo. – To by świetnie do ciebie pasowało.

Zenobia chciała się wtrącić, ale Longinus podniósł rękę w lekceważącym geście, ironicznie się uśmiechając.

– Nie musiałem nic robić, szlachetny Nurbelu. Zadowolam się obserwowaniem ludzkiej głupoty. Zresztą – zwrócił się do Zenobii – może Rzymianie nie zareagują? Są bardzo osłabieni. Walczą na wszystkich frontach i z trudem utrzymują swoje legiony. To będzie świetnym testem odwagi Augustusa Aureliana. Jeśli chce on wojny, królowo, to zdaje sobie sprawę, że będzie miał do czynienia z najpotężniejszą armią całego Wschodu. Tą która pokonała Szapura i...

– Nie opowiadaj mi naszej historii, Greku! –

wybuchnął Nurbel. – Dobrze ją znam. Tworzyłem ją wraz z Najjaśniejszym Panem i jego żoną Zenobią Ja, Nurbel, dowódca wojsk Palmyry! Wiem też, co potrafią legiony Rzymu, gdy chodzi o walkę na śmierć i życie. Ty zaś dajesz się zaślepiac swojej nienawiści do Rzymian. Sądzisz, że jesteś przebiegły, a jesteś nim w mniejszym stopniu niż chrześcijanie. Oni są naprawdę szaleni. Rozprzestrzeniają się na pustyni niczym szarańcza, głosząc cuda i raj ich boga, ale dobrze wiedzą że kiedy dojdzie do starcia między Palmyrą i Rzymem, wyniknie z tego jedynie katastrofa i nieszczęście dla nas wszystkich. A oni tego właśnie chcą naszej słabości, bo wtedy, jak zapowiadają zapanuje królestwo ich Chrystusa. Czy słyszałeś choć jeden raz jakiegoś ich kazania?

– Wolę słuchać dyskusji filozofów niż głupot tych na pół żydów.

– To źle robisz, bo nie wiesz, że mają oni tylko jedno pragnienie, żeby ich bóg zapanował nad całym światem i Rzymem.

– Czy mam przez to rozumieć, szlachetny Nurbelu, że boisz się walczyć z Rzymianami? – zapytał Longinus.

– Mówisz o tym, o czym nie masz zielonego pojęcia! Ty, z tą twoją grecką mądrością nie umiałbyś powozić bojowym rydwanem ani walczyć na wielbłądzie. Nigdy nie słyszałeś świstu strzał ani chrzęstu ostrza wbijającego się w ludzkie ciało. Potrafisz jedynie powtarzać puste frazesy.

– Nurbelu, proszę cię. – Zenobia położyła ręce na piersi starego wojownika.

Zdenerwowany Nurbel chwycił ja za nadgarstki.

– Pozwól mi, Zenobio, powiedzieć prawdę, której nie usłyszysz nigdy z ust twojego drogiego Longinusa. Jeśli zdecydujesz się na wojnę, musisz wiedzieć, co cię czeka. Augustus Aurelianus nie jest tchórzliwym, znużonym starcem. Walczy już od trzydziestu lat. Zabił własnoręcznie tysiące ludzi i nigdy, powtarzam, nigdy nie przegrał żadnej bitwy!

– To samo można powiedzieć o Basilissie Zenobii – wtrącił Longinus ostrym tonem. – Alath jest również niezwyciężona, nie zapominaj o tym, szlachetny Nurbelu. I nie walczyła z pospolitymi barbarzyńcami z Północy.

– W jednym masz rację, Greku – zauważył ironicznie Nurbel. – Aurelian, walcząc z nami, będzie prowadził wojnę z potężnym przeciwnikiem. Wypowie wojnę Basilissie, która chce rozszerzyć swe panowanie na Imperium Rzymskie! Bo tego właśnie pragniesz ty, mistrzu Longinusi.

Marzysz o tym, że Zenobia zdobędzie Rzym i cesarski wieniec. Występując przeciw nam, Aurelian nie będzie miał nic do stracenia. Jeśli Zenobia go pokona, straci wszystko. A ja, stary myśliwy, powiadam wam, że osaczone lwy mają w sobie siłę dusz wszystkich zmarłych przed nimi lwów.

Po tych słowach Nurbela zapadło milczenie.

Zarówno Longinus, jak i Nurbel, niczym dwaj zapaśnicy, z których żaden nie wyszedł zwycięsko z dopiero co odbytej walki, patrzyli wyczekująco na



Zenobię.

Gdy zwróciła się do nich twarzą jej wzrok przesłaniał większy niż dotąd cień. Wyglądała tak, jakby za moment miała zemdleć. Nurbel z wielkim trudem pohamował się, żeby nie wziąć jej w ramiona. Wroga obecność Longinusa kazała mu pozostać bez ruchu.

– Masz pod wieloma względami rację, Nurbelu – odezwała się w końcu ze słabym uśmiechem. – Zawsze masz rację, gdy rzecz dotyczy wojny. Ale nie problem wojny jest teraz najważniejszy. Chodzi o wielkość Zenobii i obietnice, jakie dała swemu mężowi i synowi. I dlatego zgadzam się z mistrzem Longinusem. Nadeszła pora, by dowiedziano się, że wolą Basilissy Palmyry jest panowanie nad Imperium Rzymskim.

## SIRMIUM

Niewolnicy postawili ostrożnie składany fotel Puliniusza w celli<sup>[52]</sup> świątyni. Tuż obok znajdował się ołtarz z wiszącym nad nim wielkim złotym dyskiem Słońca Niezwycięzonego. Dym kadzideł przyćmiewał światło wpadające od góry sklepienia.

w poduszki chuda sylwetka starego sekretarza niknęła pod niedźwiedzimi skórąmi. Mimo że sierpniowy upał trudny był do zniesienia, głowa Puliniusza trzęsła się, wargi były zwiotczałe, piegowata skóra tak ciasno opinała kości skroni i policzków, jakby miała zaraz pęknąć. Gdy uniósł powieki, ukazały się wyblakłe źrenice. Wymamrotał niewyraźnie kilka słów. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wysunął rękę spod futer. Zamachał nią po omacku w powietrzu.

– Jesteś tutaj, prefekcie? Nie widzę cię!

W jego ciągle jeszcze władcym głosie wyczuwało się zniecierpliwienie. Maksymus zbliżył się, dotknął palców Puliniusza i zanim stanął za fotelem, odrzekł:– Jestem tutaj, sekretarzu. Tak jak chciałeś.

– Ach! – Puliniusz oddychał szybko. Z jego gardła wydobywało się chrapliwe rzeżenie. Wytrzeszczał oczy w poszukiwaniu światła, kształtów, kolorów, których już nigdy nie miał rozróżnić.–Z każdą godziną jest coraz

gorzej – jęknął. – Czy uwierzysz, że teraz widzę mniej niż dziś rano?

– Tutaj jest bardzo ciemno. Dym kadzideł zasłania światło...

– Bzdury, prefekcie Maksymusie! – przerwał mu ze złością Puliniusz. – To moje oczy nic nie widzą. Chcę jednak wiedzieć, jak to się odbywa... – Musiał przerwać, żeby odetchnąć. Zacisnął pięści na piersi. – Co on robi? – Gest i pytanie dotyczyły Aureliana.

Znajdowali się w świątyni w Sirmium, w tej samej, w której Julia Kordelia tak długo odprawiała nabożeństwa i głosiła swoje przepowiednie. Tego dnia Aurelian pragnął poprzez bogate ofiary podziękować duchom swojej matki i łaskowości jej boga. Puliniusz postanowił uczestniczyć w tej ceremonii i zażądał, żeby jego bezpieczeństwem zajął się Maksymus, który unikał wejścia do jakiegokolwiek świątyni.

Puliniusz suchymi palcami ścisnął rękę Maksymusa, wrywając go z zadumy.

– Opowiadaj, prefekcie! Po to tu jesteś. Co on robi?

– Augustus stanął właśnie przed złotą tarczą – odrzekł bez entuzjazmu Maksymus. – Kapłanki składają ofiary na ołtarzu. Ma przy sobie tylko tarczę.

– Tę wielką? Ze skarbcza w Nikopolis?

– Tak. Tarczę Kniwy, obitą złotem, ozdobioną głową smoka Północy. Tę, którą ujrzał Augustus Decjusz, zanim zginął w bagnach w okolicach Abrittus.

– Doskonale, doskonale! Dobra ofiara.

Tak, niewątpliwie. Przypominała ona Maksymusowi tę straszną noc sprzed dwudziestu laty, kiedy u boku Aureliana, walcząc z mdłościami, odwracał setki trupów napeczniałych od bagiennych gazów, nic odnajdując jednak ciała cesarza. Aurelian poprzysiągł wówczas, że pokona Kniwę i jego potomstwo. I dotrzymał przysięgi. Pokonał barbarzyńcę, zamordował jego synów, zwrócił Rzymowi bajeczne skarby, jakie Goci zdobyli, plądrując miasta imperium. Zachował jednak dla siebie złotą tarczę ich wodza. I nie tyle z powodu ogromnej wartości, jaką posiadała. Owa tarcza z jakiegoś powodu przypominała mu Augustusa, który pierwszy obdarzył go życzliwością i zaufaniem.

– Opowiadaj, prefekcie. Nie stój tak, opowiadaj!

– Nie ma co opowiadać, sekretarzu. Kapłanki ustawiają się wokół Aureliana, żeby...

– Czy są młode?

– Bardzo młode.

– Czy słońce jest już na tarczy?

– Jeszcze nie. Ale zaraz jej dosięgnie.

– Nie słyszę śpiewu kapłanek.

– Pewnie czekają na słońce.

– Tak uważasz?

– Niewiele wiem na temat ceremonii związanych ze Słońcem Niezwyciężonym, sekretarzu.

– Nie znasz się również na innych bogach – mruknął Puliniusz. – Jego pierś unosiła się ciężko, policzki drżały. Śmiał się. – Aurelian ma na sobie purpurową togę? –

zapytał znowu.

– Uroczystą togę z liśćmi akantu i wieńcem laurowym, odpowiednią na taką okazję.

– Nie wydajesz się zachwycony, prefekcie.

Maksymus kiwnął tylko głową. Puliniusz się nie mylił. Nie miał w sobie entuzjazmu.

Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w życiu był tak przygnębiony. Czuł niezmierny, ciężący mu smutek, którego nawet nowa funkcja pierwszego oficera przy Auguście Aurelianie nie mogła rozproszyć. Przeciwnie, codzienne przebywanie z Aurelianem jeszcze bardziej pogarszało jego nastrój.

Powodem była śmierć Klodii.

Był to dla niego cios, po którym nie mógł dojść do siebie.

Wiść o jej zamordowaniu dotarła do nich w przeddzień obwołania Aureliana cesarzem przez legiony naddunajskie, Panonii i Dalmacji. Wiść tak niesamowita, że Maksymus nie dopuszczał jej do świadomości. A kiedy w końcu się z tym pogodził, zdał sobie sprawę z obojętności Aureliana.

On, którego Klodia kochała do szaleństwa, nie objawił żadnego znaku cierpienia. W jego oczach ani na chwilę nie zabłyśły łzy, nie zadrżały usta. Pięści nie zacisnęły się bezradnie, nie pochylił głowy. Nie miał ochoty krzyczeć, rozpaczać. Nie. Był spokojny. Bardziej niż spokojny – pogodny. A gdy Maksymus w jego obecności pozwolił sobie na okazanie gwałtownego żalu, bijąc się w piersi,

żeby zagłuszyć szloch, Aurelian chłodno poradził mu, aby poszedł odpocząć.

– Jutro czeka nas długi dzień i musisz zapomnieć o mojej siostrze, prefekcie.

On, Augustus Aurelianus, z pewnością już o niej zapomniał. W ciągu tego całego hałaśliwego, męczącego dnia nikomu nie przyszłoby nawet na myśl, że dopiero co stracił tę, która starała się od zawsze, aby otrzymał wieniec laurowy.

Przez te wszystkie ostatnie dni Aurelian ani razu nie wymówił imienia Klodii.

Maksymus po pijanemu próbował to na nim wymóc. Aurelian odpowiadał mu jednak lodowatym spojrzeniem, w którym nie było ani śladu przyjaźni, i nakazywał mu milczeć.

Maksymusa ogarnęło uczucie gorzkiej, bezgranicznej samotności. Chociaż były to najgorętsze letnie noce, nie mógł zasnąć, drżąc z zimna. Noc po nocy uświadamiał sobie, że kochał Klodię. Miłość do niej była tak głęboko w nim zakorzeniona, że nawet teraz, po jej śmierci, nie potrafił się z niej wyzwolić.

Tak, pamiętał, że wiele razy powtarzał, iż uczucie miłości jest mu obce. Kłamstwo! Nie chciał jedynie okazać się słabszym od niej.

Zniósł bez większego wysiłku ich rozstanie, gdy Klodia po sprzeczce z Aurelianem nie chciała jechać z nim do Rzymu. To, że została odtrącona przez brata, potraktowała wręcz obsesyjnie jako upokorzenie. On zaś,

choć głośno tego nie mówił i nie przyznawał się sam przed sobą, wierzył, że ona kiedyś do niego wróci. Jej nieobecność była jeszcze jedną grą w ich związku, pełnym niedomówień i podstępów.

Maksymus wiedział, że Klodia mieszka w Sirmium lub w Rzymie. Wiedział, że żyje, i nie odczuwał jej braku. Wciąż miał nadzieję, że przyjdzie taki dzień, w którym dopatrzy się w jej twarzy lub w geście, może w krzyku rozkoszy, echa trawiącej go miłości.

Klodio! Klodio!

A teraz dotkliwie mu jej brakowało. Wszystkiego. Kłamstw, oszustw, zimnego okrucieństwa. Ust, które bywały tak czerwone, tak chciwe. Gorąca skóry, siły ud, gdy się kochali, dreszczu pełnego pożądania, twardych sutek piersi, które tak często chwycił wargami. Brakowało mu tego wszystkiego.

Teraz jej nieobecność drażyła w powietrzu wokół niego lodowatą pustką. Mógłby wyciągnąć rękę i zobaczyć, jak w tej pustce zamienia się ona w lód.

Noce były dla niego torturą. W ciemnościach wracały ożywione w umyśle obrazy Klodii. Widział jej piękno. Zdawało mu się, że wargami muska delikatną skórę.

On, doświadczony żołnierz, tarł pięściami powieki jak dziecko, żeby przegonić iluzje, które zrodziło cierpienie, żeby nocy nie wypełniła cisza osamotnienia.

Augustus Aurelian pozostał całkowicie obojętny na śmierć Klodii.

Z zamyślenia wyrwał Maksymusa chrypliwy pisk.

– Co jest, prefekcie? Zapomniałeś języka w gębie?  
Czy na dysku nadal nie ma słońca?

– Już jest, sekretarzu.

Światło słońca zaczynało przenikać przez szpary w sklepieniu świątyni. Muskało złoty dysk i łagodnie się w nim roztopiało. Kapłanki kiwały się wolno. Unosiły w zgodnym rytmie woalki, które falowały jakby pod wpływem tchnienia wiatru. Ich śpiew stawał się coraz głośniejszy, wibrujący:

– Eeeooo! Eeeeeyohoyoooho!

Wygięte do tyłu, z ramionami i piersiami wstrząsanymi drgawkami, otoczyły Aureliana. Blask słońca był już tak intensywny, że przenikając przez przezroczysty materiał tunik, ukazywał ich młode ciała.

– Widzę je! – krzyknął Puliniusz. – Widzę słońce!  
Światło przedostało się do moich chorych oczu!

Spragniony światła podniósł twarz do góry. Złoty blask podkreślał jego zmarszczki, jego starość. Gorąco zrobiło się wręcz nieznośne. Maksymus zasłonił oczy rękami.

– Co robi Aurelian, prefekcie?

Aurelian potrząsał nad głową tarczą od której odbijał się złoty blask tarczy Słońca Niezwycięzonego. Toga ześliznęła mu się z ramion, które lśniły niczym posąg z brązu. Kapłanki tańczyły wokół niego coraz szybciej, wpadając w trans, wydawały z siebie okrzyki.

– Czuję na sobie słońce – zachrypiał znowu Puliniusz, drżąc na całym ciele. – Grzeje mnie, grzeje...



Podniósł w kierunku tarczy powykręcane palce, sflaczałe policzki. W groteskowym geście wykonał kilka tanecznych ruchów przy akompaniamencie krzyków i śpiewów, wypełniających świątynię osnutą kadzidlany dymem. Maksymus skrzywił się z niesmakiem. Brzydota tego starego człowieka, obnażająca jego bezsilność i bezradność w zestawieniu z żywiołowością młodych kapłanek, była komiczna i zarazem patetyczna.

Umysł starego sekretarza nie stracił jednak nic ze swej jasności.

– Słyszę kapłanki i Aureliana, prefekcie Maksymusie, ale nic słyszę twojego głosu.

Maksymus pochylił się do ucha Puliniusza.

– Wybacz mi, sekretarzu, ale nigdy nie byłem wielkim wielbicielem bogów. Ani Słońca Niezwyciężonego, ani innych.

Puliniusz zadrżał jeszcze bardziej. Trząśł mu się podbródek, mrugał powiekami.

– Podobnie jak ja – powiedział ochryple. – Podobnie jak ja, prefekcie. Nawet dziś, gdy jestem już dwa kroki od śmierci.

Musiał odetchnąć, żeby mówić dalej. Blask tarczy rozjaśnił świątynię, rozgrzewał do czerwoności twarze i kamienie.

– Ale Słońce Niezwyciężone jest dla mnie łaskawe. Och, prefekcie, już od wielu miesięcy nie było mi tak ciepło!

Puliniusz kołysał się, popiskując z rozkoszy. Nagle

chwycił rękę Maksymusa. Podniósł ku niemu niewidzące oczy.

– Cicho, sza, prefekcie! Idź za moim przykładem. Nie okazuj tego, co myślisz o bogach. Zwłaszcza przy Aurelianie. On wierzy w nich bezgranicznie. Augustus powinien wierzyć w bogów.

\* \* \*

Ceremonia trwała tak długo, że Puliniusz zmęczył się i w końcu zasnął w swoim fotelu. Maksymus, korzystając z tego, wyszedł do portyku świątyni, aby wydać kilka rozkazów cesarskiej eskorcie, która utrzymywała gapiów w przyzwoitej odległości.

Gdy wrócił do celli, złoty dysk jarzył się jaskrawym światłem. Śpiewy umilkły. Aurelian i kapłanki stali tak blisko fotela Puliniusza, że Maksymus nie od razu dostrzegł bezwładne ciało pod futrami.

– Co się stało?

Aurelian, z wilgotnymi skroniami, z oślepieniem jeszcze wzrokiem, oznajmił mu:

– Puliniusz zmarł. Słońce Niezwyciężone przyjęło go do siebie.

Maksymus doznał dziwnego wrażenia, że Aurelian się uśmiecha.

Nie mógł zapanować nad nienawiścią, która wezbrała w nim gwałtownie.

– No to możesz być zadowolony, Augustusie

Aurelianie! Przede wszystkim nie okazuj żadnego uczucia. Pozostań sztywny i chłodny. Wszystko umiera, wszystko ginie wokół ciebie. Ale ty nie mrugniesz nawet okiem. Bogowie są dla ciebie tacy łaskawi! Zabierają tych, którzy pragnęli dla ciebie władzy i sławy, a ty zachowujesz się tak, jak gdyby nic się nie stało.

– Maksymusie...

– Podziękuj bogom, Augustusie. Zaledwie zostałeś cesarzem, a imperium już się rozpada! O tak, oni cię wspierają...

– Zamilcz, prefekcie! Milcz, jesteś w świątyni.

Słowa Aureliana zabrzmiały tak głośno, że kapłanki aż się wzdrygnęły. Zaniepokojone, zmęczone ceremonią zwróciły ku nim przestraszone twarze.

– Nie wiesz, co mówisz! – gromił go Aurelian.

Zmierzyli się wzrokiem tak wrogim jak nigdy dotąd. Maksymus nie ustąpił przed lodowatym błękitem oczu, które tak dobrze znał. Jego usta wygięły się w wyrazie wzgardy, nad którą już nie panował.

– Źle postępujesz, Augustusie.

Aurelian takim samym gestem, jakby chwycił miecz, złapał Maksymusa za rękę. Popychając go całym swoim ciężarem, zaciskając ręce na jego karku, doprowadził go do samego ołtarza pod złoty dysk.

– Poczuj żar Słońca Niezwyciężonego! Poczuj go chociaż raz!

Odskakując od tarczy, Maksymus zachwiał się. Próbował chwycić Aureliana za nadgarstki, ale Aurelian

przyciągnął go do siebie, uwięził między własną pierśią a słoneczną tarczą.

– Wiem, co myślisz od wielu dni – szepnął prosto do ucha Maksymusa. – Nienawidzisz mnie, bo nie opląkuję Klodii, bo nie cierpię tak jak ty co noc, nie mogąc zasnąć. Ty jednakże nic nie rozumiesz, bo twoje serce jest zamknięte przed bogami. Nie widzisz ich dzieła. Klodia musiała umrzeć, ponieważ nie wspierała już mojego przeznaczenia, lecz szkodziła mu. Mitra i Słońce Niezwyciężone uwolnili mnie od jej ciężaru. Wyzwolili mnie od przeszłości, aby nic nie zakłócało blasku Augustusa Aureliana. Moja matka skierowała mnie na właściwą drogę i usunęła się. Puliniusz służył mi radą aż do dnia obwołania mnie cesarzem i odszedł. Czyż sam tego nie zapowiedział w twojej obecności? Klodia musiała zniknąć. Musiała! Maksymusie, czy ty tego nie pojmujesz?

Maksymus przestał się opierać, zamknął oczy. Złoty dysk błyszczał słonecznym blaskiem. Rzucił promienie na ich dyszące przyśpieszonymi oddechami twarze.

– Jesteś tak samo szalony, jak Ulpia, Aurelianie. Klodia chciała tylko twojego dobra. Chciała, abyś był wielki i potężny. Żyła miłością do ciebie, a ty nie pozwoliłeś jej zobaczyć laurów na twoim czole.

– Nie powinna była tego zobaczyć. Jej spojrzenie zbrukałoby wszystko! Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Maksymus próbował się wyrwać, ale Aurelian przytrzymał go jeszcze mocniej.

– Tracisz rozsądek, Aurelianie – wychrypiał.

– Ona nosiła w sobie występki, Maksymusie! Zapomniałeś o tym? Chciała tylko władzy, chciała zająć moje miejsce. Bogowie ukarali ją tak, jak na to zasłużyła.

– To Ulpia ją zabiła, a nie oni. Twoja żona. Twoja szalona żona.

– Nie umiesz dostrzec potęgi bogów ponad pozorami. Ulpia wypełniła przeznaczenie.

– A jakie jest moje przeznaczenie, Augustusie Aurelianie? Czy ja też mam umrzeć, aby ciężar przeszłości nie przeszkadzał twoim laurom?

– Nie, Maksymusie! Nie! Ty jesteś moim przyjacielem. Od zawsze. Musisz mnie wspierać, jak wspierają mnie bogowie.

Maksymus się roześmiał.

– Wspierają cię w ten sposób, że podburzają przeciw tobie królową Palmyry? Odmówiła zawarcia pokoju. Jej żołnierze palą świątynie rzymskich bogów i maszerują na Egipt. A tego właśnie pragnąłeś zawsze uniknąć, Aurelianie. W tym samym dniu, kiedy zostałeś cesarzem, imperium rozpada się w twoich rękach.

– Nie! Wręcz przeciwnie! – Głos Aureliana był już spokojny. Zwolnił uścisk, pozwolił Maksymusowi wyprostować się. Uśmiechał się, a w jego oczach igrał złoty blask. – Imperium nie rozpada się i nigdy to nie nastąpi. Zenobia nie chce pokoju? Będzie miała wojnę. I ją przegra.

Maksymus nic nie odpowiedział. Poczł się nagle wyczerpany, pokonany obojętnością, jakiej sam nigdy nie

doświadczył. Radosna twarz Aureliana była twarzą brata, który stał się wrogiem.

Chciał odejść, być przy Puliniuszu, którego ciało bez życia, z niewidzącymi nic oczami, kapłanki owijały w płótno. Aurelian stanął naprzeciw niego, objął go za ramiona w takim samym jak zawsze geście przyjaźni.

– Moja matka miała rację, Maksymusie. To kobieta miała przyczynić się do triumfu Aureliana. Teraz wiem, kim ona jest. Julia Kordelia zawsze miała rację, a ja nie chciałem jej wierzyć. Bogowie odsłaniają nam teraz, która to kobieta spowoduje mój triumf. Królowa Palmyry! Zenobia, czerwona bogini, jak ją nazywał Puliniusz. Ta, którą ludy pustyni nazywają Alath! – Rozeźmiał się niespodziewanie. – Pokonam ją. Bogowie uczynili ją tak silną, żeby ośmieliła się wystąpić przeciw mnie, ale jej klaska uświetni tylko chwałą Aureliana.

Maksymus uniósł brwi.

– Wybacz mi, ale nie wyobrażam sobie tego, Augustusie. Zenobia nie padła jeszcze na kolana przed tobą. Pokonała Szapura, podbiła ludy Wschodu aż do Arabii. Umie walczyć na pustyni i ma wojowników gotowych umrzeć dla niej bez szemrania. Ma dziesięć tysięcy jazdy i dwa czy trzy tysiące opancerzonych koni. A my zbierzemy z trudem tysiąc mauretańskich jeźdźców, którzy mogą dołączyć do naszych legionów. Ile będzie tych legionów? Nie możemy ściągnąć więcej niż trzy lub cztery, żeby nie wystawić na niebezpieczeństwo granic na Północy i nad Dunajem. Nie łudź się. Zenobia zdaje sobie sprawę,

że chcąc opanować Egipt, napotka sprzeciw Rzymu. Ale wcale się tym nie przejmuje, bo zna nasze słabości tak samo dobrze jak własną siłą.

Aurelian śmiał się nadal. Był to tym razem śmiech lekki, jakiego nie słyszano u niego już od bardzo dawna.

– Maksymusie! Zapomniałeś o naszych bitwach? Pokonamy Zenobię tak, jak pokonaliśmy Sarmatów nad Dunajem. Podstępem i odwagą. Maksymusie, czy nie widzisz, jak się wszystko rozjaśnia? Że Mitra i Słońce Niezwyciężone wytyczają mi drogę na każdym kroku? I tak było zawsze, tylko teraz już niczego przede mną nie ukrywają. Zaufaj mi, przyjacielu. Zenobia urodziła się po to, żeby dopełnić triumfu Augustusa Aureliana w Rzymie.

**Część 4**  
**ZŁOTE ŁAŃCUCHY**  
**271–275 r. n.e.**



**PALMYRA**

Wabalat obserwował pustynię. Gwałtowne podmuchy wiatru wzbijały piasek, tworząc słupy wirujące ku zaciągniętemu chmurami niebu, z którego nigdy nie padał deszcz. Gaj palmowy był ciemny, woda w Wadi Qubur brunatna i wolno płynąca. Na drodze z Emesy wciąż było pusto.

Wychodziła ona z miasta wprost na zachód, wiła się między grobowcami, po czym znikwała za wzgórzami pozbawionymi traw i krzewów, gdzie słońce już rysowało cienie. Potem pojawiała się jeszcze dalej, na kamienistym terenie i całkiem znikwała za horyzontem.

Wabalat wpatrywał się w nią od wielu godzin, ale jak dotąd dostrzegł tylko kilka osłów i mułów prowadzonych przez dzieci. Od czasu do czasu pojawiały się też kobiety, zmierzające nie wiadomo dokąd, a powiewające wokół nich woalki przywodziły na myśl skrzydełka niezdarnych skarabeuszy.

Droga była nadal pusta, pusta, pusta!

Wabalat pomyślał o tamtym strasznym dniu w Antiochii, gdy czekał na matkę w swoje szóste urodziny. Czekał wtedy bardzo długo. Potem zabójcy poderżnęli gardło jego ojcu, zamordowali ciocię Dinah i omal nie zabili jego samego.

Dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy. Przymknął oczy, zagryzł usta.

Musi zachowywać się jak wojownik. Był księciem, synem Basilissy Zenobii. Musi być odważny i umieć ukrywać ból oraz strach.

Jednak rozczarowanie i lęk skręcały mu wnętrzności. W piersi czuł dławiący ciężar.

Jak to było możliwe? Jak to mogło się stać?

Nie wątpił w prawdziwość tego, co usłyszał. Wystarczyło zaobserwować twarze w pałacu, na ulicach Palmyry. Łucznicy pełniący wartę na murach nie śmieli spojrzeć mu w oczy. Podobnie jak on, zaniepokojeni, wpatrywali się w drogę z Emesy.

Droga jednak wciąż była pusta. Wabalat postanowił czekać na matkę. Nie pokaże po sobie lęku. Jest panem miasta. Wszyscy muszą wiedzieć, iż jest synem Alath.

\* \* \*

– Książę Wabalat! Tu jesteś!

Wabalat nie odwrócił się.

– Aszemu niepokoiła się...

– Aszemu zawsze się niepokoi. Chce stale biegać za mną. Tyle tylko, że ona nie ma już siły. Jest za stara. Tak jak ty, shuloj.

Shuloj, ciężko oddychając, oblizał językiem wargi. Oparty na lasce, przyglądał się chłopcu z rozrzewnieniem.

– Masz rację. Jesteśmy starzy. Ale Basilissa rozkazała

nam, abyśmy ciebie nie spuszczały z oczu. Jeśli tego nie zrobimy, co na to powie?

Wabalat powstrzymał się od odpowiedzi. Stał nieporuszony, jakby zahipnotyzowany białą drogi wibrującej w żarze pustyni.

Szarha przesłonił ręką oczy, żeby także tam popatrzeć. Ale słaby wzrok nie pozwolił mu dostrzec niczego poza brązowymi i żółtymi plamami.

Doskonale rozumiał, dlaczego chłopiec stoi tu w milczeniu, walcząc ze swoim niepokojem. Nie musiał o nic pytać.

– Co on według ciebie ma robić? – powiedział przedtem, zwracając się do Aszemu. – Czeka na matkę.

Egipcjanka, przykuta do łóżka, gdyż nogi nie chciały jej już nosić, nie ustępowała.

– Znajdź go, shuloj. I nie zostawiaj samego! Obiecałam to Zenobii. A ty, jeśli zależy ci na mnie, zrób to, o co cię proszę.

Aszemu nie myliła się, ale i Wabalat miał rację. Podeszły wiek nie czyni człowieka bardziej inteligentnym ani bardziej rozsądnym. Jednak jednym z przywilejów starości jest rozumieć argumenty za i przeciw w każdej sprawie.

Shuloj miał ochotę położyć rękę na wiotkiej szyi chłopca. Pomyślał jednak, że dotknięcie jego szorstkiej dłoni nie będzie dla niego miłe, i powstrzymał się od tego gestu.

W końcu Wabalat, nie odwracając się, oświadczył:

– Wszystko słyszałem, shuloj. Nie chcieli, żebym słyszał, ale ja usłyszałem. Rzymianie pokonali moją matkę.

Jakże trudne do wymówienia były te słowa. Głos chłopca drżał.

– Nie, książę Wabalat. Jeszcze jej nie pokonali. Wygrali tylko jedną bitwę.

Wypowiedziane przez shuloja kłamstwo zasiało na krótko zwiewną jak dym kadzidła nadzieję. Wabalat pokiwał głową.

– To więcej niż jedna bitwa i ty to wiesz dobrze. Zdrajcy w Emesie i Antiochii poddali miasta mojej matki cesarzowi Rzymu.

Szarha pomyślał, że młodych zadowala tylko prawda.

– Augustus nie zdobył jeszcze Palmyry.

Chłopiec milczał, zaciskając pięści na brzuchu.

– Moja matka nigdy dotąd nie została pokonana – powiedział w końcu głosem stłumionym łkaniem. – Nigdy! To nic powinno było się wydarzyć!

– Twój ojciec, Dostojny Odenatus, przegrywał czasami bitwy. Z Szapurem i innymi. Jednak, gdy nadchodził koniec wojny, to on był zwycięzcą.

– Wojny nigdy się nie kończą! A teraz walczymy z Rzymianami. Nurbel powiedział mi kiedyś, że jeśli raz dasz Rzymianom wygrać, staną się jak lwy i nie spoczną, dopóki cię całego nie pożrą.

Chłopiec był inteligentny i pamiętał to, czego go uczono. Szarha miał jedynie nadzieję, że rozsądek nie pozwolił Nurbelowi zdradzić chłopcu przekonania, iż

wojna z Rzymianami z góry skazana jest na przegraną.

– Nurbel, tak jak ty i Aszemu – odezwał się znowu chłopiec z wyrzutem – jest za stary. Za stary i za głupi. Jeśli matka zostanie pokonana, to z jego winy. Wpadł w zasadzkę Rzymian...

– Książę...

– Nie próbuj go bronić! Wiera, co mówią posłańcy. Armia Palmyry była dwa razy liczniejsza od armii cesarza. Matka miała opancerzone konie i cztery, pięć razy więcej jeźdźców niż Rzymianie. Nigdy, nigdy nie powinna była zostać pokonana!

Szarha uniósł brwi, pochylił głowę, jak zwykł czynić, co wielu brało za oznakę aprobaty.

– Nawet takie dziecko jak ja wie, że nasze ciężkozbrojne konie nie mogą długo galopować – ciągnął rozgorączkowany Wabalat. – Szybko się męczą. Dzięki temu moja matka zwyciężyła za pierwszym razem Szapura. Sama mi o tym opowiadała. Dlaczego Nurbel kazał naszym pędzić za Rzymianami?

Szarha nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. O sprawach wojennych nie miał pojęcia.

Wiedział tylko, czym jest strach, taki jak ten, który dziś czują. Wiedział, czym jest ból upokorzenia, jakiego musieli doświadczać jego przyjaciel, szlachetny Nurbel, i ukochana Basilissa.

– Oczywiście nie wiesz – stwierdził ze złością Wabalat. – A ja wiem. Bo on jest za stary! Dlatego moja matka została zwyciężona w Emesie! Bo ma przy sobie

tylko takich starców jak ty i Nurbel. I nawet ten Grek, który chce wszystkim rządzić, nic nie wie, bo jest za stary... Gdybym miał dziesięć lat więcej! Nawet pięć by wystarczyło. Byłbym teraz u jej boku. Razem zwyciężylibyśmy. Zrozumiałbym, że ucieczka rzymskich jeźdźców była pułapką. Zdałbym sobie sprawę z tego, że Nurbel za daleko zagnał nasze ciężkozbrojne konie. Stanąłbym na czele łuczników razem z matką i udałoby się nam stawić czoło legionom. Mimo zasłony z tarcz i wszystkich podstępów, jakich się zazwyczaj chwytają, i tak byśmy ich pokonali. Wszyscy mówią, że żołnierze Palmyry są najlepsi. Pokonalibyśmy Rzymian...

Chłopiec umilkł. Jego słowa przez chwilę krążyły wokół nich, splatając wątlą tkaninę niemożliwego do spełnienia marzenia. O, gdybyż nie było upływu czasu! Gdybyż bogowie pozwalali ludziom usuwać ich błędy! Gdybyż nieszczęście nie było nieszczęściem! Gdybyż mogły wrócić śmiech i radość!

– Tak – przyznał spokojnie Szarha. – Masz z pewnością rację, książę. Szkoda, że nie mogłeś wesprzeć Basilissy. Ale to nic straconego, wierz mi. Wkrótce tu przybędą. Będiesz mógł pomóc królowej bronić Palmyrę przed Rzymianami. Pokonać ich. Jestem pewien, że twoja obecność będzie bardzo pomocna.

Wabalat kiwnął potakująco głową. Taki jest przywilej młodości, że marzenia związane z dniem jutrzejszym są w stanie zniwelować cierpienie dnia dzisiejszego.

W milczeniu obserwowali wciąż pustą drogę z Emesy,

podczas gdy wokół nich, w mieście i w gaju palmowym, hałasy i krzątania mieszkańców wydawały się stłumione, wolniejsze, jakby bardziej ostrożne niż zwykle.

– Dlaczego mieszkańcy Antiochii i Emesy zdradzili moją matkę, shuloj? – zapytał nagle Wabalat. – Przecież wszystko, co robiła, było dla ich dobra. Uczyniła ich bogatymi. A mimo to, gdy przybył cesarz, natychmiast mu otworzyli bramy. Posłaniec opowiadał, że nawet tańczyli i śpiewali, jakby to było jakieś święto. Nikt z nich nie chciał bronić miast Basilissy.

Zdziwienie chłopca było szczere. Szarha westchnął, odsłaniając przy tym swoje bezzębne dziąsła.

– Chrześcijanie nie lubią naszej królowej. To oni otworzyli bramy i knuli z Rzymianami.

– Chrześcijanie!

– Tak, książę, oni nie wierzą w nic z tego, w co my wierzymy. Nigdy nie wiadomo, co wymyślą. Jednego dnia twierdzą, że Rzym jest uosobieniem szatana, i biegną schronić się przed nim do Palmyry. A już nazajutrz głoszą, że Basilissa jest fałszywą boginią i że dosięgnie ją kara ich Boga.

– Ty też uważasz, że moja matka jest fałszywą boginią?

– Skądże znowu! Chrześcijanie czczą bogów niewidzialnych! A ja wierzę w to, co widzę. Basilissa narodziła się z woli Baalszamina, z jego gwiazdy. Pewnego dnia przybyła tutaj, ujrzałem ją żywą, podczas gdy wszyscy sądzili, że umarła. Nawet twój ojciec,

Najjaśniejszy Pan, zrazu w to uwierzył. A potem Basilissa wypełniała wszystko, co zapowiadała. Tego, co robiła, nie dokonałaby żadna ludzka istota, żaden mężczyzna. A przecież była wówczas tylko młodą dziewczyną. Jej uroda zatykała oddech. Możesz mi wierzyć, książę.

– Była piękniejsza niż dziś?

– W inny sposób. Ale zawsze przewyższała urodą zwykłe kobiety.

Szarha miał wrażenie, że ujrzał cień uśmiechu na wargach chłopca, i odczuł pewną ulgę.

– Choć ona tego nie chce, wypędzę, kiedy dorosnę, chrześcijan z Palmyry i ze wszystkich miejsc, dokąd sięga nasze panowanie... To są zdrajcy i szaleńcy. – Przerwał i pokazując ręką na zachód, zawołał: – Shuloj! Patrz! Shuloj! Nadjeżdżają...

Szarha dojrzał między grobowcami i grzbietem gór jedynie chmurę pyłu. Może nawet jakiś ruch na spieczonej powierzchni pustyni. Mógł to być jednak tylko wir wiatru. Drzenie gorącego powietrza. Nie był w stanie ani potwierdzić, ani podać w wątpliwość słów chłopca.

Tymczasem Wabalat biegł już ku schodom na murach, wołając z daleka, aby podano mu konia. Szarha nie mając siły ani chęci protestować, rozkazał, aby przyprawiono spokojnego, niezbyt ognistego konia.

Ogarnięty niepokojem myślał tylko o tym, żeby byli to rzeczywiście wojownicy Zenobii i Nurbela, a nie rzymscy legioniści.



\* \* \*

Pędził jak wiatr, ze śmiechem na ustach. Galopował jak prawdziwy wojownik Palmyry, poganiając konia batem i krzycząc:

– Alath! Alath!

Odpowiadały mu ściany grobowców stojących wzdłuż drogi. Gdy mijał wysoką wieżę grobowca z prochami jego ojca, Dostojnego Odenatusa, wydało mu się, iż usłyszał echo dodające mu odwagi.

– Alath! Alath!

Tłoczący się na drodze, kobiety, starcy, z wielbłędami, z wózkami z ptactwem domowym, mieszkańcy Palmyry, podnosili ku niemu wzrok, a rozpoznawszy go, usuwali się szybko na bok. Spod kopyt konia unosił się kurz, pryskały kamienie. Wabalat wyobrażał sobie pełne podziwu szepty tych ludzi.

– Alath! Alath!

\* \* \*

Wjechał na szczyt pagórka i ujrzał przed sobą armię Palmyry.

Szeroka kolumna nie mieściła się na drodze. Rozlewała się po pustyni. Tysiące uzbrojonych wojowników pokrywały stoki wzgórz jak okiem sięgnąć. Nie widać było jej końca. Była jak przypływ, różnobarwny, ruchomy, zbliżający się wśród szczęku zbroi, tupotu kopyt,

skrzypu kół. Jak ocean rozlewający się po zakamarkach pustyni. Konie, wielbłądy, muły, wozy, wszystko mieszało się, kołysało w jednym wielkim zgiełku. Jedyne jeźdźcy i łucznicy jechali w szyku. Ale pozostało z nich tylko kilkaset.

Wabalat z bijącym sercem, ze ściśniętym gardłem, puścił konia stępa. Wypatrywał czerwonego pancerza jadącej na czele matki. I znowu zakrzyknął:

– Alath, moja mama!

Popędził wierzchowca. Ponad ogólnym hałasem wzbił się głos trąbki. Kolumny jeźdźców i łuczników, przypominające monstrualnego węża, zwolniły, zatrzymały się.

Znowu zabrzmiała trąbka. Wabalat domyślił się, że matka poznała syna pędzącego na jej spotkanie. Zapadła śmiertelna cisza. Słyszeć było tylko galop jego konia.

Kiedy jednak znalazł się już blisko, uleciała z niego cała radość.

Zenobia, jego matka, szła pieszo, prowadząc za uzdę zmordowanego konia. Tak jak i pozostali. Połączone pancerze i twarze pokrywał kurz. Twarze oblepione potem, naznaczone zmęczeniem, z opatrunkami zamiast hełmów. Z obłędem w oczach. Pokonana armia. Pokonana. Oto co ujrział. Alath prowadziła wojowników w kłębach kurzu, w marszu bez odpoczynku, bez nadziei.

Twarz matki była blada ze zmęczenia, usta suche, popękane, oczy czerwone jak jej pancerz.

A on nawet nie pomyślał o tym, żeby wziąć bukłak

z wodą!

Nie podniosła ręki ku niemu i tylko patrzyła, jak się zbliżał.

Kiedy już mogła go usłyszeć, zawołał:

– Mamo!

I natychmiast zawstydził się. Zeskoczył w biegu z konia i zmusił się do tego, by iść ku niej spokojnym krokiem. Lecz po policzkach popłynęły mu powstrzymywane od wielu godzin łzy. To było silniejsze od niego. Skoczył jak szalony i rzucił się w ramiona Zenobii, przyciskając policzek do jej pancerza, raniąc się o złoty wizerunek Alath.

Objęła go czule, całowała jego włosy zeszywniałymi wargami.

– Już jestem, już jestem, synku.

Wojownicy, nie czekając na nich, znowu ruszyli. Wracali w rozsypce, ostatnim wysiłkiem woli, myśląc tylko o tym, by schronić się w murach Palmyry.

**EMESA**

Zdjął falere, honorowe tarczki, odwiązał rzemienie pancerza, który opadł do jego stóp. Rozerwał tunikę, żeby prędzej się jej pozbyć. Z nagim torsem, z bliznami wystawionymi do słońca, zbliżył się do wysokiej czarnej steli.

Boski kamień Słońca Niezwycięzonego. Trzy razy wyższy od człowieka, wygładzony przez deszcze i czas, bardziej czarny i nieprzenikniony niż wszystkie noce od zarania dziejów razem wzięte.

Dwudziestu cesarzy całowało go z lękiem i poddaniem. Heliogabal kazał wznieść wokół niego portyk z dwustu kolumn o złotych kapitelach, które tworzyły jakby pazury pierścienia, przytrzymujące wprawiony weń diament.

Dziś kamień ten witał jego, Lucjusza Aureliana.

Słońce ogrzewało go tak, jak ogrzewało złoty dysk świątyni w Sirmium. Jednakże kamień ten nie został uformowany rękami człowieka. Z woli Słońca Niezwycięzonego spadł z nieba tutaj, na pustynię, która okalała Emesę.

Był znakiem wszystkich czasów, prawdziwym i jedynym dowodem obecności boga cesarzy. Tego boga, który wiódł go od zwycięstwa do zwycięstwa, czyniąc go

niezwyciężonym.

\* \* \*

Aurelian przeszedł kilka kroków dzielących go od steli.

Napinając mięśnie, z głuchym jękiem przycisnął do rozgrzanego kamienia nabrzmiałą bliznę, zostawioną przez żelazo Mitry, przylgnął doń wargami niczym kochanek całujący pierś kochanki. Przymknąwszy powieki, objął go ramionami i ciepło kamienia przeniknęło przez jego ciało, ogarnęło barki i plecy. Powtórzył modlitwę, nie wiedząc, czy jakieś dźwięki wydobyły się z jego ust. Ogień wewnętrzny płonął silniej, niż potrafiły to zdziałać pieszczoty jakiegokolwiek kobiety, żony czy siostry.

Nagle poczuł się czysty! Oczyszczony ze wszystkich brudów życia, całego zamętu wspomnień, chaosu przeciwieństw, tajemnic, gniewu, których doświadczał przez tyle lat, nie umiając się ich pozbyć inaczej niż w szale morderczych walk.

Jego ciało odczuło ogromny spokój, jaki mogą zesłać jedynie bogowie.

Kolana mu drżały, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na ziemię, bez wstydu, bez lęku, oddając się niczym dziecko upajającej pieszczocie kamienia.

\* \* \*

Kiedy powstał, zdał sobie sprawę, że pod portykiem stało wiciu ludzi, bacznie się w niego wpatrujących. Prefekci, legaci, trybuni, oficerowie, którzy towarzyszyli mu we wszystkich bitwach, wierni, spragnieni zwycięstw. A także sekretarze, prokuratorzy, ich pomocnicy, faworyci, cały orszak cieni, zawsze krążących wokół cesarza.

Stali tutaj pod portykiem ze złożonymi kapitelami, podziwiając jego religijną pokorę oraz potęgę wybrańca Słońca Niezwycięzonego, Mitry wyciągającego swą mocarną pięść nad ludem Rzymu.

Spojrzenia wszystkich wyrażały zachwyt i uległość. Oprócz jednego, tego, którego wypatrywał między nimi. Oprócz Maksymusa.

Ruchem ręki odprawił niewolników nadbiegających z czystą togą. Podniósł leżący u stóp steli pancerz, nałożył na nagie ciało, zaczerwienione jeszcze od gorąca kamienia. Poszedł w kierunku Maksymusa, wytrzymał drwiące spojrzenie, które nie zniknęło z jego twarzy, niegdyś wyrażającej taki podziw.

Maksymus odwrócił się, wypchnął przed siebie mężczyznę, którego otaczali dekurioni. Aurelian skrzywił się z odrazą. Twarz tego człowieka straciła ludzki charakter. Lewe oko robiło wrażenie, jakby chciało wyjść z oczodołu, z ust i nozdrzy pozostały jedynie otwory. Resztki skóry na prawym policzku nadawały mu jeszcze straszliwszy wygląd. Mimo to ta potworna twarz tchnęła niespotykaną siłą i spokojem.

– Przywódca chrześcijan z Emesy – powiedział Maksymus z ironicznym uśmiechem. – Chciał się z tobą widzieć, uznałem więc, że moment jest dobry, aby jemu, który uznaje tylko niewidzialnego boga, pokazać kamień Słońca Niezwycięzonego.

Aurelian nie był pewien, z którego z nich drwił Maksymus. Zwrócił się z pytaniem do chrześcijanina:

– Jak się nazywasz?

– Jestem Szymon, sługa Jezusa Chrystusa.

Jego głos był nieco zdeformowany przez poparzone usta.

– Ma największe wpływy wśród chrześcijan – wyjaśnił Maksymus. – To, co chce powiedzieć, może cię, Auguście, zainteresować.

Aurelian dał znak niewolnikowi, który trzymał jego togę. Nagle, mając przed sobą tę straszną twarz, wydało mu się, że pancerz niewystarczająco chroni jego nagą skórę.

– Nie podoba ci się moja twarz, Auguście – rzekł Szymon. – A przecież jest dziełem twego uwielbianego Waleriana, który nosił taką togę przed tobą Sądził, że zostanie ze mnie jedynie popiół. Nie wiedział, tak jak wy wszyscy, że jedynie Bóg decyduje o życiu i śmierci.

– Nie mam czasu. Mów, czego, chcesz – przerwał mu brutalnie Aurelian.

– Ofiarować ci Palmyrę.

Rozległy się okrzyki. Oficerowie i dworzanie podeszli bliżej.

– Ofiarować mi Palmyrę? – Aurelian roześmiał się

pogardliwie. – Nie potrzebuję twoich usług. Wydrę Palmyrę z rąk Zenobii tak, jak zabrałem jej już Antiochię i Emesę.

– Nie bądź zarozumiała! – zgromił go Szymon bez cienia szacunku. – Wygrałeś jedną bitwę z Basilissą dzięki podstępowi. Nie wyobrażaj sobie, że już ją całkowicie pokonałeś.

– Czy ty, chrześcijaninie, także wierzysz, że jest ona niepokonaną boginią wojny?

Wokół nich dały się słyszeć śmiechy. Szymon zrobił gest zniecierpliwienia.

– Nie lekceważ swoich wrogów, Auguście. Wszedłeś do Antiochii i Emesy bez walki, bo taka była moja wola. To moi bracia w Chrystusie otworzyli przed tobą bramy.

Aurelian spojrział zdziwiony na Maksymusa, który potwierdził słowa Szymona.

– Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że on się nie przechwala. Chrześcijanie odradzili mieszkańcom tamtych miast wspieranie Zenobii.

– Oczywiście, że to prawda! – powiedział Szymon. – Jak i to, że królowa Palmyry wytrzyma bez trudu twoje oblężenie. Jesienią podwyższono mury obronne o pięćdziesiąt stóp. Wody mają pod dostatkiem, bo płynie do miasta podziemnymi kanałami. Magazyny pełne są żywności, podczas gdy ty i twoje legiony będziecie musieli obozować na pustyni. Nie będziesz miał ani drewna, ani kamieni, żeby budować maszyny do staranowania murów. Basilissa może spokojnie czekać przez wiele miesięcy, aż



twoi żołnierze wymrą z pragnienia, bo wojownicy pustyni, plemię M'Tuba, którzy dyktują prawo na pustyni Turaq Al'llab z południa na północ, są jej odwiecznymi przyjaciółmi. Pozbawią wasze wojska wody i środków do życia. Nie dadzą wam spokoju ani w dzień, ani w nocy. Mogą zaatakować was w porze największego upału, kiedy wasze pancerze, topiąc się w słońcu, zrobią się bezużyteczne. – Machnął lekceważąco w stronę bazaltowej steli. – I bardzo szybko twój ukochany bóg stanie się twoim największym wrogiem!

Aurelian zmarszczył brwi, nakazując wszystkim milczenie. Po chwili namysłu powiedział:

– Jak na kapłana wiesz dużo o wojnie.

– Chrześcijanie muszą wiedzieć o wielu rzeczach, żeby przeżyć.

– Co mi proponujesz?

– Otworzę ci bramy Palmyry tak, jak otworzyłem w Antiochii i Emesie.

– Czego żądasz w zamian?

– Spokoju dla moich braci w całym imperium. Poszanowania domów, gdzie przyjmujemy błogosławieństwo naszego Pana Boga. Twojej obietnicy, że już nigdy nie będziemy musieli klękać przed bogami Rzymu, całować ich, składać im ofiary.

Cisza zapadła po tych pełnych buty słowach. Aurelian nie okazał po sobie najmniejszego wzruszenia. Wszyscy domyślali się narastającego w nim gniewu.

Zwrócił się do Maksymusa:

– Później podejmą decyzją. Nie pozwól mu wrócić do domu chrześcijan. Przekonamy się, czy będziemy potrzebowali jego pomocy.

**PALMYRA**

W południe trąbki zaanonsowały pojawienie się Rzymian. Mimo upału cała ludność, która schroniła się w murach Palmyry przed trzema dniami, pospieszyła na wały i dachy, by zobaczyć wroga.

To, co ujrzeli, nic wzbudziło większego niepokoju. Dały się nawet słyszeć śmiechy i kpiny. Legiony zbliżały się w wielkim nieładzie, tonąc w kurzu wzniecanym przez wozy. Żołnierze byli bez hełmów i pancerzy, oficerowie szli pieszo obok koni, muły, ciągnące wozy ze sprzętem i namiotami, trzeba było poganiać batem. Towarzyszący wojsku tłum umęczonych marszem przez pustynię kobiet, służby i niewolników posuwał się tak wolno, że ukazał się wiele godzin później.

Nie przypominali w niczym armii zwycięzców, gotowych zaatakować miasto. Pustynia dokonała swego dzieła.

– Oni nie przybyli tutaj, żeby się bić, tylko żeby nas zagłodzić – powiedział Nurbel z goryczą.

Stał u boku Zenobii na wysokiej drewnianej wieży, wzniesionej przy tarasie nowego pałacu. Oczywiście towarzyszył im Grek Longinus, z tą samą wyniosłą miną, z jaką ich powitał pięć dni wcześniej, gdy wrócili jako pokonani.

Zenobia pokazała ręką w kierunku północno-wschodnim.

– Spójrz.

Drogą bardziej na północ, okrążając dolinę grobowców, maszerowała w idealnym porządku osobna kolumna. Było w niej około czterech tysięcy ludzi. To gwardia cesarska, żołnierska elita, towarzysząca Imperatorowi. Dochodzące stamtąd co jakiś czas odgłosy świadczyły, że mieli na sobie pancerze, a nad ich głowami powiewały w gorącym powietrzu pustyni wielobarwne pióropusze hełmów.

– Po co czekać? – odrzekł Nurbel. – Przecież to świetna okazja. Można ich dopaść zniemacka. Mam ze trzysta wielbłądów w pogotowiu. Do nocy zostało jeszcze kilka godzin. Jeśli teraz zmusimy Augusta do walki, zaskoczenie będzie działać na naszą korzyść. Jego oddział może sobie iść w ordynku i błyszczeć w słońcu, ale pustynia im również dobrze się dała we znaki.

Zenobia nie od razu odpowiedziała. Długa, plisowana tunika, ściśnięta w pasie purpurową szarfą, poruszana podmuchami wiatru, odsłaniała i zakrywała na przemian jej piękne biodra i piersi. Pendent z krótkim mieczem, ozdobiony małą tarczą z wizerunkiem Dostojnego Odenatusa, podkreślał kształt jej piersi. Bujne loki przytrzymała okalająca czoło przepaska ze złota i pereł, z wprawioną pośrodku gwiazdą z lapis-lazuli.

Odkąd zamknęła się w mieście, zawsze ukazywała się w tym stroju, nadającym jej sylwetce wygląd kobiety,

królowej i wojowniczką. Z niewzruszonym wyrazem twarzy czekała cierpliwie na przybycie Rzymian, podczas gdy Nurbel, zderany upokorzeniem po klęsce w Emesie, szalał z gniewu i żądzy zemsty. Zgromadzeni na wałach i dachach, widząc ją na wieży strażniczej, nie mogli powstrzymać się od pełnych zachwytu szeptów. Na ich wargach bezwiednie pojawiło się jak zawsze to samo słowo: „Alath! Alath!...”.

Słowo to w sposób magiczny napełniało ich ufnością. Zenobia czuwała nad nimi. Klęska w Emesie to tylko drobny epizod. Baalszamin i bogowie Palmyry nie mogli odwrócić się od tej, którą prowadzili od zwycięstwa do zwycięstwa. Od tej, która stała się tak potężna, że Rzym uznał za konieczne wysłać swe legiony, aby zdobyły jej siedzibę, skazując żołnierzy na marsz w pustynnym pyle pod prażącym słońcem. Alath znowu zwycięży. Zenobia nadal będzie cieszyć ich oczy swoim pięknem.

Podnosili więc pięści ku rzymskim kolumnom zbliżającym się już do gaju palmowego, rzucali pod ich adresem szyderstwa, dawali wyraz swojej nienawiści, skandując znowu imię Alath.

Gdy wrzawa ucichła, Zenobia zwróciła się do Nurbela.

– Skoro Augustus przybywa w środku dnia, to znaczy, że dał swojej gwardii czas na odpoczynek w nocy i szykuje jakiś manewr. Zaczynam dochodzić do wniosku, że jest bardziej ostrożny, niż można było przypuszczać.

Longinus, który ubierał się teraz wyłącznie według mody obowiązującej w Palmyrze i miał na sobie jedwabną

tunike, szerokie spodnie, a na siwych włosach filcową czapkę haftowaną srebrem, pokazał ręką na nieskładny szyk rzymskich kolumn, które zatrzymały się w dużej odległości od nich. Z niezwykłą u niego łagodnością powiedział:

– Niewykluczone, że ten ich zły wygląd to tylko podstęp Augustusa.

Nurbel, słysząc tę aluzję, zaczerwienił się.

– Użył już podstępów w Emesie, mistrzu Longinusię. Udaremnimy mu powtórzenie czegoś takiego.

Zenobia w uspokajającym geście położyła swoją dłoń na jego ręce.

– Choćbyś nawet zaskoczył Aureliana wielbłędami, to przecież wiesz, że nie mamy wystarczającej liczby wojowników, żeby do ciebie dołączyć.

Niestety, Nurbel wiedział o tym aż nadto dobrze. Z blisko czterdziestu tysięcy wojowników, którzy po klęsce pod Emesą wrócili do Palmyry, trzy czwarte rozproszyło się. Wystarczyło, że dowiedzieli się o marszu Aureliana na miasto, żeby uciekli na pustynię. Większość z nich stanowili dawni legionieści, którzy bali się zemsty ich pierwszego pana. Inni, Persowie, Arabowie, Likijczycy, Grecy i nawet Egipcjanie, dołączali do armii Palmyry, gdy odnosiła zwycięstwa. Byli dobrymi żołnierzami, ale daleko im było do żelaznej wierności prawdziwych Palmyreńczyków. Walczyli jedynie dla łupów i okazali się niestali jak jesienne liście na wietrze.

Zenobia spokojnie patrzyła, gdy zwijali swoje

namioty.

– Pozwól im odejść – powiedziała wówczas do Nurbela. – I tak nie moglibyśmy wszystkich wyżywić. Doskonale ich zastąpią nasze wały obronne. Cesarz nie przybywa po to, żeby się bić. Chce nas zmęczyć oblężeniem. A nam całkowicie wystarczą nasi łucznicy i jeźdźcy.

Zenobia miała rację. Prawo wojny jest nieubłagane. Tylko najcierpliwszą wygrywają oblężenie, wszystko jedno, czy są oblegani, czy oblegający.

– To, co się teraz dzieje, z góry przewidziałem – oświadczył mistrz Longinus. – Nigdy nie wykluczałem takiej możliwości, że Rzymianie przyjdą walczyć pod murami Palmyry. Wszystko jest gotowe na ich przybycie. Magazyny pękają od zboża i zapasów żywności. W ogrodach zasadzono mnóstwo jarzyn, woda płynie podziemnymi kanałami, które potajemnie wydrążyliśmy pod starym pałacem. Wyprodukowano tak wiele strzał, że możemy je rozdać mieszkańcom miasta. Na murze od strony rzeki i gaju palmowego postawiono palisadę, aby łucznicy mogli dosięgnąć legionistów, którzy chcieliby ugasić pragnienie. Skoro Augustus przybył w pełni lata, przekonamy się, jak długo będzie mu sprawiało przyjemność to oblężenie.

Przy dźwięku trąbek rozbrzmiewających wokół miasta, nakazujących zatrzymanie się i rozbicie obozowisk, Grek dodał tonem ogromnej satysfakcji:

– Jeśli nadal tego pragniesz, szlachetny Nurbelu, masz

najlepszą okazję, żeby zaskoczyć Rzymian wycieńczonych kilkudniowym marszem i związanymi z tym niewygodami. Wojownicy M'Tuba, którzy są wierniejsi Basilissie niż jej własne palce, obiecali zaatakować rzymskie konwoje idące z Emesy lub Antiochii. Aurelian nie domyśla się, jakie czeka go piekło.

Nurbel pomyślał z goryczą, że przecież nikt nie wie, co go czeka. Czy bitwa o Emesę nie wykazała, że w czasie wojny niczego nie można być pewnym zawczasu? Grek chciał pokazać, że jest zorientowany we wszystkim, a Nurbel miał za wiele sobie do wyrzucenia, żeby zamknąć mu usta.

\* \* \*

W trzecim dniu oblężenia spotkała ich pierwsza niespodzianka.

Choć początkowo Rzymianie wydawali się wyczerpani, teraz wykazywali aż nadto wiele energii i pomysłowości. Niszczyli metodycznie puste domy znajdujące się poza murami i uzyskane w ten sposób cegły gromadzili pod murami.

– I do czego ma im służyć to gruzowisko? – kpił mistrz Longinus.

– To nie gruzowisko, Greku. Na powstałej z tego platformie stanie wieża oblężnicza i machina wyrzucająca pociski, od których zapalą się nasze dachy.

Nurbel powiedział to ze spokojem. Nareszcie mógł coś



zdziałać. Wojna wisiała w powietrzu, a on wiedział, jak odpowiedzieć na prowokację Rzymian.

Pozwolił legionistom krzątać się przy tej robocie do następnego rana. Powstały w tym czasie cztery platformy. Jakieś dwa tysiące ludzi dźwigało cegły i układało je w odpowiednich miejscach, pracując przy tym niczym mrówki. W panującym upale praca ta była niezwykle wyczerpująca. Rankiem mieli jeszcze na sobie skórzane lub watowane tuniki, ale potem zdejmowali je, gdyż sztywniały od potu i przeszkadzały im w pracy.

Nurbel rozmieścił sześciuset łuczników za blankami murów. Na jego znak napięli wielkie łuki z dwiema cięciwami. Pierwsza seria strzał jeszcze nie zdążyła sięgnąć celu, kiedy już wypuszczona została druga. A potem jeszcze jedna. Świst przeszywający powietrze wprowadził legionistów w osłupienie. Niewielu z nich zdołało znaleźć schronienie lub chwycić porzucone daleko od nich tarcze.

Głuchy szcęk grotów rozrywających ciała zdawał się nie mieć końca. Była to taka rzeź, że nie słyszano nawet krzyków ani jęków. Przerazenie sparaliżowało armię Augustusa.

Zenobia bez drgnienia powieki przyglądała się z wieży strażniczej rosnącym stosom zabitych. Pokryły one całkowicie ceglane platformy. Nikt ich nie zabierał ze strachu przed śmiernym deszczem strzał. Nie okazywała też satysfakcji z ciosu zadanego cesarzowi. Nie zareagowała wcale na okrzyk Nurbela:

– Teraz Rzymianie już wiedzą, z kim mają do czynienia.

\* \* \*

Od następnego świtu powietrze zatruwał smród trupów. Minęło kilka dobrych dni, zanim się do niego przyzwyczajono. Teraz, kiedy nic się specjalnego nie działo, wszystkich ogarnęło znużenie. Ci, którzy przeżyli kiedyś oblężenie, znali dobrze to uczucie.

Były to dni oczekiwania, ograniczonej aktywności, machinalnych działań. Bez dramatycznych wydarzeń, drobnych potyczek. Jedynie mauretańscy jeźdźcy, służący w rzymskich oddziałach pomocniczych, próbowali ciskać żagwie na dwie bramy miasta. Łucznicy odpierali te próby bez najmniejszego trudu, a szmaty nasączone smołą gasły na dwadzieścia kroków przed celem.

Każdy myślał tylko o tym, jak zachować siły. Nie można było sobie pozwolić na strach przed tym, co przyniesie jutro. Bezsenne noce były gorsze od dni.

W samym środku nocy ludzie wychodzili na wały, żeby sprawdzić, czy Rzymianie czegoś nie knują. Mimo że cały czas czuwali strażnicy, każdy chciał przekonywać się o tym na własne oczy.

\* \* \*

Właśnie wtedy którejś nocy Wabalat wstał cicho

z łóżka. Prześliznął się między służącymi i poszedł do sypialni Aszemu. Sypiała sama na łożu z brązu i drewna rzeźbionego w liście akantu, słońce i kwiaty, prawie tak pięknym jak łoże księżniczki.

Wabalat przyglądał się przez moment grubym rysom Egipcjanki. Leżała nieruchomo i tak słabo oddychała, że chłopiec się przestraszył. Pochylił się nad śpiącą i dotknął ręki wystającej spod nocnej tuniki.

– Czy ty umarłaś? – szepnął. – A gdy nie otrzymał odpowiedzi, potrząsnął ramieniem niańki. – Aszemu! Umarłaś czy śpisz?

Nie otworzyła oczu, nie poruszyła się, tylko odezwała się niezbyt miłym tonem:

– Czego chcesz?

– Nie umarłaś?

– Przekonasz się jutro. Idź spać.

Taka odpowiedź nie spodobała się chłopcu. Uszczypnął Aszemu, żeby zmusić ją do obudzenia się. Jęknęła raczej rozbawiona niż rozgniewana. Przekreśliła się na bok, przyciągnęła chłopca, aby mógł usadowić się na jej łóżku, w ciepłe jej ciało. Kiedy indziej Wabalat byłby tym zachwycony. Rzadko zdarzały mu się teraz przyjemne chwile. Teraz jednak zdecydowanie się temu oparł.

– Chciałbym się czegoś od ciebie dowiedzieć.

– Domyślam się, inaczej nie przyszedłbyś budzić zmarłej.

– Obiecujesz, że powiesz prawdę?

– Mój chłopcze, zawsze mówię prawdę, nie umiem

inaczej.

– Czy byłaś przy narodzinach mojej mamy?

– Opowiadałam ci o tym już z tysiąc razy. To ja odgryzłam zębami jej pępowinę. – Aszemu roześmiała się. Jak Iwica. – Byłam wówczas bardzo młoda i silna.

Wabalat nie dał się zbyć tym żartem.

– Widziałaś gwiazdę Baalszamina?

– Tak. I straszną ciemność, wodę, wszystko. Wiesz o tym bardzo dobrze, kochanie. Dlaczego znowu pytasz?

– Niektórzy mówią, że to nieprawda.

– Nie mają pojęcia, o czym mówią. Nie słuchaj ich.

– Czy ty, Aszemu, jesteś pewna, że mamę wziął do siebie Baalszamin? Jesteś całkowicie tego pewna?

Tym razem Aszemu milczała przez chwilę. Gdy odpowiedziała, jej głos był poważniejszy, lekko drżący.

– Tak, jestem pewna.

– Widziałaś, jak ją zabierał?

– Nie, ale widziałam, jak wróciła. Był przy tym także stary Szarha. On też ci o tym opowiadał. Powinieneś nam ufać, dziecinko. Nie należy słuchać plotek zazdrosnych ludzi. Zawsze tacy się znajdują. Tak się dzieje, kiedy jest się królową lub księciem. Zawsze są tacy, którzy im zazdroszczą.

Wabalat przytaknął głową, ale nic nie powiedział. Aszemu uniosła jego podbródek i zmusiła, by spojrzał jej w twarz.

– Co się stało, książę Wabalat? Skąd te pytania? Znasz odpowiedź na nie tak samo dobrze jak ja. Boisz się czegoś?

- Nie, ja nigdy się nie boję!
- Oczywiście.

Wabalat wysunął się z objęć niańki. Stał przy jej łóżku. Miał szczupłą, muskularną sylwetkę, wyćwiczoną przez gry i biegi. Aszemu nagle domyśliła się, że chłopiec dręczy się wewnątrz z tego powodu, iż jego matka nie jest jak inni ludzie. Miał dobre serce, żywą inteligencję i był odważny. Ale mimo swych dwunastu lat przeżywał lęki jak małe dziecko.

– Baalszamin nie pozwoli cesarzowi Rzymu pokonać mamy. Znowu po nią przyjdzie. I po mnie również, bo jestem jej synem.

Aszemu poczuła ucisk w gardle.

– Masz rację. Oczywiście, mój aniołku – wyszeptała z trudem.

\* \* \*

Przez dziesięć kolejnych dni wiatr nieprzerwanie przywiewał gorące powietrze z wysokiego płaskowyżu Turaq Al'llab. Słoneczny żar dawał się we znaki Rzymianom, a i w mieście wychodzono z domów tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Porzucone na platformach trupy już nie cuchnęły, gdyż słońce wysuszyło dokładnie to wszystko, czego nie rozszarpały zwierzęta.

Ten wielki spokój był gorszy od konkretnego niebezpieczeństwa. Nurbel cały czas coś robił, sprawdzał, ustawiał strażę. Ogłaszał alarmy, aby utrzymać żołnierzy

w stałej gotowości bojowej.

Wysłał szpiegów podziemnym przejściem pod starym pałacem, które wychodziło na koryto Wadi Qubur. Połowa z nich nie wróciła. Albo uciekli, albo zostali schwytani przez Rzymian.

Jednakże któregoś dnia o świcie, gdy znowu narastał upał, jeden z nich wrócił ze złą wiadomością. Augustus Aurelian przekupił złotem wojowników M'Tuba. Nie napadali już na jadące z Emesy konwoje z żywnością. Opuścili okolice Palmyry i udali się nad Eufrat.

Rozwścieczony Nurbel przez cały dzień obrzucał plemię M'Tuba najgorszymi wyzwiskami, jakich nauczył się w swym długim życiu. Zdrada wojowników pustyni, którzy od zawsze, to znaczy od narodzin Zenobii, wspierali ją, była ogromnym ciosem. Teraz oblężenie mogło trwać tak długo, jak długo będzie tego chciał Aurelian.

– To nie jest jeszcze najgorsze – narzekał, stojąc przed Zenobią i Longinusem.

– A co może być gorszego? – zapytał Grek, unosząc brwi.

– Fatalny efekt, jaki wywrze w mieście ta nowina. Skoro M'Tuba dali się przekupić Rzymianom, to znaczy, że już się nas nie boją.

Nie powiedział wprawdzie „nie boją się już Zenobii” ani „nie boją się Alath”, ale Longinus, trzeba było mu to przyznać, pojmował rzeczy w pół słowa.

Jednak Zenobia nie okazywała żadnego gniewu. Ani nawet nie wydawała się rozgoryczona. Nurbel zauważył,

że od kilku dni zachowywała się aż za spokojnie. Rzadziej pojawiała się na wieżach strażniczych i wałach. Bywało, że przez cały dzień nie wypowiedziała nawet dziesięciu słów.

Powodem tego mógł być upał, poczucie spoczywającej na niej odpowiedzialności. A może uznała, że powinna zachować jasność umysłu i siły na dłużej niż inni. Dłużej niż cesarz Rzymu, siedzący tam, w swoim namiocie, któremu wciąż powtarzano, jakim to on jest dobrym wojownikiem.

Choć nie skrzyżowali mieczy, choć ciosy zadawali sobie inni, między nimi toczyła się walka na śmierć i życie. Zenobia zdawała już sobie z tego sprawą.

Jednakże Nurbel obawiał się, że opanowanie Zenobii miało inne źródło niż napięcie związane z walką.

Obserwował królową ukradkiem i nie podobało mu się to, co w niej odkrywał. Zenobia zmieniała się.

Utrata Emesy odebrała jej pewność siebie. Stale obecny w jej wzroku cień teraz się pogłębił, osłabiając siły i wolę.

Prawdą mówiąc, wyglądało na to, że straciła ochotę do walki.

\* \* \*

Tak jak się tego można było obawiać, gdy M'Tuba przestali nękać Rzymian, znacznie podniosło ich to na duchu.

Widać było, jak oddają się wszelkiego rodzaju

czynnościom. Odbudowywali zniszczone magazyny i wypełniali je nowymi zapasami, wznosili nowe składy ze ściętych drzew palmowych, kopali głębokie sadzawki na skraju gaju palmowego i kapali się na oczach mieszkańców Palmyry!

Denerwujący był widok kohort ćwiczących od rana do wieczora. Czasami przeprowadzały prawdziwy atak na bardziej dostępne fragmenty murów obronnych. Po takich utarczkach zawsze zostawały trupy po jednej i po drugiej stronie. Sprawdzali w ten sposób wytrzymałość i stan nerwów obleżonych.

Legioniści otrzymali chyba rozkaz, żeby przyrządzać mięso w taki sposób, by smakowite zapachy dochodziły do miasta mimo pustynnego wiatru. W rzymskim obozie odbywały się również różne zabawy, polowania, a dziesięć dni po zdradzie wojowników M'Tuba kobiety sprowadzono na wielbłądach z Antiochii!

Dość często można było też oglądać Augustusa Aureliana.

Ubrany w paradny pancerz, z piersią pokrytą metalowymi naszyjnikami oraz falerami, w hełmie, otoczony przez swych oficerów, objeżdżał miasto wokoło. Galopował to w jednym kierunku, to w drugim. Gdy przejeżdżał przed kohortami, rozlegały się głośnie dźwięki trąbek.

Nurbel w odpowiedzi na to nakazał, aby za każdym razem grały również trąbki w Palmyrze.

W ten sposób całymi dniami trwała ogłuszająca



wrzawa, szarpiąca nerwy do szaleństwa.

Ale prawdziwej walki już nie podejmowano. Rzymianie zapamiętali daną im nauzkę. Trzymali się z dala od łuczników Palmyry.

\* \* \*

Dwudziestego ósmego dnia oblężenia, gdy księżyc świecił na tyle jasno, że można było zobaczyć przemykające po kamieniach tarantule, Nurbel dostrzegł sylwetkę Zenobii.

Zamierzał do niej podejść, ale wyprzedził go czyjś cień. Po połyskującej złotem czapce i szerokiej tunice poznał Greka i usłyszał słowa wyszeptane na jego powitanie. W słowach tych nie było zaskoczenia.

Nurbel w pierwszym odruchu chciał się dyskretnie oddalić. Wycofał się bezszelestnie niczym drapieżne zwierzę. Skierował się ku pomieszczeniom straży, gdy nagle unieruchomiła go fala wściekłości, a może i zazdrości. Nie był w stanie zrobić ani kroku więcej.

Czy miał wierzyć własnym oczom?

Czy miał wierzyć słowom, wypowiedzianym pełnym słodczy tonem?

Czy miał wierzyć temu, co podpowiadało mu przepelnione goryczą serce? Czyżby na przekór wszystkiemu rację miał stary shuloj? Czyżby Zenobia pragnęła wpuścić Greka do swego łóża? A może już to zrobiła?

Nurbel wolałby, żeby żyła oddana całkowicie pamięci Najjaśniejszego Pana. Miał jednak dość rozsądku, żeby widzieć prawdę. Jeśli Zenobia zamierzała ofiarować Grekowi to, czego odmawiała wszystkim innym mężczyznom, byłoby to dla niego bezgranicznym upokorzeniem.

Wrócił jeszcze ciszej, niż się przedtem oddalił.

Pokonując własną dumę, zgięty wpół wsunął się pod parapet, który osłonił go przed światłem księżyca. Zamarł wstrząśnięty tonem Zenobii.

– Chciałam ci powiedzieć o dwóch rzeczach, mistrzu Longinusie.

Po pierwsze, chcę ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś dla Palmyry.

Za rady i za przyjaźń, jaką mi okazałeś. Twoja obecność była dla mnie cenna w samotności, która mi towarzyszy od śmierci Najjaśniejszego Pana.

– Królowo, dlaczego mówisz o tym w czasie przeszłym? Czy nie jestem przy tobie, gotów na każde zawołanie?

– Nie przerywaj mi, Longinusie. To, co mam ci do powiedzenia, nie jest łatwe ani dla moich ust, ani dla serca...

Nurbel zacisnął pięści.

Jak ona do niego przemawiała! Głosem, od którego, mimo całej wściekłości, czuł ciarki na skórze.

– Naprawdę, Longinusie, potrzebowałam twojej mądrości, której mi użyczałeś przez minione cztery lata.

Nie zapominam o tym, że otworzyłeś mi oczy na Rzym i na moje przeznaczenie. Odcisnąłeś swoje piętno na moim mieście i w mojej duszy. I za to ci dziękuję... Nic nie mów jeszcze. Druga rzecz, o której chcę mówić, jest znacznie trudniejsza. Musisz opuścić Palmyrę! Jest jeszcze na to czas. Rzymianie nie wiedzą o podziemnym przejściu pod starym pałacem...

– Królowo!

– Zrozumiem to. Nie powinieneś wiązać swojego życia z moim.

– Pani! Nie mogę już milczeć. Nie pojmuję sensu twoich słów. Czy nic chciałem konfrontacji z Rzymem tak samo jak ty? Już raz, jak wiesz, musiałem uciekać z rodzinnego miasta przed legionistami Rzymu. Nigdy się to więcej nie powtórzy. Palmyra jest moim miastem. Ty jesteś moją królową. Nie wyobrażaj sobie ani przez chwilę, że mógłbym cię zostawić. Mam tylko jeden cel: ujrzeć koniec Augustusa Aureliana i twój triumf jako Augusty.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, dał się słyszeć szelest materiału. A potem ledwie słyszalne westchnienie Zenobii.

– Och, Longinusi, Longinusi...

Nurbel musiał użyć całej siły woli, żeby nie wysunąć głowy i nie sprawdzić, czy Zenobia nie stoi zbyt blisko Greka. Ale cień Basilissy zachwiał się na ceglanym murze, cień samotny, oddalony od Longinusa. Pocieszył go również zaniepokojony głos Greka.

– Co się dzieje, królowo? Nie rozumiem, o co ci

chodzi? Mówisz tak, jakbyś nie chciała dłużej walczyć. Jakbyś uważała, że ta bitwa jest już przegrana. Słuchając ciebie, można by przypuszczać, że zamierzasz otworzyć przed cesarzem bramy Palmyry!

Zenobia uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Źle mnie zrozumiałeś, przyjacielu.

– To znaczy?

Zapadła ponownie cisza. Nurbel odniósł wrażenie, że cień Zenobii oddalał się jakby z wahaniem. Słysząc było kroki, nawoływania wartowników oraz odległe ujadanie psów w obozie rzymskim.

– Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz, mistrzu Longinusie – odezwała się ledwie słyszalnie Zenobia. – I tak jest lepiej. Wiedza nie zawsze jest tym, co nam pomaga najbardziej, jeśli wolno mi tak powiedzieć wbrew temu, co twierdzisz w swoich pismach. Niekiedy jest ciężarem trudnym do udźwignięcia.

Przerwała. Nurbel zacisnął powieki tak mocno, jak zaciskał pięści. Modlił się do wszystkich bogów, aby Zenobia powstrzymała swój język.

Jego prośby zostały wysłuchane. Zenobia nie zdążyła kontynuować swojej myśli.

– Basilisso, powinnaś walczyć! – rzekł stanowczym tonem Grek. – Rzym jest w zasięgu naszej ręki. Pozwól Aurelianowi wyczerpać siły pod Palmyrą tak, jak się przydarzało wszystkim cesarzom Rzymu na Wschodzie. Zmusiłaś go, by ugrzązł w tym piasku niczym szczur. Czy nie jest to już zwycięstwo? Patrzy na ciebie całe imperium.

Wie, że cesarz jest słaby, a Zenobia silna. Czas jest twoim sprzymierzeńcem, Basilisso. Jesteś Alath, jesteś niezwyciężona. Wkroczysz do Rzymu w wieńcu laurowym. Jestem tego pewien. Jestem o tym przekonany od chwili, gdy cię ujrzałem w Antiochii.

– Longinusie...

– Zenobio, nie poddawaj się dziś słabości. Zbudujemy imperium, o jakim nie marzyli nigdy nawet Rzymianie i jakiego nikt jeszcze nie widział. Nie poddawaj się, nie ustępuj w niczym! Bo ja się nie poddam.

Zenobia roześmiała się. I nie był to śmiech drwiący, jakby sobie tego życzył Nurbel, ale śmiech kobiety oczarowanej.

– Potrafisz dobierać odpowiednie słowa.

– Chyba niewystarczająco dobrze, skoro nie udaje mi się cię przekonać, czym jesteś dla mnie. Proponujesz mi ucieczkę, a ja pragnę tylko tego, żeby ofiarować ci moje życie. Owładnęłaś mną, Zenobio. Zawładnęłaś moim ciałem, moimi pragnieniami, moją duszą...

– Longinusie!

– Pani...

– Umiesz dobierać słowa. Uważaj, żeby nie zaprowadziły cię za daleko.

– Jestem świadom każdego mojego słowa.

Znowu umilkli. Nurbel wyobraził sobie twarz Zenobii taką, jaką widział w tym momencie Grek. Twarz piękniejszą niż oblicza posągów, wyrzeźbioną blaskiem księżyca.

Nurbel już chciał podnieść się, ale cień Zenobii zakłuł się nad parapetem. Usłyszał jej głos tuż obok siebie. Taki jak zawsze, obojętny i chłodny.

– Dziękuję ci, mistrzu Longinusi. Nie wątpię ani w twoje uczucie, ani w twoją mądrość. Zastanowię się nad twoją radą. Teraz robi się już późno. Obiecałam Nurbelowi, że sprawdzę osobiście warty.

Jakimże balsamem były ostatnie jej słowa!

Serce Nurbela biło tak mocno, że nie słuchał już dalszych protestów Greka.

\* \* \*

Dramat rozegrał się cztery dni później.

Zawalił się podziemny tunel, którym dopływała woda z Wadi Qubur do miasta.

– Zniszczone zostały stemple na wysokości muru, szlachetny Nurbelu – poinformował go oficer, który odkrył katastrofę. – Zrobili to Rzymianie, znaleźliśmy ich łopaty i kilofy.

– A gdzie byli strażnicy?

– Zamordowano ich. Zdrajców musiało być ze dwudziestu. Działali szybko i skutecznie!

Nurbel nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Czy da się to naprawić?

– Robotnicy już tam są, ale należy zachować ostrożność. Teraz niczego nie można być pewnym. Moment ataku został dobrze wybrany. Istnieje ryzyko, że

przy odgruzowywaniu zawała się mury. Byłby to świetny podarek dla Rzymian, którzy nie musieliby wcale robić podkopu!

\* \* \*

– Nie ma już w ogóle wody? – głos Zenobii brzmiał głucho.

– Pozostały nam tylko pełne kadzie i zbiorniki zapasowe.

– Czy w mieście wiedzą o tym? – zaniepokoił się Longinus.

– Zapewne tak. Każda rodzina ma prawo do jednego tylko dzbanka wody na dziesięć osób. Postawią podwójne straże przy kadziach i zbiornikach.

– Kto to zrobił? – Zenobię ogarnął gniew, drżały jej wargi i ręce.

– Są pewne podejrzenia, ale jeszcze nie mam pewności.

\* \* \*

Śledztwo prowadzone w mieście przez Nurbela szybko ujawniło prawdę.

– To chrześcijanie – oznajmił nazajutrz.

– No, tak! – zaśmiał się Longinus. – Tak właśnie podejrzewałem. Otworzyli Aurelianowi bramy w Antiochii i Emesie. A teraz chcą też osłabić nasze siły

tutaj!

– Wiemy, gdzie się zbierają – rzekł Nurbel. – Z łatwością możemy ich uwięzić.

– Nie tylko uwięzić, szlachetny Nurbelu. Trzeba z nimi skończyć.

– Nie, mistrzu Longinusię – przerwała mu sucho Zenobia. – Nie będziemy zabijać chrześcijan.

Nurbel nie był tym zdziwiony, ale Longinus osłupiał na te słowa.

– Zdradzają cię w twoich miastach, zdradzili cię w Bostrze, zdradzają cię w Palmyrze... A ty nie chcesz ich ukarać?

– Słyszałeś, taka jest moja wola.

– Nie rozumiem...

– Dzięki swojej mądrości powinieneś przyznać, że nie jest to właściwy moment. Rzeź w Palmyrze, Longinusię, nie przyczyni się do zwiększenia determinacji mojego ludu.

– Mylisz się, Basilisso. Wręcz przeciwnie. Tego wieczoru przekonasz się, czym jest gniew Palmyreńczyków. Na ulicach i w świątyniach rozlegną się głosy domagające się zemsty. Będą krzyczeć, że nie masz silnej ręki. Chrześcijanie są nienasyceń. Jeśli zachowasz ich przy życiu, to wkrótce będziesz musiała zaspokoić ich żądania!

– Krew chrześcijan nie popłynie – odrzekła twardo Zenobia. – Jeśli chcesz przy mnie pozostać, musisz się podporządkować mojej woli.



Maskując wewnętrzne zadowolenie, Nurbel postanowił przerwać tą sprzeczką, zanim Longinus, z rozpalonym wzrokiem, powie za dużo.

– Proponuję rozwiązanie, które może zadowolić mistrza Longinusa i ciebie, Basilisso. Przed zachodem słońca zgromadzimy wszystkich chrześcijan w wielkim teatrze. Będą tam pod strażą moich łuczników tak długo, jak postanowisz. Teatr jest do tego dobrym miejscem. Nie są w nim teraz grane żadne farsy ani greckie dramaty. Sprowadzono tam oślice i owce. Chrześcijanom będzie dobrze w takim miejscu, skoro wierzą, że ich Bóg urodził się w stajni.

– Co za miłosierdzie! – zadrwił Longinus.

– Miłosierdzie Alath stanowi o jej wielkości – odrzekł Nurbel. – Ale ma też swoje granice. Przebywanie na słońcu, wśród rozpalonych murów teatru, nie wyjdzie na dobrze tym zdrajcom, możesz mi wierzyć.

Zenobia, nie zmieniając chłodnego wyrazu twarzy,, rzuciła Nurbelowi spojrzenie wyrażające dyskretną wdzięczność.

Longinus wzruszył ramionami. Grymas pogardy szpecił jego piękną twarz.

– Choćbyś nie wiem, co mówił, Nurbelu, będziesz musiał ich poić i karmić – powiedział, odchodząc. – Ale to nie potrwa długo.

\* \* \*

Po tym dniu nastąpiła noc. Powietrze wibrowało zdradliwą ciszą, jak podczas wszystkich nocy obleżenia.

Zenobia stała na tarasie oparta o kamienną, jeszcze gorącą balustradę. Mimo woli pomyślała o chrześcijanach zamkniętych w teatrze. Na szczęście nie mogła ich słyszeć, gdyż byli za daleko od niej, po drugiej stronie wielkiego portyku i świątyń Bela oraz Baalszamina.

Nurbel załatwił to tak umiejętnie, że w mieście nie słyszano żadnych krzyków. Ich zdrada i nienawiść obudziły w Zenobii gorzkie myśli.

Przy każdym akcie chrześcijan powracał do niej głos Schawaada: „Dla Szymona z Emesy jesteś martwa, Zenobio. Martwa od dawna!”.

Ale sama jej śmierć nie zadowalała go. Potrzebował jeszcze jej upadku i upokorzenia.

Podniosła twarz ku gwiazdom. Z ust wyrwała się jej skarga, którą stale nosiła w piersi.

„Schawaad, Schawaad, mój ukochany, nigdy nie wystąpię przeciw tobie i twoim ludziom. Dlaczego tak zajadle dążysz do mojej klęski? W jakim celu? Jaką będziesz miał z tego korzyść?”.

Zadrżała, słysząc lekki szmer, ale zaraz się opanowała. Między kolumnami prowadzącymi na taras zbliżała się ku niej drobna sylwetka.

– Wabalat! Synku...

Wabalat podbiegł do niej i rzucił się w otwarte ramiona. Z pomrukiem zadowolenia wtulał twarz w piersi matki, a ona obsypywała pocałunkami jego czoło.

– Co tu robisz, synku? Powinieneś spać.

– Nikt nie śpi. Służące szepczą aż do świtu. Mamy przecież oblężenie.

Zenobia uśmiechnęła się mimo woli, słysząc powagę w jego głosie.

– Czy jesteś głodny?

– Nie... – odsunął się nieco od niej. – Słyszałem, co ludzie mówią o wodzie. Niedługo jej zabraknie.

– Ależ nie, Wabalacie...

Urwała. Nie powinna kłamać. Ponownie pocałowała chłopca w czoło, nie mogąc oderwać warg od ciepłego, miękkiego ciała.

– Ja wiem, że nic nam nie grozi – podjął Wabalat stanowczym głosem. – Baalszamin przybędzie, żeby cię zabrać tak jak kiedyś. I ja pójdę z tobą. On będzie wiedział, że jestem twoim synem.

– Tak – wyszeptała z trudem Zenobia. – Tak, jesteś moim synem.

\* \* \*

Wszyscy w Palmyrze uznali, że Zenobia nagle oszalała.

Pojawiła się na wałach po raz pierwszy od początku oblężenia ubrana w czerwony pancerz. Z głową nieosłoniętą hełmem, z bujnymi włosami powiewającymi na wietrze niczym sztandar. I pozostała na swoim posterunku od świtu do zmierzchu. Przez ramię miała

przewieszony wielki łuk, u biodra kołczan z pierzastymi strzałami. Nie piła, niewiele jadła, uparcie obserwując rzymski obóz. Nie odpowiadała na pytania Nurbela, ze złością odpychała wartowników, sprawiała wrażenie, jakby odjęło jej rozum.

Zauważyli ją w końcu Rzymianie i zaczęli pokazywać sobie palcami. Najpierw ze zdziwieniem, potem ze śmiechem. Przed końcem dnia z namiotu wyszedł Augustus Aurelian, aby zobaczyć na własne oczy tę Zenobię, Alath z czerwonym torse, jakby naga w skórzanym pancerzu.

Pojawiła się znowu w środku nocy, z pochodnią w jednym ręku, z łukiem w drugim i podjęła swój nieprzerwany obchód. Wszyscy mieszkańcy, a także kapłani ze świątyń wybiegli, by ją zobaczyć, szepcząc na jej widok z podziwem i zarazem niepokojem. Ich Basilissa dziś bardziej niż kiedykolwiek była podobna do bogini.

W obozie rzymskim zabrzmiały trąbki wartowników. Z namiotów wyszli legionieści i ujrawszy ją, rzucali pod jej adresem niepocholeby słowa. Znowu pojawił się Augustus Aurelian, ale tym razem tylko w zwykłej tunice.

I wtedy Nurbel zrozumiał.

W blasku pochodni pochwycił spojrzenie Zenobii. Dostrzegł w jej wzroku błysk myśliwego, który ocenia dzielący go od celu dystans.

Ale Augustus rozmawiał z jednym z oficerów, o kręconych, jasnych włosach. Rzucił jakiś żart, roześmiał się i zniknął w swoim namiocie.

\* \* \*

O świcie następnego dnia, kiedy Zenobia znowu wyszła na wały, jak poprzednio w pancerzu i z łukiem na ramieniu, Nurbel rozkazał swoim wojownikom, aby ukryli się za parapetami i nie pokazywali Rzymianom.

Rzymianie zaczęli podejrzewać, że z powodu oblężenia dzieje się z nią coś dziwnego. Pomyśleli, że opuścili ją wojownicy Palmyry. Nabierali więc odwagi i coraz częściej pozwalali sobie na głupie żarciki. Stopniowo podchodzili coraz bliżej murów, zapominając o łucznikach, których zresztą nie widzieli.

A kiedy słońce sięgnęło zenitu, zdarzyło się wreszcie to, na co czekała Zenobia.

Aurelian pojawił się na koniu w otoczeniu żartujących, wesołych oficerów. Ramion ani piersi nie osłaniała mu skórzana tunika.

Zachęcany okrzykami legionów podjechał galopem bliżej murów. W uśmiechu pokazał białe zęby. Podniósł pięść w kierunku Zenobii. Stała w miejscu, podczas gdy Augustus wy dobył z pochwy swój sławny miecz. Wymierzył go w Zenobię, wybuchając ponownie gromkim śmiechem i puszczając konia w galop, jakby zamierzał przeskoczyć przez obronny mur miasta.

Na niebieskim niebie pojawiła się czerwona błyskawica. W tym samym momencie Zenobia podniosła łuk, napięła do granic wytrzymałości i wypuściła strzałę.

Zanim ktoś zdążył mrugnąć okiem, usłyszano krzyk Aureliana. Strzała trafiła go w lewe ramię.

Aurelian zachwiał się na koniu.

Nurbel zaklął.

Tysiąc łuczników Palmyry wyskoczyło na szańce, wykrzykując imię Zenobii, Alath. Od ich strzał zrobiło się czarno, gdy tymczasem Rzymianie, osłoniwszy Aureliana tarczami, by go ocalić od śmierci, oddalali się w pośpiechu, zostawiając za sobą ze dwie setki trupów.

\* \* \*

– Czy w końcu zasnęła? – zapytał Longinus.

Nurbel skinął głową, nie przestając obserwować zamieszania wokół cesarskiego namiotu. Zmierzch przechodził w noc. Rzymianie zapalali pochodnie, których przesuwające się płomienie świadczyły o panice w obozie.

– Piękny spektakl – powiedział z zachwytem Longinus. – A gdy Nurbel milczał, dodał: – Pamiętasz tę odrażającą zdobycz, skórę starca, którą podarowałeś Basilissie? Chciałeś, żeby zrobiła z niej prezent Aurelianowi.

– Oczywiście, że pamiętam – odrzekł Nurbel z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Spełniłem twoje życzenie, szlachetny Nurbelu. Przesłałem Aurelianowi powłokę Augusta Waleriana.

– Na wszystkich bogów, Greku! O czym ty mówisz?

– Dobrze mnie zrozumiałeś. Posłałem zaufanego

człowieka podziemnym przejściem pod pałacem. Należało wykorzystać moment zamieszania u Rzymian...

– Ale w jakim celu? Dlaczego to zrobiłeś?

– Po tym, jak zraniła go Basilissa, zrozumie, jaki czeka go los.

– Czy straciłeś całkiem rozum?

– Ani trochę, szlachetny Nurbelu. Przy odrobinie szczęścia wróci mój wysłannik i powie nam, jak poważna jest rana Augusta Aureliana i na ile ucierpiała jego duma.

Nurbel, nie zważając na obecność towarzyszących im wojowników, chwycił bezceremonialnie za tunikę Longinusa. Najwyraźniej daleko mu było do żartów.

– Czy to Basilissa dała ci taki rozkaz?

– Puść mnie, Nurbelu! Za kogo ty się masz?

Nurbel potrząsnął chudym Grekiem. Haftowana złotem czapka zsunęła mu się z czoła i spadła na ziemię.

– Czy w tej swojej wielkiej mądrości nie pojmujesz głupoty swego czynu?

Longinus krzykiem wezwał strażę. Rozwścieczony Nurbel przyparł go do ściany. Wartownicy, ignorując rozkazy i piski Longinusa, woleli się w to nie mieszać.

– Czy nie widzisz różnicy między walką a upokorzeniem? – Nurbel nie panował już nad sobą. – Strzała Zenobii nie zraniła honoru Aureliana.

Przesłanie mu skóry poprzedniego cesarza upokorzyło jego i cały Rzym. Taka barbarzyńska metoda to samobójstwo. Od tej chwili nic nie będzie w stanie zmyć tej hańby. Chyba tylko zburzenie Palmyry.

– Albo śmierć Lucjusza Aureliana Augusta, Nurbelu. Dziwne, że nie bierzesz tego w ogóle pod uwagę – przerwał mu Longinus ze złośliwym uśmiechem. – Czyż nie jest to celem tej wojny? Chyba że ty i Basilissa macie jakieś inne zamiary? – Longinus odzyskał już pewność siebie. Odepchnął Nurbela. – Sądzisz, że was nie przejrzałem? Wy nie chcecie już walczyć. Ta strzała to była pieszczota. Wiesz dobrze tak samo jak ja, że gdyby Zenobia chciała, bez trudu przebiłaby mu gardło. Ona pragnie tylko ocalić swój honor przed poddaniem się. Gdybym Rzymianinowi nie posłał tej skóry, jutro prosilibyście o pokój i błagali o jego łaskę!

– Zamilcz, Greku! Zamilcz, zanim wypruję z ciebie flaki!

Longinus w odpowiedzi na tę groźbę tylko się roześmiał.

– Umiem czytać w myślach Zenobii, nim wypowie ona jakieś słowo, Nurbelu. Ćwiczyłem się w tym przez ubiegłe cztery lata i uczyniłem ją wielką w takim stopniu, o jakim nawet nie marzyła. I chciałbyś, żebym dziś pozwolił wam zniszczyć moje dzieło? – Nie kryjąc już złości, nie zważając na miecz w dłoni Nurbela, wskazał na pochodnie w rzymskim obozie. – To ja jestem twórcą potęgi Basilissy Zenobii i to za moją sprawą powstały obronne mury, na których teraz stoimy. Zawsze wiedziałem, że nadejdzie taki dzień. Zenobia jest dziś tym, czym chciałem, żeby była. Zenobia z Palmyry zostanie Augustą, bo ja tak chcę...



Ostrze miecza Nurbela dotknęło gardła Longinusa.  
Stary wojownik cicho syknął:

– Milcz, Greku, albo stracisz głowę. Jeśli nie chcesz znaleźć się w pałacowym lochu, z kajdanami na nogach, radzę ci, zamilknij natychmiast.

\* \* \*

– To już ostatnie, przyjacielu Nurbelu – powiedział shuloj Szarha. – Odłożyłem je dla nas. – Postawił przed nimi koszyk z suszonym mięsem gazeli z figami. – Wyglądasz na zmęczonego, szlachetny Nurbelu. W ogóle nie odpoczywasz. Minęło dwadzieścia pięć dni od czasu, kiedy ostatni raz mogliśmy tak sobie razem usiąść.

– Boisz się samotności, shuloj? – zapytał Nurbel z ironiczną miną.

Szarha roześmiał się, odsłaniając bezzębne dziąsła.

– Ależ skąd! I dziś mniej niż kiedykolwiek przedtem. Znalazłem kogoś, kto tak jak ja lubi sobie pogawędzić.

– A któż to taki?

– Egipska niańka.

– Aszemu? Też mi odkrycie, przecież znasz ją od lat...

– Teraz, kiedy nie może już chodzić i potrzebuje mojej pomocy, charakter znacznie się jej polepszył.

Roześmieli się, żując figi ze smakiem.

– W żadnym wieku nie jest za późno na szczęście, przyjacielu – powiedział cicho shuloj.

– Potrzebne do tego są też sprzyjające okoliczności –

stwierdził rozbawiony Nurbel.

– Wszystko dzieje się z woli bogów.

Wypili po kubku koziego mleka, delektując się jego smakiem przy każdym łyku.

– Czy mogę dać ci pewną radę, Nurbelu?

– Słucham.

– Zabierz Basilisę i księcia Wabalata i czym prędzej wyjedźcie z Palmyry.

Nurbel odstawił kubek, jakby bał się, że rozbije go na kawałki.

– Mistrz Longinus nie życzy ci dobrze – nie ustępował Szarha. – Nie sądzę też, aby chciał dobra naszej Zenobii. Ponieważ zaczyna brakować wody, podburzy przeciw wam mieszkańców miasta. Już teraz są niezadowoleni, że zdrajcy chrześcijanie wciąż żyją.

– Mogę zamknąć Greka w pałacowym lochu. I nikt go więcej nie usłyszy.

– Wiesz dobrze, że to nic nie pomoże. Będzie jeszcze gorzej.

– Nie lubię uciekać, przyjacielu Szarha.

– A kto mówi o ucieczce? Wasz wyjazd z Palmyry będzie jeszcze jednym podstępem. Nie zapominaj o obietnicy, jaką dałeś Najjaśniejszemu Panu. Jesteś strażnikiem życia Basilissy i jego syna.

\* \* \*

Chrześcijanie klęczeli na scenie teatru i tak głośno się

modlili, że ich głosy dochodziły aż do najwyższych stopni amfiteatru. Było ich ze dwustu, a może trochę więcej, ściśnięci jeden przy drugim, tak samo jak stłoczone wokół nich owce i kozy. Spętane muły przywiązano do kolumnienek fasady, a osły spędzono między teatralne zabudowania.

Z korony teatru mieszkańcy Palmyry, kobiety, mężczyźni i dzieci, wrzeszczeli i obrzucali chrześcijan odpadkami, chcąc zmusić ich tym sposobem do milczenia. Zyskali tylko tyle, że powietrze nad teatrem zrobiło się jeszcze trudniejsze do oddychania wskutek rosnących stert śmierdzących odpadów i gromadzących się od wielu dni odchodów \* zwierzęcych. Niżej, w kloace, w jaką musiało zmienić się proscenium, było zapewne jeszcze gorzej.

– Bądź spokojna, przeżyją – mruknął Nurbel, nie odwracając się do Zenobii. – Ich Bóg lubi, kiedy cierpią i przeżywają męki.

– Dostali wodę?

– W nocy. Kilku strażników zaniósł im tyle wody, ile mogłem na to przeznaczyć. Nawet moi wojownicy burzą się przeciw temu. Udajemy, że to woda dla zwierząt.

Nagle krzyki i zniewagi wzmogły się. Jedna z chrześcijanek, stara kobieta, zemdląca. Inni zanieśli ją na bok, odpychając owce, które beczały niezadowolone, że zakłóca się im spokój.

Zenobia odwróciła się z niesmakiem. Nurbel podążył za nią wąskim przejściem prowadzącym do murów obronnych. Tutaj łatwiej było oddychać.

– Kłamstwo ściga mnie swym obrzydliwym smrodem  
– szepnęła Zenobia, gdy Nurbel stanął obok niej. –  
Kłamałam, Nurbelu! Okłamywałam bogów, okłamywałam  
Najjaśniejszego Pana...

– Nie chcę tego słuchać, Basilisso.

– Ale to prawda. Złożyłam pewną obietnicę mojemu  
mężowi...

– Wiem wszystko, Zenobio. Nie musisz nic mówić.

Zenobia zachwiała się, oparła rękę o ceglany parapet.  
Nurbel spuścił oczy, by nie napotkać jej spojrzenia.

– Wiesz?

– Najjaśniejszy Pan miał do mnie zaufanie. To, co on  
wiedział, wiem i ja.

– To znaczy, że nic nie wiesz!

– Zenobio! – jęknął głucho Nurbel. – Chwycił ją za  
rękę. Tym razem spojrzał jej w oczy tak głęboko, na ile  
pozwalają obecny w nich śmiertelny cień. — Wiem  
wszystko. Wiem, dlaczego umarła Ofala, dlaczego twój  
wzrok jest bardziej mroczny niż zimowe noce. Dlaczego  
już się nie śmiejesz i dlaczego nie chciałaś podnieść ręki na  
chrześcijan. Wiem, dlaczego trzeba było zabić prefekta  
Eliusza i co się wydarzyło w Dura-Europos... Wiem  
wszystko i nie chcę tego usłyszeć z twoich ust!

Przytrzymała się mocniej jego ręki, z pobladłą twarzą,  
z drżącymi wargami. Wydała mu się tak piękna jak nigdy  
dotąd. Słodka, wrażliwa, niewinna jak ci, którzy są skazani  
na coś gorszego niż sama śmierć.

– Wiedziałaś i nic nie mówiłaś...

– Nurbel odwrócił się, zaciskając szczęki, żeby nie musieć znowu spojrzeć w jej twarz, żeby nie wypowiedzieć słów, które wojownik w jego wieku powinien ukrywać na dnie serca.

Na swoim silnym ramieniu czuł ciężar jej ciała. Podtrzymał ją. Znowu usłyszał jej szept:

– Nie chodzi tylko o kłamstwo wobec Najjaśniejszego Pana. Jest jeszcze obietnica, którą dałam Wabalatowi. Nie będę w stanie jej dotrzymać. Nie zostanie królem królów. Nigdy nie wjedzie do Rzymu jako zwycięzca.

– Obietnice to marzenia, Zenobio. Są potrzebne do życia. Weź choćby za przykład chrześcijan! Spójrz, jacy są szczęśliwi dzięki swoim marzeniom i obietnicom ich Boga, a jednocześnie dyszą nienawiścią. A któż może zaręczyć, że ich Bóg dotrzyma obietnicy i ofiaruje im raj?

Nurbel pożałował swoich cierpkich słów i chcąc je złagodzić, dodał:

– Pora opuścić miasto, Basilisso.

– Uciec z Palmyry?

– Teraz, kiedy wojownicy M'Tuba odeszli, Rzymianie nie muszą się spieszyć, podczas gdy my... Za dziesięć, najdalej trzynaście dni zabraknie nam wody. Twój lud zginie z pragnienia. Ludzie będą się bić o kroplę mleka, a kozy nie będą w stanie już go dać. Ci, którzy wrzeszczą teraz wokół teatru, zabiją chrześcijan. Zażądają, abyś otworzyła bramy miasta. Grek przeciwstawi się tobie i znajdzie popierających go szaleńców. Poza tym jest już za późno na uzyskanie od Augusta dobrych dla nas warunków

pokoju. Postarał się o to Longinus.

– Jeśli uciekniemy, Wabalat będzie się mnie wstydził. Alath nie ucieka.

– Wabalat jest dzieckiem, żyje bajkami i marzeniami. Ważne jest, żeby mógł potem kontynuować twoje dzieło. Pozwól Grekowi wypruwać flaki z Augusta. On to lubi, a ciebie to już nie bawi. Ty musisz żyć.

– Gdzie?

– Przy źródle w oazie Dingir-Dusag. Tam, gdzie Zenobia otrzymała „pocałunek nieba” i stała się Alath. Jeszcze nie wszystko stracone, Basilisso. Grek i Augustus mogą zginąć, dając się ponieść swojej wściekłości. Kto wie, może Baalszamin zawiedzie cię do Rzymu.

Zenobia wytrzymała jego spojrzenie bez słowa. Gorące łzy paliły ją w policzki. W końcu skinęła głową, delikatnie pogłaskała starą twarz Nurbela.

– Ty także żyjesz bajkami i marzeniami.

\* \* \*

Był to sto dwudziesty dzień oblężenia.

O świcie Nurbel przyszedł do komnat Zenobii i rozkazał służącym, by ją obudziły.

– Już nie śpi, szlachetny Nurbelu. Jest u księcia.

– Powiedz jej, żeby zostawiła księcia i wyszła do mnie na taras.

Gdy pojawiła się Zenobia, Nurbel, nie tracąc czasu na powitania, końcem miecza pokazał na południe.

– Spójrz!

Złotawa mgielka otulała pustynię i niebo. Słońce jeszcze nie wzeszło nad ziemią. Na horyzoncie widoczna była bura linia, która nabrzmiwała, puchła, jakby znowu wracały ciemności.

– Burza piaskowa – stwierdziła obojętnie Zenobia. – W mieście nic nam nie grozi. To raczej Rzymianie powinni się bać o swoje obozowisko.

Nurbel przytaknął i odrzekł:

– To okazja, na którą czekałem. Bogowie nie odwrócą się od Alath.

– Chcesz powiedzieć...

– Że za pięć, sześć godzin burza dojdzie do nas. Zrobi się ciemna noc. Rzymianie nie wiedzą nic o pustyni. Nie zdają sobie sprawy, co się szykuje.

– Chyba nie myślisz o tym, żeby ich zaatakować w czasie burzy? Walka w takich warunkach to szaleństwo.

Urwała, bo nagle pojęła. Nurbel dotknął jej ramienia.

– Przygotuj się. Spotkamy się w starym pałacu. Bądź ostrożna. Unikaj Greka i postaraj się, żeby twój syn milczał. Żadnych pożegnań, z nikim. Ani z Egipcjanką, ani z shulojem. Oni już wiedzą.

\* \* \*

Ubrali się w skórzane tuniki i czarne peleryny, umocowali u pasów miecze. Wabalat miał krótki mieczyk, wyglądający prawie jak sztylet, ale ostry i także groźny.

Skórzane hełmy z ochraniaczami na policzki, związane pod brodami, miały ich choć w części chronić przed piaskiem. Szyje owinęli grubymi lnianymi chustami. W sznurowane buty do kolan wsunęli nogawki obszernych pantalonów. Ich kroki ledwie były słyszalne w labiryncie wąskich, podziemnych korytarzy, gdzie dawno temu Nurbel zaprowadził siłą Hayrana, syna Najjaśniejszego Pana, by mu pokazać trupy jego towarzyszy.

Nie oświetlali drogi pochodnią, zadowalali się dochodzącym z dala skąpym światłem latarek, trzymanyh przez strażników, których Nurbel wcześniej odwołał z posterunku. Nie potrzebowali wiele czasu, żeby dotrzeć do wyjścia z podziemia, a potem do bramy prowadzącej za mury obronne, gdzie było wyschłe koryto Wadi Qubur.

– Książę – szepnął Nurbel – podaj mi rękę. Będziemy biec bez zatrzymania i nie możemy się zgubić.

Wabalat posłuchał go bez sprzeciwu. Podał swą twardą, małą rączkę.

Nurbel pobiegł, nie sprawdzając, czy Zenobia nadaża za nimi.

Gdy jednak przykucnął przy ciężkiej, żelaznej bramie, poczuł jej oddech za plecami. Wabalat starał się być dzielny, oddychać normalnie, ale zdradzało go drżenie ręki, którą trzymał Nurbel.

– Odetchnij głęboko, książę. Zostało nam niewiele czasu, zanim wrócą strażnicy. A kiedy znajdziemy się już na zewnątrz, będziemy musieli pobiec jeszcze szybciej.

– Umiem biegać – odburknął Wabalat. – Nie jestem



tak stary jak ty i nie boję się Rzymian.

Nurbel uśmiechnął się. Domyślił się, że Zenobia ręką w rękawiczce pogłaskała czule ramię syna.

Gdy odzyskali oddech i zapanowali nad przyspieszonym biciem serc, dosłyszeli świst burzy. Mimo że brama była zasłonięta kamiennym rumowiskiem i kolczastymi krzakami, pod uderzeniem piachu zaskrzypiały jej żelazne zawiasy.

Nurbel wydobył z pochwy miecz.

– Musicie biec tuż za mną, bo inaczej pogubimy się. A jeśli na naszej drodze pojawi się jakiś Rzymianin, trzeba bez wahania go zabić.

Wyczuł napięcie Zenobii, która również trzymała w ręku miecz.

W końcu wąskiego korytarza rozbrzmiało słabe echo głosów. Zbliżała się nowa zmiana wartowników.

Nurbel podciągnął chustę aż pod oczy. Zenobia i Wabalat poszli w jego ślady. Podniósł brązową sztabę wzmacniającą bramę, wyjął spod peleryny klucz, a gdy go przekręcił, w zamku podskoczyła gruba niczym męska pięść zapadka.

Zamek ogłuszająco zazgrzytał. Brama, pokonując wiatr, otworzyła się do połowy. Nurbel przytrzymał ją, spojrzawszy ostatni raz na Zenobię i Wabalata.

– Teraz!

\* \* \*

Wpadli w objęcia burzy. Skórzane tuniki, peleryny i bawełniane chusty okazały się słabą ochroną. Piasek siekł niemiłosiernie ich twarze. Niezwykle silny wiatr unosił pył zatykający oddech.

Nurbel padł na brzuch, przyciskając Wabalata do kamieni.

Było o wiele ciemniej niż w podziemnym przejściu. W zniekształcającym wszystko mroku słyhać było jakieś demoniczne jęki i trzaski. Poczuli okropny smród, jakby ziemia otworzyła się na stęchłą otchłań piekieł. Szarpane wichurą poskręcane kolczaste krzaki smagały o skały.

– Czołgaj się obok mnie! – krzyknął Nurbel. – Trzymaj głowę nisko, żeby nie pokaleczyły cię kolce.

Ruszył, nie oglądając się na Zenobię.

Czołgała się tuż za nimi, ale bardzo szybko połamane gałęzie wczepiły się jej we włosy, które nie zmieściły się pod hełmem. Wiatr pochwycił je i okręcił wokół kolców. Szarpnęła głową, nie zważając na ból. Ale nic to nie pomogło. Wtedy bez namysłu jednym cięciem miecza odcięła pasmo włosów. Uwolniona dołączyła do Nurbela i Wabalata, którzy przycupnęli pod skałami. Chłopiec zakrył rękami twarz, by osłonić się przed gorącym piaskiem, który wpadał w oczy i uderzał boleśnie w policzki mimo okrywającej je chusty.

Widoczność ograniczała się do kilku kroków, nie sposób było mieć otwarte oczy. Piasek wciskał się pod skórzane hełmy, palił skórę, uszy, nozdrza, dostawał się pod tuniki. Przez potworny łoskot wiatru słyhać było co

pewien czas jakieś trzaski, krzyki, nawoływania legionistów, którzy usiłowali gdzieś się schronić.

Nad ich głowami fruwały ze świstem strzepy płótna. Widocznie rozdarł się któryś z rzymskich namiotów, a potem kolejne i kolejne.

Nurbel dotknął ręki Zenobii. Mrugając oczami, wymienili krótkie spojrzenie. To był najlepszy moment. Nikt nie mógłby ich teraz dojrzeć. Za dwa, trzy dni, w zależności od decyzji szalonego Longinusa, Rzymianie przekonają się, że oblegali miasto, które królowa opuściła.

Podnieśli się jednocześnie. Pochyleni, z rękami wyciągniętymi do przodu, wyskoczyli zza osłony skał. Nurbel znał tu każdy kamień i nawet w takich ciemnościach był pewien, że odnajdzie drogę.

Przebiegli zaledwie dwadzieścia kroków.

Dał się słyszeć jakiś rozkaz i z ciemności wyłoniło się pięćdziesięciu legionistów z włóczniami w rękach, którzy otoczyli ich kołem.

Nurbel od razu rozpoznał oficera. Był to jasnowłosy mężczyzna, który zawsze jechał obok cesarza. Przez głowę jak błyskawica przeszła mu myśl o człowieku wysłanym przez Longinusa. Grek go okłamał. Wysłaniec nie wrócił. Albo zdradził, albo pod wpływem tortur powiedział o podziemnym przejściu.

Tymczasem oficer już zamierzał się swym mieczem na Zenobię. Podjechawszy bliżej, zawołał, przekrzykując wiatr:

– Alath! Alath!

I wtedy Wabalat podbiegł ku niemu ze swoim krótkim mieczem w dłoni. Zenobia krzyknęła. Rzymianin odparował cios miecza chłopca i wybuchając śmiechem, chwycił go za pelerynę. Nurbel odepchnął na bok Zenobię. Oficer podniósł Wabalata, jakby zamierzał wbić go na swój miecz, gdy śmiech zamarł na jego ustach. Przeszedł w charkot uniesiony przez wściekły wiatr.

Nurbel zobaczył ostrze miecza chłopca, wbite w gardło oficera. Rzymianin zwałił się na ziemię, pociągając za sobą Wabalata. A zaraz potem zobaczył wymierzone w chłopca włócznie. Stojąca obok niego Zenobia krzyknęła.

Po sekundzie Nurbel leżał już na Rzymianinie, osłaniając chłopca. Groty włócznie wbiły mu się pośladki, plecy, połamały zebra. Czując, jak zadają mu wciąż nowe ciosy, jakby miało ich być tyle, ile popełnił błędów w swoim długim życiu, jakby miały go z nich oczyścić, oddał ducha i odszedł do swoich bogów.

A kiedy dosięgała go ostatnia włócznia, ta, która przebiła mu kark, bogowie okazali mu łaskę, zaoszczędzili widoku tejże włócznie, broczącej jego krwią, wbijającej się w brzuch Wabalata.

Nie zabrał też ze sobą na tamten świat nabrzmiałego rozpaczą, usłyszanego aż na ulicach Palmyry krzyku Zenobii nad martwym ciałem syna.

## EMESA

Był to ten sam pokój, w którym urodził się chłopiec. Rzymianie nie wiedzieli o tym. Zresztą co oni wiedzieli?

Przyniesiono jej piękne ubrania, wytworne jedzenie. Usługiwano jak królowej, którą już nie była.

Odmawiała wszystkiego. Nie jadła, nadal miała na sobie ubranie, w którym uciekała. Wielokrotnie w ciągu dnia dotykała zaschłych na nim grudek krwi Wabalata.

Nie zrobiła nic ze swoimi po części obcięzonymi włosami, najpiękniejszymi na całym Wschodzie. Czując chłód na odsłoniętej szyi, przeżywała w każdym momencie koszmar śmierci Wabalata.

\* \* \*

Niewolnice namawiały ją, by zechciała się przygotować i ubrać jak królowa, ponieważ pragnął ją odwiedzić cesarz Rzymu.

Nie słuchała wcale ich paplaniny, a gdy któraś podchodziła za blisko, uderzała ją po twarzy pasem, przy którym nie było już miecza.

Aurelian August raz złożył jej wizytę w namiocie, gdy przywieziono ją do Emesy, daleko od plądrowanej, palącej

się Palmyry. Wrzeszczał, wymachiwał ręką pomimo krępującego ją bandażu, który uniemożliwiał mu włożenie pancerza.

– Twój syn zabił mojego jedynego przyjaciela, prefekta Maksymusa. Żołnierza, który wyszedł zwycięsko z tysiąca bitew. Najwierniejszego mojego przyjaciela. Oddałbym za niego własne życie. Człowieka, najbliższego memu sercu.

Wydawało się, że ma ochotę uderzyć ją zdrową ręką. Spoglądała na niego obojętnie, zaskoczona jedynie pewnym podobieństwem między nim a Najjaśniejszym Panem. Taka sama sylwetka wojownika, wysokie policzki, pełne, pięknie zarysowane usta. Różniły ich jednak oczy. Błękitne tęczówki Lucjusza Aureliana Augusta miały barwę pustego, zimnego nieba.

Kiedy się już wykrzyczał, wybuchnął równie głośnym śmiechem.

– Jak to możliwe, królowo Palmyry, żeby dwunastoletni chłopiec zdołał wbić miecz w gardło najślawniejszego z moich oficerów? Żołnierza, który pokonał Gotów, Alamanów, Swebów, Roksolanów i Alanów?

Zenobia nawet nie otworzyła ust. Śmiech Aureliana nabrzmiały był goryczą i urażoną dumą. Aurelian nosił w sobie żal po śmierci prefekta Maksymusa, ale jego cierpienie nie było z tych, które wymagają łez.

– Godny syn swojej matki! – wołał. – Potomek wielkiej Zenobii. Tej, która pokonała Szapura, tej, która

zapraǳnęła Rzymu. Alath! Pięknej, wielkiej Alath!  
Niezwycięzonej Alath!

Urwał, spoważniał, popatrzył na nią uważnie, jakby dopiero teraz dojrzał kobietę pod wojennym, poszarpanym ubraniem. Patrzył na nią bez brutalnej pewności siebie, jaką okazują żołnierze pojmanym przez nich jeńcom.

– Tak. Piękna i odważna. Trzeba to przyznać – stwierdził, masując machinalnie zranione ramię. – Piękna. I doskonała łuczniczka, jak mawiał Puliniusz. Ale Aurelian pokonał cię, jak zawsze zwycięski. – Znowu się roześmiał. – A jeśli chodzi o twego syna, królowo Palmyry... Udało mu się przebić gardło Maksymusa, bo jego dziecięcą ręką kierowali bogowie. Bogowie chcą, abym był czysty, bo taki musi być August Rzymu: czysty i samotny!

A więc taki jest ten człowiek, który przysłał jej suknie, tuniki, diademy, bransoletki i naszyjniki, wydobyte z kufrów w Palmyrze. Miał nadzieję, że ona ubierze się w nie, by okazać mu szacunek. Nie pojął jeszcze, że bogowie to tylko słowa, iluzje wymyślane w zamięcie życia, podobnie jak bajki, które przynoszą ulgę dzieciom bojącym się nocnych ciemności.

\* \* \*

Dziś opatrunek na jego ramieniu był znacznie lżejszy. Miał na sobie tunikę przetykaną złotem. Widząc ją w tych samych szmatach, spojrział z gniewem na niewolnice.

Obszedł ją dokoła i z miną wyrażającą niezadowolenie

zapytał:

– Dlaczego upierasz się przy tym, żeby wyglądać jak dzikuska? Do czego zmierzasz?

Nic nie odpowiedziała, podobnie jak podczas poprzedniego spotkania.

– Chciałaś zostać Augustą, walczyliśmy i przegrałaś. Czy nie tak? Po co więc ten spektakl? Czy królowa Zenobia nie powinna mieć więcej godności niż kocmołuchy z nędznych dzielnic?

Ponieważ w dalszym ciągu milczała, oznajmił dość łagodnym tonem, wpatrując się w nią swymi błękitnymi oczami:

– Nie potrzebujesz okazywać więcej odwagi i dumy niż to konieczne. Nie bój się, nie zamierzam cię zabić. Co się tyczy zemsty, ceny za brak szacunku dla Rzymu, wystarczająco zadowoli mnie śmierć tego Greka. Zasługuje na to. Usta mu się nie zamykają. Znieważa nas na każdym kroku. Będzie to więc przyjemność ujrzeć, jak traci głowę wraz z setką idiotów, którzy go popierają. Ale ty, Zenobio, nie obawiaj się, będziesz żyć.

Podniósł zdrową rękę i wyciągnął ku niej. Pomyślała, że chce dotknąć jej twarzy. Gwałtownie się cofnęła, a z jej oczu wyzierała śmiertelna nienawiść. Aurelian, zmieszany, znieruchomiał. Zmusiwszy się do drwiącego uśmiechu, powiedział:

– Nie ma pośpiechu. Będziesz miała czas, żeby nacieszyć się swoją pięknnością. – I jakby dla zatuszowania zmieszania, dodał: – Czy wiesz, że przywódca chrześcijan



z Emesy przyszedł do mnie prosić o łaskę dla ciebie? A przecież to on otworzył mi bramy miasta i sprawił, że zdradzono cię w samym sercu Palmyry! Sprzedał cię za obietnicę oszczędzenia jego ludzi, a dziś błaga mnie na kolanach, bym pozostawił cię przy życiu.

Zenobia powiedziała tylko sobie w duchu: „Szymonie, Szymonie!”. Nie czuła przy tym większego wzruszenia ani wielkiego bólu.

– Uznał, że dość wycierpiałaś, a on osiągnął swój cel. Stwierdził, że skoro nie zgodziłaś się wbrew żądaniom twego ludu na wymordowanie chrześcijan, to znaczy, iż stało się tak dzięki miłosierdziu jego Boga. Jesteś teraz jedną z nich. Czy to prawda, że zostałam chrześcijanką?

Nie odpowiedziała na to pytanie, tak jak i na wszystkie poprzednie. Aurelian skrzywił się i podszedł do niej bliżej. Mówił ciszej, tonem porozumiewawczym i przyjaznym:

– Co mnie obchodzą szaleństwa chrześcijan? Będiesz żyć, bo ja tak chcę. Wszyscy wokół mnie żądają twojej śmierci, królowo Zenobio. W Rzymie również wkrótce domagać się będą głośno widoku twojej krwi. Ale nie umrzesz. Nie chce tego Augustus Aurelian. Nie uważaj się za niepokonaną. To koniec Alath!. Nie wypełniłaś jednak do końca swojego przeznaczenia. Od chwili twoich narodzin bogowie zachowywali cię przy życiu jedynie po to, byś przyczyniła się do mojego triumfu. Żeby na forum zajaśniała chwała Lucjusza Aureliana Augusta.

## RZYM

Dziś, podobnie jak wczoraj, podniosła powieki, zanim jeszcze oczy mogły odróżnić niebo od ziemi. Wciąż dręczyła ją ta sama myśl o Wabalacie, o nieżyjącym synu. Czy miała oczy zamknięte, czy otwarte, stale był przy niej, niewidoczny, szepczący wymówki.

Obserwowała służące, wartowników, oficerów wyznaczonych do jej pilnowania. Od poprzedniego dnia miotali się na wszystkie strony, drżący i bezradni.

Wiele razy od wyjazdu z Emesy myślała, że mogłaby z łatwością zepsuć Aurelianowi jego triumf. W ogólnym chaosie, jaki ją otaczał, mogłaby bez trudu zdobyć sztylet.

Wbicie go w pierś wymagało tylko jednej chwili odwagi.

Gdy dopływali do bram Rzymu, miała ze sto razy okazję, żeby zeskoczyć z burty cesarskiego statku lub sprowokować któregoś z oficerów, by przebił ją mieczem.

Ale za każdym razem pojawiała się przed nią twarz Wabalata. Syn żądał, by dotrzymała obietnicy.

Wezwała służące i wskazując na kufry ze zrabowanymi przez Aureliana skarbami Palmyry, oznajmiła:

– Ubierzcie mnie tak, jak tego sobie życzy Aurelian.

\* \* \*

Wszyscy pragnęli ją zobaczyć.

Płomienie pochodni migotały od siedmiu rzymskich wzgórz aż do nabrzeży Tybru. Tysiące ludzi pospiesznie zdążyły w kierunku via Cornelia i Velabrum. Starzy i młodzi, bogaci i biedni, prawnicy i sprzedawcy owoców, dziwki z Subury i obywatele o białych zębach, wrzeszcząc, przeklinając, na pół obudzeni, opuścili swoje śmierdzące mieszkania lub bogate wille, żeby tłoczyć się na ulicach i wdychać pot sąsiada.

Byli tacy, którzy okradali biedniejszych od siebie, inni bezlitośnie odpychali kobiety i dzieci, żeby zdobyć miejsce, z którego będzie lepszy widok. W Circus Maximus niektórzy w asyście kilkunastu uzbrojonych niewolników za równowartość cennego ładunku z Egiptu lub grupy niewolników kupowali sobie miejsce na skraju drogi, gdzie będą mogli zobaczyć Aureliana Augusta, a on ich.

Najstarsi z patrycjuszy, kalecy i chorzy, wszyscy, którzy nie byli w stanie iść szybko, dotarli dopiero przed świtem na forum, gdzie surowe straże nie wpuszczały plebsu od ponad tygodnia. Wydano rozkaz rozpalenia kadzideł na ołtarzach i otwarcia bram wszystkich bez wyjątku świątyń.

Jednocześnie wszędzie, na placach, na kolumnach i posągach zapalono lampiony, pochodnie, w których świetle rozbłysły girlandy i proporczyki zawieszane na

dwudziestu tysiącach masztów, postawionych na taką okazję.

Gdy pierwszy brzask dnia zajaśniał nad cesarską stolicą, dym kadzideł i pochodni pokrywał ją gęściej niż mgła, a zamęt i wrzawa były takie, jakby miasto plądrowali barbarzyńcy. Wreszcie na końcu via Cornelia rozległy się dźwięki trąb, ogłaszające wjazd triumfalnego orszaku Lucjusza Aureliana Augusta.

Wówczas ogólny harmider przeszedł w jeden wielki krzyk radości.

Najpierw ujrzano dmących w brązowe i miedziane instrumenty muzykantów z trąbkami, egipskimi kometami, galijskimi rogami, helikonami. Zaraz za nimi szli, otwierając procesję, świeżo ogoleni senatorowie i urzędnicy, energiczni, wytworni, dziękując gestami rąk, jakby te okrzyki skierowane były do nich.

Ale spojrzenia wszystkich biegły dalej. Za idącą tuż za nimi gwardią pretoriańską ukazało się dwadzieścia słoni, trzydzieści żyraf, tyleż gazeli, zebra, bawołów, łosi, dzików, alpejskich koziorożców, muflonów, kucyków, wielbłądów jedno i dwugarbnych, a wszystkie one prowadzone były na postronkach lub popędzane batami przez niewolników. Zwierzęta, przerażone zgiełkiem miasta, zanieczyszczały bruk śmierdzącymi odchodami, wywołując u gapiów grymasy niesmaku i drwiny, które ustały dopiero wtedy, kiedy za nimi pokazały się drapieźniki w klatkach na kołach.

W klatkach, ustawionych po cztery w szeregu,

wieziono rysie, hieny, tygrysy, pantery i lwy, które głośno ryczały, gdy przejeżdżały pod wielkim, niedokończonym łukiem bramy Aureliana. Tłum milkł na widok ich kłów i drżał, słysząc chrapliwe ryki. Miały przypominać o niebezpieczeństwach, bitwach i wszelkich cudach Wschodu, pokonanego przez Augusta.

Za nimi maszerowało parami wśród wiwatów i pełnych ekscytacji okrzyków kobiet ośmiuset na pół nagich gladiatorów wszystkich kolorów skóry, o przeróżnym wyglądzie – szpetni tuż obok pięknych – zatrzymując na sobie spojrzenia ludzi niecierpliwie wypatrujących łupów, których pełne narecza niosło pięciuset niewolników.

Złoto, srebro, posągi, klejnoty, pancerze, broń, naczynia, ubrania, kufry, lustra, krzesła, łóżka, mnóstwo przedmiotów bez nazwy i konkretnej funkcji, ale z pewnością bardzo cennych. Wszystko to błyszczało, połyskiwało, tworząc zjawiskowy spektakl, upajający niczym senne marzenie, urzekający oczy chciwych takiego widoku, już drżących z zazdrości.

A gdy kilka tysięcy jeńców – Persowie, Baktrianie, Indusi, Sarmaci, Wandale, Blemmjowie i Aksjomici – przechodziło chwiejnym krokiem pod tabliczkami informującymi o miastach i krajach, gdzie zostali pobici, rozległy się okrzyki wściekłości i nieokiełznanej nienawiści. Na drodze między mostem Nerona a stopniami teatru Pompejusza musieli schylać głowy i podnieść związane ręce, by osłonić się przed gradem cegieł i skorup.

Zginęło w ten sposób około dwustu jeńców, a ich zwłoki tratowali idący z tyłu. Przynajmniej ominęło ich wielogodzinne opluwanie, jakie przetrzymać musieli pozostali przy życiu, zanim położyli głowy pod topór w więzieniu mamertyńskim.

A potem pojawiło się dziesięć sarmackich wojowniczek ubranych jak mężczyźni, ale z odkrytą piersią. Szły z uśmiechem na ustach, drwiąc z żartownisiów, odpowiadając pocałunkami na obelgi kobiet i wulgarnymi złośliwościami na komplementy starców.

\* \* \*

Niejeden z widzów żałował, że nie mógł się im dłużej przyjrzeć. Aż wreszcie rozległ się pomruk ściśniętych w ciżbie ludzi, anonsujący to, co wszyscy pragnęli zobaczyć. Słysząc było imię, które podawano sobie z ust do ust już od miesięcy, imię Zenobii, królowej Palmyry.

Oczywiście zobaczyli Augusta Aureliana w purpurowo-złotej todze, stojącego na triumfalnym rydwanie ciągniętym przez cztery jelenie z ogromnymi rogami. Zobaczyli wieniec laurowy, drogie kamienie, którymi inkrustowane były ściany i dyszel rydwanu, złote pręty w kołach i perły, zdobiące poroże jeleni. Jednak oczy tysięcy widzów stojących wszędzie: wzdłuż Tybru, w cyrku Flaminiusza, wokół teatru Marcellusa, pod świątyniami Herkulesa i Wenus widziały przede

wszystkim ją, Zenobię.

\* \* \*

Patrzyła przed siebie ze stężałą twarzą. Złoty łańcuch krepował jej najpiękniejsze na świecie ciało, uwypuklając w blasku słońca jego kształty. Przykuta nim była do słupków niskiego wozu, który ciągnęli niewolnicy ze złotymi sznurami na szyjach. Czasami chwiała się pod ciężarem zdobiących pierś naszyjników i złotego łańcucha. Bujne, gęste loki opadały aż na plecy, a po prawej stronie głowy najbliżej stojący mogli dostrzec gołą skórę w miejscu, gdzie sama odcięła sobie pasmo włosów.

Nie zdołało to jej jednak oszpecić. Choć była pokonana, nie pokazywała po sobie najmniejszej słabości.

A gdy wjechała w obręb wielkiego cyrku, gdy słońce w zenicie zalało wszystko oślepiającym blaskiem, wydała się patrzącym tak doskonale piękna, że ogólna wrzawa zmieniła się w szept pełen szacunku.

Ktoś wykrzyknął jej imię.

I wówczas, jak na polu walki, dwadzieścia tysięcy głosów odpowiedziało:

– Zenobia! Zenobia!

Trwało tak, dopóki jechała wkoło torem wysypanym piaskiem i nikt w tym czasie nie wzniósł okrzyku na cześć Augusta Aureliana.

\* \* \*

Kiedy pięć godzin później August na stopniach forum składał w ofierze jelenie ze swego zaprzęgu, miasto rozbrzmiewało jeszcze imieniem Zenobii.

Nikt jednakże nie mógł usłyszeć słów, które królowa Palmyry powtarzała przez cały ten dzień. Szeptane tyle razy słowa danej kiedyś synowi obietnicy, od których opuchły jej wargi, wyszeptała po raz ostatni, przejeżdżając pod łukiem Trajana: „To Wabalat, syn Zenobii, najznakomitszy z królów!”.



# EPILOG

**PERJNTHOS, 275 r. n.e.**

Usłyszawszy odgłos kroków od strony krzaków tamaryszku, pomyślała, że to on.

Był to jego zwyczaj od dwudziestu miesięcy. Wieczorem pojawiał się gdzieś w pobliżu i obserwował ją przez jakiś moment. Czasami stawał tuż przy niej, kiedy indziej trochę dalej, a niekiedy zatrzymywał się w ukryciu.

Czy naprawdę sądził, że ona nie wyczuwała jego obecności?

Prawdę mówiąc, nawet sobie nie wyobrażał, jak mało ją obchodził. Wymagał, aby towarzyszyła mu jak cień, którym zresztą była. Tym również się nie przejmowała. Nie odzywała się do niego ani słowem, niewiele też mówiła do służących.

Wiedziała, że niektórzy uważają, iż straciła rozum. Ci sami ludzie pokpiwali sobie z Augusta Aureliana, że przez całe swoje życie miał w najbliższym otoczeniu szalone kobiety.

Czasami wydawało się jej, że na coś czeka. Jakby siedziała na czatach w trakcie polowania, gdzie musiała zachowywać się ciszej niż najsprytniejsze zwierzę. Nie umiałaby powiedzieć, czego tak naprawdę oczekuje, ale na pewno nie była to śmierć ani zapomnienie.

\* \* \*

W taki wieczór jak ten, kiedy październikowe słońce łagodnie opadało nad morzem upstrzonym czerwonymi i błękitnymi żaglami łodzi rybackich, potrafiła zachować spokój. Tym większe więc było jej zaskoczenie, gdy całkiem blisko, pod ciężką od owoców oliwką, ujrzała drobną, szczupłą kobietę.

– Mam na imię Ulpia, królowo Zenobio. Nie znasz mnie. A powinnaś, bo jestem żoną Augusta Aureliana.

Uśmiechnęła się. Jej uśmiech był miły, ale spojrzenie ciężkie, natarczywe. Podeszła bliżej kilka kroków z rękami splecionymi na brzuchu, jakby pasek nie trzymał wystarczająco prostej, brązowej tuniki. Oczy miała mocno podczernione barwiczką. Zachichotała:

– Nie widziałas mnie dotąd ani razu, ponieważ Aurelian trzyma mnie z dala od siebie. Powiada, że jestem szalona. Mówią tak wszyscy z jego otoczenia. Szalona Ulpia, oto kim jestem, ja, żona Augusta! – Urwała z grymasem smutku na twarzy. – Mówią tak samo o tobie, królowo Zenobio. Powiadają, że walczyłaś z Aurelianem i z wieloma mężczyznami i że od tego w końcu pomieszało ci się w głowie. Mężczyźni nie lubią, żeby kobiety potrafiły robić to, co zwykle oni robią, oto cała prawda.

Podeszła jeszcze bliżej, przyglądając się jej tak uparcie, że Zenobia wstała z fotela i się odsunęła. Ulpia kiwnęła głową z aprobatą:

– Mówią, że jesteś piękna. To prawda. – Zmarszczyła brwi, spoważniała. – Kochałaś się z nim? Jak jego siostra?

Pytanie to tak zaskoczyło Zenobię, że aż drgnęła, czym rozbawiła Ulpie.

– Nieważne! Już mnie to nie boli. Dziś potrafię przebaczyć. Poznałam Boga, który wybacza wszystkie grzechy i otwiera swój raj największym niedowiarkom. Boga sprawiedliwości. Aurelian nie wie, co to sprawiedliwość.

Coś w spojrzeniu Ulpii, a może w wyrazie ust, kazało Zenobii mieć się na baczności. Cofnęła się trochę do tyłu. Ulpia przypatrywała się jej z powagą. W końcu skinęła głową i oświadczyła:

– Rozumiem twój ból. Cierpimy podobnie. Aurelian zabił twojego syna, a mnie odmówił bycia matką.

Nagle umilkła, czujnie nasłuchując. Od strony ogrodu dał się słyszeć chrzęst kroków na suchej trawie.

W chwili, gdy Zenobia odwróciła się, by upewnić się, że tym razem to Aurelian, Ulpia znikła jak zaczarowana.

Po raz pierwszy Zenobia odczuła ulgę na jego widok. Czy zauważył swoją żonę lub też tę szaloną, kobietę, która się za nią podawała?

Aurelian, jak zawsze, szukał oczyma tylko jej. A gdy udało mu się uchwycić jej spojrzenie, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia. Zwolnił kroku, jakby obawiał się, że ta chwila minie zbyt szybko.

Jak zwykle czoło zdobił mu wieniec ze złotego wawrzynu. Pod koniec dnia był już nieco pognieciony. Aurelian musiał mieć kilku złotników, których zadaniem było wykonać nowy wieniec na każdy dzień. W ostatnich

miesiącach trochę przytył, pod oczyma miał niezdrowe sińce. Wyraz ust nie był już tak twardy, ciało robiło wrażenie mniej sprawnego.

Może przyczyną tego był urzekający wpływ, jaki wywierała na niego Zenobia? I gdy z cienia tamaryszka wyłoniła się Ulpia, nie zrobił żadnego obronnego gestu, nie próbował uciekać. Wydawało się, że w ogóle nie usłyszał jej kroków, kiedy wyskoczyła ze sztyletem, który następnie wbiła mu w plecy z radosnym okrzykiem.

\* \* \*

Minęła dobra chwila, zanim Zenobia zdołała odwrócić się, oderwać wzrok od oczu umierającego.

Kiedy Ulpia, z zakrwawioną ręką, wyprostowała się, Zenobia cofnęła się, spodziewając się, że ta szalona kobieta zamierza teraz ją zaatakować.

– Nie bój się. Ona nie zrobi ci żadnej krzywdy. Wykonywała swoje zadanie, dokonując zemsty w imię Boga.

– Schawaad!

Nie krzyknął i nie zaprotestował, słysząc imię, którym go nazwała. Jak zawsze miał pelerynę z kapturem, który zakrywał mu częściowo twarz.

Zenobia musiała oprzeć się o najbliższe drzewo. Czy na to właśnie czekała?

– Dlaczego go zabiliście? – szepnęła.

– Bo tak jak wszyscy Rzymianie i wszyscy rzymscy

cesarze nie umiał dotrzymywać swoich obietnic. – Shawaad chudą dłonią wydobył z rękawa zwój pergaminu. – Jutro miał zamiar ogłosić, że nie wolno oddawać czci Jezusowi Chrystusowi w miastach imperium. Znowu miały wrócić prześladowania naszych braci. Nie odniosłyby żadnego skutku. Wiele już razy udowadnialiśmy, że nie boimy się ani bólu, ani śmierci i że raj Boga jest dla nas otwarty. Już najwyższy czas, żeby Rzymianie pojęli, kim jesteśmy.

Podeszła do nich Ulpia. Uklękła przed Schawaadem, chwyciła jego prawą rękę i przycisnęła do niej usta.

– Szymon z Emesy jest chrześcijaninem, który potrafi uleczyć wszelkie cierpienia – powiedziała do Zenobii, wstając z kolan. – Chodź z nami, Zenobio. Ciebie też uleczy.

Zenobia napotkała spojrzenie oczu Shawaada, wpatrujących się w nią spod kaptura. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna w jego okaleczonej twarzy dostrzegła czułość. Nadzieję. Może nawet błaganie.

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi, w nadziei, że i on dostrzeże to, co zostało w niej z dawnej miłości. Nie ruszając się z miejsca, Schawaad szepnął:

– Teraz już wiesz wystarczająco dużo o prawdzie i kłamstwie i możesz do nas dołączyć.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Za późno. O wiele za późno. Kochałam cię miłością, która nie znała granic. Ale nic już z niej nie zostało. Twój Bóg, Schawaadzie, nie jest dla tych, których niszczy twoją

ręką. Wiesz o tym sam najlepiej.

Wyciągnął ku niej dłoń, ale ona natychmiast się cofnęła.

– Nie pamiętasz, jak uśmiercił mnie Szymon z Emesy?  
– powiedziała twardym tonem. – „Dla Szymona z Emesy jesteś martwa, Zenobio! Martwa od dawna!”. To były jego słowa.

Zmierzyli się wzrokiem. Zenobia zdała sobie sprawę, że jej oczekiwanie dobiegło końca.

Ich zafascynowanie przerwał krzyk Ulpii:

– Nie powinnaś zostawać sama, Zenobio!

– Zenobia z Palmyry jest sama od dnia swoich narodzin. A jutro nikt nawet nie będzie wiedział, że w ogóle istniała.

- [1] Singidunum – dziś Belgrad.
- [2] Decurion – dowódca oddziału jazdy złożonego z dziesięciu ludzi.
- [3] Centurion – oficer rzymski, stojący na czele jednostki wojskowej zwanej centurią, setnik.
- [4] Kohorta – oddział wojskowy, dziesiąta część legionu, składająca się z trzech manipułów (6 centurii).
- [5] *Spatae* – wprowadzone dopiero w okresie cesarstwa dłuższe miecze-szpady.
- [6] Sirmium – dziś Mitrovica.
- [7] Legat – dowódca zastępujący konsula.
- [8] Edylowie – w starożytnym Rzymie urzędnicy do spraw m.in. bezpieczeństwa publicznego, porządku w mieście, aprowizacji i handlu oraz igrzysk.
- [9] Konsul – w starożytnym Rzymie, w okresie republiki, jeden z dwóch urzędników, wybieranych na okres roku, mających najwyższą władzę cywilną i wojskową; w okresie cesarstwa – naczelny dowódca.
- [10] Decjusz – Caius Messius Quintus Decius, cesarz

rzymski w latach 249-251 r. n.e.

[11] August, cesar – tytuły nadawane cesarzom rzymskim i ich następcom.

[12] *Lararium* – w starożytnym Rzymie kapliczka domowa z wizerunkami przodków danej rodziny.

[13] *Parazonium* – krótki rzymski miecz.

[14] Geniusz (łac. *Genius*) – wg pojęć religii rzymskiej bóstwo opiekuńcze, które rodzi się wraz z człowiekiem, obdarza go płodnością i otacza opieką.

[15] Lary (łac. *Laius*) – dusze zmarłych, podniesione u Rzymian do rzędu bóstw, które opiekowały się pozostałymi przy życiu członkami rodziny. Wizerunki *lares* w postaci niewielkich laleczek umieszczano w *lararium*, w atrium, nad ogniskiem domowym lub w kapliczce domowej w wyznaczonym do tego innym miejscu.

[16] *Atrium* – w zamożnych domach rzymskich główna część domu, znajdująca się bezpośrednio za westybulem. Dokoła *atrium* rozmieszczone były izby mieszkalne.

[17] *Caldarium* – sala w termach miejskich lub łaźniach domowych zaopatrzona w rodzaj centralnego



ogrzewania; źródło ciepła znajdowało się pod podłogą, skąd rozprowadzano ciepłe powietrze rurami zainstalowanymi w ścianach; *tepidarium* – część term rzymskich lub łaźni domowej; niewielka sala ogrzewana, przez którą po wyjściu z basenów z zimną wodą (we *frigidarium*) przechodziło się do *caldarium* na gorącą kąpiel.

[18] Mogontacium – dziś Moguncja.

[19] Alemanowie – plemię germańskie osiadłe w III w. nad Menem.

[20] Haruspikowie – w starożytnym Rzymie wieszczkowie etruscy, wróżący z niezwykłych zjawisk, z uderzenia piorunu i wyglądu trzewi zwierząt ofiarnych. Ten system wróżb, zwany *disciplina etrusca*, utrzymał się do IV w. n.e.

[21] Filippopolis – dziś Płowdiw w Bułgarii.

[22] Abrittus – dziś Dobrudża.

[23] *Praetorium* – siedziba dowódcy w obozie wojskowym. W okresie republiki był to przeważnie namiot, za czasów cesarstwa okazały budynek w centrum obszaru zajętego pod obóz.

[24] Kalendy – łac. *Kalendae* lub *Calendae* – pierwszy

dzień każdego miesiąca w kalendarzu rzymskim.

[25] Mogontiacum – dziś Moguncja.

[26] Idy grudniowe – *Idus* – w kalendarzu rzymskim 13 dzień każdego miesiąca (15 w marcu, maju, lipcu i październiku).

[27] Kolonia Klaudia Ara Agrippinensium – dziś Kolonia nad Renem.

[28] Pelusium – dziś Tineh, miasto w Egipcie.

[29] Argentorum – miasto na lewym brzegu Renu, dziś Strasburg.

[30] *Limes* – tak w czasach cesarstwa nazywano granice państwa.

[31] Aureus – złota moneta rzymska, zwana też *aureus denarius*.

[32] *Sudatorium* – w termach rzymskich łaźnia parowa, „potnia”, stanowiąca środkową część caldarium albo oddzielne pomieszczenie obok niego. Wykonywano tu ćwiczenia gimnastyczne oraz ćwiczenia w podnoszeniu ciężarów.

[33] *Harpaster* – bardzo ciężkie, obszyte skórą piłki, wypełnione piaskiem, jedna z bardziej popularnych gier i zabaw fizycznych w starożytnej Grecji i Rzymie.

[34] Baubo – grecka bogini frywolnego śmiechu.

[35] Pappus i Manducus – to postacie z komedii Pomponiusza, którego pełne imię brzmiało Pomponius Lucius Bononiensis. Żył i tworzył w 1 w. p.n.e., uważany jest za twórcę tzw. atellany literackiej. Tematy do swych sztuk czerpał z życia codziennego i mitologii. Występują zawsze te same postacie: Wróż, Lekarz, Piekarz, Rybak, Starzec i Żarłok. W większości tych sztuk akcja rozgrywa się na wsi. Jedna z nich nosi tytuł *Pappus Agricole* (Pappus rolnik).

[36] *Phalerae* – małe tarcze ze srebra; *torques* – honorowe naszyjniki. W wojsku rzymskim za męstwo i dobre wykonywanie obowiązków przyznawano żołnierzom przeróżne nagrody, między innymi takie właśnie tarcze, naszyjniki honorowe, naramienniki, drzewce z gałką ze srebra, proporczyki oraz różnego rodzaju wieńce.

[37] *Principes* – podlegający centurionom niżsi oficerowie.

[38] *Cingulum militiae* – wszyscy żołnierze i niżsi oficerowie w wojsku rzymskim nosili pas skórzany, który obwijali kilkakrotnie wokół tułowia i zawiązywali lub spinali, Uzupełniał on pancerz u dołu i kończył się kilkoma rzemieniami z okuciem metalowym tworzącym rodzaj fartuszka dla ochrony dolnej części ciała. Pas wzmacniały i jednocześnie zdobiły metalowe płytki. Pozbawienie żołnierza pasa wojskowego stanowiło surową karę, np. za tchórzostwo.

[39] Pannonia – prowincja rzymska położona między Dunajem a Sawą; Recja – prowincja rzymska, kraina leżąca w Alpach Wschodnich i nad górnym Dunajem, dziś Tyrol i północno-wschodnia Szwajcaria.

[40] *Praetorium* – siedziba rzymskiego wodza w obozie wojskowym.

[41] *Phalerae* – małe, srebrne tarcze, zdobione szlachetnymi kamieniami. Prawo do ich noszenia przyznawano w wojsku rzymskim za zasługi na wojnie.

[42] *Dux maiorum* – wódz naczelny wojsk rzymskich w danej prowincji.

[43] *Carruca* – rodzaj rzymskiego powozu, bardzo wytworna odkryta karoca o wysokim pudle, z wygodnie urządzone wnętrzem, w której podróżni mogli odpoczywać a nawet spać, lekka i szybka, pięknie wykończona.

[44] *Curia* – budynek, gdzie odbywały się posiedzenia senatu.

[45] *Comitium* – tak nazywała się najstarsza część Forum Romanum.

[46] *Despojna* – w mitologii greckiej tytuł nadawany bogini Demeter w micie o Posejdonie i Demeter.

[47] *Trigarium* – w starożytnym Rzymie plac, na którym ujeżdżano konie.

[48] *Testaceus* – *Testaceus Mons* (od łac. słowa *testa* – cegła, naczynie gliniane) pagórek w Rzymie powstały ze skorup rozbitych naczyń glinianych.

[49] Kasjusz Longinus – grecki literat i filozof neoplatoński z III w. n.e., doradca Zenobii, królowej Palmyry.

[50] *Dafne* – gaj laurowy i cyprysowy na przedmieściu Antiochii syryjskiej.

[<sup>51</sup>] Dekuria – w starożytnym Rzymie oddział wojska złożony z dziesięciu ludzi.

[<sup>52</sup>] Cella – główna część świątyni rzymskiej, w której umieszczano posąg bóstwa.